

RICHARD MORGAN

乙巳Ud芝@叭五
卞U沢巫五



Richard Morgan

ZBUDZONE FURIE

ZBUDZONE FURIE

Tytuł oryginału: WOKEN FURIES

Copyright © 2005, 2006 Richard Morgan. Wszelkie prawa zastrzeżone.

First published by The Orion Publishing Group Ltd, London.

Prawa do wydania polskiego należą do ISA Sp. z o.o., Warszawa 2006.

Ilustracja na okładce: Łukasz Mrozek

Wszystkie postacie występujące w tej książce są fikcyjne. Jakikolwiek podobieństwo do osób prawdziwych, żyjących lub nie, jest całkowicie przypadkowe. Książka jest chroniona polskim i międzynarodowym prawem autorskim. Jakikolwiek jej powielanie lub nieautoryzowany użytek jej zawartości jest zabronione bez pisemnej zgody wydawcy lub właściciela praw autorskich.

Wydanie I

Wydawca: ISA Sp. z o.o.

Tłumaczenie: Marek Pawelec

Korekta: Aleksandra Gietka-Ostrowska

Skład: KOMPEJ

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

ISA Sp. z o.o.

Al. Krakowska 110/114

02-256 Warszawa

tel./fax (0-22) 846 27 59

e-mail: isa@isa.pl ISBN: 83-7418-114-1

ISBN: 978-83-7418-114-3

Zapraszamy do odwiedzenia naszej strony internetowej:

www.isa.pl

Spis treści

PODZIĘKOWANIA

PROLOG

CZEŚĆ I OTO KIM JESTEŚ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

CZEŚĆ II TO KTOŚ INNY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

CZEŚĆ III TO BYŁO JAKIŚ CZAS TEMU

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

CZEŚĆ IV TYLKO TO SIĘ LICZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

CZEŚĆ V OTO NADEJDZIE SZTORM

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Ta książka jest dla mojej żony
Virginii Cottinelli
która wie, co to przeszkody

PODZIĘKOWANIA

Większość tej książki po prostu wymyśliłem. W kilku miejscach, gdzie nie było to możliwe, wdzięczny jestem za pomoc następującym osobom:

Dava Clare dostarczył mi bezcennych rad i wiedzy w zakresie wspinaczki, zarówno na papierze, jak i na ścianie. Doskonała powieść Kema Nunna *Tapping the source* i e-maile Jaya Caselberga umożliwiły wgląd w kulturę surferów. A Bernard w Diving Fornells nauczył mnie, jak bezpiecznie przetrwać pod wodą. Jeśli coś napisałem źle, ponoszę za to winę ja, nie oni.

Szczególne podziękowania dla Simona Spantona i Carolyn Whitaker, która czekała z niewyczerpaną cierpliwością i absolutnie nigdy nie przypominała o terminach.

Furia (rz):

1a dzika, niekontrolowana i często niszczycielska wściekłość...

2 dzika, nieopanowana siła lub działalność

3a jedna z trzech mściwych bogiń, które w greckiej mitologii
karały zbrodnie

3b zła lub mściwa kobieta

The New English Penguin Dictionary 2001

PROLOG

Miejsce, w którym mnie obudzili, musiało być starannie przygotowane.

To samo dotyczyło sali recepcyjnej, gdzie wyluszczyli sprawę. Rodzina Harlana niczego nie robi połowicznie i, jak może potwierdzić każdy przyjęty, lubi sprawiać dobre wrażenie. Podkreślone złotem czarne dekoracje pasujące do rodzinnych herbów na ścianach, w tle prawie niesłyszalne dźwięki mające przypominać o szlachectwie. W rogu jakiś marsjański artefakt, milcząco sugerujący, że opieka nad światem przeszła od naszych dawno nieistniejących, nieludzkich dobroczyńców w ręce twardej i nowoczesnej oligarchii Pierwszych Rodzin. Obowiązkowa holorzeźba starego Konrada Harlana w pozie przepelnionego triumfem planetarnego odkrywcy. Jedna ręka uniesiona w górę, druga osłania twarz przed promieniami obcego słońca. I tym podobne.

I wśród tego wszystkiego pojawia się Takeshi Kovacs, wynurzając się ze zbiornika pełnego żelu, upowłokowiony w zupełnie nieznanym, nowym ciele, charczący w łagodnym pastelowym świetle, podnoszony do pionu przez skromne dworskie służki w powycinanych strojach kąpielowych. Ręczniki o niezgłębionej puszystości, by zetrzeć większość żelu, i szlafrok z podobnego materiału, by niepewnie przejść do następnego pokoju. Prysznic, lustro - lepiej przyzwyczaj się do tej twarzy, żołnierzu - i nowy zestaw ubrań dla nowej powłoki, a później do sali audiencyjnej na rozmowę z członkiem rodziny. Oczywiście kobietą. Znając moje akta, absolutnie nie wykorzystaliby do tego mężczyzny. Porzucony w wieku dziesięciu lat przez ojca alkoholika, wychowywany z dwoma młodszymi siostrami, życie pełne sporadycznych reakcji psychotycznych w kontaktach z patriarchalnymi przedstawicielami władzy. Nie, to kobieta. Jakaś wytworna ciotka, której powierza się tajne misje rodziny Harlana. Subtelna piękność w indywidualnie hodowanej powłoce, prawdopodobnie tuż po czterdziestce rachuby standardowej.

- Witamy z powrotem na Świecie Harlana, Kovacs-san. Wygodnie panu?

- Tak. A pani?

Gładka bezczelność. Szkolenie Emisariusza pozwala wchłaniać szczegóły otoczenia z prędkością nieosiągalną dla zwykłych ludzi. Rozglądając się, Takeshi Kovacs w ułamku sekundy rozumie wszystko i od chwili wyjścia z wanny wie, że go potrzebują.

- Ja? Może mnie pan nazywać Aiurą. - Wykonuje subtelny gest. Mówi w amangielskim, nie po japońsku, ale pięknie skonstruowane niedopowiedzenie, elegancja, z jaką unika obrazy, nie odwołując się do oburzenia, jasno wskazują na kulturalne korzenie Pierwszych Rodzin. - Choć w tej sprawie nie jest istotne, kim jestem. Myślę, że i tak wie pan, kogo reprezentuję.

- Tak, to oczywiście. - Może to subsonika, a może po prostu trzeźwa reakcja kobiety na moją bez troskę, ale tłumię arogancki ton. Emisariusze wchłaniają to, co ich otacza, i do pewnego stopnia ten proces powoduje skażenie. Człowiek często odkrywa, że instynktownie przejmuje obserwowane zachowanie, zwłaszcza jeśli intuicja Emisariusza podpowiada, że dzięki temu zdobywa się przewagę. - A więc zostałem tymczasowo przeniesiony.

Aiura odkasłuje delikatnie.

- Można to tak ująć.

- Misja solo? - Samo w sobie nic niezwykłego, ale też mało przyjemne. Fakt, że jest się elementem zespołu Emisariuszy gwarantuje poczucie bezpieczeństwa, na które nie ma szans podczas współpracy ze zwykłymi istotami ludzkimi.

- Tak. Będzie pan jedynym Emisariuszem. Bardziej konwencjonalnymi zasobami może pan za to dysponować w znacznych ilościach.

- Brzmi nieźle.

- Mamy nadzieję.

- A więc, co mam zrobić? Kolejne delikatne chrząknięcie.

- Wszystko w swoim czasie. Chciałabym ponownie zapytać, czy powłoka jest wygodna?

- Sprawia bardzo dobre wrażenie. - Nagle to sobie uświadamiam. Bardzo sprawne reakcje na imponującym poziomie, nawet dla kogoś przyzwyczajonego do powłok bojowych Korpusu. Piękne ciało, przynajmniej od wewnątrz. - To coś nowego z Nakamury?

- Nie. - Czy spojrzenie kobiety umyka w górę i w lewo? Jest szefową ochrony, pewnie ma wbudowany wyświetlacz siatkówkowy. - Harkany Neurosystems, hodowane na pozaplanetarnej licencji Khumalo-Cape.

Emisariusze nie powinni okazywać zdziwienia. Nie wolno im marszczyć czoła.

- Khumalo? Nigdy o nich nie słyszałem.

- Tak, nie mógł pan.

- Czyli?

- Powiem tylko, że wyposażyliście pana w najlepszą dostępną biotechnologię. Pewnie nie muszę wyliczać możliwości powłoki komuś o pańskim przygotowaniu. Jeśli zapragnie pan poznać szczegóły, dzięki wyświetlaczowi w lewej części pola widzenia uzyska pan dostęp do podręcznika. - Lekki uśmiech, może ze śladami znużenia. - Harkany nie zostały wyhodowane specjalnie na potrzeby Emisariuszy, ale nie było czasu na przygotowanie indywidualizowanego zamówienia.

- Macie tu jakiś kryzys?

- Bardzo pan przenikliwy, Kovacs-san. Tak, sytuację można uznać za krytyczną. Chcielibyśmy, żeby natychmiast zaczął pan pracę.

- Cóż, za to właśnie mi płacą.

- Tak. - Czy poruszy teraz sprawę tego, kto właściwie mi płaci? Pewnie nie. - Jak niewątpliwie już pan zgadł, będzie to misja tajna. Zupełnie inna niż na Sharyi. Choć jak rozumiem, pod koniec kampanii miał pan do czynienia z terrorystami.

- Tak. - Po tym jak zniszczyliśmy ich międzyplanetarną flotę, zagłuszyliśmy systemy transmisji danych, rozbiliśmy ich ekonomię i zasadniczo wyeliminowaliśmy możliwość globalnego oporu, zostali tam twardogłowi, którzy nie zrozumieli przekazu Protektoratu. Więc wylapaliśmy ich. Infiltracja, obłaskawienie, korupcja, zdrada. Ciche morderstwa. Trochę się tym zajmowałem.

- Dobrze. Ta praca będzie podobna.

- Macie problem z terrorystami? Znow pojawili się quelliści?

Lekceważący gest ręki. Nikt już nie traktuje poważnie quellizmu. Już od paru stuleci. Tych kilku żyjących, prawdziwych quellistów przehandlowało swoje rewolucyjne zasady na dochodową zorganizowaną przestępczość. Nie stanowią zagrożenia dla tej kobiety i reprezentowanej przez nią oligarchii. To pierwsza wskazówka, że sytuacja wcale nie jest tak oczywista.

- Mam na myśli raczej polowanie na człowieka, Kovacs-san. Konkretną osobę, bez podtekstów politycznych.

- I chcecie wsparcia Emisariuszy? - Nawet przez maskę kontroli musiało przeniknąć zdziwienie. Uniosłem brwi. Mój głos pewnie też trochę zdradził. - Musi to być ktoś wyjątkowy.

- Tak. Jest. Prawdę mówiąc, to były Emisariusz. Kovacs-san, zanim przejdziemy do szczegółów, myślę, że musimy wyjaśnić jedną sprawę, która...

- Z pewnością musi pani coś wyjaśnić z moim oficerem dowodzącym. Ponieważ wygląda mi to na marnowanie czasu Korpusu Emisariuszy. Nie robimy takich rzeczy.

- ...może być dla pana szokiem. Bez wątplenia wierzy pan, że został upowłokowiony krótko po

kampanii na Sharyi. Może zaledwie kilka dni po transferze strunowym.

Wzruszenie ramion. Opanowanie Emisariusza.

- Dni czy miesiące, nie robi mi to dużej róż...

- Dwa wieki.

- Co?

- Tak jak powiedziałam. Spędził pan w przechowalni prawie dwieście lat. W czasie rzeczywistym...

Opanowanie Emisariusza wylatuje przez okno.

- Co, do diabła, stało się...

- Proszę, Kovacs-san. Wysłuchaj mnie. - Ostry, rozkazujący ton. A potem, gdy warunkowanie znów mnie wyłącza, zmuszając do słuchania i uczenia się, trochę ciszej: - Później przekażę panu wszystkie szczegóły, jakie zapragnie pan poznać. W tej chwili powinno panu wystarczyć, że nie stanowi pan już części Korpusu Emisariuszy jako takiego. Może się pan uznać za rentiera rodziny Harlana.

Odległy o stulecia od ostatnich zapamiętanych na żywo doświadczeń. Upowłokowiony poza czasem. Wiele pokoleń od znanych ludzi i przedmiotów. Jak cholerny przestępca. Cóż, technika asymilacyjna Emisariuszy powinna to już opanować, ale...

- W jaki sposób...

- Plik pańskiej osobowości rodzina nabyła jakiś czas temu. Jak powiedziałam, później mogę podać więcej szczegółów. Nie musi się pan tym przejmować. Kontrakt, który chcę panu zaproponować, jest naszym zdaniem wyjątkowo korzystny. Ważne jest jednak, by pan zrozumiał, że konieczne jest wykorzystanie pańskich umiejętności Emisariusza. Nie jest to Świat Harlana, jaki pan znał.

- Z tym sobie poradzę. - Niecierpliwie. - Tym się zajmuję.

- Dobrze. Teraz, oczywiście, będzie pan chciał wiedzieć...

- Tak. - Stłumić szok... Jak opaska na krwawiącej kończynie. Jeszcze raz zebrać doświadczenie i butną bez troskę. Trzymać się tego, co oczywiste, kluczowego w tym wszystkim fakcie. - Więc kim, do cholery, jest ten były Emisariusz, którego tak bardzo chcecie złapać?

** * **

Może tak to wyglądało.

Z drugiej strony, może nie. Wnioskuje na podstawie podejrzeń i fragmentarycznej wiedzy z później. Buduję z tego, co uda mi się odgadnąć, wykorzystuję intuicję Emisariusza, by wypełnić luki. Ale mogę się mylić.

Nie wiem.

Nie było mnie tam.

I nie widziałem jego twarzy, kiedy powiedzieli mu, gdzie jestem. Ze to ja... i co musi z tym zrobić.

CZEŚĆ I

OTO KIM JESTEŚ

Weź to do siebie...

QUELLCRISTA FALCONER
Rzeczy, które powinnam już wiedzieć, Tom II

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Uszkodzenia.

Rana piekła jak diabli, ale miewałem już gorsze. Ładunek z blastera uderzył mnie w zebra osłabiony pancernymi drzwiami, przez które musiał się przebić, zanim się do mnie dobrał. Zebrani za zatrzaśniętymi drzwiami kapłani strzelili mi w bebechy. Noc pieprzonych amatorów. Sami pewnie oberwali równie mocno rykoszetem z przystawionego do blachy blastera. Za drzwiami wykręciłem się w bok. To, co zostało z ładunku, wyorało mi długą, płytką bruzdę w klatce piersiowej i poleciało w świat, wypalając siew fałdach mojego płaszcza. Nagłe zimno wzdłuż boku ciała i ostry smród spalonych czujników w skórze. Ten dziwny syk, który ma niemal własny smak - smak kości pękających w miejscu, gdzie ładunek przedarł się przez biologiczną osłonę żeber.

Osiemnaście minut później, według delikatnie świecących cyfr wyświetlacza w lewym górnym polu widzenia, syk nadal mnie nie opuszczał, gdy pędziłem oświetloną latarniami ulicą, próbując ignorować ranę. Spod płaszcza dyskretnie wyciekały płyny. Niewiele krwi. Syntetyczne powłoki mają swoje zalety.

- Chcesz się zabawić, koleś?

- Już to zrobiłem - odpowiedziałem mu, odwracając się od drzwi. Mrugnął wytatuowanymi powiekami w lekceważący sposób, który mówił, że to moja strata, i schował gibkie, muskularne ciało z powrotem w mrok. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i skręciłem za róg, przeciskając się między parą dziwek, kobietą i drugą o nieokreślonej płci. Kobieta była przerabiana, wysunęła z przerośniętych ust rozwidlony smoczy język, może smakując w nocnym powietrzu zapach mojej rany. Jej wzrok przesunął się po mnie, potem odpłynął. Stojący po drugiej stronie obojnak zmienił lekko postawę i rzucił mi pytające spojrzenie, ale nic nie powiedział. Żadne z nich nie okazało zainteresowania. Ulice były puste i śliskie od deszczu, a oni mieli więcej czasu, by mi się przyjrzeć, niż tamten koleś w drzwiach. Ogarnąłem się po wyjściu z cytadeli, ale coś we mnie musiało zdradzać, że nie dam im zarobić.

Usłyszałem, jak rozmawiają o mnie za plecami w japskim. Wylapałem słowo *splukany*.

Mogli sobie pozwolić na wybredność. Interesy kwitły dzięki inicjatywie Mecseka. Tej zimy Tekitomura tętniła życiem, pełna handlarzy odzyskanym sprzętem i ekip likwidatorów, które przyciągały ich jak trawler przyciąga darłoskrzydły. *Bezpieczne Nowe Hokkaido dla Nowego Stulecia*, głosiły reklamy. Ze świeżo zbudowanego doku poduszkowców przy Kompcho do Nowego Hokkaido było w linii prostej niecałe tysiąc kilometrów, a transportowce pływały tam w dzień i w nocy. Poza zrzutem lotniczym nie da się szybciej przebyć Morza Andrassy'ego. A na Świecie Harlana nie wzbija się w powietrze, jeśli tylko można tego uniknąć. Ekipy z ciężkim sprzętem - a wszystkie go miały - pływały na Nowe Hokkaido poduszkowcem z Tekitomury. Tą samą drogą wracali ci, którzy przeżyli.

Miasto prosperity. Nowiutkie nadzieje i kipiący entuzjazm rozdmuchiwany pieniędzmi Mecseka. Kuśtykałem ulicami zaśmieconymi resztkami po zabawach. W kieszeni niczym kostki stukały o siebie świeżo wycięte stopy korowe.

Na skrzyżowaniu ulicy Pencheva i alei Muko toczyła się bójka. Właśnie zamknięto palarnie na Muko i ich klienci z przepalonymi synapsami trafili na spóźnionych robotników portowych wracających przez cichą dzielnicę magazynów. Więcej niż dostateczny powód do walki. Teraz na ulicy tłoczyło się tuzin postaci o kiepskiej koordynacji, bijąc się niezdarnie i drapiąc, podczas gdy zgromadzony tłumek wykrzykiwał zachęty. Jakieś ciało leżało bezwładnie na chodniku z topionego szkła, a ktoś inny odczołgiwał się na bok, krwawiąc. Błękitne iskry z przeładowanego elektrycznego

kastetu, gdzie indziej błysk światła na klindze. Ale wyglądało na to, że ci, którym udało się utrzymać na nogach, dobrze się bawią. Jeszcze nie pojawiła się policja.

Jasne, zadrwiła część mnie. Pewnie są teraz zajęci na wzgórzu.

Ominąłem bójkę szerokim łukiem, osłaniając zraniony bok. Pod płaszczem zacisnąłem dłonie na gładkich krzywiznach ostatniego granatu halucynogennego i trochę lepkiej rękojeści noża Tebbita.

Nigdy nie wdawaj się w bójkę, jeśli nie możesz szybko zabić i zniknąć.

Virginia Viadura - instruktor w Korpusie Emisariuszy, później kryminalistka i aktywistka polityczna. Ktoś w rodzaju mojego idola, choć od naszego ostatniego spotkania minęło kilkadziesiąt lat. Na tuzinie różnych planet nieproszona wciskała się w moje myśli i dobry tuzin razy zawdzięczałem jej życie. Tym razem nie potrzebowałem ani jej, ani noża. Przeszedłem obok walczących, unikając kontaktu wzrokowego, dotarłem do rogu Pencheva i skryłem się w cieniach zasłaniających ujście alei od strony morza. Zegarek w oku mówił mi, że jestem spóźniony.

Pospiesz się, Kovacs. Wedle mojego kontaktu w Millsport, na Pleksie nie można było polegać i w najlepszych warunkach, a nie zapłaciłem mu dość, by czekał długo.

Pięćset metrów dalej, a potem w lewo, w ciasne zaułki dzielnicy Pięknorostów Kohei, nazwanej tak wiele stuleci temu dla zwyczajowej zawartości okolicznych budynków i pierwotnego właściciela/operatora, którego rodzinne magazyny stały na obrzeżach labiryntu krzywych uliczek. W skutek Niepokojów i utraty Nowego Hokkaido jako rynku zbytu, lokalny handel pięknorostami praktycznie się załamał i ród Kohei błyskawicznie zbankrutował. Teraz brudne okna na górnych poziomach fasad patrzyły na siebie ponuro nad paszczami bram załadunkowych, których żaluzje blokujące utkwili gdzieś w pół drogi między zamkniętym a otwartym.

Oczywiście mówiło się o ich restauracji, remoncie i przeróbce na laboratoria likwidacyjne, centra szkoleniowe i magazyny sprzętu.

Przeważnie kończyło się na gadaniu - entuzjazm rozpalał się na nabrzeżach naprzeciw ramp poduszkowców bardziej na zachód, ale jak dotąd się nie rozprzestrzenił. Tak daleko od nabrzeża i na wschód brzęk pieniędzy Mecseka jeszcze nie dotarł.

Radości potoku bogactw.

W budynku przy Pięknorostów Kohei dziewięć koma dwadzieścia sześć w jednym z górnych okien tlił się słaby poblask i widać było długie, ruchome języki cienia w świetle przesączającym się spod na wpół opuszczonej żaluzji bramy załadunkowej, która nadawała budynkowi wygląd jednookiego, zaślinionego wariata. Przytuliłem się do ściany i podkręciłem obwody słuchowe syntetycznej powłoki na możliwie najwięcej, czyli niewiele. Na ulicę wyciekły głosy, chwiejne jak cienie u moich stóp.

- ...mówię ci, nie zamierzam tu siedzieć dla czegoś *takiego*.

Akcent z Millsport, samogłoski z nosowym brzmieniem amangielskiego ze Świata Harlana rozciągnięte do irytującego zgrzytu. Głos Pleksa, mamroczonego poniżej zrozumiałego zakresu, brzmiał miękkim prowincjonalnym kontrapunktem. Chyba zadał pytanie.

- Skąd, do cholery, mam wiedzieć? Wierz, w co chcesz.

Towarzysz Pleksa chodził, czymś się zajmował. Jego głos zagubił się w echem magazynu. Wyłapałem słowa *kaikyo, sprawa*, urwany śmiech. Potem znów, gdy zbliżył się do wyjścia:

- Liczy się to, w co wierzy rodzina, a oni wierzą w technikę. A technika, przyjacielu, zostawia ślad. - Ostry kaszel i wdech brzmiący jak wciąganie rozrywkowych prochów. - Facet się spóźnia.

Zmarszczyłem czoło. *Kaikyo* ma sporo znaczeń, ale wszystkie zależą od wieku mówiącego. Geograficznie to cieśnina lub kanał. Tak używano tego słowa w trakcie Lat Osiedlenia albo w przesadnie zagmatwanej bazgraninie kanji z pretensjami do Pierwszych Rodzin. Ten facet nie brzmiał

jak ktoś z nich, ale nie było powodu, by zakładać, że nie mógł *krążyć*, gdy Konrad Harlan i jego kumple z koneksjami zmieniali Glimmer VI we własne podwórko. W przechowalniach pełno jest osobowości mc z tamtych lat, które tylko czekają, by przelać je w powłokę. Skoro o tym mowa, i tak nie musiałby zmieniać powłok więcej niż pół tuzina razy, żeby przeżyć całą historię Świata Harlana. W ziemskiej rachubie czasu minęło niewiele ponad cztery stulecia, od kiedy na planecie wylądowały barki kolonizacyjne.

W mojej głowie poruszyła się intuicja Emisariusza. Coś tu nie pasowało. Spotykałem już ludzi mających za sobą stulecia ciągłego życia - nie mówili jak ten facet. To nie była mądrość wieków sącząca się w noc Tekitomury wraz z dymem fajki.

Na ulicy, kilkaset lat później, przejęty przez żargon japskiego, wyraz *kaikyo* oznacza kontakt, który może przemieścić skradziony towar. Kogoś, kto kieruje potajemną dystrybucją. W tym znaczeniu powszechnie używa się tego słowa w niektórych częściach archipelagu Millsport. Gdzie indziej znaczenie się zmieniło i teraz odnosi się do uczciwych konsultantów finansowych.

Tak, a bardziej na południe oznacza świętego we władaniu duchów albo wylot ścieku. Dość tych detektywistycznych bzdur. Słyszałeś go - spóźniłeś się.

Wsunąłem dłoń pod krawędź żaluzji i pociągnąłem w górę, blokując potężną falę bólu w boku, na ile tylko pozwolił mi układ nerwowy sztucznego ciała. Żaluzja głośno podjechała pod sufit. Światło padło na ulicę i na mnie.

- Dobry wieczór.

- Jezul! - Ten z akcentem z Millsport odskoczył do tyłu. Był zaledwie parę metrów od żaluzji.

- Tak.

- Cześć, Plex. - Moje spojrzenie pozostało na nowo przybyłym. - A ten *tani* to...?

Ale już wiedziałem. Błady, w szytym na miarę dobrym ubraniu prosto z taniej sensorii, gdzieś między Mickim Nozawą i Ryu Bartokiem. Ciało wojownika o dobrych proporcjach, masywne w ramionach i kłacie, z długimi kończynami. Włosy ułożone tak, jak robią to ostatnio na pokazach biosprzętu, z wykręconym w górę statycznym czymś, co ma sugerować, że powłokę ledwie wyciągnięto ze zbiornika do klonowania. Garnitur powypychany w sposób sugerujący ukrytą broń i postawa, która zdradza, że nie jest gotów jej użyć. Postawa bojowa, która przypomina psie szczekanie, a nie chęć gryzienia. W dłoni wciąż trzymał zużytą mikrofajkę, a źrenice miał rozszerzone do granic możliwości. Ustępstwo na rzecz antycznej tradycji kazało mu wytatuować z boku czoła iluminiowe zakrętasy. Praktykant yakuzy z Millsport. Uliczny zbir.

- Nie nazywaj mnie *tanim* - wysyczał. - Ty tu jesteś obcy, Kovacs. Ty jesteś intruzem.

Patrząc na niego kątem oka, spojrzałem w stronę Pleksa. Stał przy warsztacie z płataniną taśm w rękach i z niepewnym uśmiechem, który nie chciał się trzymać jego twarzy.

- Słuchaj, Tak...

- To prywatna impreza, Plex. Nie prosiłem, byś wynajął błazna.

Yakuza szarpnął się do przodu, z trudem panując nad sobą. Z jego gardła dobyło się warczenie. Plex wyglądał na przerażonego.

- Czekaj, ja... - Z widocznym wysiłkiem odłożył taśmy. - On tu przyszedł w innej sprawie, Tak.

- Jest tu w czasie, który miał być zarezerwowany dla mnie - powiedziałem łagodnie.

- *Słuchaj*, Kovacs, ty pieprzony...

- *Nie*. - Mówiąc to, odwróciłem się z powrotem do niego w nadziei, że właściwie zrozumie siłę mojego głosu. - Wiesz, kim jestem, więc nie wchodź mi w drogę. Przyszedłem tu do Pleksa, nie do ciebie. A teraz zjeżdżaj.

Nie wiem, co go zatrzymało: reputacja Emisariusza, najnowsze wiadomości z cytadeli - *bo*

teraz już wszędzie się o tym mówi, biorąc pod uwagę bałagan, jaki tam zostawiłeś - czy rozważa większa, niż sugerował wygląd taniego zbira w garniaku. Przez chwilę balansował na progu wściekłości, a potem cofnął się i stłumił ją, wbijając wzrok w paznokcie prawej ręki. Uśmiechnął się.

- Jasne. Proszę bardzo, ubij interes z Pleksem. Poczekam na zewnątrz. Nie potrwa to długo. - Zrobił krok w stronę ulicy. Spojrzałem na Pleksa.

- O czym on, do cholery, mówi? Plex się skrzywił.

- My... hmmm... musimy zmienić plany, Tak. Nie możemy...

- O nie. - Rozglądając się po pomieszczeniu, dostrzegłem rozmazane ślady spiral kurzu w miejscach, gdzie ktoś używał podnośnika grawitacyjnego. - Nie, nie, powiedziałaś mi...

- Ja... Ja wiem, Tak, ale...

- Zapłaciłem ci.

- Oddam ci pieniądze...

- Nie chcę pieprzonej forsy, Plex. - Wbiłem w niego wzrok, walcząc z chęcią rozszarpania mu gardła. Bez Pleksa nie będzie przelania. Bez przelania... - *Chcę odzyskać moje cholerne ciało.*

- Spokojnie, spokojnie. Dostaniesz je. Po prostu w tej chwili...

- W tej chwili, Kovacs, korzystamy z naszego sprzętu. - Yakuza wpłynął z powrotem w moje pole widzenia. Nadal się uśmiechał. - Bo, prawdę mówiąc, od początku należał do nas. Choć pewnie tego ci Plex nie powiedział, co?

Spojrzałem na Pleksa. Wyglądał na zakłopotanego.

Aż szkoda faceta. Isa, mój pośrednik kontaktowy z Millsport, raptem piętnaście lat, postawione na sztywno fioletowe włosy i rzucające się w oczy archaiczne gniazda infoszczura, znużenie światowca i refleksja przy opisie szczegółów kontraktu i kosztów. *Popatrz na historię. Wypieprzyła go na dobre.*

Historia faktycznie chyba Pleksa nie kochała. Gdyby urodził się jako Kohei trzy stulecia wcześniej, byłby zepsutym, głupim młodszym synem rodu, który musiałby co najwyżej gimnastykować umysł w dziedzinie tak egzotycznej jak astrofizyka czy archeologia. Tak się jednak złożyło, że rodzina Kohei nie zostawiła swoim potomkom z czasów po Niepokojach nic oprócz kluczy do dziesięciu ulic pustych magazynów i zanikającego arystokratycznego wdzięku, który wedle słów samego Pleksa, zwiększał szanse u kobiet przy braku gotówki. Naćpany fajką, w niecałe trzy dni znajomości opowiedział mi całą historię. Chyba odczuwał potrzebę zwierzeń, a Emisariusze to dobrzy słuchacze. Słucha się, zapisuje informacje w pliku z lokalnym folklorem i wchłania. Przyswojony szczegół może później uratować życie.

Kierowani strachem przed pojedynczym życiem i brakiem ponownego upowłokowienia, zubożali nagle przodkowie Pleksa nauczyli się zarabiać na życie, ale większość z nich nie radziła sobie najlepiej. Nawarstwiały się długi, zebrały się sępy. Do czasu, gdy na świecie pojawił się Plex, jego rodzina tak głęboko siedziała w kieszeni yakuzy, że drobna przestępczość była wśród jej członków na porządku dziennym.

Pewnie Plex wyrastał razem z takimi agresywnymi garniakami jak ten. A zrezygnowanego i zakłopotanego uśmiechu nauczył się na kolanach ojca.

Ostatnie, czego chciał, to zdenerwować swoich patronów.

Ostatnie, czego ja chciałem, to jechać poduszkowcem do Millsport w tej powłoce.

- Plex, mam zarezerwowany bilet wyjazdowy na *Królową Saffron*. Za cztery godziny. Zwrócisz mi forszę za bilet?

- Przeniesiemy go, Tak. - Błagalny ton. - Jutro wieczorem z MP wypływa inny poduszkowiec.

Mam sprzęt, to znaczący ludzie Yukio...

- ...zwracaj się do mnie po *nazwisku*, śmieciu - wrzasnął yakuza.

- Mogą cię przenieść na wieczorny prom, nikt się nawet nie dowie. - Proszące spojrzenie na Yukio. - Prawda? Zrobisz to, prawda?

Też na niego spojrzałem.

- Prawda? Biorąc pod uwagę, że psujesz mi w tej chwili plany wyjazdu?

- Sam je sobie już spieprzyłeś, Kovacs. - Yakuza zmarszczył brwi i potrząsnął głową. Pogrywał *sempai* z manieryzmem i sztuczną powagą, którą pewnie skopiował żywcem z własnego *sempai* nie tak dawno temu. - Masz pojęcie, ilu ludzi cię w tej chwili szuka? Policja wysłała niuchaczy na całe miasto, a moim zdaniem najpóźniej za godzinę dotrą do doków. Wciągnąłeś do zabawy cały wydział policji. Nie wspominając o brodatych szturmowcach z cytadeli. Cholera, człowieku, myślisz, że mogłeś tam zostawić jeszcze więcej krwi?

- Zadałem ci pytanie. Nie prosiłem o krytykę. Przeniesiesz mnie na następny transport czy nie?

- Tak, tak. - Zbył mnie machnięciem dłoni. - Masz to załatwione. Nie dociera do ciebie, Kovacs, że niektórzy ludzie prowadzą poważne interesy? Przychodzisz tu i machasz miejscowej policji przed nosem brutalnością, a oni w szale wyłapują ludzi, których potrzebujemy.

- Do czego potrzebujecie?

- Nie twój pieprzony interes. - Poza *sempai* znikła, został tylko zbir z Millsport. - Po prostu schowaj się na najbliższe pięć czy sześć godzin i spróbuj nikogo nie zabić.

- A potem co?

- A potem do ciebie zadzwonimy. Potrząsnąłem głową.

- Będziesz się musiał bardziej postarać.

- Bardziej? - Podniósł głos. - Myślisz, *do cholery*, że z kim rozmawiasz, Kovacs?

Oceeniłem odległość, a potem czas potrzebny na to, by go dosięgnąć. Ból, który z tego wyniknie. Wyrzuciłem z siebie słowa, które musiały go sprowokować.

- Z kim rozmawiam? Z naćpanym *chimplira*, pieprzonym ulicznym zbirem z Millsport, spuszczonego ze smyczy przez swojego *sempai*. Robi się późno, Yukio. Daj mi swój telefon. Chcę porozmawiać z kimś poważnym.

Wściekłość eksplodowała. Błyszczące bielą oczy, ręka sięgająca pod marynarkę. Dużo za późno.

Uderzyłem go.

Przez oddzielającą nas przestrzeń wyprowadzając atak z nieuszkodzonej strony. Z boku w gardło i kolano. Padł, charcząc. Chwyciłem go za ramię, wykręciłem je i przyłożyłem do dłoni nóż Tebbita tak, żeby go widział.

- To biokodowane ostrze - powiedziałem ostro. - Gorączka krwotoczna z Adoracion. Drasnę cię tym, a każde naczynie krwionośne w twoim ciele pęknie przed upływem trzech minut. *Tego właśnie chcesz?*

Zwiśł ciężko w moim uchwycie i z wysiłkiem złapał oddech. Mocniej przycisnąłem ostrze do jego skóry. Zobaczyłem panikę w jego oczach.

- To nie jest dobra śmierć, Yukio. *Telefon*.

Sięgnął do marynarki. Wyleciał z niej telefon i zastukał na wiecznobetonie. Nachyliłem się, blisko, by mieć pewność, że to nie broń, a potem przysunąłem komórkę butem do jego wolnej ręki. Złapał ją, wciąż dysząc ciężko.

- Dobrze. A teraz wystukaj numer kogoś, kto może pomóc, i daj go mnie.

Kilka razy stuknął w wyświetlacz i podał mi telefon z błagalną miną, jak Plex kilka minut

wcześniej. Przez dłuższą chwilę wbijałem w niego wzrok, pamiętając o tym, że typowe tanie sztuczne twarze nie mają wyrazu, a potem puściłem jego rękę, wziąłem telefon i cofnąłem się poza zasięg jego ramion. Odturlał się ode mnie, wciąż trzymając się za gardło. Przystawiłem telefon do ucha.

- Kto mówi? - zapytał po japońsku uprzejmy męski głos.

- Nazywam się Kovacs. - Automatycznie przełączyłem się na jego język. - Mamy tu z twoim *chimpira* Yukio konflikt interesów i pomyślałem, że mógłbyś go rozwiązać.

Chłodna cisza.

- Chciałbym, żebyś go rozwiązał jeszcze tej nocy - dodałem spokojnie.

Z drugiego końca linii dobiegł mnie syk głęboko wciąganego powietrza.

- Kovacs-san, popełnia pan błąd.

- Doprawdy?

- Niemądrze byłoby mieszać nas w pańskie sprawy.

- To nie ja zacząłem. W tej chwili stoję w magazynie i patrzę na puste miejsce po sprzęcie, z którego zamierzałem skorzystać. Dano mi do zrozumienia, że to ty go zabrałeś.

Znów cisza. Rozmowy z yakuzą nieodmiennie przerywane są długimi pauzami, w trakcie których należy rozmyślać i starannie wsłuchiwać się w to, co nie zostało powiedziane.

Nie miałem na to nastroju. Bolał mnie bok.

- Powiedziano mi, że skończycie za jakieś sześć godzin. Mogę z tym żyć. Ale chcę twojego słowa, że po tym czasie sprzęt wróci tu sprawny i że będę mógł z niego skorzystać. Chcę, żebyś mi to obiecał.

- Hirayasu Yukio jest osobą...

- Yukio to *chimp*. Bądźmy ze sobą szczerzy. Miał tylko dopilnować, bym nie zaszlachtował naszego wspólnego podwykonawcy. Z czym, swoją drogą, nie radzi sobie najlepiej. Kiedy tu przyszedłem, już brakowało mi cierpliwości, a nie spodziewam się, że szybko mi jej przybędzie. Nie interesuje mnie Yukio. Chcę *twojego* słowa.

- A jeśli go nie dam?

- To parę waszych biur zacznie wyglądać jak wnętrze cytadeli dziś wieczorem. To mogę ci obiecać.

Cisza. Potem...

- Nie negocjujemy z terrorystami.

- Och, *proszę*. Co to, na przemowy ci się zebrało? Myślałem, że rozmawiam z kimś na poziomie dyrektorskim. Mam tu jeszcze trochę narozrabiać?

Cisza innego rodzaju. Głos po drugiej stronie słuchawki sprawiał wrażenie, jakby jego posiadacz myślał o czymś innym.

- Czy Hirayasu Yukio odniósł jakieś obrażenia?

- Nie wygląda na to. - Spojrzałem lodowato na yakużę. Opanował wreszcie oddech i zaczynał się podnosić. Na brzegu tatuażu błyszczały krople potu. - Ale to się może zmienić. Wszystko zależy od ciebie.

- Dobrze. - Ledwie kilka sekund namysłu. Na standardy yakuzy wydawało się to wręcz pospiesznie. - Nazywam się Tanaseda. Ma pan moje słowo, Kovacs-san, że potrzebny panu sprzęt będzie na miejscu, dostępny w podanym przez pana terminie. Dodatkowo wypłacimy panu rekompensatę.

- Dziękuję. To...

- Nie skończyłem. Ma pan też moje słowo, że jeśli dopuści się pan jakiegokolwiek aktu przemocy wobec moich ludzi, wyślę globalny nakaz schwytania pana i egzekucji. Mówię tu o bardzo

nieprzyjemnej prawdziwej śmierci. Zrozumiał mnie pan?

- Brzmi uczciwie. Ale myślę, że lepiej będzie, jeśli sam pan powie swojemu *chimpowi*, żeby się zachowywał. Zdaje się, że ma jakieś złudzenia co do własnej kompetencji.

- Proszę mu dać telefon.

Yukio Hirayasu zdołał już usiąść przygarbiony na wiecznobetonie, oddychając chrapliwie. Syknąłem na niego i rzuciłem mu telefon. Złapał go niezdarnie jedną ręką, drugą wciąż masując sobie gardło.

- Twój *sempai* na słówko.

Posłał mi pełne nienawiści spojrzenie załzawionych oczu, ale przystawił telefon do ucha. Ze słuchawki dobiegły skompresowane japońskie sylaby, jakby ktoś pogrywał na przebitym zbiorniku z gazem. Yukio zeszywniał, opuszczając głowę. Odpowiadał stłumionymi monosylabami. Często powtarzał słowo „tak”. Jedno trzeba yakuzie przyznać - są mistrzami świata, gdy przychodzi utrzymać porządek w szeregach.

Monolog dobiegł końca i Yukio wyciągnął do mnie telefon, nie patrząc mi w oczy. Wziąłem go.

- Problem został rozwiązany - powiedział mi do ucha Tanaseda. - Proszę przenieść się gdzie indziej na resztę nocy. Może pan wrócić za sześć godzin, a sprzęt i rekompensata będą już na pana czekały. Nie będziemy więcej rozmawiać. To... zamieszanie... było niewybaczalne.

Wcale nie brzmiał na przejętego.

- Zna pan jakieś miejsce, gdzie można zjeść dobre śniadanie? - zapytałem.

Cisza. Uprzejmy szum linii. Przez chwilę ważyłem telefon w dłoni, a potem odrzuciłem go do Yukio.

- No dobrze. - Przeniosłem wzrok z yakuzi na Pleksa i z powrotem. - Któryś z was może mi polecić jakieś miejsce na śniadanie?

ROZDZIAŁ DRUGI

Zanim Leonid Mecsek objął swoją wspaniałomyślnością słabo rozkwitłą gospodarkę archipelagu Saffron, Tekitomura utrzymywała się z sezonowego wynajmu łodzi do polowania na butlogrzbiety bogatym łowcom od Millsport do wysp Ohrid, oraz zbioru sieciornic, z których uzyskiwano olej. Bioluminescencja sprawiała, że te ostatnie najłatwiej zbierało się nocą, ale załogi łowieckie starały się nie wypływać jednorazowo na więcej niż kilka godzin. Po dłuższym czasie na ubraniach i pokładzie zbierała się tak gruba warstwa jadowitych, unoszących się w powietrzu nitek, że załogom groził poważny spadek produktywności na skutek wdychania toksyn i oparzeń skóry. Przez całą noc kutry wracały do portu, by splukać załogę i pokłady tanim rozpuszczalnikiem biologicznym. Za oświetloną lampami rtęciowymi myjnią stał rząd czynnych całą noc barów i knajp.

Wylewając z siebie przeprosiny jak z dziurawego wiadra, Plex poprowadził mnie przez dzielnicę magazynów do nabrzeża i do pozbawionego okien przybytku o nazwie *Tokio Crow*. Nie różnił się on zbyt od tańszych barów rybackich z Millsport - na brudnych ścianach rysunki Ebisu i Elma, a między nimi standardowe plakietki wotywnie z napisami w kanji lub amangielskim: *Proszę o spokojne morze i pełne sieci*. Za barem z lustrodrzewu monitory z aktualnymi prognozami pogody, wzorami orbitalnymi i wiadomościami ze świata. W kącie sali obowiązkowe holoporno na szerokiej podstawie projekcyjnej. Przy barze i stolikach pełno załóg kutrów z twarzami rozmytymi zmęczeniem. Nie był to gęsty tłum, głównie mężczyźni i przeważnie niezadowoleni.

- Ja zamówię - odezwał się Plex, gdy tylko weszliśmy.

- Masz cholerna rację, ty zamówisz. Posłał mi cielece spojrzenie.

- Och. Tak. W takim razie co chcesz?

- To, co uchodzi tu za whisky. Tylko mocne. Coś, co poczuję przez obwody smakowe tej cholernej powłoki.

Odszedł do baru, a ja z przyzwyczajenia znalazłem stolik wrogu. Z widokiem na drzwi i klientelę. Opadłem na siedzenie, krzywiąc się z wywołanego ruchem bólu w przypalonych blasterem żebrach.

Pieprzony bajzel.

Wcale nie. Przez tkaninę płaszcz dotknąłem leżących w kieszeni stosów. *Mam to, po co przyszedłem.*

Istnieje jakiś powód, dla którego nie mogłeś po prostu poderżnąć im gardel we śnie?

Musieli wiedzieć. Musieli widzieć, co ich czeka.

Plex wrócił z baru ze szklankami i tacą sushi drugiej świeżości. Wydawał się niezmiernie z siebie zadowolony.

- Słuchaj, Tak. Nie musisz się martwić niuchaczami. W syntetycznej powłoce...

Popatrzyłem na niego.

- Tak, wiem.

- I, no... wiesz. To tylko sześć godzin.

- Oraz cały jutrzejszy dzień do czasu wypłynięcia towarowca. - Zajrzałem do swojej szklaneczki. - Naprawdę uważam, że powinieneś się zamknąć, Plex.

Zrobił to. Po kilku ponurych minutach odkryłem, że tego też wcale nie chcę. W syntetycznej skórze traciłem cierpliwość, denerwowałem się jak przy trzeźwieniu z tetrametu, niezadowolony z tego, kim byłem. Potrzebowałem czegoś, by o tym zapomnieć.

- Od dawna znasz Yukio?

Spojrzał na mnie z urazą.

- Myślałem, że chcesz...

- Tak. Przepraszam. Postrzelili mnie dzisiaj i nie nastawia mnie to

przyjaźnie do ludzi. Po prostu...

- *Postrzelili* cię?!

- *Plex*. - Nachyliłem się ku niemu nad stołem. - Może zechciałbyś, do cholery, mówić ciszej.

- Och. Przepraszam.

- No wiesz. - Machnąłem bezradnie. - Jak, do cholery, utrzymujesz się w interesie? Na miłość boską, podobno jesteś kryminalistą.

- To nie był mój wybór - zapewnił sztywno.

- Nie? W takim razie jak to działa? Organizują tu jakiś pobór?

- Bardzo śmieszne. Pewnie *t y* wybrałeś wojsko, co? W wieku pieprzonych siedemnastu standardowych lat?

Wzruszyłem ramionami.

- Tak, dokonałem wyboru. Wojsko albo gangi. Postawiłem na mundur. Zarabiałem tam lepiej niż na przestępstwach, którymi się wtedy parałem.

- Cóż, ja nigdy nie byłem w gangu. - Przełknął porcję drinka. - Yakuza tego dopilnowała. Za duże ryzyko uszkodzenia inwestycji. Uczyłem się u odpowiednich nauczycieli, spędzałem czas w ich towarzystwie, pracowałem nad rytmem kroków i głosem, a potem zerwali mnie jak cholerną wiśnię.

Wbił wzrok w pobrużdżone drewno blatu stołu.

- Pamiętam mojego ojca - powiedział gorzko. - W dniu, w którym dali mi dostęp do rodzinnych banków danych. Zaraz po przyjęciu urodzinowym z okazji pełnoletniości, następnego ranka. Wciąż miałem kaca, wciąż byłem naćpany, a Tanaseda, Kadar i Hirayasu siedzieli w jego biurze jak pieprzone wampiry. Tamtego dnia płakał.

- *Ten* Hirayasu?

Potrząsnął głową.

- Yukio to syn tamtego. Chcesz wiedzieć, jak długo znam Yukio? Razem dorastaliśmy. Razem spaliśmy na tych samych lekcjach kanji, uwalaliśmy się tym samym *take*, spotykaliśmy się z tymi samymi dziewczynami. Wyjechał do Millsport mniej więcej wtedy, kiedy zacząłem praktyki doktorskie z biotechniki, a wrócił rok później w tym pieprzonym garniaku. - Podniósł wzrok. - Myślisz, że podoba mi się spłacanie długów ojca?

To nie wymagało odpowiedzi. I nie chciałem więcej go słuchać. Pociągnąłem jeszcze trochę whisky, zastanawiając się, jakiego miałaby kopa w powłóce z prawdziwymi kubkami smakowymi. Wskazałem szklaneczką.

- Więc jak to się stało, że potrzebowali dzisiaj twojego sprzętu do upowłokowień? W tym mieście jest pewnie więcej zestawów do przelewania ludzi.

Wzruszył ramionami.

- Ktoś coś spieprzył. Mieli własny sprzęt, ale został skażony. Woda morska w zbiornikach z żelem.

- Ech, zorganizowana przestępczość.

W spojrzeniu, jakie mi rzucił, widać było pełną urazy zazdrość.

- Nie masz rodziny, co?

- Nie zauważyłbyś różnicy. - Zabrzmiało to ostro, ale nie musiał znać prawdy. Nakarmię go czymś innym. - Długo mnie nie było.

- Siedziałeś w przechowalni? Potrząsnąłem głową.

- Poza planetą.

- Poza planetą? Gdzie byłeś? - Charakterystyczne podniecenie w jego głosie, ledwie hamowane przez cień dobrych manier. W układzie Glimmera poza Światem Harlana nie ma planet nadających się do zamieszkania. Nieśmiała terraformacja niżej w płaszczyźnie ekliptyki na Glimmerze V nie przyniesie zadowalających wyników jeszcze przynajmniej przez stulecie. Dla Harlanity „poza planetą” oznacza transfer strunowy na dystansach międzygwiazdnych, zrzucenie fizycznego ciała i ponowne upowłokowienie gdzieś o wiele lat świetlnych stąd, pod obcą gwiazdą. Wszystko to jest bardzo romantyczne i w publicznej świadomości ludziom po transferze strunowym udziela się statusu gwiazdy mniej więcej w stylu pilotów z wczesnych wewnątrzukładowych lotów kosmicznych na Ziemi.

Fakt, że w przeciwieństwie do pilotów tego rodzaju gwiazdy nie musiały właściwie nic *robić*, by podróżować, a w wielu przypadkach ich brak jakichkolwiek umiejętności czy osiągnięć poza samym transferem zdawał się nie wpływać negatywnie na ich triumfalny podbój masowej wyobraźni. Oczywiście idealnym celem jest Stara Ziemia, ale w gruncie rzeczy nie ma większego znaczenia, gdzie się polecą, o ile tylko się wróci. To ulubiona technika przywracania popularności przygasłym gwiazdom sensorii i niemodnym kurtyzanom z Millsport. Jeśli tylko zdoła się jakoś zebrać środki na transfer, ma się praktycznie gwarancję wielu lat dobrze płatnych relacji w brukowych magazynach.

Oczywiście, nie dotyczy to Emisariuszy. My po prostu lecimy cicho, tłumimy planetarny bunt, obalamy stary reżim, a potem budujemy inny, który wspiera NZ. Masakry i tłumienie powstań na dystansach międzygwiazdnych dla dobra - *oczywiście* - zjednoczonego Protektoratu.

Już się tym nie zajmuję.

- Byłeś na Ziemi?

- Między innymi. - Uśmiechnąłem się na wspomnienie sprzed wieku. - Ziemia to kloaka, Plex. Pieprzone statyczne społeczeństwo, super-bogate, pozbawione moralności elity i bezmyślne masy.

Wzruszył ramionami i podłubał ponuro pałeczkami w sushi.

- Czyli podobnie jak tutaj.

- Tak. - Napiłem się jeszcze whisky. Między Światem Harlana a Ziemią dostrzegłem sporo subtelnych różnic, ale nie chciało mi się tego teraz tłumaczyć. - Skoro już o tym wspominasz.

- A więc co tam... O *cholera!*

Przez chwilę zdawało mi się, że poluje w sushi na kawałek butlogrzbietą. Niepewne sprzężenie przedziurawionej syntetycznej powłoki, a może po prostu zmęczenie przedświt. Potrzebowałem kilku sekund, by podnieść wzrok, prześledzić kierunek jego spojrzenia do baru i drzwi, a potem zrozumieć, co widzę.

Kobieta na pierwszy rzut oka wyglądała zwyczajnie - szczupła, pewna siebie, w szarym kombinezonie i niczym niewyróżniającej się kurtce, z niespodziewanie długimi włosami i bladą twarzą. Może trochę za ostre rysy jak na członka załogi kutra. Potem zauważyłem sposób, w jaki stała, z lekko rozstawionymi nogami, dłońmi opartymi o bar z lustrodrzewu, podbródkiem wysuniętym do przodu i z nienaturalnie znieruchomiałym ciałem. Później mój wzrok wrócił do jej włosów i...

W drzwiach nie dalej niż pięć metrów od niej stała grupa wyższej kasty kapłanów Nowego Objawienia, oziębłe lustrujących klientelę. Musieli zauważyć kobietę mniej więcej w tej samej chwili, kiedy ja dostrzegłem ich.

- O *szlag*, o cholera!

- Plex, zamknij się. - Syknąłem cicho przez zaciśnięte zęby i ledwie uchylone wargi. - Nie znają mnie.

- Ale ona jest...

- Siedź i czekaj.

Gang pomyślności duchowej wszedł do sali. Było ich dziewięciu. Komiksowe brody patriarchów i gładko ogolone czaszki, ponure skupienie na twarzach. Trzech sędziów, z emblematami ewangelicznego wyboru udrapowanymi jaskrawo na szatach w kolorze wyblakłej ochry i bionicznymi wizjerami noszonymi na jednym oku jak antyczna piracka przepaska. Ruszyli w stronę kobiety przy barze, skręcając ku niej jak mewy na wietrze. Jej odsłonięte włosy musiały działać na nich jak czerwona płachta na byka.

Nie miało znaczenia, czy przeczesywali ulice, szukając mnie. Do cytadeli poszedłem zamaskowany i w syntetycznej powłoce. Nie zostawiłem śladów.

Ale Rycerze Nowego Objawienia, którzy szerzyli swe poglądy na archipelagu Saffron, przesączaąc się na północne brzegi najbliższych lądów jak trucizna z przebitej sieciornicy, a teraz, jak mi powiedziano, zagnieżdżając się nawet tak daleko na południe jak Millsport, wywijali świeżo odtworzonym mizoginizmem z entuzjazmem, z którego dumni byłiby ich ziemscy, islamo-chrześcijańscy przodkowie. Samotna kobieta w barze już przyciągnęłaby ich uwagę, odsłonięta tym bardziej, ale to...

- Plex - powiedziałem cicho. - Tak sobie myślę... może jednak lepiej się stąd zabieraj.

- Słuchaj, Tak...

Ustawiłem granat halucynogeny na maksymalne opóźnienie, uzbroiłem go i poturlałem łagodnie pod stół. Plex usłyszał go i jęknął cicho.

- Idź - ponagliłem.

Pierwszy z sędziów dotarł do baru. Stał pół metra od kobiety, może czekając, by okazała strach.

Zignorowała go. Właściwie ignorowała wszystko poza powierzchnią baru pod swoimi dłońmi. Nagle pomyślałem, że twarz kapłana powinna się w nim odbijać.

Niespiesznie podniosłem się z miejsca.

- Tak, *nie warto*, stary. Nie wiesz, co...

- Kazałem ci wyjść, Plex. - Teraz już dryfowałem w ich stronę, zbierając furię jak porzucony skif na skraju sztormu. - Nie chcesz grać w tym filmie.

Sędzia zmęczył się oczekiwaniem.

- Kobieto - warknął - masz się okryć.

- Może - odpowiedziała z krystaliczną ostrością - pójdiesz i wypieprzysz się czymś ostrym?

W powietrzu zawisła prawie komiczna pauza. Najbliżsi klienci baru wykręcili głowy, jak na komendę otwierając usta ze zdziwienia. *Czy ona naprawdę powiedziała...*

Ktoś zarechotał.

W powietrzu już sunął cios. Ostre uderzenie otwartą dłonią, które wedle wszelkich praw powinno odrzucić kobietę od baru i posłać ją beładną na podłogę. Zamiast tego...

Bezruch zniknął. Szybciej niż cokolwiek, co widziałem od czasu walki na Sanction IV. Coś we mnie spodziewało się takiego obrotu sytuacji, a i tak przeoczyłem poszczególne ruchy. Odnosiło się wrażenie, że kobieta porusza się skokami jak postać z kiepsko wyedytowanej rzeczywistości wirtualnej - w bok i znika. Spadłem na małą grupkę z bojową furią ograniczającą syntetyczne pole widzenia do poszczególnych celów. Kątem oka zauważyłem, że kobieta sięga w tył i chwytą nadgarstek sędziego. Usłyszałem trzask pękającego łokcia. Kapłan wrzasnął i zatrzepotał rękami. Kobieta docisnęła mocno, a on osunął się w dół.

Błysnęła broń. Grzmot i oleisty błysk na poręczy baru. W pomieszczeniu rozprysła się krew i fragmenty mózgu. Rozgrzane krople spryskały mi twarz, parząc ją.

Błąd.

Zabiła kapłana na podłodze, dając pozostałym czas do namysłu. Najbliższy kapłan zbliżył się i uderzył ją elektrycznym kastetem. Upadła wprost na zniszczone ciało sędziego. Pozostali dopadli ją, kopiąc obitymi stalą butami spod habitów w kolorze wyschniętej krwi. Ktoś przy dalszych stołach zaczął wiwatować.

Sięgnąłem, ostro szarpnąłem brodę jednego z kapłanów i rozciąłem gardło pod nią aż do kręgosłupa. Odrzuciłem ciało w bok. Zamachnąłem się nisko przez habit i poczułem, jak ostrze wbija się w ciało. Przekręciłem je i wysunąłem. Poczułem ciepłą krew na dłoni; to nóż Tebbita, wysuwając się, prysnął kroplami. Sięgnąłem znów, jak we śnie. Sięgnąć i chwycić, przytrzymać i dźgnąć, odrzucić z drogi. Inni zaczęli się odwracać, ale nie byli wojownikami. Rozciąłem czyjś policzek do kości, rozplątałem nadlatującą dłoń od środkowego palca do nadgarstka i odpędziłem ich od kobiety na podłodze, cały czas szczerząc zęby w uśmiechu, jak demon z raf.

Sara.

Podsunał się opięty habitem kałdun. Zrobiłem krok w jego kierunku, a nóż Tebbita wyskoczył w przód, rozcinając go. Spojrzałem w oczy zarzynamemu człowiekowi. Dostrzegłem pobrużdżoną brodatą twarz. Czuję jego oddech. Przez kilka minut nasze twarze oddzielało zaledwie parę centymetrów, zanim w jego oczach rozbłysło zrozumienie tego, co robię. Kiwnąłem głową na potwierdzenie i poczułem, jak w kącikach ust rodzi mi się uśmiech. Z wrzaskiem zatoczył się tył, podtrzymując wylewające się wnętrzności.

Sar...

- To on!

Kolejny głos. Przetarłem oczy i zobaczyłem kapłana ze zranioną ręką - trzymał ranę niczym jakiś nieokreślony dowód wiary. Jego nadgarstek purpurowiał, naczynia najbliższej cięcia już zaczęły pękać.

To on! Emisariusz! Wiarołomca!

Z cichym hukiem wybuchł za mną granat halucynogeny.

* * *

Większość kultur reaguje niezbyt życzliwie, gdy zarzyna się ich kapłanów. Nie potrafiłem stwierdzić, po czyjej stronie opowiedzą się członkowie załóg kutrów, którzy tłoczyli się w barze - Świat Harlana nigdy nie popierał fanatyzmu religijnego, ale sporo się zmieniło podczas mojej nieobecności, w większości na gorsze. Cytadela wznosząca się nad ulicami Tekitomury była jedną z kilku, które zaatakowałem w ciągu ostatnich dwóch lat, a wszędzie, gdzie dotarłem na północ od Millsport, biedni, spracowani ludzie zasilali szeregi wiernych.

Lepiej się zabezpieczyć.

Wybuch granatu odrzucił stół jak duch w paskudnym nastroju, ale wśród furii i rozlewu krwi panujących w barze praktycznie nikt nie zwrócił na to uwagi. Upłynęło pół tuzina sekund, zanim molekularny szrapnel dostał się do płuc, rozłożył i zaczął działać.

Wokół mnie rozległy się wrzaski zagłuszające agonię kapłanów. Pełne zmieszania krzyki, przerywane szaleńczym śmiechem. Działanie granatu H wywołuje indywidualne doświadczenia. Widziałem mężczyzn, którzy uskakiwali i walczyli z wymagowanymi przeciwnikami. Inni, dygocząc, wpatrywali się we własne dłonie czy kąty sali. Mój oddech automatycznie zablokował się w chwili wybuchu - pozostałość dziesiątków lat spędzonych w takim czy innym obozie wojskowym. Odwróciłem się do kobiety przy barze. Właśnie się podnosiła, twarz miała posiniaczoną.

Zaryzykowałem wdech, by krzyknąć w ogólnym zgiełku.

- Zdołasz utrzymać się na nogach?

Kiwnęła głową, zaciskając zęby. Wskazałem na drzwi.

- Idziemy. Spróbuj nie oddychać.

Chwiejnie minęliśmy pozostałych kapłanów komanda Nowego Objawienia. Ci, którzy nie zaczęli jeszcze krwawić z ust i oczu, byli zbyt zajęci halucynacjami, by stanowić jakieś zagrożenie. Potykali się i ślizgali we własnej krwi, wymachując i bijąc w powietrzu w wymyślonych przeciwników. Byłem prawie pewien, że załatwiłem wszystkich, ale na wypadek, gdybym pomylił się obliczeniach, zatrzymałem się przy jednym z kapłanów, na którego ciele nie widać było ran. Inkwizytor. Nachyliłem się nad nim.

- Światło - wybełkotał pełnym przejęcia głosem. Uniósł rękę w moją stronę. - Światło w niebiosach, zstąpił ku nam anioł. Któż odmówi *narodzin*, kiedy nadejdą, kiedy oni czekają.

Nie mógł znać jej imienia. To nie miało sensu.

- Anioł.

Zważyłem w dłoni nóż.

- Spójrz jeszcze raz, inkwizytorze - powiedziałem głosem stłumionym brakiem powietrza.

- An... - A potem zrozumienie przebiło się przez halucynogeny. Jego głos zmienił się we wrzask. Zaczął się cofać, wbijając szeroko otwarte oczy w ostrze. - Nie! Widzę starego, odrodzonego. Widzę *niszczyciela*.

- Wreszcie to do ciebie dotarło.

Biotoksynę umieszcza się w zboczku klingi, pół centymetra od brzegu ostrza. Przypadkowa ranka prawdopodobnie nie byłaby dość głęboka, by ją aktywować.

Ciąłem kapłana przez twarz.

Dostatecznie głęboko.

* * *

Na zewnątrz z nocnego nieba sfrunęła chmara drobnych, półprzejrzystych ciem z deseniem w kształcie czaszek na tułowiu. Owady zaczęły krążyć wokół mojej głowy. Przegnałem je i odetchnąłem głęboko kilka razy. Wypompować z siebie to świństwo. Tylko spokojnie.

Nabrzeże za stacją pomp było opuszczone. Nigdzie nie dostrzegłem Pleksa. Ani śladu żywej duszy. Pustka zdawała się nabrzmiwać, dygocąc koszmarnym potencjałem. Niemal czekałem, by spod budynku wysunęła się para olbrzymich gadzich szponów i odrzuciła go w bok.

Opanuj się, Tak. Jeśli w tym stanie to sobie wymyślisz, pewnie tak właśnie się zdarzy.

Chodnik...

Ruszaj się. Oddychaj. Zabieraj się stąd.

Z zasnutego chmurami nieba zaczął padać drobny deszcz, przesłaniając blask lamp rtęciowych jak delikatna interferencja. Znad płaskiego dachu stacji splukującej zaczęły ku mnie sunąć ukwiecone światłami rusztowania myjni. Stłumione okrzyki wymieniane między nabrzeżem a statkiem i syk/stuk autocum wystrzeliwanych i blokujących się w zaczepach. Wokół panował niezwykły spokój, wyjątkowo przyjemne wspomnienie dzieciństwa w Newpest. Furia wreszcie ze mnie wyparowała. Poczulem, że na usta wypelza mi smutny uśmiech.

Opanuj się, Tak. To tylko chemikalia.

Dalej na nabrzeżu, pod znieruchomiałym automatycznym dźwigiem światło zabłysło na jej włosach, gdy się obróciła. Jeszcze raz obejrzałem się przez ramię, sprawdzając, czy nas nie ścigają, ale wejście do baru zostało zamknięte. Przez dolne zakresy taniego syntetycznego słuchu przedzierały się stłumione dźwięki. Mógł to być śmiech, płacz, cokolwiek. Na dłuższą metę granaty halucynogenne są nieszkodliwe, ale w trakcie ich działania człowiek przestaje się interesować jakimkolwiek działaniem i w ogóle nie myśli racjonalnie. Wątpiłem, by przez najbliższe pół godziny ktokolwiek tam zdołał znaleźć drzwi, nie wspominając już o ich otwarciu.

Kuter uderzył w nabrzeże przyciągnięty linami autocum. Na brzeg zeskoczyły przekomarżające się postacie. Niezauważony dotarłem do cienia dźwigu. Jej twarz unosiła się w mroku jak duch. Błada, drapieżna uroda. Jej włosy trzaskały prawie widoczną energią.

- Nieźle sobie radzisz z nożem. Wzruszyłem ramionami.

- Mam wprawę.

Obejrzała mnie od stóp do głów.

- Syntetyczna powłoka, biokodowana stal. Likwidator?

- Nie. Nic w tym stylu.

- Cóż, jesteś pewien... - Jej badawcze spojrzenie znieruchomioło, utkwione w części płaszcza zakrywającej ranę. - Cholera, dorwali cię. Potrząsnąłem głową.

- Nie ta impreza. Dostałem wcześniej.

- Tak? Moim zdaniem przydałby ci się lekarz. Mam paru przyjaciół, którzy...

- Nie warto. Wsiadam za parę godzin.

Zmarszczyła brwi.

- Zmiana powłoki? Dobra, masz lepszych przyjaciół niż ja. Co trochę utrudnia mi spłatę *giri*.

- Podaruj sobie. Na koszt firmy.

- Na koszt *firmy!* - Wywróciła oczami w sposób, który bardzo mi się spodobał. - A ty co, żyjesz w jakiejś sensorii z udziałem Micky'ego Nozawy? Robot zabójca z ludzkim sercem?

- Tego chyba nie widziałem.

- Nie? Tym filmem wrócił do branży jakieś dziesięć lat temu.

- Ominęło mnie. Nie było mnie tutaj.

Ruch gdzieś na nabrzeżu. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, jak otwierają się drzwi do baru. Dostrzegłem postacie w grubej odzieży oświetlone blaskiem ze środka. Nowi klienci z kutra, którzy przypadkiem wpadli na imprezę z granatem. Na zewnątrz wydostały się krzyki i wysoki skowyt. Kobieta obok mnie nagle zeszywniała i przekrzywiła głowę pod kątem, który w jakiś nieokreślony sposób wyglądał równocześnie zwierzęco i zmysłowo.

- Zaraz tu ściagną policję - powiedziała, rozluźniając się równie szybko, jak przed chwilą się spięła. Zdawała się tonąć w półmroku. - Spadam stąd. Słuchaj... hmm... dzięki. Dziękuję. Przepraszam, jeśli zepsułam ci wieczór.

- I tak niespecjalnie się układał.

Zrobiła jeszcze kilka kroków, potem stanęła. Miałem wrażenie, że pośród niewyraźnego zawodzenia dochodzącego od strony baru i hałasów stacji splukującej słyszę, jak za tkaniną nocy włącza się cichy pisk ładunku i narasta niczym karnawałowe potwory ustawiające się za kurtyną na scenie. Światła i cienie słupków rzucały na jej twarz chybotliwy wzór. Jedno oko błyszczało srebrem.

- Znalazłeś jakiś lokal na wieczór, Micky-san? Powiedziałeś, że zostało ci jeszcze kilka godzin. Co zamierzasz robić do tego czasu?

Rozłożyłem ręce. Zdałem sobie sprawę, że w dłoni nadal trzymam nóż, więc go schowałem.

- Nie mam żadnych planów.

- Żadnych planów, co? - Od morza nie wiała bryza, ale wydawało mi się, że jej włosy zadrżały.

Kiwnęła głową. - I pewnie żadnego lokalu, co?

Znów wzruszyłem ramionami, walcząc z przytłaczającym brakiem realizmu wywołanym przez resztki oparów z granatu hału, może też przez coś jeszcze.

- Mniej więcej tak to wygląda.

- Czyli... Planujesz bawić się w chowanego z policją i Brodaczami przez resztę nocy, próbując dotrzeć do rana. Tak?

- Powinnaś pisać scenariusze do sensorii. W twoich ustach brzmi to niemal zabawnie.

- Jasne. Pieprzony romantyk. Słuchaj, jeśli szukasz mety do czasu, aż twoi ustawieni kumple się po ciebie zgłoszą, mogę ci ją zapewnić. Skoro chcesz się bawić w Micky'ego Nozawę na ulicach Tekitomury, cóż... - Znow przechyliła głowę. - Podłączę się pod nagranie, kiedy je wypuszczą.

Uśmiechnąłem się.

- Daleko to? Wskazała oczami w lewo.

- Tędy.

Od strony baru dobiegały oszalałe wrzaski, nad którymi dominowały okrzyki o morderstwie i świętej karze.

Przemknęliśmy wśród cieni obok dźwigu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kompcho było oświetlone, rampa za rampą z wiecznobetonu pełne rozświetlonej rtęciowym blaskiem aktywności wokół osiadłych i zakotwiczonych kształtów poduszkowców transportowych. Pojazdy rozłożyły się na opadłych fartuchach jak wyciągnięte na brzeg mamucie płaszczki. Otwarte włazy towarowe błyszcząły krawędziami, a pomalowane iluminiową farbą pojazdy kręciły się w różne strony po rampach, oferując podajniki pełne sprzętu. W powietrzu unosił się nieustanny hałas dźwięków maszyn i ludzkich okrzyków, tłumiąc poszczególne głosy. Wyglądało to tak, jakby ktoś wziął błyszczące rusztowania stacji splukującej, która znajdowała się cztery kilometry stąd na wschód, i poddał je procesowi przyspieszonego wzrostu. Kompcho światłem i dźwiękiem wchłaniało noc w całej okolicy.

Przecisnęliśmy się przez płataninę maszyn i ludzi, idąc keją za rampami transportowców. Na skraju odzyskanego nabrzeża blade neony oświetlały stosy sprzętu wystawionego przez różne hurtownie, oddzielane nieco bardziej intymnymi światłami barów, burdeli i klinik implantów. Wszystkie drzwi były otwarte, często na całą szerokość frontu. W wejściach tłoczyły się grupy klientów. Maszyna przede mną wykręciła w ciasnym łuku, cofając się z ładunkiem inteligentnych bomb typu Piłsudski, wrzeszcząc mechaniczne: *Uwaga, uwaga, uwaga*. Ktoś przeszedł obok mnie, uśmiechając się twarzą w połowie z metalu.

Kobieta zabrała mnie do jednego z salonów z implantami. Przeszliśmy obok ośmiu foteli, na których siedzieli z zaciśniętymi zębami muskularni mężczyźni i kobiety, w długim lustrze na ścianie i zestawie monitorów w górze przyglądając się operacjom umieszczania implantów. Pewnie nie czuli bólu, ale też nie sprawiało im przyjemności patrzeć, jak rozcinają im ciało, rozpychając je, by zrobić miejsce na wewnętrzną zabawkę, którą wedle sponsorów noszą w tym sezonie *wszystkie* ekipy lików.

Zatrzymała się przy jednym z foteli i spojrzała w lustro na odbicie łysogłowego olbrzyma, który ledwie mieścił się w fotelu. Robiono coś z kośćmi w jego prawym ramieniu - na zakrwawionym ręczniku z przodu zwisał odsłonięty płat tkanki szyi i ramienia. W ranie poruszały się niespokojnie czarne jak węgiel ścięgna karku.

- Hej, Orr.

- Hej, Sylvie! - Olbrzym nie dał sobie zablokować zębów, a oczy miał tylko lekko przymglone endorfinami. Uniósł ospale zdrową rękę i na powitanie stuknął pięścią w pięść kobiety. - Co u ciebie?

- Wyszłam się zabawić. Jesteś pewien, że to się do rana zagoi?

Orr dźgnął kciukiem w tył.

- Inaczej przed wyjściem zrobię to samo temu skalpelowi. I to bez prochów.

Przeprowadzający operację facet uśmiechnął się lekko i wrócił do tego, czym się zajmował. Słyszał to już nie raz. Spojrzenie olbrzyma w lustrze przeniosło się na mnie. Jeśli nawet zauważył krew, wcale się tym nie przejął. Z drugiej strony, sam też nie był zbyt czysty.

- Kim jest syntetyk?

- To mój przyjaciel - odpowiedziała Sylvie. - Opowiem ci na górze.

- Przyjdę za dziesięć minut. - Zerknął na lekarza. - Prawda?

- Pół godziny - odpowiedział tamten, nie przerywając pracy. - Ten klej tkankowy potrzebuje czasu, żeby się zawiązać.

- Cholera. - Olbrzym zerknął w stronę sufitu. - Gdzie się podział Urushiflash? To się wiązało w parę sekund.

Operator nie przerwał pracy. Rurkowata igła zaczęła cichutko coś zasysać.

- Sam prosiłeś o standardową taryfę. Za tę cenę nie dostaniesz wojskowej biochemii.

- Do jasnej cholery, to ile mnie będzie kosztować taryfa luks?

- Około pięćdziesiąt procent więcej.

Sylvie się roześmiała.

- Zapomnij, Orr. Prawie z tobą skończył. Nawet nie zdążysz się nacieszyć endorfinami.

- Pieprzę to, Sylvie. Zanudziłem się na śmierć. - Olbrzym potarł kciuk i wyciągnął go w stronę operatora. - Odcisnij mnie.

Mężczyzna podniósł wzrok, wzruszył lekko ramionami i odłożył narzędzia na tacę.

- Ana - zawołał. - Przynieś Urushiflash.

Kiedy pomocnica zajęła się wyciąganiem z szafki nowych biochemikaliów, lekarz wygrzebał spośród gratów na półce pod lustrem czytnik DNA i przejechał końcówką po kciuku Orra. Osłonięty ekran urządzenia uaktywnił się i coś wyświetlił. Mężczyzna zerknął pytająco na Orra.

- Ta transakcja zostawi cię na czerwonym - powiedział cicho.

Orr rzucił mu wściekłe spojrzenie.

- A co to ma do rzeczy. Jutro wypływam, mam dość kasy, i wiesz o tym.

Lekarz się zawahał.

- Właśnie *dlatego*, że wypływasz jutro - zaczął - ja...

- Och, do jasnej cholery. Przeczytaj dane sponsora, dobrze? Fujiwara Havel. Zabezpieczenie Nowego Hokkaido dla nowego stulecia. Nie jesteśmy cholerną bandą starterów. Jeśli nie wrócę, rachunek pokryje wypłata *enka*. Dobrze o tym wiesz.

- To nie...

Odsłonięte ścięgna w karku Orra napięły się i uniosły.

- A ty, do *cholery*, co, mój *księgowy*? - Dźwignął się na fotelu i wbił wzrok w twarz chirurga. - Po prostu *to prześlij*, dobra? I daj mi też trochę tych wojskowych endorfin, skoro już przy tym jesteśmy. Łyknę je później.

Zostaliśmy dostatecznie długo, by zobaczyć, że chirurg ustępuje, a potem Sylvie pchnęła mnie lekko w stronę zaplecza.

- Będziemy na piętrze - powiedziała.

- Jasne. - Olbrzym się uśmiechał. - Spotkamy się za dziesięć minut.

Na piętrze znajdował się ciąg spartańsko urządzonej pokoi, rozmieszczonych wokół połączonego z kuchnią salonu, którego okna wychodziły na nabrzeże. Miały dobre wyciszenie. Sylvie zrzuciła kurtkę i powiesiła ją na oparciu fotela. Spojrzała na mnie, ruszając w stronę kuchni.

- Rozgość się. Gdybyś chciał się umyć, łazienka jest tam.

Zrozumiałem aluzję. Spłukałem większość krwi z dłoni i twarzy

w małej niszy z lusterkiem i umywalką, po czym wróciłem do głównego pomieszczenia. Sylvie stała przy blacie kuchennym i przetrząsała szafki.

- Naprawdę pracujecie dla Havla Fujiwary?

- Nie. - Znalazła butelkę i otworzyła ją, po czym wzięła dwie szklanki. - Jesteśmy pieprzoną bandą na starcie. Orr dostał po prostu od infoszczura kody autoryzacyjne HF. Drinka?

- Co to?

Spojrzała na butelkę.

- Nie wiem. Whisky.

Wyciągnąłem rękę po jedną ze szklanek.

- Zdobycie takich kodów pewnie sporo kosztuje.

Potrząsnęła głową.

- Uboczne korzyści bycia likiem. Wszyscy jesteśmy okablowani do przestępstw lepiej niż cholerni Emisariusze. Sprzętu do elektronicznej penetracji mam powyżej uszu. - Podała mi szklankę i naląła nam oboju. Szyjka butelki stuknęła o szklankę w ciszy pokoju. - Orr łązi po mieście od trzydziestu sześciu godzin, biorąc panienki i prochy na kredyt i obietnice wypłat *enka*. Robi tak za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżamy. Pewnie uważa to za formę sztuki. Zdrówko.

- Zdrówko. - To była bardzo kiepska whisky. - Hmm... Długo z nim jesteś?

Rzuciła mi dziwne spojrzenie.

- Dostatecznie długo. Czemu pytasz?

- Przepraszam, siła przyzwyczajenia. Kiedyś płacili mi za zbieranie informacji. - Znow podniosłem szklankę. - A więc, za bezpieczny powrót.

- Podobno to przynosi pecha. - Nie odpowiedziała takim samym gestem. - Naprawdę długo cię nie było, co?

- Trochę.

- Opowiesz mi o tym?

- Jeśli usiądziemy.

Meble były tanie, więc nie dopasowywały się do kształtu ciała. Ostrożnie opuściłem się na fotel. Rana w boku zdawała się goić, jeśli to w ogóle możliwe w syntetycznej powłoce.

- No dobrze. - Usiadła naprzeciw mnie i odgarnęła włosy z twarzy. Kilka grubszych pasm napięło się i zastukało z oburzeniem. - Jak długo cię nie było?

- Mniej więcej trzydzieści lat.

- Zanim pojawili się Brodacze, co?

Nagła gorycz.

- Tak, zanim zjawili się ekstremiści. Ale widziałem już to samo w wielu innych miejscach. Sharya. Latimer. Część Adoracion.

- Och. Ależ *nazwy*.

Wzruszyłem ramionami.

- Tam bywałem.

Za Sylvie otworzyły się drzwi do jednego z pomieszczeń i do pokoju weszła, ziewając, szczupła kobieta o zawadiackim wyglądzie, ubrana w częściowo rozpięty czarny kombinezon z polistopu. Na mój widok przechyliła głowę na bok. Podeszła i oparła się o fotel Sylvie, przyglądając mi się z ciekawością, ale niezbyt przyjaźnie. W króciutkich włosach miała wygolone litery kanji.

- Masz towarzystwo?

- Miło widzieć, że sprawiłaś sobie wreszcie nowe wizjery.

- *Zamknij się*. - Nowo przybyła przesunęła lekko po włosach współlokatorki dłonią o jaskrawo pomalowanych paznokciach i uśmiechnęła się, gdy pukle zastukotały i odsunęły się przed dotykiem.

- Kto to? Trochę już późno na portowe romanse, nie sądzisz?

- To Micky. Micky, poznaj Jadwigę. - Drobną kobietą skrzywiła się, słysząc to pełne imię, i ułożyła usta w pojedynczą sylabę *Jad*. - I Jad... Nie pieprzmy się. On tu tylko przekima.

Jadwiga skinęła głową i odwróciła się, natychmiast tracąc zainteresowanie mną. Napis w kanji na tyle jej głowy brzmiał *Tylko nie spudłuj w cholere*.

- Zostało nam trochę dreszczy?

- Razem z Lasem wciągnęliście chyba wczoraj wszystko.

- *Wszystko*?

- Jez, Jad. To nie była moja impreza. Zajrzyj do skrzynki na oknie.

Jadwiga podeszła tanecznym krokiem do okna i odwróciła do góry nogami wspomnianą skrzynkę. Na jej dłoń wypadła mała fiołka. Podniosła ją do światła i potrząsnęła, mieszając bladoczerwony płyn w środku.

- Cóż - powiedziała z namysłem. - Wystarczy na parę mrugnięć. Normalnie zaoferowałabym wam działkę, ale...

- Ale zamiast tego weźmiesz wszystko dla siebie - wpadła jej w słowo Sylvie. - Stary numer z gościnnością Newpest. Za każdym razem kończy się tak samo.

- I kto to mówi, suko - odpowiedziała bez przejęcia Jadwiga. - Jak często, poza misjami, zgadzasz się podpiąć nas do tej swojej grzywy?

- To nie to sa...

- Nie, *to jest gorsze*. Wiesz, jak na dzieciaka wyrzeczników dość mocno skąpisz nam swoich możliwości. Kiyoka mówi... - Kiyokanie...

- Hej, drogie panie. - Gestem poprosiłem o uwagę, ucinając zbliżającą się konfrontację, gdy dostrzegłem, że Jadwiga zmierza w stronę Sylvie. - Wszystko w porządku. Nie jestem zainteresowany prochami.

Jad się rozpromieniła.

- Widzisz - powiedziała do Sylvie.

- Choć byłbym wdzięczny, gdyby udało mi się wyżebrać trochę endorfin Orra, kiedy już tu przyjdzie.

Sylvie kiwnęła głową, nie odwracając wzroku od koleżanki. Wciąż była wyraźnie urażona; albo uznała, że Jadwiga naruszyła zasady gościnności, albo obraziła się na to, że wypomniano jej pochodzenie. Nie umiałem zdecydować, co ugodziło ją bardziej.

- Orr ma endorfiny? - zapytała głośno Jadwiga.

- Tak - odpowiedziała Sylvie. - Jest na dole. Tną go.

- Cholerny modniś - prychnęła Jad. - Nigdy się niczego nie nauczy. - Wsunęła dłoń do rozpiętego kombinezonu i wyciągnęła stamtąd rozpylacz do oka. Jej palce, wyraźnie zaprogramowane doświadczeniem, sprawnie nakręciły urządzenie na koniec fiołki. Jad odchyliła głowę i z tą samą automatyczną sprawnością rozchyliła powieki i spryskała oko narkotykiem. Jej napięte ciało się rozluźniło, a charakterystyczny dla narkotyku dreszcz przebiegł przez nią od ramion do stóp.

Dreszcz to dość nieszkodliwy towar - składa się mniej więcej w sześciu dziesiątych z analogu betatanatyny zmieszanego z ekstraktami *take*, co sprawia, że wszystkie codzienne obiekty stają się niesamowicie fascynujące, a zwykłe teksty - niezmiernie śmieszne. Niezła zabawa, jeśli wezmą to wszyscy w pokoju. Irytujące, jeśli ktoś odmówi. Przeważnie trochę spowalnia człowieka, czego zapewne chciała Jad, podobnie jak większość lików.

- Jesteś z Newpest? - zapytałem ją.

- Yhm.

- Jak tam teraz jest?

- Och. Pięknie. - Kiepsko kontrolowany uśmieszek. - Najwspanialsze bagienne miasto na południowej półkuli. Zdecydowanie warto je odwiedzić.

Sylvie wyprostowała się na fotelu.

- Stamtąd pochodzisz, Micky?

- Tak. Wyjechałem dawno temu.

Drzwi do mieszkania zabręczały, a potem się odchyliły. Stał w nich Orr, wciąż nagi do pasa, z prawym ramieniem i karkiem obficie umazanym pomarańczowym klejem tkankowym. Uśmiechnął

się na widok Jadwigi.

- A więc wstałaś, co? - Wszedł w głąb pokoju i rzucił garść ubrań na fotel obok Sylvie, która skrzywiła nos.

Jad potrząsnęła głową i pomachała w stronę olbrzyma pustą fiolką.

- Leżę. Zdecydowanie leżę. Totalnie wypłaszczona.

- Ktoś ci już mówił, że masz problem z prochami, Jad?

Drobna kobieta parsknęła ledwie tłumionym chichotem. Uśmiech na twarzy Orra się poszerzył. Zamarkował dreszcz i wykrzywił twarz w uśmiechu kretyna. Jadwiga wybuchnęła śmiechem. Bardzo zaraźliwym. Zobaczyłem uśmiech na twarzy Sylvie i stwierdziłem, że sam chichoczę.

- To gdzie jest Kiyoka? - zapytał Orr.

Jad kiwnęła głową w stronę pokoju, z którego wyszła. - Śpi.

- A Lazlo wciąż poluje na tę cycatą laskę od broni, tak? Sylvie podniosła głowę.

- Którą? Orr zamrugął.

- No wiesz. Tamsin, Tamita, jakoś tak. Ta z baru na Muko. - Przybrał nadąsaną minkę i ścisnął dłońmi mięśnie piersiowe, a potem skrzywił się i rozluźnił uchwyt, gdy nacisk dotarł do świeżo operowanego miejsca. - Skumali się tuż przed tym, jak się urwałaś. Chryste, przecież *byłaś* tam, Sylvie. Nie sądziłem, że ktokolwiek zdołałby zapomnieć taki zestaw.

- Nie jest wyposażona do rejestrowania tego rodzaju sprzętu - zasugerowała z uśmiechem Jadwiga. - Brak zainteresowania. *Za to ja...*

- Ktoś z was słyszał może o cytadeli? - zapytałem od niechcienia.

Orr prychnął.

- Tak, na dole widziałem wiadomości. Mówili, że jakiś psychol wyrzwał połowę Brodaczy w Tekitomurze. Podobno brakuje stosów. Facet najwyraźniej wyciął je z kręgosłupów, jakby robił to całe życie.

Zauważyłem, jak spojrzenie Sylvie wędruje do kieszeni mojego płaszcza, a potem do moich oczu.

- Dość brutalne - zauważyła Jad.

- Tak, ale też bezsensowne. - Orr podniósł stojącą na kuchennym blacie butelkę. - Ci faceci i tak nie mogą się ponownie upowłokować. To dla nich dogmat.

- Pieprzone świry. - Jadwiga wzruszyła ramionami i straciła zainteresowanie sprawą. - Sylvie mówi, że zdobyłeś na dole trochę endorfin.

- Tak, prawda. - Olbrzym z przesadną troską nalał sobie szklaneczkę whisky. - Dzięki.

- Aaach, *Orr*. No *wiesz*.

* * *

Później, gdy przygasły światła, a atmosfera w mieszkaniu opadła prawie do śpiączki, Sylvie zepchnęła z drogi do fotela bezwładne ciało Jadwigi i nachyliła się nad miejscem, gdzie siedziałem zadowolony, że już mnie bok nie boli. Orr dawno wyniósł się do innego pokoju.

- Ty to zrobiłeś? - zapytała cicho. - To w cytadeli?

Kiwnąłem głową.

- Miałeś jakiś szczególny powód?

- Tak.

Pełna oczekiwania cisza.

- A więc - powiedziała w końcu Sylvie. - Nie uratowałeś mnie w stylu Micky'ego Nozawy, jak z początku wyglądało, co? Już byłeś nakręcony.

Uśmiechnąłem się, lekko nawalony endorfinami.

- Nazwij to szczęśliwym trafem.

- Dobra. Micky Szczęściarz brzmi nieźle. - Zmarszczyła czoło, zaglądając do swojej szklanki, która podobnie jak butelka od dłuższego czasu była już pusta. - Muszę powiedzieć, Micky, że cię lubię. Nie bardzo wiem, czemu. Ale... lubię cię.

- Ja ciebie też.

Pomachała mi przed nosem palcem w geście zaprzeczenia.

- Ale to nie oznacza seksu, wiesz?

- Wiem. Widziałas rozmiar dziury w moich żebrach? - Niepewnie potrząsnąłem głową. - Pewnie tak. Masz wizyjny chip spektrochemiczny, prawda?

Kiwnęła głową na potwierdzenie.

- Naprawdę pochodzisz z rodziny wyrzeczników? Skrzywiła się.

- Tak. Ale słowem kluczowym jest „z”.

- Nie są z ciebie dumni? - Wskazałem na jej włosy. - Wydawałoby się, że można to uznać za solidny krok na drodze do Wczytania. Logicznie...

- Tak, logicznie. Mówimy tu o religii. Kiedy przychodzi co do czego, wyrzecznicy nie mają więcej rozsądku od Brodaczy.

- Czyli likowie nie są w łaskach?

- W tej sprawie - powiedziała ironicznie - opinie są podzielone. Twardogłowym się to nie podoba, bo nie podoba im się nic, co wiąże układy konstruktów z istotami fizycznymi. Ci, którzy krzewią wiarę, chcą z kolei być mili dla wszystkich. Mówią, że każdy interfejs do wirtualizacji jest, jak mówisz, krokiem na drodze do Wczytania. I tak nie spodziewają się, by Wczytanie nastąpiło za ich życia, a my jesteśmy tylko elementem w procesie.

- Do których należą twoi staruszkowie?

Sylvie poprawiła się w fotelu, zmarszczyła czoło i znów odepchnęła Jadwigę, robiąc sobie więcej miejsca.

- Kiedyś należeli do skrzydła umiarkowanych i mnie wychowali w tym duchu. Ale przez ostatnie parę dekad, od kiedy pojawili się Brodacze i ruch antystosowy, wielu umiarkowanych zmienia się w twardogłowych aspirów. Moja matka chyba tak właśnie zrobiła, to ona zawsze wierzyła najgłębiej. - Wzruszyła ramionami. - Właściwie nie wiem. Od lat nie byłam w domu.

- Tak po prostu, co?

- Właśnie, tak po prostu. Nie ma sensu. Cały czas próbują mnie wydać za jakiegoś odpowiedniego faceta. - Parsknęła śmiechem. - Jakby to było możliwe, kiedy noszę to coś.

Dźwignąłem się nieco z miejsca, ocieęzały od prochów.

- Jakie coś?

- *To*. - Chwyciła garść włosów. - To cholerstwo.

Zatrzeszczały cicho w jej dłoni i spróbowały się wyrwać, jak tysiące maleńkich węży. W migocącej czerni i srebrem masie delikatniej poruszały się grubsze przewody, jak mięśnie pod skórą.

Dowódczy datatech lików.

Widziałem już takich parę - prototypowy wariant na Latimerze, gdzie na dopalaczu pracowało serce nowego przemysłu interfejsów maszynowych do marsjańskich urządzeń. Parę innych, używanych w układzie Hun Home do wykrywania min. Wojskowi nie potrzebują dużo czasu, by zeszmacić najnowsze osiągnięcia techniki i sprowadzić je do roli narzędzi wojny. Ma to sens. Najczęściej i tak to oni płacą za badania i rozwój technologii.

- Nie uważam tego za nieatrakcyjne - powiedziałem ostrożnie.

- Och, *jasne*. - Pogrzebała wśród pukli i wyłowiła główny kabel, który zwił osobno od reszty, jak trzymany w dłoni hebanowy wąż. – To jest atrakcyjne, tak? Bo, co tu dużo mówić, *każdy* ciepłokrwisty samiec nie może się wręcz doczekać, żeby zobaczyć, jak coś dwa razy dłuższego od fiuta płacze się w łóżku na wysokości jego głowy, nie? Pieprzone współzawodnictwo i pełzająca homofobia, dwa w jednym.

- Cóż, kobiety... - Machnąłem ręką.

- Jasne. Niestety, wolę mężczyzn.

- Och.

- Tak. - Puściła kabel i potrząsnęła głową, przywracając grzywie pierwotny stan. - Och...

Kilka stuleci temu trudniej było ich rozpoznać. Wojskowi oficerowie systemowi przechodzili wprawdzie intensywne szkolenia dotyczące stosowania zestawów interfejsu sprzętowego wbudowanego w ich głowy, ale sam sprzęt pozostawał ukryty. Profesjonaliści od interfejsów maszynowych nigdy nie wyróżniali się spośród innych ludzkich powłok - wydawali się może trochę bledsi po zbyt długiej pracy, ale to samo dotyczyło i zwykłych infoszczurów. Mówią, że można nauczyć się na tym jechać.

Wszystko zmieniły odkrycia archeologiczne wokół systemu Latimera. Po raz pierwszy od prawie sześciuset lat grzebania po galaktycznym podwórku Marsjan, Gildia trafiła wreszcie na skarb. Znaleźli statki. Setki, możliwe że nawet tysiące statków, tkwiących na zapomnianych orbitach parkingowych wokół małej gwiazdy nazwanej Sanction. Dowody sugerowały, że stanowiły one pozostałość po olbrzymiej bitwie kosmicznej i przynajmniej część z nich umożliwiała lot z prędkością nadświetlną. Inne dowody, szczególnie odparowanie całego habitatu badawczego Gildii z siedmusetosobową załogą, sugerowały, że układy decyzyjne statków były autonomiczne i aktywne.

Aż do tamtej chwili jedynymi rzeczywiście autonomicznymi maszynami pozostawionymi nam przez Marsjan byli orbitalni strażnicy Świata Harlana, a nikt nie potrafił się do nich zbliżyć. Inne konstrukcje były zautomatyzowane, ale nie można ich było nazwać inteligentnymi. Nagle jednak specjalistów od archeologii poproszono, by wpięli się do układów sztucznej inteligencji sterujących statkami, które mogły mieć nawet pół miliona lat.

Zdecydowanie należało pomyśleć o nowym sprzęcie.

A teraz ten sprzęt siedział naprzeciw mnie, dzielił ze mną haj endorfinowy i wpatrywał się w pustą szklanę.

- Czemu się zgłosiłaś? - zapytałem, przerywając ciszę.

Wzruszyła ramionami.

- A czemu inni się do tego zgłosili? Dla pieniędzy. Myślisz, że po kilku wypadach spłacisz hipotekę na powłokę, a potem będziesz tylko zbierać kredyty.

- A tak nie jest? Cierpki uśmiech.

- Niby tak. Ale wiesz, wiąże się z tym pewien styl życia. I jeszcze koszty obsługi, rozbudowy, napraw. Zdumiewające, jak szybko rozplywa się forsa. Zebrać, wydać do zera. I od nowa. Jakoś trudno jest zgarnąć dość, by się wydostać.

- Inicjatywa nie może trwać wiecznie.

- Nie? Wiesz, tam pozostało do czyszczenia sporo kontynentu. W niektórych miejscach ledwie weszliśmy na sto kilometrów od Dravy. A nawet tam ciągle trzeba sprzątać, żeby powstrzymać powrót wimów. Mówi się o minimum dekadzie, zanim można będzie zacząć zasiedlanie. Ale powiem ci, Micky, że moim zdaniem, to cholerny optymizm, zagranie pod publiczność.

- Daj spokój. Nowe Hok nie jest takie duże.

- Cóż, od razu widać, że jesteś pieprzonym zaświatowcem. - Wystawiła język w minie, która

bardziej przypominała wyzwanie Maorysów niż dziecinny grymas. - Może wedle twoich standardów nie jest duże. Tam, gdzie byłeś, na pewno mieli kontynenty na pięćdziesiąt tysięcy klików. Tutaj wygląda to nieco inaczej.

Uśmiechnąłem się.

- *Jestem* stąd, Sylvie.

- Ach, tak, z Newpest. Tak twierdzisz. Więc nie mów mi, że Nowe Hokkaido to mały kontynent.

Poza Kossuthem jest największym, jaki mamy.

Prawdę mówiąc, archipelag Millsport miał większą powierzchnię lądu niż Kossuth i Nowe Hokkaido, ale podobnie jak w przypadku większości dostępnego na Świecie Harlana lądu sporej części nie dało się wykorzystać z powodu stromych gór.

Można by pomyśleć, że na planecie w dziewięćdziesięciu pięciu procentach pokrytej wodą w układzie słonecznym bez drugiej nadającej się do zamieszkania biosfery ludzie będą ostrożnie traktować ziemię. Można by założyć, że nie będą prowadzili głupich wojen na dużych obszarach przydatnych terenów i nie zastosują broni, która na stulecia uniemożliwi korzystanie z ziemi w rejonie działań wojennych.

Można by pomyśleć, prawda?

- Idę spać - wymamrotała Sylvie. - Jutro pracowity dzień. Zerknąłem na okno. Na zewnątrz świt zaczynał przebijać się przez blask lamp rtęciowych, przesączaając je bladą szarością.

- Już jest jutro, Sylvie.

- Jasne. - Wstała i przeciągnęła się, aż zatrzeszczało. Jadwiga na fotelu wymamrotała coś i przesunęła się na miejsce zwolnione przez Sylvie. - Transportowiec nie wyruszy przed lunchem, a mamy sporo ciężkiego sprzętu. Słuchaj, jeśli chcesz się przespać, wykorzystaj pokój Lasa. Nie zanosz się na to, że wróci. Na lewo od łazienki.

- Dzięki.

Posłała mi blady uśmiech.

- Hej, Micky. Choć tyle mogę zrobić. Dobranoc.

- 'branoc.

Odprowadziłem ją wzrokiem do pokoju, zerknąłem na zegar w oku i uznałem, że nie warto spać. Jeszcze godzina, i będę mógł wrócić do magazynu Pleksa. Nie będę już przeszkadzał w tańcu, którym zajmowali się jego kumple z yakuzy. Popatrzyłem z namysłem na kuchnię i pomyślałem o kawie.

To była moja ostatnia świadoma myśl.

Pieprzone syntetyczne powłoki.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Obudziło mnie walenie w drzwi. Ktoś zbyt naszprycowany prochami, by pamiętać, jak obsługiwać zamek, cofnął się w rozwoju do techniki neandertalczyków. *Bum, bum, bum*. Zamrugalem lepkimi od snu powiekami i z wysiłkiem dźwignąłem się z fotela. Jadwiga nadal leżała rozciągnięta naprzeciwko, sądząc po wyglądzie, jeszcze w śpiączce. Z kącika jej ust wypływała wąska strużka śliny, tworząc wilgotną plamę na wytartym pokryciu fotela z pięknorostów. Przez okna do pokoju wpadało jasne światło słońca, rozlewając się w kuchni w płynny blask. Przynajmniej późny ranek.

Cholera.

Bum, bum.

Wstałem, czując w boku falę ostrego bólu. Endorfiny Orra wyczerpały się pewnie w trakcie snu.

Bum, bum, bum.

- Co tam, do cholery? - wrzasnął ktoś z innego pokoju.

Pod wpływem głosu Jadwiga zaczęła wykazywać objawy życia. Otworzyła jedno oko, zobaczyła, że nad nią stoję, i natychmiast się zerwała, przyjmując postawę, która miała przypominać pozycję bojową. Po chwili jednak odprężyła się trochę, przypominając sobie wydarzenia nocy.

- Drzwi - powiedziałem, czując się głupio.

- Dobra, dobra - mruknęła. - Słyszę. Jeśli ten pieprzony Lazlo znów zapomniał kodu, dostanie kopa w jaja.

Walenie w drzwi ustało, prawdopodobnie z powodu dobiegających z wnętrza ludzkich głosów. Teraz znów się zaczęło. Poczulem szarpiący ból w boku głowy.

- Czy *ktoś* otworzy wreszcie te *cholerne* drzwi! - Kobięcy głos, ale jeszcze mi nieznanym. Zapewne obudzona wreszcie Kiyoka.

- *Idę* - wrzasnęła Jadwiga, przechodząc niepewnie przez pokój. Jej głos przycichł do mamrotania. - Czy ktoś zszedł już na dół i rozmawiał z recepcją? Nie, oczywiście, że nie. Tak, tak. *Idę*.

Wcisnęła panel i drzwi złożyły się, znikając w ścianie.

- Masz jakieś problemy? - zapytała jadownicie kogoś, kto stał na zewnątrz. - Słyszeliśmy już pierwsze dziewięćdziesiąt sie... Hej!!!

Doszło do krótkiej przepychanki, a potem Jadwiga wleciała z powrotem do pokoju, walcząc o utrzymanie się na nogach. Tuż za nią do pomieszczenia wszedł mężczyzna, który zadał cios. Zlustrował pokój wprawnym rzutem oka, zarejestrował moją obecność ledwie zauważalnym skinieniem głowy i wystawił palec, grożąc Jad. Jego twarz składała się niemal w całości z wyszczerzonych w uśmiechu, modnie zaostrzonych zębów, pary centymetrowej szerokości, przydymionych żółtych okularów wizyjnych i tatuaży na kościach policzkowych.

Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by domyślić się, co teraz nastąpi.

Przez drzwi przeszedł Yukio Hirayasu. Tuż za nim wszedł drugi goryl, identyczny jak pierwszy, ale bez uśmiechu na twarzy.

- Kovacs. - Yukio właśnie mnie zauważył. Jego twarz zmieniła się w maskę kiepsko kontrolowanej złości. - Co ty tu, *do jasnej cholery*, robisz?

- Myślałem, że to mój tekst.

Kątem oka dostrzegłem skrzywienie twarzy Jadwigi, które wyglądało na odbicie jakiegoś wewnętrznego przeobrażenia.

- *Powiedziano ci przecież* - warknął Yukio - żebyś trzymał się z dala do czasu, aż będziemy gotowi. Miałeś nie pakować się w kłopoty. Czy to tak cholernie trudne?

- To są ci twoi potężni przyjaciele, Micky? - Głos Sylvie dobiegł od drzwi po lewej. Stała owinięta szlafrokiem i z zaciekawieniem przyglądała się nowo przybyłym. Zmysł zbliżeniowy powiedział mi, że gdzieś za mną pojawił się jeszcze Orr i nieznana mi osoba. Dostrzegłem, jak ten ruch odbija się w soczewkach wizyjnych sklonowanych goryli Yukio, zauważyłem go w drobnym spięciu ich twarzy.

Kiwnąłem głową.

- Można tak powiedzieć.

Yukio przeniósł wzrok na Sylvie i zmarszczył czoło. Może wytrącił go z równowagi fakt, że padło imię Micky'ego, a może po prostu zmartwiła go przewaga liczebna przeciwnika.

- Wiesz, kim jestem - zaczął. - Więc nie komplikujmy spraw bardziej...

- Nie mam pojęcia, kim, do cholery, jesteś - wtrąciła się bezbarwnym głosem Sylvie. - Ale wiem, że wszedłeś tutaj bez zaproszenia. I myślę, że powinieneś wyjść.

Na twarzy Yukio odbiło się niedowierzanie.

- Tak, wynoś się stąd w *diabły*. - Jadwiga uniosła ręce w geście, który oscylował pomiędzy postawą bojową, a obscenicznym machnięciem lekceważenia.

- Jad... - zacząłem, ale sytuacja już wymknęła się spod kontroli. Jad wykręciła się w przód, zaciskając zęby. Najwyraźniej zamierzała odpłacić gorylowi za uderzenie przy drzwiach. Mięśniak sięgnął ku niej z uśmiechem. Jad *bardzo* szybko uskoczyła i powaliła go rzutem judo. Ktoś za mną wrzasnął. A potem niewzruszony Yukio wyciągnął mały czarny blaster cząsteczkowy i strzelił z niego do Jad.

Padła, oświetlona przez chwilę bladym błyskiem strzału. Przez pokój przetoczyła się fala smrodu palonego mięsa. Wszystko znieruchomiało.

Musiałem bezwiednie ruszyć do przodu, bo drugi z goryli zablokował mnie z wyrazem szoku na twarzy, trzymając w dłoniach parę pociskowców typu Szeged. Zamarłem i uniosłem przed sobą puste ręce. Drugi ze zbirów próbował wstać z podłogi, ale potknął się na szczątkach Jad.

- Dobrze. - Yukio przesunął wzrokiem po pokoju, kierując blaster w stronę Sylvie. - To wystarczy. Nie wiem, co się tu, do cholery, dzieje, ale...

Sylvie wypluła pojedyncze słowo.

- Orr.

W ciasnym pomieszczeniu znów eksplodował grzmot. Tym razem błysk był oślepiający. Przez ułamek sekundy widziałem przelatujące obok mnie strumienie białego ognia, zatapiające się w Yukio, mięśniaku przede mną i facecie gramolącym się z podłogi. Goryl rozrzucił ramiona, jakby witając strzał, który rozwalił go od piersi w dół. Szeroko otworzył usta, a jego okulary zabłyśły odbitym światłem.

Ogień wysechł, zostawiając w moich oczach zapadające się powidoki o odcieniu fioletu. Zamrugalem, usiłując wylapać szczegóły.

Goryl został rozerwany na dwie połówki, które leżały teraz na podłodze, wciąż trzymając w dłoniach szegedy. Potężny ładunek wtopił mu ręce w broń.

Goryl, który potknął się na Jad, nie zdołał się podnieść. Znów leżał obok niej, rozerwany od piersi w górę.

Yukio miał w sobie dziurę na wylot, brakowało mu praktycznie wszystkich organów wewnętrznych. Z górnej części idealnie okrągłego otworu wystawały przypalone końce żeber. Głębiej widać było kafelki podłogi, jak w efektach specjalnych taniej sensorii. Pokój wypełnił smród przebitych jelit.

- Cóż. To chyba zadziałało.

Orr przeszedł obok mnie, przyglądając się swojemu dziełu. Wciąż był nagi do pasa i zauważyłem, gdzie wychynęły otwory wylotowe w pionowej linii z boku jego szyi. Wyglądały jak potężne skrzela, wciąż falując lekko na brzegach od odprowadzonego ciepła. Podeszedł prosto do Jadwigi i kucnął przy niej.

- Wąski strumień - zdiagnozował. - Wypalił jej serce i większość prawego płuca. Tutaj nic dla niej nie zrobimy.

- Niech ktoś zamknie drzwi - zasugerowała Sylvie.

* * *

Jak na naradę wojenną, dyskusja była dość zwięzła. Zespół lików miał za sobą kilka lat ścisłej współpracy bojowej ze wspomaganiem sprzętowym, więc jego członkowie komunikowali się błyskawicznymi skrótami, które miały więcej wspólnego z wewnętrznymi łączami i skompresowanym językiem gestów niż mową. Warunkowana intuicja Emisariuszy na pełnym dopalaniu umożliwiła mi wyłapanie dostatecznej ilości szczegółów, bym zorientował się w zarysach ich planu.

- Raport? - chciała wiedzieć Kiyoka, szczupła kobieta w hodowanej chyba na zamówienie powłoce Maori. Wciąż wpatrywała się w leżącą na podłodze Jadwigę i zagryzała wargi.

- Komu? - Orr wykonał w jej stronę szybki gest przesunięcia kciuka po małym palcu. Drugą dłonią wyrysował na twarzy tatuaż.

- Och. A on?

Sylvie skrzywiła się i wykonała jakiś gest. Dostrzegłem go i zinterpretowałem.

- Przyszli tu po mnie - podsunąłem.

- No jasne. - Orr patrzył na mnie w sposób świadczący o wrogości. Wyloty luf na jego szyi i piersiach już się zamknęły, ale kiedy patrzyłem na potężnie umięśnioną postać, bez trudu wyobrażałem sobie, jak otwierają się na kolejny strzał. - Masz bardzo miłych kumpli.

- Nie sądzę, by zaczęli strzelać, gdyby Jad nie zaatakowała goryla. To było nieporozumienie.

- Nieporo... *kurwa*. - Orr szerzej otworzył oczy. - Jad nie żyje, dupku.

- Nie jest naprawdę martwa - zauważyłem. - Można wyciąć stos i...

- Wyciąć? - Pytanie zabrzmiało zwodniczo łagodnie. Orr nachylił się bliżej. - Chcesz, żebym *rozciął* przyjaciółkę?

Odtwarzając z pamięci położenie otworów wylotowych wyładowań, domyśliłem się, że większość prawej strony jego ciała była sztuczna, zasilając pięć luf z ogniwa energetycznego ukrytego gdzieś w dolnej połowie klatki piersiowej. Dzięki ostatnim postępom w nanotechnologii i przy niewielkich odległościach duże porcje energii można było skierować praktycznie w dowolne miejsce. Nanoprzewodnik tunelował wyładowanie, sunąc nim jak surferzy na fali, zasysając energię i otwierając pole ochronne w stronę, w którą kierowały ją parametry strzału.

Zapisałem sobie w pamięci, że gdybym kiedyś miał uderzyć Orra, muszę zaatakować od lewej.

- Przykro mi. Nie widzę w tej chwili innego rozwiązania.

- Ty...

- Orr. - Sylvie wykonała dłonią gest, jakby chciała coś przeciąć. - Dość, to nie jest odpowiednie miejsce ani *czas*. - Potrząsnęła głową. Kolejny znak, kciuk i palec wskazujący rozerwane palcami drugiej dłoni. Wyraz jej twarzy świadczył, że równocześnie emituje dane przez sieć zespołu. - Skład, to samo. Trzy dni. Lalka. Wypalić i wyczyścić.

Kiyoka kiwnęła głową.

- Sens, Orr. Las? Och.

- Tak, możemy to zrobić. - Orr nie był do końca podpięty. Wciąż się wściekał i mówił powoli. - Tak, dobra. Niech będzie.

- Sprzęt? - Znów Kiyoka, odliczając na palcach i przechylając głowę. - Spalić?

- Nie, mamy czas. - Sylvie machnęła otwartą dłonią. - Orr i Micky. Spoko. Ty na pusto. To, to, może to. Zero.

- Dobra. - Kiyoka sprawdziła wyświetlacz siatkówkowy, kierując wzrok w lewo i w górę, i przejrzała dane przesłane przez Sylvie. - Las?

- Jeszcze nie. Oznaczę ci. *Leć*.

Kobieta w powłoce Maori zniknęła w swoim pokoju i po chwili wyłoniła się z niego z powrotem, wciągając na siebie obszerną szarą kurtkę. Wyszła głównymi drzwiami. Rzuciła jeszcze spojrzenie na ciało Jadwigi, a potem znikła.

- Orr. Nóż. - Kciuk na mnie. - *Guevara*.

Olbrzym rzucił mi ostatnie palące spojrzenie i podszedł do torby w rogu pokoju, z której wyciągnął masywny wibronóż. Podszedł z nim do mnie i stanął obok w pozycji, która sprawiła, że się spiąłem. Od ataku powstrzymała mnie tylko myśl, że Orr nie potrzebował noża, by mnie zabić. Moja fizyczna reakcja musiała być dość oczywista, bo wywołała jego drwiące prychnięcie. Odwrócił nóż w dłoni i podał mi go rękojęścią do przodu. Wziąłem go.

- Ja mam to zrobić?

Sylvie podeszła do trupa Jadwigi i przyjrzała mu się uważnie.

- Chcę, żebyś wyciął stopy swoich przyjaciół. Myślę, że masz w tym wprawę. Jad nie ruszaj.

Zamrugalem. - Zostawiacie ją?

Orr znów parsknął. Kobieta spojrzała na niego i wykonała spiralny gest. Olbrzym westchnął i poszedł do swojego pokoju.

- Jad zostaw mnie. - Jej twarz zdradzała koncentrację. Najwyraźniej skupiała się na poziomach, których nie byłem w stanie odbierać. - Po prostu ich potnij. A skoro przy tym jesteśmy, może powiesz mi, kogo właściwie zabiliśmy?

- Jasne. - Podszedłem do trupa Yukio i dźwignąłem to, co zostało z jego kadłuba. - To Yukio Hirayasu, lokalny yak, ale najwyraźniej syn kogoś ważnego.

Wibronóż obudził się w mojej dłoni, przesyłając nieprzyjemne drgania aż do rany w boku. Zablockowałem dreszcz, przytrzymałem jedną ręką tył czaszki Yukio i zacząłem ciąć kręgosłup. Smród spalonego ciała i odchodów zdecydowanie mi nie pomagał.

- A ten drugi? - zapytała.

- Zbir bez znaczenia. Nigdy go nie widziałem.

- Warto go zabierać?

Wzruszyłem ramionami.

- To lepsze niż zostawić go tutaj. Najwyżej wyrzucimy go za burtę w połowie drogi do Nowego Hok. Ale na twoim miejscu tego zatrzymałbym dla okupu.

Kiwnęła głową.

- Niezła myśl.

Nóż przegryzł się przez ostatnie milimetry kręgosłupa i gwałtownie rozciął kark. Wyłączyłem go, zmieniłem chwyt i zacząłem nowe cięcie, kilka kręgów niżej.

- To gruba ryba yakuzy, Sylvie. - Poczulem chłód, przypominając sobie telefoniczną rozmowę z Tanasedą. *Sempai* dobił ze mną targu wyłącznie po to, by ocalić głowę Yukio. I dość jasno dał mi do zrozumienia, co się stanie, jeśli nie dotrzymam umowy. - Ma powiązania w Millsport, prowadzi interesy z Pierwszymi Rodzinami. Rzucana was wszystko, co mają. Nie potrafiłem odczytać wyrazu jej oczu.

- Na ciebie też będą polować.

- To moje zmartwienie.

- Miło z twojej strony. Jednakże... - urwała, gdy ze swojego pokoju wyłonił się w pełni ubrany Orr, z ukłonem kierując się w stronę wyjścia. - Myślę, że sobie poradzimy. Ki poszła wymazać elektroniczne ślady. Orr może w pół godziny wypalić każde pomieszczenie w tej budzie. Nie zostawimy im nic poza...

- Mówimy o yakuzie, Sylvie.

- Nic prócz naocznych świadków i peryferyjnych danych wideo, a zresztą za dwie godziny będziemy w drodze do Dravy. A tam nikt za nami nie pojedzie. - W jej głosie zabrzmiała nagle duma. - Ani yakuza, ani Pierwsze Rodziny, nawet nie cholerni Emisariusze. Nikt nie chce się pieprzyć z wimami.

Jak zwykle w przypadku brawury, i ta była nieuzasadniona. Mniej więcej pół roku wcześniej mój stary przyjaciel powiedział mi, że Emisariusze zgłosili się do przetargu na kontrakt Nowego Hokkaido - po prostu nie byli dość tani, by zaspokoić świeżo odkrytą wiarę rządu Mecseka w nieograniczone siły rynku. Pogardliwy uśmiezek na szczupłej twarzy Todora Murakamiego, gdy dzieliliśmy się fajką na promie z Akan do Nowej Kanagawy. Aromatyczny dym w zimowym powietrzu Reach i cichy grzmot burzy w tle. Murakami pozwolił odrosnąć przycinanym w Korpusie włosom, które poruszały się teraz na wietrze od morza. Nie powinien tam być i rozmawiać ze mną, ale trudno jest wymusić na Emisariuszach właściwe postępowanie. Znają swoją wartość.

Hej, pieprzyć Leo Mecseka. Powiedzieliśmy mu, ile by to kosztowało. Nie stać go, i czyj to problem? Mamy obniżać koszty i ryzykować życiem Emisariuszy, żeby mógł oddać Pierwszym Rodzinom trochę więcej z płaconych przez nich podatków? Pieprzyć to. Nie jesteśmy zafajdanymi tubylcami.

Jesteś stąd, Tod - poczułem się w obowiązku przypomnieć. - Urodzony i wychowany w Millsport.

Wiesz, o co mi chodzi.

Wiedziałem. Lokalne rządy nie będą wydawały poleceń Korpusowi Emisariuszy. Emisariusze idą tam, gdzie potrzebuje ich Protektorat, a większość lokalnych rządów modli się do wyznawanych u siebie bogów, by nigdy nie musieli sięgać po tę ewentualność. Następstwa interwencji Emisariuszy mogą być bardzo nieprzyjemne dla wszystkich zaangażowany eh stron.

Cały ten przetarg i tak był spieprzony. - Todor wydmuchał dym nad relingiem. - Nikogo na nas nie stać, nikt nam nie ufa. Nie widzę sensu, a ty?

Myślałem, że chodzi o redukcję kosztów pozaoperacyjnych, gdy siedzicie na tyłkach bez roboty.

Och, jasne. Czyli kiedy?

Naprawdę? Słyszałem, że w tej chwili jest spokojnie aż od Hun Home. Opowiesz mi jakieś bajeczki o tajnych operacjach?

Hej, koleś. - Podał mi fajkę. - Nie jesteś już w ekipie. Pamiętasz?

Pamiętałem.

Innenin!

Wybucha na skraju pamięci jak eksplodująca w oddali inteligentna bomba, ale nie dość daleko, by nie stanowić zagrożenia. Czerwone błyski laserowego ognia i ludzie ginący z wrzaskiem, gdy wirus Rawling wyjada im mózgi.

Zadrzałem i pociągnąłem z fajki. Todor podchwycił nastrój wyszkolonymi zmysłami Emisariusza i zmienił temat.

A więc co to za numer? Obiło mi się o uszy, że kręcisz się ostatnio z Radulem Segesvarem.

Nostalgia za domem i tania zorganizowana przestępczość...

Tak. - Spojrzałem na niego posępnie. - Gdzie to słyszałeś?

Wzruszył ramionami.

Od kogoś. Wiesz, jak to jest. Więc czemu znowu jedziesz na północ?

Wibronóż ponownie przebił się do mięśni i skóry. Wyłączyłem go i zacząłem wywazać z karku Yukio Hirayasu odcięty kawałek kręgosłupa.

Szlachcic yakuzy, martwy i bez stosu. Dzięki uprzejmości Takeshiego Kovacsza, bo tak właśnie zostanie to odebrane, niezależnie od moich intencji. Tanaseda zapagnie krwi. Hirayasu senior pewnie też. Możliwe, że uważał swojego syna za bezużytecznego śmiecia, którym ewidentnie był, ale jakoś w to wątpiłem. Zresztą, nawet gdyby, wszystkie zasady yakuzy Świata Harlana, z którą związał swoje życie, zmusiłyby go do odpowiedniej reakcji. Zorganizowana przestępczość ma swoje prawa. Mafia hajduków Radula Segesvara w Newpest czy yaki, północ czy południe, wszyscy są tacy sami. Pieprzone więzy krwi.

Wojna z yakużą.

Czemu znów jedziesz na północ?

Spojrzałem na wycięty kawałek kręgosłupa i krew na dłoniach. Nie o tym myślałem, wsiadając trzy dni temu do poduszki na Tekitomurę.

- Micky? - Przez chwilę nic to dla mnie nie znaczyło. - Hej, Mick, dobrze się czujesz?

Spojrzałem w górę. Sylvie przyglądała mi się z troską. Kiwnąłem głową.

- Tak. Nic mi nie jest.

- No dobrze, a nie mógłbyś się trochę pospieszyć? Zaraz wróci Orr i będzie chciał zacząć.

- Jasne. - Ruszyłem do drugiego trupa. Wibronóż znowu ożył. - Ale ciekaw jestem, co planujecie zrobić z Jadwigą.

- Zobaczysz.

- Imprezowa sztuczka, co?

Nie odpowiedziała, po prostu podeszła do okna i zapatrzyła się w światło i zgiełk nowego dnia. I nagle, gdy zacząłem drugie cięcie w kręgosłupie, odwróciła się w stronę pokoju.

- Może pojedziesz z nami, Micky?

Nóż ześliznął się z kręgu i zatopił w ciało po rękojęść. - Co?

- Jedź z nami.

- Do Dravy?

- Och, chcesz mi powiedzieć, że tu w Tekitomurze masz większe szanse na ucieczkę przez yakami?

Uwolniłem ostrze i dokończyłem cięcie.

- Potrzebuję nowego ciała, Sylvie. To nie nadaje się do kontaktów z wimami.

- A co by było, gdybym ci je dała?

- Sylvie... - Stęknąłem z wysiłku, wyciągając wyciętą kość. - Gdzie, do cholery, zorganizujesz mi ciało na Nowym Hokkaido? W tej chwili ledwie w ogóle można tam wyżyć. Gdzie znajdziesz odpowiednie urządzenia?

Zawahała się. Oderwałem się od swojego zajęcia. Intuicja Emisariusza zaczęła podsuwać mi podejrzenie, że chodzi w tym o coś więcej.

- Kiedy ostatnio byliśmy w terenie - powiedziała powoli - trafiliśmy wśród wzgórz na wschód od Sopron na rządowy bunkier dowodzenia. Zamki były zbyt zaawansowane, by złamać je w dostępnym czasie, a to teren wimów, ale weszłam dość głęboko, by wyciągnąć spis zawartości. Jest tam pełna placówka medyczna, z kompletną jednostką do upowłokowiania i kriogenicznymi bankami

klonów. Około dwóch tuzinów powłok, i to bojowych, sądząc po sygnaturach.

- Cóż, to miałyby sens. Tam zabieracie Jadwigę?

Kiwnęła głową.

Spojrzałem w zadumie na trzymany w dłoni kawałek kręgosłupa i poszarpaną ranę, z której go wydobyłem. Pomyślałem, co zrobi ze mną yakuza, jeśli jej łapsy znajdą mnie w tej powłoce.

- Na jak długo tam jedziecie?

Wzruszyła ramionami.

- Ile będzie trzeba. Mamy zapasy na trzy miesiące, ale ostatnim razem zaliczyliśmy limity w połowę tego czasu. Gdybyś chciał, mógłbyś wrócić wcześniej. Transportowce wypływają z Dravy na okrągło.

- A jesteś pewna, że sprzęt w bunkrze nadal działa?

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Co?

- To Nowe Hokkaido, Micky. Tam *wszystko* działa. Na tym polega problem z tym cholernym miejscem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Poduszkowiec transportowy *Broń dla Guevary* wyglądał dokładnie tak, jak sugerowała nazwa - drapieżny pojazd z niskim profilem i solidnym pancernem, z lufami broni sterzącymi z kadłuba niczym grzbietowe kolce. W przeciwieństwie do komercyjnych transportowców kursujących po szlakach między Millsport i archipelagiem Saffron, nie miał zewnętrznych pokładów ani wieżyczek. Mostek umieszczony był w wystającym pęcherzu w przedniej części matowoszarego kadłuba, a boki przechodziły w rufę w długich, gładkich łukach. Otwarte z przodu dwa włazy towarowe przypominały wyglądem wyrzutnie pocisków.

- Jesteś pewna, że to się uda? - zapytał Sylvie, gdy doszliśmy do początku rampy załadunkowej.

- Wyluzuj - burknął za mną Orr. - To nie liniowiec Saffron.

Miał rację. Jak na operację, która wedle słów rządu, prowadzona była z zachowaniem ścisłych procedur bezpieczeństwa, okrętowanie lików przeprowadzono maksymalnie niedbale. Obok każdego z włazów stał marynarz w brudnym niebieskim mundurze, odbierając *drukowane* przepustki i przesuując je przed skanerem, który nadawałby się do jakiejś sensorii z czasów Osiedlenia. Przez rampę ciągnął się powykręcany wąż kolejki lików stojących po kolana w bagażu. W zimnym, rześkim powietrzu przekazywano sobie butelki i fajki. Wśród zebranych panował nastrój wesołości, co chwila walczono ze sobą na niby i powtarzano żarty dotyczące antycznego czytnika.

- I gdzie, do cholery, jest Las? - spytała Kiyoka.

Sylvie wzruszyła ramionami.

- Przyjdzie. Zawsze przychodzi.

Stanęliśmy na końcu bliższej kolejki. Mała grupka lików przed nami obrzuciła nas spojrzeniami, przyjrzała się włosom Sylvie, po czym wróciła do swoich żartów. Wśród tych ludzi raczej się nie wyróżniała. Wysoka, czarnoskóra powłoka kilka grup dalej miała podobnych rozmiarów grzywę splecioną w warkoczyki, a tu i tam byli też inni, mniej rzucający się w oczy.

Jadwiga, milcząc, stała obok mnie.

- To zachowanie Lasa trąci patologią - odezwała się do mnie Kiyoka, patrząc wszędzie, tylko nie na Jad. - Zawsze cholernie się spóźnia.

- Ma to w sprzęcie - rzuciła luźno Sylvie. - Nie zostaje się wybitnym elastykiem bez tego rodzaju skłonności.

- Hej, ja jestem elastykiem i przyszedłam na czas.

- Nie prowadzisz - zauważył Orr.

- No jasne. Słuchajcie, wszyscy jesteśmy... - zerknęła na Jadwigę i zagryzła wargi. - Prowadzący to tylko pozycja w ekipie. Las ma taki sam sprzęt, jak ja czy...

Patrząc na Jad, nikt by się nie domyślił, że jest martwa. Oczyszcziliśmy ją w apartamencie - broń energetyczna kauteryzuje rany, zazwyczaj nie ma po niej wiele krwi - ubraliśmy ją w ciasną kamizelkę bojową z demobilu i kurtkę, które zakrywały ranę, a otwarte, zszokowane oczy zasłoniliśmy ciemnymi okularami przeciwsłonecznymi. Potem Sylvie wpięła się przez sieć zespołową i uruchomiła systemy motoryczne. Pewnie wymagało to odrobiny skupienia, ale i tak była to pestka w porównaniu z koncentracją, jakiej musiała potrzebować, kierując zespołem w trakcie walki z wimami na Nowym Hokkaido. Kazała Jad maszerować przy swoim lewym boku, a reszta z nas utworzyła wokół nich barierę z ciał. Proste polecenia do mięśni twarzy zamknęły jej usta, zaś co do szarej skóry - cóż, w ciemnych okularach i z przewieszonym przez ramię szarym workiem marynarskim Jad nie prezentowała się gorzej niż po obudzeniu ze sporej dawki prochów. Nie sądzę,

by pozostali wyglądali kwitnąco.

- Przepustki proszę.

Sylvie wyciągnęła arkusze wydruku, a marynarz zajął się przesuwaniem ich po jednej przez skaner. Musiała równocześnie przesłać komendę do mięśni karku Jadwigi, bo martwa kobieta trochę sztywno przekręciła głowę, jakby oglądając opancerzony bok poduszkowca. Niezły detal, bardzo naturalny.

- Sylvie Oshima. Pięć osób ekipy - powiedział marynarz, podnosząc głowę od liczenia. - Sprzęt już zmagazynowany.

- Zgadza się.

- Przydział kabin. - Marynarz zmrużył oczy, czytając z ekranu. - Ustalono. PI9 do 22, dolny pokład.

Z tyłu, u góry rampy doszło do jakiegoś zamieszania. Oprócz Jadwigi wszyscy się obejrzelśmy. Zauważyłem ochrowe habity i brody, gniewną gestykulację. Dotarły do mnie podniesione głosy.

- Co się tam dzieje? - zapytała luźno Sylvie.

- Och... Brodacze. - Marynarz złożył z powrotem przeskanowane dokumenty. - Cały ranek kręcą się po dokach. Najwyraźniej mieli wczoraj starcie z paroma likami w jakiejś knajpie na wschodzie. Wiecie, jak traktują takie rzeczy.

- Tak. Pieprzeni kretyni. - Sylvie odebrała papiery i schowała do kurtki. - Mają jakiś rysopis czy nada się dowolnych dwóch lików?

Marynarz prychnął.

- Mówią, że nie dostali filmu. Knajpa zużywała całą moc na holoporno. Ale mają opisy świadków. Szukają kobiety i mężczyzny. Ach, i kobieta miała długie włosy.

- Chryste, to mogłabym być *ja* - roześmiała się Sylvie.

Orr rzucił jej dziwne spojrzenie. Hałas za nami przybrał na sile. Marynarz wzruszył ramionami.

- Tak, to mógł być każdy z kilku tuzinów dowódców, których przepuściłem dziś rano na pokład. Ja wolałbym się dowiedzieć, co banda kapłanów robiła w knajpie z holoporno.

- Walili konia? - zasugerował Orr.

- Religia - rzuciła Sylvie z gardłowym dźwiękiem, który zabrzmiał, jakby miała wymiotować. Stojąca przy mnie Jadwiga zachwiała się niepewnie i wykręciła głowę szybciej, niż zazwyczaj robią to ludzie.

- Czy ktoś pomyślał, że... - stęknęła nagle z głębi trzewi.

Rzuciłem spojrzenie na Orra i Kiyokę i zauważyłem, jak się spinają.

Marynarz popatrzył z ciekawością. Jeszcze się nie przejmował.

- ...że każdy ludzki sakrament to tani wykręt, że...

Kolejny gardłowy dźwięk. Jakby słowa wrywano z jakiegoś gęsto upakowanego błota. Jadwiga zachwiała się mocniej. Wyraz twarzy marynarza zaczął się zmieniać, zdradzając niepokój. Nawet likowie w kolejce za nami zwrócili na nas uwagę, odrywając oczy od przepychanki na szczycie rampy. Wszyscy skoncentrowali się na bladej kobiecie i wrywających się z niej słowach.

- ...że cała historia ludzkości może być jakąś *pieprzoną wymówką*, która ma usprawiedliwić niezdolność dostarczenia *kobiecie przyzwoitego orgazmu*?

Mocno nadepnałem jej na stopę.

- Owszem.

Marynarz roześmiał się nerwowo. W kanonie kulturalnym Świata Harlana quellistowskie sentymenty, nawet te wczesne, poetyckie, wciąż oznaczone były etykietką *ostrożnie*. Za duże ryzyko, że entuzjazm dla nich przeniesie się na późniejsze teorie polityczne i, oczywiście, praktykę. Jeśli

tylko ma się ochotę, można nazywać poduszkowce bohaterów rewolucji pod warunkiem, że dość odległych w czasie, by nikt nie pamiętał, za co walczyli.

- Ja... - powiedziała zmieszana Sylvie.

Orr ruszył jej na pomoc.

- Później się o to pokłócimy, Sylvie. Lepiej najpierw się zaokrętuujemy. Patrz. - Szturchnął ją. - Jad *umiera ze zmęczenia*, a ja też nie czuję się najlepiej. Możemy...

Załapała. Wyprostowała się i kiwnęła głową.

- Dobra, później - rzuciła. Trup Jadwigi przestał się chwiać, a nawet realistycznie uniósł rękę do skroni.

- Za dużo prochów - rzuciłem do marynarza i mrugnąłem porozumiewawczo. Uspokoił się i wyszczerzył zęby.

- Znam ten ból.

Śmiech ze szczytu rampy. Usłyszałem okrzyk *obrzydlistwo*, a potem odgłos wyładowania elektrycznego. Pewnie kastet.

- Chyba ugryźli więcej, niż są w stanie przełknąć - zauważył marynarz, patrząc w tamtą stronę. - Powinni się lepiej przygotować, idąc z taką gębą na brzeg pełen lików. Dobra, załatwione. Możecie wchodzić.

Przeszliśmy przez właz i ruszyliśmy przez dźwięczące metalicznym echem korytarze w poszukiwaniu kabin. Obok mnie mechanicznie maszerowała Jad. Reszta grupy zachowywała się tak, jakby nic się nie stało.

* * *

- A więc co to, do cholery, było?

W końcu zadałem to pytanie jakieś pół godziny później. Ekipa Sylvie zebrała się w jej kabinie. Wszyscy wyglądali na skrępowanych. Orr musiał się pochylać pod wzmocnionymi belkami sufitu. Kiyoka wychylała się przez maleńki bulaj i wpatrywała w wodę poniżej, jakby działało się tam coś niezwykle interesującego. Jadwiga leżała twarzą w dół na koi. Wciąż żadnego śladu Lazła.

- To było zakłócenie - odpowiedziała Sylvie.

- Zakłócenie. - Kiwnąłem głową. - Często ci się zdarzają takie zakłócenia?

- Nie. Nie często.

- Ale już się zdarzały.

Orr przeszedł pod belką i stanął nade mną.

- Daj temu spokój, Micky. Nikt cię tu nie ciągnął na siłę. Nie podoba ci się, możesz wypieprzać, wiesz.

- Chciałbym się tylko dowiedzieć, co mamy robić, jeśli Sylvie wypadnie z obwodu i zacznie rzucać cytatami z Quell w środku walki z winiarni, to wszystko.

- Wimy zostaw nam - bezbarwnie odezwała się Kiyoka.

- Tak, Micky. - Orr zaśmiał się szyderczo. - Tym zarabiamy na życie. Po prostu usiądź i ciesz się podróżą.

- Chcę tylko...

- Stul pysk, bo...

- Słuchajcie. - Sylvie powiedziała to bardzo cicho, ale Orr i Kiyoka natychmiast odwrócili się w jej stronę. - Idźcie sobie i zostawcie mnie z Mickim, dobrze? Wyjaśnimy to sobie.

- Ej, Sylvie, on tylko...

- Ma prawo wiedzieć, Orr. To jak, dacie nam trochę spokoju?

Przyglądała się, jak wychodzą, poczekała, aż zamkną drzwi do kabiny, a potem podeszła do

swojego miejsca.

- Dzięki - rzuciłem.

- Patrz. - Chwilę zabrało mi zrozumienie, na co mam patrzeć. Sięgnęła do włosów i wyłuskała centralny kabel. - Wiesz, jak to działa. Mam tu większą moc obliczeniową niż w większości miejskich baz danych. Muszę.

Puściła kabel i potrząsnęła głową, zakrywając go włosami. Na jej ustach pojawił się uśmiezek.

- Tam, w terenie, mogą na nas rzucić atak wirusowy dostatecznie szybko, by rozpaćkać ludzki umysł jak owocową papkę. Albo trafimy na interaktywne kody wimów próbujące się powielić, maszynowe systemy penetrujące, osobowości maszynowe, śmieci transmisyjne, wszystko. Muszę to wszystko odizolować i zamknąć, przesortować i użyć, nie pozwalając, by cokolwiek przeciekło do sieci. To właśnie robię. Wciąż i wciąż na nowo. I niezależnie od tego, jaki super program sprzątający się kupi, część łajna zostaje. Trudne do usunięcia resztki kodu... ślady... - Zadygotała lekko. - Duchy różnych rzeczy. Pod przegrodami trzymam wszystko, o czym nawet nie chcę myśleć.

- Wygląda na to, że pora na nowy sprzęt.

- Tak - uśmiechnęła się kwaśno. - Tyle że chwilowo nie mam drobnych. Wiesz, o czym mówię?

Wiedziałem.

- Najnowsza technika. Sukinsyny, co?

- Właśnie. Najnowsza technika, cholernie nieprzyzwoite ceny. Biorą subsydia Gildii i fundusze z projektów obronnych Protektoratu, a potem zwalają koszt laboratoriów badawczo-rozwojowych z Sanction na ludzi takich jak ja.

Wzruszyłem ramionami.

- Cena postępu.

- Tak, widziałam reklamę. Dupki. Słuchaj, przydarzyła mi się po prostu drobna awaria, nic poważnego. Może ma to związek z podpięciem się do Jad. Zazwyczaj nie robię takich rzeczy, żeby nie marnować mocy. Pewnie to jej zdalne sterowanie wyciągnęło na wierzch te śmieci.

- Pamiętasz, co mówiłaś?

- Nie bardzo. - Potarła policzek i przycisnęła czubki palców do zamkniętego oka. - Coś o religii? O Brodaczach?

- Mniej więcej. Od tego zaczęłaś, ale potem przeszłaś do parafrazowania wczesnej Quellcristy Falconer. Nie jesteś quellistką, co?

- Cholera, nie.

- Tak myślałem.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę. Pod naszymi stopami zaczęły cicho dudnić silniki *Broni dla Guevary*. Zaraz wyruszymy do Dravy.

- Może wyłapałam to z drony propagandowej. Na wschodzie sporo ich lata. Nie są warte nagrody za likwidację, więc zazwyczaj sieje zostawia, o ile nie zakłócają sieci łączności.

- Czy któraś z nich mogła być quellistowska?

- Och tak. Przynajmniej cztery czy pięć frakcji, które rozpieprzyły Nowe Hokkaido, to quelliści. Cholera, słyszałam, że ona sama walczyła tam na początku Niepokojów.

- Tak mówią.

Zabrzęczały drzwi. Sylvie skinęła na mnie głową, więc poszedłem otworzyć. W słabo oświetlonym korytarzu stał niski, żyłasty mężczyzna z długimi czarnymi włosami zebranymi w koński ogon. Dyszał ciężko.

- Lazlo - domyśliłem się.

- Tak. A ty, do cholery, to kto?

- Długa historia. Chcesz rozmawiać z Sylvie?

- Byłoby miło. - Ironia była aż nazbyt wyraźna. Odsunąłem się i wpuściłem go do środka. Sylvie rzuciła mu zmęczone spojrzenie.

- Przelazłem przez wyrzutnię tratw ratunkowych - wyjaśnił Lazlo. - Kilka wyładowań przy obchodzeniu zabezpieczeń i siedem metrów wspinaczki gładką stalową rurą. Pestka.

Sylvie westchnęła.

- To nie jest śmieszne, Las. Któregoś dnia spóźnisz się na tę pieprzoną łódź. Kogo wtedy weźmiemy na prowadzącego?

- Cóż, wygląda na to, że już przygotowałaś zastępstwo. - Rzucił kosę spojrzenie w moją stronę.

- Kto to właściwie jest?

- Micky, Lazlo. - Przedstawiła nas sobie niedbale. - Lazlo, poznaj Micky'ego Szczęściarza. To nasz tymczasowy towarzysz podróży.

- Wprowadziłaś go na pokład na moje papiery? Sylvie wzruszyła ramionami.

- Nigdy z nich nie korzystasz.

Lazlo zauważył leżącą na łóżku Jadwigę i jego kościstą twarz rozpromienił uśmiech. Przeszedł przez kabinę i klepnął dziewczynę w pośladek. Skrzywił się, kiedy nie zareagowała. Zamknąłem drzwi.

- Jezu, co ona wzięła zeszłej nocy?

- Ona nie żyje, Las.

- *Nie żyje?*

- Chwilowo. - Sylvie zerknęła na mnie. - Wczoraj ominęło cię sporo zabawy.

Lazlo podążył wzrokiem za spojrzeniem Sylvie.

- I ma to jakiś związek z wysokim i ciemnym syntetykiem, tak?

- Tak - powiedziałem. - Jak mówiłem, do długa historia.

Lazlo podszedł do niszy z umywalką i nalał trochę wody w złożone dłonie. Schował w nich twarz i prychnął. Potem wtarł pozostałą wodę we włosy, wyprostował się i spojrzał na mnie w lustrze. Odwrócił się do Sylvie.

- Dobra, skiper. Słucham.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Podróż do Dravy trwała dzień i noc.

Od mniej więcej połowy drogi przez Morze Andrassy'ego *Broń dla Guevary* płynął przyczajony, z maksymalnie rozciągniętą siecią czujników i systemami uzbrojenia w gotowości. Oficjalnie rząd Mecseka twierdził, że wimy zostały zaprojektowane do walki lądowej i nie miały możliwości wydostania się z Nowego Hokkaido. Z drugiej strony, ekipy lików mówiły o spotkaniach z maszynami, które nie pasowały do żadnych opisów w archiwum Wojskowej Inteligencji Maszynowej, co sugerowało, że przynajmniej niektóre z rodzajów broni krążących po kontynencie znalazły sposób na wyewoluowanie poza swoje pierwotne parametry programowe. Plotki mówiły o eksperymentalnej nanotechnologii, która wymknęła się spod kontroli. Wedle oficjalnego stanowiska rządu systemy nano były w tamtych czasach zbyt prymitywne i słabo opanowane, by w okresie Niepokojów zastosować je w charakterze broni, a plotki określono mianem antyrządowego panikarstwa. Oficjalne stanowisko wyśmiewano wszędzie, gdzie można było spotkać inteligentne życie. Bez zdjęć satelitarnych i zwiadu powietrznego i tak nie sposób było dociec prawdy. Rządziły plotki i dezinformacja.

Witajcie na Świecie Harlana.

- Nie do wiary - wymamrotał Lazlo, gdy sunęliśmy ostatnie kilka kilometrów w górę rzeki przez opuszczone doki Dravy. - Cztery stulecia na tej choliernej planecie i wciąż nie możemy się wzbić w powietrze.

Jakimś cudem wprosił się do jednej z otwartych galerii obserwacyjnych, które poduszkowiec wysunął z opancerzonego grzbietu po tym, jak wkroczyliśmy w zasięg parasola skanerów bazy w Dravie. Co więcej, udało mu się przekonać nas, żebyśmy mu towarzyszyli, i teraz razem dygotaliśmy w zimnym, wilgotnym powietrzu wczesnego poranka, patrząc na przesuwające się po bokach ciche nabrzeża Dravy. Niebo nad nami rozciągało się w jednolity, szary całun.

Orr podniósł kołnierz kurtki.

- Daj znać, Las, jak tylko znajdziesz sposób na likwidację satelity.

- Tak, ja też się piszę - stwierdziła Kiyoka. - Pokonaj satelitę, a przez resztę życia Mitzi Harlan co rano będzie cię budzić lodzikiem.

Typowe rozmowy między drużynami lików, odpowiednik historii o pięćdziesięciometrowym butlogrzbicie opowiadanych w barach Millsport przez szyprów łodzi rybackich. Niezależnie od tego, jak wielki łup sprowadziło się z Nowego Hok, zawsze mieścił się on w ludzkiej skali. Niezależnie od tego, jak wrogie były wimy, stworzyliśmy je sami i miały ledwie trzy stulecia. Nie dało się tego porównać z wartością sprzętu pozostawionego przez Marsjan na orbicie wokół Świata Harlana jakieś pięćset tysięcy lat temu. Sprzętu, który z powodów znanych tylko sobie zestrzeliwał z nieba praktycznie wszystko promieniem anielskiego ognia.

Lazlo chuchnął w dłonie.

- Gdyby chcieli, już dawno mogliby je ściągnąć.

- O rety, znów się zaczyna. - Kiyoka wywróciła oczami.

- O satelitach mówi się mnóstwo bzdur - rzucił Lazlo usprawiedliwiającym tonem. - Na przykład, że niby zniszczą wszystko, co większe i szybsze od helikoptera, ale jakoś czterysta lat temu udało nam się wylądować barkami kolonizacyjnymi. Albo...

Orr prychnął. Zauważyłem, że Sylvie zamyka oczy.

- ...że rząd ma te wielkie superodrzutowce na biegunie i nic *ich* nie rusza, kiedy latają. Albo że satelity niszczą coś na powierzchni, tylko nikt nie lubi o tym mówić. *Takie rzeczy zdarzają się cały*

czas, stary. Założę się, że nie słyszałeś o ślizgaczu, który znaleźli wczoraj na Sanshin Point...

- Ja o niej słyszałam - zirytowanym głosem odezwała się Sylvie. - Wczoraj rano, kiedy staliśmy w kolejce, czekając na ciebie. Zgodnie z raportem nadziała się prosto na skały przyładka. Szukasz spisku tam, gdzie widać tylko niekompetencję.

- Jasne, że tak powiedzieli, szefie. A co mieli wymyślić?

- Och, do jasnej cholery.

- Las, synu. - Orr opuścił ciężkie ramię na kark elastyka. - Gdyby to był anielski ogień, nic by po nich nie zostało. Wiesz o tym. I cholernie dobrze wiesz o pieprzonej dziurze w pokryciu przy równiku, dostatecznie dużej, żeby przepchnąć przez nią całą flotę barek kolonijnych, jeśli tylko dobrze to wyliczyć. Czemu nie dasz sobie spokoju z tymi konspirami i nie obejrzyysz krajobrazu, na podziwianie którego nas tu przywlokłeś?

Widok rzeczywiście był imponujący. W swoim czasie Drava stanowiła zarówno placówkę handlową, jak i port morski dla całego wnętrza Nowego Hokkaido. Nabrzeża odbierały transporty z każdego większego miasta na planecie, a bezładne skupiska budowli za dokami ciągnęły się na tuzin kilometrów w głąb lądu, aż do podnóża gór, zapewniając dach nad głową prawie pięciu milionom ludzi. U szczytu handlowej potęgi Drava walczyła o prymat w bogactwie i zaawansowaniu z Millsport, największym na północnej półkuli garnizonem floty.

Sunęliśmy teraz obok rzędów zniszczonych magazynów z czasów Osiedlenia, kontenerów i żurawi porzucanych po dokach jak dziecięce zabawki, pozatapianych na kotwicach statków kupieckich. Na wodzie wokół nas unosiły się jaskrawe plamy chemikaliów, a jedynymi żywymi istotami w polu widzenia było stadko mizernych darłoskrzydłów krążących wokół magazynu o zniszczonym dachu z blachy falistej. Jeden z nich, przelatując niedaleko nas, wykręcił szyję i wyskrzeczwał wyzwanie, ale widać było, że robi to bez przekonania.

- Lepiej na nie uważaj - powiedziała ponuro Kiyoka. - Nie wyglądają groźnie, ale są inteligentne. Zdołały już oczyścić większość wybrzeża z kormoranów i mew, a były też doniesienia o atakach na ludzi.

Wzruszyłem ramionami.

- Cóż, to ich planeta.

W polu widzenia pojawiły się umocnienia przyczółka lików. Setki metrów żywodrutu o krawędziach ostrych jak brzytwy, pełzającego nieustannie wewnątrz parametrów patrolowych, nierówne rzędy przycupniętych na ziemi pajęczych bloków i automatyczne wieżyczki strażnicze tkwiące na dachach domów. Nad powierzchnią wody pojawiły się wieżyczki kilku łodzi podwodnych patrolujących estuarium. W równych odstępach unosiły się na niebie latawce z czujnikami, zaczepione do dźwigów i masztów komunikacyjnych w sercu bazy.

Broń dla Guevary wyłączył silniki i podryfował bokiem między dwiema łodziami podwodnymi. Na nabrzeżu kilka postaci przerwało pracę i przez zwięzający się pas wody w stronę nowo przybyłych poleciały okrzyki. Większość pracy wykonywały w ciszy maszyny. Ochrona przyczółka przepytала nawigacyjną sztuczną inteligencję poduszkowca i udzieliła zgody na dokowanie. Automatyczny system cumowniczy porozumiał się z gniazdami w dokach, uzgodnił trajektorię i wystrzelił haki. Liny napięły się i przyciągnęły pojazd. Ożyła składana schodnia i podpięła się do wjazdu towarowego. Odpaliły systemy anty grawitacyjne, z drzeniem wyrównując poziomy. Otworzył się właz.

- Pora na nas - stwierdził Lazlo i zniknął w dole jak szczur w kanale. Orr wykonał za nim obsceniczny gest.

- Po jaką cholere nas tu w ogóle ściągnąłeś, skoro tak się spieszysz, żeby wysiąść?

Ze środka padła niewyraźna odpowiedź. Na trapie zadźwięczały buty.

- Ach, daj mu spokój - powiedziała Kiyoka. - I tak nikt nie wyjdzie, dopóki nie porozmawiamy z Kurumayą. Ustaw się spora kolejka.

Orr spojrzął na Sylvie.

- Co zrobimy z Jad?

- Zostaw ją mnie. - Sylvie przyglądała się osiedlu brzydkich zielonych plastobanek z dziwnie skupioną twarzą. Trudno uwierzyć, że chodziło o widok - może wsłuchiwała się w rozmowy maszyn, otwierając zmysły na strumienie transmisji. Nagle wyrwała się z odrętwienia i odwróciła do swoich ludzi. - Kabiny są nasze do południa. Nie ma sensu ruszać Jad, zanim nie dowiemy się, co będziemy robić.

- A sprzęt?

Sylvie wzruszyła ramionami.

- Tak samo. Nie będę dźwigać tego po Dravie przez cały dzień, czekając, aż Kurumaya da nam przydział.

- Myślisz, że znów nas przepchnie?

- Po ostatnim razie jakoś w to wątpię.

Wąskie korytarze pod pokładem zapchane były spieszącymi się załogami lików, którzy krążyli nimi z ręcznymi bagażami przewieszonymi przez ramiona i sprzętem pozakładanym na głowę. Drzwi do kabin stały otworem, zajmujący je ludzie szykowali się do wyjścia. Od ścian i sufitu odbijały się hałaśliwe krzyki. Ruch odbywał się falami, głównie w stronę wjazdu wyjściowego. Wcisnęliśmy się w tłum i pozwoliliśmy, by niósł nas z Orrem na czele. Trzymałem się jego pleców, starając się jak najlepiej osłaniać zraniony bok. Czasami docierał do mnie ból. Znosiłem go z zaciśniętymi zębami.

Po, jak się zdawało, bardzo długim czasie wydostaliśmy się wreszcie z korytarza i rozproszyliśmy między plastobańkami. Chmara lików dryfowała przed nami między bańkami w stronę centralnego masztu. W połowie drogi do niego na pustej plastikowej palecie siedział Lazlo. Szczęrzył się w uśmiechu.

- Co tak długo?

Orr zamachnął się na niego, burcząc coś pod nosem. Sylvie westchnęła.

- Powiedz mi chociaż, że masz żeton do kolejki.

Lazlo otworzył dłoń gestem iluzjonisty i pokazał trzymany w niej mały czarny kryształ. Z rozmazanej plamki światła w środku rozwinął się numer pięćdziesiąt siedem. Na jego widok Sylvie i jej towarzysze wyrzucili z siebie strumień przekleństw.

- Tak, trochę to potrwa. - Lazlo wzruszył ramionami. - Pozostałości z wczoraj. Wciąż przydzielają resztki. Słyszałem, że wczoraj w nocy w Strefie Oczyszczonej doszło do zamieszania. Spokojnie możemy pójść coś zjeść.

Poprowadził nas przez obóz do długiej srebrnej przyczepy ustawionej pod jednym z zewnętrznych płotów. Wokół okienka rozstawione były tanie plastikowe stoliki i krzesła, zajęte w części przez rozespanych klientów siedzących w milczeniu nad śniadaniem i kubkami kawy. W okienku poruszali się tam i z powrotem trzej pracownicy, jakby jeździli na szynach. W naszą stronę buchnęła para i zapach jedzenia, dostatecznie intensywny, by wyzwolić nawet nędzne zmysły zapachu i smaku syntetycznej powłoki.

- Miso z ryżem dla wszystkich? - zapytał Lazlo.

Likowie przytaknęli, zajmując miejsca za stołem. Potrząsałem głową. Dla syntetycznych kubków smakowych nawet dobra zupa miso smakowała jak pomyje. Podeszedłem do okienka razem z Lazlem, żeby sprawdzić, co jeszcze mogą zaoferować. Zdecydowałem się na kawę i kilka

przeładowanych węglowodanami ciastek. Sięgałem po chip kredytowy, kiedy Lazlo wyciągnął rękę.

- Hej. Ja stawiam.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. Witamy w Ślizgaczach Sylvie. Wczoraj chyba zapomniałem to powiedzieć.

Przepraszam.

- Cóż, sporo się działo.

- Racja. Chcesz coś jeszcze?

Na ladzie stał automat sprzedający plastry przeciwbólowe. Wyciągnąłem kilka pasków i machnąłem nimi w stronę sprzedawcy. Lazlo kiwnął głową, wyciągnął własny chip kredytowy i rzucił go na ladę.

- A więc cię uszkodzili.

- Owszem. Żebra.

- Tak myślałem, widząc, jak się ruszasz. Nasi przyjaciele wczoraj?

- Nie. Wcześniej.

Uniósł brwi.

- Miałeś kupę roboty.

- Nie uwierzyłbyś. - Zdarłem osłonę jednego z plastrów, podciągnąłem rękaw i przykleiłem lek do skóry. W górę ramienia popłynęła ciepła fala chemicznie indukowanej przyjemności. Ustawiliśmy jedzenie na tacach i zanieśliśmy je do stołów.

Likwidatorzy jedli w pełnej skupienia ciszy stanowiącej przeciwieństwo wcześniejszego przekomarzania się. Wokół nas zaczęły się zapełniać inne stoły. Kilka osób, przechodząc, kiwnęło głowami ludziom Sylvie, ale zasadniczo wszyscy ignorowali się nawzajem. Załogi trzymały się razem w małych grupkach. Czasem do moich uszu dobiegały strzępki rozmów, pełne specyfikacji i tego samego luzu, jakiego doświadczyłem przez ostatnie półtora dnia u moich towarzyszy. Kucharze wykrzykiwali numery zamówień, ktoś ustawił odbiornik na kanał nadający jazz z czasów Osiedlenia.

Rozluźniony i uwolniony od bólu przez chemikalia z plastra podchwyciłem dźwięki i poczułem, jak wykopują mnie prosto w młodość w Newpest. Piątkowe noce u Watanabego - stary Watanabe był wielkim fanem gigantów jazzu z czasów Osiedlenia i często odgrywał ich kawałki, wywołując jęki młodszych klientów, które szybko stały się rytuałem. Wystarczyło spędzić dość czasu u Watanabego, by zdecydowanie zatracić wcześniejsze preferencje muzyczne. Po jakimś czasie kończyło się z wypaloną w duszy sympatią dla nie całkiem równych rytmów.

- Stare to - rzuciłem, wskazując głową w stronę zawieszonych na słupie głośników.

- Witamy na Nowym Hokkaido - parsknął Lazlo.

Uśmiechy i wymiana gestów.

- Lubisz takie kawałki? - zapytała Kiyoka z ustami pełnymi ryżu.

- Ten styl. Nie rozpoznaję...

- Dizzy Csango i Wielki Uśmiechnięty Grzyb - nieoczekiwanie odezwał się Orr. - *W dół ekliptyki*. Ale to cover Blackman Taku. Taku nigdy nie wpuściłby do siebie skrzypiec.

Rzuciłem olbrzymowi dziwne spojrzenie.

- Nie słuchaj go - powiedziała do mnie Sylvie, drapiąc się lekko w głowę. - We wcześniejszych kawałkach Taku i Ide pełno tych cygańskich brzmień. Zrezygnowali z tego tylko na sesje w Millsport.

- To nie...

- Hej, Sylvie! - Przy ich stole zatrzymał się młody dowódca z włosami usztywnionymi do góry. W lewej ręce trzymał tacę z kubkami kawy, przez prawe ramię zwisał mu żywokabel, poruszając się niecierpliwie. - Już wróciliście?

Sylvie się uśmiechnęła.

- Cześć, Oishii. Tęskniłeś?

Oishii skłonił się teatralnie. Taca w jego dłoni nie poruszyła się nawet o milimetr.

- Jak nigdy. Czego nie można powiedzieć o Kurumaya-san. Planujesz się z nim dzisiaj zobaczyć?

- A ty nie?

- Nie, nie wychodzimy. Kasha oberwała zeszłej nocy rozbryzgiem jakiejś przeciwintruzyjnej, minie kilka dni, zanim dojdzie do siebie. Wracamy. - Oishii wzruszył ramionami. - Wszystko opłacone. Fundusz awaryjny.

- Pieprzony fundusz *awaryjny*? - Orr się wyprostował. - Co się tu wczoraj stało?

- Nie wiecie? - Oishii z szeroko otwartymi oczami rozejrzał się wokół stołu. - Nie słyszeliście o wczorajszej nocy?

- Nie - cierpliwie odpowiedziała Sylvie. - I dlatego właśnie pytamy ciebie.

- Och, dobra. Myślałem, że do tej pory wszyscy będą już wiedzieć. Po Strefie Oczyszczonej wałęsała się grupa spółdzielcza. Zeszłej nocy zaczęła montować artylerię. Działo samobieżne, i to duże, na podwoziu skorpiona. Kurumaya musiał zebrać wszystkich, zanim zdążyło nas rozwalić.

- Zostało tam coś? - zapytał Orr.

- Nikt nic nie wie. Zniszczyliśmy głównych budowniczych razem z działem, ale mniejsze jednostki się rozproszyły. Drony, wspomaganie, takie bzdety. Ktoś mówił, że widzieli karakuri.

- Och, *bzdura* - prychnęła Kiyoka.

- Tak słyszałem. - Oishii znów wzruszył ramionami.

- Mech marionetki? Nie ma mowy. - Kiyoka zaczęła się nakręcać. - W SO nie było karakuri już od dobrze ponad roku.

- Nie było też maszynowych spółdzielni - zauważyła Sylvie. - Zdarza się. Oishii, myślisz, że mamy dzisiaj jakieś szanse na przydział?

- Wy? - Na ustach Oishiego znów pojawił się uśmiech. - Nie ma mowy, Sylvie. Nie po ostatnim razie.

Sylvie ponuro skinęła głową.

- Tak właśnie myślałam.

Jazzowy kawałek ucichł na wznoszącym się tonie. Jego miejsce zajął głos, gardłowy, kobiecy, naglący. W słowach brzmiała archaiczna melodia.

- A oto nowa wersja klasycznego *W dół ekliptyki* w wykonaniu Dizzy'ego Csanga. Nowe światło rzucone na stary temat, które tak jak quellizm stawia w nowym świetle odwieczną niesprawiedliwość porządku ekonomicznego przywiezionego z Ziemi. Dizzy przez całe życie był zaprzysiężonym quellistą i wiele razy mówił...

Jęki zebranych przy stolikach lików.

- Tak, i całe życie był też pieprzonym narkomanem - wrzasnął ktoś.

Spikerka produkowała się dalej pośród utyskiwań. Od stuleci wyśpiewywała tę samą zaprogramowaną piosenkę. Jednak narzekania lików brzmiały spokojnie, przypominały rytualne raczej niż prawdziwe jęki w knajpie Watanabego. Szczegółowa znajomość jazzu z lat Osiedlenia, którą wykazał się Orr, zaczynała nabierać sensu.

- Muszę lecieć - stwierdził Oishii. - Może spotkamy się w Nieoczyszczonych, co?

- Tak, może. - Sylvie przyglądała się, jak odchodzi, a potem nachyliła się w stronę Lazla. - Jak stoimy z czasem?

Elastyk sięgnął do kieszeni i wyciągnął znacznik kolejki. Numer zmienił się na pięćdziesiąt dwa. Sylvie syknęła z irytacją.

- Co to takiego te karakuri? - zapytałem.

- Mechaniczne lalki. - Kiyoka wyraźnie nie miała ochoty o nich mówić. - Nie martw się, tu ich raczej nie zobaczysz. Wymietliśmy je w zeszłym roku.

Lazlo schował kryształ z powrotem do kieszeni.

- To jednostki pomocnicze. Trafiają się w różnych kształtach i rozmiarach, małe zaczynają się mniej więcej od darłoskrzydła, tylko że nie latają. Mają ręce i nogi. Czasem są uzbrojone, i szybkie. - Skrzywił się. - Nic przyjemnego.

Sylvie nagle zeszywniała. Podniosła się.

- Idę porozmawiać z Kurumayą - oświadczyła. - Czas zgłosić się na ochotnika do sprzątania.

Podniosła się fala protestów, głośniejsza od tej, którą wywołała propaganda spikerki.

- ...nie mówisz poważnie.

- Za sprzątanie płacą grosze, skiper.

- Cholerne łażenie od drzwi do drzwi...

- Ludzie. - Podniosła ręce. - Nie obchodzi mnie to. Jeśli nie skoczymy w górę kolejki, nie wydestaniemy się stąd przed zmrokiem. A to cholernie mi się nie podoba. Gdybyście zapomnieli, niedługo Jad zacznie wydzielać nietowarzyski aromat.

Kiyoka odwróciła wzrok. Lazlo i Orr wymamrotali coś w resztki zupy.

- Ktoś idzie ze mną?

Cisza. Wszyscy odwrócili spojrzenia. Rozejrzałem się, a potem wstałem, rozkoszując się brakiem bólu.

- Jasne. Ja pójdę. Ten Kurumayą chyba nie gryzie, nie?

Prawdę mówiąc, wyglądał, jakby gryzł.

Na Sharyi był taki przywódca nomadów, z którym kiedyś negocjowałem. Szejk z bogactwem rozrzuconym po bazach danych całej planety, który postanowił spędzać czas, pasąc na wpół udomowione, genetycznie adaptowane bizona na stepie Johan, i żyć w zasilanym ogniwami słonecznymi namiocie. Bezpośrednio i pośrednio podlegało mu prawie sto tysięcy twardych stepowych wojowników, i kiedy siedziałem z nim na naradzie w jego namiocie, czuło się bijącą od niego władzę.

Shigeo Kurumaya był bledszym wydaniem tej samej postaci. Zdominował dowódczą plastobańkę z taką samą intensywnością, milczący, z twardym spojrzeniem, choć siedział za biurkiem pełnym sprzętu monitorującego i otaczała go falanga lików czekających na przydział. Był dowódcą jak Sylvie, z czarno-srebrnymi włosami ściągniętymi z tyłu. Fryzura odsłaniała główny przewód związany w samurajskim stylu, spóźnionym o tysiąc lat.

- Misja specjalna, przepuścić. - Sylvie przepchnęła się przez innych lików. - Przepuście mnie. Misja specjalna. Do diabła, zróbcie mi miejsce. Misja *specjalna*.

Niechętnie ustąpiono jej z drogi. Wysunęliśmy się do przodu. Kurumaya ledwie raczył zauważyć naszą obecność, zajęty rozmową z grupą trzech lików w szczupłych i młodych powłokach, które zaczynałem kojarzyć ze standardem elastyków. Ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy.

- O ile wiem, nie powierzono ci misji specjalnej, Oshima-san - powiedział cicho, co wywołało gniewną reakcję zebranych lików. Kurumaya tylko na nich spojrział i hałasy ucichły. - Jak powiedziałem...

Sylvie pojednawczo machnęła ręką.

- Wiem. Shigeo, wiem, że nie. Ale *chcę*, by tak się stało. Zgłaszam nas na ochotnika do sprzątania karakuri.

To również wywołało reakcję, ale tym razem przyciszoną. Kurumaya zmarszczył czoło.

- *Prosisz* o sprzątanie?

- Proszę o przepustkę. Chłopaki narobili sobie w domu poważnych długów i chcieliby zacząć zarabiać sześć godzin temu. Jeśli oznacza to drzwi w drzwi, zrobimy to.

- Wracaj do kolejki, suko - odezwał się ktoś za nami.

Sylvie zeszywniała lekko, ale się nie odwróciła.

- Mogłam się domyślić, że tak na to spojrzysz, Anton. Też zamierzasz się zgłosić? Zabierz gang na chodzenie po domach. Pewnie się nie ucieszą.

Spojrzałem do tyłu na lików i odnalazłem Antona, dużego i masywnego mężczyznę z dowódczą grzywą zafarbowaną na pół tuzina jaskrawych kolorów. W oczach miał zmodyfikowane soczewki, więc źrenice wyglądały jak stalowe łożyska, pod skórą słowiańskich policzków widać było rysunek obwodów. Skrzywił się trochę, ale nie ruszył w stronę Sylvie. Skierował metalicznie szare oczy na Kurumayę.

- Daj spokój, Shigeo - Sylvie się uśmiechnęła. - Nie mów mi, że ci tutaj ustawili się w kolejce do sprzątanania. Ilu doświadczonych ludzi zgłosi się dobrowolnie na coś takiego? Wysyłasz tam samych nowicjuszy, bo nikt inny nie podejmie się zadania za takie pieniądze. Robię ci prezent, i dobrze o tym wiesz.

Kurumaya zlustrował ją od stóp do głów, a potem gestem odesłał trzech elastyków. Odsunęli się z ponurymi minami. Holomapa zgasła. Kurumaya rozparł się na fotelu i wbił wzrok w Sylvie.

- Oshima-san, kiedy ostatnio przeniosłem cię na czoło kolejki, porzuciłaś przydzielone ci obowiązki i znikłaś na północy. Skąd mam wiedzieć, że tym razem nie zrobisz tego samego?

- Shig, wysłałeś mnie, żeby obejrzeć *wrak*. Ktoś dostał się do niego przed nami, nic nie zostało. Powiedziałam ci to.

- Tak, kiedy w końcu wróciłaś.

- Och, bądź rozsądny. Jak zlikwidować coś, co już było śmieciem? Znikliśmy, bo nic tam nie było.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Jak mam ci zaufać tym razem?

Sylvie westchnęła teatralnie.

- Jezu, Shig. Masz ogonek z mocą obliczeniową, sam policz. Oferuję ci przysługę w zamian za szansę zarobienia szybkiej gotówki. Inaczej będę musiała czekać na swoją kolej, a ty nie znajdziesz do sprzątanania nikogo prócz żółtodziobów. Wszyscy na tym stracimy. Jaki w tym sens?

Przez dłuższą chwilę nikt się nie poruszył. Potem Kurumaya zerknął w bok na jedno z urządzeń na swoim biurku. Pojawiły się nad nim dane.

- Kim jest syntetyk? - zapytał swobodnie.

- Och. - Sylvie wykonała gest prezentacji. - Nowy rekrut. Mick Szczęściarz. Wsparcie artyleryjskie.

Kurumaya uniósł brwi.

- Od kiedy Orr potrzebuje pomocy?

- To tylko próba. Mój pomysł. - Sylvie uśmiechnęła się radośnie. - Jak dla mnie, nigdy nie ma za dużo artylerii.

- Możliwe. - Kurumaya przeniósł na mnie wzrok. - Ale twój nowy przyjaciel jest uszkodzony.

- To tylko zadrapanie - odezwałem się.

Na wyświetlaczu zmieniły się barwy. Kurumaya zerknął w bok na liczby zebrane pod jego szytem. Wzruszył ramionami.

- Dobrze. Bądźcie za godzinę przy bramie głównej, zabierzcie sprzęt. Dostaniecie standardową stawkę techniczną za dzień plus dziesięć procent dodatku za doświadczenie. Więcej nie mogę wam

dać. Bonusy za ustrzelenia zgodnie z tabelą wartości.

Sylvie posłała mu kolejny promienny uśmiech.

- To wystarczy. Będziemy gotowi. Miło znów robić z tobą interesy, Shigeo. Chodź, Micky.

Kiedy się odwracaliśmy, jej twarz wykrzywiły nadchodzące dane. Zirytowana, wykręciła się z powrotem w stronę Kurumayi. - Tak? Uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Żeby sytuacja była jasna, Oshima-san. Będziecie wpięci we wzór poszukiwawczy razem z innymi. Jeśli znów spróbujecie się wyslizgnąć, natychmiast się o tym dowiem. Wycofam waszą autoryzację i sprowadzę was tu nawet, gdybym musiał wysłać do tego pełną siatkę. Jeśli chcesz zostać aresztowana przez bandę żółtodziobów, proszę bardzo.

Sylvie znów westchnęła, smętnie potrząsnęła głową i przepchnęła się przez tłum lików. Gdy mijaliśmy Antona, odsłonił zęby w uśmiechu.

- Stawka techniczna, Sylvie - prychnął. - Wygląda na to, że wreszcie znalazłaś swoje miejsce.

Nagle się skrzywił, błysnął oczami, a jego twarz przybrała pusty wyraz, gdy Sylvie sięgnęła i wykręciła coś wewnątrz jego głowy. Zatoczył się na lika obok, który chwycił go i podtrzymał. Wydał z siebie dźwięk jak wojownik z areny po silnym ciosie. Rozmyty głos pełen wściekłości.

- Pieprzona...

- Spadaj, bagniarzu. - Rzuciła za siebie, wychodząc z bańki. Nawet nie spojrzała w jego stronę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bramę stanowiła pojedyncza płyta szarego stopu, szeroka na sześć metrów i wysoka na dziesięć. Podnośniki antygravitacyjne na bokach przymocowane zostały do dwóch dwudziestometrowych wież obwieszonych sprzętem strażniczym. Jeśli stanęło się dostatecznie blisko szarego metalu, można było usłyszeć nieustanne drapanie żywodrutu po drugiej stronie.

Zebrani przez Kurumayę ochotnicy do sprzątanania stali w małych grupkach przed bramą, przeplatając przytłumione rozmowy krótkimi wybuchami głośnych przechwałek. Zgodnie z przewidywaniami Sylvie, większość była młoda i niedoświadczona, czego dowodziła niezręczność, z jaką traktowali swój sprzęt i gapi wokół. Nie robiła też wrażenia skromna kolekcja posiadanego przez nich wyposażenia. Broń w większości wyglądała na przestarzały towar z wojskowych wyprzedaży, a w całej grupie nie zebraloby się nawet tuzina pojazdów - transportu dla może pięćdziesięciu zebranych lików. Część pojazdów nie miała napędu antygravitacyjnego. Reszta najwyraźniej planowała chodzić pieszo.

Dowódców było zdecydowanie niewielu.

- Tak się to zaczyna - odezwała się Kiyoka z zadowoleniem. Oparła się na nosie kierowanego przeze mnie żuka grawitacyjnego i złożyła ramiona na piersiach. Mały pojazd zachwiał się na parkingowej poduszce, więc musiałem podkręcić pole, by skompensować. - Widzisz, większość żółtodziobów nie ma kasy, wchodzą do gry kompletnie ślepi. Próbuje zarobić forszę na sprzęt sprzątanym i nagrodami zdobytymi na granicach Nieoczyszczonych. Jeśli im się poszczęści i będą dobrze pracować, ktoś ich zauważy. Może weźmie ich do siebie jakaś załoga na miejsce brakującego kolegi.

- A jeśli nie?

- Idą hodować własne włosy. - Lazlo uśmiechnął się znad otwartej sakwy, którą ładował na jeden z pozostałych dwóch żuków. - Prawda, skiper?

- Tak, zgadza się. - W głosie Sylvie słychać było irytację. Stała z Orrem obok trzeciego żuka i znów próbowała nadać Jadwidze pozór żywej istoty. Widać było, że sporo jato kosztuje. Mnie proces ten też niespecjalnie się podobał - usadziliśmy martwą likwidatorkę na jednym z żuków, ale zdalne pilotowanie pojazdu przekraczało możliwości Sylvie, więc Jad jechała za moimi plecami. Dziwnie by to wyglądało, gdybym ja zsiadł, a ona siedziała dalej, więc też musiałem zostać na żuku. Sylvie umieściła ramię trupa w czułym geście na moim ramieniu, a drugie na biodrze. Od czasu do czasu Jadwiga przekręcała głowę, błyskając szklami okularów przeciwsłonecznych, a jej usta wykrzywiały się coś, co miało przypominać uśmiech. Próbowałem traktować tę zabawę na luzie.

- Lepiej nie słuchaj Lasa - doradziła Kiyoka. - Nawet jeden na dwudziestu żółtodziobów nie ma tego, co potrzebne, by dorobić się dowództwa. Jasne, mogą to wmontować w głowę każdemu, ale większość dostaje wtedy świra.

- Właśnie, na przykład nasz skiper. - Lazlo skończył ładować sakwę, zamknął ją i przeszedł na drugą stronę.

- Tak naprawdę - cierpliwie wyjaśniała Kiyoka - szuka się kogoś, kto potrafi wytrzymać ogień, i dopiero wtedy tworzy się spółdzielnię. Łączy fundusze, dopóki nie da się za nie opłacić włosów i kupić podstawowych wtyczek dla pozostałych, i tak się zaczyna. Nowiutka załoga. Na co się gapisz?

Ostatnie słowa skierowane były do młodego lika, który podszedł i zapatrzył się z zazdrością na żuki grawitacyjne i zamontowany na nich sprzęt. Cofnął się trochę na słowa Kiyoki, ale z jego twarzy nie znikła żądza posiadania.

- Seria Dracul, prawda? - odezwał się.

- Zgadza się. - Kiyoka postukała knykциями w pancerz żuka. - Dracul czterdzieści jeden, ledwie trzy miesiące temu zeszyły z linii produkcyjnej w Millsport. *Wszystko*, co o nich słyszałeś, to w stu procentach prawda. Ekranowane silniki, wewnętrzne EMP i baterie wiązek cząsteczkowych, tarcze o płynnej reakcji, zintegrowane inteligentne systemy Nuhanovica. Wbudowali tu wszystko, co się dało.

Jadwiga przekręciła głowę w stronę młodego lika. Domyśliłem się, że usta trupa znów próbują ułożyć się w uśmiech. Jej ręka przesunęła się z mojego ramienia w dół boku. Poprawiłem się lekko na siodełku.

- Ile to kosztuje? - zapytał nasz nowy fan. Za jego plecami zebrała się już grupka podobnych mu entuzjastów sprzętu.

- Więcej niż każdy z was zarobi w tym roku. - Kiyoka machnęła ręką. - Podstawowe modele zaczynają się od stu dwudziestu tysięcy. A to *nie jest* podstawowy model.

Młody lik podszedł parę kroków bliżej.

- Mogę...

Spojrzałem na niego ostrzegawczo.

- Nie, nie możesz. Siedzę na nim.

- Chodź tutaj. - Lazlo zastukał w pancerz żuka, przy którym grzebał. - Zostaw kochasiów w spokoju. Są zbyt napaleni, żeby pamiętać o manierach. Pokażę ci go. Będziesz miał do czego tęsknić w przyszłym sezonie.

Śmiech. Mała grupka żółtodziobów podeszła tam, gdzie ich zaproszono. Wymieniłem pełne ulgi spojrzenia z Kiyoką. Jadwiga poklepała mnie po biodrze i oparła głowę na moim ramieniu. Spojrzałem na Sylvie. Za naszymi plecami obudził się głośnik.

- Panie i panowie, za pięć minut otwieramy bramę. Proszę sprawdzić znaczniki.

* * *

Jęk silników grawitacyjnych, zgrzyt nierówno ustawionych przewodnic. Brama z szarpnięciem uniosła się w górę dwudziestometrowych wież i likowie przeszli lub przejechali, w zależności od zasobności portfela, przez przestrzeń tuż pod nią. Żywodrut zwinął się i węzowym ruchem wycofał z pola rzucanego przez nasze znaczniki, tworząc niespokojny płot wyższy od człowieka. Szliśmy oczyszczoną ścieżką, której boki falowały jak mara ze snu po *take*.

Nieco dalej, wykrywając zbliżające się pola znaczników, dźwignęły się z miejsca pajęcze bloki. Kiedy się zbliżyliśmy, uniosły swoje masywne wielościenne ciała z popękanego wiecznobetonu i rozbiegły się w odwróconej sekwencji zaprogramowanej funkcji blokady i miażdżenia. Jechałem między nimi w napięciu. Pewnej nocy na Hun Home siedziałem za murami Pałacu Kwan i słuchałem krzyków, kiedy takie właśnie maszyny dosłownie starty z powierzchni ziemi cały oddział szturmowy powstańczych technoninja. Pomimo potężnej masy i ślepej niezdatności, nie zajęło im to wiek czasu.

Piętnaście starannie odmierzonych minut później wyszliśmy poza pas obronny przyczółka i wysypaliśmy się na ulice Dravy. Nawierzchnię doku zastąpiły teraz pełne śmieci ulice, przy których od czasu do czasu stał wśród gruzów nienaruszony budynek, zazwyczaj wysoki na dwadzieścia pięter. Panującym stylem był standard użytkowy Osiedlenia - tak blisko wody mieszkania wybudowano dla pracowników portu, nie tracąc zasobów na wystrój. Na morze gapily się krótkowzrocznie rzędy małych, umiejscowionych w niszach okien. Nagie ściany z wiecznobetonu pobrużdżone były śladami po bombardowaniach i stuleciami zaniedbania. Niebieskawozielone plamy porostów znaczyły miejsca, gdzie zawiodło antybiotykowe pokrycie. W górze przez płaszcz chmur sączyły się wodniste promienie słońca, rozświetlając ciche ulice przed nami. Od rzeki wiał silny wiatr, pchając nas do przodu. Zerknąłem za siebie i zobaczyłem, że żywodrut i pajęcze bloki

zamykają się za nami jak zasklepiająca się rana.

- Lepiej zabierzmy się do roboty. - Głos Sylvie przy moim ramieniu.

Orr podjechał drugim żukiem obok, a ona siedziała za nim, wykręcając głowę na boki jakby w poszukiwaniu tropu. - Przynajmniej nie pada.

Dotknęła kontrolek na swojej kurtce. Jej głos zagrział w ciszy, odbity echem od opuszczonych murów. Likowie odwrócili się na jego dźwięk i skupili uwagę niczym stado psów myśliwskich.

- Dobra, przyjaciele. Słuchajcie. Nie, żebym chciała przejmować dowodzenie...

Odchrząknęła i dodała szeptem:

- Ale ktoś musi, jeśli nie ja, to...

Kolejne odkaszlnięcie.

- *Ktoś* do cholery coś musi zrobić. To nie są kolejne ćwiczenia w... w... - Lekko potrząsnęła głową. Jej głos nabrał siły, znów odbił się od ścian. - Nie walczymy o jakąś pieprzoną masturbacyjną fantazję polityczną, tylko o fakty. Ci u władzy stworzyli własne sojusze, okazali wierność lub jej brak, dokonali wyborów. Tym samym odebrali je nam. Nie chcę, *nie chcę*...

Zadławiła się. Opuściła głowę.

Likowie stali w bezruchu, czekając cierpliwie. Jadwiga opadła bezwładnie na moje plecy, a potem zaczęła się zsuwać z siedzenia. Sięgnąłem do tyłu, by ją podtrzymać. Drgnąłem, gdy ból przebił się przez miękką szarą wełnę środków przeciwbólowych.

- *Sylvie!* - wysyczałem przez dzielącą nas przestrzeń. - Do cholery, opanuj się. Złaż stamtąd.

Popatrzyła na mnie spod bezładnej płataniny włosów. Przez dłuższą chwilę wyglądało na to, że mnie nie poznaje.

- Opanuj się - powtórzyłem cicho.

Zadygotała. Wyprostowała się i znów odchrząknęła. Machnęła ręką w powietrzu.

- Polityka... - zaczęła, a czekający tłumek lików odpowiedział jej śmiechem. Przeczekała go. - Nie po nią tu dzisiaj przyszedliśmy, panie i panowie. Zdaję sobie sprawę, że nie jestem jedyną włochatą między nami, ale myślę, że chyba przewyższam pozostałych doświadczeniem, więc... Dla tych, którzy nie są zbyt pewni, jak to działa, mam propozycję. Tworzymy radialny wzór poszukiwań, dzieląc się na każdym skrzyżowaniu, póki każda zmotoryzowana załoga nie będzie miała ulicy dla siebie. Reszta z was może iść, za kim chce, ale radziłabym, by każda grupa liczyła nie mniej niż pół tuzina osób. Zmotoryzowane załogi prowadzona każdej ulicy, pechowi piechurzy sprawdzają budynki. Robimy długie przerwy przy każdym przeszukiwanym budynku, zmechanizowani *nie* wychodzą przed wzór, ci w budynkach wzywają wsparcie, jeśli zobaczą *cokolwiek*, co może zdradzać aktywność wimów. Cokolwiek-

- Dobra, a co z nagrodami? - krzyknął ktoś.

Wśród zebranych zabrzmiały pełne poparcia pomruki.

- To, co zastrzelę, jest moje, nie zamierzam się dzielić – zastrzegł głośno ktoś inny.

Sylvie pokiwała głową.

- Przekonacie się... - Jej podniesiony głos zgasił szepty - że udana likwidacja składa się z trzech etapów. Najpierw trzeba zniszczyć wima. Potem zgłosić do niego prawo. *Apotem przeżyć* dość długo, by wrócić na przyczółek i odebrać pieniądze. Ostatnie dwa etapy tego procesu są *szczególnie* trudne, jeśli leży się na ulicy z rozwalonymi bebechami i bez głowy. Co jest więcej niż pewne, jeśli ktoś z was spróbuje samodzielnie zniszczyć gniazdo karakuri. Słowo *załoga* ma swoje konotacje. Tym z was, którzy aspirują do osiągnięcia na jakimś etapie miejsca w *załodze*, proponuję się nad tym zastanowić.

Zgiełk opadł do szeptów. Za moimi plecami trup Jadwigi wyprostował się i przestał ciążyć mi

na ramieniu. Sylvie powiodła wzrokiem po swoich słuchaczach.

- Dobra. Wzór radialny dość szybko nas rozproszy, więc cały czas miejcie włączony sprzęt mapujący. Oznaczcie każdą sprawdzoną ulicę, utrzymujcie kontakt z pozostałymi i bądźcie gotowi się wycofać, żeby zamknąć dziury, które pojawią się w miarę, jak będziemy tworzyć coraz szerszy wachlarz. Nie zapominajcie o analizie przestrzennej. Wimpy są w tym pięćdziesiąt razy lepsze od nas. Jeśli zostawicie lukę, znajdą ją i wykorzystają.

- Jeśli w ogóle tu są - dobiegł z tłumu kolejny głos.

- Jeśli w ogóle tu są - zgodziła się Sylvie. - Co może być prawdą lub nie. Witamy na Nowym Hokkaido. Dobra. - Uniosła się na podpórkach żuka grawitacyjnego i rozejrzała się. - Czy ktoś ma do powiedzenia coś *konstruktywnego*?

Cisza. Trochę szurania nogami.

Sylvie się uśmiechnęła.

- Dobrze. W takim razie bierzmy się do roboty. Utrzymujemy promienisty wzór przeszukiwań, jak uzgodnił się. *Włączyć skan.*

Odpowiedziały jej nierówne wiwaty, ktoś uniosł broń nad głowę. Jakiś kretyń wystrzelił z blastera w niebo. Zaraz potem przez tłum przetoczyła się fala śmiechu.

- ...skopać tyłki pieprzonych wimów...

- Zarobimy na *furę*, stary. Pieprzoną furę.

- Drava, kochanie, *nadchodzimy!*

Kiyoka podjechała do mnie z drugiej strony i mrugnęła.

- Będą tego potrzebować - powiedziała. - I jeszcze trochę. Zobaczysz.

* * *

Po godzinie wiedziałem już, o co jej chodziło.

Była to powolna, frustrująca praca. Przejechać pięćdziesiąt metrów ulicą z prędkością ślimaka, omijając gruz i wraki pojazdów. Uważać na skanery. Zatrzymać się. Odczekać, aż piechota spenetruje budynki po obu stronach i przejdzie w żółtym tempie ponad dwadzieścia pięter. Wsłuchiwać się w zniekształcone przez budynki transmisje. Uważać na skanery. Oznaczyć budynek jako czysty. Odczekać, aż piechota zejdzie na dół. Uważać na skanery. Przejechać kolejne pięćdziesiąt metrów. Uważać na skanery. Zatrzymać się. Nic nie znaleźliśmy.

Słońce toczyło bezskuteczną walkę z pokrywą chmur. Po jakimś czasie zaczęło padać.

Uważać na skanery. Przejść dalej ulicą. Zatrzymać się.

- Nie wszystko umieszczają w reklamach, co? - Kiyoka siedziała pod magicznym dachem kropel rozpryskujących się na niewidocznych tarczach żuka. Wskazała nogą na pieszych poszukiwaczy, znikających w kolejnym budynku. Byli przemoczeni, pełne oczekiwania podniecenie sprzed godziny zaczęło wygasać. - Możliwości i przygody na porzuconym lądzie Nowego Hokkaido. Zabierzcie parasolki.

Siedzący za nią Lazlo uśmiechnął się i ziewnął.

- Daj spokój, Ki. Od czegoś trzeba zacząć.

Kiyoka odchyliła się na siodelku, spoglądając przez ramię.

- Hej, Sylvie. Ile jeszcze będziemy...

Sylvie zrobiła znak, jeden z tych lapidarnych gestów, które widziałem już w trakcie narady po strzelaniu z Yukio. Intuicja Emisariusza pozwoliła mi wyłapać drgnienie powieki Kiyoki odbierającej dane z głowy dowódczym. Lazlo spokojnie kiwnął do siebie głową.

Włączyłem zestaw komunikacyjny, który dali mi w zastępstwie bezpośredniej linii do czaszki dowódcy.

- Dzieje się coś, o czym powinienem wiedzieć, Sylvie?

- Nie. - Odpowiedział mi lekceważąco Orr. - Wprowadzimy cię, kiedy będziesz musiał coś wiedzieć. Zgadza się, Sylvie?

Spojrzałem na nią.

- Zgadza się, Sylvie?

- Teraz nie czas na to, Micky. - Uśmiechnęła się lekko.

Uważać na skanery. Przejechać kawałek moką zniszczoną ulicą. Ekran żuków tworzyły drgające półkuliste parasole nad naszymi głowami, piesi klęli i mokli.

Nic nie znaleźliśmy.

Do południa zapuściliśmy się na kilka kilometrów w głąb miasta i napięcie operacyjne ustąpiło miejsca nudzie. Najbliższe załogi były pół tuzina ulic w każdą stronę. Ich pojazdy pokazywały się na sprzęcie mapującym w luźnych formacjach parkingowych, a jeśli podłączyło się do ogólnego kanału, słychać było, jak piechota z głośnym narzekaniem wspina się w górę budynków, straciwszy kompletnie wcześniejszy entuzjazm do niszczenia maszyn.

- Hej, patrzcie - odezwał się nagle Orr.

Ulica, na której pracowaliśmy, skręcała w prawo, a potem otwierała się na okrągły plac otoczony tarasami w stylu pagodowym, kończąc się z drugiej strony w wielopoziomowej świątyni wspartej na szeroko rozstawionych słupach. Na otwartej przestrzeni deszcz zebrał się w rozlanych kałużach w miejscach uszkodzeń nawierzchni. Na placu nie było żadnej osłony poza potężnym, przekrzywionym wrakiem wypalonego skorpionowego działa.

- Tego właśnie zniszczyli zeszłej nocy? - zapytałem.

Lazło potrząsnął głową.

- Nie, leży tu od lat. Zresztą Oishii mówił, że zeszłej nocy działa nie wyszły poza kadłub, zanim je zniszczyli. Ten tutaj przed śmiercią był chodzącym i gadającym wimowym sukinsynem.

Orr rzucił mu spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

- Lepiej ściągnijcie na dół żółtodziobów - zasugerowała Kiyoka.

Sylvie skinęła głową. Posługując się kanałem lokalnym, wygoniła szperaczy z ostatnich budynków i zebrała ich za grawitacyjnymi żukami. Otarli deszcz z twarzy i rozejrzeli się z urazą po placu. Sylvie stanęła na podpórkach z tyłu żuka i postukała w ćwiekowaną kurtkę.

- Dobra, słuchajcie - odezwała się do nich. - Wygląda na to, że jest tu dość bezpiecznie, ale nie mamy pewności, więc podejźmy do tego inaczej. Żuki pojedą na drugą stronę i sprawdzą dolny poziom świątyni. Zajmie im to, powiedzmy, dziesięć minut. Potem jeden żuk wycofa się i stanie na straży, a pozostałe dwa pojedą wzdłuż obu brzegów placu.

Kiedy wrócą bezpiecznie, wszyscy przejdą w klinie przez plac i piesi szperacze pójda sprawdzić górny poziom świątyni. Wszyscy zrozumieli?

W szeregu rozległy się ponure potwierdzenia. Nic ich to nie obchodziło. Sylvie kiwnęła głową.

- Dobra. A więc zrobmy to. Skanować.

Wykręciła się na żuku i znów usiadła za Orrem. Kiedy się do niego nachylała, zobaczyłem, że porusza ustami, ale moja syntetyczna powłoka nie była w stanie usłyszeć słów. Mruczenie silników narosło lekko i Orr skierował pojazdy na plac. Kiyoka pchnęła na lewo żuka, na którym jechała z Lazlem, i ruszyła za nim. Nachyliłem się do własnych przyrządów i zająłem prawą flankę.

Po ciasnocie zasypanych gruzem ulic, plac sprawiał wrażenie otwartej przestrzeni - mniej klaustrofobicznej, ale bardziej niebezpiecznej. Powietrze zdawało się lżejsze, uderzenia deszczu o ekran mniej intensywne. Na otwartym terenie żuki nabrały nawet prędkości. Wydawało mi się, że poczyniliśmy postępy...

i ryzykowaliśmy.

Warunkowanie Emisariusza domagało się uwagi. Tuż za horyzontem percepcji wyczuwałem kłopoty. Wkrótce nadejdzie cios.

Trudno powiedzieć, jakie strzępy szczegółów z podświadomości obudziły je tym razem. Funkcjonowanie intuicji Emisariusza nawet w najlepszych przypadkach zależy od nastroju, a całe miasto od chwili opuszczenia przyczółka robiło na mnie wrażenie pułapki.

Ale nie ignoruje się takich wskazówek.

Nie ignoruje się ich, kiedy już setki razy ratowały człowiekowi życie na światach tak odległych i różnych jak Sharya i Adoracion. Kiedy wbudowane są w samą istotę tego, kim się jest, ukryte głębiej od wspomnień z dzieciństwa.

Moje oczy nieustannie skanowały tarasy. Prawą rękę trzymałem luźno nad konsolą uzbrojenia.

Zbliżaliśmy się do wraku skorpionowego działa.

Prawie połowa drogi.

Tam!

Błysk analogu adrenaliny, fala przez syntetyczny układ. Wyciągnąłem dłoń do sterowania ogniem...

Nie.

To tylko chwiejące się kwiaty wyrosłe w szczelinie rozerwanego pancerza działa. Deszcz pochylał je łagodnie ku ziemi.

Znów zacząłem oddychać. Przejechaliśmy obok działa i minęliśmy połowę drogi. Wrażenie nadciągającego uderzenia nadal mi towarzyszyło.

- Wszystko w porządku, Micky? - Głos Sylvie w moim uchu.

- Tak. - Potrząsnąłem głową. - To nic takiego.

Za moimi plecami trochę ciałniej przytulił się do mnie trup Jadwigi.

Bez problemów dotarliśmy do świątyni. Nad naszymi głowami piętrzyły się ukośnie wzniesione kamienie, wiodąc wzrok w górę, ku olbrzymimi figurami bębniarzy daiko. Stromo wygięte struktury wspierały jakby pijane słupy, łącząc się gładko z podłogą ze stopionego szkła. Światło wpadało z bocznych okienek, a ciekący strumieniami z dachu deszcz rozpryskiwał się gdzieś głębiej w mroku. Orr pchnął żuka do środka w sposób, który wydał mi się przesadnie brawurowy.

- Nada się - zawołała Sylvie dostatecznie głośno, by jej głos odbił się echem od ścian. Wstała, opierając się na ramieniu Orra, i miękko zeskoczyła na podłogę obok żuka. - Tylko się pospieszcie.

Lazło zszedł z tyłu żuka Kiyoki i kręcił się chwilę, najwyraźniej skanując słupy wspierające świątynię. Orr i Kiyoka zaczęli zsiadać.

- Co my tu... - zacząłem i urwałem, czując tępą ciszę komunikatora w uchu. Wyhamowałem żuka, ściągnąłem słuchawkę i spojrzałem na nią. Mój wzrok przeskoczył na lików i to, co robili. - *Hej!* Powie mi ktoś, co się tu, do cholery, dzieje?

Kiyoka posłała mi uśmiech. Niosła pas obwieszony dostateczną ilością ładunków wybuchowych, by...

- Nie ruszaj się, Micky - powiedziała spokojnie. - Za chwilę skończymy.

- Tu - mówił Lazlo. - Tu. I tutaj. Orr?

Olbrzym machnął ręką z drugiego końca opuszczonej przestrzeni.

- Pasuje. Mapuje się tak, jak wyliczyłaś, Sylvie. Najwyżej parę więcej.

Umieszczali ładunki wybuchowe.

Przyglądałem się wysoko sklepionemu budynkowi.

- O nie. O nie, *jaja* sobie ze mnie robicie. - Zacząłem się uwalniać z trupiego uchwytu Jadwigi

na moich piersiach. - Sylvie!

Spojrzała z miejsca, gdzie przyklekła przed czarną torbą złożoną na szklanej podłodze. Osłonięte wyświetlacze pokazywały stosy wielobarwnych danych, zmieniające się w miarę, jak jej palce przeskakiwały po kontrolkach.

- Tylko kilka minut, Micky, to wszystko, czego nam trzeba. Dźgnąłem kciukiem do tyłu, na Jadwigę.

- Ściągnij ze mnie to cholerstwo, zanim je rozwalę, Sylvie.

Westchnęła i wstała. Jadwiga puściła mnie i zachwiała się. Wykręciłem się na siodelku żuka i złapałem ją, zanim zleciała na podłogę. Prawie równocześnie dotarła do mnie Sylvie. Kiwnęła głową.

- Dobra. Chcesz pomóc?

- Chcę wiedzieć, co się tu, do cholery, dzieje.

- Później. W tej chwili możesz wyciągnąć nóż, który oddałam ci w Tekitomurze, i wyciąć dla mnie stos z kręgosłupa Jadwigi. Świetnie sobie z tym radzisz, a wiem, że nikt z nas nie ma na to ochoty.

Spojrzałem na martwą kobietę, którą podtrzymywałem. Zwisiała na moich rękach twarzą w dół, spadły jej okulary przeciwsłoneczne. Jedno z oczu błyszczało w słabym świetle.

- Teraz chcesz, żebym wyciął stos?

- Tak, teraz. - Jej oczy przeskoczyły, by sprawdzić wyświetlacz siatkówkowy. Sprawdziała czas.

- W ciągu najbliższych trzech minut, bo tylko tyle nam zostało.

- Z tej strony wszystko gotowe - zawołał Orr.

Zsiadłem z żuka i opuściłem Jadwigę na szkło. Nóż pojawił się w mojej dłoni, jakby stanowił jej przedłużenie. Przeciąłem ubranie trupa przy karku i odciągnąłem je, by odsłonić blade ciało pod spodem. Potem włączyłem klingę.

Na jej dźwięk inni odruchowo obejrżeli się w moją stronę. Odpowiedziałem spojrzeniem, a potem opuściłem wzrok.

Górna część kręgosłupa Jad wyszła po kilku sprawnych cięciach i lekkim podważeniu. Towarzyszący temu zapach nie był przyjemny. Wytarłem nóż w jej ubranie i schowałem go, przyglądając się poplamionym tkanką kręgom. Wstałem. Orr podszedł do mnie długimi krokami i wyciągnął rękę.

- Ja to wezmę. Wzruszyłem ramionami.

- Proszę bardzo.

- Wszystko gotowe. - Sylvie, która znów pochylała się przy przenośnej jednostce, zamknęła coś stanowczym gestem. Wstała. - Ki, chcesz pełnić honory?

Kiyoka podeszła i stanęła obok mnie, patrząc w dół na okaleczone ciało Jad. W ręce trzymała gładkie szare jajo. Przez zdawało się bardzo długą chwilę wszyscy staliśmy w ciszy.

- Czas mija, Ki - odezwał się cicho Lazlo.

Kiyoka uklękła przy głowie Jadwigi i umieściła granat w miejscu, z którego wyciąłem jej stos. Kiedy wstała, coś poruszyło się na jej twarzy.

Orr dotknął łagodnie jej ramienia.

- Będzie jak nowa - powiedział. Spojrzałem na Sylvie.

- Więc jak, powiecie mi wreszcie, jakie macie plany?

- Jasne. - Sylvie kiwnęła głową w stronę konsoli. - Obmyśliliśmy sposób ucieczki. Ta infomina wybuchnie za parę minut, oślepiając wszystkie czujniki i skanery w okolicy. Jeszcze minuta i wybuchną ładunki. Wszędzie rozprysną się strzępy Jad, potem runą słupy. A my znikniemy tylnymi

drzwiami. Mamy ekranowane silniki, możemy jechać na pulsie EMP i zanim koty z powrotem uruchomią skanery, będziemy już niewidoczni. Znajdą dość ciała Jad, by wyglądało na to, że uaktywniliśmy gniazdo karakuri albo inteligentną bombę i odparowało nas w wybuchu. Co znów zrobi z nas niezależnych agentów. Tak, jak lubimy.

Potrząsnąłem głową.

- To najgorszy plan, jaki w życiu słyszałem. A co jeśli...

- Hej. - Orr rzucił mi wrogie spojrzenie. - Nie podoba ci się, to możesz tu zostać.

- Skiper. - Znów Lazlo, tym razem pełnym napięcia głosem. - Może zamiast rozmawiać, zabierzemy się wreszcie do roboty? I to w ciągu najbliższych dwóch minut. Jak myślisz?

- Tak. - Kiyoka spojrzała na porzucone ciało Jadwigi i odwróciła wzrok. - Wynośmy się stąd.

Już.

Sylvie kiwnęła głową. Załoga wsiadła na żuki i ruszyliśmy formacją w stronę dźwięku spadającej wody z tyłu świątyni. Nikt się nie obejrzał.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jak zdołaliśmy stwierdzić, plan zadziałał idealnie.

Byliśmy dobre pięćset metrów po drugiej stronie świątyni, kiedy odpaliły ładunki. Najpierw przytłumiona seria wybuchów, a potem dudnienie narastające do ryku. Wykręciłem się na siedzeniu - Jadwiga tkwiła w kieszeni Orra, a nie siedziała za mną, więc nic nie przesłaniało mi pola widzenia - i w wąskim przesmyku ulicy zobaczyłem, jak cała struktura opada na ziemię w kłębach wznoszącego się pyłu. Minutę później wjechaliśmy tunelem poniżej poziomu ulicy i straciłem nawet ten częściowy widok.

Zrównałem się z pozostałymi żukami.

- Wszystko zaplanowaliście? - zapytałem. - Przez cały czas wiedzieliście, że tak to właśnie rozegracie?

Sylvie ponuro skinęła głową w słabym świetle tunelu. W przeciwieństwie do świątyni, tutaj efekt nie był zamierzony. Rozpadające się płytki iluminowane na suficie rzucały w dół resztki niebieskawego blasku, ale światła było mniej niż w noc z trzema księżycami i czystym niebem. Na żukach zapaliły się światła nawigacyjne. Korytarz skręcił w prawo i straciliśmy z oczu resztkę światła dnia sączącego się przez wejście za naszymi plecami. W powietrzu powiało chłodem.

- Jeździliśmy tędy już pół setki razy - mruknął Orr. - Ta świątynia za każdym razem prosiła się o to, żeby ją wysadzić. Po prostu wcześniej nie musieliśmy przed nikim uciekać.

- Cóż, dzięki, że mnie wtajemniczyliście.

Odpowiedział mi ich śmiech.

- Rzecz w tym - odezwał się Lazlo - że nie mogliśmy cię wprowadzić w obieg bez komunikacji słuchowej w czasie rzeczywistym, a to było nam nie na rękę. Skiper wyjaśniła nam wszystko przez sieć załogową w jakieś piętnaście sekund. Tobie musielibyśmy powiedzieć to zwyczajnie, słowami. A biorąc pod uwagę ilość najwyższej klasy sprzętu nasłuchowego na przyczółku, nigdy nie wiadomo, kto jeszcze by się dowiedział.

- Nie mieliśmy wyboru - dodała Kiyoka.

- Żadnego wyboru - powtórzyła Sylvie. - Spalone ciała i krzyki pod niebiosa... a oni mówią mi... mówię sobie... - Odchrząknęła. - Przepraszam. Znów mi się wymknęło. Muszę zrobić z tym porządek, jak tylko wrócimy na południe.

Kiwnąłem głową w stronę, z której przyjechaliśmy.

- Ile czasu potrwa, zanim ci goście z powrotem ustawią swoje skanery?

Likowie spojrzeli po sobie. Sylvie wzruszyła ramionami.

- Dziesięć, piętnaście minut, w zależności od zabezpieczeń, jakie mają w sofcie.

- Ich strata, jeśli w tym czasie pojawią się karakuri, co?

Kiyoka prychnęła. Lazlo uniósł brwi.

- Tak, zgadza się - burknął Orr. - Ich strata. To Nowe Hokkaido, lepiej przywyknij.

- W każdym razie, słuchaj - wtrąciła Kiyoka cierpliwie i spokojnie. - W Dravie nie ma cholernych karakuri. Nie mogłyby...

Metaliczne uderzenia gdzieś z przodu.

Kolejna wymiana pełnych napięcia spojrzeń. Na wszystkich trzech żukach rozjarzyły się konsole uzbrojenia, prawdopodobnie przełączone w stan gotowości przez komendę Sylvie, a nasz mały konwój gwałtownie się zatrzymał. Orr wyprostował się na siodełku.

Przed nami w mroku pojawił się cień porzuconego pojazdu. Wokół nic się nie poruszało. Gorączkowe metaliczne dźwięki dobiegały gdzieś zza następnego zakrętu tunelu.

Lazlo uśmiechnął się w słabym świetle.

- Coś mówiłaś, Ki?

- Hej - powiedziała słabo. - Jestem otwarta na sugestie. Walenie ustało. Rozbrzmiało znowu.

- Co to, do cholery, jest? - wymamrotał Orr. Twarz Sylvie nie zdradzała uczuć.

- Cokolwiek to jest, mina informacyjna powinna to załatwić. Las, zarób wreszcie na swoją pensję elastyka.

- Jasne. - Lazlo mrugnął do mnie i zeskoczył z siedzenia za Kiyoka. Rozprostował palce i wygiął je, aż strzeliły kostki. - Gotowy, olbrzymie?

Orr kiwnął głową, zsiadając. Otworzył schowek żuka i wyciągnął z niego półmetrowy łom. Lazlo znów się uśmiechnął.

- W takim razie, panie i panowie, proszę zapiąć pasy i cofnąć się. *Skanujemy.*

I zniknął, skacząc wzdłuż zakrzywionej ściany tunelu. Trzymał się tej osłony, póki nie dotarł do porzuconego pojazdu, a potem przemknął w bok. W słabym świetle wydawał się nie bardziej realny od własnego cienia. Orr ruszył za nim - potężna postać jaskiniowca z łomem trzymanym nisko w lewej dłoni. Zerknąłem na żuka, na którym pochyłona w przód siedziała Sylvie z zamkniętymi oczami i twarzą oczyszczoną przez mieszanek skupienia, które zdradzało, że korzysta z sieci.

Cóż za poetyczny widok.

Lazlo chwycił element wraku i podciągnął się, po małpiemu niedbale, na dach pojazdu. Znieruchomiał z lekko przechyloną głową. Orr zatrzymał się przy krzywiznie metalu. Sylvie wymamrotała coś cicho i Lazlo się poruszył. Skoczył prosto na dno tunelu i wylądował w biegu. W skos, przez krzywiznę, w stronę czegoś, czego nie widziałem. Orr przeszedł na drugą stronę, rozkładając ręce, żeby utrzymać równowagę. Kolejny ułamek sekundy, pół tuzina szybkich, zdecydowanych kroków do przodu, i on też zniknął z pola widzenia.

Mijały sekundy. Siedzieliśmy i czekaliśmy w niebieskim mroku.

Mijały sekundy.

I...

- ...więc co to, do cholery, jest...?

Głos Sylvie, zmieszany. Narastający w miarę, jak wychodziła z połączenia i znów pozwalała dominować realnym zmysłom. Zamrugała kilka razy i spojrzała w bok, na Kiyokę.

Drobna kobieta wzruszyła ramionami. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że ona też brała w tym udział, podłączona do baletu, któremu przyglądałem się z boku, z ciałem usztywnionym na siodełku żuka, podczas gdy jej wzrok podążał wraz z resztą załogi za ramieniem Lazla.

- Za diabła nie wiem, Sylvie.

- Dobra. - Wzrok dowódcy przesunął się na mnie. - Chyba jesteśmy bezpieczni. Chodź, rzucimy okiem.

Ostrożnie podjechaliśmy żukami do zgięcia tunelu i zsiadliśmy, wbijając wzrok w to, co znaleźli Lazlo z Orrem.

Kłęcząca postać przypominała nieco człowieka. Miała zamontowaną na głównym kadłubie głowę, która wyglądała jak ludzka tylko dlatego, że coś rozerwało osłonę na części i odsłoniło częściowo delikatniejsze struktury pod spodem. W górnej części przeżył pierścień podtrzymujący, niczym aureola unosząc się nad szkieletowym zarysem reszty głowy.

Postać miała też kończyny, mniej więcej w miejscach, gdzie należałoby się ich spodziewać u istoty ludzkiej, ale było ich dość, by sugerować przynależność raczej do owadów niż ssaków. Po jednej stronie głównej części kadłuba bezwładnie spoczywały dwa z czterech ramion, w jednym przypadku przypalone i rozerwane na części. Po drugiej stronie jedno z ramion zostało oderwane od

przyległego pancerza, a dodatkowe dwa wyraźnie nie były w stanie działać. Wciąż próbowały się zginać, ale przy każdej próbie po odsłoniętych obwodach strzelały iskry, aż w końcu kończyny zadygotały i znieruchomiały. Błyskające światła rzucały spazmatyczne cienie na ściany.

Nie było jasne, czy cztery dolne kończyny tego tworu w ogóle funkcjonowały, ale kiedy się zbliżaliśmy, nie próbował wstać. Trzy sprawne ramiona po prostu zwiększyły wysiłki, by osiągnąć coś nieokreślonego we wnętrzu metalowego smoka spoczywającego na dnie tunelu.

Druga maszyna miała cztery zamocowane po bokach potężne nogi kończące się szponiastymi stopami, długą kanciastą głowę pełną wielolufowej broni pomocniczej i zakończony kolcem ogon, który mogła wbijać w ziemię, by zwiększać stabilność. Wyposażono ją nawet w skrzydła - wykrzywione w górę rusztowania wyrzutni, zaprojektowanych do pomieszczenia sporej porcji rakiet.

Była martwa.

Coś wyorało potężne, równoległe bruzdy w lewym boku, a nogi poniżej uszkodzeń się załamały. Wyrzutnie wygięły się z ustawienia, a głowa leżała wykręcona na bok.

- Wyrzutnia komodo - stwierdził Lazlo, ostrożnie przyglądając się potworowi. - I jednostka techniczna karakuri. Przegrałaś, Ki.

Kiyoka potrzęsnęła głową.

- To nie ma pieprzonego sensu. Po co to tutaj wsadzili? I co to w ogóle *robiło*!

Karakuri przekrzywiło głowę w jej stronę. Jego działające ramiona wypełzły z otworu w boku smoka i uniosły się nad nim w dziwacznym, ochronnym geście.

- Naprawiało coś? - zasugerowałem.

Orr wybuchnął śmiechem.

- Jasne. Karakuri naprawiają maszyny tylko do pewnego etapu. Później wyciągają części. Sprzęt, który tak oberwał, rozebrałyby na części, żeby spółdzielnia zrobiła coś nowego. Nie próbowałby go *naprawiać*.

- I druga sprawa... - Kiyoka powiodła ręką dookoła. - Mechaniczne lalki nie łązą tak daleko same. Gdzie są pozostałe? Sylvie, niczego nie rejestrujesz, prawda?

- Niczego. - Sylvie w zadumie rozejrzała się po tunelu. Niebieskie światło odbiło się od srebrnych pasm jej włosów. - Nie ma tu nic więcej.

Orr mocniej zacisnął dłoń na łomie.

- To co, wyłączymy to, czy jak?

- Nagroda i tak nie byłaby wiele warta - burknęła Kiyoka. - Nawet gdybyśmy mogli to zgłosić, co raczej nie jest możliwe. Czemu nie zostawić tego dla kotów?

- Nie idę dalej tym tunelem - oświadczył Lazlo - jeśli to coś zostanie mi za plecami. Wyłącz to, wielkoludzie.

Łom błysnął w powietrzu i z nieludzką prędkością spadł wprost na resztki głowy karakuri. Metal trzasnął i pękł. Aureola odpadła, odbiła się od dna tunelu i odturlała gdzieś w mrok. Orr wyciągnął pręt i znów się zamachnął. Jedno z maszynowych ramion uniosło się obronnym gestem - łom rozpląszczył je na resztkach głowy. W upiornej ciszy karakuri usiłowało wznieść dolne kończyny, które jak się przekonałem, były nieodwracalnie zniszczone. Orr prychnął, uniósł nogę w ciężkim bucie i mocno przydepnął. Maszyna wyróciła się z trzaskiem. Olbrzym uderzał dalej, trzymając łom z brutalnością, która zdradzała długą praktykę.

Trochę to trwało.

Kiedy Orr skończył, a we wraku u jego stóp przestały strzelać iskry, olbrzym wyprostował się i otarł czoło. Oddychał ciężko. Znów zerknął na Sylvie.

- Wystarczy?

- Tak, wyłączyłeś to. - Wróciła do żuka, który z nim dzieliła. - Chodź, lepiej się stąd wynośmy.

Kiedy wsiadaliśmy, Orr zauważył, że mu się przyglądam. Życzliwie uniósł brwi i wydał policzki.

- Nie znoszę rozwalać ich ręcznie - powiedział. - Zwłaszcza po tym, jak wydałem ostatnie kredyty na lepsze blastery.

Wolno pokiwałem głową.

- Rozumiem. To musi być dla ciebie trudne.

- Ech, będzie lepiej, kiedy dotrzemy do Nieoczyszczonych. Zobaczysz. Mnóstwo miejsca, wolno używać sprzętu, nie trzeba się kryć z emisją. Mimo wszystko... - wskazał na mnie łomem - jeśli będziemy musieli załatwić ręcznie jeszcze jedną taką maszynkę, jesteś w załodze. Możesz wyłączyć następnego.

- Dzięki.

- Hej, drobiazg. - Podał łom przez ramię do Sylvie, która go schowała. Żuk zadygotał pod jego dłońmi i ruszył do przodu, mijając wrak zniszczonego karakuri. Orr znów uniósł brwi i uśmiechnął się. - Witaj u lików, Micky.

CZEŚĆ II

TO KTOŚ INNY

*Jak cudze rękawiczki załóż nowe ciało
I znów przypal sobie palce*

GRAFFITI W BAY CITY
na ławce przed główną przechowalnią karną

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Szum statyki. Otwarty kanał ogólny.

- Słuchajcie - powiedziało rozsądnie działo skorpionowe. - To nie ma sensu. Czemu po prostu nie zostawicie nas w spokoju?

Westchnąłem i zmieniłem nieco ułożenie kończyn ściśniętych w ciasnocie występu. Zimny wiatr od bieguna świstał na zerodowanych urwiskach, chłodząc mi twarz i dłonie. Niebo w górze przybrało standardową szarość Nowego Hokkaido, mizerne północne światło dnia już przygasало. Trzydzieści metrów w dole pod skałą, do której przywarłem, długie rumowisko schodziło do właściwego dna doliny, w stronę zakola rzeki i małej grupki archaicznych kanciastych baraków, składających się na porzuconą quellistowską placówkę nasłuchową. Gdzie siedzieliśmy godzinę temu. Dym unosił się jeszcze nad rozbitym budynkiem, w który działo samobieżne wpakowało ostatni inteligentny pocisk. To by było na tyle, jeśli chodzi o zaprogramowane parametry.

- Zostawcie nas w spokoju - powtórzyło. - A my odwzajemnimy się tym samym.

- Nie możemy tego zrobić - powiedziała cicho Sylvie głosem łagodnym i pozbawionym emocji, utrzymując załogowe łącze w bojowym stanie gotowości i szukając luk w systemie artyleryjskim spółdzielni. Umysł wysłała w pajęczą sieć świadomości rozpostartej po okolicy jak jedwabna chustka spuszczone na podłogę. - Wiesz o tym. Jesteś zbyt niebezpieczny. Cały twój system jest nam wrogi.

- Właśnie. - Musiałem przyzwycząić się do nowego śmiechu Jadwigi. - Zresztą, chcemy pieprzonej ziemi.

- Istotą umocnienia pozycji - wtrąciła drona propagandowa siedząca w jakimś bezpiecznym miejscu w górę rzeki - jest utrzymanie własności ziemi w ramach parametrów wspólnego dobra. Ekonomiczna konstytucja dobrobytu...

- To wy jesteście tu agresorami. - Działo skorpionowe przerwało tekst drony, wyraźnie zniecierpliwione. Zaprogramowano mu silny akcent z Millsport, przypominający mi nieco świętej pamięci Yukio Hirayasu. - Prosimy tylko, żebyście zostawili nas w spokoju i pozwolili żyć jak przez ostatnie trzy stulecia.

- Och, daj *spokój* - prychnęła Kiyoka.

- To tak nie działa - burknął Orr.

Zdecydowanie nie działało. W ciągu pięciu tygodni od kiedy wypełziliśmy z przedmieść Dravy i zapuściliśmy się w Nieoczyszczone, Ślizgacze Sylvie zniszczyli w sumie cztery spółdzielnie i ponad tuzin indywidualnych autonomicznych wimów różnych kształtów i rozmiarów, nie wspominając już o tym, że zagarnęli sporo zakonserwowanego sprzętu, który znaleźliśmy w bunkrze dowodzenia, gdzie zyskałem nowe ciało. Nagrody zebrane przez Sylvie i jej przyjaciół były ogromne. Przy założeniu, że udałoby im się uporać z wrogością Kurumayi, na jakiś czas byłiby bogaci.

W pewien sposób dotyczyło to również mnie.

- ...ci, którzy bogacą się na wyzysku tego związku, nie mogą pozwolić na ewolucję prawdziwej demokracji...

Drona ma rację co do cholernego słowa.

Podkreśliłem neurochemię oczu i przeskanowałem dno doliny w poszukiwaniu znaków spółdzielni. W porównaniu ze współczesnymi standardami, rozszerzenia nowego ciała były dość ograniczone - na przykład nie miałem wyświetlacza z zegarem w rodzaju tych, jakie montuje się teraz nawet w najtańszych syntetycznych powłokach - ale działały elegancko. Quellistowska baza pojawiła się w polu widzenia na wyciągnięcie ręki. Przyglądałem się szczelinom między budynkami.

- ...w zmaganiach, które rodziły się wciąż na nowo w każdym miejscu, gdzie zdołała dotrzeć rasa ludzka, ponieważ w każdym z tych miejsc znajdują się zalążki...

Ruch.

Skulone skupiska kończyn jak olbrzymie, świadome insekty. Przednia straż karakuri, zwiad. Rozwierają tylne drzwi baraków z siłą otwieraczy do puszek, wsuwają się do środka i znów wyłażą na zewnątrz. Naliczyłem siedem. Około jedna trzecia ich stanu - Sylvie oceniła siłę ofensywną spółdzielni na blisko dwadzieścia mechanicznych lalek i trzy pajęczce czołgi, z których dwa zmontowano z części zapasowych, oraz oczywiście broń samobieżną i działo skorpionowe.

- W takim razie nie dajecie mi wyboru - oznajmiło nam ono właśnie. - Muszę natychmiast zareagować na wasze wtargnięcie.

- Jasne - odpowiedział Lazlo, ziewając. - Będziesz próbować. Więc bierzmy się do tego, blaszany kolego.

- Już się za to zabrałem.

Delikatne drżenie na myśl o sunącej ku nam w górę doliny zabójczej broni, wypatrującej śladów wrażliwymi na ciepło oczami. Tropiliśmy spółdzielnię wimów w tych górach już od dwóch dni i nagłe odwrócenie się ról nie było przyjemne. Strój maskujący z kapturem, który włożyłem, blokował promieniowanie ciała, a twarz i dłonie miałem obficie posmarowane kameleonochromowym polimerem o bardzo zbliżonym działaniu, ale z trudem opanowałem uczucie, że zostałem zapędzony do kąta.

To tylko pieprzony lęk wysokości, Kovacs. Opanuj się.

Mało zabawna ironia mojego nowego życia w Nieoczyszczonych. Obok standardowego biotechnu bojowego moją powłokę - Eishundo Organics, cokolwiek by to nie było - wyposażono w przystosowania gekogenowe we wnętrzu dłoni i na stopach. Mogłem - zakładając, że w ogóle miałbym na to ochotę - wspiąć się po stumetrowym urwisku z wysiłkiem, jakiego większość ludzi potrzebowałaby na wejście po drabinie. Przy lepszej pogodzie mogłem przyklejać się do podłoża bosymi stopami, podwajając siłę zaczepu, ale nawet w warunkach, jakie teraz panowały, potrafiłbym wisieć tam praktycznie w nieskończoność. Miliony maleńkich, stanowiących efekt inżynierii genetycznej haczyków w dłoniach twardo wczepiało się w skałę, a idealnie dostrojony układ mięśniowy wprost ze zbiornika wymagał tylko okazjonalnych zmian pozycji, żeby przełamać zmęczenie długotrwałego wysiłku. Upowłokowiona w zbiorniku obok Jadwiga, która nadal walczyła z napięciem zmiany ciała, pisnęła z radości na całe gardło, odkrywając te umiejętności powłoki, po czym przez resztę popołudnia łąziła po ścianach i suficie bunkra niczym jaszczurka po tetramecie.

Osobiście nie lubię dużych wysokości.

To dość powszechna przypadłość na planecie, gdzie nikt nie wzbija się w powietrze z obawy przed anielskim ogniem. Warunkowanie Emisariusza wyłącza strach z mocą potężnej prasy hydraulicznej, ale to nie eliminuje miliardów macek ostrożności i niechęci, którymi na co dzień osłaniamy się przed naszymi fobiami. Siedziałem na klifie już prawie od godziny i byłem prawie gotów odsłonić się przed działem skorpionowym, jeśli tylko wynikła z tego strzelanina pozwoliłaby mi zejść na dół.

Przeniósłem spojrzenie na północną część doliny. Jad była gdzieś tam, czekając. Odkryłem, że prawie mogę ją wyczuć. Zamaskowana jak ja, była zdecydowanie bardziej opanowana, ale i tak brakowało jej wewnętrznego sprzętu, który umożliwiłby ścisłą komunikację z Sylvie i resztą załogi. Podobnie jak ja, musiała się zadowolić mikrofonem indukcyjnym i kodowanym kanałem audio podłączonym do sieci załogowej Sylvie. Niewielkie ryzyko, że wimy zdołają złamać szyfr - były dwieście lat za nami w dziedzinie kryptografii i przez większość czasu nie musiały łamać wzorów

ludzkiej mowy.

W polu widzenia pojawiło się działo skorpionowe. Pokryte podobnym maskowaniem khaki jak karakuri, było dostatecznie masywne, by dostrzec je nawet bez podkreślonej wizji. Oddaliło się ledwie kilometr od quellistowskiej bazy, ale przeszło już przez rzekę i sunęło przez wyżynny teren po południowej stronie, bez trudu obserwując pospiesznie osłonięte pozycje reszty załogi w dole rzeki. Umieszczona na ogonie główna broń, od której maszyna przybrała nazwę, ustawiona była na ostrzał horyzontalny.

Włączyłem kanał kodowany i wymamrotałem do mikrofonu indukcyjnego:

- Sylvie, kontakt. Będziemy musieli zrobić to teraz, albo się wycofać.

- Spokojnie, Micky - odparła. - Już wchodzę. A chwilowo nic nam nie grozi. Przecież nie zacznie strzelać na oślep po całej dolinie.

- Jasne. O ile pamiętam, miało też nie strzelać w quellistowską instalację, ze względu na zaprogramowane parametry. Pamiętasz?

Krótką przerwą. Usłyszałem, jak Jadwiga zaczyna gdakać w tle. Na kanale ogólnym wciąż nadawała drona propagandowa. Sylvie westchnęła.

- No więc źle oceniłam ich program polityczny. Wiesz, ile wrogich frakcji walczyło tu w trakcie Niepokojów? I wszystkie kłóciły się ze sobą, zamiast walczyć z siłami rządowymi. Wyobrażasz sobie, jak trudno jest odróżnić je od siebie na poziomie kodu retorycznego? To pewnie jakiś przechwycony sprzęt rządowy, przekodowany przez któryś z cholernych paraquellistowskich odłamów po Alabardos. Może przez Front 17 Listopada albo Rewizjonistów Dravy. Skąd mam, do diabła, wiedzieć?

- Kogo to, u diabła, obchodzi? - dorzuciła Jadwiga.

- Nas - zauważyłem. - Gdybyśmy godzinę temu jedli śniadanie dwa budynki w lewo...

Byłem niesprawiedliwy - to Sylvie zawdzięczaliśmy fakt, że inteligentny pocisk nas nie trafił. Kiedy zamknąłem oczy, widziałem każdy szczegół tamtej chwili. Sylvie zrywając się nagle z miejsca przy stole z pustą twarzą i umysłem wysłanym w przestrzeń, by pochwycić cichy elektroniczny sygnał nadlatującego pocisku, który tylko ona zdołała odebrać. Wysyłającą z maszynową prędkością wirusowe transmisje zagłuszające. Kilka sekund później usłyszałem donośny świst opadającej ku nam z nieba inteligentnej głowicy.

- *Popraw!* - wrzasnęła do nas z pustymi oczami, głosem wzmocnionym do krzyku i pozbawionym ludzkich uczuć. To był odruch, centra mowy w mózgu pobudzone w analogii do tego, co pompowała na poziomach transmisji, jak człowiek gestykulujący żywiołowo podczas rozmowy łączem audio. - *Popraw te pieprzone parametry.*

Pocisk uderzył.

Przytłumiony grzmot wybuchu pierwotnego ładunku, deszcz lekkich odłamków bijący w dach nad naszymi głowami, a potem cisza. Sylvie zablokowała główny ładunek pocisku, izolowała go od detonatora protokołami blokady awaryjnej wykradzionymi z jego prymitywnego mózgu. Zapieczętowała go i zabiła wirusowymi wtyczkami lików.

Rozprysaliśmy się po dolinie jak nasiona pięknorostów z puszek. Potem zbliżyliśmy się niepewnie szykiem przeciwiczonym na wypadek zasadzki, z elastykami szeroko z przodu, podczas gdy Sylvie i Orr trzymali się z tyłu, jadąc na żukach. Musieliśmy się zamaskować, ukryć i czekać, podczas gdy Sylvie szykowała w głowie uzbrojenie i sięgała ku zbliżającemu się przeciwnikowi.

- ...nasi bojownicy wyłonią się ze zwykłego życia, by zniszczyć strukturę, która od stuleci...

Teraz dostrzegłem po drugiej stronie rzeki pierwszy z pajęczych czołgów. Wieżyczka skanująca z lewa na prawo, ustawiona na skraju roślinności przy brzegu wody. W porównaniu z masywnym

działem skorpionowym pajęcze czołgi wyglądały bardzo łycho, nawet mniejsze od załogowych wersji, które mordowałem na światach w rodzaju Sharyi i Adoracion, ale były świadome i gotowe do walki w sposób, jakiego nigdy nie osiągnęłaby ludzka załoga. Niechętnie czekałem na najbliższe piętnaście minut.

Głęboko w mojej powłoce niczym wąż poruszyła się chemia bojowa, wyzywając mnie od kłamców.

Drugi czołg, potem trzeci weszły ostrożnie w szybki nurt rzeki. Karakuri przemknęły na brzegu obok nich.

- Zaczynamy, ludzie. - Ostry szept przeznaczony dla mnie i Jadwigi. Reszta już wiedziała, powiadomiona wewnętrznymi łączami w czasie krótszym, niż potrzeba na sformowanie świadomej myśli. - Przez główne deflektory. Ruszać na mój rozkaz.

Samobieżne działo minęło już skupisko baraków. Lazlo i Kiyoka zajęli pozycje blisko wody, niecałe dwa kilometry od bazy w dół biegu rzeki. Straż przednia karakuri musiała być już praktycznie przy nich. Krzewy i długa srebrzysta trawa porastająca dolinę poruszały się w tuzinie miejsc, którymi przechodziły. Reszta trzymała się większych dział.

- Teraz!

Wśród drzew w dole rzeki wykwitł ogień, blady i gwałtowny. Orr strzelał w pierwsze z mechanicznych lalek.

- Wal! Wal!

Wiodący czołg pajęczy zachwiał się lekko w wodzie. Już byłem w ruchu, w drodze w dół skały, którą zmapowałem kilkadziesiąt razy, czekając pod nawisem. Pęd sekund. Powłoka Eishundo przejęła kontrolę nad umysłem i umieszczała moje stopy i dłonie w wybranych miejscach z idealną precyzją. Przeskoczyłem ostatnie dwa metry i spadłem na zbocze osypiska. Omal nie skręciłem kostki na nierównym podłożu - awaryjne serwa ścięgien zablokowały ją i powstrzymały. Wyprostowałem się i popędziłem sprintem.

Wieżyczka czołgu wycelowwała w moją stronę. Skała rozprysła się w miejscu, gdzie stałem przed chwilą. Odłamki dźgnęły mnie w plecy i rozdarły policzek.

- Hej!

- Przepraszam. - Wysięk w jej głosie brzmiał jak hamowane łyzy. - Koryguję.

Następny strzał poszedł ostro nad moją głową, może celując w jakiś spóźniony o sekundy obraz mojego zejścia ze ściany klifu, który Sylvie wepchnęła w program celowniczy. A może był to po prostu strzał na oślep w maszynowym odpowiedniku paniki? Parsknąłem z ulgą, wyciągnąłem z kabury na plecach blaster odłamkowy typu Ronin i ruszyłem na wimy.

Bez względu na to, co Sylvie zrobiła z systemami spółdzielni, działało to cholernie skutecznie. Czołgi pajęcze chwiały się jak pijane, strzelając czasem na ślepo w niebo i stoki otaczające dolinę. Wokół nich miotaly się karakuri, jak szczury na tonącej tratwie. Działo skorpionowe stało pośród chaosu najwyraźniej unieruchomione, przysiadłszy nisko na zawieszaniu.

Dotarłem do niego w niecałą minutę, wyzyskując do granic beztlenowe możliwości biotechnu powłoki. Piętnaście metrów przed nim na mojej drodze znalazł się na wpół działający karakuri, machający niepewnie górnymi kończynami. Strzeliłem do niego lewą ręką z ronina, usłyszałem miękkie kaszlnięcie blastera i dostrzegłem burzę monomolekularnych strzepów rozrywających go na kawałki. Strzelba odłamkowa wprowadziła do komory następny pocisk. Ta broń kończyła życie mniejszych wimów, ale działo skorpionowe było ciężko opancerzone i jego wewnętrznych układów nie dało się zniszczyć ogniem kierunkowym.

Dobiegłem do niego, walnąłem w metalowy bok miną wibracyjną i spróbowałem uskoczyć,

zanim wybuchnie.

I coś się zepsuło.

Działo skorpionowe rzuciło się w bok. Uzbrojenie na jego grzbiecie obudziło się nagle do życia i przekręciło. Jedna z potężnych nóg rozprostowała się i kopnęła. Planowane czy nie, kopnięcie zahaczyło o moje ramię, pozbawiło mnie czucia w ręce i rzuciło na trawę. Zdrętwiałe palce wypuściły blaster.

- Kurwa.

Działo znów się poruszyło. Podniosłem się na kolana i kątem oka dostrzegłem ruch. Wysoko na pancerzu wieżyczka pomocnicza próbowała skierować na mnie karabiny maszynowe. Dostrzegłem leżący w trawie blaster i schyliłem się do niego. Do moich mięśni strumieniem popłynęły bojowe chemikalia, w ręce wróciło czucie. Nade mną, na korpusie samobieżnego działa wieżyczka rozpoczęła ostrzał, rozrywając na strzępy ziemię. Chwyciłem blaster i gorączkowo przetoczyłem się z powrotem w stronę skorpiona, próbując dostać się poza zasięg ognia. Burza maszynowego zniszczenia szła moim śladem, orząc glebę i rozrywając roślinność. Lewą ręką osłoniłem oczy, a prawą uniosłem ronina i strzeliłem na oślep, kierując się dźwiękiem broni. Bojowe warunki musiało umieścić strzał gdzieś blisko - deszcz pocisków ustał.

I obudziła się ultradźwiękowa mina.

Przypominało to chmurę chrząszczy w opętańczym locie powiększoną setki razy na użytek jakiejś sensorii dokumentalnej. Zgrzytliwa, skrzecząca eksplozja dźwięku, gdy bomba zrywała wiązania molekularne i zmieniała metrowej średnicy sferę opancerzonej maszynierii w żelazny pył. Z otworu po minie trysnęła chmura metalicznego proszku. Ruszyłem tyłem wzdłuż boku skorpiona, wyciągając z pasa drugą bombę. Nie są wiele większe od miseczek na zupe, które przypominają kształtem, ale jeśli ktoś dostanie się w zasięg wybuchu, zostaje z niego pasta.

Pisk pierwszej miny ucichł, gdy jej pole zapadło się do środka, a ona sama zmieniła się w proch. Z potężnej dziury buchnął dym. Zerwałem bezpiecznik z nowej miny i wsadziłem ją do dziury. Nogi działa rozprostowały się i zaczęły deptać nieprzyjemnie blisko miejsca, gdzie kucąłem, ale wyglądało to na spazmy. Wim stracił poczucie kierunku i nie potrafił określić, skąd go zaatakowano.

- Hej, Micky. - Na kodowanym kanale głos Jadwigi zabrzmiał na zmieszany. - Potrzeba ci pomocy?

- Chyba nie. A tobie?

- Nie, sam powinieneś zobaczyć... - Resztę zagłuszył pisk drugiej miny. Przebity kadłub rzygnął nową chmurą pyłu i fioletowymi iskrami. Na kanale ogólnym działa skorpionowe zaczęło wznosić elektroniczne zawrodożenie po tym, jak ultrawibracje dotarły głębiej w jego wnętrzości. Poczulem, jak włoski na rękach jeżą mi się od tego dźwięku.

W tle ktoś krzyczał. Brzmiało to jak wrzask Orra.

Coś wybuchło we wnętrzościach działa i pewnie odrzuciło minę, bo niemal w tej samej chwili urwały się zgrzytliwe owadzie dźwięki. Płacz maszyny zanikł jak krew ściekająca na wyschniętą ziemię.

- Powtórz?

- *Powiedziałem* - wrzasnął Orr - że głowa dowódczym została wyłączona. Powtarzam, Sylvie jest wyłączona. Wynoście się stamtąd w cholerę.

Wrażenie, że przewraca się monumentalna budowla...

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, Orr. - W głosie Jad brzmiał pełen napięcia śmiech. - W tej chwili jesteśmy trochę przytłoczeni.

- Potwierdzam - wychrypiał Lazlo. Używał łącza audio, bo załamanie Sylvie musiało wyłączyć

również sieć załogową. - Daj tu ciężką artylerię, wielkoludzie. Przydałoby się...

Przerwała mu Kiyoka.

- Jad, wytrzymaj chwi...

Coś błysnęło na skraju mojego pola widzenia. Wykręciłem się dokładnie w chwili, gdy karakuri skoczyło na mnie ze wszystkimi ośmioma ramionami wyciągniętymi do chwytu. Tym razem nie kręciło się, zmieszane - mechaniczna lalka pracowała na pełnych obrotach. Usunąłem głowę z drogi brzytwiastego ramienia, które o milimetr minęło moją skroń, i pociągnąłem za spust blastera. Strzał odrzucił karakuri z powrotem w kawałkach, z całkiem zniszczoną dolną sekcją. Na wszelki wypadek strzeliłem jeszcze raz do górnej części, po czym wykręciłem się i obszedłem martwy kadłub skorpionowego działa, mocno trzymając ronina w dłoniach.

- Jad, gdzie jesteś?

- W pieprzonej rzece. - Krótkie, chrzęszczące wybuchy w tle głosu w komunikatorze. - Szukaj zatopionego czołgu i miliona cholernych karakuri, które chcą go odzyskać.

Pobiegłem przed siebie.

* * *

W drodze do rzeki zabiłem jeszcze cztery karakuri - wszystkie poruszały się zbyt szybko, by mogły być uszkodzone. Bez względu na to, co załatwiło Sylvie, nie dało jej czasu, by przejąć pełną kontrolę nad maszynami.

Na łączu głosowym Lazlo wrzeszczał i przeklinał. Brzmiało to tak, jakby odniósł jakieś obrażenia. Jadwiga miotła w stronę wimów równomierny strumień przekleństw, kontrapunktowany mięsistymi przytaknięciami jej blastera.

Przeskoczyłem nad padającym wrakiem ostatniej lalki i rzuciłem się sprintem do brzegu. Skoczyłem z pochyłości. Mokie uderzenie lodowatej wody rozprysniętej prawie do pasa i nagły szumiący dźwięk rzeki. Wilgotne kamienie pod stopami i wrażenie, że zaczynam się pocić, gdy genetyczne kolce instynktownie spróbowały skończyć chwyt wewnątrz butów. Złapałem równowagę. Prawie się przewróciłem, ale utrzymałem się na nogach. Zgiąłem się jak drzewo na wietrze, z wysiłkiem pokonałem własny impet i zostałem w pionie, po kolana w wodzie. Zacząłem szukać czołgu.

Znalazłem go blisko drugiego brzegu, gdzie leżał przewrócony w mniej więcej metrowej głębokości wartkiej wodzie. Podkręcona wizja pozwoliła mi dostrzec Jadwigę i Lazla przykucniętych za wrakiem oraz karakuri kłębiące się na brzegu. Wyglądało na to, że nie miały ochoty rzucać się w bystry nurt. Kilka przeskoczyło na kadłub czołgu, ale chyba się na nim ślizgały. Jadwiga strzelała do nich z jednej ręki, prawie na oślep. Drugą podtrzymywała Lazla. Oboje umazani byli krwią.

Odległość wynosiła sto metrów - za daleko na skuteczny ostrzał z Mastera odłamkowego. Brnąłem przez rzekę, zanurzyłem się do piersi, ale wciąż byłem zbyt daleko. Prąd usiłował mnie przewrócić.

- Kurwa...

Odbiłem się i zacząłem niezdarnie płynąć, ręką przyciskając ronina do piersi. Prąd natychmiast zaczął mnie znosić.

- Maaać...

Woda była lodowata, miażdżyła mi płuca płonące potrzebą oddechu, pozbawiała czucia skórę na twarzy i dłoniach. Prąd sprawiał wrażenie żywej istoty, uparcie płaczącej mi nogi i blokującej ruch ramion. Masa blastera odłamkowego i pasa z minami ultrawibracyjnymi usiłowała ściągnąć mnie na dno.

Ściągnęła mnie na dno.

Machając rozpaczliwie, wyrwałem się na powierzchnię, spróbowałem złapać oddech, wciągnąłem powietrze razem z wodą i znów poszedłem na dno.

Opanuj się, Kovacs.

Myśl.

Do cholery, OPANUJ SIĘ.

Wyskoczyłem na powierzchnię, wypchnąłem się w górę i napełniłem płuca. Namierzyłem gwałtownie oddalający się wrak pajęczego czołgu. A potem pozwoliłem wodzie, by znów mnie wciągnęła, sięgnąłem dna i złapałem uchwyt.

Kolce zaskoczyły. Zaczepiłem się o kamienie stopami, zaparłem wbrew prądowi i zacząłem pełznąć po dnie rzeki.

Zajęło to dłużej, niż powinno.

W niektórych miejscach kamienie, które wybrałem, były za małe lub zbyt lekko osadzone, więc wyrwały się z podłoża. Na innych moje buty nie zdołały się zaprzeć. Za każdym razem traciłem sekundy i metry, znów podchodząc z powrotem. Raz prawie straciłem blaster odłamkowy. Nawet ze wspomaganiami beztlenowymi co trzy albo cztery minuty musiałem się wynurzać po powietrze.

Ale udało mi się.

Miałem wrażenie, że przez całą wieczność czepiałem się kamieni i podciągałem w wykręcającym kości zimnie, zanim wstałem w sięgającej pasa wodzie, doszedłem chwiejnie do brzegu i wyciągnąłem się na ziemi, dysząc i dygocząc. Przez kilka chwil potrafiłem jedynie klęczeć i kaszleć.

Narastający szum maszyn.

Chwiejnie zerwałem się na nogi, próbując skierować trzymany w dygoczących rękach blaster w stronę źródła dźwięku. Zęby mi dzwoniły, jakby w mięśniach szczęk nastąpiło zwarcie.

- Micky.

Orr siedział na jednym z żuków, w uniesionej ręce trzymając długolufowego ronina. Był nagi do pasa, dzięki czemu widziałem wciąż niezastłonięte wyloty luf po prawej stronie jego klatki piersiowej i unoszące się nad nimi fale rozgrzanego powietrza. Twarz miał umazaną resztkami polimeru maskującego i sadzy. Krwawił lekko z cięć karakuri przez klatkę piersiową i lewe ramię.

Zatrzymał żuka i popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Co się, do cholery, z tobą działo? Wszędzie cię szukaliśmy.

- Ja... ja... ja... kara... kara... kara...

Kiwnął głową.

- Załatwione. Jad i Ki sprzątają resztki. Pająki też zdjęte, oba.

- A Sssssylvie? Odwrócił wzrok.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Co z nią?

Kiyoka wzruszyła ramionami. Ściągnęła płachtę izolacyjną z karku Sylvie i biościereczką starła pot z jej twarzy.

- Diabli wiedzą. Ma potężną gorączkę, ale to się zdarza po takich numerach. Bardziej martwi mnie to.

Skierowała kciuk w stronę monitorów medycznych przy pryczy. Projektor holograficzny tkął nad nimi obraz pełen ostrych barw i kształtów. W jednym z rogów dało się rozpoznać przybliżoną mapę aktywności elektrycznej ludzkiego mózgu.

- To oprogramowanie dowódcze?

- Tak. - Kiyoka wskazała na wyświetlacz. Wokół czubków jej palców rozdarły się szkarłat, pomarańcz i jasna szarość. - To pierwotny sprzęg mózgu z siecią dowódczą. A także miejsce, gdzie rezyduje awaryjny rozprzeg.

Spojrzałem na wielobarwny splot.

- Spora aktywność.

- Właśnie, zdecydowanie za duża. Po akcji większość tego rejonu powinna być czarna lub niebieska. System pompuje środki przeciwbólowe, żeby zredukować obrzęki w ścieżkach nerwowych, a sprzęg praktycznie się na jakiś czas wyłącza. Sylvie powinna to po prostu przespać. Ale to... - Kiyoka znów wzruszyła ramionami. - Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Siedziałem na brzegu łóżka i przyglądałem się twarzy Sylvie. Wewnątrz baraku było ciepło, ale w kościach wciąż czułem chłód wcześniejszej przygody z wodą.

- Co się tu dzisiaj spieszyło, Ki?

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Mogę tylko zgadywać, że natknęliśmy się na jakieś antywirusy, które znały już nasze systemy bojowe.

- W trzystuletnim oprogramowaniu? Daj spokój.

- Wiem.

- Mówią, że to ewoluuje. - Lazlo stanął w drzwiach z bladą twarzą i ramieniem obwiązany w miejscu, gdzie karakuri rozcięło je aż do kości. Za jego plecami światło Nowego Hokkaido zaczynało już ciemnieć. - Działają zupełnie bez kontroli. To jedyny powód, dla którego tu jesteśmy. Musimy je powstrzymać. Widzisz, rząd przygotował ściśle tajny projekt hodowli SI...

- Nie teraz, Las - wysyczała przez zęby Kiyoka. - Do jasnej cholery. Nie sądzisz, że mamy w tej chwili poważniejsze problemy na głowie?

- ...ale karakuri wyrwały mu się spod kontroli. Tym właśnie musimy się martwić, Ki. I to w tej chwili. - Lazlo wszedł do budynku, wskazując na holoprojekcję. - Tam masz soft z czamorynkowej kliniki, który zje umysł Sylvie, jeśli nie znajdziemy jego schematów. I tu zła wiadomość, bo oryginalna architektura siedzi w *pieprzonym Millsport*.

- *I to* - wrzasnęła Kiyoka - *są cholerne bzdury*.

- *Hej!* - Ku mojemu zdumieniu, oboje przestali krzyżeć i spojrzeli na mnie. - Hmm... słuchaj, Las. Nie bardzo rozumiem, jak nawet programy po ewolucji miałyby wmapować się w nasze systemy. To przecież prawie niemożliwe.

- Są dziełem tych samych ludzi, Micky. Daj spokój. Kto pisze softy dla lików? Kto stworzył cały ten pieprzony program likwidacji? I kto siedzi po same jaja w projektach tajnych nanotechów? Pieprzona administracja Mecseka. - Lazlo rozłożył ręce i posłał mi spojrzenie sugerujące, że

doskonale wie, co mówi. - Wiesz, ile słyszałem raportów, z iloma ludźmi rozmawiałem.. Widzieli wimy, których nie opisano w archiwach. Ten cały kontynent to jeden wielki eksperyment, a my jesteśmy tylko małą jego częścią. Skiper została właśnie wrzucona do szczyrzego labiryntu.

Znów ruch przy drzwiach - Orr i Jadwiga przyszli zobaczyć, o co nam poszło. Olbrzym potrząsnął głową.

- Las, naprawdę musisz kupić sobie tę żółwią farmę w Newpest, o której zawsze tyle mówisz. Zabarykaduj się tam i rozmawiaj z jajami.

- Pieprz się, Orr.

- Nie, to ty się pieprz, Las. To poważna sprawa.

- Nie polepszyło jej się, Ki? - Jadwiga podeszła do monitora i położyła rękę na ramię Kiyoki. Podobnie jak moją, jej nową powłokę wyhodowano na standardowym korpusie Świata Harlana. Mieszanka słowiańskich i japońskich genów dawała brutalnie piękne kości policzkowe, egzokarpiczne fałdy pod bladymi, zielonkawymi oczami i szerokie usta. Wymagania biotechnu bojowego gwarantowały długie kończyny i obfitą muskulaturę, ale oryginalna pula genowa nadała powłoce zdumiewająco delikatny wygląd. Jadwiga miała brązową skórę, przybladłą od zbiornika i pięciu tygodni nędznej pogody Nowego Hokkaido.

Przyglądanie się, jak przechodzi przez pokój, przypominało patrzenie w lustro. Moglibyśmy być siostrą i bratem. Fizycznie *byliśmy* siostrą i bratem - bank klonów w bunkrze dysponował pięcioma modułami z tuzinem powłok wyhodowanych z tego samego materiału genetycznego w każdym. Sylvie najłatwiej było podpiąć się tylko do jednego z nich.

Kiyoka ujęła nową, długopalczystą dłoń Jadwigi, ale był to ruch świadomy, podjęty prawie z wahaniem. Standardowy problem po ponownym upowłokowaniu. Feromonalny koktajl nigdy nie działa tak samo, a zależy od niego zdecydowanie zbyt wiele zbudowanych na seksie związków.

- Spieprzyła się, Jad. Nic nie mogę dla niej zrobić. Nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć. - Kiyoka znów wskazała na wyświetlacz. - Po prostu nie wiem, co się tam dzieje.

Cisza. Wszyscy wpatrzyli się w burzę barw na projekcji.

- Ki. - Zawahałem się, rozważając pomysł. Miesiąc wspólnego działania dał mi pewne podstawy do tego, by czuć się częścią załogi, ale przynajmniej Orr wciąż uważał mnie za outsidera. U reszty zależało to od nastroju. Lazlo, zazwyczaj koleżeński, ulegał okazjonalnym napadom paranoi, w których moja niewyjaśniona przeszłość sprawiała, że byłem dla niego podejrzany. W pewnym sensie czułem się związany z Jadwigą, ale wynikało to zapewne z bliskiego genetycznego podobieństwa powłok. A Kiyoka, zwłaszcza o poranku, zachowywała się czasami jak prawdziwa suka. Nie byłem pewien, jak zareagują na moja propozycję. - Słuchajcie, czy da się w jakiś sposób aktywować rozpręg?

- Co? - Oczywiście Orr.

Kiyoka wyglądała na nieszczęśliwą.

- Mam prochy, które mogłyby to zrobić, ale...

- *Nie zabierzesz jej cholernych włosów.* - Znów Orr. Wstałem z łóżka i stanąłem przed olbrzymem.

- A jeśli to coś ją zabije? Wolisz ją z włosami i martwą, tak?

- Zamknij cholerną gęb...

- Orr, on ma trochę racji. - Jadwiga gładko wkroczyła między nas. - Jeśli Sylvie dorwał jakiś wirus ze spółdzielni, a jej antywirusy z tym nie walczą, powinniśmy wykorzystać rozpręg, prawda?

Lazlo energicznie pokiwał głową.

- To może być jedyny ratunek.

- Takie *rzeczy* zdarzały się już wcześniej - upierał się Orr. - Na przykład w kanionie Iyamon w zeszłym roku. Powaliło ją na wiele godzin, gorączka rosła pod sufit, a obudziła się zupełnie zdrowa.

Zauważyłem wymianę spojrzeń. *Nie. Nie całkiem zdrowa.*

- Jeśli indukuję rozpręg... - zaczęła wolno Kiyoka. - Nie potrafię przewidzieć, jakie wywoła to uszkodzenia. Cokolwiek dzieje się w jej głowie, jest w pełni podłączona do oprogramowania dowódczego. Stąd właśnie ta gorączka. Powinna zamknąć łącze, ale tego nie robi.

- Tak. I ma ku temu powód. - Orr objął nas gniewnym spojrzeniem. - To świetny wojownik, więc nadal walczy. Gdyby chciała wywalić sprzęg, zrobiłaby to sama.

- Tak, ale może nie pozwala jej na to wirus, z którym walczy. - Odwróciłem się do łóżka. - Ki, ona ma kopię, prawda? Stos korowy nie ma żadnych związków z oprogramowaniem dowódczym?

- Tak, jest buforowany.

- A kiedy jest w takim stanie, aktualizacja stosu się blokuje, prawda?

- Hmm... tak, ale...

- Czyli nawet jeśli rozpręg ją uszkodzi, uratujemy ją ze stosu w jednym kawałku. Jak często się aktualizujecie?

Kolejna wymiana spojrzeń. Kiyoka zmarszczyła brwi.

- Nie wiem, pewnie mniej więcej standardowo. Powiedziałabym, że co kilka minut.

- Czyli...

- Tak, to by ci pasowało, nie? Cholerny mister Szczęściarz. - Orr wskazał na mnie palcem. - Zabić ciało i wyciąć życie nożykiem. Ile pieprzonych stosów korowych nosisz już ze sobą? O co w tym chodzi? Co zamierzasz z nimi zrobić?

- To tak na prawdę nie ma związku z obecną sytuacją - odpowiedziałem spokojnie. - Mówię tylko, że jeśli Sylvie zostanie uszkodzona przez rozpręg, możemy wyciągnąć stos przed aktualizacją, wrócić do bunkra i...

Zatoczył się w moją stronę.

- *Do diabła, chcesz ją zabić!* Jadwiga go odepchnęła.

- Nie, Orr. On chce ją uratować.

- A co z kopią, która żyje i oddycha w tej chwili? Chcesz rozciąć jej gardło tylko dlatego, że ma uszkodzony mózg, a my trzymamy w zapasie lepszą kopię? Tak jak zrobiłeś to z tymi wszystkimi ludźmi, o których nie chcesz rozmawiać?

Zauważyłem, że Lazlo mruga i patrzy na mnie podejrzliwie. Z rezygnacją uniosłem rękę.

- Dobra, zapomnij. Róbcie, co chcecie. Ja tylko próbuję przeżyć.

- I tak nie możemy tego zrobić, Mick. - Kiyoka znów otarła czoło Sylvie.

- Gdyby uszkodzenia były subtelne, odkrycie ich zajęłoby więcej niż kilka minut, a wtedy i tak byłoby za późno, zniszczenia poszłyby już do stosu.

Nie powiedziałem: *Trzeba było zabić tę powłokę. Zminimalizować straty, przeciąć gardło i wydobyć stos dla...*

Spojrzałem z powrotem na Sylvie i stłumiłem tę myśl. Widok sklonowanego ciała Jadwigi był dla mnie jak odbicie w lustrze. Złapało mnie własne odbicie.

Może Orr miał rację.

- Jedno jest pewne - stwierdziła rzeczowo Jadwiga. - W tej sytuacji nie możemy tu zostać bez Sylvie. W Nieoczyszczonych będziemy mieli mniej więcej takie szanse na przeżycie, jak stado kotów. Musimy wrócić do Dravy.

Znów cisza, w trakcie której wszyscy przetrawiali jej słowa.

- Można ją ruszyć? - zapytałem.

Kiyoka się skrzywiła.

- Będzie trzeba. Jad ma rację, nie możemy ryzykować. Musimy się wycofać, najpóźniej jutro rano.

- Tak, i przydałaby się nam po drodze osłona - wymamrotał Lazlo. - Czeka nas ponad sześćset kilometrów i nie wiadomo, na co się natkniemy. Jad, jest jakaś szansa, że po drodze spotkamy przyjaciół? Wiem, że to ryzyko.

Jadwiga wolno pokiwała głową.

- Ale chyba warto.

- To zajmie całą noc - uznał Lazlo. - Masz jakiś met?

- A czy Mitzi Harlan lubi facetów?

Znów dotknęła ramienia Kiyoki, zmieniając niepewną pieszczotę w klepięcie w plecy, po czym wyszła. Rzuciwszy mi pełne namysłu spojrzenie, Lazlo poszedł w jej ślady. Orr stanął przy Sylvie, krzyżując ramiona na piersiach.

- Nawet nie próbuj jej dotykać - ostrzegł mnie.

Jadwiga i Lazlo spędzili resztę nocy we względnie bezpiecznym quellistowskim posterunku nasłuchowym, skanując kanały i przeszukując Nieoczyszczone w poszukiwaniu przyjaznego życia. Sięgali przez kontynent delikatnymi elektronicznymi mackami, siedzieli pozbawieni snu i chemicznie wpięci w blask przenośnych ekranów, szukając śladów. Z miejsca, gdzie stałem i patrzyłem, wyglądało to jak polowanie na łodzi podwodnej ze starych dramatów sensoryjnych Alaina Marriotta, w rodzaju *Polarnej zdobyczy* i *Pościgu w głębinach*. W naturze ich pracy leżał fakt, że załogi lików nieczęsto korzystały z komunikacji dalekiego zasięgu. Za duże ryzyko wyłapania przez system artyleryjski wimów albo przypadkową bandę padlinożerców karakuri. Transmisje elektroniczne na większe odległości ograniczone były do absolutnego minimum emisji strunowych, zazwyczaj tylko po to, by zgłosić zabicie maszyny. Przez resztę czasu załogi przeważnie siedziały cicho.

Przeważnie.

Ale dysponując odpowiednimi umiejętnościami, można było wyniuchać drobne rozbłyski aktywności elektronicznej, które likowie ciągnęli za sobą jak zapach papierosów na ubraniu palacza. Jeszcze większe umiejętności umożliwiały odróżnienie ich od komunikacji wimów i jeśli znało się odpowiednie kody szyfrujące, można było nawiązać komunikację. Lazlo i Jad siedzieli nad tym prawie do świtu, ale w końcu udało im się złapać kontakt z trzema innymi załogami lików pracującymi w Nieoczyszczonych między naszą pozycją i przyczółkiem w Dravie. W obie strony przemykały kodowane transfery strunowe ustalające tożsamość i kody, a Jadwiga rozparła się na krześle z tetrametowym uśmiechem na twarzy.

- Miło jest mieć przyjaciół - rzuciła do mnie.

Kiedy wyjaśniliśmy naszą sytuację, wszystkie trzy załogi zgodziły się, choć z różnym natężeniem entuzjazmu, zapewnić nam osłonę na terenie ich zasięgu operacyjnego. Było to w zasadzie niepisany prawem zachowania się lików w Nieczyszczonych - nigdy nie wiadomo, kiedy samemu znajdzie się w takiej sytuacji - ale wiążące się z tym zawodem współzawodnictwo i egoizm nie wzbudzały entuzjazmu do współpracy. Lokalizacja pierwszych dwóch załóg wymusiła na nas podróż długą zawiłą trasę, a obie zdecydowanie niechętnie odniosły się do pomysłu, by wyjść nam na spotkanie i zapewnić eskortę w drodze na południe. Z trzecią nam się poszczęściło. Oishii Eminescu obozował dwieście pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód od Dravy wraz z dziewięcioma ciężko uzbrojonymi i dobrze wyposażonymi kolegami. Natychmiast zaoferował się wyjść nam naprzeciw i odebrać nas z granicy zasięgu poprzedniej załogi, a następnie eskortować aż do przyczółka.

- Prawda jest taka - powiedział mi, gdy staliśmy w środku jego obozu, przyglądając się, jak dzień ustępuje przed kolejnym zimowym zmierzchem - że przyda się nam przerwa. Kasha wciąż odczuwa skutki nagłego ataku, z którym musieliśmy sobie poradzić w noc przed waszym przybyciem. Mówi, że nic jej nie jest, ale kiedy idziemy na akcję, czuć w łącach, że to nieprawda. Reszta też jest zmęczona. Poza tym, załatwiliśmy przez miesiąc trzy spółdzielnie i dwadzieścia jeden jednostek autonomicznych. To nam wystarczy. Nie ma sensu dalej orać.

- Wydaje się to aż nadto racjonalne.

Roześmiał się.

- Nie osądzaj nas wszystkich według Sylvie. Nie wszyscy są tak stuknięci.

- Myślałem, że to ma związek z waszym zajęciem. Likwidować do upadłego, i takie tam.

- Tak się mówi. - Skrzywił się. - W ten sposób sprzedają to kotom. I owszem, oprogramowanie naturalnie skłania do przesady. Stąd biorą się wysokie współczynniki strat. Ale w sumie wszystko opiera się na programach. Tylko kable i ty. Jeśli pozwalasz kablom dyktować sobie warunki, kim się stajesz?

Zapatrzyłem się w ciemniejący horyzont.

- Nie wiem.

- Trzeba sięgać myślą dalej. Trzeba, bo inaczej oprogramowanie cię zabije.

Po drugiej stronie plastobanek ktoś przeszedł przez gęstniejący mrok i zawołał coś po japsku. Oishii uśmiechnął się i odkrzyknął. Z obu stron zagrzmiał śmiech. Gdzieś zza pleców poczułem zapach dymu rozpalanego ogniska. Znajdowaliśmy się w standardowym obozie lików z tymczasowymi bańkami wydmuchanymi i utwardzonymi z materiału, który rozpuszczał się szybko, gdy przychodziła pora na wymarsz. Poza okazjonalnymi postojami w porzuconych budynkach w rodzaju quellistowskiej placówki nasłuchowej, przez większość ostatnich pięciu tygodni żyłem w takich samych warunkach z załogą Sylvie. Mimo wszystko z Oishiego Eminescu emanowało ciepło zdecydowanie kontrastujące z likami, których do tej pory spotkałem. Nie wykazywał typowej dla nich nerwowości.

- Jak długo się tym zajmujesz? - zapytałem go.

- Och, trochę. W zasadzie dłużej niżbym chciał, ale... - Wzruszył ramionami.

Kiwnąłem głową.

- Ale się opłaca, tak?

Posłał mi kwaśny uśmiech.

- Tak. Mam młodszego brata, który studiuje w Millsport technikę marsjańskich artefaktów, i rodziców, którzy potrzebują nowego upowłokowienia, a ich na to nie stać. W obecnej sytuacji ekonomicznej żadne inne zajęcie nie byłoby równie opłacalne. Ponieważ Mecsek pochłastał prawo dotyczące kształcenia i system ubezpieczeń powłokowych, bez forsy dzisiaj ani rusz.

- Tak, ostro napierzyli, od kiedy byłem tu po raz ostatni.

- Długo cię nie było, co? - Nie uczeplił się tematu jak Plex. Uprzejmość Świata Harlana w starym stylu. Uznał pewnie, że gdybym chciał mu powiedzieć o tym, że siedziałem w przechowalni, pewnie bym to zrobił. A jeśli nie, cóż, to i tak nie jego sprawa.

- Tak, jakieś trzydzieści, czterdzieści lat. Sporo się zmieniło.

Znów wzruszył ramion.

- Już dawno się na nie zbierało. Wszystko, co quelliści wydusili z pierwotnego reżimu Harlana, ci faceci odbierali z powrotem. Mecsek stanowi ostatni etap.

- *Tego przeciwnika nie da się zabić* - wymamrotałem.

Kiwnął głową i dokończył cytata za mnie.

- *Możesz go tylko pokonać i przegnać, i nauczyć dzieci, by uważały na fale jego powrotu.*

- Więc pewnie ktoś niezbyt uważnie przyglądał się tym falom.

- Nie w tym rzecz, Micky. - Ze złożonymi na piersiach ramionami wpatrywał się w dal, w gasnące światło zachodu. - Od jej czasów wszystko się zmieniło. Czy warto obalać reżim Pierwszych Rodzin, tu czy gdziekolwiek indziej, jeśli wiadomo, że zaraz wtrąci się Protektorat i włada nam w nagrodę Emisariuszy?

- Masz trochę racji.

Znów się uśmiechnął, tym razem z rozbawieniem.

- Nie *trochę* racji, tylko *pełną* rację. Na tym polega jedna zasadnicza różnica między wtedy i teraz. Gdyby w czasach Niepokojów istniał Korpus Emisariuszy, quellizm nie wytrzymałby dłużej niż sześć miesięcy. Z tymi sukinsynami nie da się walczyć.

- Przegrali na Innenin.

- Tak, i ile razy od tamtej pory? Innenin to drobne zakłócenie, skok na wykresie. Kropka.

Na chwilę zalały mnie wspomnienia. *Jimmy de Soto. Wrzeszczy i wydrapuje sobie resztki twarzy palcami, które wyrwały już jedno oko i sięgały do drugiego. Jeśli go...*

Wyrzuciłem z myśli ten obraz.

Drobne zakłócenie. Skok na wykresie.

- Może masz rację - powiedziałem.

- Może mam - zgodził się cicho.

Staliśmy potem przez chwilę w milczeniu, przyglądając się wzbierającej ciemności. Niebo oczyściło się dostatecznie, by pokazać blednącego Daikoku nad szczytami gór od północy i odległego Marikanona, niczym miedzianą monetę rzuconą wysoko nad naszymi głowami. Nabrzmiały Hotei wciąż krył się poniżej horyzontu na zachodzie. Ognisko za nami zapłonęło na dobre. Nasze cienie zestaliły się między migotliwym blaskiem.

Kiedy zrobiło się zbyt gorąco, by tam stać, Oishii przeprosił uprzejmie i oddryfował. Wytrzymałem żar na plecach jeszcze przez minutę po jego odejściu, a potem odwróciłem się i mrużąc oczy, zapatrzyłem się w płomienie. Paru ludzi z załogi Oishiego przykucnęło przy ogniu po drugiej stronie, grzejąc ręce. Chwiejne, niewyraźne postacie w rozgrzanym powietrzu i mroku. Ciche rozmowy. Żaden z nich na mnie nie patrzył. Trudno stwierdzić, czy była to uprzejmość w starym stylu, jak u Oishiego, czy zwykła rezerwa lików.

Co ty tu, u diabła, robisz, Kovacs?

Zawsze zadajesz łatwe pytania.

Odszedłem od ogniska i ruszyłem między plastobańkami do trzech, które z dyplomatyczną rezerwą ustawiliśmy nieco dalej od obozowiska Oishiego. Poczułem gładki chłód na twarzy i dłoniach, gdy skóra zarejestrowała nagły brak ciepła. Blask księżyców na bańkach nadawał im wygląd butlogrzbietów na morzu trawy. Kiedy dotarłem do plastobańki, w której leżała Sylvie, zauważyłem jaśniejsze światło wyciekające spod zamkniętej kłapy. Pozostałe pomieszczenia pogrążone były w ciemności. Obok nich spoczywały dwa żuki ustawione na parkingowych stelażach, z odcinającymi się na tle nieba zarysami kierownic i broni. Trzeci zniknął.

Dotknąłem plamy dzwonka, otworzyłem klapę i wszedłem do środka. Po jednej stronie wnętrza pospiesznie odsunęły się od siebie w splecionej pościeli Jadwiga i Kiyoka. Naprzeciw nich w przytłumionym świetle iluminowanej lampki nocnej Sylvie spoczywała w śpiworze jak trup z włosami starannie odsuniętymi od twarzy. U jej stóp żarzył się przenośny grzejnik. W bańce nie było nikogo więcej.

- Gdzie Orr?

- Nie tu. - Jadwiga z irytacją poprawiła ubranie. - Mogłeś, do cholery, zapukać, Micky.

- Pukałem.

- Dobra, to mogłeś, do cholery, zapukać *i poczekać*.

- Przepraszam, nie tego się spodziewałem. Więc gdzie Orr?

Kiyoka machnęła ręką.

- Pojechał zukiem z Lazlem. Zgłosili się do warty. Pomyśleliśmy, że należy się wykazać dobrą wolą. Ci ludzie jutro zawiozą nas do domu.

- Więc czemu nie pójdziecie do jednej z wolnych baniek? Jadwiga spojrzała na Sylvie.

- Bo ktoś musi tu czuwać - powiedziała cicho.

- Ja to zrobię.

Obie przyglądały mi się przez chwilę niepewnie, a potem spojrzały po sobie. W końcu Kiyoka potrząsnęła głową.

- Nie. Orr by nas zabił.

- Orra tu nie ma.

Kolejna wymiana spojrzeń. Jad wzruszyła ramionami.

- Dobra, do cholery, czemu nie. - Wstała. - Chodź, Ki. Do zmiany warty jeszcze cztery godziny.

Orr się o niczym nie dowie.

Kiyoka się zawahała. Nachyliła się nad Sylvie i przyłożyła dłoń do jej czoła.

- Dobra, ale jeśli cokolwiek...

- Jasne, zawołam was. No już, wynoście się stąd.

- Tak, Ki, chodźmy. - Jadwiga pociągnęła drugą kobietę do wyjścia. Kiedy wychodziły, zatrzymała się i posłała mi uśmiech. - I Micky... Widziałam, jak na nią patrzysz. Żadnego podglądania i macania, okay? Żadnych przyjemności. Trzymaj łapy z daleka od ciastek, które nie należą do ciebie.

Odpowiedziałem uśmiechem.

- Pieprzę cię, Jad.

- Chciałbyś. Tylko we śnie, koleś.

Kiyoka ułożyła usta w bardziej konwencjonalne *dzięki*, i już ich nie było. Usiadłem obok Sylvie i przyglądałem się jej w milczeniu. Po kilku chwilach pogłaskałem japo czoło, powtarzając gest Kiyoki. Nie poruszyła się. Skórę miała gorącą i suchą jak papier.

- No, Sylvie. Wyjdź z tego.

Brak odpowiedzi.

Zabrałem dłoń i dalej przyglądałem się kobiecie.

Co ty tu, u diabła, robisz, Kovacs?

To nie Sara. Sary nie ma. Co ty, u diabła...

Och, stul pysk.

Przecież nie miałem wyboru, prawda?

Wróciły wspomnienia ostatnich chwil w *Tokio Crow* i wszystko zniszczyły. Bezpieczeństwo przy stole z Pleksem, ciepła anonimowość i obietnica biletu na jutro - przypominałem sobie, jak wstaję i odchodzę od tego wszystkiego, jakby wiedziony syrenim śpiewem. W krew i furję walki.

W retrospekcji chwila była tak ciężka, tak przeładowana implikacjami zmieniającego się losu, że powinna była strzelać piorunami, gdy przez nią brnąłem.

Ale w retrospekcjach zawsze tak jest.

Muszę powiedzieć, Micky, że cię lubię. Jej głos rozmyty późną porą i prochami. Światło poranka zalewające nas wolno gdzieś zza okien mieszkania. *Nie bardzo wiem czemu. Ale... Lubię*

cię.

To mile.

Ale to nie wystarczy.

Dłonie i palce zaswędziały mnie lekko w zaprogramowanym genetycznie pragnieniu chwytania i wspinaczki. Zauważyłem to już jakiś czas temu w tej powłoce. Przychodziło i odchodziło, ale manifestowało się głównie w chwilach napięcia i beczynności. Drobnny problem, element niedogodności związanych z przelaniem. Nawet klonowana powłoka prosto ze zbiornika ma własną historię. Kilka razy zacisnąłem pięści, wsadziłem rękę do kieszeni i namacałem stosy korowe. Gładko zastukały pod moimi palcami, zebrane w dłoni w gładką masę kosztownych, obrobionych komponentów. Yukio Hirayasu i jego goryle dodani do kolekcji.

Gdzieś w trakcie nieco szalonej ścieżki poszukiwań i zniszczenia, jaką wyrzeźbiliśmy w ostatni miesiąc przez Nieoczyszczone, znalazłem czas na to, by oczyścić moje trofea za pomocą chemikaliów i płuczki do obwodów. Kiedy otworzyłem dłoń, zabłyśły w świetle iluminowanej lampy, pozbawione wszelkich śladów kości i tkanki rdzeniowej. Pół tuzina lśniących metalowych cylindrów przypominających wycięte laserem elementy implantów ortograficznych, z perfekcją kształtów zepsuta przez maleńki kolec mikrozłącza na jednym z końców. Stos Yukio wyróżniał się spośród pozostałych - precyzyjny żółty pasek owinięty wokół środka z wygrawerowanym oznakowaniem producenta. Droższy model. Typowe.

Pozostałe, łącznie z gorylami yakuzy, były standardowe, instalowane przez państwo. Żadnych widocznych znaków, więc starannie owinałem yaków w czarną taśmę izolacyjną, by odróżnić ich od tych zabranych z cytadeli. Chciałem móc ich rozróżnić. W przeciwieństwie do Yukio, ci ludzie nie mieli żadnej wartości przetargowej, ale nie widziałem powodu, by zesłać zwykłych gangsterów do miejsca, w które zabierałem kapłanów. Nie byłem pewien, co z nimi zrobić, ale w ostatniej chwili coś we mnie sprzeciwiło się wcześniejszej sugestii Sylvie, by wyrzucić ich do Morza Andrassy'ego.

Schowałem goryłów wraz z Yukio z powrotem do kieszeni i spojrzałem na pozostałe cztery stosy na dłoni.

Czy to wystarczy?

Kiedyś na innej planecie okrążającej słońce niewidoczne ze Świata Harlana spotkałem człowieka, który zarabiał na życie, handlując stosami korowymi. Kupował je i sprzedawał na wagę, odmierzając zamknięte w nich żywoty jak stosy przypraw czy półszlachetnych kamieni. Lokalne warunki polityczne sprawiały, że było to bardzo intratne zajęcie. By odstraszyć konkurencję, ustylizował się na lokalną wersję uosobienia Śmierci i choć robił to przesadnie, jego obraz ze mną został.

Zastanawiałem się, co pomyślałby teraz, gdyby mnie widział.

Czy to...

Za rękę chwyciły mnie czyjeś palce.

Szok był niczym porażenie prądem. Gwałtownie zacisnąłem dłoń na stosach. Zagapiłem się na kobietę przede mną, która dźwignęła się na łokciu ze śpiwora, walcząc desperacko z mięśniami twarzy. W jej oczach nie dostrzegłem śladu rozpoznania. Trzymała mnie za rękę z siłą maszyny.

- Ty - powiedziała po japońsku i zakaszła. - Pomóż mi. *Pomóż mi.*

To nie był jej głos.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy dotarliśmy do wzgórz otaczających Dravę, z nieba padał śnieg. Widoczne płatki i wszechobecny, kłuszący mróz między nimi. Ulice i dachy miasta w dole przysypane były cienką warstwą jakby owadziej trucizny, a ze wschodu nadciągały gęste chmury obiecujące kolejne opady. Na jednym z kanałów ogólnych rządowa drona propagandowa wysyłała ostrzeżenia przed burzą śnieżną, oskarżając quellistów o wywołanie złej pogody. Kiedy zeszliśmy w dół do miasta i poszarpanych wybuchami ulic, znaleźliśmy szron i zamrożone kałuże. Wraz z płatkami śniegu ku ziemi opadała niesamowita cisza.

- Wesołych pieprzonych świąt - wymamrotał jeden z ludzi Oishiego.

Śmiech, ale bez przekonania. Cisza była wszechpotężna, przykryte śniegiem surowe kości Drawy wydawały się zbyt ponure.

Po drodze minęliśmy nowo zainstalowane systemy strażnicze. Odpowiedź Kurumayi na atak spółdzielni sprzed sześciu tygodni, prosta, zrobotyzowana broń zdecydowanie poniżej progu maszynowej inteligencji dozwolonej w ramach protokołów likwidacji. Mimo wszystko Sylvie się wzdrygnęła, gdy Orr poprowadził żuka obok przyczajonych maszyn, a kiedy jedna z nich wyprostowała się nieco, drugi raz skanując nasze znaczniki, odwróciła puste spojrzenie i ukryła twarz w ramieniu olbrzyma.

Mimo że się ocknęła, nadal miała gorączkę. Ustąpiła ona tylko jak fala, zostawiając Sylvie bezbronną i przemoczoną potem. I gdzieś na odległym poziomie ziemi zatrzymała się, drobna i prawie bezdźwięczna, choć widać było, jak wciąż atakuje. Mogłem sobie wyobrazić ryk, jaki wywoływała w skroniach dowódczym.

To nie był koniec. Zdecydowanie nie.

Posuwaliśmy się labiryntem porzuconych ulic miasta. W miarę jak zbliżaliśmy się do przyczółka, wyrafinowane zmysły mojej nowej powłoki wyłowiły pomimo mrozu delikatny zapach morza. Mieszanina soli i różnych śladów organicznych, wszechobecna nuta pięknorostów i ostrej, plastikowej smród chemikaliów rozlanych po powierzchni estuarium. Pierwszy raz uświadomiłem sobie, jak bardzo ograniczony był układ olfaktoryczny syntetyka - te wrażenia nie dotarły do mnie w trakcie podróży z Tekitomury.

Kiedy się zbliżyliśmy, ożyły systemy obronne przyczółka. Pajęczne bloki niechętnie rozeszły się na bok, z drogi odpelźł żywodrut. Kiedy między nimi przejeżdżaliśmy, Sylvie spuściła ramiona i głowę i zadygotała. Nawet jej włosy zdawały się ciaśniej przywierać do głowy.

Przedawkowanie, zaopiniował medyk załogi Oishiego, wpatrując się w swój zestaw obrazowania, podczas gdy Sylvie leżała niecierpliwie pod skanerem. *Jeszcze nie puściły hamulce. Radziłbym kilka miesięcy spokojnego życia w jakimś cieplejszym i bardziej cywilizowanym miejscu. Może w Millsport. Zgłoś się do kliniki sprzętowej, niech ci zrobią pełny przegląd.*

Zagotowała się z wściekłości.

Kilka miesięcy! W pieprzonym Millsport?

Lekarz obojętnie wzruszył ramionami.

Albo znów cię wykasują. Musisz przynajmniej wrócić do Tekitomury i dać się sprawdzić pod kątem wirusów. W tym stanie nie wolno ci tu zostać i grać dalej.

Reszta Ślizgaczy się zgodziła. Niezależnie od tego, że Sylvie odzyskała świadomość, wracaliśmy.

Spalić trochę tych odłożonych kredytów, uśmiechnęła się Jadwiga. *Imprezy do rana. Tekitomuro, nadciągamy.*

Brama przyczołka uniosła się dla nas i weszliśmy do wnętrza. W porównaniu z ostatnim razem, okolica zdawała się prawie opuszczona. Między plastobańkami kręciło się niewiele osób, dźwigając sprzęt. Było za zimno, by wychodzić z innych powodów. Przy centralnym maszcie miotano się dziko parę latawców nadzorczych, wykręcanych przez wiatr i śnieg. Wyglądało na to, że pozostałe ściągnięto przed nadchodzącą burzą. Nad dachami baniek widać było pokryty śniegiem transportowiec, ale obsługujące go żurawie zwisały nieruchomo. Cały obóz sprawiał wrażenie opustoszałego.

- Lepiej od razu idźcie porozmawiać z Kurumayą - zasugerował Oishii, zsiadając z własnego, mocno poobijanego żuka, gdy tylko zamknęła się za nami brama. Przyjrzał się swojej i naszej załodze. - Poszukajmy jakichś pryczy. Pewnie nie będzie to łatwe. Nie przypuszczam, żeby nowo przybyli chcieli wyruszyć, zanim poprawi się pogoda. Sylvie?

Dziewczyna ciaśniej otuliła się kurtką. Twarz miała wymizerowaną. Nie chciała rozmawiać z Kurumayą.

- Ja pójdę, skiper - zgłosił się Lazlo. Niezgrabnie oparł się o mnie zdrową ręką i zeskoczył z żuka, na którym jechaliśmy. Pod jego stopami zazgrzytał zamarznięty śnieg. - Reszta niech idzie na kawę.

- Świetnie - rzuciła Jadwiga. - I nie pozwól staremu Shigowi sobą pomiatać, Las. Nie podoba mu się nasza historia, niech idzie się pieprzyć.

- Jasne, powiem mu to. - Lazlo wywrócił oczami. - Hej, Micky, chcesz iść ze mną i udzielić mi moralnego wsparcia?

Zamrugalem.

- Och, jasne. Ki, Jad? Czy któraś z was mogłaby przejąć żuka?

Kiyoka zsunęła się z siodełka pasażerskiego i zbliżyła się do mojego

żuka. Lazlo podszedł do Oishiego i obejrzał się na mnie. Kiwnął głową w stronę środka obozu.

- No to chodźmy. Miejmy to już za sobą.

* * *

Jak można się było spodziewać, Kurumayą nie był uszczęśliwiony widokiem członków załogi Sylvie. Kazał nam czekać w słabo ogrzewanym zewnętrznym pomieszczeniu plastobańki dowodzenia, podczas gdy przyjmował raport Oishiego i przydzielał kwatery. Wzdłuż ścianki działowej ustawiono rząd tanich, plastikowych krzesełek, a umieszczony w rogu ekran wyświetlał światowe wiadomości z dźwiękiem ustawionym na poziom tła. Na niskim stole stał otwarty terminal dla tych, którzy pragnęli poznać szczegóły, i popielniczka dla durniów. Nasze oddechy kondensowały się częściowo w powietrzu.

- A więc, o czym chciałeś ze mną rozmawiać? - zapytałem Lazla, chuchając na dłonie.

- Co?

- Daj spokój. Potrzeba ci wsparcia moralnego mniej więcej tak, jak Jad i Ki fiuta. Co jest grane?

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Wiesz, zawsze się nad nimi zastanawiałem. Takie rzeczy nie dają facetowi spać po nocach.

- Las.

- Dobra, dobra. - Oparł się zdrowym łokciem o krzeselko i położył nogi na niskim stoliku. - Byłeś z nią tej nocy, kiedy się obudziła, prawda?

- Prawda.

- Co ci powiedziała? Tak naprawdę. Przesunąłem się, żeby na niego spojrzeć.

- Dokładnie to, co powtórzyłem wam wczoraj. Nic, co dałoby się zacytować. Prosiła o pomoc.

Wołała ludzi, których tam nie było. Bełkot. Przez większość czasu miała delirium.

- Jasne. - Otworzył dłoń i przyjrzał się jej wnętrzu, jakby była mapą. - Widzisz, Micky, jestem elastykiem. Prowadzącym elastykiem. Utrzymuję się przy życiu dzięki temu, że dostrzegam drobiazgi. A zauważyłem, że nie patrzysz na Sylvie tak jak wcześniej.

- Naprawdę? - utrzymałem łagodny ton.

- Tak, naprawdę. Aż do wczoraj wieczór patrzyłeś na nią tak, jakbyś był głodny, a ona miała ci dobrze smakować. Teraz, cóż... - Odwrócił się i spojrzał mi w oczy. - Teraz straciłeś apetyt.

- Ona nie jest zdrowa, Las. Nie pociąga mnie choroba.

Potrząsnął głową.

- Nie skanuje się. Była chora przez całą drogę z tego punktu nasłuchowego, ale wciąż miałeś w sobie ten głód. Może przytłumiony, ale jednak. Teraz patrzysz na nią tak, jakbyś czekał, aż coś się stanie. Jakby była tykającą bombą.

- Martwię się o nią. Tak samo jak wszyscy.

A pod słowami przebiegła myśl jak termoklina. *Dostrzeganie szczegółów utrzymuje cię przy życiu, tak, Las? Cóż, żebyś wiedział, takie gadanie może doprowadzić cię do śmierci. W innych okolicznościach, gdybyś częściej tak ze mną pogrywał, już by to nastąpiło.*

Przez chwilę siedzieliśmy obok siebie w milczeniu. W końcu pokiwał głową.

- Nie powiesz mi, co?

- Nie mam ci nic do powiedzenia, Las.

Znow cisza. Na ekranie pojawiły się najświeższe wiadomości. W nadbrzeżnym dystrykcie Millsport zginął przypadkowo (odzyskano stos) jakiś mniej znaczący potomek Harlana, w Zatoce Kossutha wzbiera huragan, Mecsek planuje obciąć przed końcem roku wydatki na publiczną opiekę zdrowotną. Przyglądałem się temu bez zainteresowania.

- Słuchaj, Micky. - Lazlo się zawahał. - Nie twierdzę, że ci ufam, bo to nieprawda. Ale nie jestem taki jak Orr. Nie jestem zazdrosny o Sylvie. Dla mnie, wiesz, jest szefem, to wszystko. I ufam, że się nią zaopiekujesz.

- Dzięki - odparłem sucho. - A czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

- Ach, opowiedziała mi trochę o tym, jak się spotkaliście. O Brodaczach i tak dalej. Dość, by pomyśleć, że...

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Oishii. Uśmiechnął się i dźgnął kciukiem w stronę, z której przyszedł.

- Jest cały wasz. Do zobaczenia w barze.

Weszliśmy. Nigdy się nie dowiedziałem, co pomyślał Lazlo i jak bardzo zbliżył się do prawdy.

Shigeo Kurumaya siedział przy swoim biurku. Przyglądał się, jak podchodzimy, nie podnosząc się z miejsca, z nieprzeniknioną twarzą i ciałem w bezruchu, manifestując gniew. Stara szkoła. Za jego plecami hologram stwarzał iluzję alkowy w ścianie bańki, w której cienie i blask księżyców tańczyły wokół ledwie widocznego zwoju. Na biurku przy jego łokciu holowyświetlacz lśnił na jałowym ustawieniu, rzucając burzowe błyski kolorowego światła na połyskującą powierzchnię roboczą.

- Oshima jest chora? - zapytał bezbarwnie.

- Tak, złapała coś z grupy spółdzielczej na wyżynach. - Lazlo podrapał się w ucho i rozejrzał po pustym pokoju. - Niewiele się tu dzieje, co? Zamknięte na czas burzy?

- Wyżyny. - Kurumaya nie zamierzał wypaść z roli. - Prawie siedemset kilometrów na północ od miejsca, gdzie zgodziliście się operować. Gdzie zakontraktowaliście sprzątanie.

Lazlo wzruszył ramionami.

- Cóż, słuchaj, to była decyzja skipera. Musiałbyś...

- Wiązał was kontrakt. I obowiązki. Byliście winni *giri* przyczółkowi i mnie.

- Ostrzelali nas, Kurumaya-san - skłamałem ze swobodą Emisariusza. Poczulem zachwyt, gdy kontrolę przejęło warunkowanie, minęło już trochę czasu, od kiedy to robiłem. - Po zasadzce w świątyni nasze oprogramowanie dowódcze zostało naruszone, doznaliśmy ciężkich uszkodzeń organicznych. Uciekaliśmy na oślep.

Po tych słowach w powietrzu zawisła cisza. Obok mnie Lazlo zakrztusił się tym, co chciał powiedzieć. Posłałem mu ostrzegawcze spojrzenie, więc urwał. Dowódca przyczółka zlustrował nas obu, po czym zatrzymał wzrok na mnie.

- Ty jesteś Szczęściarz? - Tak.

- Nowy rekrut. Zgłaszasz się jako rzecznik?

Oznaczyć słaby punkt, naciskać dalej.

- Ja w tych okolicznościach również jestem winny *gii*, Kurumaya-san. Bez pomocy towarzyszy zginąłbym rozszarpany przez karakuri w Dravie. A oni wynieśli mnie stamtąd i znaleźli mi nowe ciało.

- Tak. Właśnie widzę. - Kurumaya spojrzał na swoje biurko, a potem z powrotem na mnie. - Dobrze. Jak dotąd nie powiedzieliście mi więcej, niż znajdowało się w raporcie wysłanym przez waszą załogę, a ten był bardzo lakoniczny. Wyjaśnijcie mi, proszę, czemu, skoro uciekaliście na oślep, postanowiliście nie wracać do przyczółka.

To było łatwiejsze. Tłukliśmy to na wszystkie strony przy ogniskach w Nieoczyszczonych przez ponad miesiąc, dopracowując najdrobniejszy szczegół kłamstwa.

- Nasze systemy ogłupiały, ale wciąż były częściowo sprawne. Wskazywały na aktywność wimów za nami, co odcinało nam możliwość powrotu.

- A tym samym zagrażało poszukiwaczom, których zobowiązaliście się chronić. A jednak nie zrobiliście nic, żeby im pomóc.

- Jezu, Shig. Byliśmy jak oślepieni. Dowódca przyczółka przeniósł wzrok na Lazla.

- Nie prosiłem o twoją interpretację wydarzeń. Siedź cicho. - Ale...

- Dotarliśmy na północny wschód - powiedziałem, rzucając kolejne ostrzegawcze spojrzenie stojącemu obok mnie elastykowi. - O ile udało nam się stwierdzić, tam było bezpiecznie. I nie przestawaliśmy się przemieszczać, póki znów nie zadziałało oprogramowanie dowódcze. A wtedy byliśmy już praktycznie poza granicami miasta, a ja wykrwawiałem się na śmierć. Z Jadwigi został tylko stos korowy. Z oczywistych powodów podjęliśmy decyzję wejścia w Nieoczyszczone i dotarliśmy do odkrytego wcześniej bunkra z bankiem klonów i urządzeniami do upowłokowania. Jak wie pan z raportu.

- My? Brałeś udział w podejmowaniu tej decyzji?

- Wykrwawiałem się na śmierć - powtórzyłem.

Spojrzenie Kurumayi znów powędrowało w dół.

- Może zainteresuje was wiadomość, że po opisanej przez was zasadzce nie zauważono w tej okolicy żadnych oznak aktywności wimów.

- Tak, bo wcześniej zwaliliśmy na nie ten pieprzony dom - wrzasnął Lazlo. - Idź i rozkop tę świątynię, znajdziesz ich kawałki. Oprócz tej pary, którą musieliśmy ręcznie załatwić w tunelu po drodze na zewnątrz.

Kurumaya znów zmierzył elastyka zimnym spojrzeniem.

- Nie mieliśmy na to czasu ani ludzi. Zdalne badanie wykazało w ruinach ślady maszynierii, ale wywołana przez was eksplozja zniszczyła większość dolnego poziomu struktury, co oczywiście było

wam na rękę. Jeśli...

- *Jeśli? Pieprzone jeśli?*

- ...jak twierdzicie, były tam wimy, zostały zniszczone. Te dwa w tunelu odnaleziono, co chyba potwierdzać historię przetransmitowaną przez was po tym, jak opuściliście Nieoczyszczone. A tymczasem może was również zainteresować informacja, że poszukiwacze, których zostawiliście samych, *faktycznie* natknęli się kilka godzin później i dwa kilometry dalej na gniazdo karakuri. W walce, która się wywiązała, dwudziestu siedmiu z nich straciło życie. Z czego dziewięciu naprawdę, bo zginęły ich stopy.

- To prawdziwa tragedia - zauważyłem bezbarwnie. - Ale nie bylibyśmy w stanie jej zapobiec. Gdybyśmy wrócili z naszymi rannymi i uszkodzonymi systemami dowódczymi, stanowilibyśmy dla was wyłącznie ciężar. W tych okolicznościach poszukaliśmy sposobu na powrót do pełnego statusu operacyjnego.

- Tak. Tak właśnie napisaliście w raporcie.

Przez chwilę siedział zamyślony. Posłałem kolejne spojrzenie Lazlowi na wypadek, gdyby znów zamierzał się odezwać. Kurumaya tymczasem spojrzał mi prosto w oczy.

- Dobrze. Zostaniecie na razie zakwaterowani z załogą Eminescu. Każę lekarzowi oprogramowania zbadać Oshimę, za co zapłacicie. Zakładając, że jej stan jest stabilny. W sprawie incydentu w świątyni zostanie przeprowadzone pełne śledztwo, jak tylko pogoda się uspokoi.

- Co? - Lazlo postąpił krok do przodu. - Spodziewasz się, że będziemy tu siedzieć, podczas gdy wy zabierzecie się za odkopywanie tej stery gruzu? Do diabła, nie. Nie ma mowy. Spadamy. Wracamy do Tek na tym pieprzonym poduszkowcu, który stoi w porcie.

- Las...

- Nie, nie *spodziewam* się, że zostaniecie w Dravie - podjął spokojnie Kurumaya. - Ja po prostu każę wam tu zostać. Czy ci się to podoba, czy nie, mamy tu łańcuch dowodzenia. Jeśli spróbujecie wejść na pokład *Świtu Daikoku*, zostaniecie powstrzymani. - Zmarszczył brwi. - Wolałbym nie być tak bezpośredni, ale jeśli mnie zmusicie, każę was aresztować.

- Aresztować? - Przez kilka sekund wyglądało to tak, jakby Lazlo nigdy wcześniej nie słyszał tego słowa i czekał, aż dowódca wyjaśni mu jego znaczenie. - *Aresztować?* Przez ostatni miesiąc załatwiliśmy pięć spółdzielni, ponad tuzin autonomicznych wimów, zabezpieczyliśmy cały bunkier pełen paskudnego sprzętu i *takie* podziękowanie czeka na nas po powrocie?

Nagle stęknął i zatoczył się do tyłu, przyciskając dłoń do oka, jakby Kurumaya właśnie go w nie dźgnął. Dowódca wstał z miejsca za biurkiem. Dyszał ciężko od uwolnionej nagle furii.

- Nie. Tak się dzieje, jeśli nie mogę dłużej ufać załogom, za które jestem odpowiedzialny. - Przeniósł wzrok na mnie. - Ty, Szczęściarzu, zabierz go stąd i przekaż moje polecenia reszcie towarzyszy. Nie zamierzam powtarzać. Won, obaj.

Las wciąż trzymał się za oko. Ująłem go za ramię, żeby pomóc mu wyjść, ale gniewnie odtrącił moją rękę. Mamrocząc coś, uniósł palec wskazujący w stronę Kurumayi, a potem chyba to przemyślał i odwrócił się na pięcie. Szybkim krokiem ruszył do drzwi.

Poszedłem za nim. W drzwiach obejrzałem się na dowódcę. Trudno było cokolwiek wyczytać z jego ściągniętej gniewem twarzy, ale pomyślałem, że i tak się zdradził - wściekł się z powodu nieposłuszeństwa, ale i dlatego, że stracił kontrolę nad sytuacją i nad sobą. Stracił zaufanie do swoich współpracowników z bańki, ale i idei wolnego rynku inicjatywy Mecseka. Czuł obrzydzenie z powodu tego, ku czemu zmierzała cała ta cholerna planeta.

Stara szkoła.

* * *

Postawiłem Lasowi drinka w barze i wysłuchałem jego wyklinania na Kurumayę, który wedle elastyka był pieprzonym, lepkiem głównym, a potem poszedłem szukać pozostałych. Zostawiłem go w dobrym towarzystwie - wokół pełno było poirytowanych lików, którzy trafili tu prosto ze *Świtu Daikoku*, narzekających głośno na pogodę i związaną z tym przerwę w przydziałach. Wiekowy jazz tworzył odpowiednie tło, łaskawie oczyszczone z propagandowej gadki spikera, którego nauczyłem się z nim kojarzyć przez ostatni miesiąc. Dym i hałas wypełniały plastobańkę aż po dach.

Znalazłem Jadwigę i Kiyokę w kącie baru. Patrzyły sobie głęboko w oczy, pogrążone w rozmowie. Wyglądała na intensywną, więc postanowiłem się nie przyłączać. Jad ze zniecierpliwieniem powiedziała mi, że Orr został z Sylvie w bańce mieszkaniowej i że Oishii kręci się gdzieś po okolicy, może przy barze, i że kiedy go ostatnio widziała, rozmawiał z kimś mniej więcej tam - pokazała palcem. Zrozumiałem aluzję i zostawiłem je w spokoju.

Oishiego nie znalazłem w kierunku wskazanym przez Jadwigę. Siedział przy barze, gdzie rozmawiał z paroma innymi likami, z których tylko jednego rozpoznałem jako członka jego załogi. Powitał mnie uśmiechem i uniesieniem szklanki. Mówił głośno, żeby przekrzyczeć hałas.

- Dostało się wam, co?

- Mniej więcej. - Podniosłem rękę, żeby zwrócić na siebie uwagę barmana. - Odniosłem wrażenie, że Ślizgacze Sylvie już od jakiegoś czasu naginali zasady. Chcesz kolejkę?

Oishii przyjrzał się badawczo zawartości swojej szklanki.

- Nie, wystarczy mi ta. Naginali zasady... Można to tak określić. Z pewnością nie są tu najbardziej uspołecznioną załogą, ale mimo wszystko ciągle utrzymują się na szczytach list. Jakiś czas można z tego żyć, nawet przy kimś takim jak Kurumaya.

- Miło jest mieć dobrą reputację.

- Tak, co mi przypomina... Ktoś cię tu szuka. - Och?

Popatrzył mi w oczy. Stłumiłem reakcję i uniosłem brwi, starannie odmierzając ton zainteresowania w głosie. Zamówiłem u barmana słodową z Millsport i odwróciłem się z powrotem do Oishiego.

- Spytałeś o nazwisko?

- To nie ja z nim rozmawiałem. - Dowódca kiwnął głową na jednego ze swoich towarzyszy. - To Simi, wiodący elastyk Przerywaczy. Simi, ten gość, który rozpytywał o Sylvie i jej nowego rekruta, miał jakieś nazwisko?

Simi przez chwilę mrużył oczy z namysłem. Potem jego twarz się wygładziła, strzelił palcami.

- A tak, pamiętam. Kovacs. Powiedział, że nazywa się Kovacs.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wszystko znieruchomiało.

Poczułem się tak, jakby hałas baru zestalił się nagle w moich uszach do arktycznego lodu. Dym przestał się ruszać, zanikło parcie ludzi stojących za mną przy barze. Reakcja szokowa, której nie doświadczyłem w powłoce Eishundo nawet, kiedy wchodziłem w walkę z wimami. Przez senną ciszę chwili zobaczyłem, jak Oishii przygląda mi się uważnie, i na autopilocie uniosłem do ust szklaneczkę. Whisky spłynęła gardłem, a kiedy jej ciepło rozlało się po moim żołądku, świat ruszył równie gwałtownie, jak wcześniej się zatrzymał. Muzyka, hałas, nacisk tłoku wokół mnie.

- Kovacs - powtórzyłem. - Naprawdę?

- Znasz go? - zapytał Simi.

- Słyszałem o nim. - Nie miało sensu kłamać. Nie wtedy, gdy Oishii przyglądał się mojej twarzy. Znów napiłem się drinka. - Powiedział, czego chce?

- Nie. - Simi potrząsnął głową, wyraźnie niezainteresowany. - Pytał tylko, gdzie jesteś, czy wyszedłeś z załogą Sylvie. To było parę dni temu, więc powiedziałem mu, że tak i że wszyscy kręcicie się po Nieoczyszczonych. On...

- Czy on... - urwałem. - Przepraszam, co mówiłeś?

- Wyglądało na to, że bardzo chce z tobą rozmawiać. Przekonał kogoś, chyba Antona z Gangu Czaszki, żeby zabrał go w Nieoczyszczone. Czyli znasz gościa, tak? Robi ci jakieś problemy?

- Oczywiście - odezwał się cicho Oishii. - Ale to może nie być Ko-vacs, którego znasz. To dość popularne nazwisko.

- Zgadza się - przyznałem.

- Ale tak nie uważasz?

Wzruszyłem ramionami.

- Mało prawdopodobne. Szuka mnie, a ja o nim słyszałem. Pewnie mamy jakąś wspólną historię.

Kolega Oishiego z załogi i Simi kiwnęli niezobowiązująco głowami. Sam Oishii wydawał się wyraźnie zaintrygowany.

- A co słyszałeś o tym Kovacsu?

Tym razem łatwiej przyszło mi wzruszyć ramionami.

- Nic dobrego.

- Tak - zgodził się skwapliwie Simi. - Zgadza się. Wyglądał na sukinsyna ze stalowymi jajami.

- Przyjechał sam? - zapytałem.

- Nie, miał ze sobą ekipę mięśniaków. Czterech czy pięciu. Akcenty z Millsport.

Fantastycznie. Czyli nie była to już sprawa lokalna. Tanaseda spełnił swoją obietnicę. *Globalny nakaz aresztowania i egzekucji.* I skądś wyciągnęli...

Jeszcze tego nie wiesz.

Och, daj spokój. Musi tak być. Czemu używa nazwiska? I czyjego poczucia humoru to dowodzi?

Chyba że...

- Simi, słuchaj. Nie pytał o mnie po nazwisku, prawda? Simi zamrugął.

- Nie wiem. A jak się nazywasz?

- Dobra, nieważne.

- Facet rozpytywał o Sylvie - wyjaśnił Oishii. - Znał jej nazwisko. I chyba Ślizgaczy. Ale tak naprawdę zdawał się zainteresowany wyłącznie jej nowym rekrutem. Tyle że nie znał jego nazwiska.

Zgadza się, Simi?

- Mniej więcej tak. - Simi zajął do swojej pustej szklanki. Skinąłem na barmana i zafundowałem wszystkim kolejkę.

- Dobra. A te typy z Millsport? Któryś z nich tu został?

Simi wydał wargi.

- Możliwe. Nie wiem. Nie widziałem, jak wychodzili stąd ci z Gangu Czaszki. Nie wiem, ile ekstramasy ze sobą ciągnęli.

- Ale to miałyby sens - zauważył cicho Oishii. - Jeśli ten Kovacs się przygotował, wie, jak trudno jest śledzić kogoś w Nieoczyszczonych. Pewnie zostawiłby tu paru ludzi na wypadek, gdybyś wrócił. - Urwał, przyglądając się mojej twarzy. - I w takim przypadku przestrunowałby informację.

- Tak. - Osuszyłem szklaneczkę i lekko zadrzałem. Podniosłem się. - Chyba muszę pogadać ze swoją załogą. Panowie wybaczą.

Przecisnąłem się przez tłum i dotarłem z powrotem do kąta, który zajmowały Kiyoka i Jadwiga. Nie zwracały uwagi na otoczenie, całując się namiętnie. Opadłem na siedzenie obok nich i poklepałem Jadwigę po ramieniu.

- Dajcie z tym spokój. Mamy problem.

* * *

- No tak - burknął Orr. - Myślę, że to kupa gówna.

- Naprawdę? - Z wysiłkiem opanowałem wybuch złości i pożałowałem, że nie przeszedłem na pełny tryb perswazji Emisariusza, zamiast ufać w zdolność podejmowania decyzji kolegów likwidatorów. - Mówimy tu o yakuzie.

- Tego nie wiesz.

- Sam dodaj dwa do dwóch. Od sześciu tygodni kolektywnie ponosimy odpowiedzialność za śmierć syna wysokiej rangi yakuzy i dwóch jego goryli. A teraz ktoś nas szuka.

- Nie. Ktoś szuka *ciebie*. Dopiero się okaże, czy nas też.

- Słuchaj. Wszyscy słuchajcie. - Objąłem spojrzeniem pozbawioną okien komórkę, którą znaleźli dla Sylvie. Spartańska prycza, wbudowane w ściany szafki, krzesło w rogu. Kiedy zebraliśmy się tu wszyscy, zrobiło się ciasno. W powietrzu wisiało napięcie. - Znają Sylvie, powiążą ją ze mną. Kumpel Oishiego o tym wie.

- Człowieku, wykasowaliśmy tamten pokój lepiej niż...

- Wiem, Jad, ale to nie wystarczyło. Mają świadków, którzy nas widzieli, może jakieś peryferyjne wideo albo coś innego. Rzecz w tym, że znam tego Kovacsa, i wierzcie mi, jeśli zaczekamy tu na niego, przekonacie się, że nie ma większego znaczenia, czy szuka mnie, Sylvie czy nas obojga. To były Emisariusze. Załatwi wszystkich w tym pokoju tylko po to, żeby uprościć sytuację.

Stary straszak Emisariuszy... Sylvie spała, odurzona wzmacniającymi farmaceutykami i wyczerpana, a Orr był zbyt spragniony konfrontacji, ale reszta się wzdrygnęła. Pod pancierzem luzu lików kryły się niegdysiejsze dzieci, które dorastały, słuchając koszmarnych opowieści z Adoracion i Sharyi. Emisariusze przychodzili i ścierali świat na pył. Oczywiście, nie wyglądało to tak prosto, prawda była bardziej złożona i w sumie znacznie bardziej przerażająca. Ale kto na tym świecie chce prawdy?

- A co jeśli zdusimy sprawę w zarodku? - zaczęła się zastanawiać Jadwiga. - Znajdziemy tych kumpli Kovacsa na przyczółku i załatwimy ich, zanim zdążą coś przesłać.

- Pewnie jest już za późno, Jad. - Lazlo potrząsnął głową. - Siedzimy tu od kilku godzin. Każdy, kto chciał nas znaleźć, miał na to dość czasu.

Dyskusja nabrała tempa. Siedziałem cicho i patrzyłem, jak toczy się w stronę, w którą chciałem. Wtrącała się Kiyoka. Zmarszczyła brwi i mówiła, ważąc słowa:

- W każdym razie, nie wiemy, jak znaleźć tych gnojków. Akcenty z Millsport i goryle gęby to tutaj standard. Musielibyśmy uzyskać dostęp do bazy danych przyczółka, a na to - wskazała na zwiniętą w pozycji embrionalnej Sylvie - raczej nie mamy szans.

- Nawet gdyby Sylvie była w pełni sprawna, mielibyśmy z tym problemy - przyznał ponuro Lazlo. - Biorąc pod uwagę to, jak Kurumaya jest teraz do nas nastawiony, wybuchnie nawet, gdy zaczniemy czyścić zęby w niewłaściwy sposób. A poza tym, przypuszczam, że dobrze się zabezpieczył przed włamem. - Kiwnął głową w stronę ustawionego na krześle osobistego zagłuszacza podśluchu.

Kiyoka powtórzyła gest, choć trochę niechętnie.

- Najwyższej klasy, Las. Naprawdę. Kupiłam go w Reiko Prosto-na-Ulicę, zanim wypłynęliśmy. Problem w tym, Micky, że jesteśmy tu praktycznie unieruchomieni. Twierdzisz, że ten Kovacs chce nas dopaść. Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

No to jedziemy.

- Chciałbym zniknąć stąd tej nocy na *Świecie Daikoku* i zabrać ze sobą Sylvie.

W pokoju zapadła cisza. Śledziłem kierunek spojrzeń, ważyłem emocje, oceniałem, jak potoczą się wydarzenia.

Orr przekręcił głowę jak wojownik z areny na rozgrzewce.

- Wiesz co - powiedział wolno - idź i się wypieprz.

- Orr... - zaczęła Kiyoka.

- Nie ma mowy, Ki. *Za diabła* nigdzie jej stąd nie weźmie. Nie na mojej warcie.

Jadwiga rzuciła mi badawcze spojrzenie.

- A co z resztą, Micky? Co mamy robić, kiedy pojawi się tu ten spragniony krwi Kovacs?

- Ukryć się - odpowiedziałem. - Odebrać przysługi i schować się albo gdzieś na przyczółku, albo w Nieoczyszczonych z jakąś inną załogą, jeśli ich do tego przekonacie. Cholera, moglibyście nawet namówić Kurumayę, żeby was aresztował, jeśli wierzycie, że to zapewni wam bezpieczeństwo.

- Hej, gównojadzie, damy sobie z tym radę nawet z Sylvie...

- Naprawdę, Orr? - Spojrzałem olbrzymowi w oczy. - *Naprawdę?* Możesz wyruszyć w Nieoczyszczone z Sylvie w takim stanie? Kto ją tam będzie niósł? Jaka załoga? Kto chciałby dźwigać taki balast?

- On ma rację, Orr. - Lazlo wzruszył ramionami. - Nawet Oishii nie wróci tam z nią na plecach.

Orr rozejrzał się wokół. Wyglądał na zaszczutego.

- Możemy ukryć ją tutaj, w...

- Orr, nie słuchasz mnie. Kovacs rozerwie to miejsce na strzepy, żeby się do nas dostać. *Znam go.*

- Kurumaya...

- Zapomnij. Jeśli będzie musiał, przejdzie przez Kurumayę jak anielski ogień. Orr, tylko jedna rzecz może go powstrzymać, a jest nią informacja, że Sylvie i ja odjechaliśmy. Bo wtedy zabraknie mu czasu, żeby się tu kręcić i szukać pozostałych. Kiedy dotrzemy do Tekitomury, upewnimy się, że wiadomość o tym dotrze do Kurumayi, więc kiedy Kovacs tu wróci, wszyscy na przyczółku będą już wiedzieć, że daliśmy nogę. To wystarczy, by zniknął stąd na następnym transportowcu.

Znów cisza, tym razem przypominająca odliczanie. Przyglądałem się, jak to kupują, kawałek po kawałku.

- To ma sens, Orr. - Kiyoka poklepała olbrzyma po ramieniu. – Nie jest miłe, ale się skanuje.

- Przynajmniej w ten sposób skiper zejdzie z linii ognia.

Orr się otrząsnął.

- Do diabła, nie wierzę w to, co słyszę. Nie widzicie, że *on* próbuje was nastraszyć?

- Tak, i ze mną mu się udało - odciął się Lazlo. - Sylvie jest wyłączona. Jeśli yakuza wynajmują zabójców od Emisariuszy, zdecydowanie przekracza to nasze możliwości.

- Musimy zapewnić jej bezpieczeństwo, Orr. - Jadwiga wpatrywała się w podłogę, jakby chciała wykopać w niej tunel. - A tutaj to niemożliwe.

- To ja też jadę.

- Obawiam się, że nic z tego - powiedziałem cicho. - Lazlo może wprowadzić nas przez jedną z wyrzutni tratw ratunkowych, tak jak sam dostał się na pokład w Tekitomurze. Ale dźwigasz na sobie tyle sprzętu i źródeł zasilania, że uruchomisz każdy alarm, jaki zainstalowali na *Świcie Daikoku*.

Zgadywałem tylko - skok na gwałtownie rozwijające się rusztowanie intuicji Emisariusza - ale chyba trafiłem w sedno. Ślizgacze wymienili spojrzenia i w końcu Lazlo pokiwał głową.

- On ma rację, Orr. Nie ma mowy, żebym zdołał po cichu przepchnąć cię przez wyrzutnię.

Olbrzym przez bardzo długą chwilę patrzył mi w oczy. W końcu odwrócił wzrok w stronę kobiety na łóżku.

- Jeśli w jakikolwiek sposób ją skrzywdzisz...

Westchnąłem.

- Orr, największa krzywdę odniesie, jeśli tu zostanie. Czego nie planuję. Zachowaj więc sobie tę wrogość na Kovacsa.

- Tak - ponuro rzuciła Jadwiga. -1 obiecuję, że jak tylko Sylvie stanie na nogi, dorwiemy tego sukinsyna i...

- Godne podziwu - zgodziłem się. - Ale trochę na to za wcześnie. Później zaplanujecie zemstę, dobrze? W tej chwili skupmy się na tym, by przetrwać.

* * *

Oczywiście, wcale nie było to takie proste.

Kiedy przycisnęliśmy Lazla, przyznał, że ochrona przy rampach poduszki na Kompcho była w najlepszym razie mało spostrzegawcza. Na przyczółku w Dravie, gdzie ciągle obawiano się ataku wimów, doki musiały być ściśle kontrolowane pod kątem elektronicznych wtargnięć.

- No dobrze. - Próbowałem zachować spokój. - Czyli nigdy tak naprawdę nie próbowałaś tego numeru z wyrzutnią tratw w Dravie?

- Cóż, raz. - Lazlo podrapał się za uchem. - Ale z zagłuszeniem trochę pomogła mi Suki Bajuk.

- Ta ździra! - prychnęła Jadwiga.

- Zazdrosna? Ona jest cholernie dobrym likiem. Nawet naćpana po uszy przejechała kody wejściowe jak...

- I niejechała wtedy tylko kodów, jak słyszałam.

- Kobieto, tylko dlatego że ona nie jest...

- Czy ona jest tutaj? - zapytałem głośno. - Na przyczółku? Lazlo znów zaczął się drapać za uchem.

- Nie wiem. Pewnie moglibyśmy sprawdzić, ale...

- To zajmie wieczność - domyśliła się Kiyoka. - A zresztą może odmówić, gdy dowie się, o co naprawdę w tym chodzi. Pomogła Lazlowi wykręcić numer, owszem, ale nie ma nic zabawnego w tym, żeby nadeptywać na odcisk Kurumayi, prawda?

- Nie musi wiedzieć - zasugerowała Jadwiga.

- Nie bądź wredna, Jad. Nie wystawię Suki na odstrzał bez... Odchrząknąłem.

- A co z Oishim?

Wszyscy się na mnie obejrzeni. Orr zmarszczył czoło.

- Może. On i Sylvie znają się od bardzo dawna. Razem najęli się jako koty.

Jadwiga wyszczerzyła zęby.

- Jasne, że to robi. Jeśli Micky go poprosi.

- Co?

Wyglądało na to, że wszyscy doskonale się bawią. Przydało im się takie rozluźnienie po ostatnich godzinach napięcia. Kiyoka zachichotała, osłaniając usta dłonią. Lazlo starannie obejrzał sufit. Jad stłumiła chichot. Tylko Orr był zbyt rozzłoszczony, by przyłączyć się do zabawy.

- Nie *zauważyłeś*, Micky? - spytała Jadwiga, starannie wypowiadając słowa. - Oishii cię lubi. No wiesz, *naprawdę* cię lubi.

Rozejrzałem się po zatłoczonym pokoiku i ich twarzach, próbując zachować zimną krew. Byłem zły na siebie. *Rzeczywiście* nie zauważyłem, a przynajmniej nie zidentyfikowałem sympatii we właściwy - wedle Jadwigi - sposób. Dla Emisariusza było to poważne uchybienie, bo nie dostrzegłem przewagi, jaką mogło mi to zapewnić.

Dla byłego Emisariusza.

Jasne, dzięki.

- To dobrze - powiedziałem bezbarwnie. - W takim razie lepiej pójdę z nim pogadać.

- Tak. - Jadwiga zdołała się nie rozeźmiać. - Sprawdź, czy nie zaferuje ci pomocnej dłoni.

W ciasnej przestrzeni wybuchł śmiech. Mimo woli też się uśmiechnąłem.

- Sukinsyny.

Nie pomogło. Rozbawienie tylko narosło. Sylvie na łóżku poruszyła się i otworzyła oczy, obudzona hałasem. Uniosła się na łokciu i zakaszła. Śmiech zgasł równie gwałtownie, jak się pojawił.

- Micky? - Głos miała słaby i zachrypnięty.

Odwróciłem się do łóżka. Kątem oka dostrzegłem jadowite spojrzenie, jakie posłał mi Orr. Nachyliłem się nad nią.

- Tak, Sylvie. Jestem tu.

- Z czego się śmiejecie?

Potrząsnąłem głową.

- To bardzo dobre pytanie.

Chwyła mnie za rękę z taką samą siłą, jak tamtej nocy w obozie Oishiego. Przygotowałem się wewnątrz na to, co mogła teraz powiedzieć. Zamiast tego zadygotała tylko i wpatrzyła się we własne palce zagłębione w rękaw mojej kurtki.

- Ja... - wymamrotała. - To mnie *znało*. Jak starego przyjaciela. Jak...

- Zostaw ją, Micky. - Orr próbował odepchnąć mnie ramieniem, ale chwyt Sylvie na mojej ręce mu to uniemożliwił. Spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

- Co się dzieje? - zapytała. Rzuciłem olbrzymowi kosę spojrzenie.

- Chcesz jej wyjaśnić?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Noc zapadła nad Drawą plamami upstrzonego śniegiem mroku, osiadając jak mocno wytarty koc na skulonych bańkach przyczółka, a później wyżej, na kanciastych ruinach miasta. Front zamieci nadszedł i odleciał z wiatrem, przynosząc ze sobą śnieg w grubych, wirujących smugach, które oklejały twarz i wciskały się za kołnierz, po czym umykały, rozplywając się niemal do pustki, a potem znów wracały, by tańczyć w skupionym świetle rtęciowych lamp obozu. Widoczność się zmieniała, ograniczała się do pięćdziesięciu metrów, to znów oczyszczała się i nagle spadała niemal do zera. Typowo barowa pogoda.

Przykucnięty w cieniu porzuconego kontenera na końcu nabrzeża zastanawiałem się przez chwilę, jak radzi sobie ten drugi Kovacs tam, w Nieoczyszczonych. Podobnie jak ja, odznaczał się standardową dla urodzonych w Newpest niechęcią do zimna i jak ja...

Nie wiesz tego, nie wiesz, że to on...

Jasne.

Słuchaj, jak, u diabła, yakuza miałyby zdobyć wolną kopię osobowości byłego Emisariusza? I czemu, do cholery, chciałyby podejmować takie ryzyko? Pod płaszczykiem bzdurnego szacunku dla przodków, tak naprawdę są tylko pieprzonymi kryminalistami. Nie ma mowy...

Jasssne.

To niepokój, z którym wszyscy musimy sobie radzić, cena postępu. *Co jeśli? Co jeśli w jakiejś nieokreślonej chwili życia cię skopiują? Co jeśli przechowują cię w trzewiach jakiejś maszyny, a ty przeżywasz równoległe, wirtualne żywoty albo po prostu śpisz, czekając na uwolnienie do prawdziwego świata.*

Albo już uwolniony, żyjesz gdzieś tam...

Widzi się to w sensoriach, słyszy legendy o znajomych znajomych, którzy na skutek jakiegoś maszynowego błędu spotykają się w wirtualu lub, rzadziej, w rzeczywistości. Opowiadają o tym konspiracyjne horrory w stylu Lazla o wojskowych wielokrotnych upowłokowaniach. Słucha się tego i doświadcza egzystencjonalnego dreszczyku, jaki wywołuje to wzdłuż kręgosłupa. Raz na bardzo długi czas trafia się nawet pogłoska, w którą można uwierzyć.

Spotkałem raz i musiałem zabić człowieka, który chodził w dwóch powłokach.

Raz spotkałem siebie, i nie skończyło się to dobrze.

Nie spieszyło mi się do powtórki.

I miałem dość innych spraw na głowie.

Pięćdziesiąt metrów dalej przy nabrzeżu *Świt Daikoku* majaczył niewyraźnie w burzy śnieżnej. Był większy od *Broni dla Guevary*, ale sprawiał wrażenie komercyjnego transportowca wyciągniętego z jakiegoś doku i przerobionego na potrzeby przewozu lików. Emanował aurą antycznej świetności. Światło błyszczało na iluminatorach, zebrane w zimniejsze białe i czerwone konstelacje na strukturze wyżej. Wcześniej po trapie wspinał się krótki łańcuszek postaci wchodzących na pokład, wypływających z Drawy lików, ale teraz włazy były już zamknięte i poduszkowiec stał samotnie na mrozie nocy Nowego Hokkaido.

Jakieś postacie w gęstych kłębach bieli po prawej stronie. Dotknąłem rękojeści noża Tebbita i podkręciłem wizję.

To Lazlo. Prowadzi pozostałych sprężystym krokiem elastyka z szerokim uśmiechem na przechłodzonej twarzy. Za nim Oishii i Sylvie. Twarz kobiety ożywiała farmakologiczna funkcjonalność, drugi dowódca poruszał się ze zdecydowanie większą werwą. Przeszli przez otwarty teren przy nabrzeżu i wsunęli się za osłonę kontenera. Lazlo otarł dłońmi twarz i strząsnął z palców

topniejący śnieg. Oblepił zdrowiejące ramię serwobandażem i zdawał się nie czuć żadnego bólu. W jego oddechu poczułem intensywną woń alkoholu.

- W porządku?

Kiwnął głową.

- Wszyscy zainteresowani i zapewne paru ekstra wiedzą, że Kurumaya nas uziemił. Jad wciąż tam jest i wyzala się głośno każdemu, kto chce słuchać.

- Oishii? Jesteś gotów?

Dowódca rzucił mi ponure spojrzenie.

- Jeśli ty jesteś... Jak powiedziałem, będziesz miał góra pięć minut. To wszystko, co mogę zrobić, żeby nie zostawiać śladów.

- Pięć minut wystarczy - niecierpliwie stwierdził Lazlo.

Wszyscy spojrzeliśmy na Sylvie. Pod naszym spojrzeniem zdołała się blado uśmiechnąć.

- Wystarczy - powtórzyła. - Skanuję. Zrobmy to.

Twarz Oishiego przybrała nagle pusty wyraz podłączenia sieciowego. Kiwnął do siebie głową.

- Systemy nawigacyjne są w stanie gotowości. Test silników i układów za dwieście dwadzieścia sekund. Lepiej bądźcie w wodzie, zanim się zacznie.

Sylvie zdołała zebrać odrobinę profesjonalnego zainteresowania.

- Ochrona kadłuba?

- Tak, włączona. Ale stroje maskujące powinny oszukać większość skanerów. A kiedy zejdziecie do poziomu wody, zamierzam zrobić z was parę darłoskrzydłów czatujących na łatwą zdobycz. Jak tylko zacznie się cykl systemu, włączcie w górę rury. Wymuskuję was na wewnętrznych skanerach, a systemy nawigacyjne założą, że straciły ptaki w chwili przeładowania. To samo dotyczy wyjścia, Lazlo, więc zostań w wodzie do czasu, aż transporter odpłynie dalej.

- Świetnie.

- Dasz nam kabinę?

Kącik ust Oishiego drgnął.

- Oczywiście. Dla przyjaciół nigdy dość luksusów. Sterburtowe na dolnym poziomie są w większości puste, więc S37 jest dla was. Wystarczy pchnąć drzwi.

- Czas ruszać - syknął Lazlo. - Pojedynczo.

Wymknął się zza osłony kontenera z tą samą sprawnością elastyka, jaką prezentował w Nieoczyszczonych, przez chwilę wystawiony na widok na nabrzeżu, po czym giętko zeskoczył z brzegu i znów zniknął. Zerknąłem na Sylvie i skinąłem głową.

Poszła, nie tak gładko jak Lazlo, ale mimo wszystko zachowując ślad dawnego wdzięku. Tym razem chyba usłyszałem cichy plusk. Dałem jej pięć sekund i ruszyłem za nią, przez sieczoną śniegiem otwartą przestrzeń, schyliłem się, by chwycić pręt drabinki, i ruszyłem w dół, zsuwając się ręką za rękaw chemiczny smród estuarium w dole. Kiedy zanurzyłem się do pasa, puściłem drabinkę i spadłem do wody.

Nawet przez kombinezon maskujący i ubranie pod nim szok zanurzenia był wstrząsający. Zimno przebiło się przez tkaninę, ścisnęło mnie za krocze i klatkę piersiową i wypchnęło przez moje zaciśnięte zęby całe powietrze z płuc. Gekonowe włókna w dłoniach ze współczuciem rozprostowały kolce. Wzięłem oddech i rozejrzałem się w wodzie za pozostałymi.

- Tutaj.

Lazlo zamachał do mnie od strony falistej ściany doku, gdzie wraz z Sylvie trzymali się skorodowanego generatora odbijacza. Przesunąłem się przez wodę w ich stronę i pozwoliłem modyfikowanym genetycznie dłoniom zakotwiczyć się wprost w wiecznobeton. Lazlo odetchnął

niepewnie i odezwał się przez szczękające zęby.

- Ppprzejdź na rrrufę i pppopłyń wodddą między dddokiem i kadłubem. Zzzobaczysz wyrzutnie. Aaale nie pppij wody.

Wymieniliśmy uśmiechy i popłynęliśmy.

To ciężka praca płynąć wbrew odruchom ciała, które chciało wyłącznie skulić się przed mrozem i dygotać. Zanim przebyliśmy pół drogi, Sylvie zaczęła zostawać z tyłu i musieliśmy po nią wrócić. Oddychała ciężko i chrapliwie, zęby miała zaciśnięte, źrenice oczu zaczęły uciekać.

- Nnnie dddam rrrady - wykrztusiła, kiedy odwróciłem się w wodzie, a Lazlo pomógł mi wciągnąć ją na klatkę piersiową. - Nnnie mów mmmi, że wyyy... wwwwy... wyyygrywamy, co?

- Będzie dobrze - rzuciłem przez zaciśnięte zęby. - Trzymaj się. Las, nie zatrzymuj się.

Pokiwał głową i popłynął. Niezgrabnie ruszyłem za nim, obciążony dodatkowym ciężarem.

- *Nie ma innej drogi?* - jęknęła tylko nieco głośniej od szeptu.

Jakimś cudem udało mi się dotransportować nas do sterczącej rufy *Świtu Daikoku*, gdzie czekał Lazlo. Przepłynęliśmy następnie pasem wody między kadłubem transportowca i ścianą doku, gdzie przykleiłem dłonie do wiecznobetonowej ściany.

- Nnniecccałła mmminnnutta - wyjąkał Lazlo, prawdopodobnie sprawdzając czas na wyświetlaczu siatkówkowym. - Mmmiejmy nnnadzieję, zeee Oooishiii ssssie podpiął.

Poduszkowiec obudził się do życia. Najpierw rozległo się głębokie dudnienie systemów antygravitacyjnych przechodzących z niwelowania masy na aktywne działanie, potem narastający jęk wlotów powietrza i hurkoczący trzask napełniających się fartuchów. Poczulem napór odsuwającej się od kadłuba wody. Z rufy wystrzeliła fontanna, zalewając mnie. Lazlo posłał mi jeszcze jeden uśmiech i wskazał palcem przed siebie.

- Tam - wrzasnął, przekrzykując silniki.

Spojrzałem we wskazanym przez niego kierunku i zauważyłem baterię trzech okrągłych otworów z włazami otwierającymi się w spirali płatków. Światelka techniczne ukazały wnętrze rynien z drabinką inspekcyjną na boku poduszkowca prowadzącą do pierwszego z otworów.

Dźwięk silników przybrał głębsze tony.

Lazlo ruszył pierwszy, wspinając się po prętach drabinki na wąską, wykrzywioną półkę u jej szczytu. Zaczepiwszy się tam o kadłub, zamachał do mnie. Pchnąłem Sylvie do drabiny, krzyknąłem jej do ucha, żeby się wspinała, i zobaczyłem z ulgą, że nie była zbyt zmarznięta, by to zrobić. Lazlo złapał ją, jak tylko dotarła do góry, i po chwili zniknęli oboje w kanale. Ruszyłem w górę drabiny tak szybko, jak pozwalały mi dygoczące dłonie, i schowałem się w otworze, uciekając przed hałasem.

Sylvie i Lazla zobaczyłem kilka metrów nad sobą. Stali w rozkroku, zawieszeni między wypukłościami wnętrza rury. Pamiętałem przechwałkę elastyka przy naszym pierwszym spotkaniu - *siedem metrów wspinaczki gładką stalową rurą. Pestka*. Z ulgą stwierdziłem, że jak zwykle przesadził. Rurze daleko było do wypolerowanej gładkości, w metal wbudowano liczne uchwyty. Chwyciłem ostrożnie za wypukłość nad głową i oceniłem, że zdołam podciągnąć się bez większego wysiłku. Wyżej znalazłem gładkie wypukłości metalu, na których stopy mogły przejść część masy ciała. Przez chwilę odpoczywałem na dygoczącej lekko powierzchni rury, potem jednak przypomniałem sobie o pięciominutowym limicie Oishiego i ruszyłem ponownie.

U szczytu rury znalazłem przemokniętą Sylvie i Lazla zapartych na szerokiej na palec krawędzi pod otwartym włazem zasłoniętym pomarańczową płachtą. Elastyk rzucił mi zmęczone spojrzenie.

- Jesteśmy na miejscu. - Uderzył dłonią w elastyczną powierzchnię nad głową. - To dolna tratwa. Pierwsza do zrzutu. Naciśniesz tutaj, wejdziecie na górę i znajdziecie właz techniczny prowadzący do korytarzyka serwisowego między poziomami. Po prostu otwórz najbliższą kratkę

dostępowa i wyjdźcie gdzieś na korytarz. Sylvie, lepiej idź pierwsza.

Odsunęliśmy elastyczny brzeg tratwy od jednego z brzegów rury i do jej środka buchnęło ciepłe, stęchłe powietrze. Roześmiałem się mimowolnie, czując, jak rozgrzewa mi ciało, a Lazlo ponuro pokiwał głową.

- Tak, ciesz się. Niektórzy z nas muszą teraz wrócić do tej pieprzonej wody.

Sylvie precyzyjnie się przez otwór. Już miałem iść za nią, kiedy elastyk szturchnął mnie w ramię. Odwróciłem się. Zawahał się.

- Las? Co jest? Kończy się nam czas.

- Ty... - Uniósł ostrzegawczo palec. - Ufam ci, Micky. Dbaj o nią. Chroń ją do czasu, aż do was dołączymy. Aż wróci do siebie.

- Dobra.

- Ufam ci - powtórzył.

Potem odwrócił się, zwolnił chwyt na krawędzi i zaczął szybko zsuwać się w dół rury wyrzutni. Kiedy zniknął na jej dnie, usłyszałem jeszcze dobiegający z dołu cichy okrzyk.

Patrzyłem za nim chwilę, a potem odwróciłem się i z irytacją przepchnąłem przez elastyczną barierę oddzielającą mnie od nowo nabytej odpowiedzialności.

Zalała mnie fala wspomnień.

W plastobańce...

- Ty. Pomóż mi. Pomóż mi!

Jej oczy utkwione we mnie. Mięśnie twarzy napięte w desperacji, lekko rozchylone usta. Ten widok budzi w moich trzewiach głębokie i zupełnie nieoczekiwane podniecenie. Odrzuca śpiwór i pochyla się, by mnie złapać. W słabym świetle przykręconej lampy iluminowanej pod wyciągniętą ręką widzę wypukłość jej piersi. To nie pierwszy raz - Ślizgacze nie cierpieli na przesadną wstydlivość i po miesiącu obozowania w Nieoczyszczonych pewnie mógłbym narysować z pamięci ich wszystkich nago - ale coś w twarzy i postawie Sylvie nagle tchnie niespodziewanym erotyzmem.

- Dotknij mnie. - Głos, który nie należy do niej, chrypi i podnosi mi włoski na karku. - Powiedz mi, do cholery, że jesteś prawdziwy.

- Sylvie, ty nie...

Jej dłonie przesuwają się z mojej ręki na twarz.

- Chyba cię znam - mówi z namysłem. - Elekt z Czarnej Brygady, tak? Batalion Tetsu. Odisiej? Ogawa?

Mówi archaicznym japońskim, nieużywanym od stuleci. Zwalczam upiorne drżenie i zostaję przy amangielskim.

- Sylvie, posłuchaj mnie...

- Masz na imię Silivi? - Twarz wykrzywiona wątpliwością. Zmienia język, dopasowując się do mnie. - Nie pamiętam. Ja... to... nie mogę...

- Sylvie.

- Tak, Silivi.

- Nie - mówię przez zdrętwiałe usta. - Ty masz na imię Sylvie.

- Nie. - Nagła panika w jej głosie. - Mam na imię... Mam na imię... Mówią na mnie, mówili...

Jej głos cichnie, a wzrok ucieka w bok, z dala ode mnie. Próbuje wydostać się ze śpiwora. Jej łokieć ześlizguje się na gładkim materiale obszycia. Upada na mnie. Wyciągam ramiona, które nagle wypełniają się jej ciepłym, muskularnym torse. Pięść, którą zacisnąłem, gdy się pierwszy raz odezwała, otwiera się odruchowo, trzymane w niej stopy korowe spadają na ziemię. Dłonie przyciskają sprężyste ciało. Jej włosy poruszają się i ocierają o mój kark. Czuję ją, jej ciepło i

zapach kobiecego potu unoszący się z otwartego spiwora. Coś znów przeskakuje w moich trzewiach i może ona też to wyczuwa, bo wydaje z siebie cichy jęk wprost w moją krtań. Głębiej w zamknięciu spiwora niecierpliwie poruszają się jej nogi, a potem rozsuwają się przed moją dłoń, która ześlizguje się po biodrze i wciska między uda. Masuję jej krocze, zanim uświadamiam sobie, co robię. Jest tam wilgotna.

- Tak. - Wybuchła z niej. - Tak, to... tam.

Tym razem kiedy poruszają się jej nogi, całe ciało przechyla się od bioder w górę, a uda rozszerzają się na tyle, na ile pozwala spiwór. Wsuwam w nią palce, a ona wydaje z siebie ostry, syczący odgłos, puszcza mój kark i wbija we mnie wzrok, jakbym właśnie dźgnął ją nożem. Zaciska palce na moim ramieniu i ręce. Poruszam palcami, kreśląc powolnie owale wewnątrz niej, i czuję, jak jej biodra poruszają się w proteście przeciwko zbyt wolnemu tempu. Jej oddech zaczyna przyspieszać.

- Jesteś prawdziwy - mruczy. - Och, prawdziwy.

Teraz jej dłonie zaczynają błędzić po moim ciele, palce rozplątują zapięcia kurtki, masują gwałtownie pęczniejące krocze, chwytają za szczękę. Wydaje się, że nie wie, co robić, i wolno, w miarę jak sunie coraz pewniej ku orgazmowi, uświadamiam sobie, że smakuje słowa, coraz szybciej padające z jej ust jesteś prawdziwy... prawdziwy... jesteś cholernie prawdziwy... prawdziwy... jesteś... prawdziwy... och, tak... jesteś prawdziwy, sukinsynu... tak... tak, prawdziwy... cholernie prawdziwy...

Jej głos zamiera w gardle wraz z oddechem i załamuje się od siły orgazmu. Owija się wokół mnie jak długie, zabójcze wstęgi pięknorostów za rafą Hiraty, zaciska uda na mojej dłoni, składa ciało nad i pod moją klatką piersiową i ramieniem. Skądś wiem, że patrzy znad tego ramienia w cienie pod drugą ścianą plastobańki.

- Nazywam się Nadia Makita - mówi cicho.

I znów czuję, jakby prąd przepłynął przez moje kości, jak w chwili gdy chwyciła mnie za ramię. Szok nazwiska. W mojej głowie startuje litania. To niemożliwe, to nie...

Rozluźniam jej chwyt na moim ramieniu, odsuwam się od niej, a ruch ten wywołuje nową falę feromonów. Nasze twarze oddalone są o kilka centymetrów.

- Micky - mruczę. - Szczęściarzu.

Jej głowa skacze do przodu niczym u ptaka, a usta zamykają się na moich, tłumiąc słowa. Język ma gorący i gwałtowny, jej dłonie znów zabierają się za moje ubranie, tym razem z determinacją, świadome celu. Zrzucam z siebie kurtkę, rozpinam ciężkie spodnie z synplótka, a jej dłoń zanurza się w szczelinie. Po tygodniach w Nieczyszczonych, gdzie brakowało prywatności choćby po to, by się masturbować, mając ciało, które wiele stuleci trzymano w lodzie, nie mogę zrobić nic, by nie dojść natychmiast, gdy jej dłoń zamyka się na moim członku. Czuje to i jej wargi zaciśnięte na moich rozchylają się w uśmiechu, w głębi jej gardła drży chichot. Przykleka wyprostowana na spiworze, opierając się jedną ręką na moim ramieniu, podczas gdy drugą porusza między nogami, doprowadzając mnie do szczytu. Ma długie, szczupłe, gorące i śliskie od potu palce, które zwijają się we wprawnym chwycie i pompują w górę i w dół. Spycham spodnie w dół ud i odchylam się do tyłu, by zrobić jej miejsce. Opuszką kciuka z regularnością metronomu przesuwam po żołądź. Jękiem opróżniam płuca z powietrza, a ona natychmiast zwalnia prawie do zera. Przyciska wolną dłoń płasko do mojego mostka i pcha mnie w kierunku podłogi, zaciskając równocześnie drugą dłoń z prawie miażdżącą siłą. Napięte mięśnie brzucha utrzymują mnie nad podłogą pomimo jej nacisku i tłumią pulsującą potrzebę dojścia.

- Chcesz być we mnie? - pyta poważnie.

Potrząsam głową.

- Wszystko jedno, Sylvie. Jak...

Ostre szarpie mnie za penisa.

- Nie jestem Sylvie.

- Nadia. Wszystko jedno. - Chwytam ją za wygięty pośladek, którym kończy się długie umięśnione biodro, i wciągam na siebie. Zabiera dłoń z mojego mostka, sięga w dół i rozsuwa nogi, po czym opada wolno na mój sztywny członek. Nasze jęki zlewają się w jedno. Sięgam w głąb siebie po resztki kontroli Emisariusza, obejmuję dłońmi jej biodra i pomagam jej unosić się i opadać. Ale to nie potrwa długo. Łapie mnie za kark i podciąga do nabrzmiałej piersi, przyciska twarz do swojego ciała i naprowadza usta na sutek. Ssę go i chwytam dłonią drugą pierś, podczas gdy ona unosi kolana i doprowadza nas oboje do orgazmu, który zaćmiewa mi wzrok i eksploduje w nas obojgu.

Opadamy na siebie w słabo oświetlonej plastobańce, drżący i śliscy od potu. Grzejnik rzuca czerwony blask na nasze splątane kończyny i ciasno sklezione ciała, a w półmroku rozbrzmiewa cichy odgłos, który może być kobiecym łkaniem albo tylko wiatrem na zewnątrz, próbującym znaleźć drogę do środka.

Nie chcę patrzeć na jej twarz, by to sprawdzić.

Wewnątrz w buczącego miarowo Świtu *Daikoku* opuściliśmy się z kanału na korytarz i ociekając wodą, dotarliśmy do S37. Zgodnie z obietnicą drzwi otworzyły się, gdy tylko je pchnąłem. Wewnątrz zapaliły się światła, ukazując niespodziewanie luksusowe wnętrze. Podświadomie przygotowywałem się na coś w stylu spartańsko urządzonej, dwupryczowej kabiny, jaką zajmowaliśmy na *Broni dla Guevary*, ale Oishii spisał się na medal. Kabina zdecydowanie zasługiwała na miano komfortowej, miała nawet autodopasowujące się łóżko, które można było zaprogramować na dwa pojedyncze lub jedno szerokie podwójne. Po wyposażeniu widać było ślady zużycia, ale powietrze wypełniał delikatny zapach środków antybakteryjnych, nadając wnętrzu pozór nieskazitelności.

- Barrrrdzo miłe - wyszczekałem i zamknąłem drzwi na zamek. - Dobrze się spisałeś, Oishii. Pochwalam.

Przyległa do apartamentu łazienka była prawie wielkości pojedynczej kabiny, łącznie z suszarką na ciepłe powietrze w kabinie prysznicowej. Zdarliśmy z siebie przemoczone ubrania, po czym zmyliśmy chłód z kości najpierw pod strumieniami gorącej wody, a potem w łagodnym wicherze ciepłego powietrza. Robiliśmy to po kolei, co zajęło trochę czasu, ale na twarzy Sylvie wchodzącej do kabiny nie pojawił się nawet ślad zaproszenia, więc zostałem na zewnątrz, pocierając dłońmi przechłodzone ciało. W pewnej chwili, gdy patrzyłem, jak obraca się pod strumieniami wody ściekającej po piersiach i brzuchu, skapującej między nogami i szarpiącej małą kępkę włosów w kroczu, poczułem, że zaczynam twardnieć. Rzuciłem się szybko, by wydłubać z kombinezonu maskującego kurtkę, i usiadłem, zakrywając nią erekcję. Kobieta pod prysznicem zauważyła, że się poruszam, i spojrzała na mnie z zaciekawieniem, ale nic nie powiedziała. Nie miała ku temu powodu. Kiedy ostatni raz widziałem Nadię Makitę, zapadała w drzemkę po stosunku w plastobańce na równinach Nowego Hokkaido. Uśmiechała się delikatnie, z pewnością siebie, ręką obejmowała luźno moje biodra. Kiedy w końcu się uwolniłem, obróciła się tylko w śpiworze i wymamrotała coś pod nosem.

Od tamtej pory nie wróciła.

A tymczasem ty ubrałeś ją i posprzątałeś, zanim pozostali wrócili, jak przestępca próbujący ukryć ślady zbrodni.

Odpowiedziałeś emisariuszowskiemu oszustwem na podejrzliwe spojrzenie Orra.

Wyślizgnąłeś się z Lazlem do własnej bańki, by leżeć rozbudzony aż do świtu, nie wierząc w to, co usłyszałeś, zobaczyłeś i zrobiłeś.

W końcu Sylvie wyszła z kabiny całkowicie sucha. Z wysiłkiem odwróciłem wzrok od przesyconego seksualnością kraj obrazu jej ciała i poszedłem zająć jej miejsce. Nic nie powiedziała, klepnęła mnie tylko w ramię pięścią i zmarszczyła brwi. Potem znikła w kabinie.

Zostałem pod prysznicem prawie godzinę. Obracałem się w prawie wrzącej wodzie i masturbowałem bez przekonania, próbując nie myśleć o tym, co będę musiał zrobić, kiedy dotrzemy do Tekitomury. *Swit Daikoku* dudnił wokół mnie w drodze na południe. Kiedy wyszedłem spod prysznica, wrzuciłem do brodzika nasze przemoczone rzeczy i ustawiłem nadmuchi na maksimum, po czym poszedłem do kabiny. Sylvie spała twardo pod przykryciem łóżka, które zaprogramowała na podwójne.

Przez długi czas stałem i przyglądałem się, jak śpi. Usta miała otwarte, włosy rozsypały się chaotycznie wokół jej twarzy. Mahoniowy kabel centralny wykręcił się tak, że spoczywał fallicznie na jej policzku. Skojarzenia, których nie było mi trzeba. Odciągnąłem go do tyłu wraz z resztą włosów, odsłaniając jej twarz. Wymamrotała coś przez sen i przysunęła do ust luźno zwiniętą pięść. Stałem i przyglądałem się jej jeszcze trochę.

To nie jest...

Ja wiem, że nią nie jest. To nie może...

Tak jak nie jest możliwe, żeby gdzieś tam polował na ciebie drugi Takeshi Kovacs? Gdzie twoja zdolność do zdziwienia, Tak?

Stałem i patrzyłem.

W końcu z irytacją wzruszyłem ramionami i położyłem się w łóżku obok niej, próbując usnąć.

Trochę to potrwało.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Dotarcie z powrotem do Tekitomury zajęło nam zdecydowanie mniej czasu niż podróż na *Broni dla Guevary*. Sunąc miarowo przez lodowate morze z dala od brzegów Nowego Hokkaido, *Świt Daikoku* nie musiał zachowywać ostrożności koniecznej w drodze na kontynent, więc przez większość drogi pędził z pełną prędkością. Według Sylvie, Tekitomura wyłoniła się zza horyzontu niedługo po słońcu. Obudziło nas ono, sięgając promieniami przez okna, które zapomniałszy zaciemnić. Niecałą godzinę później schodziliśmy już na nabrzeże Kompcho.

Ocknąłem się w oświetlonej słońcem kabinie. Silniki ucichły, a ubrana już Sylvie przyglądała mi się znad oparcia stojącego przy łóżku krzesła, na którym siadła okrakiem. Zamrugałem.

- Co?

- Coś ty, do diabła, robił tej nocy?

Dźwignąłem się pod kocem i ziewnąłem.

- Zechciałabyś to trochę rozwinąć? Dać mi jakieś pojęcie, o czym mówisz?

- Mówię o tym - wrzasnęła - że obudziłam się z twoim fiutem wciśniętym w mój kręgosłup jak lufa pieprzonego blastera odłamkowego.

- Ach. - Potarłem oko. - Przykro mi.

- Już to widzę. Od kiedy to śpimy razem?

Wzruszyłem ramionami.

- Pewnie od kiedy postanowiłaś zaprogramować łóżko na podwójne. Co miałem zrobić, spać na podłodze jak pieprzona foka?

- Och. - Odwróciła wzrok. - Nie pamiętam, żebym to zrobiła.

- Cóż, ale tak było. - Poruszyłem się, by wstać z łóżka, zauważyłem nagle, że wzmiankowana erekcja wcale nie ustąpiła, i zostałem na miejscu. Kiwnąłem głową w jej stronę. - Widzę, że ubrania już wyschły.

- Yhm, tak. Dzięki, że o tym pomyślałaś - odpowiedziała szybko, być może domyślając się, co jest grane. - Przyniosę ci twoje łachy.

Opuściliśmy kabinę i nie spotykając nikogo, dotarliśmy do najbliższego wjazdu wyjściowego. Na zewnątrz, w jaskrawym zimowym słońcu garstka oficerów ochrony stała przy trapie, rozmawiając o połowach butlogrzbietów i rozkwicie rynku nieruchomości przy nabrzeżach. Kiedy przechodziliśmy, ledwie na nas spojrzeli. Zeszliśmy z rampy i wtopiliśmy się w poranne tłumy na Kompcho. Kilka bloków i trzy przecznice od nabrzeża znaleźliśmy hotelik zbyt nędzny, by wyposażono go w podgląd, i wynajęliśmy pokój wychodzący na wewnętrzny dziedziniec.

- Lepiej cię osłońmy - powiedziałem do Sylvie, odcinając nożem Tebbita kawał materiału z jednej z wytartych zasłon. - Nie wiadomo, ilu maniaków religijnych kręci się po ulicach z twoim zdjęciem przy sercu. Masz, spróbuj tego.

Wzięła prowizoryczną chustę i przyjrzała się jej z niesmakiem.

- Myślałam, że mamy zostawiać ślady.

- Tak, ale nie dla zbirów z cytadeli. Nie komplikujmy sobie niepotrzebnie życia, co?

- Dobrze.

Pokój wyposażono w jeden z najbardziej zużytych terminali dostępowych, jakie w życiu widziałem, wmontowany w stolik przy łóżku. Odpaliłem go i wyłączyłem opcję wideo ze swojej strony, po czym zadzwoniłem do nadzorca zatoki Kompcho. Jak można się było spodziewać, odebrał konstrukt - blondynka w powłoce dwudziestolatki, odrobinę zbyt idealna, by być prawdziwa. Uśmiechnęła się promiennie, jakby mnie widziała.

- W czym mogę pomóc?

- Mam dla was ważną informację - powiedziałem. Z pewnością nagrają głos, ale jakie są szanse, że zidentyfikują powłokę nieużywaną od trzystu lat? Nie istniała już nawet firma, która ją wyprodukowała. A bez wizerunku twarzy trudno im będzie wysledzić mnie z przypadkowych ujęć wideo. - Mam powody wierzyć, że niedawno przybyły transportowiec *Świt Daikoku* został przed wypłynięciem z Dravy spenetrowany przez dwóch nieautoryzowanych pasażerów.

Konstrukt znów się uśmiechnął.

- To niemożliwe, proszę pana.

- Tak? Więc idźcie sprawdzić kabinę S37. - Przerwałem połączenie, wyłączyłem terminal i kiwnąłem na Sylvie, która usiłowała upchnąć resztki opornych włosów wewnątrz uciętej z zasłony chusty. - Bardzo szykowne. Jeszcze zrobimy z ciebie bogobojną niewiastę o przyzwoitych manierach.

- Pieprz się. - Naturalna sprężystość grzywy dowódczej wciąż rozpychała brzegi chusty. Spróbowała ściągnąć materiał do tyłu, odsłaniając brzegi pola widzenia. - Myślisz, że tu przyjdą?

- W końcu. Ale najpierw muszą sprawdzić kabinę, do czego im się nie będzie spieszyć, biorąc pod uwagę fakt, że donos był anonimowy. Potem skontaktują się z Dravą i dopiero wtedy wysledzą połączenie. Zajmie im to dzień, może więcej.

- Czyli nie musimy palić tego miejsca?

Rozejrzałem się po nędznym pokoiku.

- Ekipa niuchaczy nie zbierze wiele z tego, co tu dotykaliśmy, bo odciski rozmyte będą śladami wcześniejszych klientów. Wystarczy jednak, żeby potwierdzić trop z kabiny. Nie ma się czym przejmować. Zresztą chwilowo brakło mi materiałów wybuchowych.

Skinęła w stronę drzwi.

- Dostaniesz je wszędzie na Kompcho po kilka stów za skrzynkę.

- Kuszące. Ale trochę nie fair w stosunku do innych gości.

Wzruszyła ramionami. Uśmiechnąłem się.

- Rety, noszenie tego naprawdę cię wkurza, co? Chodź, urwiemy ślad gdzie indziej. Zabieramy się stąd.

Zeszliśmy po wytartych plastikowych schodach, znaleźliśmy boczne wyjście i wyslizgnęliśmy się na ulicę bez wymeldowania z powrotem w pulsujący tłum likowego handlu i rozrywki. Gromady kotów wyglupiały się na rogach, by przyciągnąć uwagę, załogi kręciły się w subtelnie zintegrowanych grupach, co zacząłem zauważać w Dravie. Wokół przechodzili mężczyźni, kobiety i maszyny niosące sprzęt. Dowódcy. Dilerzy tanich prochów i małe, będące nowością urządzenia, przyciągające wzrok plastikowymi opakowaniami błyszczącymi w słońcu. Jakiś maniak religijny wygłaszał mowy do przechodniów. Uliczni artyści naśladowali dla śmiechu lokalne osobistości, odpalali tanie holograficzne projektory i jeszcze tańsze teatrzyki marionetek, z tacami na skromny deszczyk prawie wyczerpanych chipów kredytowych i nadzieją, że niezbyt wielu widzów rzuci te całkiem puste. Przez chwilę kręciliśmy się pośród tego wszystkiego - przyzwyczałem się kontrolować otoczenie i zaciekawilo mnie kilka przedstawień.

- ...mroząca krew w żyłach historia Szalonej Ludmiły i Łatołaka...

- ...ostre ujęcia z kliniki lików! Zobaczcie najnowsze operacje i ciała testowane do *granic możliwości*, panie i panowie, do *granic*...

- ...zdobycie Dravy przez heroiczne załogi lików w pełnym kolorze...

- ...Bóg...

- ...spiracone nagrania pełnozmysłowe. *W stu procentach* gwarantowana oryginalność. Josefina Hikari, Mitzi Harlan, Ito Marriott i wiele innych. Umoczcicie w najpiękniejszych ciałach Pierwszych

Rodzin w otoczeniu, które...

- ...pamiątki lików. Kawałki karakuri...

W jednym z kątów iluminowany szyld z napisem *Broń* wyrysowanym stylizowanymi nakanji amangielskimi literami. Przepchnęliśmy się przez zasłony zrobione z maleńkich łusek, wkraczając w klimatyzowane ciepło sklepu. Na ścianach umieszczono solidne pociskowce i blastery energetyczne wraz z powiększonymi holoschematami i puszczanymi w pętli zdjęciami z walki z wimami w ponurych krajobrazach Nowego Hokkaido. Z ukrytych głośników rozbrzmiewała cicho przyjemna, spokojna muzyka.

Zza wysokiego kontuaru blisko wejścia kiwnęła nam głową kobieta o szczupłej twarzy z włosami dowódczymi i wróciła do rozbierania antycznego karabinu plazmowego dla kota, który chyba chciał go kupić.

- Patrz, ciągniesz to do tyłu tak daleko, jak się da, a wtedy wyskoczy rezerwowy magazynek. Tak? Wtedy zostanie ci jeszcze jakiś tuzin strzałów, zanim będziesz musiał przeładować. Bardzo przydatne w walce. Kiedy pójdziesz na te chmary karakuri na Nowym Hokkaido, będziesz wdzięczny, że masz coś w zapasie.

Kot wymamrotał coś niewyraźnie. Zacząłem się kręcić po wnętrzu, szukając broni, którą łatwo dałoby się ukryć, podczas gdy Sylvie stała i zniecierpliwiona drapała się po chuście. W końcu kot zapłacił i wyszedł z towarem pod pachą. Kobieta zwróciła uwagę na nas.

- Znaleźliście coś, co się wam podoba?

- Właściwie nie. - Podeszedłem do lady. - Nie wypływam. Szukam czegoś do uszkodzeń organicznych. Wie pani, czegoś, co mógłbym zabrać na imprezę.

- A. Coś na ciało. - Kobieta mrugnęła. - Cóż, wbrew pozorom wcale nie tak trudno to znaleźć. Zobaczmy.

Przyciągnęła terminal spod ściany za ladą i ożywiła wyświetlacz. Teraz, przyglądając się jej uważniej, zauważyłem, że w jej włosach brakowało centralnego kabla i części grubszych, związanych z nim pasm. Reszta zwisała bezwładnie przy bladej skórze, niezbyt dobrze zasłaniając długą, zakrzywioną bliznę przebiegającą przez całe czoło. Tkanka bliznowa błyszczała w świetle z terminala. Kobieta poruszała się sztywno i bez wdzięku lików, który widziałem u Sylvie i pozostałych.

Poczuła mój wzrok i zaśmiała się, nie odwracając twarzy od ekranu.

- Nieczęsto widuje się takich jak ja, co? Jak to śpiewają w piosence... *Patrz, jak likowie suną lekko*. Albo nie idą wcale, nie? Problem w tym, że tacy jak ja nie lubią kręcić się po Tek, żeby przypominać nam, jak to jest być całością. Masz rodzinę, to do niej wracasz, pamiętasz rodzinne miasto, wynosisz się do niego. I gdybym *pamiętała*, że mam bliskich albo skąd się wzięłam, pewnie bym tam wróciła. - Znów zaśmiała się cicho, jak woda bulgocząca w rurze. Jej palce dłużyły w wyświetlaczu. - Broń na ciało. Proszę bardzo. Co powiecie na rozrywacz? Ronin MM86. Blaster odłamkowy ze skróconą lufą, z dwudziestu metrów zmienia człowieka w gulasz.

- Powiedziałem, że chcę czegoś, co mógłbym nosić przy sobie.

- Faktycznie. Faktycznie. Cóż, Ronin nie robi nic mniejszego w zakresie monomolekularnym. Może chce pan broń pociskową?

- Nie, rozrywacz jest dobry, ale musi być mniejszy. Co jeszcze pani ma?

Kobieta zaczęła ssać górną wargę. Nadało jej to wygląd zbira.

- Cóż, *mam* też trochę firm ze Starego Domu: H&K, Kałasznikow, General Systems. Ale w większości używane. Koty wymieniają je na sprzęt do niszczenia wimów. Wiecie co? Dam wam GS rapsodję. Odporna na skan i bardzo wąska, można przypiąć ją na płasko pod ubraniem, a kolba się

autodopasowuje. Reaguje na ciepło ciała, dostosowuje się do uchwytu. Może być?

- Jaki ma zasięg?

- Zależy od rozproszenia. Przy zawężeniu powiedziałabym, że można powalić cel z czterdziestu, pięćdziesięciu metrów, jeśli nie trzęsą się człowiekowi ręce. Na szerokim nie ma się praktycznie żadnego zasięgu, ale może dla pana oczyścić pokój.

Kiwnąłem głową. - Ile?

- Och, dojdziemy do porozumienia. - Kobieta mrugnęła niezdarnie. - Pańska koleżanka też coś kupuje?

Sylvie była na drugim końcu sklepu, sześć metrów dalej. Usłyszała i zerknęła na holowyświetlacz.

- Tak, wezmę tego pestkowca szeged, którego ma pani na stanie. Czy to cała amunicja?

- Ach... tak. - Starsza kobieta zamrużyła na nią, a potem obejrzała się na wyświetlacz. - Ale bierze też magazynki ronina SPO, robią je kompatybilne. Mogę dorzucić dwa czy trzy, jeśli...

- Proszę. - Sylvie spojrzała mi w oczy z wyrazem twarzy, którego nie potrafiłem odczytać. - Zaczekam na zewnątrz.

- Dobry pomysł.

Nikt nie odezwał się więcej, póki Sylvie nie przecisnęła się przez łuskowe zasłony na zewnątrz. Przez chwilę oboje patrzyliśmy w ślad za nią.

- Zna swoje kody - rzuciła w końcu kobieta.

Spojrzałem w jej pobrużdżoną twarz i przez chwilę zastanawiałem się, czy za tymi słowami kryje się coś więcej. Po bezczelnej demonstracji możliwości lika, które miała maskować chusta, fakt, że Sylvie odczytała na odległość dane z holoprojektora, aż się prosił o uwagę. Ale nie było też oczywiste, jaką pojemność ma umysł kobiety albo czy interesuje ją cokolwiek poza szybkim ubiciem interesu. I czy w ogóle będzie o tym pamiętać za parę godziny.

- Taka sztuczka - rzuciłem słabo. - Hm... czy nie powinniśmy porozmawiać o cenie?

* * *

Na ulicy znalazłem Sylvie stojącą na skraju tłumy, który zebrał się przed gawędziarzem z holoprojektorem. Był starym człowiekiem, ale świetnie sobie radził z konsolą holoprojektora, a syntezator podpięty do gardła modulował jego głos tak, by pasował do różnych postaci z opowieści. Holo ukształtował w bladą kulę pełną niewyraźnych kształtów. Usłyszałem nazwisko Quell i szarpnąłem Sylvie za ramię.

- Jezu, nie mogłaś się *jeszcze* bardziej rzucać w oczy?

- Ciii. Zamknij się i słuchaj.

- Wtedy Quell wyszła z domu kupca pięknorostów i zobaczyła tłum zebrany na nabrzeżu, a ludzie krzyczeli i wygrażali w gniewie. Nie widziała wyraźnie, co się tam dzieje. Pamiętajcie, przyjaciele, że było to na Sharyi, gdzie słońce praży jaskrawym blaskiem i...

- I nie ma tam czegoś takiego jak pięknorosty - wymamrotałem do ucha Sylvie.

- Ciii.

- ...więc mrużyła oczy i wysilała wzrok, ale cóż... - Bajarz odłożył pilota i dmuchnął sobie na palce. W holoprojeksji postać Quell znieruchomiała, a scena wokół niej zaczęła przygasać. - Może na tym dzisiaj skończę. Jest bardzo zimno, a ja nie jestem już młodzieńcem. Moje kości...

Chór protestów ze strony zebranych. Do odwróconego sita na meduzy u stóp gawędziarza poleciał deszcz chipów kredytowych. Mężczyzna uśmiechnął się i znów podniósł pilota. Holoprojeksja pojaśniała.

- Jesteście bardzo uprzejmi. No cóż, zobaczymy w takim razie, jak Quell ruszyła między

wrzeszczący tłum i w jego środku zobaczyła młodą ladacznicę, z której zerwano całą odzież, tak że jej idealne, nabrzmiałe piersi o wiśniowych sutkach sterczały dumnie w powietrze, a miękkie ciemne włosy między jej długimi, gładkimi udami wyglądały jak maleńkie, przestraszone zwierzątko kulące się przed drapieżnym darłoskrzydłem.

W holo pojawiło się obowiązkowe zbliżenie. Ludzie wokół nas stawali na palcach. Westchnąłem.

- A tuż nad nią stali, tuż nad nią stali dwaj niesławni przedstawiciele czarnej policji religijnej, brodaci kapłani, trzymając długie noże. Ich oczy świeciły żądzą krwi, a zęby błyszcząły w ich brodach, kiedy śmiali się upojeni władzą, jaką dzierżyli nad bezbronnym ciałem młodej kobiety. Ale Quell stanęła między ostrzami ich noży i odsłoniętym ciałem

młodej ladacznicy i odezwała się dźwięcznym głosem: *Cóż się tu dzieje? A tłum zamilkł, słysząc jej głos. Znow zapytała: Cóż się tu dzieje, czemu prześladowacie tę kobietę,* i znow milczeli, aż w końcu jeden z odzianych na czarno kapłanów oświadczył, że kobietę złapano na grzechu cudzołóstwa i że zgodnie z prawami Sharyi musi zginąć, wykrwawić się na piach pustyni, a jej zewłok wrzucony ma być do morza.

Przez chwilę na skraju mojego umysłu rozbłysnęły żal i wściekłość. Stłumiłem je i odetchnąłem głęboko. Słuchacze wokół mnie naciskali coraz mocniej, schylając się i stając na palcach, by lepiej widzieć wyświetlacz. Ktoś mnie popchnął, więc odpląciłem mu, uderzając brutalnie łokciem w żebra. Rozległ się jęk i wściekłe przekleństwa, uciszone przez kogoś innego.

- Wtedy Quell odwróciła się do tłumy i zapytała: *Kto z was nie grzeszył z ladacznicą,* a tłum ucichł i nikt nie chciał spojrzeć jej w oczy. Ale jeden z kapłanów zganił ją gniewnie za interwencję w święte prawo, więc zapytała go wprost: *Czy nigdy nie byłeś z ladacznicą?* a wielu w tłumie, wśród tych, którzy go znali, roześmiało się, tak że musiał przyznać, iż był. *Ale to coś innego,* powiedział, *bo ja jestem mężczyzną. Więc,* rzekła Quell, *jesteś hipokrytą,* i spod długiego, szarego płaszcza wyciągnęła dużego kalibru rewolwer. Strzeliła kapłanowi w oba kolana, a ten padł na ziemię z wrzaskiem.

Dwa ciche wystrzały i wrzask z holoprojektora. Bajarz kiwnął głową i odchrząknął.

- Niech ktoś go zabierze, zarządziła Quell, i dwóch z tłumy dźwignęło kapłana i go wyniosło, choć wciąż krzyczał. Ja zaś przypuszczam, że ci dwaj byli zadowoleni z okazji do ucieczki, bo teraz ludzie stali cicho i bali się, widząc broń w ręku Quell. A kiedy wrzaski ucichły w oddali, zapadła cisza, przerywana tylko jękiem wiatru przy nabrzeżu i łkaniem uroczej ladacznicy u stóp Quell. A wtedy Quell obróciła się do drugiego kapłana i wycelowała w niego ciężki rewolwer. *Teraz ty,* powiedziała. *Powiesz mi, że nigdy nie byłeś z ladacznicą?* A kapłan zebrał się w sobie, spojrzał jej w oczy i powiedział: *Jestem kapłanem i nigdy w życiu nie byłem z kobietą, albowiem nie zbrukałbym świętości mojego ciała.*

Gawędziarz przybrał dramatyczną pozę i czekał.

- Cholernie ryzykuje - wymamrotałem do Sylvie. - Cytadela jest o rzut kamieniem stąd.

Ale ona stała niewzruszona, wpatrując się w małą kulę holoprojektora. Zachwiała się lekko. *O cholera.* Chwyciłem ją za ramię, a ona wyrwała się z irytacją.

- Cóż, Quell zajrzała w oczy ubranego na czarno mężczyzny i widząc jego płonące spojrzenie, poznała, że mówi prawdę i nie kłamie. Spojrzała więc na trzymany w dłoni rewolwer, a potem z powrotem na mężczyznę. I rzekła: *Jesteś więc fanatykiem i nigdy się niczego nie nauczysz,* po czym strzeliła mu w twarz.

Kolejny huk i holoekran spryskała żywa czerwień. Zbliżenie na roztrzaskaną twarz kapłana. Brawa i gwizdy w tłumie. Gawędziarz przeczekał je ze skromnym uśmiechem na twarzy. U mojego

boku Sylvie poruszyła się jak ktoś, kto budzi się ze snu. Bajarz się uśmiechnął.

- No cóż, przyjaciele, jak pewnie możecie sobie wyobrazić, ta urocza młoda ladaczniczka była nadzwyczaj wdzięczna za ratunek. A kiedy tłum zabrał ciało drugiego kapłana, zaprosiła Quell do swojego domu, gdzie... - Gawędziarz znów odłożył pilota i owinał się ramionami. Teatralnie zadygotał i potarł dłońmi ramiona. - Ale obawiam się, że na prawdę jest zbyt zimno, by kontynuować. Nie mógłbym...

Wśród nowej fali protestów znów chwyciłem Sylvie za ramię i wyprowadziłem ją stamtąd. Przez pierwsze kilka kroków nic nie mówiła, a potem obejrzała się niepewnie na gawędziarza i na mnie.

- Nigdy nie byłam na Sharyi - powiedziała zmieszonym głosem.

- Nie, i mogę się założyć, że on też nie. - Spojrzałem jej badawczo w oczy. - I Quell też z pewnością nigdy tam nie była. Ale to niezła historia.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Od handlarza ulicznego w rejonie doków kupiłem paczkę jednorazowych telefonów i użyłem jednego z nich, by połączyć się z Lazlem. Jego głos brzmiał niepewnie przez szum antycznych zagłuszcaczy i przeciwwagłuszcaczy unoszących się nad Nowym Hokkaido jak smog nad jakimś ziemskim miastem z początku tysiąclecia. Hałas nabrzeża wokół mnie też nie pomagał. Mocno docisnąłem telefon do ucha.

- Musisz mówić głośniej - powiedziałem mu.

- ...*pytałem*, czy nadal nie wydobrzała dostatecznie, by używać sieci?

- Mówi, że nie. Ale nieźle się trzyma. Słuchaj, zostawiliśmy tu mnóstwo śladów. Możesz się dzisiaj spodziewać wizyty bardzo wkurzonego Kurumayi. Lepiej zacznij sobie szykować alibi.

- Kto, ja?

Uśmiechnąłem się pod nosem.

- Trafiliście na jakieś ślady tego Kovacsa?

Jego odpowiedź zagłuszyła fala statycznego szumu.

- Powtórz.

- ...wrócił dziś rano i powiedział, że widział wczoraj Gang Czaszki blisko Sopron z jakimiś nieznanymi mu ludźmi, wyglądało jak... szybko na południe. Pewnie dotrą tu dzisiaj wieczorem.

- Dobra. Kiedy pokaże się Kovacs, uważajcie na siebie. Ten facet jest cholernie niebezpiecznym sukinsynem. Trzymaj się. Skanuj.

- Zrobi się. - Długa, pełna szumów pauza. - Hej, Micky, dobrze się nią opiekujesz, prawda?

Prychnąłem.

- Nie, właśnie zamierzam ją oskalpować i sprzedać ekstra pojemność handlarzowi danych. *A jak myślisz?*

- Wiem, że... - Kolejna fala zniekształceń stłumiła jego głos. - ...li nie, zabierz ją do kogoś, kto może pomóc.

- Tak, pracujemy nad tym.

- ...Millsport? Domyśliłem się, że to pytanie.

- Nie wiem. W każdym razie jeszcze nie.

- Jeśli będzie trzeba, stary... - Jego głos wygasał, cichy z powodu odległości i zniekształcony zagłuszeniem. - Zrób wszystko, co będzie trzeba.

- Las, tracę cię. Muszę iść.

- ...uj, Micky.

- Tak, ty też. Będę w kontakcie.

Rozłączyłem się, odsunąłem telefon od ucha i zważyłem go w dłoni. Przez długi czas wpatrywałem się w morze. Potem wyciągnąłem nowy telefon i wystukałem numer zapamiętany przed wieloma dziesięcioleciami.

* * *

Podobnie jak wiele miast na Świecie Harlana, Tekitomura przywarła do stóp górskiego grzbietu siedzącego po pas w oceanie. Niewiele było tu miejsca pod zabudowę. W czasach, kiedy Ziemia szykowała się na plejstoceniową epokę lodowcową, Świat Harlana przeżył prawdopodobnie gwałtowną zmianę klimatu w przeciwną stronę. Bieguny skurczyły się do mizernych resztek, a oceany wezbrały, zatapiając wszystko oprócz dwóch niewielkich kontynentów. Doszło do masowego wymierania gatunków, między innymi rasy dość obiecujących, wyposażonych w kły mieszkańców wybrzeży, którzy jak sugerują pewne znaleziska, tworzyli prymitywne kamienne narzędzia oraz

odkryli ogień i religię opartą na skomplikowanym grawitacyjnym tańcu trzech księżyców Świata Harlana.

Najwyraźniej nie wystarczyło to do ich ocalenia.

Kiedy przylecieli tu z kolonizacją Marsjanie, pewnie nie mieli problemu z ograniczonym terenem. Wbudowywali wyszukane, sięgające nieba wieże wprost w skały najbardziej stromych stoków górskich i przeważnie ignorowali drobne skrawki lądu dostępne na poziomie morza. Pół miliona lat później Marsjanie odeszli, ale ruiny ich orlich gniazd przetrwały, pozwalając się podziwiać nowej fali ludzkich kolonistów, którzy starali się ich nie naruszyć. Mapy astrogacyjne odkopane w porzuconych miastach na Marsie doprowadziły nas na tę planetę, ale po dotarciu do niej zdani byliśmy na siebie. Ze względu na brak skrzydeł, pozbawieni przez stacje orbitalne większości sięgającej nieba techniki, ludzie ograniczyli się do budowy konwencjonalnych miast na dwóch kontynentach, olbrzymiej, wielowyspowej metropolii archipelagu Millsport i małych, strategicznie rozmieszczonych portów na innych wyspach, umożliwiających komunikację. Tekitomura składała się z dziesięciokilometrowego pasa gęsto zabudowanych nabrzeży, sięgając w głąb lądu na tyle, na ile pozwalały złowieszcze góry, a potem rozrzadzając się do pustki. Na skalistych zboczach nad linią horyzontu dominowała cytadela, może aspirując swoim wyniesieniem do na wpół mitycznego statusu marsjańskich ruin. Jeszcze dalej wąskie górskie ścieżki wycięły ekipy ludzkich archeologów przecierających sobie szlak do prawdziwego zabytku.

Na stanowiskach w Tekitomurze nie pracowali już żadni archeolodzy. Granty na wszystko, co nie było związane ze złamaniem potencjału wojskowego satelitów, ograniczono do minimum, a mistrzowie Gildii niewchłonięci przez kontrakty wojskowe dawno temu odlecieli transferem strunowym do systemu Latimera. Grupki upartych i głównie samofinansujących się talentów wciąż trzymały się kilku obiecujących miejsc w pobliżu Millsport, ale na zboczach górskich koło Tekitomury obóz odkrywki stał pusty i zapomniany, porzucony jak szkieletowe marsjańskie wieże, obok których go wybudowano.

- Wygląda zbyt pięknie, żeby było prawdziwe - powiedziałem, kiedy kupowaliśmy zaopatrzenie w ulicznym sklepiku. - Jesteś pewna, że nie będziemy dzielić tego miejsca z bandą nastoletnich kochasiów i ćpunów?

Zamiast odpowiedzieć, spojrzała tylko na mnie znacząco i poprawiła kosmyk włosów, który wymknął się spod osłony chusty. Wzruszyłem ramionami.

- No dobrze. - Zważyłem w rękę zgrzewkę amfetaminowej coli. - Może być wiśniowa?

- Nie. Ma ohydny smak. Weź zwykłą.

Kupiliśmy plecak do niesienia zapasów, wybraliśmy w zasadzie przypadkową, prowadzącą pod górę ulicę i ruszyliśmy przed siebie. W niecałą godzinę zostawiliśmy za sobą hałas i budynki, a pochyłość zrobiła się bardziej stroma. W miarę jak nasze tempo zaczęło spadać, a kroki trzeba było starannie odmierzać, coraz częściej zerkąłem przez ramię na Sylvie, ale nie zdradzała oznak wyczerpania. Wyglądało na to, że dobrze jej robią rześkie powietrze i zimne światło słońca. Napięcie, które ścigało jej twarz przez cały ranek, zanikło i nawet uśmiechnęła się do mnie raz czy dwa. Kiedy wspięliśmy się wyżej, słońce zaczęło błyszczeć na odsłoniętych żyłach minerałów w otaczających nas skałach i widok sprawił, że warto się było zatrzymać. Odpoczywaliśmy kilka razy, popijając wodę i patrząc w dół na rozciągnięte wzdłuż brzegu Tekitomurę i morze w oddali.

- Fajnie byłoby być Marsjaninem - stwierdziła w pewnej chwili Sylvie.

- Pewnie tak.

Zza szerokiej skarpy skalnej zaczęło się wyłaniać pierwsze z orlich gniazd. Wznosiło się prosto do góry na prawie kilometr, pokryte skrętami i wybrzuszeniami, na które ciężko było spokojnie

patrzyć. Platformy do lądowania wysuwały się niczym języki z powycinanymi szczelinami, wokół nich zaś zwisały ażurowe dachy z grzędami i innymi, trudnymi do zidentyfikowania wypustkami. Ziały pustką wejścia w anarchicznym zbiorze kształtów, od owalnych otworów o długich, szczupłych zarysach do szerokich sercowych i przeróżnych innych zawijasów. Wszędzie zwisały liny. Miało się ulotne, ale uporczywe wrażenie, że cała struktura mogła śpiewać na silnym wietrze, a być może nawet się obracać, niczym kolosalny młynek modlitewny.

Przy prowadzącej do wieży drodze przycupnęły budynki zbudowane przez ludzi, małe i solidne, jak brzydkie kaczątko u stóp księżniczki z bajki. Pięć domków w stylu niewiele nowszym niż relikty na Nowym Hokkaido, wszystkie świecące słabo wewnętrznym niebieskim światłem uśpionych systemów automatycznych. Zatrzymaliśmy się przy pierwszym i zdjęliśmy plecaki. Rozejrzałem się, szukając potencjalnych pól ostrzału, oznaczając osłony dla ewentualnych atakujących i myśląc o sposobach osiągnięcia ukrytych za nimi przeciwników. Był to w zasadzie proces automatyczny, warunkowanie Emisariusza wypełniające czas tak samo, jak u niektórych ludzi gwizdanie przez zęby.

Sylvie zdarła z głowy chustę i z widoczną ulgą uwolniła włosy.

- Chwileczkę - powiedziała.

Zamyśliłem się nad swoją oceną możliwości obronnych odkrywki. Na każdej planecie, gdzie możliwe było wzbicie się w powietrze, bylibyśmy oczywistym celem. Ale na Świecie Harlana nie stosuje się normalnych zasad. Górny limit masy urządzeń latających odpowiada sześciomiejscowemu helikopterowi z antycznym rotorem, *bez* inteligentnych układów i *bez* broni energetycznej. Wszystko inne zostaje zamienione w latającą chmurę popiołu. Podobnie jak indywidualni lotnicy w uprząży grawitacyjnej czy nanokoptery. Wydaje się, że restrykcje anielskiego ognia dotyczą w równym stopniu poziomu techniki, co masy. Dodawszy do tego limit wysokości wynoszący około czterysta metrów, który zdecydowanie już przekroczyliśmy, można było bezpiecznie założyć, że potencjalni wrogowie zdołają się do nas zbliżyć jedynie pieszo, drogą, którą właśnie pokonaliśmy. Albo wspiąć się po gładkim urwisku obok, do czego serdecznie zapraszałem ewentualnych napastników.

Za moimi plecami Sylvie wydała z siebie odgłos zadowolenia. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem odginające się drzwi do domku. Sylvie ironicznym gestem zaprosiła mnie do środka.

- Pan pierwszy, profesorze.

Kiedy wnosiliśmy do środka nasze plecaki, niebieskie światełko gotowości zamigotało i przeszło w biel, a do mnie dotarł odgłos startującej klimatyzacji. Nad stołem w jednym z rogów obudziła się spirala holograficznego terminala. Powietrze pachniało środkami antybakteryjnymi, ale czuło się, że zostaje wymieniane w miarę, jak systemy rejestrowały naszą obecność. Zrzuciłem plecak w rogu pomieszczenia, ściągnąłem kurtkę i opadłem na krzesło.

- Kuchnia jest w jednym z pozostałych domków - powiedziała Sylvie, kręcąc się po wnętrzu i otwierając drzwi. - Ale większość z przyniesionych przez nas rzeczy i tak sama się podgrzewa. A mamy tu wszystko, czego możemy potrzebować. Łazienka jest tutaj. Łóżka tam, tam i tam. Przykro mi, bez autodopasowania. Wedle specyfikacji, na którą trafiłam w trakcie włamania, domek przewidziano na sześć osób. Systemy bazodanowe podpięte bezpośrednio do sieci planetarnej przez komputer Uniwersytetu Millsport.

Kiwnąłem głową i niedbale przesunąłem rękę przez wyświetlacz. Naprzeciw mnie pojawiła się nagle młoda kobieta w skromnym stroju. Ukłoniła się formalnie.

- Profesorze Szczęściarz. Zerknąłem na Sylvie.

- Bardzo zabawne.

- Jestem Odkrywka 301. W czym mogę pomóc? Ziewnąłem i rozejrzałem się po pokoju.

- Odkrywko, czy są tu jakieś systemy obronne?

- Jeśli ma pan na myśli broń - z wahaniem odpowiedział konstrukt - to obawiam się, że nie. Wystrzały z broni energetycznej lub pociskowej tak blisko miejsca o wyjątkowym znaczeniu ksenologicznym byłyby niewybaczalne. Jednakże wszystkie budynki placówki połączone są wyjątkowo trudnym do złamania systemem kodowym.

Posłałem Sylvie kolejne spojrzenie. Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. Odchrząknąłem.

- Jasne. A co z nadzorem? Jak daleko w dół góry sięgają twoje czujniki?

- Zasięg mojej świadomości pokrywa tylko stanowisko i budynki pomocnicze. Jednakże przez światowe łącza mam dostęp...

- Dobra, dzięki. To wszystko.

Konstrukt zamigotał i zniknął. Po jego odejściu pokój wydawał się przez chwilę ponury i nieruchomy. Sylvie podeszła do głównych drzwi i zamknęła je kciukiem. Machnęła ręką.

- Myślisz, że będziemy tu bezpieczni?

Wzruszyłem ramionami, przypominając sobie groźbę Tanasedy. *Globalny nakaz aresztowania.*

- Równie bezpieczni jak w każdym innym miejscu, jakie przychodzi mi teraz do głowy. Osobiście wolałbym jechać od razu do Millsport, ale właśnie tego...

Urwałem. Spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

- Właśnie czego?

Dlatego właśnie trzymamy się twojego pomysłu, a nie mojego. Bo wszystko, co wymyślają, on najprawdopodobniej też odkryje.

- Właśnie tego się po nas spodziewają - uzupełniłem. - Jeśli będziemy mieli szczęście, wybiorą od razu najszybszy transport na południe, jaki uda im się znaleźć.

Ustawiła krzesło naprzeciw mojego i usiadła na nim okrakiem.

- Jasne. A co mamy robić w tym czasie?

- Czy to propozycja?

Powiedziałem to, zanim zdałem sobie sprawę z tego, co mówię. Szerzej otworzyła oczy. - Ty...

- Przepraszam. Naprawdę. To był żart.

Za takie kłamstwo wyrzucono by mnie z Emisariuszy wśród powszechnej pogardy. Prawie widziałem Virginie Viadurę z niedowierzaniem potrząsającą głową. Nie przekonałbym w ten sposób nawet mnicha z Loyoko naćpanego sakramentem Dwutygodniowej Akceptacji. I z pewnością nie przekonałem Sylvie Oshimy.

- Słuchaj, Micky - zaczęła powoli. - Wiem, że jestem twoją dłużniczką za tamtą noc z Brodaczami. I lubię cię. Bardzo. Ale...

- Hej, poważnie. To był żart, dobra? Kiepski żart.

- Nie mówię, że o tym nie myślałam. Chyba nawet śniłam o tym kilka nocy temu. - Uśmiechnęła się, a mój żołądek się zacisnął. - Uwierzysz?

Znów wzruszyłem ramionami.

- Skoro tak mówisz.

- To po prostu... - Potrząsnęła głową. - Nie znam cię, Micky. Nie znam cię ani odrobinę lepiej niż sześć tygodni temu, a to trochę przerażające.

- Wiesz, zmiana powłoki może...

- Nie. To nie to. Zamykasz się w sobie, Micky. Mocniej niż ktokolwiek, kogo spotkałam, a wierz mi, że w tym interesie spotyka się naprawdę wyjątkowe typy. Wszedłeś do baru *Tokio Crow*, nie mając nic oprócz noża, i zabiłeś ich wszystkich, jakbyś robił to co dzień. I przez cały ten czas się uśmiechałeś. - Dotknęła włosów, odniosłem wrażenie, że niezdarnie. - Dzięki temu mam praktycznie idealną pamięć. Widziałam twoją twarz, wciąż ją widzę. Uśmiechałeś się, Micky.

Milczałem.

- Nie sędzę, żebym chciała iść do łóżka z kimś takim. Cóż... - Uśmiechnęła się do siebie. - To kłamstwo. Część mnie chce, naprawdę tego chce. Ale to część, której nauczyłam się nie ufać.

- Pewnie słusznie.

- Tak. Pewnie. - Odgarnęła włosy z twarzy i spróbowała pewniej się uśmiechnąć. Znow spojrzała mi w oczy. - A więc poszedłeś do cytadeli i zabrałeś ich stopy korowe. Po co, Micky?

Uśmiechnąłem się. Wstałem z krzesła.

- Wiesz, Sylvie, część mnie naprawdę chce ci powiedzieć. Ale...

- Dobra, dobra.

- ...to część mnie, której nauczyłem się nie ufać.

- Bardzo błyskotliwe.

- Staram się. Słuchaj, pójdę na zewnątrz sprawdzić parę rzeczy, zanim się ściemni. Chwilę mnie nie będzie. Jeśli naprawdę uważasz, że wciąż jesteś mi coś winna za Brodaczy, zrób coś dla mnie. Spróbuj zapomnieć, że zachowałem się przed chwilą jak prostak. Naprawdę będę ci wdzięczny.

Odwróciła wzrok w stronę terminala. Mówiła bardzo cicho.

- Jasne. Nie ma problemu.

Nie, jest problem. Ugryzłem się w język i ruszyłem do drzwi. *Naprawdę poważny. I wciąż nie mam pojęcia, co z tym zrobić.*

* * *

Drugi telefon odebrano niemal natychmiast. Opryskliwy męski głos, niezainteresowany rozmową z kimkolwiek.

- Tak?

- Jarosław?

- Tak. - *Niecierpliwie.* - Kto mówi?

- *Mały Niebieski Robaczek.*

Po tych słowach cisza otwiera się jak rana za nożem. Brak nawet maskujących ją szumów. W porównaniu z połączeniem do Lazla ta linia jest krystalicznie czysta. Słyszę szok na drugim końcu.

- Kto mówi? - *Jego głos całkowicie się zmienia, utwardzony jak natryśnięty wiecznobeton.* - *Włącz wideo, chcę zobaczyć twarz.*

- *Nic ci to nie pomoże. Nie noszę nic, co mógłbyś rozpoznać.*

- *Znamy się?*

- *Powiedzmy, że nie miałeś do mnie zaufania, kiedy odlatywałem na Latimeria, a ja spełniłem twoje oczekiwania co do joty.*

- *Ty! Wróciłeś na Świat?*

- *Nie, dzwonię z orbity. A jak myślisz, do cholery?*

Długa przerwa. Oddech w słuchawce. Odruchowo rozglądam się po doku w Kompcho.

- *Czego chcesz?*

- *Wiesz czego. Kolejne wahanie.*

- *Nie ma jej tutaj.*

- *Jasne. Daj ją do telefonu.*

- *Mówię poważnie. Odeszła.* - *Coś zaciska mu gardło, kiedy to mówi. Wystarczy, żebym mu uwierzył.* - *Kiedy wróciłeś?*

- *Chwilę temu. Gdzie odeszła?*

- *Nie wiem. Gdybym miał zgadywać...* - *Jego głos ginie w oddechu wypuszczonym przez niechętnie wargi. Rzucam okiem na zegarek, który zabrałem z bunkra w Nieoczyszczonych. Przez*

trzysta lat idealnie odmierzał czas, obojętny na brak ludzkiej obecności. Po latach korzystania z chipów zegarowych wciąż dziwnie się z tym czuję.

- Zgaduj. To ważne.

- Nigdy nikomu nie powiedziałaś, że wracasz. Myśleliśmy...

- Tak, nie jestem miłośnikiem imprez powitalnych. A teraz zgaduj. Gdzie odeszła?

Słyszę, jak mocno zaciska wargi.

- Sprawdź Vchirę.

- Plażę Vchirę? Daj spokój.

- Wierz sobie, w co chcesz. Tyle mam do powiedzenia.

- Po tych latach? Myślałem...

- Tak, ja też. Ale kiedy odeszła, próbowałem... - Urywa. Słyszę, jak przełyka ślinę. - Mieliśmy wspólne konto. Zapłaciła za przejazd na południe szybkim transportowcem z Kossutha, a kiedy tam dotarła, kupiła nową powłokę. Parametry surfera. Wyczyściła konto, żeby za to zapłacić. Wszystko spaliła. Wiem, że jest z tym pieprzonym... - Urywa. Zapada ciężka cisza. Mizerne resztki przyzwoitości zmuszają mnie, bym skrzywił twarz. Łagodzą mój głos.

- Myślisz, że Brasil wciąż się tam kręci, co?

- A co się zmienia na Vchirze? - pyta gorzko.

- Dobra, Jaros. To wszystko, czego mi trzeba. Dzięki, stary. - Unoszę brwi, sam zdziwiony tymi słowami. - Nie przejmuj się tym, co?

Burczy coś. Kiedy już chce się rozłączyć, odchrząkuje i zaczyna mówić.

- Słuchaj, jeśli ją zobaczysz... Powiedz jej... Czekam.

- A, pieprzyć to. - I rozłącza się.

** * **

Dzień dogasał.

Pode mną zaczynały się zapalać światła Tekitomury w miarę, jak od morza nadciągała noc. Hotei siedział płasko nad horyzontem od zachodu, malując poszarpaną ścieżkę przez fale w stronę brzegu. Miedziany Marikanon wisiał wyżej z przygryzionym brzegiem. Na morzu, w gęstniejącym mroku pojawiły się już latarnie kutrów. Od portu dobiegały aż tutaj ślady dźwięków. Likowie nie zaznają snu.

Zerknąłem do tyłu, w stronę domków archeologów i marsjańskiej wieży dostrzeżonej kątem oka. Wznosiła się masywną, szkieletową konstrukcją prosto w czerniejące niebo po prawej, jak kości stwora martwego od stuleci. Miedziano-pomarańczowe światła księżyców wpadały przez otwory w strukturach i wypływały pod zdumiewającymi kątami. Wraz z nocą nadeszła chłodna bryza, poruszająca luźno zwisającymi kablami.

Unikamy takich budowli, bo nie przydają się nam na planecie takiej jak ta, ale zastanawiałem się, czy nie chodzi o coś więcej. Znałem kiedyś archeologa, kobietę, która powiedziała mi, że ludzie unikają reliktyw marsjańskiej cywilizacji takich jak ten na każdej planecie Protektoratu. *To instynktowne, stwierdziła. Atawistyczny lęk. Nawet osiedla archeologiczne wymierają, jak tylko kończą się badania. Nikt dobrowolnie w nich nie zostaje.*

Zapatrzyłem się w labirynt poszarpanego światła księżyców i cieni rzucanych przez wieżę i poczułem, jak trochę tego atawistycznego lęku we mnie wsiąka. W świetle księżycyca aż nazbyt łatwo było wyobrazić sobie powolne wymachy szerokich skrzydeł i spirale drapieźnych sylwetek wykręcających na niebie w górze, większych i bardziej kanciastych niż cokolwiek, co latało na Ziemi za ludzkiej pamięci.

Poirytowany, strząsałem z siebie tę myśl.

Skupmy się na prawdziwych problemach, co, Micky? Chyba masz ich dość.

Drzwi domku otworzyły się i na zewnątrz wylało się światło, uświadamiając mi nagle, jak bardzo ochłodziło się powietrze.

- Wejdiesz coś zjeść? - padło pytanie.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Czas spędzony na górze w niczym mi nie pomógł.

Pierwszy ranek przespałem, ale kiedy w końcu wynurzyłem się z sypialni, został mi po nim ból głowy i otępienie. Wyglądało na to, że Eishundo Organics nie zaprojektowało swoich powłok do dekadencji. Sylvie nigdzie nie znalazłem, ale stół pełen był różnych produktów śniadaniowych, przeważnie pootwieranych. Pogrzebałem w resztkach i znalazłem nieruszoną puszkę kawy, otworzyłem ją i wypilem, stojąc w oknie. Na obrzeżach umysłu kłębiły mi się na wpół zapamiętane resztki snów, przeważnie na poziomie komórkowej pamięci o tonięciu. Dziedzictwo stuleci spędzonych przez powłokę w zbiorniku - miałem to samo na początku, w Nieoczyszczonych. Walka z wimami i szybkie tempo życia ze Ślizgaczami Sylvie stłumiło je na rzecz bardziej konwencjonalnych scenariuszy walk i ucieczki, przywołując śmieci z nałożonej na ciało świadomości.

- Obudził się pan - stwierdziła Odkrywka 301, materializując się na skraju mojego pola widzenia.

Zerknąłem na nią i uniosłem puszkę z kawą.

- Próbuję.

- Koleżanka zostawiła panu wiadomość. Chciałby ją pan odsłuchać?

- Chyba tak.

- *Micky, idę się przejść do miasta.* - Głos Sylvie rozbrzmiał z ust konstrukt. W moim stanie niepełnego obudzenia nadało mu to ostrzejszego brzmienia. Zdecydowanie nie na miejscu, niemiłe przypomnienie zasadniczego problemu. - *Zatopić się tam w zgiełku. Chcę zobaczyć, czy uda mi się uruchomić sieć i może wykorzystają ją do połączenia z Orrem i pozostałymi. Mam ochotę sprawdzić, co się tam dzieje. Przyniosę trochę rzeczy.* Koniec wiadomości.

Nagły powrót głosu konstrukt sprawił, że zamrugałem. Kiwnąłem głową i odniosłem kawę do stołu. Zgarnąłem śniadaniowe śmieci z terminala i przez chwilę mu się przyglądałem. Za moimi plecami tkwiła Odkrywka 301.

- Hm, mogę się przez ciebie dostać do bazy Uniwersytetu Millsport, żeby przeszukać ich ogólne dane?

- Szybciej będzie zapytać mnie - skromnie stwierdził konstrukt.

- Dobra. Poszukaj wszystkiego na temat... - Westchnąłem. - Quellcristy Fa...

- Wykonuję. - Nie wiem, czy był to efekt nudy po latach bezczynności, czy po prostu kiepskie rozpoznawanie tonacji, ale konstrukt już podjął pracę. Spirala wyświetlacza terminala spuchła i pojaśniała. U jej szczytu pojawiła się miniatura głowy i ramion Odkrywki 301 i zaczęła przegrzebywać dane. W przestrzeni pod nią przemykały ilustracje. Ziewnąłem, przyglądając się temu, i pozwoliłem jej pracować. - Pozycja pierwsza, quellcrista, również qualgrista, natywna roślina Świata Harlana. Quellcrista to gatunek płytkowodnych wodorostów o barwie ochry, rosnących głównie w klimacie umiarkowanym. Choć zawierają nieco związków odżywczych, przegrywają w porównaniu z pochodzącymi z Ziemi, specjalnie wyhodowanymi gatunkami hybrydowymi, w związku z czym nie są uważane za dostatecznie ekonomiczne źródło pożywienia, by hodować je przemysłowo.

Pokiwałem głową. Nie od tego chciałem zaczynać, ale...

- Z włókien quellcristy można wydobyć pewne związki o znaczeniu farmakologicznym, ale nie praktykuje się tego poza paroma małymi społecznościami na południu archipelagu Millsport. Quellcrista wyróżnia się wyłącznie niezwykle długim cyklem życiowym. Jeśli wodorost na dłuższy czas znajdzie się w środowisku bezwodnym, jego strąki wysychają w formę czarnego proszku, który może zostać przeniesiony wiatrem na odległość setek kilometrów. Reszta rośliny ginie i rozkłada się, ale

proszek quellcristy po wejściu w kontakt z wodą wytwarza mikro włókna, z których w ciągu paru tygodni może odrosnąć cała roślina.

- Pozycja dwa, Quellcrista Falconer, pseudonim przywódcy powstańczego i myślicielki politycznej z Lat Osiedlenia, Nadii Makity, urodzonej w Millsport 18 kwietnia 47 roku (rachuby kolonialnej), zmarłej 33 października 105 roku. Jedyne dziecko dziennikarza z Millsport Stefana Makity i inżyniera morskiego Fusako Kimury. Makita studiowała demodynamikę na Uniwersytecie Millsport i opublikowała kontrowersyjną pracę dyplomową, *Wyciek roli płci i nowa mitologia*, oraz trzy zbiory wierszy w japskim, które wśród intelektualistów Millsport szybko zyskały status kultowych. W późniejszym życiu...

- Chciałbym trochę więcej szczegółów z tego okresu, Odkrywko.

- W zimie 67 Makita opuściła akademię, rzekomo odrzucając zarówno hojną ofertę stanowiska badawczego na uniwersyteckim wydziale nauk społecznych, jak i patronat literacki jednego z wiodących przedstawicieli Pierwszych Rodzin. Od października 67 do maja 71 podróżowała po Świecie Harlana, utrzymując się częściowo dzięki pomocy rodziców, a częściowo podejmując prace dorywcze, między innymi przy wycinaniu pieknorostów i zbiorze owoców skalnych. Powszechnie przyjmuje się, że jej doświadczenia z tego okresu przyczyniły się do zaostrenia jej przekonań politycznych. Płaca i warunki pracy były fatalne, powszechnie zdarzały się choroby i liczne wypadki śmiertelne wśród zbieraczy owoców. Na początku roku 69 Makita opublikowała artykuły w pismach radykalnych *Nowa gwiazda* i *Morze zmian*, w których wyraźnie można prześledzić jej odejście od tendencji liberalnego reformatora, jakie wykazała w trakcie studiów (i które wspierali jej rodzice). Zamiast tego zaczęła propagować etykę rewolucyjną, która szeroko zapożyczyła z istniejących ideologii ekstremistycznych, ale która wyróżniała się wyjątkowym jadem, z jakim krytykowała politykę klasy rządzącej na równi z opozycjonistami. Takie podejście nie zjednało jej radykalnej inteligencji tego okresu i choć uznawano ją za błyskotliwą myślicielkę, odizolowano ją od głównego nurtu myśli rewolucyjnej. Ponieważ brakowało jej etykiety dla nowej teorii politycznej, nazwała ją quellizmem w artykule *Sporadyczna rewolucja*, w którym argumentowała, że nowocześni *rewolucjoniści pozbawieni gleby przez represyjny reżim muszą dać się ponieść wiatrom jak pył quellcristy, wszechobecny i nie do wyśledzenia, ale niosąc z sobą moc rewolucyjnej regeneracji w miejscu i czasie, gdzie natrafiają na pożywną glebę*. Powszechnie przyjmuje się, że krótko potem przyjęła pseudonim Quellcristy pod wpływem tego samego źródła inspiracji. Niejasne jednak pozostaje pochodzenie źródła nazwiska Falconer. Wraz z wybuchem buntów pieknorostowych na Kossucie w maju 71 i ich stłumieniem, Makita po raz pierwszy podjęła walkę partyzancką w...

- Stop. - Kawa z puszki nie była rewelacyjna, a ciągły strumień znanych mi faktów zaczął działać na mnie hipnotycznie. Znów ziewnąłem i wstałem, by wyrzucić puszkę. - Dobra, może jednak nie aż tak szczegółowo. Skoczmy trochę do przodu.

- Rewolucja - posłusznie odezwała się Odkrywka 301. - W której nowo powstały quellizm nie mógł liczyć na zwycięstwo, walcząc równocześnie z wewnętrzną opozycją ze strony...

- Jeszcze dalej. Przejdźmy do drugiego frontu.

- Równo dwadzieścia pięć lat później urzeczywistnieniu uległy wcześniejsze retoryczne zdawałoby się hasła. Używając poetyki Makity, quellcristowski pył, zdmuchnięty przez potężną burzę sprawiedliwości Konrada Harlana i rozesłany po całym świecie po porażce quellistów zapuścił nowe korzenie w tuzinach różnych miejsc. Drugi front Makity rozwinął się dokładnie tak, jak przewidziała, ale tym razem dynamika powstania uległa przeobrażeniu. W kontekście...

Pozwoliłem się zalać słowom, grzebiąc równocześnie za kolejną kawą. To również wiedziałem. Do czasu wybuchu drugiego frontu quellizm nie był już nową rybką na rafie. Pokolenie cichej

inkubacji pod butem Harlanickiego porządku sprawiło, że pozostał jedyną radykalną siłą na Świecie. Inne odłamy złożyły broń, zaprzedały dusze bądź zostały zniszczone i ograniczały się do mizernih resztek, zgorzkniałych i pozbawionych złudzeń przez wspierane przez Protektorat siły rządowe. Quelliści tymczasem umknęli przed rządem, zniknęli i porzucili walkę, jak przekonywała ich Makita. *Technika dała nam dostęp do skal czasowych, o jakich nasi przodkowie mogli tylko marzyć - jeśli mamy zrealizować nasze marzenia, musimy być gotowi wykorzystać tę skalę, żyć dla niej.* I dwadzieścia pięć lat później wrócili, wzmocnieni karierą, mądrzejsi, dojrzalsi, twardsi, silniejsi i od dziecka karmieni pogłoską tkwiącą u podstaw każdego z indywidualnych powstań - że Quellcrista Falconer wróciła.

Jeśli na wpół mityczna natura jej dwudziestopięcioletniej egzystencji jako zbiega sprawiała kłopoty siłom bezpieczeństwa, powrót Nadii Makity wydawał się jeszcze groźniejszy. Miała pięćdziesiąt trzy lata, ale upowłokowiła się w nowe ciało, którego nie potrafili zidentyfikować nawet jej bliscy znajomi. Ruszyła przez ruiny wcześniejszej rewolucji jak duch zemsty, a jej pierwszymi ofiarami byli defetyści i zdrajcy w szeregach starych towarzyszy. Tym razem nie miało być żadnych wewnętrznych sporów, utrudniających konsolidację, i fałszywych przyjaciół, którzy mogliby sprzedać ją Harlanitom. Neomaoiści, komunitarianie, Ścieżka Nowego Słońca, parlamentarni gradualiści i socjalni libertarianie. Odszukała ich dziecięciniałych, mamroczących o przejęciu władzy i wszystkich wymordowała.

Kiedy zwróciła się przeciw Pierwszym Rodzinom i ich oswojonemu stadku, nie była to już rewolucja.

To były Niepokoje.

Wojna.

Trzy lata i ostateczny szturm na Millsport.

Otworzyłem drugą kawę i wypilem ją, podczas gdy Odkrywka 301 odczytywała historię, zbliżając się do końca. Jako dziecko słuchałem tego niezliczoną ilość razy i zawsze miałem nadzieję, że w ostatniej chwili coś się zmieni, że nie dojdzie do nieuniknionej tragedii.

- W Millsport pod zdecydowaną kontrolą sił rządowych quellistowski szturm się załamał, a w jego trakcie doszło do zawarcia umiarkowanego kompromisu. Makita prawdopodobnie przypuszczała, że jej wrogowie zaangażują się w pilne sprawy wymagające uwagi, zanim zaczną na nią polować. Przede wszystkim wierzyła w ich umiłowanie względów praktycznych, ale niezbyt dokładny wywiad uniemożliwił jej właściwą ocenę kluczowej roli, jaką w planach zaprowadzenia porządku odgrywała jej eliminacja. Zanim uświadomiła sobie błąd, ucieczka była już praktycznie niemożliwa...

Mogła sobie darować to „praktycznie”. Harlan wysłał do krateru Alabardos więcej okrętów, niż wykorzystano w jakiegokolwiek bitwie morskiej tej wojny. Naćpani piloci helikopterów prowadzili maszyny na granicy czterystumetrowego limitu z samobójczą precyzją. Wewnątrz siedzieli upchnięci snajperzy sił specjalnych z najcięższą bronią, jaką uważano za dozwoloną przez platformy orbitalne. Rozkazano im zestrzelić wszelkie pojazdy powietrzne przy zastosowaniu wszelkich możliwych środków, łącznie z kolizją powietrzną, gdyby okazało się to niezbędne.

- W ostatecznej, desperackiej próbie ocalenia jej, wyznawcy Makity zaryzykowali wysoki lot atmosferyczny w pozbawionym elektroniki samolocie odrzutowym, który ich zdaniem miał szansę uniknąć ataku platform orbitalnych. Jednakże...

- Tak, dobra. Wystarczy. - Skończyłem kawę. Jednakże spieprzyli. Jednakże plan nie wypalił (a może była to świadoma zdrada). Jednakże lanca anielskiego ognia spadła z nieba nad Alabardos i zmieniła w powietrzu odrzutowiec w jego powidok. Jednakże Nadia Makita opadła majestatycznie

do oceanu w chmurze przypadkowych cząsteczek zmieszanych z metalicznym pyłem. Nie chciałem znów tego słuchać. - A co z legendami o ucieczce?

- Podobnie jak w przypadku wszystkich bohaterów, pojawiło się mnóstwo opowieści o potajemnej ucieczce Quellcristy Falconer przed prawdziwą śmiercią. - Głos Odkrywki 301 zabarwił lekki wyrzut, ale być może wrażenie to podsunęła mi moja przymulona wyobraźnia. - Niektórzy wierzą, że nigdy nie weszła do tego odrzutowca, i wymknęła się później z Alabardos w przebraniu razem z siłami okupacyjnymi. Bardziej wiarygodne teorie dowodzą, że na chwilę przed śmiercią świadomość Falconer została skopiowana i że ożywiono ją, kiedy wygasła powojenna histeria. Kiwnąłem głową.

- A gdzie mieliby ją przechowywać?

- Teorie są dość zróżnicowane. - Konstruktor uniósł elegancko dłoń i poruszył szczupłymi palcami. - Niektórzy twierdzą, że została przesłana strunowo poza planetę albo do banku danych w przestrzeni kosmicznej...

- Jasne, wysoce prawdopodobne.

- ...albo na inny z Zasiedlonych Światów, gdzie miała przyjaciół. Najczęściej wymienia się Adoracion i Ziemię Nkrumaha. Inna teoria sugeruje, że zapisano ją tuż po tym, jak odniosła ciężką ranę na Nowym Hokkaido, gdzie groziła jej śmierć. Kiedy wyzdrowiała, jej ludzie porzucili kopię lub o niej zapomnieli...

- Jasne. Jakby można było zapomnieć o świadomości uwielbianej bohaterki i przywódczyni.

Odkrywka zmarszczyła czoło.

- Teoria zakłada chaotyczną walkę, liczne nagłe śmierci i załamanie ogólnej komunikacji. Tego rodzaju nagłe ataki faktycznie zdarzały się na różnych etapach kampanii na Nowym Hokkaido.

- Hmm...

- Kolejne sugerowane położenie to Millsport. Historycy tego okresu twierdzili, że rodzina Makity była dostatecznie dobrze sytuowana, by mieć dostęp do dyskretnych przechowalni. Wiele firm zajmujących się przechowywaniem danych skutecznie walczyło na gruncie prawnym o zachowanie anonimowości tego rodzaju banków. Całkowita prywatna pojemność przechowalni w rejonie metropolii Millsport szacowana jest na...

- A w którą teorię ty wierzysz?

Konstruktor urwał tak gwałtownie, że jego usta pozostały otwarte. Przez projekcję przemknęła zmarszczka. Przy prawym biodrze, lewej piersi i przed oczami kobiety zabłysły na chwilę elementy kodu maszynowego. Jej głos przybrał płaskie brzmienie mechanicznego komunikatu.

- Jestem konstruktorem usługowym Harkany Datasystems, przeznaczonym do podstawowych interakcji. Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

- Brak wiary, co?

- Przetwarzam tylko dane i związane z nimi gradienty prawdopodobieństwa.

- Brzmi nieźle. No to policz, która z tych teorii jest najbardziej prawdopodobna.

- Na podstawie dostępnych danych najbardziej prawdopodobny jest scenariusz pobytu Nadii Makity na pokładzie quellistowskiego odrzutowca na Alabardos i jej odparowanie przez ogień z platformy orbitalnej.

Znów kiwnąłem głową i westchnąłem.

- Zgadza się.

* * *

Sylvie wróciła kilka godzin później, niosąc świeże owoce i termopudło pełne ostro przyprawionych ciastek. Zjedliśmy, prawie nie rozmawiając.

- Połączyłaś się? - zapytałem w którymś momencie.

- Nie. - Żując, potrząsnęła głową. - Coś jest nie tak. Czuję to. Wyczuwam ich, ale nie mogę zlokalizować dostatecznie, by nawiązać połączenie. Spuściła oczy, marszcząc czoło w wyrazie bólu.

- Coś jest nie tak - powtórzyła cicho.

- Nie ściągnęłaś chusty, prawda?

Spojrzała na mnie.

- Nie. Nie ściągnęłam chusty. Micky, to nie ma wpływu na funkcjonalność, a tylko mnie wkurza. Wzruszyłem ramionami.

- Mnie też.

Jej wzrok powędrował do kieszeni, w której zazwyczaj trzymałem wycięte stopy korowe, ale nic nie powiedziała.

Przez resztę dnia nie wchodziliśmy sobie w drogę. Sylvie przez większość czasu siedziała przy terminalu. Od czasu do czasu zmieniała coś w milczeniu na kolorowym wyświetlaczu, nie dotykając go. W pewnej chwili poszła do swojej sypialni i przez godzinę leżała na łóżku, wpatrując się w sufit. Zerkając na nią po drodze do łazienki, zauważyłem, że bezgłośnie porusza ustami. Wziąłem prysznic, postąpiłem przy oknie, zjadłem owoc i wypilem kawę, na którą nie miałem ochoty. W końcu wyszedłem na zewnątrz i posnułem się trochę wokół podstawy marsjańskiej wieży, rozmawiając z Odkrywką 301, która z jakiegoś powodu postanowiła mi towarzyszyć. Może chciała się upewnić, że niczego nie zniszczę.

W zimnym górskim powietrzu wisiało nieokreślone napięcie. Jak nieodbyty stosunek, jak nadciągające pogorszenie pogody.

Wiedziałem, że nie możemy tak trwać. Ktoś musi ustąpić.

Zrobiło się ciemno. Po kolejnym spożytym w milczeniu posiłku poszliśmy do swoich łóżek. Leżałem w śmiertelnej ciszy izolowanej akustycznie sypialni, wyobrażając sobie dźwięki nocy, należące do klimatu panującego znacznie dalej na południe. Dotarło do mnie nagle, że powinienem był tam wrócić prawie dwa miesiące temu. Warunkowanie Emisariusza - skupienie na bezpośrednim otoczeniu i bieżących sprawach - powstrzymywało mnie od myślenia o tym przez ostatnie kilka tygodni, ale kiedy miałem czas, mój umysł uciekał do Newpest i Bezmiaru Rostów. Nie, żeby ktoś tam za mną tęsknił, ale zawałem kilka terminów, a Radul Segesvar będzie się zastanawiał, czy moje ciche zniknięcie nie oznacza przypadkiem, że zostałem wykryty i schwytany, ze wszystkimi tego konsekwencjami, jakie mogły spaść na niego na Bezmiarze. Segesvar był moim dłużnikiem, dług miał wątpliwą wartość, a w południowych mafiach nie należało tego nadmiernie eksploatować. Hajducy nie odznaczali się dyscypliną etyczną jak yakuzy. A przez kilka miesięcy spóźnienia, w czasie których nie odezwałem się ani słowem, wystawiłem na próbę jego cierpliwość do granic możliwości.

Znów zaswędziały mnie dłonie. Genetycznie zaprogramowana chęć, by chwycić powierzchnię skały i odpełznąć stąd w diabły.

Bądźmy szczerzy, Micky. Już czas podliczyć straty. Twoja kariera lika dobiegła końca. Było fajnie, zarobiłeś nową twarz i śmieszne dłonie, ale już dość. Czas wrócić na szlak. Zająć się własnymi sprawami.

Obróciłem się na bok i zapatrzyłem w ścianę. Po jej drugiej stronie w tej samej ciszy leżała pewnie Sylvie, tak samo odizolowana od świata. Może też nie mogła zasnąć.

I co niby mam zrobić? Zostawić ją?

Robiłeś gorsze rzeczy.

Zobaczyłem oskarżycielskie spojrzenie Orra. *Tylko nie waż się jej tknąć.*

Usłyszałem głos Lazla. *Ufam ci, Micky.*

Jasne, mój własny, szyderczy głos. On ci ufa, Micky. Takeshiemu Kovacsovi, którego jeszcze nie spotkał.

A jeśli ona jest tym, za kogo się podaje?

Och, daj spokój. Quellcristą Falconer? Słyszałeś maszynę. Quellcrista Falconer zamieniła się w popiół siedemset metrów nad Alabardos.

Więc kim ona jest? Kim jest duch w przechowalni? Może nie Nadią Makitą, ale z pewnością się za nią uważa. I jest pewne jak diabli, że to nie Sylvie Oshima. Więc kim ona jest?

Nie mam pojęcia. Czy to powinien być twój problem?

Nie wiem, powiedz mi.

Twój problem to fakt, że yakuza wynajęła cię z jakiegoś archiwalnego stosu, żeby cię załatwić. Kurewsko poetyckie i wiesz, ty...on pewnie to dla nich robi. Niewątpliwie dysponuje odpowiednimi zasobami - pamiętaj o globalnym nakazie. I możesz się założyć, że yakuza bardzo starannie skonstruowała bodźce motywacyjne. Znasz zasady dotyczące podwójnego upowłokowienia.

A w tej chwili jedyną rzeczą, jedynym elementem, który to wszystko łączy, jest noszona przez ciebie powłoka i kobieta w pokoju obok oraz jej niskiej Masy kumple najemnicy. Więc im prędzej się od niej urwiesz, pojedziesz na południe i zajmiesz się własnymi sprawami, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych.

Zajmij się własnymi sprawami. Tak, to rozwiąże wszystkie twoje problemy, Micky.

I przestań mnie tak, do cholery, nazywać.

Niecierpliwie zrzuciłem z siebie koc i wstałem z łóżka. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem pusty pokój za nimi. Czysty stół i wirującą wolno spiralę, świecącą w ciemności, masę naszych plecaków opierających się o siebie w rogu. Światło Hoteia malowało na podłodze bladopomarańczowe zarysy okien. Poszedłem nagi przez światło księżycy i kucnąłem przy plecakach, grzebiąc w poszukiwaniu puszkę amfetaminowej coli.

Pieprzyć sen.

Usłyszałem ją za sobą i odwróciłem się z zimnym, nieznanym uczuciem w kościach. Nie wiedziałem, kogo przed sobą zobaczę.

- Ty też, co?

To był głos Sylvie Oshimy, jej lekko zdziwione, wilcze spojrzenie. Stała naprzeciw mnie, obejmując się ramionami. Ona też była naga, jej piersi uniosły się w górę, ściśnięte w V jej ramion jak prezent, który chciała mi ofiarować. Biodra przechylone w pół kroku, jedno krągłe udo lekko wysunięte przed drugie. Włosy miała splecione w nieładzie wokół rozmiękczonej snem twarzy. W świetle Hoteia jej blada skóra przybrała tony ciepłej miedzi i ognia. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Wciąż się budzę. Mam wrażenie, że moja głowa działa w trybie turbo. - Skinęła w stronę trzymanej przeze mnie coli. - Wiesz, to ci nie pomoże.

- Nie mam ochoty na sen. - Mój głos zabrzmiał nieco szorstko.

- Tak. - Spowaźniała nagle. - Ja też nie. Mam ochotę na to, co proponowałeś wcześniej.

Opuściła ramiona, uwalniając piersi. Jakby nie do końca świadomym gestem uniosła ręce i zebrała włosy do tyłu, przyciskając dłonie do karku.

Przesunęła nogi tak, że uda otarły się o siebie. Przyglądała mi się uważnie spod uniesionych rąk.

- Podobam ci się taka?

- Ja... - Jej piersi rysowały się teraz wyraźnie. Czuję, jak krew wypełnia mój członek. Odchrząknąłem. - Bardzo mi się podobasz.

- Dobrze.

Nadal stała nieruchomo, patrząc na mnie. Upuściłem puszkę coli na plecak, z którego ją wyjąłem, i postąpiłem o krok w jej stronę. Owinęła ręce wokół moich ramion, splatając je na plecach. Wypełniłem dłoń miękką masą jej piersi, drugą sięgnąłem do zbiegu jej ud i pamiętanej wilgoci, która...

- Nie, czekaj. - Odepchnęła tę dłoń. - Nie tutaj, jeszcze nie.

Była to irytująca chwila, atak oczekiwań zmapowanych dwa dni temu w plastobańce. Strząsnąłem je z siebie i wypełniłem obie dłonie piersiami kobiety, wyciskając sutki i wsysając je do ust. Sięgnęła w dół i ujęła w dłoń wezbranego członka, głaszcząc go lekko palcami, które utrzymywały się niemal na granicy kontaktu. Zmarszczyłem czoło, pamiętając mocniejszy, bardziej pewny chwyt, i zacisnąłem na nim jej dłoń. Roześmiała się.

- Przepraszam.

Chwiejąc się nieco, pchnąłem ją do brzegu stołu, uwolniłem się z jej objęć i klęknąłem na podłodze tuż przed nią. Wymamrotała coś z głębi gardła i rozsunęła nieco nogi, odchylając się do tyłu i opierając dłońmi o blat.

- Chcę poczuć na sobie twoje usta - powiedziała gardłowo.

Przesunąłem otwartymi dłońmi po jej udach i przycisnąłem opuszki kciuków do obu stron lechtaczki. Zadrżała i otworzyła usta. Opuściłem głowę i wsunąłem w nią język. Wydobyla z siebie zduszony jęk, a ja się uśmiechnąłem. W jakiś sposób wyczuła ten uśmiech i uderzyła mnie w ramię.

- Drań. Nie waż się przerywać, pieprzony draniu.

Szerzej rozepchnąłem jej nogi i zabrałem się do pracy. Jej dłoń spoczęła na moim ramieniu, a potem przesunęła się na kark, gdy zaczęła poruszać się gorączkowo na stole, kołysząc biodrami w rytm ruchu mojego języka. Wplotła palce w moje włosy. Znów zdobyłem się na uśmiech pomimo nacisku jej miednicy, ale tym razem zaszła już zbyt daleko, by powiedzieć cokolwiek spójnego. Zaczęła coś mruzczyć, nie wiedziałem, do siebie czy do mnie. Z początku były to po prostu wyrazy aprobaty, ale w miarę jak naprężała się przed orgazmem, zaczęły się pojawiać inne słowa. Zajęty tym, co robiłem, potrzebowałem nieco czasu, by zrozumieć, co mówi. W ferworze orgazmu Sylvie Oshima recytowała strzępy kodu maszynowego.

Na koniec zadygotała i mocno wcisnęła mi głowę w swoje krocze. Sięgnąłem do tyłu i łagodnie uwolniłem się z jej uścisku. Wstałem z uśmiechem.

I znalazłem się twarzą w twarz z inną kobietą.

Nie potrafiłem określić, co dokładnie się zmieniło, ale wrażliwość Emisariusza natychmiast to odkryła, a całkowita pewność podziałała na mój żołądek ze skutecznością szybkobieżnej windy.

Wróciła Nadia Makita.

Była tam, w zwężeniu oczu i głębokim skrzywieniu jednego z kącików ust, którego nigdy nie widziałem na twarzy Sylvie Oshimy. W wyrazie głodu, który przeskakiwał po jej twarzy jak płomień, i w szybkim oddechu, jakby zakończony właśnie orgazm odtwarzał się teraz w przeciwną stronę.

- Cześć, Micky Szczęściarzu - powiedziała gardłowo.

Jej oddech zwolnił. Uśmiech, który zniknął z mojej twarzy, rozciągnął teraz jej usta. Zsunęła się ze stołu, sięgnęła w dół i dotknęła mnie między nogami. To był ten zapamiętany, pewny chwyt, ale w szoku moja erekcja nieco opadła.

- Coś nie tak? - zapytała.

- Ja...

Zaczęła poruszać dłońmi jak ktoś delikatnie przeciągający linę. Poczułem, że znów wzbieram. Przyglądała się mojej twarzy.

- Coś *nie tak*?

- Nic - odpowiedziałem szybko.

- Dobrze.

Z wdziękiem opadła na jedno kolano, cały czas patrząc mi w oczy, i nasunęła usta na żołądek mojego penisa. Jedną dłoń zostawiła na jego podstawie, podczas gdy drugą przesunęła na udo i mocno zacisnęła na mięśniu.

To cholerne szaleństwo, powiedział mi zimny fragment gotowego do walki Emisariusza. *Musisz to natychmiast przerwać!*

Wciąż patrzyła mi w oczy, gdy jej język, zęby i dłoń doprowadziły mnie do eksplozji.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Leżeliśmy później w łóżku, z dłońmi złączonymi luźno po wcześniejszych gorączkowych uściskach. Naszą skórę plamiły rozlane soki, a powtarzające się orgazmy odebrały mięśniom całą siłę. Przed oczami wciąż przesuwały mi się sceny tego, co ze sobą robiliśmy. Widziałem, jak siedzi na mnie, opierając się dłońmi o moją klatkę piersiową, i mocno opada w dół. Zobaczyłem, jak wchodzi w nią od tyłu. Widziałem jej krocze opadające na moją twarz. Widziałem, jak wije się przede mną, ssąc dziko centralny kabel własnych włosów, podczas gdy ja wbijam się w nią między uniesionymi wysoko nogami. Widziałem, jak biorę mokry od śliny kabel we własne usta, a ona śmieje się i dochodzi z kurczowym napięciem mięśni, które doprowadza mnie do szczytu.

Ale kiedy zaczęła do mnie mówić, zniekształcone brzmienie jej amangielskiego natychmiast wywołało we mnie dreszcz.

- Co? - Musiała wyczuć przechodzące mnie drzenie.

- Nic.

Obróciła głowę, żeby widzieć moją twarz. Czuję jej wzrok.

- Zadałam ci pytanie. W czym problem? Na chwilę zamknąłem oczy.

- Nadia, tak?

- Tak.

- Nadia Makita. - Tak. Zerknąłem na nią.

- Jak, u diabła, się tu znalazłaś, Nadiu?

- To jakieś metafizyczne pytanie?

- Nie. Techniczne. - Uniosłem się na łokciu i wskazałem na jej ciało. Niezależnie od warunkowania Emisariusza, większość mnie była zdumiona moim wewnętrznym spokojem. - Nie możesz być nieświadoma tego, co się tu dzieje. Żyjesz w oprogramowaniu dowódczym i czasem udaje ci się wyrwać. Pewnie uciekasz kanałami podstawowych instynktów, wykorzystując falę emocji. Seks, może także strach i złość. Tego rodzaju rzeczy pobudzają sporo podświadomych funkcji umysłu, co zapewnia ci przestrzeń. Ale...

- Jesteś ekspertem, co?

- Kiedyś byłem. - Czekałem na jej reakcję. - Kiedyś byłem Emisariuszem.

- Kim?

- Nieważne. Chcę wiedzieć, co się dzieje z Sylvie Oshimą, kiedy ty jesteś tutaj?

- Z kim?

- Do cholery, nosisz jej ciało, Nadiu. Nie udawaj głupiej. Przetoczyła się na plecy i wbiła wzrok w sufit.

- Naprawdę nie chcę o tym rozmawiać.

- Tak, pewnie, że nie chcesz. I wiesz co? Ja też nie. Ale prędzej czy później będziemy musieli to zrobić. Wiesz o tym.

Długa cisza. Rozsunęła uda i podrapała się w roztargnieniu po wewnętrznej części nogi. Sięgnęła do mnie i ścisnęła w dłoni mój skurczony penis. Chwyciłem jej rękę i łagodnie odepchnąłem.

- Zapomnij, Nadiu. Wszystko już ze mnie wypompuwałaś. Tej nocy nawet Mitzi Harlan nie wydusiłaby ze mnie kolejnej erekcji. Czas na rozmowę. Gdzie jest Sylvie Oshima?

Znów się ode mnie odwróciła.

- Mam być jej strażniczką? - zapytała gorzko. - Myślisz, że nad tym panuję?

- Może nie. Ale musisz mieć jakiś pomysł.

Znów cisza, tym razem pełna napięcia. Czekałem. W końcu się do mnie odwróciła, w jej oczach dostrzegłem desperację.

- *Snię* tę cholerną Oshimę, wiesz - wysyczała. - Ona jest pieprzonym *snem*, skąd mam wiedzieć, gdzie odchodzi, kiedy się budzę?

- Tak, a ona najwyraźniej też śni ciebie. - I to ma mi poprawić nastrój? Westchnąłem.

- Opowiedz mi swoje sny.

- Czemu?

- Ponieważ, Nadiu, staram ci się, do cholery, pomóc. Błysnęła oczami.

- Dobra - warknęła. - Śnię, że ją przerażasz. Jak ci się to podoba? Śnię, że zastanawia się, dokąd zmierzasz z duszami tak wielu martwych kapłanów. Że rozmyśla, kim naprawdę jest Micky Szczęściarz i czy bezpiecznie jest mieć go u swego boku. Czy wypieprzy ją przy pierwszej okazji albo czy tylko wyrucha i zostawi. Jeśli myślałeś, że uda ci się wsadzić fiuta w tę kobietę, Micky, czy jak się tam, u diabła, naprawdę nazywasz, zapomnij. Lepiej trzymaj się mnie.

Pozwoliłem, by te słowa zawisły na chwilę w ciszy. Uśmiechnęła się do mnie.

- To chciałeś usłyszeć?

Wzruszyłem ramionami.

- Na początek może być. Popchnęłaś ją do seksu, żeby zdobyć nad nią kontrolę?

- Nie chcesz tego wiedzieć.

- Pewnie sama mi to powie.

- Zakładasz, że wróci. - Kolejny uśmiech, tym razem szerszy. - Na twoim miejscu bym tego nie robiła.

I tak dalej. Warczeliśmy na sobie i prychaliśmy dłużej, ale pod ciężarem poorgazmowej chemii nic z tego nie wynikło. W końcu poddałem się i usiadłem na brzegu łóżka, wpatrując się w oświetlone blaskiem Hoteia panele w głównym pokoju. Kilka minut później poczułem jej dłoń na moim ramieniu.

- Przepraszam - powiedziała cicho.

- Tak? Za co?

- Właśnie sobie uświadomiłam, że sama się o to prosiłam. No wiesz, zapytałam, o czym myślisz. Gdybym nie chciała wiedzieć, to bym nie pytała, nie?

- To prawda.

- Po prostu... - Zawahała się. - Słuchaj, Micky, chce mi się spać. I skłamałam, nie mam pojęcia, czy i kiedy wróci Sylvie Oshima. Nie wiem, czy obudzę się rano, czy nie. To dość, by każdego trochę zirytować, nie?

Wpatrywałem się w pomarańczowe plamy na podłodze drugiego pokoju. Na chwilę opadły mnie mdłości. Odchrząknąłem.

- Zostaje jeszcze amfetaminowa cola - zasugerowałem brutalnie.

- Nie. Prędzej czy później będę musiała usnąć. Równie dobrze może to nastąpić teraz. Jestem zmęczona, a co gorsza, szczęśliwa i odprężona. Czuję, że jeśli muszę odejść, lepiej zrobić to szybko. Wiem, że to tylko chemia, ale nie mogę opierać się jej w nieskończoność. I myślę, że wrócę. Coś mi to mówi. Ale w tej chwili nie wiem kiedy. Nie mam też pojęcia, dokąd odchodzę. A to mnie przeraża. Czy mógłbyś... - Znów przerwała. Usłyszałem, jak przelyka ślinę. - Czy mógłbyś potrzymać mnie za rękę, kiedy będę usypiać?

Pomarańczowe światło księżycyca na zużytej, pociemniałej podłodze.

Sięgnąłem do tyłu po jej dłoń.

* * *

Podobnie jak większość powłok bojowych, jakie kiedykolwiek nosilem, ciało Eishundo wyposażono w wewnętrzny budzik. O wyznaczonej przeze mnie godzinie niezależnie od tego, co śniłem wcześniej, sceneria przekształcała się w tropikalne słońce wschodzące nad cichymi wodami. Zapach owoców i kawy dobiegający z jakiegoś niewidocznego miejsca i radosny pomruk głosów. Chłód piasku wczesnym rankiem pod nagimi stopami i lekka, ale wyraźna bryza prosto w twarz. Dźwięk hamulców.

Plaża Vchira? Już?

Ręce mam wepchnięte w kieszenie wyblakłych spodenek, ślady piasku w kieszeniach, które...

Złudzenia zmysłowe zaniknęły natychmiast, gdy się obudziłem. Żadnej kawy i plaży, na której można by ją wypić. Żadnego piasku pod stopami czy w kieszeniach spodni. Było światło słońca, ale znacznie słabsze niż obraz na pobudkę. Wpadało bezbarwnie przez okna w drugim pokoju w szarą, przytłaczającą ciszę.

Obróciłem się ostrożnie i spojrzałem na twarz śpiącej obok mnie kobiety. Nie poruszyła się. Przypomniałem sobie strach w oczach Nadii Makity zeszłej nocy, zanim pozwoliła sobie powoli zapaść w sen. Elementy świadomości zsunęły się jak napięta lina przez jej dłonie gdzieś w przestrzeń, a potem znieruchomiały, gdy wzdrygnęła się i znów obudziła. A potem przyszła chwila, nagła i nieoczekiwana, kiedy podarowała sobie i już nie wróciła. Teraz leżałem i przyglądałem się spokojowi rozlanemu na jej twarzy, kiedy spała. To nie pomogło.

Wyszedłem z łóżka i ubrałem się cicho w drugim pokoju. Nie chciałem być przy niej, kiedy się obudzi.

Z pewnością nie chciałem sam jej budzić.

Naprzeciw mnie pojawiła się Odkrywka 301 i otworzyła usta. Neurochem bojowy był szybszy. Przesunąłem dłonią po gardle i wskazałem kciukiem w stronę sypialni. Porwałem z krzesła kurtkę, wbiliśmy się w nią i wskazałem na drzwi.

- Będę na zewnątrz - wyszeptalem.

Za drzwiami nastał dzień znacznie przyjemniejszy, niż sugerowało pierwsze wrażenie. Słońce było zimowe, ale gdy stanęło się na wprost w jego promieniach, można było się ogrzać, a pokrywa chmur zaczynała się rozpadać. Daikoku tkwił jak duch klingi szabli na południowo-zachodnim niebie, a nad oceanem krążyła wolno kolumna kropek, przypuszczalnie darłoskrzydłów. W dole, na granicy niewspomaganej widoczności dostrzegłem kilka pojazdów. Tekitomura tworzyła w nieruchomym powietrzu delikatne tło dźwiękowe. Ziewnąłem i spojrzałem na trzymaną w dłoni amfetaminową colę, po czym schowałem ją do kieszeni. Byłem dostatecznie przytomny.

- Więc czego chcesz? - spytałem stojący obok mnie konstrukt.

- Pomyślałam, że chciałby pan wiedzieć, iż placówka ma gości. Zaskoczyła neurochemia. Czas wokół mnie zmienił się w syrop, gdy

powłoka Eishundo przeskoczyła w tryb bojowy. Spojrzałem z niedowierzaniem na Odkrywkę 301, gdy obok mnie przeleciał pierwszy strzał. Dostrzegłem błysk poruszonego powietrza w miejscu, gdzie przeciął wyświetlaną obecność konstrukt, a potem wykręciłem się na bok w płonącej kurtce.

- Sukinsy...

Byłem bez pistoletu, bez noża. Oba zostawiłem w środku. Nie miałem czasu na skok do drzwi, zresztą i tak odrzucił mnie od nich instynkt Emisariusza. Później uświadomiłem sobie to, co już intuicyjnie wiedziałem - powrót tam oznaczałby samobójstwo. Z płonącą kurtką wpadłem za osłonę ściany domku. Znów błysnęła wiązka blastera, ale nie w pobliżu mnie. Dalej strzelali do Odkrywki, myśląc ją z prawdziwym celem.

Na pewno nie jest to klasa bojowych ninja, przemknęło mi przez myśl. To wynajęci tubylcy.

Tak, ale mają broń, a ty nie.

Czas zejść ze sceny.

Środek przeciwpożarowy w kurtce stłumił ogień, pozostawiając dym i oparzeliny na żebrach. Spalone włókna krwawiły tłumiącym polimerem. Wziąłem głęboki oddech i ruszyłem sprintem.

Usłyszałem za sobą krzyki, przechodzące gwałtownie od niedowierzania do złości. Może myśleli, że załatwili mnie pierwszym strzałem, a może nie byli wcale tacy bystrzy. Otwarcie ognia zajęło im kilka sekund. Do tego czasu dobiegłem już prawie do następnego domku. Zatrzeszczały strzały z blasterów. Ciepło błysnęło blisko mojego biodra i ciało zaprotestowało. Uskoczyłem w bok, schowałem się za domkiem i przeskanowałem teren przed sobą.

Jeszcze trzy domki, ustawione mniej więcej po łuku na ziemi wyrównanej przez pierwszych archeologów. Za nimi do nieba wznosiła się wieża wsparta na potężnych słupach, niczym jakaś olbrzymia rakietą z ubiegłego tysiąclecia przygotowana do startu. Wczoraj nie dotarłem do środka, było tam zdecydowanie za dużo wolnego miejsca pod nogami i ostry, pięćsetmetrowy spadek do pochyłości zbocza w dole. Ale z wcześniejszych doświadczeń wiedziałem, co obce perspektywy marsjańskiej architektury mogły zrobić z ludzką percepcją i że warunkowanie Emisariusza się im oprze.

Tubylcy. Trzymaj się tej myśli.

Ruszą za mną w najlepszym razie niechętnie, zdezorientowani przez przyprawiające o zawrót głowy wnętrza, może nawet przestraszeni. Okażą się przesądni, jeśli dopisze mi szczęście. Wytrącę ich z równowagi, dadzą się zastraszyć.

Będą popełniać błędy.

Co sprawiało, że wieża stała się idealnym terenem do zabijania.

Przebiegłem przez pozostałą otwartą przestrzeń, przemknąłem między dwoma domkami i dotarłem do najbliższego wybrzuszenia marsjańskiego stopu, który wykwitał ze skały jak korzeń drzewa grubości pięciu metrów. Archeolodzy zostawili tu rząd metalowych stopni przymocowanych do skały obok. Wbiegłem po nich, przeskakując po trzy naraz, i wszedłem na wychodnię, ślizgając się na stopie w kolorze siniaków. Oparłem się o wypustkę z technoglifami, która tworzyła bok najbliższego wspornika wznoszącego się w powietrze. Słup miał przynajmniej dziesięć metrów wysokości, ale kilka metrów w lewo do nierównej powierzchni przyklejono drabinkę. Chwyciłem jej pręty i zacząłem wspinaczkę.

Spomiędzy domków znów dobiegły krzyki. Żadnych strzałów. Brzmiało to tak, jakby sprawdzali zakamarki obozu, ale nie miałem czasu podkręcać neurochemii, żeby się upewnić. Na moich dłoniach pojawił się pot, gdy drabinka zaczęła trzeszczeć i wyginać się pod moim ciężarem. Epoksyd nie najlepiej wiązał się z marsjańskim stopem. Przyspieszyłem, sięgnąłem szczytu i przerzuciłem się przez krawędź z westchnieniem ulgi. Potem rozpląsałem się na szczycie filara, dysząc i nasłuchując. Neurochem pozwalał mi wychwycić odgłosy toczących się w dole kiepsko zorganizowanych poszukiwań. Ktoś próbował przestrzelić zamek w jednym z domków. Spojrzałem w niebo i pomyślałem nad tym przez chwilę.

- Odkrywka? Jesteś tu? - szepnąłem.

- Tak, jestem w zasięgu komunikacji. - Słowa konstruktów zdawały się rozbrzmiewać wprost z powietrza obok mojego ucha. - Nie musi pan mówić głośniejsze niż w tej chwili. Z kontekstu sytuacyjnego zakładam, że nie chce pan, bym stała się widoczna w jego pobliżu.

- Słuszne założenie. Chciałbym natomiast, żebyś na moje polecenie pojawiła się wewnątrz jednego z zamkniętych domków tam w dole. Albo jeszcze lepiej, w więcej niż jednym, jeśli potrafisz wykonać więcej projekcji. Potrafisz?

- W każdej chwili jestem zdolna do interakcji osobowych w liczbie odpowiadającej wszystkim członkom pierwotnego zespołu Odkrywki 301 plus siedmiu potencjalnych gości. - Trudno było stwierdzić to na pewno, ale wydawało mi się, że w głosie konstruktu słyszę ślad rozbawienia. - To daje siedemdziesiąt dwie odrębne projekcje.

- Dobrze, cóż, trzy albo cztery powinny chwilowo wystarczyć. - Bardzo ostrożnie obróciłem się na brzuch. - A możesz się wyświetlić jako ja?

- Nie. Mogę wybierać spośród zaprogramowanych projekcji osobowych, ale nie potrafię w żaden sposób ich modyfikować.

- Masz tam jakichś mężczyzn?

- Tak, choć mniej opcji niż...

- Dobra, to wystarczy. Po prostu wybierz z indeksu paru, którzy wyglądają podobnie jak ja. Mężczyzn mniej więcej mojej postury.

- Kiedy mam wykonać rozkaz? Przesunąłem rękę pod siebie.

- Teraz.

- Wykonuję.

Zajęło to parę sekund, ale potem w domkach poniżej wybuchł chaos. Wszędzie szczękały wystrzały z blasterów, punktowane ostrzegawczymi krzykami i odgłosami biegnących stóp. Piętnaście metrów nad tym wszystkim odepchnąłem się mocno rękami, podniosłem się do przysiadu i wystartowałem do sprintu.

Ramię wspornika biegło jakieś pięćdziesiąt metrów nad odkrytą przestrzenią, po czym zanurzało się gładko w głównym korpusie wieży. W złączeniu otwierały się szerokie, owalne wejścia. Ekipa badawcza usiłowała zamocować wzdłuż brzegu ramienia barierki, ale podobnie jak w przypadku drabinki, epoksyd niezbyt dobrze zniósł próbę czasu. W niektórych miejscach kable się pourywały i zwisały teraz po obu stronach, gdzie indziej po prostu znikły. Skrzywiłem się i skupiłem uwagę na szerokiej stopce w miejscu, gdzie ramię łączyło się z główną strukturą. Nie zwolniłem.

Neurochem wyłapał przekrzykujący inne głos...

- ...pie sukinsyny, wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień! *Wstrzymać ten cholerny ogień! Tam, jest tam!*

Złowroga cisza. Desperacko przyspieszyłem. Potem powietrze zaczęły szarpać wiązki blasterów. Pośliznąłem się i prawie przeleciałem przez dziurę w barierce. Znowu rzuciłem się do przodu.

Odkrywka 301 odezwała się wprost przy moim uchu, grzmiąc przy neurochemicznym wzmocnieniu.

- Elementy tego stanowiska uważane są za niebezpieczne...

Warknąłem bezgłośnie.

Poczułem ciepło strzału na plecach i smród zjonizowanego powietrza. W dole znowu usłyszałem nowy głos, neurochemicznie bliski.

- Daj mi to, do cholery. Pokażę ci, jak...

Rzuciłem się w bok na wspornik. Strzał, którego się spodziewałem, smagnął mnie bolesną krechą przez plecy i ramię. Całkiem nieźle przy tej odległości i tak nieprecyzyjnej broni. Rzuciłem się na podłogę, przetoczyłem regulaminowo i skoczyłem do najbliższego owalnego otworu.

Ogień z blastera gonił za mną do środka.

* * *

Wejście tam za mną zajęło im prawie pół godziny.

Ukryty we wznoszącej się ku niebu marsjańskiej budowli, wyęczałem neurochem i

wsluchiwałem się w ich kłótnię. Nie zdołałem znaleźć tak nisko w strukturze miejsca, które umożliwiłoby mi ogarnięcie wzrokiem okolicy na zewnątrz - *pieprzeni marsjańscy budowniczo* - ale dziwaczne efekty tunelowe wewnętrznej struktury wieży kierowały do mnie dźwięki w krótkich falach. Sedno argumentacji łatwo było prześledzić. Wynajęci pomocnicy chcieli się spakować i wracać do domu, ich przywódca chciał mojej głowy na kiju.

Nie mogłem go za to winić. Na jego miejscu też bym tak postąpił. Nie wraca się do jakuzi, jeśli wypełniło się ledwie połowę kontraktu. A z pewnością nie odwraca się plecami do Emisariusza. Wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny tam w dole.

Brzmiał młodziej, niż się spodziewałem.

- ...na to, że wszyscy cholernie boicie się tego miejsca. Na miłość boską, przecież dorastaliście u podnóża tej góry. To tylko cholerna *ruina*.

Rozejrzałem się po skłębionych krzywiznach i otworach, czując, że łagodnie, lecz nieodparcie ich linie ściągają uwagę w górę, aż zaczynały boleć oczy. Przez niewidoczne otwory w suficie wpadało ostre poranne światło, ale w jakiś sposób po drodze w dół łagodniało i zmieniało się. Niebieskawe powierzchnie stopu zdawały się wchłaniać i blask, który się od nich odbijał, sprawiał wrażenie dziwnie przygaszonego. Poniżej poziomu antresoli, na którą się wspiałem, plamy mroku przeplatane były szparami i otworami w podłodze w miejscach, w których nie umieściłby ich żaden ludzki architekt przy zdrowych zmysłach. Daleko w dole dostrzegłem szare skały górskiego zbocza i skromną roślinność.

Tylko ruina. Jasne.

Był młodszyszy, niż się spodziewałem.

Po raz pierwszy zacząłem się konstruktywnie zastanawiać, jak bardzo młody. Zdecydowanie brakowało mu paru doświadczeń, jakich zaznałem z marsjańskimi artefaktami.

- Słuchajcie, przecież on nawet nie ma *bron*.

Wyteżyłem płuca, żeby słychać mnie było na zewnątrz.

- Hej, Kovacs! Jeśli jesteś taki pewny siebie, to czemu nie przyjdiesz tu osobiście?

Zapadła cisza, przerywana stłumionym mamrotaniem. Wydało mi się, że słyszę zduszony rechot jednego z tubylców. Potem jego głos, równie głośny jak mój.

- Niezły sprzęt do podsłuchiwania ci zamontowali.

- No nie?

- Zamierzasz z nami powalczyć, czy będziesz tylko słuchać i wrzeszczeć?

Uśmiechnąłem się.

- Ja tylko niosę pomoc. Ale jeśli chcesz, możemy powalczyć. Tylko tu wejdz. Pomagierów też zabierz, jeśli musisz.

- Mam lepszy pomysł. Może pozwolę moim pomagierom zabawić się wszystkimi otworami twojej koleżanki, tak długo jak będzie trzeba, żebyś wyszedł? Neurochemia pozwoli ci posłuchać. Choć szczerze mówiąc, dźwięki dotrą do ciebie pewnie i bez tego. Chłopcy z entuzjazmem odnieśli się do mojego pomysłu.

Napełniła mnie fala furii, zagłuszając racjonalną myśl. Mięśnie twarzy napięły się i zadrzały, a cała konstrukcja powłoki Eishundo zeszywniała. Dostał mnie na dwa niezdarne uderzenia serca. Potem systemy Emisariusza przesaczyły się chłodno przez emocje, tłumiąc je i analizując.

Nie zamierza tego zrobić. Jeśli Tanaseda wysłedził cię przez Oshimę i Ślizgaczy to dlatego że wie, jaki miała udział w śmierci Yukio Hirayasu. A jeśli o tym wie, wolałby dostać ją żywą. Tanaseda hołduje starej szkole i obiecał mi egzekucję w starym stylu. Nie będzie chciał uszkodzonego towaru.

Zresztą, mówimy tu o tobie. Wiesz, do czego jesteś zdolny, a do tego akurat nie.

Wtedy byłem młodszy. Teraz... Jestem. Przez chwilę zmagalem się w głowie z tym pomysłem.

Tam... Jestem tam młodszy. Nie wiadomo...

Ależ skąd. Wiadomo. To blef Emisariusza i dobrze o tym wiesz, sam dostatecznie często ich używałeś.

- Nie masz mi nic do powiedzenia?

- Obaj wiemy, że tego nie zrobisz, Kovacs. Obaj wiemy, dla kogo pracujesz.

Tym razem na ledwie zauważalną chwilę zawahał się, nim odpowiedział. Szybko doszedł do siebie, imponujące.

- Wydajesz się zdumiewająco dobrze poinformowany jak na uciekiniera.

- Na tym polegało moje szkolenie.

- Wchłaniać lokalny koloryt, co?

Słowa Virginii Viadury podczas wykładu o emisariuszowskiej indukcji, subiektywnie stulecie temu. Zastanawiałem się, jak dawno powiedziała to do niego.

- Coś w tym stylu.

- Powiedz mi coś, stary, bo naprawdę chciałbym wiedzieć. Jak to się stało, że mimo takiego szkolenia stoczyłeś się tak bardzo, że zarabiasz na życie jako mierny zabójca? Muszę przyznać, że zaskakuje mnie taki zwrot w karierze.

Kiedy go słuchałem, zaczęła mnie wypełniać zimna świadomość. Skrzywiłem się i lekko zmieniłem pozycję. Nie odpowiedziałem.

- Szczęściarz, tak? Teraz Szczęściarz?

- Cóż, nazywam się inaczej - odkrzyknąłem. - Ale nazwisko ukradł mi jakiś gnojek. Do czasu aż je odzyskam, wystarczy mi Szczęściarz.

- Może go nie odzyskasz.

- Nie, miło, że się przejmujesz, ale znam tego gnojka. Niedługo będzie mi sprawiał problemy.

Jego opanowanie omsknęło się lekko, niemal niedostrzegalnie. Tylko zmysł Emisariusza był w stanie wyłowić gniew stłumiony równie szybko.

- Doprawdy?

- Tak jak powiedziałem. Ten popapraniec długo nie pożyje.

- Dla mnie wygląda to na przesadną pewność siebie. - Jego głos lekko się zmienił. Czymś go dźgnąłem. - Może nie znasz tego faceta tak dobrze, jak ci się wydaje.

Roześmiałem się głośno.

- Żartujesz? Nauczyłem go wszystkiego. Beze mnie...

Tam. Postacie, których się spodziewałem. Te, których nie mogłem nasłuchiwać neurochemią podczas wymiany obelg z głosem na zewnątrz. Przygarbiona, ubrana na czarno sylwetka wsuwająca się przez otwór pięć metrów pode mną w masce z czujnikami oddziałożeń specjalnych, po owadziemu wykręcająca głowę. Obrazowanie termowizyjne, lokalizator dźwiękowy, czujnik ruchu to minimum...

Już spadałem. Odepchnąłem się od krawędzi struktury, kierując pięty butów tak, by uderzyć w kark pod maską i go złamać.

Któryś sprzęt go ostrzegł. Odskoczył w bok, podnosząc głowę, i wykręcił ku mnie blaster. Jego usta pod maską otworzyły się do krzyku. Strzał przeciął powietrze, przez które właśnie spadłem. Opadłem w kucki na podłogę, o grubość dłoni od jego prawego ramienia. Zablokowałem lufę kierowanego na mnie blastera. Z ust mężczyzny wyrwał się krzyk, drżący od szoku. Uderzyłem z dołu w jego gardło kantem dłoni i dźwięk ucichł. Mężczyzna się zatoczył. Wyprostowałem się, ruszyłem za nim i uderzyłem jeszcze raz.

Zostało jeszcze dwóch.

Sylwetki w otworze, tuż obok siebie. Ocalała mnie jedynie ich niekompetencja. Kiedy wiodący komandos padł, dusząc się, u moich stóp, każdy z nich mógł mnie trafić - zamiast tego spróbowali tego równocześnie i wpadli na siebie. Rzuciłem się na nich.

Odwiedzałem planety, na których można zabić człowieka nożem z odległości dziesięciu metrów i twierdzić, że nastąpiło to w samoobronie. Argumentacja prawna jest taka, że przebycie tej odległości nie wymaga wiele czasu.

To akurat prawda.

Jeśli naprawdę wie się, co robi, nie trzeba nawet noża.

Tu dzieliło nas pięć metrów albo mniej. Dotarłem do nich, zasypując ich gradem ciosów, kopnąłem w szczękę i stopę, zablokowałem broń, ostro uderzyłem łokciem w twarz. Z dłoni wypadł blaster, przechwyciłem go. Wystrzeliłem w brutalnym łuku kontaktu.

Stłumione skrzeki i krótkotrwałe erupcje krwi otwierającej się, a potem kauteryzującej tkanki. Chmura pary i ich ciała opadły na podłogę.

Wystarczyło mi jeszcze czasu na szybki oddech, rzut oka na trzymaną w dłoni broń - *gówniany szeged incandess* - i kolejna wiązka z blastera rozjarzyła powierzchnię stopu nad moją głową. Nadchodzili następni.

Jak to się stało, że mimo takiego szkolenia stoczyłeś się tak bardzo, że zarabiasz na życie jako mierny zabójca?

Pewnie zaważyła niekompetencja.

Wycofałem się. Ktoś wsunął głowę przez owalny otwór, ale przegoniłem go serią ledwie wycelowanych strzałów.

I byłem zbyt zafascynowany sobą dla własnego dobra.

Jedną ręką chwyciłem się ściany i podciągnąłem się do góry, zaczepiając nogami o szeroką, spiralną rampę prowadzącą do mojej wcześniejszej kryjówki na półpiętrze. Gekonowy chwyt powłoki Eishundo zawiódł na stopie. Zsunąłem się, bezskutecznie spróbowałem złapać się jeszcze raz i spadłem. Przez otwór po lewej w stosunku do tego, na który uważałem, wpadło dwóch nowych komandosów. Strzeliłem na ślepo z szegeda, usiłując wspiąć się w górę. Wiazka oderwała stopę kobiety po prawej. Wrzasnęła i zatoczyła się, chwyciła okaleczoną nogę, przewróciła się i wpadła w otwór w podłodze. Jej drugi krzyk dobiegł z głębi otworu.

Podniosłem się z ziemi i zaatakowałem jej towarzysza.

Walka była niezgrabna, obu nas ograniczała trzymana broń. Zamachnąłem się kolbą szegeda, on zablokował i spróbował opuścić własny blaster. Odrzuciłem go na bok i kopnąłem w nogę. Skontrolował uderzenie kopnięciem kolanem. Wprowadziłem kolbę szegeda pod jego szczękę i uderzyłem w górę. Upuścił swoją broń i uderzył mnie mocno równocześnie w bok gardła i krocze. Zatoczyłem się do tyłu, ale zdołałem utrzymać blaster i nagle znalazłem się dość daleko, by go użyć. Zmysł zbliżeniowy ryknął ostrzeżenie przez ból. Komandos wyrwał z kabury pistolet i wycelował. Uskoczyłem w bok, ignorując ból i ostrzeżenie czujnika w głowie, opuściłem blaster.

Ostry trzask broni komandosa. Zimne objęcia ogłuszacza.

Moja dłoń otworzyła się spazmatycznie, szeged upadł z hukiem.

Zatoczyłem się do tyłu i straciłem grunt pod stopami.

...pieprzeni marsjańscy budowniczy...

Wyleciałem z wieży jak bomba i przeleciałem bez skrzydeł przez gwałtownie zamykającą się przesłonę świadomości.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Proszę nie otwierać oczu, nie rozluźniać lewej dłoni, proszę się nie ruszać.

Brzmiało to jak mantra, inkantacja, którą ktoś wyśpiewywał mi przez wiele godzin. I tak nie byłem pewien, czy mogłem jej nie posłuchać - lewe ramię stanowiło lodowaty sopel bez czucia, od pięści aż do ramienia, a oczy miałem chyba zaklejone. W innych miejscach ciało pulsowało bardziej ogólnym ómieniem kaca po ogłuszaczu. Cały byłem przemarznięty.

- Proszę nie otwierać oczu, nie rozluźniać lewej dłoni, proszę...

- Już cię słyszałem, Odkrywko. - Gardło miałem wysuszone. Odkaslnąłem, ogarnęła mnie fala niepokojących zawrotów głowy. - Gdzie jestem?

Krótkie wahanie.

- Profesorze Szczęściarz, być może lepiej będzie, jeśli tę informację podam później. Proszę nie rozluźniać lewej dłoni.

- Tak, zrozumiałem. Mam nie rozluźniać lewej dłoni. Jest zniszczona?

- Nie - odpowiedział niechętnie konstrukt. - Najwyraźniej nie. Ale tylko ona pana utrzymuje.

Szok, jak uderzenie w mostek. Potem fala sztucznego spokoju, kiedy zaskoczyło warunkowanie. Emisariusze powinni opanować to do perfekcji - budzenie się w nieoczekiwanych miejscach to element szkolenia. Nie panikuje się, po prostu zbiera dane i radzi sobie z sytuacją. Głośno przełknąłem ślinę.

- Rozumiem.

- Teraz może pan otworzyć oczy.

Zwalczyłem ból po ogłuszeniu i rozchyliłem powieki. Mrugnąłem kilka razy, by oczyścić pole widzenia, i zaraz tego pożałowałem. Moja głowa zwisała przy prawym ramieniu, pod którym widziałem jedynie pięćset metrów pustej przestrzeni i zbocze góry w dole. Uczucie zimna towarzyszące zawrotom głowy nagle zaczęło nabierać sensu. Zwisałem niczym wisielec, trzymając się wyłącznie lewą dłonią.

Znów załała mnie fala szoku. Stłumiłem go z wysiłkiem i niezdarnie wykręciłem głowę, by spojrzeć w górę. Moja pięść zacisnęła się na pętli zielonkawego kabla, znikającego bez śladu złącza na obu końcach we wstędze z matowozielonego stopu. Wokół mnie tłoczyły się dziwnie ukształtowane przypory i słupy z tego samego materiału. Wciąż byłem przymulony od strzału z ogłuszacza, więc potrzebowałem kilku chwil, by zidentyfikować dolną część marsjańskiej wieży. Najwyraźniej nie spadłem daleko.

- Odkrywka, co się dzieje? - wychrypiałem.

- Spadając, złapał się pan marsjańskiej liny osobistej, która zgodnie z naszym rozumieniem jej funkcji wciągnęła pana do komory odbiorczej.

- Komory odbiorczej? - Rozejrzałem się po otaczających mnie słupach w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłbym stanąć. - Więc jak to działa?

- Nie jesteśmy pewni. Wydaje się, że w przyjętej przez pana pozycji Marsjanin, a przynajmniej dorosły Marsjanin, mógł w wygodny sposób skorzystać z otaczających pana struktur, by dotrzeć do otworów w dolnej części wieży. Jest ich kilka w za...

- Dobra. - Przyjrzałem się ponuro zaciśniętej pięści. - Jak długo byłem nieprzytomny?

- Czterdzieści siedem minut. Wydaje się, że pańskie ciało jest wysoce odporne na broń częstości neuronowych. A także zaprojektowane do przeżycia w środowiskach dużego ryzyka i na wysokości.

Coś takiego.

Nie mam pojęcia, jak to się stało, że Eishundo Organics wypadło z branży. W każdej chwili mogli dostać ode mnie list pochwalny i referencje. Widziałem już w powłokach bojowych podświadome programowanie na przeżycie, ale to był przykład biotechnologicznego geniuszu. W otępiełej po strzale głowie poruszyły się luźne wspomnienia ostatnich chwil przed utratą świadomości. Desperackie przerażenie uwolnionego nagle lęku wysokości i świadomość upadku. Chwyciłem się wtedy czegoś, co widziałem ledwie na wpół, a równocześnie straciłem świadomość po strzale z ogłuszacza. Ostatnie szarpnięcie. Uratowało mnie laboratorium pełne biotechnologicznych naukowców i ich entuzjazm sprzed trzech stuleci.

Słaby uśmiech zbladł, gdy zacząłem się zastanawiać, co prawie godzina chwytu z napiętymi mięśniami i dużego obciążenia mogła zrobić ze ścięgnami i stawami mojego ramienia. Ciekawe, czy będę miał jakieś trwałe uszkodzenia. Albo czy w ogóle zdołam jeszcze używać tego ramienia.

- Gdzie są pozostali?

- Odeszli. Znajdują się teraz poza zasięgiem moich czujników.

- Czyli uważają, że spadłem na dno.

- Na to wygląda. Mężczyzna, którego nazywał pan Kovacsem, wysłał część swoich pracowników na poszukiwania u stóp góry. O ile dobrze zrozumiałam, mają odnaleźć dwa ciała: pana i kobiety, którą okaleczył pan podczas strzelaniny.

- A Sylvie? Moja koleżanka?

- Zabrali ją ze sobą. Mam nagrania...

- Nie teraz. - Odchrząknąłem, pierwszy raz uświadamiając sobie, jak wysuszone mam gardło. - Słuchaj, powiedziałaś, że są tu otwory prowadzące z powrotem do wieży. Gdzie znajduje się najbliższy?

- Za potrójnie złożonym słupem po pańskiej prawej. To otwór wejściowy o średnicy dziewięćdziesięciu trzech centymetrów.

Wykręciłem kark i zauważyłem to, o czym mówiła Odkrywka 301. Słup wyglądał mniej więcej jak dwumetrowy, odwrócony kapelusz czarownicy, zdeformowany w trzech miejscach przez olbrzymie pięści. Pokryty był nierównymi, niebieskawymi fasetami, błyszczącymi w słabym świetle pod wieżą, jakby były mokre. Brzeg najniższego zniekształcenia był prawie poziomy i tworzył rodzaj półeczki, której zapewne zdołałbym się przytrzymać. Znajdował się niecałe dwa metry ode mnie.

Łatwizna. Pestka.

Oczywiście, jeśli uda ci się skoczyć z okaleczonym ramieniem.

Jeśli twoja magiczna dłoń sprawdzi się na marsjańskim stopie lepiej niż godzinę temu.

Jeśli...

Sięgnąłem prawą ręką i chwyciłem linę zwisającą blisko drugiej dłoni. Bardzo delikatnie przesunąłem na nią ciężar ciała i zacząłem dźwigać się w górę. Lewe ramię zakłuło, gdy je odciążyłem, i przez drętwość przebił się ostry rozbłysk bólu. Ramię strzeliło. Przez nadwerżone więzadła przepłynęła fala gorąca, zamieniając się w cierpienie. Próbowałem rozprostować lewą dłoń, ale jedynym efektem było wrażenie iskierek w palcach. Ból nabrzmiał i zaczął spływać przez mięśnie ramienia. Odniosłem wrażenie, że kiedy już dotrze do końca, będzie bardzo bolało.

Spróbowałem jeszcze raz z palcami lewej dłoni. Tym razem iskrzenie zmieniło się w głęboki, pulsujący ból, który wycisnął mi łzy z oczu. Palce nie odpowiadały. Dłoń była jak wtopiona w linę.

- Czy mam powiadomić służby ratunkowe?

Służby ratunkowe: policja z Tekitomury, a tuż za nią służby wewnętrzne likwidatorów z serdecznymi pozdrowieniami od Kurumayi, wkurzona lokalna yakuza i kto wie, może nawet Rycerze Nowego Objawienia, jeśli stać ich na łapówki dla policji i zwracają uwagę na aktualne wiadomości.

- Dzięki - powiedziałem słabo. - Chyba sobie poradzę.

Zerknąłem na zaciśniętą lewą dłoń, potem na poobijany słup i przepaść w dole. Głęboko wciągnąłem powietrze. Potem powoli przesunąłem prawą dłoń po linie, aż dotknąłem zablokowanego sznura. Wzięłem kolejny oddech i szarpnięciem poderwałem się w górę. Ledwie doszła do siebie tkanka nerwowa w mięśniach brzucha zaprotestowała gwałtownie. Sięgnąłem prawą nogą, nie trafiłem, machnąłem jeszcze raz i zaczepiłem kolano na linie. Jeszcze bardziej odciążylem lewe ramię. Ból zaczął szaleć, wysyłając eksplozje przez stawy i mięśnie.

Jeszcze jeden oddech, jedno spojrzenie w d...

Nie, do cholery, nie patrz w dół.

Jeszcze jeden oddech przez zaciśnięte zęby.

A potem kciukiem i palcem wskazującym zacząłem odrywać od liny sparaliżowane palce.

* * *

Opuściłem błękitnawy półmrok wnętrza wieży pół godziny później, z trudem powstrzymując maniackalny chichot. Adrenalinowy humor został ze mną przez całą drogę ramieniem wspornika, aż do chwiejnej drabinki archeologów - którą niełatwo było pokonać z praktycznie niesprawnym ramieniem - a potem do schodów. Zszedłem na pewny grunt z głupim uśmiechem na twarzy. Automatycznie zachowywałem czujność, kiedy szedłem między domkami, ale wesołość mnie nie opuściła. Nawet kiedy dotarłem do naszego domku, nawet w jego wnętrzu, patrząc na puste łóżko, w którym zostawiłem Sylvie, czułem pozostałości uśmiechu czające się w kącikach ust i śmiech bulgoczący słabo w żołądku.

Ledwie mi się udało.

Oderwanie palców od liny nie było przyjemne, ale w porównaniu z resztą eskapady wydawało się wręcz zabawne. Po uwolnieniu moje ramię opadło i zwisło na końcu stawu, ćmiąc jak zepsuty ząb. Było równie użyteczne, jak kamień zawieszony u szyi. Najpierw kłąłem przez pełną minutę, a potem odczepiłem prawą stopę, zakołysałem się na prawej ręce i wykorzystałem impet, by niezgrabnie przeskoczyć na słup. Sięgnąłem, chwyciłem i przekonałem się, że Marsjanie dla odmiany zbudowali go z materiału oferującego prawie przyzwoite tarcie. Zakotwiczyłem się na półeczce w dole. Zostałem tam przez dobre dziesięć minut, przyciskając policzek do zimnego tworzywa.

Kilkakrotnie wyjrzałem ostrożnie zza słupa, dzięki czemu zobaczyłem w końcu właz, o którym mówiła Odkrywka 301, znajdujący się w zasięgu ręki. Zgiąłem lewe ramię, uzyskałem jakąś reakcję nad łokciem i uznałem, że ta ręka może służyć przynajmniej jako klin we włazie. Z tego miejsca mógłbym prawdopodobnie wciągnąć do góry nogi.

Kolejne dziesięć minut, i byłem gotów spróbować.

Po pełnej napięcia półtorej minuty leżałem na podłodze wieży, rechocząc cicho do siebie. Wsłuchiwałem się w echa obcej architektury, która ocaliła mi życie.

Pestka.

W końcu wstałem i dotarłem do wyjścia.

W domku wywalili wszystkie wewnętrzne drzwi, za którymi ktoś mógłby się schować, a w dzielonej przeze mnie z Sylvie sypialni widać było ślady jakichś zmagania. Rozejrzałem się po domku, masując przy tym ramię. Lekki stolik przy łóżku wywrócony, pościel zrzucana na podłogę. Nigdzie więcej niczego nie tknęli.

Nie było krwi. Żadnych pozostałości zapachu wyładowań broni.

Na podłodze w sypialni znalazłem swój nóż i rapsodię GS. Zrzucone z powierzchni przewróconego stolika poleciały w przeciwne rogi pokoju. Nie zawracali sobie nimi głowy.

Za bardzo się spieszyli.

Za bardzo się spieszyli do czego? Żeby zejść z góry i zabrać martwego Takeshiego Kovacsa?

Zmarszczyłem brwi, podnosząc broń. Dziwne, że nie wywrócili tego miejsca na lewą stronę. Według tego, co mówiła Odkrywka, wysłali kogoś na dół, żeby odnalazł moje ciało, ale i tak brakowało mi kogoś z ekipy. Warto byłoby przynajmniej pobieżnie przeszukać budynki.

Zacząłem się zastanawiać, jakiego rodzaju poszukiwania prowadzą teraz u stóp góry. Co zrobią, kiedy nie znajdą mojego ciała i jak długo będą szukać.

Zastanawiałem się, co on by zrobił.

Wróciłem do głównego pokoju domku i usiadłem na stole. Wbiłem wzrok w głębinę holowyświetlacza. Pomyślałem, że ból w lewym ramieniu chyba lekko osłabł.

- Odkrywka?

Pojawiła się po drugiej stronie stołu. Jak zwykle z maszynową perfekcją, niewzruszona wydarzeniami kilku ostatnich godzin.

- Profesorze Szczęściarz?

- Powiedziałaś, że masz nagrania tego, co się tu działo. Czy obejmują cały obszar odkrywki?

- Tak, projekcja i nagrywanie odbywa się za pomocą tego samego systemu. Mikrokamera przypada na każde osiem metrów sześciennych stanowiska. Wewnątrz kompleksu wieży nagrania mają czasem słabą jak...

- Nieważne. Chcę, żebyś pokazała mi Kovacsa. Nagrania wszystkiego, co tu zrobił i powiedział. Puść w terminalu.

- Wykonuję.

Rapsodię i tebbita ułożyłem ostrożnie na stole przy prawej ręce.

- I Odkrywko? Jeśli jeszcze ktoś pojawi się na ścieżce, powiedz mi natychmiast, gdy znajdzie się w zasięgu czujników.

* * *

Miał dobre ciało.

Przewiłem nagranie, szukając najlepszych ujęć, i znalazłem takie, na którym napastnicy nadchodzili górską ścieżką w stronę domków. Zatrzymałem klatkę i przez chwilę mu się przyglądałem. Miał trochę masy, której należało się spodziewać w powłoce bojowej, ale sposób, w jaki stawiał kroki, i jego postawa kojarzyły się raczej z Teatrem Totalnego Ciała niż walką. Jego twarz o regularnych rysach stanowiła mieszankę większej liczby wariantów rasowych niż zazwyczaj spotyka się na Świecie Harlana. Czyli powłokę hodowano indywidualnie. Kody genetyczne kupiono poza planetą. Skóra miała barwę zblakłego bursztynu, oczy były uderzająco niebieskie. Szerokie, wystające kości policzkowe, duże usta z wydatnymi wargami i długie, pofalowane czarne włosy zebrane z tyłu statyczną kłamrą dawały efektowną całość.

I bardzo kosztowną, nawet jak na yakuzę.

Stłumiłem delikatny szmer niepokoju i kazałem Odkrywce 301 przesunąć obraz po pozostałych napastnikach. Moją uwagę zwróciła kolejna postać. Wysoka i potężna, z tęczową grzywą. Mikrokamery odkrywki dały mi zbliżenie na oczy ze stalowymi soczewkami i obwody skórne w ponurej, bladej twarzy.

Anton.

Anton i przynajmniej paru szczupłych facetów w typie elastyków, idących przed nim górską ścieżką ze swobodną koordynacją lików połączonych siecią operacyjną.

Jedną z nich była kobieta, której stopę odstrzeliłem w wieży. Za dowódcą szło jeszcze dwóch, nie, trzech, zdecydowanie wyróżniając się z reszty towarzystwa.

Na ten widok gdzieś wewnątrz mnie obudziło się delikatne poczucie straty.

Anton i Gang Czaszki.

Kovacs sprowadził z Nowego Hokkaido swoje psy myśliwskie.

Wróciłem myślami do zamieszania, jakie panowało podczas strzelaniny między domkami i w wieży, i nagle nabrało to sensu. Stadko żołnierzy yakuzy i załoga lików weszli sobie nawzajem w drogę. Jak na Emisariusza, logistykę miał fatalną. Nie ma mowy, żebym w jego wieku popełnił taki błąd.

O czym ty mówisz? Właśnie popełniłeś ten błąd w jego wieku. To ty tam jesteś.

Po kręgosłupie przebiegł mi zimny dreszcz.

- Odkrywka, przejdź znów do sypialni. Pokaż, jak wyciągnęli Sylvie.

Holowyświatlacz zamigotał, zmieniając obraz. W skołtunionej pościeli ocknęła się, mrugając, kobieta z cybernetycznymi włosami. Obudził ją huk strzałów na zewnątrz. Szeroko otworzyła oczy, rozpoznając odgłosy broni. Wtedy gwałtownie otworzyły się drzwi i pokój wypełnił się wrzeszczącymi, postawnymi ludźmi z bronią. Kiedy zorientowali się, kogo zastali w pomieszczeniu, krzyki przycichły do chichotów. Schowali broń do kabur i ktoś po nią sięgnął. Walnęła go w twarz. Wywiązała się krótka szarpanina, o której wyniku błyskawicznie przesądziła masa ciała i liczba przeciwników. Napastnicy odrzucili pościel, skutecznie zneutralizowali ciosy w krocze i splot słoneczny. Kiedy wiała się na podłodze, jeden ze szczerzących się zbirów złapał ją za pierś, wsadził rękę między uda i zamarkował pchnięcie. Paru z jego towarzyszy się roześmiało.

Oglądałem to już po raz drugi. I tak gwałtownie wypełniła mnie wściekłość. W moich dłoniach obudziły się kolce.

W drzwiach pojawił się nowy żołnierz, zobaczył, co się dzieje, i wrzasnął wściekle po japońsku. Zbir odskoczył od kobiety na podłodze. Ukłonił się nerwowo i zaczął przeproszać. Nowo przybyły podszedł bliżej i trzy razy spoliczkował tamtego z olbrzymią siłą. Bandzior zatoczył się na ścianę. Przybysz znowu zaczął wrzeszczeć. Pośród jednej z bardziej barwnych obelg, jakie kiedykolwiek słyszałem w japońskim, kazał przynieść ubranie dla schwytanej kobiety.

Do chwili, gdy Kovacs wrócił z polowania na samego siebie, które postanowił osobiście nadzorować, ubrali ją i posadzili na krześle pośrodku głównego pokoju domku. Jej dłonie spoczywały na kolanach, sklezione elegancko w nadgarstkach niewidocznym w tej chwili plastrem. Yakuza stali wokół niej w większej odległości, wciąż trzymając wyciągniętą broń. Niedoszły kochaś stał ponuro w rogu, rozbrojony i ze spuchniętą twarzą, krwawiąc z górnej wargi. Wzrok Kovacsa przesunął się po jego obrażeniach i wrócił na goryla przy boku. Nastąpiła cicha wymiana zdań, niewyłapanaprzez mikrokamery. Kovacs kiwnął głową, znów spojrzał na unieruchomioną kobietę. W jego postawie widać było pełne ciekawości wahanie.

Potem odwrócił się do drzwi domku.

- Anton, mógłbyś tu wejść?

Do pokoju wszedł dowódca Gangu Czaszki. Na jego widok kobieta skrzywiła wargi.

- Ty pieprzony, sprzedajny gnojku...

Anton wydał wargi, ale nic nie powiedział.

- Wydaje mi się, że się znacie. - Ale w głosie Kovacsa brzmiało delikatne pytanie. Wciąż przyglądał się siedzącej kobiecie.

Sylvie przeniosła na niego wzrok.

- Tak, znam tego dupka. I? Ma to jakiś związek z tobą, zasrańcu?

Wbił w nią wzrok, a ja spałem się na krześle. Ten segment oglądałem po raz pierwszy i nie wiedziałem, co robi. Co ja bym zrobił w jego wieku? Nie, pieprzyć to. Co chciałem zrobić w jego wieku? Mój umysł przemknął przez rozcięte dekady przemocy i furii, próbując przewidzieć jego

ruch.

Ale on tylko się uśmiechnął.

- Nie, panno Oshima. To nie ma już nic wspólnego ze mną. Jest pani przesyłką, którą mam dostarczyć w dobrym stanie, to wszystko.

Ktoś coś wymamrotał, ktoś inny parsknął. Moja neurochemia, wciąż podciągnięta na maksimum, wyłapała gruby żart o przesyłkach. Moje młodsze ja w wyświetlaczu znieruchomiało. Jego wzrok przeskoczył na mężczyznę z rozciętą wargą.

- Ty. Chodź tutaj.

Żołnierz nie miał na to najmniejszej ochoty. Świadczyła o tym jego postawa. Ale był yakuza, a u nich wszystko sprowadza się do honoru. Wyprostował się, spojrzął Kovacsowi w oczy i z krzywym uśmiechem ruszył do przodu. Kovacs odpowiedział na jego wzrok neutralnym spojrzeniem i skinął głową.

- Pokaż prawą rękę.

Yakuza przechylił głowę w bok ze wzrokiem wciąż utkwionym w oczach Kovacsa. Trudno o bardziej bezczelną postawę. Wyciągnął dłoń, wyprostował palce. Znowu przechylił głowę, tym razem w drugą stronę. Cały czas patrzył głęboko w oczka swojego pieprzonego *tani*.

Kovacs poruszył się szybko jak szarpnięty liną na trawlerze.

Chwycił wysuniętą rękę przy nadgarstku i wykręcił w dół, blokując ciałem możliwość reakcji mężczyzny. Drugą ręką przesunął błyskawicznym łukiem nad złączonymi ciałami. Błysnęła wiązka blastera.

Żołnierz zaskrzeczał, gdy jego dłoń buchnęła płomieniem. Blaster musiał być mocno skręcony - większość broni energetycznej czysto odcięłaby kończynę, odparowując ją na szerokość wiązki. Ta wypaliła tylko skórę i ciało aż do kości i ścięgien. Kovacs trzymał mężczyznę chwilę dłużej, a potem puścił, uderzając łokciem w bok głowy. Yakuza zwałił się na podłogę ze spaloną dłonią wciśniętą pod pachę i wyraźnie zaplamionymi spodniami. Łkał głośno.

Kovacs opanował oddech i rozejrzał się po pokoju. Odpowiedziały mu kamienne twarze. Sylvie się odwróciła. Prawie czułem smród palonego ciała.

- O ile nie spróbuje uciekać, nie dotkniecie jej i nie będziecie się do niej odzywać. Żaden z was. Czy to jasne? W planie świata znaczący mniej niż brud pod moimi paznokciami. Do czasu, aż wrócimy do Millsport, ta kobieta będzie dla was *bogiem*. Czy to jasne?

Cisza. Kapitan yakuzy warknął coś po japońsku. W odpowiedzi jego ludzie wymamrotali niechętnie potwierdzenie. Kovacs kiwnął głową i zwrócił się do Sylvie.

- Panno Oshima. Zechce pani pójść ze mną.

Patrzyła na niego przez chwilę, potem wstała z krzesła i wyszła za nim z domku. Yakuza podążyli za nimi, zostawiając kapitana i mężczyznę na podłodze. Dowódca przyglądał się przez chwilę rannemu, potem kopnął go brutalnie w żebra, splunął na niego i wyszedł.

Na zewnątrz załadowali trzech zabitych przeze mnie ludzi na składane rusztowanie grawitacyjne. Kapitan yakuzy przydzielił jednego człowieka do kierowania nim, po czym utworzył ochronną falangę wokół Kovacsa i Sylvie. Obok i za rusztowaniem Anton i pozostałych czterech członków Gangu Czaszki zebrali się w luźną straż tylną. Zewnętrzne mikrokamery odkrywki podążyły śladem małej procesji wzdłuż szlaku wiodącego do Tekitomury.

Pięćdziesiąt metrów za nimi, przyciskając do siebie spaloną dłoń, chwiejnie wędrował zhańbiony żołnierz, który ośmielił się dotknąć Sylvie Oshimy.

Przyglądałem się, jak odchodzi, próbując znaleźć w tym sens.

Usiłując dopasować do siebie fakty.

Wciąż się z tym zmagalem, kiedy Odkrywka zapytała, czy skończyłem i czy chcę zobaczyć coś jeszcze. Podziękowałem nieobecnym głosem. W mojej głowie intuicja Emisariusza pracowała na pełnych obrotach.

Podkładała ogień pod przyjęte przeze mnie założenia i paliła je aż do ziemi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kiedy dotarłem do Pięknorostów Kohei dziewięć kropka dwadzieścia sześć, wszystkie światła były zgaszone, ale w budynku pół tuzina stanowisk dalej w prawo okna na górnym poziomie błyszcząły niespokojnie, jakby wewnątrz płonął ogień. Nawet przez spuszczone żaluzje bramy załadunkowej na zewnątrz przebijał się szaleńczy miks neojunku z rytmem rafy, a na zewnątrz stały trzy masywne postacie w ciemnych płaszczach, wydmuchując parę i poklepując się rękami z powodu zimna. Plex Kohei miał mnóstwo miejsca, żeby urządzić duże przyjęcia, ale wyglądało na to, że nie stać go było na mechanicznych strażników przy drzwiach. Będzie łatwiej, niż przypuszczałem.

Oczywiście zakładając, że Plex jest w środku.

Żartujesz? Pogarda w piętnastoletnim głosie Isy z akcentem Millsport, kiedy zadzwoniłem do niej późnym popołudniem. Oczywiście, że tam będzie. Jaki to dzień?

Och... Policzyłem. Piątek?

Właśnie, piątek. A co lokalne yaki robią tam w piątki?

Skąd, u diabła, mam wiedzieć, ha? Inie bądź taką snobką.

Hej, piątek? Halo? Społeczność rybacka? Noc Ebisu?

Robi imprezę.

Zbiera kredyt za tanią podłogę i dobre kontakty take, tym się dzisiaj zajmuje. W jego magazynach kręci się mnóstwo kumpli z rodzin yaków.

Ale pewnie nie wiesz, w którym konkretnie magazynie, co?

Głupie pytanie. Poszukiwania drogi przez fraktalnie rozplanowane ulice dystryktu magazynowego nie należało do moich ulubionych sposobów spędzania wolnego czasu, ale kiedy dotarłem do dzielnicy Pięknorosty Kohei, bez trudu namierzyłem imprezę - muzykę słyszeć było z odległości sześciu ulic w każdą stronę.

Pewnie nie. Isa ziewnęła w słuchawkę. Domyśliłem się, że wcale nie jest śpiąca. Powiedz, Kovacs, mocno tam wkurzyłeś ludzi?

Nie. Czemu?

Cóż, pewnie tak naprawdę nie powinnam ci tego mówić za friko. Ale biorąc pod uwagę naszą przeszłość...

Uśmiechnąłem się krzywo. Nasza wspólna przeszłość sięgała półtora roku wstecz. Pewnie to całkiem sporo, kiedy ma się piętnaście lat.

Tak?

Tak, przewaliło się tu parę grubych ryb. Pytali o ciebie. I oferowali niezłą forszę. Więc jeśli jeszcze tego nie robisz, na twoim miejscu zaczęłabym się oglądać przez ramię tej nowej powłoki o głębokim głosie, którą sobie sprawiłeś.

Zmarszczyłem czoło i zastanowiłem się nad tym.

Jakich grubych ryb?

Gdybym to wiedziała, musiałbyś mi zapłacić. Ale tak się składa, że nie wiem. Rozmawiałam tylko z ludźmi z policji Millsport, a ich można kupić za cenę łodzika na nabrzeżu Angel. Każdy mógł ich wystać.

I pewnie nic im o mnie nie powiedziałaś.

Pewnie nie. Długo jeszcze będziesz ciągnął ten wątek, Kovacs? Nie jestem taka jak ty. Mam życie towarzyskie.

Nie, już znikam. Dzięki za wieści, Isa.

Prychnęła.

Cała przyjemność po stronie mojej cipki. Zostań w jednym kawalku, może będziemy mogli jeszcze pohandlować.

Docisnąłem zapięcie nowego płaszcza, który otulał mnie aż po szyję, rozprostowałem dłonie osłonięte czarnymi rękawiczkami z polistopu - krótkie dźgnięcie bólu w lewej - i zacząłem poruszać się jak gangster z minionej epoki, wychodząc zza zakrętu alei. Myślałem o Yukio Hirayasu przepełnionym młodzieńczą arogancją. Poza faktem, że płaszcz nie był szyty ręcznie - markowy prosto z półki to najlepsze, co mogłem zdobyć, mając tak mało czasu, choć prawdziwy Hirayasu za nic by tego na siebie nie włożył. Ale materiał był matowoczamy, pasował do natryskiwanych rękawiczek i w tym świetle mógł oblecieć. Emisariuszowskie oszustwo załatwi resztę.

Przez chwilę rozważałem, czy nie warto byłoby wtargnąć ostro na imprezę Pleksa. Przebić się przez drzwi albo wspiąć się na dach magazynu i włamać przez jakiś otwór. Ale lewe ramię wciąż stanowiło potężny splot bólu sięgający od palców aż do barku i nie wiedziałem, na ile mogę mu zaufać w tak krytycznej sytuacji.

Goryle przy drzwiach zobaczyli mnie i zebrali się w sobie. Neurochemiczny wzrok skalibrował się na nich z odległości - tanie, portowe mięśniaki, może z elementarnym wspomaganie bojowym, sądząc po sposobie, w jaki się poruszali. Jeden z nich miał na policzku tatuaż taktycznych marines, ale mogła to być podróba, zrobiona w jakimś saloniku z nadmiarowym softem wojskowym. Albo, jak wielu taków, i ten padł po prostu ofiarą ciężkich czasów i demobilizacji. Redukcje. Uniwersalny katechizm współczesnego Świata Harlana. Nic nie liczyło się bardziej od redukcji kosztów, i nawet wojsko nie było do końca bezpieczne.

- Chwilka, koleś.

To ten z tatuażem. Posłałem mu miazdzące spojrzenie. Zatrzymałem się.

- Mam spotkanie z Pleksem Kohei. Nie zamierzam czekać.

- Spotkanie? - Uniósł wzrok i przesunął źrenice w lewo, sprawdzając na siatkówkowym wyświetlaczu listę gości. - Nie dzisiaj. Gość jest zajęty.

Pozwoliłem, by oczy rozwarły mi się szerzej, tworząc iluzję furii, jak to widziałem u kapitana yaków na nagraniach Odkrywki 301.

- Wiesz, kim jestem? - warknąłem.

Wytatuowany bramkarz wzruszył ramionami.

- Wiem, że nie widzę twojej twarzy na tej liście. A tutaj znaczy to, że nie wejdiesz.

Goryle stojący z boku przyglądali mi się z profesjonalnym zainteresowaniem, oceniając, co łatwo zniszczyć. Stłumiłem impuls, by przyjąć postawę bojową. Zamiast tego spojrzałem na nich ze wzgardą. Odpaliłem blef.

- Bardzo dobrze. W takim razie poinformuj swojego pracodawcę, że nie wpuściłeś do niego Yukio Hirayasu i dzięki twojej gorliwości spotka się ze mną jutro rano w obecności sempai Tanasedy nieprzygotowany i pozbawiony wsparcia.

Cała trójka wymieniła spojrzenia - nazwiska i posmak autentycznego znaczenia yakuzy. Ich przywódca się zawahał. Odwróciłem się. Nie zdążyłem się jeszcze wykręcić do końca, kiedy podjął decyzję.

- Dobrze, Hirayasu-san. Proszę chwilę poczekać.

W zorganizowanej przestępczości fantastyczny jest poziom strachu, jaki lubi podtrzymywać wśród swoich sług i związanych z nimi ludzi. Hierarchia zbirów. Ten sam wzór widać na dowolnej z tuzina planet - u triady Hun Home, *familias vigilantes* Adoracion, ekipy Provo na Ziemi Nkrumaha. Regionalne odmiany, ale wszyscy narzucają swoim podwładnym ten sam rodzaj szacunku dzięki terrorowi i karom. I wszyscy zbierają owoce ograniczenia inicjatywy. Nikt nie chce podejmować

niezależnych decyzji, skoro ryzykuje tym samym, że zostanie to uznane za przejaw braku szacunku. Takie rzeczy mogą doprowadzić do prawdziwej śmierci.

Zdecydowanie lepiej odwołać się do hierarchii. Bramkarz wyciągnął z kieszeni telefon i wystukał numer do szefa.

- Halo, Plex, mamy...

Przez chwilę słuchał z kamienną twarzą. Z jego telefonu dobiegały gniewne, owadzie dźwięki. Nie potrzebowałem neurochemii, by domyślić się ich treści.

- Och, tak, wiem, że to powiedziałaś. Ale czeka tu Yukio Hirayasu, który chce z tobą porozmawiać i...

Kolejna przerwa, ale tym razem goryl zdawał się bardziej zadowolony. Kilka razy kiwnął głową, opisał mnie i powtórzył moje słowa. Słyszałem rozterkę Pleksa na drugim końcu linii. Dałem mu kilka chwil, po czym strzeliłem niecierpliwie palcami i wskazałem na telefon. Mięśniak ustąpił i podał mi go. Wygrzebałem z pamięci styl mowy Hirayasu i uzupełniłem braki standardowymi idiomami gangsterów z Millsport.

- Plex. - Ponura irytacja.

- Hmm... Yukio? To naprawdę ty?

Warknąłem niczym Hirayasu.

- Nie, jestem pieprzonym *dilerem prochów*. A jak myślisz? Mamy do obgadania poważny interes, Plex. Wiesz, jak wielką mam ochotę, żeby zabrać twoich ochroniarzy na małą przejażdżkę o świcie? Nie będziesz mnie, do cholery, trzymał przed drzwiami.

- Dobrze, Yukio, dobrze. Luz. No wiesz, stary, myśleliśmy, że *przepadłeś*.

- Tak, trudno. Pieprzone plotki. Wróciłem. Ale Tanaseda pewnie ci tego nie powiedział, co?

- Tana... - Plex przełknął głośno ślinę. - Tanaseda jest tutaj?

- Olać Tanasedę. Myślę, że zostało nam jakieś cztery czy pięć godzin, zanim zwali się tu policja.

- Gdzie?

- *Gdzie?* - Znow warknąłem. - A jak, u diabła, myślisz?

Przez chwilę słyszałem jego oddech. Kobięcy głos w tle, stłumiony. Coś napłynęło do mojej krwi, przygasło. To nie była Sylvie ani Nadia. Plex warknął coś do niej ostro, kimkolwiek była, i wrócił do telefonu.

- Myślałem, że oni...

- *Zamierzasz mnie tam wpuścić czy nie?*

Przynęta chwyciła. Plex poprosił o przekazanie telefonu goryłowi i po paru monosylabach mężczyzna otworzył wąskie drzwi wycięte w metalowych żaluzjach. Przeszedł przez nie i gestem zaprosił mnie do środka.

Wewnątrz klub Pleksa wyglądał mniej więcej tak, jak się spodziewałem. Tanie echa sceny *take* z Millsport - przejrzyste płyty tworzywa w charakterze ścian, nad tańczącym tłumem odzianym w niewiele ponad farbę do ciał i cienie wyświetlane hologramy rodem z grzybowych odlotów. Muzyka zalewała przestrzeń z olbrzymią siłą, przepychała się przez uszy i sprawiała, że przejrzyste panele na ścianach dygotały widocznie w jej rytmie. Czułem, jak dźwięki wibrują w pustych przestrzeniach w ciele. Nad tłumem w powietrzu wyginało swoje idealnie ubarwione ciała kilka tancerek Totalnego Ciała; sądząc po sposobie, w jakim przeciągały dłońmi po ciałach, udawały orgazm. Ale wystarczyło się lepiej przyjrzeć, by odkryć, że w powietrzu utrzymywały je linki, nie anty grawitacja, psychodeliczne hologramy zaś były nagraniami, a nie bezpośrednimi stosowymi próbkami wyświetlanymi w klubach *take* Millsport. Przypuszczam, że na Isie nie zrobiłoby to wielkiego wrażenia.

Z poobijanych plastikowych krzesełek pod ścianą podniosło się niechętnie dwóch ochroniarzy. Ponieważ klub nabity był do granic możliwości, wyraźnie nie spodziewali się już więcej gości. Spojrzeli na mnie ponuro i wyciągnęli wykrywacze sprzętu. Dzięki przezroczystym ścianom za nimi, część tancerzy dostrzegła ten gest i powtórzyła go z szerokimi, naćpanymi uśmiechami. Moja eskorta usadziła ich z ukłonem. Przepchnęliśmy się dalej, obchodząc panel, wprost w gęstwą tancerzy. Temperatura podskoczyła do ciepłoty krwi. Muzyka zrobiła się jeszcze głośniejsza.

Przecisnęliśmy się przez gęsto upakowany parkiet. Parę razy musiałem ostro napierać, żeby przejść, ale jedyną reakcją były uśmiechy, przepraszające lub pozbawione wyrazu. Gdziekolwiek się pójdzie na Świecie Harlana, imprezy *take* są dość ugrzecznione - staranna selekcja przeniosła najbardziej popularne obciążenia do euforycznej części psychotropowego spektrum i najgorsze, czego można się spodziewać od ludzi pod wpływem prochów, to wyściskanie i obślinienie przy akompaniamencie wyznań miłości. Istnieją gorsze halucynogeny, ale zasadniczo nie stosuje ich nikt poza wojskiem.

Garść pieszczot i setkę niebezpiecznie szerokich uśmiechów później dotarliśmy do podstawy metalowej rampy prowadzącej w górę, gdzie na rusztowaniu umieszczono dwa kontenery portowe, wyłożone panelami z lustrodrzewu. Od ich pobrużdżonej i porysowanej powierzchni odbijało się światło hologramów. Moja eskorta doprowadziła mnie do kontenera po lewej stronie, przyłożyła dłoń do płytki dzwonka i otworzyła niewidoczne wcześniej lustrzane drzwi. Naprawdę otworzyła, jak właz prowadzący na ulicę. Wyglądało na to, że nie mają tu zginających się materiałów. Goryl stanął z boku, przepuszczając mnie.

Wszedłem i oceniłem wnętrze. Na pierwszym planie zaczerwieniony Plex, ubrany do pasa, z trudem wciągał na siebie paskudnie psychodeliczną, jedwabną bluzę. Za nim dwie kobiety i mężczyzna leżeli na masywnym łożu z samodopasowującego się materiału. Byli bardzo młodzi i piękni, na ich twarzach rysowały się jednakowe, puste uśmiechy, a ciała okrywały tylko kolorowe plamy farb. Nietrudno było dojść, skąd Plex ich wziął. Wzdłuż tylnej ściany kontenera zamontowano monitory wyświetlające obraz z mikrokamer krążących po klubie. Przewalał się w nich obraz nieustannie poruszającej się masy ludzkiej. Przez ściany przenikał rytm muzyki, przytłumiony, ale wciąż rozpoznawalny na tyle, by do niego tańczyć. Albo robić coś innego.

- Hej, Yukio, stary. Niech ci się przyjrzę. - Plex ruszył ku mnie, unosząc ręce. Uśmiechnął się niepewnie. - Niezła powłoka, stary. Gdzie ją dostałeś? Indywidualna hodowla?

Kiwnąłem głową na pozostałych.

- Wywal ich.

- O, jasne. - Odwrócił się do łóżka i klasnął w dłonie. - Chodźcie, chłopcy i dziewczęta. Koniec zabawy. Muszę pogadać z kumplem o interesach.

Wyszli niechętnie, jak małe dzieci, które wygoniono spać. Jedna z kobiet, przechodząc, próbowała dotknąć mojej twarzy. Odsunąłem się z irytacją, a ona się skrzywiła. Ochroniarz przyglądał się, jak wychodzą, po czym rzucił pytające spojrzenie na Pleksa. Ten zerknął w moją stronę.

- Tak, on też - zdecydowałem.

Ochroniarz wyszedł, zamykając drzwi i tłumiąc nieco grzmot muzyki. Obejrzałem się na Pleksa, który szedł w stronę niskiego zestawu gościnnego ustawionego pod boczną ścianą. W jego ruchach odbijała się interesująca mieszanka ospałości i zaniepokojenia, wynikała z walczących we krwi *take* i sytuacyjnych dreszczy. Sięgnął w blask górnej półki modułu, grzebiąc niezdarnymi dłońmi pośród wyszukanych kryształowych fiolek i delikatnych papierowych paczuszek.

- Hmm... chcesz fajkę?

- Plex. - Postanowiłem wygrać blef do końca. - Co się tu, *do diabła*, dzieje?

Drgnął. Zająknął się.

- Ja... och... myślałem, że Tanaseda...

- *Pieprzyć to*, Plex. Mów do mnie.

- Słuchaj, stary, to nie moja wina. - Jego głos nabrał żalosnych tonów. - Przecież od samego początku mówiłem wam, że ona jest powalona. Wszystkie te jej bzdury o *kaikyo*... Żaden z was nie słuchał? *Znam* się na biotechu, stary, i wiem, kiedy jest spieprzony. A ta kablogłowa suka była spieprzona.

A więc jednak.

Wróciłem myślą dwa miesiące wstecz, do pierwszej nocy przed magazynem. Upowłokowiony w syntetyk, z dłońmi poplamionymi krwią kapłanów i z raną od blastera na żebrach, podśluchiwałem Pleksa i Yukio. *Kaikyo* - cieśnina, paser, konsultant finansowy, wylot ścieków. I święty człowiek opętany przez duchy. Albo kobieta, opętana przez ducha rewolucji sprzed trzystu lat. Sylvie nosząca w sobie Nadię. Nosząca w sobie Quell.

- Gdzie ją zabrali? - spytałem cicho.

Nie był to już ton Yukio, ale i tak niewiele więcej bym osiągnął, gdybym dalej się pod niego podszywał. Nie wiedziałem dość, by podtrzymać kłamstwo wobec Pleksa, który znał go od wielu lat.

- Pewnie do Millsport. - Nabijał sobie fajkę, może żeby zrównoważyć rozmycie *take*. - Wiesz, Yukio, czy Tanaseda naprawdę nie...

- Gdzie w Millsport?

Wtedy do niego dotarło. Zobaczyłem, jak przenika przez niego zrozumienie. Sięgnął pod górną półkę modułu. Może miał gdzieś w tym bladym, arystokratycznym ciele neurochemiczne okablowanie, ale dla niego była to tylko dodatkowa opcja, nic więcej. A chemikalia zwolniły go do tego stopnia, że próba była żalosna.

Pozwoliłem mu zacisnąć dłoń na broni i wyciągnąć ją w pół drogi z szafki, pod którą ją zamocowano. Potem kopnąłem go w rękę, uderzeniem rzuciłem w stronę łóżka i rozwaliłem nogą półkę. Pękła, roztrzaskały się eleganckie flakoniki, rozsypały paczuszki. Pistolet wylądował na podłodze. Wyglądał na kompaktowy blaster odłamkowy, starszego brata schowanej pod moim płaszczem rapsodii GS. Podniosłem go i odwróciłem na czas, by złapać Pleksa, który właśnie sięgał do jakiegoś alarmu na ścianie.

- Nie.

Znieruchomiał, jak zahipnotyzowany wpatrując się w broń.

- Siadaj. Tam.

Opadł na łóżko, trzymając się za rękę w miejscu, gdzie go kopnąłem. Z brutalnością, która prawie natychmiast mnie zmęczyła, pomyślałem, że dopisało mu szczęście, bo nie pękły kości.

Cholera, zaraz podpalę tę budę.

- Kim... - Przełknął ślinę. - Kim jesteś? Bo nie Hirayasu.

Przyłożyłem do twarzy otwartą dłoń i zamarkowałem gest ściągania maski noh. Lekko się ukloniłem.

- Doskonale. Nie jestem Yukio. Choć mam go w kieszeni.

Zmarszczył czoło.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

Sięgnąłem do płaszcza i wyciągnąłem przypadkowy stos korowy. Okazało się, że nie był to indywidualnie projektowany, żółto oznaczony stos Hirayasu, ale sądząc po wyrazie twarzy Pleksa, to wystarczyło.

- Cholera. Kovacs?

- Trafiony. - Schowałem stos. - Oryginał. Nie gódź się na podróbki. No dobrze, a teraz jeśli nie chcesz podzielić kieszeni z kumplem z dzieciństwa, lepiej odpowiedz na moje pytania tak, jak wtedy kiedy brałeś mnie za niego.

- Ale ty... - Potrząsnął głową. - Nie ujdzie ci to na sucho, Kovacs. Oni mają... Wynajęli *ciebie*, żeby cię znalazł.

- Wiem. Muszą być zdesperowani, nie?

- To nie jest śmieszne, stary. To pieprzony świr. Wciąż liczą trupy, które zostawił w Dravie. Są naprawdę martwi. Stosy przepadły.

Poczułem krótką falę szoku, ale natychmiast ją stłumiłem. Za nią postępował ponury chłód, który opanował mnie na widok Antona i Gangu Czaszki na nagraniach Odkrywki 301. Kovacs udał się na Nowe Hokkaido i odwalił kawał dobrej roboty, jak przystało na Emisariusza. Sprowadził sobie to, czego potrzebował. Ergo. Czego nie mógł wykorzystać, zamienił w dymiące ruiny.

- Więc kogo zabił, Plex?

- Ja... Ja nie wiem, człowieku. - Oblizął wargi. - Mnóstwo ludzi. Całą jej załogę, wszystkich ludzi, których ona...

Urwał. Kiwnąłem głową, zaciskając mocno usta. Poczułem ukłucie żalu za Jad, Kiyoką i pozostałymi, odrzuconymi i zakopanymi tak, by nie wchodzili w drogę.

- Tak. Właśnie, ona. Następne pytanie.

- Słuchaj, człowieku, nie mogę ci pomóc. Nie powinieneś nawet...

Niecierpliwie przesunąłem się w jego stronę, emanując wściekłością.

Znow drgnął, tym razem mocniej niż wtedy, kiedy brał mnie za Yukio.

- Dobrze, dobrze. Powiem ci. Tylko zostaw mnie w spokoju. Co chcesz wiedzieć?

Bierz się do pracy. Zapamiętaj to.

- Przede wszystkim, chcę usłyszeć wszystko, co wiesz, albo wydaje ci się, że wiesz, o Sylvie Oshimie.

Westchnął.

- Człowieku. Mówiłem, żebyś się nie angażował. Jeszcze w tamtym barze. Ostrzegałem cię.

- Tak, wygląda na to, że pomagał ci w tym Yukio. Bardzo szlachetne z twojej strony, że tak dbasz o wszystkich. Czemu tak bardzo cię przeraża, Plex?

- Nie wiesz?

- Powiedzmy, że nie. - Uniosłem dłoń w geście, który miał świadczyć o tym, że z trudem panuję nad sobą. - I powiedzmy, że jeśli spróbujesz mnie okłamać, upalę ci głowę przy samym tyłku.

Przełknął głośno ślinę.

- Ona... ona twierdzi, że jest Quellcristą Falconer.

- Tak - kiwnąłem głową. - A jest nią?

- Cholera, człowieku, skąd mam wiedzieć?

- Twoim profesjonalnym zdaniem, może nią być?

- Nie wiem. - Brzmiał prawie płaczliwie. - Czego ode mnie chcesz? Pojechałeś z nią na Nowe Hokkaido i wiesz, jak tam jest. Przypuszczam, tak, przypuszczam, że *może* nią być. Prawdopodobnie Sylvie trafiła na magazyn skopiowanych osobowości. W jakiś sposób się skaziła.

- Ale ty tego nie kupujesz?

- Jej wersja wydaje się mało prawdopodobna. Przecież magazynu osobowości nie zaprogramowano by na atak wirusowy. To nie ma sensu, nawet jak na bandę porąbanych quellistów. Po co? A już najmniej w przypadku kopii ich bezcennej rewolucyjnej ikony.

- Dobrze - powiedziałem bezbarwnie. - Czyli nie jesteś fanem quellizmu, co?

Pierwszy raz od kiedy go znałem, Plex opuścił swoją tarczę urażonej nieśmiałości. Wydobył z siebie stłumione prychnięcie - ktoś o gorszych manierach pewnie by splunął.

- Rozejrzyj się, Kovacs. Myślisz, że żyłbym w takich warunkach, gdyby Niepokoje nie zniszczyły handlu rostami z Nowym Hokkaido? Jak sądzisz, komu powinienem za to dziękować?

- To złożone pytanie historyczne...

- Jak diabli.

- ...i nie mam kwalifikacji, by na nie odpowiedzieć. Ale rozumiem, czemu cię to wkurza. Pewnie z trudem wyciągnąłeś towarzystwo do łóżka z tej tancbudy drugiej kategorii, jaką prowadzisz tam na dole. Nie masz za co kupić ubrań wymaganych w kręgach Pierwszych Rodzin. Żal mi cię.

- Cha, pieprzone cha.

Poczułem, jak moja twarz sztywnieje. On najwyraźniej też to zobaczył i nagła złość w prawie widoczny sposób go opuściła. Mówiłem, by przewyciężyć chęć uderzenia go, zadania mu bólu.

- Ja dorastałem w slumsach Newpest, Plex. Moja matka i ojciec pracowali w młynach pięknorostów, jak wszyscy. Czasowe kontrakty, dzienne stawki, żadnych osłon. Bywały czasy, że mieliśmy szczęście, jedząc dwa razy dziennie. I nie było pieprzonego załamania handlu, tylko normalne interesy. Sukinsyny takie jak ty i twoja rodzina na tym właśnie się wzbogaciły. - Wciągnąłem powietrze i wróciłem do ironii. - Będiesz więc musiał wybaczyć mi mój brak sympatii dla tragicznie zeszyłych arystokratycznych przodków, bo nigdy nie miałem go w nadmiarze. W porządku?

Zwilżył wargi i kiwnął głową.

- Dobra, dobra, stary, luz.

- Tak. - Też skinąłem głową. - Dobra. Powiedziałeś, że nie ma powodu, by magazynowa kopia Quell miała kogoś atakować wirusowe

- Tak, zgadza się. - Z najwyższym wysiłkiem usiłował wrócić na bezpieczny teren. - Zresztą, słuchaj, ta Oshima po same uszy napakowana jest różnymi buforami, które powinny powstrzymać wirusy. To paskudztwo likwidatorów stanowi sprzęt najwyższej klasy.

- Tak, czyli wracamy do początku. Skoro nie jest Quell, to czemu tak się jej boisz?

Zamrugnął.

- Czemu ja...? Cholera, człowieku, bo niezależnie od tego, czy jest Quell czy nie, ona tak *myśli*. To poważna psychoza. Dałbyś psychotykowi takiego rodzaju oprogramowanie?

Wzruszyłem ramionami.

- Z tego co widziałem na Nowym Hokkaido, połowa lików kwalifikuje się do tej samej diagnozy. To idealne zajęcie dla świrów.

- Tak, ale wątpię, by wielu z nich uważało się za reinkarnację rewolucyjnego przywódcy martwego od trzech wieków. Wątpię, by potrafili cytować...

Urwał. Spojrzałem na niego.

- Co cytować?

- Różne kawałki. No wiesz... - Nerwowo odwrócił wzrok. - Stare teksty z wojny, z Niepokojów. Musiałeś słyszeć, jak czasami mówi, i ten jej japoński z epoki, którym chwilami wybucha.

- Tak, słyszałem. Ale nie to zamierzałeś powiedzieć, Plex. Prawda?

Spróbował wstać z łóżka. Postąpiłem bliżej, więc znieruchomiał. Spojrzałem na niego z góry z takim samym wyrazem twarzy, jaki miałem, mówiąc o rodzinie. Nie musiałem nawet unosić pistoletu.

- Co cytować?

- Człowieku, Tanaseda...

- Tanasedy tu nie ma. Ja jestem. Co cytować?

Załamał się. Słabo machnął ręką.

- Nie wiem nawet, czy rozumiałbyś, o czym mówię. - Spróbuj.

- Cóż, to skomplikowane.

- Nie, to proste. Pozwól, że ci pomogę. Tej nocy, kiedy przyszedłem odebrać swoją powłokę, rozmawiałeś o niej z Yukio. Przypuszczam, że robiliście z nią jakieś interesy, poza tym spotkałeś ją w tamtej portowej knajpie, do której zabrałeś mnie na śniadanie, prawda?

Niechętnie skinął głową.

- Dobra. Jedyne, czego nie potrafię zrozumieć, to czemu byłeś tak zaskoczony, kiedy znów ją tam zobaczyłeś.

- Nie myślałem, że wróci - wymamrotał.

Przypomniałem sobie, jak pierwszy raz dostrzegłem ją tamtej nocy, nieobecny wyraz jej twarzy, kiedy przyglądała się sobie w barze z lustrodrzewu. Pamięć Emisariusza wygrzebała strzępek rozmowy z apartamentu Kompcho, która odbyła się później. Orr, mówiąc o wygłupach Lazła:

...wciąż poluje na tę cycatą laskę od broni, tak?

I Sylvie:

Którą?

No wiesz. Tamsin, Tamita, jakoś tak. Ta z baru na Muko. Skumali się tuż przed tym, jak się urwałaś. Chryste, przecież byłaś tam, Sylvie. Nie sądziłem, że ktokolwiek zdołałby zapomnieć taki zestaw.

I Jad:

Nie jest wyposażona do rejestrowania tego rodzaju sprzętu.

Zadygotałem. Tak, nie jest wyposażona. Nie może zapamiętać niczego, snując się po Tekitomurze nocą, rozdarta między Sylvie Oshimę i Nadię Makitę alias pieprzoną Quellcrisnę Falconer. Nie potrafi robić nic więcej, jak tylko kierować się strzępkami snów i wspomnień. I przez to wylądowała w luźno pamiętanym barze, w którym kiedy właśnie zaczynała zbierać się do kupy, jakaś banda twardogłowych brodatych drani z licencją na zabijanie ód Boga przyszła skuć jej gębę, by okazać swoją wyższość.

Przypomniałem sobie Yukio, który następnego ranka wpadł do apartamentu w Kompcho. Furię na jego twarzy.

Kovacs, co ty tu, do jasnej cholery, robisz?

I jego słowa do Sylvie, kiedy ją zobaczył.

Wiesz, kim jestem.

Nie zamierzał podkreślać swoich powiązań z yakuzą Myślał, że go zna.

I bezbarwna odpowiedź Sylvie.

Nie wiem, Mm, do cholery, jesteś. Bo faktycznie wtedy nie wiedziała. Emisariuszowska pamięć zamroziła dla mnie klatkę wspomnień, na której widać wyraz niedowierzania na twarzy Yukio. Nie chodziło o urażoną próżność. Był szczerze zdumiony.

W ciągu tych paru sekund konfrontacji, w spalonym cieple i rozlanej krwi jej efektów, nie przyszło mi do głowy pomyśleć, czemu był tak zły. Jego złość czuło się wszędzie, przepelniała powietrze. Nieodstępny towarzysz ostatnich dwóch lat i więcej, wściekłość we mnie i odbicie jej w otaczających mnie ludziach. Nie kwestionowałem jej już, „była codziennością. Yukio rozzłościł się, bo tak. Bo był dupkiem z pretensjami do statusu swojego ojca, tak jak pozostali, a ja poniżyłem go wobec Pleksa i Tanasedy. Ponieważ był durniem jak pozostali i ponieważ, prawdę mówiąc,

wściekłość była u mnie ustawieniem domyślnym.

Albo:

Ponieważ wlałeś właśnie w sam środek skomplikowanej umowy z niestabilną kobietą o głowie pełnej najwyższej klasy oprogramowania bojowego i bezpośrednim połączeniem do...

Co?

- Co sprzedawała, Plex?

Wypuścił powietrze. Wyglądał teraz, jakby zapadł się w sobie.

- Nie wiem, Tak. Naprawdę nie wiem. Jakiś rodzaj broni, coś z czasów Niepokojów. Nazywała to Protokołem Qualgristy. Jakieś biologiczne gówno. Odsunęli mnie od tego, jak tylko ją z nimi skontaktowałem. Kiedy tylko potwierdziłem, że wstępne dane się zgadzają. - Znow odwrócił wzrok, tym razem już nie nerwowo. W jego głosie zabrzmiała gorycz. - Powiedzieli, że to zbyt ważne jak dla mnie. Nie mogli ufać, że nie puszczę pary. Sprowadzili specjalistów z Millsport. Pieprzony Yukio przyjechał razem z nimi. Odcięli mnie. - Ale byłeś tam. Widziałeś ją tamtej nocy.

- Tak, dawała im coś na wyczyszczonych chipach lików. Kawałek po kawałku, wiesz, nie ufała nam. - Niepewnie parsknął śmiechem. - Nie bardziej niż my jej. Miałem za każdym razem być przy tym i sprawdzać kody wstępne. Upewnić się, że to prawdziwe antyki. Wszystko, co zatwierdziłem, brał Yukio i przekazywał swojej cholernej ekipie. Nigdy nic z tego nie zobaczyłem. A wiesz, kto ją znalazł? Ja. Przyszła najpierw do mnie. A mam z tego tylko to, że spuścili mnie po drucie ze znalezonym.

- Jak do ciebie trafiła?

Wzruszył ramionami.

- Zwykłymi kanałami. Ponoć od tygodni rozpytywała po Tekitomurze, szukając kogoś, kto pchnąłby dalej jej towar.

- Ale nie powiedziała ci, co to takiego?

Rozmazał smętnie palcem plamę farby do ciała na pościeli. - Nie.

- Daj spokój, Plex. Zrobiła na tobie dostatecznie duże wrażenie, żebyś wezwał swoich kumpli z yakuzy, ale nie pokazała ci, co takiego ma?

- Chciała rozmawiać z pieprzonymi yakami, nie ze mną. Zmarszczyłem brwi.

- Ona tego chciała?

- Tak. Powiedziała, że będą zainteresowani, że to coś, co wykorzystają.

- Och, to *bsdury*, Plex. Czemu yakuza miałaby być zainteresowana bronią biologiczną sprzed trzystu lat. Nie prowadzą wojny.

- Może myślała, że sprzedadzą to za nią wojsku. Za procent.

- Ale tak nie powiedziała. Sam przed chwilą stwierdziłeś, że oferowała coś, co mogliby wykorzystać.

Wbił we mnie wzrok.

- Tak. Może. Nie wiem. Nie jestem okablowany na tego rodzaju emisariuszowską pamięć absolutną jak ty. Nie pamiętam, co dokładnie powiedziała. I wcale mnie to, cholera, nie obchodzi. Nie ma to już nic wspólnego ze mną.

Odsunąłem się od niego. Oparłem się o ścianę kontenera i spojrzałem na blaster. Kątem oka widziałem, że Plex nie rusza się ze swojego miejsca na łóżku. Westchnąłem i poczułem się tak, jakby jakiś ciężar na chwilę opuścił moje płuca, a potem zaraz do nich wrócił.

- Dobra, Plex. Jeszcze tylko parę łatwych pytań i zostawiam cię w spokoju. Ta moja nowa wersja, którą ściągnęli. Polował na Oshimę, nie na mnie, tak?

CMoknął, co ledwie wychwyciłem przez dobiegającą z zewnątrz muzykę.

- Szukał was obojga. Tanaseda chce twojej głowy na talerzu za to, co zrobiłeś Yukio, ale nie jesteś daniem głównym.

Ponuro kiwnąłem głową. Przez chwilę myślałem, że Sylvie wygadała się wczoraj w Tekitomurze. Rozmawiała z niewłaściwą osobą, dała się złapać w kamerę podglądu, zrobiła coś, co ściągnęło na nas pościg niczym anielski ogień. Ale nie o to chodziło. Było prościej i gorzej - namierzyli nas przez to, że grzebałem w archiwum w poszukiwaniu informacji o Quellcrście Falconer. Pewnie odkąd to się zaczęło, monitorowali globalnie przepływ danych.

A ty wszedłeś w sam środek tego bajzlu. Nieźle.

Skrzywiłem się.

- I to Tanaseda tym kieruje?

Plex się zawahał.

- Nie? Więc w takim razie kto pociąga za sznurki?

- Ja nie...

- Nie próbuj mnie spuszczać, Plex.

- Słuchaj, naprawdę nie wiem. Nie wiem. Ale to ktoś wyżej. Tyle wiem. Z tego co słyszałem, to ktoś z Pierwszych Rodziny, mistrzyni szpiegów z Millsport.

Poczułem falę ulgi. Czyli nie yakuza. Dobrze wiedzieć, że moja wartość rynkowa nie spadła *aż tak* nisko.

- Ta mistrzyni ma jakieś imię?

- Ma. - Nagle wstał i podszedł do półki. Spojrzał na jej zawartość. - Nazywa się Aiura. Podobno twarda sztuka.

- Nie spotkałeś jej?

Pogrzebał w pozostawionych przeze mnie resztkach i znalazł nieuszkodzoną fajkę.

- Nie. Ostatnio nie widuję nawet Tanasedy. Nie ma mowy, by dopuścili mnie do Pierwszych Rodzin. Ale o Aiurze krąży mnóstwo plotek. Ma dobrą reputację.

- Tak - prychnąłem. - Wszyscy ją mają.

- Mówię poważnie, Tak. - Zapalił fajkę i spojrzał na mnie z wyrzutem przez dym. - Próbuję ci pomóc. Pamiętasz kiedy mniej więcej sześćdziesiąt lat temu Mitzi Harlan wylądowała w filmie pornograficznym z Kossutha?

- Mniej więcej. - Byłem wtedy zajęty. Kradłem biosprzęt i pozaplanetarne dane w towarzystwie Virginii Viadury i Małych Niebieskich Robaczków. Wysoce dochodowa przestępczość zamaskowana pobudkami politycznymi. Oglądaliśmy wiadomości, wypatrując informacji o pościgu policji. Nie mieliśmy czasu, by przejmować się nieustannymi skandalami i występkami arystokratycznej elity Świata Harlana.

- Tak, cóż. Mówi się, że ta Aiura kierowała ograniczaniem strat i sprzątaniami dla rodziny Harlana. Wyjątkowo brutalnie zamknęła studio i wylapała wszystkich, którzy byli w to zamieszani. Słyszałem, że większość z nich załapała się na lot. Zabrała ich w nocy na Grań Rila, przywiązała do plecaków grawitacyjnych i po prostu wcisnęła klawisze.

- Bardzo eleganckie rozwiązanie.

Plex wciągnął pełne płuca dymu i machnął ręką. Jego głos zabrzmiał piskliwie.

- Najwyraźniej taka właśnie jest. Wiesz, stara szkoła.

- Masz pomysł, skąd wygrzebali moją kopię?

Potrząsnął głową.

- Nie, ale przypuszczam, że z przechowalni wojskowej Protektoratu. Jest młody, znacznie młodszy od ciebie.

- Spotkałeś go?

- Tak, ściągnęli mnie na rozmowę w zeszłym miesiącu, kiedy dotarł tu z Millsport. Sporo można o kimś powiedzieć po sposobie, w jaki się wyraża. Wciąż mówi o sobie „Emisariusz”.

Znów się skrzywiłem.

- Ma też w sobie energię, sprawia wrażenie, jakby nie mógł się doczekać, żeby wszystko pozafatwiać. Jest pewny siebie, niczego się nie boi, nic nie stanowi dla niego problemu. Ze wszystkiego się śmieje...

- Tak, dobra. Jest młody. Rozumiem. Powiedział coś o mnie?

- Właściwie nie, głównie zadawał pytania i słuchał. Tylko... - Plex znów pociągnął z fajki. - Odniosłem wrażenie, że jest, nie wiem, rozczarowany tym, czym się obecnie zajmujesz.

Poczułem, że mrużę oczy.

- Powiedział to?

- Nie, nie. - Plex pomachał fajką, wydychając dym z nosa i ust. - Po prostu takie odniosłem wrażenie, to wszystko.

Kiwnąłem głową.

- Dobra, ostatnie pytanie. Powiedziałeś, że zabrał ją do Millsport. Gdzie?

Kolejna pauza. Rzuciłem mu zaniepokojone spojrzenie.

- Daj spokój, co masz teraz do stracenia? Gdzie ją zabrali?

- To ty daj spokój, Tak. Znowu zaczynasz zachowywać się tak, jak w tamtym barze. Mieszasz się w coś, co nie...

- Już jestem w to zamieszany, Plex. Tanaseda się o to zatroszczył.

- Nie, słuchaj. Tanaseda pójdzie na układ. Człowieku, masz stos Yukio. Możesz przehandlować go za bezpieczny powrót. Zrobi to, *znam* go. On i Hirayasu senior przyjaźnią się przynajmniej od stulecia. To *sem-pai* Yukio, praktycznie jego adoptowany wuj. Zgodzi się na układ.

- A myślisz, że ta Aiura go poprze?

- Jasne, czemu nie. - Plex machnął fajką. - Dostała to, czego chce. Póki będziesz się trzymał z dala od...

- Plex, zastanów się. Jestem podwójnie upowłokowiony. To zbrodnia NZ, wszystkim w to zamieszany grożą poważne kary. Nie wspominając już o takim drobiazgu, jak przechowywanie kopii aktywnego Emisariusza. Jeśli Protektorat kiedyś się o tym dowie, Aiura, mistrzyni szpiegów, trafi do przechowalni, i nie pomogą jej powiązania z Pierwszymi Rodzinami. Zanim ją wypuszczą, słońce zmieni się w pieprzonego czerwonego karła.

Plex prychnął.

- Tak myślisz? Naprawdę sądzisz, że NZ przyjdzie tu i zaryzykuje zaangażowanie w sprawę lokalnej oligarchii z powodu jednego podwójnego upowłokowienia?

- Jeśli dostatecznie się to nagłośni, tak. Będą musieli. Nie mogą sobie pozwolić na inną reakcję. Wierz mi, Plex, wiem, kiedyś tym zarabiałem na życie. Cały system Protektoratu trzyma się kupy dzięki założeniu, że nikt nie odważy się wyjść przed szereg. Jak tylko ktoś tego spróbuje i ujdzie mu to na sucho, niezależnie od tego jak drobne będzie pierwotne naruszenie zasad, pojawi się pierwsze pęknięcie w tamie. Jeśli rozpowszechni się wiedza o tym, co tu zaszło, Protektorat będzie musiał zażądać stosu korowego Aiury. A jeśli Pierwsze Rodziny nie zechcą się podporządkować, NZ wyśle Emisariuszy, bo odmowa wykonania rozkazu ze strony lokalnej oligarchii może być odczytana tylko w jeden sposób, jako bunt. A bunty się tłumi, niezależnie od miejsca wybuchu i kosztów, i to natychmiast.

Przyglądałem się mu, patrzyłem, jak ta świadomość zapada w niego tak jak we mnie, kiedy

pierwszy raz usłyszałem wiadomość w Dravie.

Zrozumiał, co się wtedy działo, dlaczego podjęto takie kroki i do jakich następstw to doprowadziło. Pojął, że w obecnej sytuacji nie było innego wyjścia: musiał umrzeć niejaki Takeshi Kovacs.

- Ta Aiura - powiedziałem cicho - zapędziła cię w kozi róg. Z chęcią dowiedziałbym się, dlaczego to zrobiła i co było warte aż takiego ryzyka. Ale w sumie nie ma to znaczenia. Jeden z nas musi zginąć, on lub ja, a najprostszy sposób, by do tego doprowadzić, to nieustannie wysyłać go za mną, aż jeden z nas zabije drugiego.

Spojrzał na mnie ze źrenicami rozszerzonymi mieszkanką tytoniu i grzybów, trzymając dymiącą fajkę w dłoni. Jakby to wszystko stanowiło zbyt wiele na jeden raz. Jakbym był częścią halucynacji *take*, która odmawiała przekształcenia się w coś przyjemniejszego i uparcie nie chciała odejść.

Potrząsnąłem głową. Spróbowałem wyrzucić z pamięci Ślizgaczy Sylvie.

- Więc, jak powiedziałem, Plex, muszę wiedzieć. *Naprawdę* muszę wiedzieć. Oshima, Aiura i Kovacs. Gdzie znajdę tych ludzi?

Potrząsnął głową.

- Nic z tego, Tak. Chociaż... powiem ci. *Naprawdę* chcesz wiedzieć, więc ci powiem. Ale to nic nie pomoże. Nic nie uda ci się zrobić. Nie ma mowy, żebyś...

- Po prostu mi powiedz, Plex. Wyduś to z siebie. Sam będę się martwił logistyką.

Więc mi powiedział. A ja zająłem się logistyką, choć popsuło mi to humor.

Roztrząsałem to przez całą drogę na zewnątrz, pochylając się nad tym jak wilk nad kończyną złapaną we wnyki. Miąłem naćpanych i stroboskopowo oświetlonych tancerzy, zarejestrowane halucynacje i chemiczne uśmiechy. Przeszedłem obok dudniących przezroczystych paneli, gdzie kobieta naga do pasa spojrzała mi w oczy i przykleiła się do szkła, żebym ją podziwiał. Zerknąłem na tanich ochroniarzy i detektory i wyszedłem z ostatnich macek ciepła klubu i muzyki w chłód nocy dzielnic magazynów, gdzie zaczynał padać śnieg.

CZEŚĆ III

TO BYŁO JAKIŚ CZAS TEMU

„Ta Quell, stary, ma coś w sobie, coś, co zmusza do myślenia. Wiesz, niektóre rzeczy trwają, inne nie, ale czasem bywa tak, że coś ginie, bo przepada, bo czeka, aż znów przyjdzie jego czas, czeka na zmianę. Tak jest z muzyką, tak jest z życiem, stary, tak jest z życiem. „

DIZZY CSANGO

w wywiadzie dla magazynu New Sky Blue

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Cała droga na południe pełna była ostrzeżeń sztormowych.

Na niektórych planetach, które odwiedziłem, mieszkańcy potrafią kontrolować huragany. Śledzą z satelitów i modyfikują szlaki sztormów, żeby sprawdzić, gdzie zmierzają, i jeśli trzeba, za pomocą precyzyjnej satelitarnej broni energetycznej rozrywają ich serca, zanim żywioły doprowadzą do poważniejszych zniszczeń. Na Świecie Harlana nie mamy tej opcji, Marsjanie zaś albo uważali, że nie warto programować tego rodzaju udogodnień w ich platformy orbitalne, albo same stacje po prostu przestały się tym przejmować. Może dąsają się za to, że je tu pozostawiono. W każdym razie, oznacza to, że pod względem przewidywania pogody tkwimy jeszcze w średniowieczu - mamy naziemny monitoring i od czasu do czasu przeprowadzamy zwiad niskopułapowymi śmigłowcami. W prognozowaniu pomagają meteorologiczne SI, ale trzy księżyce i przyciąganie na poziomie 0,8 g składają się na solidnie pomieszany system pogodowy. Zdarzało się już, że sztormy zachowywały się nieprzewidywalnie. Kiedy na Świecie Harlana huragan nabierze tempa, naprawdę niewiele można już zrobić. Trzeba tylko zejść mu z drogi i dobrze się ukryć.

Ten wzbierał już od jakiegoś czasu - pamiętam informacje o nim tej nocy, gdy wymykaliśmy się z Dravy - i uciekał przed nim, kto tylko mógł. W całej Zatoce Kossutha tratwy mieszkalne i fabryki morskie ciągnęły na zachód z maksymalną możliwą prędkością. Trawlery i kutry płaszczkowe, złapane zbyt daleko na wschód, szukały kotwiczowisk w stosunkowo osłoniętych zatokach Płycizn Irezumi. Ruch poduszkowców z archipelagu Saffron przekierowano wokół zachodniego brzegu zatoki. Wydłużało to podróż o dodatkowy dzień.

Kapitan *Córki Hajduka* przyjął to ze stoickim spokojem.

- Widziałem gorsze - mruknął, spoglądając na osłonięte wyświetlacze na mostku. - W latach dziewięćdziesiątych sezon sztormowy był tak fatalny, że musieliśmy przez ponad miesiąc siedzieć w Newpest. Kompletnie wstrzymano ruch na północ.

Mruknąłem niezobowiązująco. Rzucił mi kosę spojrzenie.

- Nie było cię wtedy, tak?

- Zgadza się, byłem poza planetą. Roześmiał się ochryple.

- Tak, właśnie. Te twoje egzotyczne podróże... Kiedy zobaczę twoją gębę w KossuthNet? Masz już ustawione sam na sam z Maggie Suitą, jak tylko dopłyniemy?

- Człowieku, daj mi czas.

- Chcesz więcej *czasu*? Jeszcze nie miałeś go dość?

Przekomarzaliśmy się w ten sposób przez całą drogę z Tekitomury.

Podobnie jak wielu poznanych przeze mnie kapitanów, Ari Japaridze był człowiekiem bystrym, ale pozbawionym wyobraźni. Nie wiedział o mnie praktycznie nic, co jak mi powiedział, odpowiadało mu w stosunku do pasażerów, ale nie był głupi. I nie trzeba było archeologa, by dojść do wniosku, że jeśli człowiek wchodzi na pokład podniszczonego frachtowca godzinę przez wypłynięciem i oferuje za nędzną pryczę tyle, co za kabinę w Saffron Linę - cóż, ten człowiek zapewne nie jest w dobrych stosunkach ze stróżami prawa. Według Japaridze dziury, które odkrył w mojej wiedzy dotyczącej paru ostatnich dekad na Świecie Harlana, dawały się łatwo wyjaśnić. Nie było mnie w tradycyjnym, kryminalnym sensie tego słowa. Przeciwwstawiłem się temu założeniu, mówiąc mu prawdę o moim pobycie poza planetą, ale to za każdym razem wywoływało u niego śmiech.

Co właściwie mi odpowiadało. Ludzie wierzą w to, co chcą - wystarczy spojrzeć na pieprzonych Brodaczy - a ja odniosłem wrażenie, że w przeszłości Japaridze też odwiedził

przechowałnię. Nie wiedziałem, co widział, patrząc na mnie, ale drugiego wieczora po wypłynięciu z Tekitomury dostałem zaproszenie na mostek, i zanim opuściliśmy Erkezy na południowym skraju archipelagu Saffron, wymienialiśmy uwagi na temat ulubionych knajp w Newpest i przepisy na najlepsze steki z butlogrzbietą.

Próbowałem nie ulec irytacji z powodu wlokącego się czasu.

Usiłowałem nie myśleć o archipelagu Millsport i szerokim, zachodnim łuku, którym go opływaliśmy.

Źle mi się spało.

Mostek *Córki Hajduka* stanowił w nocy rozsądną alternatywę. Siedziałem z Japaridze i piłem tanią mieszaną whisky z Millsport, przyglądając się, jak frachtowiec sunie na południe, na cieplejsze morza, w powietrze przesycone zapachem pieknorostów. Mówiłem równie automatycznie jak maszyny prowadzące statek po zakrzywionym kursie, opowiadając standardowe historie o seksie i podróżach, wspominając Newpest i głębię lądu Kossutha. Masowałem wciąż obolałe mięśnie lewej ręki. Zginałem ją pomimo wywoływanego tym bólu. A poza tym wszystkim rozważałem sposoby zabicia Aiury i siebie.

Za dnia spacerowałem po pokładach, starając się unikać rozmów z innymi pasażerami. I tak stanowili nieprzyjemną zbieraninę, składającą się z trzech wypalonych i zgorzkniałych lików płynących na południe, może do domu, może po prostu za słońcem, twarookiego biznesmena zajmującego się sieciornicami i jego ochroniarza, którzy eskortowali do Newpest transport oleju, młodego kapłana Nowego Objawienia ze starannie owiniętą chustą żoną, którzy wsiedli na statek w Erkezes, i pół tuzina mniej rzucających się w oczy mężczyzn i kobiet, trzymających się na uboczu jeszcze bardziej niż ja i odwracających wzrok, gdy się do nich odezwało.

Pewnego poziomu interakcji towarzyskich nie dało się unikać. *Córka Hajduka* była małym statkiem, zasadniczo niewiele większym od holownika zamocowanego do dzioba czterech podwójnych platform towarowych i potężnego silnika poduszkowego. Wzdłuż platform towarowych biegły dwa poziomy suwnic z pomostami, kończącymi się wąską bańką obserwacyjną przynitowaną na rufie. Niewielka przestrzeń pasażerska sprawiała wrażenie zatłoczonej. Z początku doszło do kilku kłótni, z których jedna dotyczyła skradzionego jedzenia, i Japaridze musiał interweniować, grożąc, że wysadzi pasażerów na Erkezesach, ale do czasu gdy zostawiliśmy archipelag za plecami, wszyscy już się uspokoili. Odbylem kilka wymuszonych rozmów przy posiłkach z likami, próbując wykazać zainteresowanie ich opowieściami o pechu i przechwałkami o życiu w Nieoczyszczonych. Od handlarza sieciornicami wysłuchiwałem wykładów na temat ekonomicznych dobrodziejstw, które miały wyniknąć z surowego programu ekonomicznego reżimu Mecseka. Z kapłanem w ogóle nie rozmawiałem, bo nie miałem ochoty szukać potem schowka na jego zwłoki.

W całkiem niezłym czasie przepłynęliśmy z Erkezów do zatoki i kiedy tam dotarliśmy, wciąż nie było śladów sztormu. Kiedy inni pasażerowie wysypali się na zewnątrz, by cieszyć się dla odmiany ciepłą pogodą i słońcem dość mocnym, by opalać, zostałem pozbawiony dostępu do miejsc, w których zwykle przesiadywałem na pokładzie. Trudno było mieć o to do nich pretensje - od horyzontu po horyzont niebo zrobiło się jednolicie błękitne, z widocznymi wysoko Daikoku i Hoteiem. Silny wiatr z północnego wschodu łagodził upał i unosił drobne kropelki wody z powierzchni morza. Od zachodu fale łamały się białą pianą na potężnych krzywiznach raf, zapowiadających przesunięcie się w przyszłości brzegu Zatoki Kossutha bardziej na południe.

- Pięknie tu, nieprawdaż? - odezwał się obok mnie cichy głos przy relingu.

Zerknąłem w bok i zobaczyłem żonę kapłana, pomimo pogody osłoniętą chustą i w pełni ubraną. Była sama. Jej twarz, a przynajmniej tyle, ile z niej widziałem, przechylała się w moją stronę w

wąskim kręgu chusty osłaniającej ją poniżej ust i nad brwiami. Na jej czole perlił się pot od upału, do którego kobieta nie przywykła, ale nie wyglądała na onieśmieloną. Ściągnęła włosy do tyłu tak, że nawet jeden nie wy dostał się poza chustę. Była bardzo młoda, pewnie dopiero co przestała być nastolatką. Uświadomiłem też sobie, że jest w ciąży.

Odwróciłem się, mocno zaciskając usta, i skoncentrowałem na podziwianiu widoku.

- Nigdy jeszcze nie podróżowałam tak daleko na południe – mówiła dalej, kiedy uznała, że nie zamierzam zareagować na jej pytanie. - A pan?

- Tak.

- Zawsze panuje tu taki upał?

Znów na nią spojrzałem, ponuro.

- Wcale nie ma upału, jest pani po prostu nieodpowiednio ubrana.

- Ach. - Oparła na relingu dłonie w rękawiczkach i przyjrzała im się. - Nie podoba się to panu?

Wzruszyłem ramionami.

- To nie ma ze mną nic wspólnego. Żyjemy w wolnym świecie, wie pani? Tak mówi Leo Mecsek.

- Mecsek. - Zabrzmiało to jak splunięcie. - Jest równie skorumpowany, jak pozostali. Jak wszyscy materialści.

- Tak, ale trzeba mu oddać sprawiedliwość. Jeśli jego córka zostanie kiedyś zgwałcona, pewnie nie zatłucze jej na śmierć za to, że przyniosła mu hańbę.

Drgnęła.

- Mówi pan o odosobnionym przypadku, to nie...

- Czterech. - Pokazałem jej przed oczami wyprostowane palce. - Mówię o *czterech* odosobnionych przypadkach. I to tylko w tym roku.

Zauważyłem, że się czerwieni. Zerknęła w dół na własny, lekko wystający brzuch.

- Nowemu Objawieniu nie zawsze najlepiej służą ci, którzy najgłośniejszą stają w jego obronie - powiedziała cicho. - Wielu z nas...

- Wielu z was kuli się posłusznie, mając nadzieję, że odnajdzie jakąś wartość w mniej psychotycznych zasadach waszego szowinistycznego systemu wiary, bo nie macie dość jaj lub woli, by zbudować coś nowego. Wiem.

Teraz czerwień zalała już całą jej twarz.

- Źle mnie pan ocenia. - Dotknęła chusty na głowie. - To był mój wybór. Zdecydowałam się na to z własnej woli. Wierzę w Objawienie.

- W takim razie jest pani głupsza, niż pani na to wygląda.

Pełna oburzenia cisza. Wykorzystałem ją, by opanować szalejącą w piersiach dziką wściekłość.

- Czyli jestem głupia, tak? Bo wybrałam skromność. Bo nie wystawiam się i nie sprzedaję, jak ta dziwka Mitzi Harlan i jej podobne, bo...

- Słuchaj - przerwałem jej zimno. - Czemu nie przeciwicysz tej skromności i nie zamkniesz ust? Naprawdę nie obchodzi mnie, co myślisz.

- Rozumiem - powiedziała nieco piskliwym głosem. - Pożądasz jej jak wszyscy inni. Ulegasz jej tanim seksualnym sztuczkom i...

- Och, *proszę*. Jak dla mnie, Mitzi Harlan jest głupią, powierzchowną ladaczną, ale wiesz co? Przynajmniej korzysta z życia tak, jakby należało do niej. Nie musi korzyć się u stóp każdego pieprzonego pawiana, który nosi brodę i genitalia na wierzchu.

- Nazywa pan mojego męża...

- Nie. - Odwróciłem się do niej. Wyglądało na to, że wcale się nie opanowałem. Gwałtownym

gestem chwyciłem ją za ramiona. - Nie, nazywam *ciebie* ohydną zdrajczynią własnej płci. Rozumiem punkt widzenia twojego męża, jest mężczyzną i na tych bzdurach wyłącznie zyskuje. Ale *ty*? odrzuciłaś stulecia politycznych zmagania i postępu naukowego, by móc siedzieć w ciemności i paplać te przesady o braku własnej wartości. Pozwalasz, by twoje życie, najcenniejsza rzecz, jaką posiadasz, wykradano ci godzina po godzinie, dzień po dniu, jak długo uda ci się wygospodarować czas z egzystencji, jaką pozwolą ci wieść twoi samcy. A potem, kiedy w końcu umrzesz, a mam nadzieję, siostrze, że nastąpi to szybko, *naprawdę* ci tego życzę, zignorujesz ogromne możliwości i uciekniesz przed darem, jaki sobie wywalczyliśmy, by powrócić i spróbować jeszcze raz. Zrobisz to wszystko z powodu twojej pieprzonej wiary, a jeśli to dziecko w twoim brzuchu jest dziewczynką, skarzesz ją na *taki sam pieprzony los*. Ktoś położył mi ciężko dłoń na ramieniu.

- Hej, facet. - To jeden z lików, wspierany przez ochroniarza biznesmena. Wyglądał na przestraszonego, ale zdeterminowanego. - Dość. Zostaw ją w spokoju.

Spojrzałem na jego palce. Przez chwilę pomyślałem o tym, by je złamać, zablokować ramię i...

Obudziło się we mnie wspomnienie. Mój ojciec potrząsał matką za ramiona jak skrzynką pielnorostów, która nie chciała wyjść z zaczepów, wrzeszcząc jej w twarz obelgi i opary whisky. Miałem siedem lat, rzuciłem się na jego ramię i spróbowałem je odciągnąć.

Wtedy odrzucił mnie jak coś, na co nie warto zwracać uwagi. Przeleciałem przez pokój i upadłem w kącie, a on wrócił do niej.

Puściłem ramiona kobiety. Strząsnąłem z siebie dłoń lika. W wyobraźni złapałem się za gardło, by nic nie zrobić.

- Odejdź stąd, gościu.

- Jasne - odparłem cicho. - Jak powiedziałem, siostrze, to wolny świat. To nie ma nic wspólnego ze mną.

* * *

Sztorm pogroził nam palcem parę godzin później. Długą, ciągnącą się smugą złej pogody, która przyciemniła niebo za moim bulajem i uderzyła w *Córkę Hajduka* od burty. Leżałem płasko na pryczy, wpatrując się w szary metalowy sufit i sam do siebie wygłaszałem wściekłe kazanie dotyczące tego, jak bezsensownie się zaangażowałem. Usłyszałem, jak buczenie silnika wchodzi na wyższy ton, i domyśliłem się, że Japaridze wyciąga większą wyporność z systemu grawitacyjnego. Kilka minut później wąską kabiną szarpnęło w bok, a szklanka na stoliczku przesunęła się kilka centymetrów, zanim zatrzymała ją powierzchnia antypoślizgowa. Woda w środku przechyliła się alarmująco i przelała przez brzeg naczynia. Westchnąłem i wstałem z koi, przytrzymując się ścian kabiny. Schyliłem się, by wyrzucić przez bulaj. W szkło uderzyła ulewa.

Gdzieś na frachtowcu uruchomił się alarm.

Zmarszczyłem czoło. Uznałem, że to przesadna reakcja na szkwał i wzburzoną wodę. Wciągnąłem na siebie lekką kurtkę kupioną od jednego z członków załogi frachtowca, schowałem pod nią nóż Tebbita i rapsodię, po czym wyszedłem na korytarz.

Znów się angażujemy?

Gdzie tam. Jeśli ta łajba ma zatonać, wolę wiedzieć o tym z wyprzedzeniem.

Ruszyłem za dźwiękiem alarmu na główny pokład i na zewnątrz, w deszcz. Wyminęła mnie kobieta z załogi, niosąca niezgrabny blaster o długiej lufie.

- Co się dzieje? - zapytałem.

- Nie mam pojęcia, koleś. - Posłała mi ponure spojrzenie i kiwnęła głową w stronę rufy. - Tablica kontrolna pokazuje naruszenie ładunku. Może jakiś darłoskrzydł próbuje uciec przed sztormem. A może nie.

- Pomóc?

Zawahała się, na jej twarzy na chwilę pojawiła się podejrzliwość, po czym podjęła decyzję. Może Japaridze coś jej o mnie powiedział, a może po prostu podobała jej się moja niedawno nabyta twarz. Albo tylko się bała i potrzebowała towarzystwa.

- Jasne. Dzięki.

Ruszyliśmy ku rufie, w stronę platform towarowych i wzdłuż jednego z pomostów, chwytając się poręczy za każdym przechyłem frachtowca. Pchany wiatrem deszcz siekł pod dziwnymi kątami. Przez wiatr przebijał się płaczliwy skrzek alarmu. Przed nami, w nagłym, posępnym mroku nawałnicy pulsował rząd czerwonych świateł na jednej z sekcji platformy po lewej. Pod błyskającymi sygnałami alarmowymi blade światło ukazywało otwarty właz. Idąca ze mną kobieta syknęła i wskazała lufą blastera.

- To tam. - Wpatrzyła się we właz. - Ktoś tam jest.

Zerknąłem na nią.

- Albo coś. Darłoskrzydły, tak?

- Tak, ale trzeba dość bystrego darłoskrzydła, żeby rozpracować klawisze. Zazwyczaj po prostu zwierają system dziobem w nadziei, że to wystarczy. A nie czuję, żeby coś się paliło.

- Ja też nie. - Zlustrowałem przestrzeń na platformie i wznoszące się nad nami kontenery. Wyciągnąłem rapsodię i ustawiłem ją na maksymalne rozproszenie. - Dobra, zrobimy tak: ja wejde pierwszy.

- Powinnam...

- Tak, nie wątpię. Ale zarabiałem czymś takim na życie. Więc lepiej zdaj się na mnie. Zostań tu i strzelaj do wszystkiego, co wyjdzie przez ten właz, chyba że wcześniej zawołam.

Podszedłem do włazu, poruszając się ostrożnie na niepewnym podłożu, i obejrzałem zamek. Nie wyglądało na to, by był uszkodzony. Właz wisiał odchylony o kilka centymetrów, może ustawiony w ten sposób przez przechył frachtowca w szkwale.

Oczywiście po tym jak jakiś piracki ninja złamał już zamek.

Dzięki za pomoc.

Dostroilem się do szkwału i alarmu. Zacząłem nasłuchiwać po drugiej stronie, podciągając neurochemię dość, by usłyszeć nawet ciężki oddech.

Nic. Nikogo tam nie ma.

Chyba że ktoś, kto przeszedł szkolenie w walce z ukrycia.

Zamknij się.

Wsunąłem stopę pod brzeg włazu i ostrożnie go popchnąłem. Zawiasy były idealnie zrównoważone - gładko przesunął się w przód. Nie dając sobie czasu na myślenie, wskoczyłem w szczelinę, szukając celów.

Nic.

W przestrzeni towarowej stały rzędy sięgających pasa, lśniących stalowych beczek. Przerwy między nimi były zbyt wąskie, by skryć choćby dziecko, a co dopiero ninję. Podszedłem do najbliższej i odczytałem etykietę. *Najdelikatniejszy luminescencyjny ekstrakt z mórza Saffron, wyciskany na zimno i filtrowany.* Olej z sieciornic, oznaczony marką producenta, by zwiększyć wartość. Własność biznesowego eksperta od oszczędności.

Roześmiałem się i poczułem, jak opuszcza mnie napięcie.

Nic oprócz...

Wciągnąłem powietrze.

W metalicznej atmosferze kontenera unosił się jakiś zapach.

Zniknął.

Zmysły powłoki z Nowego Hokkaido były dość czułe, by go wylapać, ale ledwie zarejestrowałem jego obecność, zniknął. Zupełnie nieoczekiwanie naszło mnie wspomnienie z dzieciństwa, wyjątkowo szczęśliwa chwila ciepła i śmiechu, której nie potrafiłem umiejscowić. Bez względu na to, skąd wziął się ten zapach, znałem go bardzo dobrze.

Schowałem rapsodię i zbliżyłem się do włazu.

- Nic tu nie ma. Wychodzę.

Wyszedłem z powrotem na ciepły deszcz i zamknąłem za sobą właz. Zaskoczył z metalicznym hukiem blokad zabezpieczających, odcinając śladowy zapach przeszłości, który tam wylapałem. Pulsujący czerwony blask nad moją głową znikł, a alarm ucichł gwałtownie.

- Co pan tam robił?

To biznesmen, z twarzą napiętą i bliską złości. Towarzyszył mu ochroniarz. Za nimi zebrała się garść marynarzy. Westchnąłem.

- Sprawdzalem pański towar. Proszę się nie martwić, wszystko nietknięte. Wygląda to na awarię zamka. - Spojrzałem na towarzyszącą mi kobietę z blasterem. - Albo był to wybitnie inteligentny darłoskrzydł, ale go wystraszyliśmy. Słuchajcie, wiem, że to mało prawdopodobne, ale nie macie czasem na pokładzie zestawu niuchacza?

- Zestaw *niuchacza*? Taki jak w policji? - Potrząsnęła głową. - Nie sądzę. Ale możesz zapytać kapitana.

Kiwnąłem głową.

- Cóż, jak powiedziałem...

- Zadałem ci pytanie.

Napięcie na twarzy biznesmena zmieniło się już w gniew. U jego boku posłusznie wkurzał się na mnie ochroniarz.

- Tak, i opowiedziałem na nie. Państwo wybaczą...

- Nigdzie nie pójdziesz. Tomas.

Posłałem ochroniarzowi ostrzegawcze spojrzenie, zanim zdążył zareagować na polecenie. Znieruchomiał i przesunął stopy. Przeniosłem wzrok na przedsiębiorcę, tłumiąc pragnienie konfrontacji. Od czasu mojego sporu z żoną kapłana byłem nerwowy i miałem ochotę dać komuś w mordę.

- Jeśli twój fajkogłowy mnie dotknie, będzie potrzebował operacji. A jeśli nie zejdziesz mi z drogi, tobie też się to przytrafi. Już ci powiedziałem, twój towar jest bezpieczny. Odsuń się i oszczędź nam kłopotliwej sceny.

Obejrzał się na Tomasa i wyraźnie wyczytał coś w wyrazie jego twarzy. Odsunął się.

- Dziękuję. - Przepchnąłem się przez zebranych marynarzy. - Ktoś widział Japaridze?

- Pewnie jest na mostku - rzucił ktoś. - Ale Itsuko ma rację, na łajbie nie znajdziesz takiego sprzętu. Nie jesteśmy pieprzonymi morskimi gliniarzami.

Śmiech. Ktoś zanucił melodię z sensorii pod tym tytułem i reszta podchwyciła ją na kilka chwil. Uśmiechnąłem się lekko i poszedłem dalej. Kiedy odchodziłem, usłyszałem jeszcze, jak przedsiębiorca domaga się głośno, by natychmiast otwarto właz.

Cóż.

I tak poszedłem szukać Japaridze. Jeśli nie miał nic innego, mógł przynajmniej zaoferować mi drinka.

* * *

Szkwał minął.

Siedziałem na mostku i patrzyłem, jak oddala się ku wschodowi na ekranach pogodowych, żałując, że supeł we mnie nie chce zrobić tego samego. Na zewnątrz niebo pojaśniało i fale przestały rzucać *Córką Hajduka*. Japaridze odciął awaryjny dopływ energii do silników grawitacyjnych i frachtowiec odzyskał wcześniejszą stabilność.

- Powiedz mi prawdę, kolo. - Japaridze nalał mi kolejną porcję mieszanki z Millsport i usiadł na krześle po drugiej stronie stołu nawigacyjnego. Na mostku nie było nikogo prócz nas. - Namierzasz ten transport oleju, co?

Uniosłem brwi.

- Hm, gdyby tak było, to pytanie mogłoby cię wiele kosztować.

- A gdzie tam. - Mrugnął i jednym haustem wypił swojego drinka. Od kiedy stało się jasne, że pogoda da nam spokój, pozwolił sobie na lekki rausz. - Ten facet to pieprzony fiut. Jak dla mnie, możesz sobie zabrać jego ładunek. O ile tylko nie spróbujesz go zwinąć prosto z *Córki*.

- Jasne. - Uniosłem szklaneczkę w toaście.

- Więc kto to?

- Słucham?

- Na kogo masz nastawiony radar? Na yaków? Gangi pięknorostowe? Rzecz w tym...

- Ari, mówię poważnie.

- Co? - zamrugnął.

- Pomyśl. Gdybym należał do ekipy namierzającej yaków, zadawanie takich pytań skończyłoby się dla ciebie prawdziwą śmiercią.

- Ach, bzdura. Nie zabijesz mnie. - Wstał, nachylił się ku mnie nad stołem i spojrzał mi w twarz.

- Nie masz tego w oczach. Znam się na tym.

- Naprawdę?

- Tak. Zresztą... - Opadł z powrotem na swoje miejsce i machnął niedbale szklaneczką. - Kto by wprowadził tę krypę do zatoki Newpest, gdybym zginął? Wiesz, nie przypomina cacek z SI Saffron Lines. Od czasu do czasu trzeba jej ludzkiej ręki.

Wzruszyłem ramionami.

- Pewnie sterroryzowałbym kogoś z załogi, pokazując im na zachętę twoje dymiące zwłoki.

- Nieźle kombinujesz. - Wyszczrzył zęby i znów sięgnął po flaszkę. - O tym nie pomyślałem. Ale jak wspominałem, nie widzę tego w twoich oczach.

- Wielu spotkałeś takich jak ja, co?

Napełnił nam szklaneczki.

- Człowieku, ja jestem taki jak ty. Dorastałem w Newpest, tak samo jak ty, i też byłem piratem. Wyprawiałem się na frachtowce z Siedmio-procentowymi Aniołami. Braliśmy drobnicę, typowe towary przechodzące przez Bezmiar. - Urwał i spojrzał mi w oczy. - Złapali mnie.

- Pech.

- Tak, pech. Zabrali mi ciało i wrzucili do przechowalni na trzy dekady. Kiedy wyszedłem, dali mi tylko ciało jakiegoś okablowanego po uszy ćpuna. Moja rodzina wyrosła albo się wyprowadziła. Miałem córkę. Kiedy mnie zamknęli, kończyła siedem lat, a gdy wyszedłem, była dziesięć lat starsza niż powłoka, którą dali mi po wyjściu. Miała rodzinę i własne życie. Nawet gdybym wiedział, jak się do niej odezwać, nie chciałyby mnie znać przez tą trzydziestoletnią przerwę. Tak samo jak jej matka, która znalazła sobie jakiegoś faceta, miała dzieciaki, wiesz, jak to jest. - Wychylił swoją szklaneczkę, zadrżał i spojrzał na mnie oczami nagle pełnymi łez. Nalał sobie kolejną szklanekę. - Mój brat zginął w wypadku kilka lat po tym, jak mnie odstawili, nie był ubezpieczony, nie miał możliwości ponownego upowłokowienia. Moja siostra siedziała w przechowalni, wsadzili ją

dziesięć lat po mnie i nie zamierzali wypuścić przez kolejne dwadzieścia. Miałem jeszcze jednego brata, urodzonego parę lat po tym, jak mnie wsadzili, ale nie wiedziałem, co mu powiedzieć. Moi rodzice się rozeszli. On umarł pierwszy, dostał powłokę z ubezpieczenia i urwał się gdzieś zażywać młodości, znów wolny i sam. Nie chciał na nią czekać. Pojechałem zobaczyć matkę, ale ona tylko patrzyła przez okno z uśmiechem na twarzy, wciąż powtarzając *niedługo, niedługo przyjdzie moja kolej*. Cały się od tego trząsałem.

- A więc wróciłeś do Aniołów.

- Zgadłeś.

Kiwnąłem głową. Wcale nie zgadywałem, po prostu takie były koleje życia tuzina moich znajomych z młodości w Newpest.

- Tak. Przyjęli mnie z powrotem, choć tymczasem wspięli się poziom czy dwa wyżej. Zostało paru facetów, z którymi pracowałem wcześniej.

Rozpracowywali od wewnątrz transporty poduszkowców do Millsport. Niezła forsa, a potrzebowałem jej, bo musiałem zarabiać na uzależnienie od mętu. Pracowałem z nimi przez jakieś dwa albo trzy lata. A potem znów mnie złapali.

- Tak? - Spróbowałem przybrać zaskoczony wyraz twarzy. - Na jak długo tym razem?

Znów wyszczerzył zęby w uśmiechu, jak ktoś, kto siedzi przed kominkiem.

- Osiemdziesiąt pięć lat.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. W końcu Japaridze znów nalał whisky i upił nieco, jakby wcale nie miał na nią ochoty.

- Tym razem straciłem ich na dobre. Bez względu na to, jakie drugie życie urządziła sobie moja matka, przeskoczyłem je. A ona zrezygnowała z trzeciego razu, położyła się po prostu do przechowalni i kazała przelewać do pożyczonych powłok na określone okazje rodzinne. Wypuszczenie jej syna Ariego z przechowalni karnej nie znalazło się na tej liście, więc zrozumiałem sugestię. Brat wciąż był martwy, siostra wyszła z przechowalni, kiedy ja byłem w środku, i pojechała na północ dziesięciolecia przed moim wyjściem, nawet nie wiem gdzie. Może szukała ojca.

- A rodzina twojej córki?

Roześmiał się i wzruszył ramionami.

- Córka, wnuki... Człowieku, do tego czasu byłem kolejne dwa pokolenia za nimi, nie chciałem nawet próbować nadganiać. Wziąłem, co miałem, i zająłem się własnym życiem.

- Czyli? - kiwnąłem szklaneczką w jego stronę. - Tę powłokę?

- Tak, tę powłokę. Można powiedzieć, że miałem szczęścia. Należała do jakiegoś kapitana płaszczkowca, którego wywalili za kłusownictwo na terenach morskich Pierwszych Rodzin. Dobra, solidna powłoka, bardzo zadbana. Wbudowane niezłe oprogramowanie morskie i jakieś dziwne paskudztwo do pogody. Gotowa kariera. Wziąłem pożyczkę na łódź, zarobiłem trochę pieniędzy. Kupiłem większą łódź, zarobiłem więcej. Kupiłem *Córkę*. Mam teraz w Newpest kobietę i parę dzieciaków.

Bez ironii uniosłem szklaneczkę.

- Gratulacje.

- Jak powiedziałem, miałem szczęście.

- I mówisz mi o tym z powodu?

Nachylił się nad stołem i spojrzał na mnie.

- Wiesz, czemu ci to mówię.

Stłumiłem uśmiech. To nie była jego wina. Przecież nie miał o niczym pojęcia. Robił, co mógł.

- Dobra, Ari. Wiesz co, dam spokój twojemu ładunkowi. Zerwę kontakty, zrezygnuję z piractwa

i załóżę rodzinę. Dzięki za radę.

Potrząsnął głową.

- Nie mówię ci nic, czego sam byś już nie wiedział, kolo. Po prostu ci przypominam, to wszystko. Życie jest jak morze. Sunie po nim przyływ trzech księżyców i jeśli mu pozwolisz, oderwie cię od wszystkich i wszystkiego, co jest dla ciebie drogie.

* * *

Oczywiście, miał rację.

Jako posłaniec był jednak trochę spóźniony.

Wieczór dogonił *Córkę Hajduka* kilka godzin później, przy skrócie na zachód. Słońce wyskoczyło rozerwane jak pęknięte jajo po obu stronach wschodzącego Hoteia i horyzont w obie strony załało czerwonawe światło. Niski brzeg Zatoki Kossutha malował grubą, czarną podstawę obrazu. Wysoko w górze cienka powłoka chmur błyszczała jak szufla pełna rozgrzanych monet.

Unikałem przedniego pokładu, gdzie reszta pasażerów zebrała się, by podziwiać zachód słońca - wątpiłem, bym był tam mile widziany, biorąc pod uwagę moje dzisiejsze występy. Zamiast tego przeszedłem na tył po jednej z platform, znalazłem drabinkę i wspiałem się na szczyt suwnicy. Umieszczono tam wąski chodnik, usiadłem więc na nim ze skrzyżowanymi nogami.

Nie zmarnowałem swojego życia w aż tak głupi sposób jak Japaridze, ale efekt końcowy nie był tak bardzo odmienny. Pokonałem pułapki głupiej przestępczości i przechowalni w młodym wieku, ale udało mi się zaledwie o włos. Kiedy tylko dostatecznie podrosłem, zamieniłem uczestnictwo w gangach Newpest na przydział do taktycznych marines Świata Harlana - jeśli miałem być w gangu, najlepiej od razu w największym, a nikt nie chciał podskakiwać takom. Przez jakiś czas wyglądało to na niezły ruch.

Po siedmiu latach, jakie spędziłem w mundurze, przyszli po mnie oficerowie rekrutacyjni Korpusu. Po rutynowej selekcji trafiłem na szczyt listy kandydatów, zostałem więc zaproszony do zgłoszenia się na warunkowanie Emisariusza. Tego rodzaju zaproszeń się nie odrzuca. Parę miesięcy później znalazłem się poza planetą i wtedy pojawiły się schody.

Czas poza planetą, transfer strunowy na akcje na różnych końcach Zamieszkałych Planet, czas w wojskowych przechowalniach i środowiskach wirtualnych. Czas przyspieszał, zwalniał, gubił znaczenie przez międzygwiazdne dystanse. Zacząłem tracić kontakt z wcześniejszym życiem. Przepustki do domu dostawałem rzadko i za każdym razem wzbudzały poczucie izolacji, które zniechęcało do korzystania z nich. Jako Emisariusz bawiłem się w całym Protektoracie - *równie dobrze mogę go sobie obejrzeć*, argumentowałem wtedy.

A potem Innenin.

Po opuszczeniu Emisariuszy ma się bardzo ograniczoną listę opcji karier. Nikt nie ufa człowiekowi dość, by pożyczyć mu kapitał, a prawo NZ wprost zabrania obejmowania posad rządowych czy korporacyjnych. Poza nędzą do wyboru ma się najemne wojsko i przestępczość. Ta ostatnia jest bezpieczniejsza i prostsza. Wraz z paroma kolegami, którzy również wystąpili z Korpusu po fiasku Innenin, wylądowałem z powrotem na Świecie Harlana, grając na nosie lokalnej policji i drobnym kryminalistom, którymi się zajmowała. Zpracowaliśmy sobie na reputację, byliśmy do przodu i niszczyliśmy jak anielski ogień wszystkich, którzy stanęli nam na drodze.

Próba spotkania rodzinnego zaczęła się fatalnie, a dalej potoczyło się w dół. Skończyło się na wrzaskach i łzach.

Była to moja wina w równym stopniu, co pozostałych. Matka i siostry były już nieznanymi, na wpół obcymi osobami, a wspomnienia dawnych więzów rozmyły ostre funkcje absolutnej pamięci Emisariusza. Zgubiłem się, nie wiedziałem już, gdzie znaleźć sobie miejsce w ich życiach. Kluczową

nowością było małżeństwo matki z oficerem rekrutacyjnym Protektoratu. Spotkałem go raz i miałem ochotę zabić. On pewnie poczuł to samo. W oczach mojej rodziny w którymś momencie przekroczyłem granicę. Co gorsza, mieli rację - nie zgadzaliśmy się tylko, gdzie owa granica leżała. Dla nich było to przejście ze służby wojskowej dla Protektoratu do niechlubnej, nastawionej na osobiste zyski działalności przestępczej. Dla mnie - mniej określona chwila w czasie spędzonym w Korpusie.

Ale spróbujcie wyjaśnić to komuś, kto w nim nie był.

Przez chwilę usiłowałem to zrobić. Oczywisty i natychmiastowy ból, jaki sprawiłem tym matce, wystarczył, bym przestał. Nie potrzebowała tego łajna.

Słońce na horyzoncie zmieniło się w płynne resztki. Spojrzałem na południowy wschód, gdzie zbierał się mrok mniej więcej nad Newpest.

Nie będę po drodze wpadał tam, by kogoś spotkać.

Znad ramienia usłyszałem łopot skórzastych skrzydeł. Spojrzałem w górę i zauważyłem darłoskrzydła wiszącego w powietrzu nad platformą, z plecami zabarwionymi na zielono przez ostatnie promienie słońca. Okrążył mnie kilka razy, po czym wylądował na pomoście jakieś sześć metrów dalej. Obróciłem się w jego stronę. W okolicach Kossutha latają mniejszymi stadami i rosną większe niż widziałem w Dravie, a ten egzemplarz miał dobry metr od dzioba do szponów. Dość duży, bym ucieszył się z posiadania broni. Z chrapnięciem złożył skrzydła, uniósł w moją stronę jedno ramię i przyjrzał mi się jednym okiem. Zdawał się na coś czekać.

- Na co się, cholera, gapisz?

Przez długą chwilę darłoskrzydł był cicho. Potem wygiął szyję, rozprostował skrzydła i skłonił się kilka razy w moją stronę. Kiedy się nie poruszyłem, uspokoił się i wyciągnął głowę pytająco.

- Nie spotkam się z nimi - powiedziałem mu po chwili. - Nawet nie próbuj mnie do tego namawiać. Za dużo czasu minęło.

Mimo wszystko w gęstniejącym wokół mnie mroku czułem swędzenie porzuconej rodziny. Jak ciepło z przeszłości.

Fakt, że nie jest się samotnym.

Siedziałem w odległości sześciu metrów od darłoskrzydła, przyglądaliśmy się sobie nawzajem, a wokół nas zapadała noc.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Weszliśmy do zatoki Newpest krótko po południu następnego dnia i ze ślimaczą ostrożnością dopłynęliśmy do nabrzeża. Cały port pełen był poduszkowców i innych pojazdów uciekających przed groźbą złej pogody we wschodniej części zatoki, a oprogramowanie sterujące portem ustawiło je zgodnie z jakimś zupełnie nieintuicyjnym, matematycznym schematem, dla którego *Córce Hajduka* brakowało interfejsu. Japaridze przerzucił się na sterowanie ręczne, soczyście wyklinając na maszyny ze szczególnym uwzględnieniem SI zarządcy portu, podczas gdy sunęliśmy wolno między na oko zupełnie przypadkowym szeregiem statków.

- Pieprzona wymiana tego, rozwinięcie tamtego. Gdybym chciał być pieprzonym technogłowym, zgłosiłbym się do pracy u lików.

Podobnie jak ja miał lekkiego, ale uporczywego kaca.

Powiedzieliśmy sobie „do widzenia” na mostku i zszedłem na przedni pokład. Rzuciłem swój worek na brzeg, gdy autocumy jeszcze nas przyciągały, i przeskoczyłem malejącą szczelinę między burtą a brzegiem. Ściągnąłem tym kilka spojrzeń gapiów, ale nie powszechną uwagę. Przez szalejący za horyzontem sztorm i port napakowany do maksimum ochrona miała inne zmartwienia niż ściganie nieostrożnego pasażera. Podniosłem worek, przerzuciłem go sobie przez ramię i wtopiłem się w wąski strumyczek pieszych idących wzdłuż nabrzeża. Ogarnął mnie wilgotny upał. Po paru minutach oddaliłem się od portu i ociekając potem, wezwałem taksówkę.

- Zatoka wewnętrzna - powiedziałem. - Terminal czarterowy, szybko.

Taksówka wykręciła o sto osiemdziesiąt stopni i ruszyła z powrotem głównymi ulicami. Wokół mnie rozkwitło Newpest.

Sporo się zmieniło przez te parę stuleci. Miasto mojego dzieciństwa było niskie jak ziemia, na której go wybudowano, a odporne na sztormy, gładko wyprofilowane budynki i superbańki nad przesmykami rozciągały się między morzem i wielkim, bagnistym jeziorem, które zmieniło się później w Bezmiar Rostów. W tamtych czasach Newpest przesycił zapach pięknorostów i smród chemikaliów, którymi je traktowano, tworząc mieszankę podobną do perfum i smrodu ciała taniej dziwki. Nie dało się go uniknąć, nie opuszczając miasta.

To tyle, jeśli chodzi o młodzieńcze wspomnienia.

Kiedy Niepokoje odeszły w przeszłość, powrót względnego dobrobytu umożliwił rozwój miasta wzdłuż wewnętrznego brzegu Bezmiaru i długiej krzywizny linii brzegowej oraz w górę, w tropikalne niebo. Wysokość budynków w centrum Newpest rosła, opierając się na coraz większym zaufaniu do technik kontroli sztormów, a rodząca się klasa średnia, która chciała żyć blisko swoich inwestycji, nie miała przy tym ochoty ich wachać. W czasach kiedy wstąpiłem do Emisariuszy, ustawodawstwo środowiskowe zaczęło odrywać się od poziomu ziemi i w centrum miasta pojawiły się drapacze chmur nie gorsze niż w Millsport.

Później zjawiałem się tu coraz rzadziej i nie przywiązywałem do tego dość wagi, by zauważyć, kiedy właściwie trend uległ odwróceniu i z jakiego powodu to nastąpiło. Wiedziałem tylko, że teraz do niektórych części południowego miasta wrócił smród, a śmiałe nowe inwestycje wzdłuż wybrzeża Bezmiaru podupadały kilometr za kilometrem, zmieniając się w dzielnice nędzy. W centrum na ulicach siedzieli żebracy, a przed każdym większym budynkiem stała uzbrojona ochrona. Wyglądając przez szybę automatycznej taksówki, w sposobie, w jaki poruszali się ludzie, dostrzegłem echo irytacji i napięcia, którego nie było tutaj czterdzieści lat temu.

Przejechaliśmy przez centrum wzniesioną trasą szybkiego ruchu, gdzie cyfry na taksometrze zmieniły się w rozmazaną plamę. Nie trwało to długo - jeśli nie liczyć jednej czy dwóch limuzyn i

garstki taksówek, całą drogę mieliśmy dla siebie. Kiedy jednak zjechaliśmy po drugiej stronie na autostradę Bezmiaru, licznik taksometru opadł do rozsądnego tempa przyrostu. Oddaliliśmy się od strefy wysokich budynków i przejechaliśmy przez slumsy. Niskie domki, ściśnięte blisko drogi. Tę historię słyszałem już od Segesvara. Wolna przestrzeń wokół drogi została sprzedana, kiedy byłem poza planetą, cofnięto także wcześniejsze ograniczenia zdrowotne i przepisy bezpieczeństwa. W przelocie zauważyłem nagie, dwuletnie dziecko trzymające się płotu wokół płaskiego dachu, wpatrujące się z zachwytem w ruch dwa metry od twarzy. Na kolejnym dachu trochę dalej dwójka niewiele starszych dzieciaków rzucała kamienie, które odbijały się od nawierzchni za samochodem.

Przed taksówką pojawił się wyjazd na wewnętrzną zatokę. Atutotaksówka wykręciła z maszynową prędkością, przedryfowała przez kilka pasów i przyhamowała do bardziej ludzkich prędkości przy zjeździe spiralą wzdłuż odrapanych budynków i w dół na skraj Bezmiaru Rostów. Nie wiem, czemu program prowadził w taki sposób - może powinienem podziwiać widoki. Przynajmniej terminal wyglądał dość ładnie - o stalowych kościach, pokryty niebieskim iluminium i szkłem. Droga przechodziła przez niego jak linka przez spławik.

Gładko wjechaliśmy do środka i taksówka wyświetliła należność jaskrawymi, fioletowo-różowymi cyframi. Nakarmiłem ją chipem, odczekałem przy drzwiach na ich odblokowanie, po czym wyszedłem w sklepiony, klimatyzowany chłód. Tu i tam siedziały lub chodziły pojedyncze sylwetki, żebrząc albo na coś czekając. Biurka firm czarterowych ustawione były wzdłuż jednej ze ścian budynku, przytłoczone mnóstwem różnokolorowych hologramów, do których w większości przypadków zaliczał się konstrukt wirtualnej obsługi klientów. Wybrałem stoisko z prawdziwym człowiekiem, starszym nastolatkiem siedzącym przy blacie i dłubiącym w szybkocepnym złączach na swoim karku.

- Do wynajęcia?

Nie podnosząc głowy, skierował na mnie pozbawione wyrazu oczy.

- Mama.

Już miałem go trzasnąć, kiedy dotarło do mnie, że nie była to jakaś dziwaczna obelga. Był okablowany na wewnętrzny mikrofon, po prostu nie chciało mu się subwokalizować. Jego wzrok odpłynął na chwilę w pustkę, gdy słuchał odpowiedzi, potem znów spojrzał na mnie z odrobinę większym skupieniem.

- Gdzie chce pan płynąć?

- Plaża Vchira. Przejazd w jedną stronę, możecie mnie tam zostawić.

Prychnął.

- Tak, plaża Vchira to siedemset klików od końca do końca. *Gdzie* na Vchirze?

- Południowy skraj. Pasek.

- Sourcetown. - Przesunął po mnie wzrokiem z powątpiewaniem. - Surfer?

- A wyglądał na takiego?

Ewidentnie nie potrafił znaleźć bezpiecznej odpowiedzi. Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok, znów podnosząc oczy do góry, na wewnętrzny wyświetlacz. Kilka chwil później zza drugiej strony terminala wyłoniła się blondynka w krótkich ogrodniczkach z farm pięknorostów i wyblakłym T-shircie. Miała ponad pięćdziesiątkę i życie poznało ją wokół oczu i ust, ale krótkie nogawki ukazywały szczupłe nogi pływaczki. Trzymała się prosto. Napis na koszulce głosił *Dajcie mi pracę Mitzi Harlan - mogłabym to robić z zamkniętymi oczami*. Na czole widać było trochę potu, a na palcach ślady smaru. Mocno uściśnęła mi dłoń.

- Suzi Petkowska. To mój syn, Michał. A więc chce się pan przejechać na Pasek?

- Micky. Tak. Jak szybko możemy wyruszyć?

Wzruszyła ramionami.

- Rozbieram właśnie jedną z turbin, ale to rutynowy przegląd. Powiedzmy za godzinę, pół, jeśli nie zależy panu na testach bezpieczeństwa.

- Godzina może być. Powinienem się tu jeszcze z kimś spotkać przed wyjazdem. Ile będzie mnie to kosztować?

Syknęła przez zęby. Rozejrzała się po długim rzędzie stolików konkurencyjnych firm.

- Sourcetown to długi rejs. Dolny koniec Bezmiaru i dalej. Ma pan bagaż?

- Tylko to, co widać.

- Zrobię to za dwieście siedemdziesiąt pięć. Wiem, że to w jedną stronę, ale muszę wrócić, nawet jeśli pan tam zostaje. A to cały dzień.

Cena była wysoka, aż się prosiło, żeby stargować ją poniżej dwustu pięćdziesięciu. Ale dwie stowy to niewiele więcej niż zapłaciłem właśnie za priorytetową jazdę taksówką przez miasto. Wzruszyłem ramionami.

- W porządku. Brzmi rozsądnie. Pokaże mi pani swoją łajbę?

* * *

Ślizgacz Suzi Petkowskiej był dość standardowy - tęponosa, dwudziestometrowa platforma z dwiema turbinami, znacznie bardziej zasługująca na miano poduszki niż dowolny z mnóstwa olbrzymich pojazdów zaludniających morskie arterie Świata Harlana. Nie miał systemu antygravitacyjnego wspomagającego nośność, tylko silniki i opancerzony fartuch, wariant podstawowej maszyny budowanej już od czasów przed diasporą na Ziemi. Z przodu umieszczono kabinę z szesnastoma fotelami, a na rufie przewidziano miejsce na towar, opasane pomostami z relingami, otaczającymi cały brzeg pojazdu. Na dachu, za kopułką pilota w taniej autowieżycze zamontowano działko ultrawibracyjne.

- Często się to przydaje? - zapytałem, wskazując na rozciętą lufę broni.

Suzi z wprawą i wdziękiem podciągnęła się na podest otwartej turbiny, po czym poważnie spojrzała na mnie z góry.

- Na Bezmiarze wciąż są piraci, jeśli o to pan pyta. Ale przeważnie to dzieciaki naćpane po uszy, albo - odruchowo rzuciła okiem w stronę budynku terminala - przypadki kablogłowych. Projekty rehabilitacyjne padły po obcięciu funduszy, mamy duży problem na ulicach, więc wylewa się też tutaj. Ale nie sprawiają większych kłopotów. Zazwyczaj wystarczy parę strzałów ostrzegawczych. Na pańskim miejscu nie martwiłabym się. Chce pan położyć torbę w kabinie?

- Nie, nie trzeba. Nie jest ciężka. - Zostawiłem ją przy turbinie i wycofałem się do ocienionego miejsca przy końcu pomostu, gdzie beładnie zrzucono na kupę puste skrzynki i kanistry. Usiadłem na jednym z czystszych i otworzyłem worek. Przegrzebałem telefony i znalazłem nieużywany. Wystukałem lokalny numer.

- Southside Holdings - odezwał się bezbarwny głos. - W związku z...

Wprowadziłem czternastocyfrowy kod sterujący. Głos zgasł w szumie,

a potem zapadła cisza. Po dłuższej chwili odezwał się kolejny głos, tym razem ludzki. Męski i charakterystyczny. Urywane sylaby i skompresowane samogłoski amangielskiego z akcentem z Newpest, równie surowe jak wtedy, gdy pierwszy raz spotkałem go na ulicy całe życie temu.

- Kovacs, gdzie, *do diabła*, się podziewałeś?

Uśmiechnąłem się mimowolnie.

- Cześć, Rad. Ja też się cieszę, że cię słyszę.

- Człowieku, to prawie trzy pieprzone miesiące. Nie kieruję tu przytułkiem. Gdzie jest moja forsa?

- Dwa miesiące, Radul.
- Więcej niż dwa.
- Minęło dziewięć tygodni. To ostateczna oferta.

Roześmiał się w słuchawce w sposób, który przypominał mi pracującą z dużą prędkością wciągarkę.

- Dobra, Tak. Jak ci się udała podróż? Złapałeś jakieś rybki?

- Owszem, złapałem. - Dotknąłem kieszeni, w której trzymałem stopy korowe. - Mam dla ciebie kilka, zgodnie z obietnicą. Zapuszkowane dla łatwiejszego transportu.

- Oczywiście. Nie oczekiwałem od ciebie świeżych. Wyobraź sobie ten smród. Zwłaszcza po trzech miesiącach.

- Dwóch.

Znow wciągarka trawlera.

- Wydawało mi się, że stanęliśmy na dziewięciu tygodniach. Więc jesteś w końcu w mieście?

- Tak, prawie.

- Wpadniesz z wizytą?

- Cóż, widzisz, w tym problem. Coś mi wypadło i nie mogę. Ale nie chciałbym, żebyś stracił ryby...

- Tak, ja też nie. Twój ostatni transport niezbyt dobrze się przechował. Ledwie nadaje się do konsumpcji. Moi chłopcy myślą, że oszalałem, bo nadal je podaję, ale powiedziałem im: Takeshi Kovacs to stara szkoła. Spłaca swoje długi. Robimy, o co poprosił, a kiedy się w końcu pojawi, zachowa się, jak trzeba.

Zawahałem się. Skalibrowałem.

- Nie mogę ci w tej chwili przekazać pieniędzy, Rad. Nie zaryzykuję zbliżenia się do większej transakcji kredytowej. Nie przysłużyłoby się to ani tobie, ani mnie. Będę potrzebował czasu na uporządkowanie swoich spraw. Ale możesz dostać ryby, jeśli wyślesz kogoś, by odebrał je w ciągu godziny.

W słuchawce znów zapadła cisza. Naciągałem dług do granic wytrzymałości i obaj o tym wiedzieliśmy.

- Słuchaj, mam cztery. To jedna więcej, niż się spodziewałeś. Możesz dostać je teraz. I serwować beze mnie, wykorzystać je, jak chcesz, albo wcale, jeśli mój kredyt naprawdę się wyczerpał.

Nie odpowiedział. Jego obecność w słuchawce była przytłaczająca, jak wilgotny upał emanujący z Bezmiaru. Zmysły Emisariusza powiedziały mi, że to punkt kluczowy, a one rzadko się mylą.

- Pieniądze przyjdą, Rad. Jeśli trzeba, narzuc mi dopłatę. Jak tylko załatwię tę drugą sprawę, wrócimy do interesów. To tylko chwilowe trudności.

Nadal nic. Cisza zaczynała śpiewać, delikatną, śmiertelną pieśń kabla napiętego pod ciężarem. Zapatrzyłem się w Bezmiar, jakbym mógł wypatrzeć Radula i nawiązać kontakt wzrokowy.

- Dorwałby cię - powiedziałem otwarcie. - Wiesz o tym.

Cisza trwała chwilę dłużej, po czym strzeliła. Głos Segesvara zabrzmiał z fałszywą gromkością.

- O czym ty mówisz, Tak?

- Wiesz, o czym mówię. Nasz handlujący mętem przyjaciel. Uciekałeś z innymi, Rad, ale z twoją nogą nie miałbyś szans. Gdyby przeszedł przeze mnie, dorwałby cię. Wiesz o tym. Inni uciekli, ja zostałem.

Na drugim końcu linii usłyszałem głośne westchnienie.

- Dobrze - zgodził się. - Dopłata. Powiedzmy, trzydzieści procent?

- Brzmi rozsądnie - skłamałem dla nas obu.

- Tak. Ale myślę, że twoje poprzednie ryby trzeba będzie teraz zdjąć z menu. Może przyjdiesz na tradycyjną mowę pogrzebową i przedyskutujemy warunki tego... refinansowania.

- Nie mogę, Rad. Wpadłem tylko przejazdem. Za godzinę znów mnie tu nie będzie. Upłynie pewnie z tydzień albo więcej, zanim wrócę.

- W takim razie - prawie zobaczyłem, jak wzrusza ramionami - ominie cię mowa. Myślałem, że tego nie chcesz.

- Bo nie chcę. - To była kara, kolejna dopłata dorzucona do ekstra trzydziestu procent. Segesvar mnie rozpracował, to kluczowa umiejętność w przestępczości zorganizowanej, a on był dobry w swoim fachu. Hajducy z Kossutha mogli nie mieć klasy i wyrafinowania yakuzy z północy, ale w zasadzie to ta sama gra. Jeśli chce się zarabiać na życie wymuszeniami, lepiej wiedzieć, jak dotrzeć do ludzi. A sposób na dotarcie do Takesiego Kovacsza wymalowany był na mojej najświeższej przeszłości jak krew. Nie trzeba było geniusza, by to rozgryźć.

- Przyjedź później - powiedział ciepło. - Upijemy się razem, może nawet pójdziemy do Watanabego przypomnieć sobie stare czasy. I na fajkę. Muszę ci spojrzeć w oczy, przyjacielu. Żeby mieć pewność, że się nie zmieniłeś.

Znikąd wychynęła twarz Lazla. *Ufam ci, Micky. Dbaj o nią.*

Zerknąłem w stronę poduszkowca, gdzie Suzi Petkowska opuszczała osłonę na turbinę.

- Przykro mi, Rad. To zbyt ważne, by ryzykować. Chcesz ryby, przyślij kogoś do wewnętrznej zatoki. Terminal czarterowy, rampa siedem. Będę tu przez godzinę.

- Bez mowy pożegnalnej? Skrzywiłem się.

- Bez. Nie mam czasu.

Przez chwilę milczał.

- Myślę - oznajmił w końcu - że bardzo chciałbym ci teraz spojrzeć w oczy, Takeshi Kovacsu. Może przyjadę osobiście.

- Jasne. Dobrze będzie cię zobaczyć. Tylko zmieść się w godzinie. Rozłączył się. Zacisnąłem zęby i walnąłem pięścią w skrzynkę obok.

- Cholera. *Cholera.*

Opiekuj się nią, dobra? Chroń ją.

Tak, tak. Dobra.

Ufam ci, Micky.

Dobra, cholera, słyszałem.

Dzwonek telefonu.

Przez chwilę głupio przykładałem do ucha ten, z którego korzystałem przed chwilą. Potem dotarło do mnie, że dźwięk dobiega z otwartej torby obok. Nachyliłem się i odsunąłem trzy czy cztery telefony, zanim znalazłem ten z aktywnym wyświetlaczem - jeden z używanych wcześniej, z zerwaną blokadą.

- Tak?

Nic. Linia była otwarta, ale nic w niej nie słyszałem. Nawet szumu. W moje ucho otworzyła się absolutna cisza.

- Halo?

I wtedy coś zaszepotało z mroku, tylko nieco głośniejsze od napięcia odczuwanego w trakcie poprzedniej rozmowy.

...szybciej...

A potem znów tylko cisza.

Opuściłem telefon i wpatrzyłem się w niego.

W Tekitomurze wykonałem trzy połączenia, użyłem trzech telefonów z paczki. Zadzwoiłem do Lazla, Jarosława i Isy. To mógł być każdy z tych trzech telefonów. Żeby mieć pewność, musiałbym sprawdzić w pamięci telefonu, z jakim numerem się łączył.

Ale nie musiałem.

Szept z mrocznej ciszy. Głos z niezmierzonej odległości.

...szybciej...

Wiedziałem, który to telefon.

I wiedziałem, kto do mnie dzwonił.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Segesvar zmieścił się w czasie. Czterdzieści minut po tym jak się rozłączył, na Bezmiarze pojawił się sunący z rykiem jaskrawoczerwony ślizgacz i wpadł do portu z niedozwoloną prędkością. W jego stronę obróciły się wszystkie głowy na nabrzeżu. Był to rodzaj pojazdu, który w morskim porcie Newpest natychmiast spowodowałby, że zarząd portu wysłałby sygnał wyłączenia i sromotnie unieruchomił go na wodzie. Nie wiem, czy wewnętrzna zatoka była gorzej wyposażona, Segesvar miał zainstalowane na swojej zabawce oprogramowanie zagłuszające czy po prostu gangi Bezmiaru Rostów trzymały zarząd wewnętrznego portu w kieszeni. W każdym razie jego ślizgacz nie zamarł, a wykręcił ostro, rozchlapując wodę, po czym popłynął szybko w stronę przerwy między szóstą i siódmą rampą. Tuzin metrów od brzegu silniki zgasty i łódź dopłynęła do nabrzeża siłą rozpędu. Stojący za sterem Segesvar mnie zauważył. Kiwnąłem mu głową i uniosłem rękę. Pomachał mi.

Westchnąłem.

Takie rzeczy ciągną się za nami przez dekady, ale nie tak, jak fale wzbudzone przez łódź Radula Segesvara w zatoce portu. Nie wygasają bez śladu, tylko unoszą się jak pył wzniesiony po przejeździe pustynnego transportera na Sharyi i jeśli zawrócić i ruszyć z powrotem w przeszłość, można zacząć się dusić.

- Cześć, Kovacs.

Krzyk, jadownicie głośny i radosny. Segesvar stał w kokpicie, sterując. Oczy ukrywał za szerokimi okularami przeciwsłonecznymi w kształcie mewich skrzydeł, świadomie odrzucając millsporcką modę na techniczne cacka szerokości palca. Na ramionach miał kurtkę z cienkiej jak papier, ręcznie wyprawianej, opalizującej skóry pantery błotnej. Znów pomachał i szeroko się uśmiechnął. Z dzioba łodzi z metalicznym trzaskiem wystrzeliła lina cumownicza. Zakończona była harpunem, który nie pasował do żadnego z gniazd na skraju nabrzeża, i wygryzł dziurę w wiecznobetonowej ścianie brzegu pół metra poniżej moich stóp. Ślizgacz przesunął się na cumie, a Segesvar wyskoczył z kokpitu i stanął na dziobie, patrząc na mnie.

- Może wrzątniesz moje nazwisko jeszcze parę razy - odezwałem się do niego bezbarwnie. - Na wypadek, gdyby ktoś nie dosłyszał za pierwszym razem.

- Ups. - Przechylił głową i uniosł szeroko ręce w geście przeprosin, którym nikogo nie oszukał. Wciąż był na mnie zły. - Taki już jestem. To jak cię teraz nazywać?

- Zapomnij. Zamierzasz tam stać cały dzień?

- Nie wiem, pomożesz mi wejść?

Sięgnąłem w dół. Segesvar chwycił wyciągniętą dłoń i podciągnął się na brzeg. Kiedy go dźwigałem, poczułem w ramieniu falę ukłuć, które przekształciły się w ogólny ból. Wciąż płaciłem za powstrzymanie upadku pod marsjańską wieżą. Hajduk poprawił swoją nienagannie uszytą kurtkę i przesunął dłonią przez sięgające ramion czarne włosy. Radul Segesvar dotarł dostatecznie wysoko na tyle wcześniej, by sfinansować klonowe kopie ciała, w którym się urodził, i twarz ukryta za okularami przeciwsłonecznymi rzeczywiście należała do niego - była blada pomimo klimatu, wąska i bez widocznego śladu japońskiego dziedzictwa. Miał szczupłe ciało, które sądząc z wyglądu, nie przekroczyło jeszcze trzydziestki. Segesvar zazwyczaj przeżywał każdego kлона od wczesnej dorosłości do czasu aż, jak sam to ujmował, nie mógł już się pieprzyć ani walczyć tak, jak powinno się to robić. Nie wiem, ile razy zmieniał powłoki, bo od czasów wspólnej młodości w Newpest pogubiłem się w tym, jak długo faktycznie żył. Podobnie jak większość hajduków i ja, spędził trochę czasu w przechowalni.

- Niezła powłoka - powiedział, obchodząc mnie wokół. - Bardzo fajna. Co się stało z poprzednią?

- Długa historia.

- Której nie zamierzasz mi opowiadać. - Zakończył oględziny i zdjął okulary. Spojrzał mi w oczy. - Tak?

- Tak.

Westchnął teatralnie.

- Rozczarowujesz mnie, Tak. Bardzo rozczarowujesz. Robisz się milczący jak wszyscy ci pieprzeni skośnoocy północniacy, z którymi spędzasz czas.

Wzruszyłem ramionami.

- Rad, sam jestem w połowie pieprzonym skośnookim północniakiem.

- Ach tak, faktycznie. Zapomniałem.

Wcale nie. Po prostu przeginał. Na swój sposób nic się nie zmieniło od czasu, kiedy przesiadywaliśmy u Watanabego. Wtedy to on zawsze wciągał nas w kłopoty. Nawet na tamtego dilerę mętu nas napuścił.

- W środku jest automat z kawą. Napijesz się?

- Jeśli muszę. Wiesz, gdybyś przyjechał prosto na farmę, dostałbyś prawdziwą kawę i skręta z morskiej marychy ręcznie zawijanego na udach najlepszej aktorki holoporno, jaką można kupić.

- Innym razem.

- Tak, zawsze cię tak cholernie gna, nie? Jeśli nie Emisariusze czy neoquelliści, to jakiś pieprzony plan osobistej zemsty. Wiesz, Tak, to właściwie nie mój interes, ale ktoś powinien ci to powiedzieć, a wygląda na to, że trafiło na mnie. Musisz się zatrzymać i powąchać ziela, stary. Przypomnieć sobie, że żyjesz. - Z powrotem włożył okulary przeciwsłoneczne i machnął głową w stronę terminala. - Dobra, chodźmy. Kawa z automatu, czemu nie. Zawsze to jakaś odmiana.

W chłodzie budynku usiedliśmy przy stole blisko szklanych paneli, zza których rozciągał się widok na zatokę. W pobliżu siedziało jeszcze pół tuzina ludzi z bagażami. Między nimi kręcił się wyniszczony mężczyzna w łachmanach, podsuwając im tackę na chipy kredytowe i opowiadając historię pecha tym, których to interesowało. Większości nie interesowało. W powietrzu unosił się niezauważony wcześniej przeze mnie delikatny zapach środków antyseptycznych. Musiały tędy przejeżdżać roboty sprzątające.

Kawa była fatalna.

- Widzisz - powiedział Segesvar, odstawiając kubek z przesadnym grymasem. - Powiniennem kazać połamać ci nogi za to, że zmuszasz mnie, bym pił to świństwo.

- Mógłbyś spróbować.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Wzruszył ramionami.

- To był żart, Tak. Tracisz poczucie humoru.

- Tak, dorzucam do niego trzydzieści procent dopłaty. - Nie zmieniając wyrazu twarzy, pociągnąłem łyk własnej kawy. - Kiedyś u przyjaciół mogłem dostać je za friko, ale czasy się zmieniają.

Pozwolił słowom zawisnąć przez chwilę, po czym przechylił głowę i znów spojrzał mi w oczy.

- Uważasz, że traktuję cię nieuczciwie?

- Myślę, że w wygodny sposób zapominasz o prawdziwym znaczeniu kryjącym się za słowami *uratowałeś mi wtedy tylek, stary*.

Segesvar kiwnął głową, jakby dokładnie tego się spodziewał. Spuścił wzrok na stół między nami.

- To stary dług - powiedział cicho. - I do tego wątpliwy.

- Wtedy tak nie uważałeś.

Wszystko było zbyt odległe, by łatwo przywołać wspomnienia. Wydarzenia te rozegrały się w czasach sprzed warunkowania Emisariusza, gdy wspomnienia rozmywały się wraz z upływem dziesięcioleci. Najlepiej ze wszystkiego pamiętam smród w alei. Alkaliczne osady z fabryki przetwarzającej pięknorosty i zużyty olej z instalacji hydraulicznych zbiorników ciśnieniowych. Przekleństwa diler a mętu i błysk długiej osęki do butlogrzebietów, kiedy machnął nią w moją stronę. Pozostali uciekli, błyskawicznie zamieniając młodzieńczy entuzjazm do napadu na przerażenie widokiem stalowego haka, rozrywającego nogę Radula Segesvara od kolana do biodra. Uciekli z wrzaskiem, przepadając w nocy jak egzorcyzmowane duchy, zostawiając Radula czołgającego się z wysiłkiem metr za metrem aleją, i mnie, szesnastolatka, który stanął naprzeciw stali z pustymi rękami.

Chodź tu, mały gnojku. Diler szczyrzył się do mnie w mroku, prawie nucąc. Podeszedł bliżej i zablokował mi drogę ucieczki. Próbuja mnie. obrobić na moim terenie, co? Rozpruję cię, chłopcze, i nakarmię twoimi własnymi flakami.

I po raz pierwszy w życiu uświadomiłem sobie, czując się przy tym tak, jakby ktoś położył lodowate ręce na moim karku, że patrzę na człowieka, który mnie zabije, jeśli go nie powstrzymam.

Nie zbiję mnie jak ojciec, nie potnie jak jeden z nieudolnych zbirów z gangów, z którymi biliśmy się codziennie na ulicach Newpest. Zabije mnie. Zabije, a potem pewnie wydłubie mój stos i wrzuci go do zanieczyszczonych wód portu, gdzie zostanie dłużej, niż żyć będą wszyscy znani mi ludzie. Ten obraz i przerażenie na myśl o zatonięciu i zagubieniu się w skażonej wodzie pchnęły mnie do przodu, sprawiły, że uskokczyłem przed zamachem ostrej stali i uderzyłem go, gdy stracił równowagę od ciosu.

Potem obaj padliśmy w błoto, śmieci i amoniakalny smród fabrycznych odpadów, walcząc o osękę.

Odebrałem mu ją.

Uderzyłem i bardziej dzięki szczęściu niż celowaniu rozszarpałem mu nią brzuch.

Chęć walki opuściła go jak woda spływająca rynsztokiem. Zagulgotał głośno, szeroko otwierając oczy utkwione w mojej twarzy. Patrzyłem w nie, czując pulsujące w skroniach szal i strach, z aktywnym każdym chemicznym przełącznikiem w ciele. Ledwie byłem świadom tego, co właśnie zrobiłem. Potem padł na plecy, opierając się na kupie błota. Siedział tam, jakby był to jego ulubiony fotel. Z wysiłkiem poniosłem się na kolana, ociekając alkalicznym szlamem, złapany w jego spojrzenie. Zaciśnąłem palce na rękojeści osęki. Usta diler a zaczęły się niepewnie poruszać, z gardła wydobył mokry, desperacki dźwięk. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że jego wnętrzności zaczęły się o trzymany przeze mnie hak.

Poddałem się szokowi. Bezwiednie i spazmatycznie otworzyłem dłoń, wypuszczając hak. Zatoczyłem się od niego, zwymiotowałem. Ciche, błagalne dźwięki, jakie wydawał diler, utonęły w chrapliwych odgłosach torsji. Do ogólnego smrodu alei dołączył ostry, gorący odór świeżych wymiocin. Zgiąłem się konwulsyjnie i padłem na ziemię.

Chyba jeszcze żył, kiedy podniosłem się na nogi i poszedłem pomóc Segesvarowi. Wydawane przez niego dźwięki ścigały mnie przez całą aleję, a w wiadomościach następnego dnia podano, że wykrwawił się na śmierć gdzieś przed świtem. Z drugiej strony, te same dźwięki prześladowały mnie potem przez całe tygodnie za każdym razem, gdy udałem się w jakieś miejsce dostatecznie ciche, by usłyszeć własne myśli. Jeszcze przez większą część następnego roku budziłem się z nimi każdego ranka.

Odepchnąłem od siebie te wspomnienia. Przed moimi oczami z powrotem pojawiły się szklane

panele terminala. Z drugiej strony stołu uważnie przyglądał mi się Segesvar. Może on też wspominał. Skrzywił się.

- Czyli uważasz, że nie mam prawa okazywać złości? Znikasz bez słowa na dziewięć tygodni, zostawiasz mnie, żebym pilnował twojego łajna, i wystawiasz mnie na pośmiewisko w oczach pozostałych hajduków. A teraz chcesz opóźnić spłatę? Wiesz, co zrobiłbym z każdym innym, kto próbowałby czegoś takiego?

Kiwnąłem głową. Z cierpkim humorem przypomniałem sobie własną furię na Pleksa parę miesięcy temu, kiedy stałem w Tekitomurze, brocząc sztucznymi płynami fizjologicznymi.

My... hmm... musimy zmienić plany, Tak.

Chciałem go zabić tylko za to, że powiedział to w taki sposób.

- Myślisz, że trzydzieści procent to nie jest uczciwa cena?

Westchnąłem.

- Jesteś gangsterem, Rad, a ja - machnąłem ręką - nikim lepszym. Nie sądzę, byśmy dużo wiedzieli o sprawiedliwości. Zrób, jak chcesz. Zdobędę dla ciebie pieniądze.

- Dobra. - Wciąż na mnie patrzył. - Dwadzieścia procent. To zaspokoi twoje poczucie przyzwoitości?

Bez słowa potrząsnąłem głową. Sięgnąłem do kieszeni po stosy korowe i wyciągnąłem się w jego stronę z zaciśniętą pięścią.

- Masz. Po nie tu przyjechałeś. Cztery ryby. Zrób z nimi, co chcesz.

Odepchnąłem moje ramię i gniewnie dźgnąłem palcem w stronę mojej twarzy.

- Nie, przyjacielu. Zrobię z nimi to, co *ty* chcesz. To usługa, którą ci zapewniam, i nie chcę, żebyś o tym, do cholery, zapominał. Powiedziałem dwadzieścia procent. W porządku?

Decyzja wykrystalizowała się znikąd, tak szybko, że odczułem ją jak uderzenie w tył głowy. Analizując ją później, nie potrafiłem stwierdzić, co ją wyzwoliło, tylko że miałem wrażenie, jakbym znów wsłuchiwał się w cichutki głos w głowie powtarzający, że mam się pospieszyć. Wrażenie to przeszło przeze mnie jak nagłe ciarki na dłoniach i strach, że spóźnię się na coś, co było ważne.

- Mówiłem poważnie, Rad. Sam zdecyduj. Jeśli ma cię to kosztować utratę twarzy przed hajdukami, daj spokój. Wyrzucę je gdzieś na Bezmiarze i możemy zapomnieć o wszystkim. Daj mi rachunek, a ja znajdę sposób, by go spłacić.

Uniósł ręce w geście, który skopiował, gdy byliśmy młodzi, z sensorii o hajdukach, takich jak *Przyjaciele Ireni Cozmy czy Głosy bandytów*. Z trudem powstrzymałem uśmiech. A może po prostu opanowało mnie szybko wzbierające wrażenie ruchu, przypominające narkotyk podjęcia decyzji i tego, co znaczyła. W tej chwili głos Segesvara stał się nagle niczym pszczoła, brzęcząc na granicy słyszalności. Wygłuszałem go.

- Dobra, *pieprzyć to*. Piętnaście procent. Daj spokój, Tak. To uczciwe. Jeśli zejdziesz niżej, moi ludzie załatwią mnie za pobłażliwość. Piętnaście procent, tak?

Wzruszyłem ramionami i znów wyciągnąłem zaciśniętą pięść.

- Dobra, piętnaście procent. Nadal je chcesz?

Przysunął otwartą dłoń do mojej pięści, odebrał stosy klasycznym gestem ulicznego kieszonkowca i schował je do kieszeni.

- Cholernie ciężko się z tobą targuje, Tak - burknął. - Ktoś ci to już mówił?

- To komplement, prawda?

Znów coś odburknął. Wstał i otrzepał ubranie, jakby siedział wprost na ziemi. Kiedy wstałem za nim, zbliżył się do nas żebrak w łachmanach.

- Jestem weteranem lików - wymamrotał. - Spaliłem się, zabezpieczając Nowe Hokkaido dla

nowego stulecia, człowieku, załatwiłem dużą spółdzielnię wimów. Masz...

- Nie, nie mam pieniędzy - niecierpliwie uciał Segesvar. - Słuchaj, jeśli chcesz, możesz wziąć moją kawę. Jest jeszcze ciepła.

Zauważył mój wzrok.

- No co? Jestem pieprzonym gangsterem, nie? Czego się spodziewasz?

* * *

Na Bezmiarze Rostów panowała wszechogarniająca cisza. Nawet warkot turbin ślizgacza wydawał się przytłumiony, wchłonięty przez pusty, płaski krajobraz i strzępki wilgotnych chmur w górze. Stałem przy relingu z włosami rozwianymi szybką jazdą i wdychałem charakterystyczny zapach świeżych pięknorostów. Wody Bezmiaru były go pełne, a przejazd dowolnej jednostki wyciągał go na powierzchnię. Zostawialiśmy za sobą szeroki pas poszarpanej roślinności i mętnych turbulencji, które na uspokojenie się będą potrzebować większej części godziny.

Po mojej lewej stronie Suzi Petkowska siedziała w kokpicie i sterowała z papierosem w dłoni, mrużąc oczy z powodu dymu i blasku lekko zachmurzonego nieba. Michał siedział na drugim pomoście, zwalony pod relingiem jak worek z balastem. Jak dotąd przez całą drogę milczał ponuro, emanując złością z powodu tego, że zmuszono go do wyjazdu, ale nic poza tym. Od czasu do czasu drapał się posępnie w gniazdo na karku.

Od sterburty przemknęła porzucona stacja belująca, składająca się z paru plastobańkowych szop i poczerńniętego pomostu z lustrodrzewu. Wcześniej widzieliśmy ich więcej, niektóre nadal pracowały, oświetlone od środka, i ładowały pięknorosty na duże automatyczne barki. Ale to było na trasie wzdłuż jeziora Newpest. Tak daleko małe wysepki bezczynnego przemysłu tylko wzmacniały poczucie pustki.

- Handel rostami podupadł, co? - Krzyknąłem, by przebić się przez huk turbin.

Suzi Petkowska zerknęła w moją stronę. - Co?

- Handel pięnkorostami - wrzasnąłem znowu, wskazując na zostającą z tyłu stację. - Podupadł ostatnio, tak?

Wzruszyła ramionami.

- Rynek towarowy zmienia się tak, że nigdy nie jest bezpiecznie. Większość niezależnych zwinęła się dawno temu. Tutaj tylko KosUnity prowadzi te duże ruchome trawlerzy, z własnym przetwarzaniem i prasowaniem od razu na pokładzie. Trudno z nimi konkurować.

Nic nowego. Czterdzieści lat temu, zanim odleciałem, od Suzi Petkowskich tego świata słyszało się takie same flegmatyczne narzekania na warunki ekonomiczne. Ta sama twarda, zadymiona papierosami zdolność do przetrwania, ponure wzruszenie ramion, jakby polityka była jakimś rodzajem potężnego, kapryśnego systemu pogodowego, z którym nic się nie dało zrobić.

Znów wpatrzyłem się w niebo.

Po jakimś czasie zadzwonił telefon w mojej kieszeni. Przez chwilę się wahałem, po czym drgnąłem z irytacją, wyciągnąłem go i przycisnąłem do ucha.

- Tak, słucham.

Upiorny szum mocno przyciśniętej do ucha, elektronicznej ciszy, poruszenie jak dźwięk pary czarnych skrzydeł bijących w bezruchu nad głową. Ślad głosu, słowa szeptane mi do ucha.

...nie zostało wiele czasu...

- Tak, mówiłaś to. Jadę najszybciej jak się da.

...nie powstrzymam ich dłużej...

- Tak, pracuję nad tym.

...pracujesz teraz... Brzmiało to jak pytanie.

- Tak, powiedziałem...

...tu są skrzydła... tysiące machających skrzydeł i cały świat pęknięty...

Głos gasł, jak źle dostrojony kanał, chwiejnie, trzepocząc do całkowitej ciszy.

pęknięcie otwarte od brzegu do brzegu... jest piękne, Micky...

I znikł.

Poczekalem chwilę, po czym opuściłem telefon i zważyłem go w dłoni. Skrzywiłem się i wsadziłem go z powrotem do kieszeni.

Zerknęła na mnie Suzi Petkowska.

- Złe wieści?

- Tak, można tak powiedzieć. Nie da się jechać szybciej?

Zdążyła już na powrót wpatrzeć się w wodę z przodu. Zapalała nowego papierosa od tego trzymanego w dłoni.

- Bezpiecznie nie.

Kiwnąłem głową i odtworzyłem w głowie odebrany właśnie komunikat.

- A ile w takim razie kosztowałyby mnie niebezpiecznie?

- Dwa razy tyle?

- Dobrze.

Na jej ustach pojawił się ponury uśmiezek. Wzruszyła ramionami, wygasila papierosa i wsunęła go sobie za ucho. Sięgnęła do wyświetlaczy w kokpicie i dźgnęła kilka ekranów. Powiększył się obraz z radaru. Krzyknęła coś do Michała w ulicznym dialekcie węgierskiego, który przez czas mojej nieobecności zmienił się tak mocno, że prawie nic nie rozumiałem. *Ziai na dół i trzymaj się z dala od...* czegoś? Posłał jej ponure spojrzenie, po czym oderwał się od relingu i przeszedł do kabiny.

Zwróciła się z powrotem do mnie, nie odwracając już wzroku od wyświetlaczy.

- Pan też. Lepiej niech pan tam usiądzie. Po przyspieszeniu możemy trochę chlapać.

- Mogę się trzymać.

- Tak, ale wołałabym, żeby siedział pan tam razem z nim. Będzie miał pan z kim rozmawiać, będę tu zajęta.

Pomyślałem o sprzęcie, który widziałem upchnięty w kabinie.

Wtyczki nawigacyjne, zestaw rozrywkowy, modyfikatory przepływu. Kable i wtyczki. Zastanowiłem się też nad zachowaniem dzieciaka i tym, jak drapał gniazdo na karku, przypomniałem sobie jego brak zainteresowania całym światem. Nagle nabrało to sensu, na który wcześniej nie zwracałem uwagi.

- Jasne - rzuciłem. - Zawsze dobrze z kimś porozmawiać, prawda?

Nie odpowiedziała. Może już zanurzyła się w ciemne obrazy z radaru i naszą drogę przez Bezmiar, a może po prostu myślała o czymś innym. Zostawiłem ją i ruszyłem na rufę.

Nad moją głową turbiny przeszły do upiornego wycia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

W końcu czas na Bezmiarze Rostów nieruchomieje.

Zaczyna się od zauważania szczegółów - zakrzywiony korzeń krzewów tepes, wystający z wody jak na wpół rozłożone kości jakiegoś zatopionego, humanoidalnego olbrzyma, plamy czystej wody w miejscach, gdzie pięknorost nie chciał rosnąć i można sięgnąć wzrokiem do bladoszmaragdowego dna z piasku, lekka krzywizna błotnistej brzegu, porzucona łódź zbieracza sprzed paru stuleci, wciąż nie do końca porośnięta mchem sakate. Ale takie widoki należą do rzadkości. Spojrzenie obejmuje bezkresny, płaski horyzont, a później, próbując przenieść wzrok na szczegóły, ma się wrażenie, jakby przypływ kierował go na powrót ku niebu.

Siedzi się i słucha odgłosów silnika, bo nie ma się absolutnie nic innego do roboty. Patrzy się na horyzont i zatapia we własnych myślach, bo nie ma się na czym ich skupić.

...szybciej...

Ufam ci, Micky. Opiekuj się nią, nią, nią, nią...

Nią.

Sylvie ze srebrną grzywą. Jej twarz...

Jej twarz, subtelnie zmieniona przez kobietę, która podpełzła i ukradła ją. Jej głos, delikatnie modulowany...

Nie mam pojęcia, czy lub kiedy wróci Sylvie Oshima.

Nadiu, usiłuję ci pomóc.

Zastanawia się, kim, u diabła, naprawdę jest Micky Szczęściarz i czy bezpiecznie jest się go trzymać. Czy nie wypieprzy jej przy najbliższej okazji.

Zastanawia się, gdzie, u diabła, wybierasz się z duszami tylu martwych kapłanów.

Szczupła, skupiona twarz Todora Murakamiego na promie. Fajkowy dym porywany przez wiatr.

A więc o co chodzi tym razem? Myślałem, że trzymasz się Radula Segesvara. Nostalgia za domem i tania zorganizowana przestępczość. Czemu znów jedziesz na północ?

Już czas wrócić na szlak. Do aktualnego zajęcia.

Aktualne zajęcie. Tak, to rozwiąże wszystkie twoje problemy, Micky.

Przestań, u diabła, tak mnie nazywać.

I krzyki. Rozdziawione dziury wycięte w kręgosłupach na wysokości karku. I ciężar stosów korowych na dłoni, wciąż śliskich od oblepiającej je tkanki. I pustka, której nie da się zapełnić.

Sara.

Aktualne zajęcie.

Usiłuję pomóc.

...szybciej...

Ufam ci...

Usiłuję pomóc...

...szybciej...

PRÓBUJĘ...

- Brzeg. - Głos Suzi Petkowskiej zabrzmiał przez kabinowy głośnik, lakoniczny i dostatecznie mocny, by się go uchwycić. - Za piętnaście minut dotrzemy do Sourcetown.

Porzuciłem swoje rozważania i spojrzałem w lewo, gdzie na horyzoncie z powrotem pojawiło się wybrzeże Kossutha. Unosiło się jak czarna, nierówna linia na poza tym gładkim horyzoncie, po czym sprawiało wrażenie, jakby skakało i rozwijało się w sekwencję niskich wzgórz i okazjonalnych błysków białych wydm. Tylina strona Vchiry, zatopione szczyty antycznego górskiego grzbietu,

zredukowanego przez epoki geologiczne do siedmiusetkilometrowego sierpa bagien otoczonych barierą pływową z jednej strony i płachtami krystalicznie białego piasku z drugiej.

Któregoś dnia, poinformował mnie jeden z długoterminowych mieszkańców Sourcetown blisko pół wieku temu, *morze przebije się na całej długości*. Przerwie barierę i wleje się w Bezmiar Rostów jak wroga armia przełamująca długo trzymany front. Zniszczy ostatnie bastiony i zniweczy plażę. *Któregoś Dnia*, stary, powtórzył wolno mieszkaniac Sourcetown, podkreślając duże litery, i uśmiechnął się do mnie w sposób, w którym nauczyłem się już rozpoznawać typowy luz surfera. *Któregoś Dnia, ale Nie Dziś. I dopóki nie przyjdzie Już, po prostu trzeba wyglądać na morze, stary. Po prostu patrzeć tam, nie oglądać się za siebie i nie martwić się tym, co trzyma to wszystko w kupie.*

Któregoś Dnia, ale Nie Dziś. Po prostu patrz w morze.

Pewnie można to nazwać filozofią. Na plaży Vchira często za nią uchodzi. Może ograniczoną, ale z drugiej strony, słyszałem w innych miejscach znacznie gorsze teorie na temat wszechświata.

Kiedy dojeżdżaliśmy do południowego skraju Sourcetown, niebo nad Bezmiarem oczyściło się i w świetle słońca zacząłem dostrzegać oznaki życia. Sourcetown tak naprawdę nie jest miejscowością, to przybliżenie, ogólny termin obejmujący stusiedemdziesięciokilometrowy pas brzegu z usługami dla surferów i związanej z nimi infrastruktury. W najprymitywniejszej formie zaczyna się jako porozrzucane wzdłuż plaży namioty i plastobańki, pokoleniowe osiedla i miejsca do grillowania, prosteszozy z pięknorostów i bary. Dalej trwałość budynków się zwiększa, a potem znów spada w miarę zbliżania się do Paska, przy czym zabudowa mija miejsca, gdzie surfuje się nie tyle dobrze, co rewelacyjnie. A potem, w strefach Wielkiej Fali gęstość zaludnienia wzrasta do prawie miejskiego poziomu. Na wzgórzach za wydmiami pojawiają się prawdziwe ulice, wzdłuż nich oświetlenie uliczne i grupy wiecznobetonowych platform i pomostów odchodzących od paska ziemi w Bezmiar Rostów. Kiedy byłem tu ostatnio, naliczyłem pięć takich skupisk, każde z własną bandą entuzjastów zarzekających się, że najlepsze fale na kontynencie są *dokładnie tutaj, stary*. Z tego co wiedziałem, każdy z nich mógł mieć rację. Możliwe, że do tego czasu powstało pięć kolejnych.

Nie mniejszym zmianom podlegała lokalna populacja. Wzdłuż całego Paska leniwie przemieszczały się fale zaludnienia - niektórzy poddawali się zmianom pięciu pór roku Świata Harlana, inni skomplikowanemu rytmowi trójksiężycowych przyptywów, jeszcze inni dłuższemu, ospałemu pulsowi czasu życia powłoki aktywnego surfera. Ludzie przybywali, odchodzili i wracali. Czasem ich lojalność względem konkretnego miejsca na plaży wytrzymywała zmianę cykli, czasem nie. Zdarzało się też, że lojalności w ogóle nie dochowywano.

Nigdy nie było łatwo znaleźć kogoś na Pasku. W wielu przypadkach był to powód, dla którego ludzie tu przybywali.

- Zbliża się Kem Point. - Znów głos Petkowskiej w tle wyjących turbin. Sprawiała wrażenie zmęczonej. - To panu wystarczy?

- Tak, może być. Dzięki. - Wyrząłem na zbliżające się wiecznobetonowe platformy i niskie budynki, wznoszące się na nich nad wodami Bezmiaru, niechlujnie wspinające się na wzgórze w tle. Na kilku platformach i pomostach siedziało parę osób, ale poza tym osada wydawała się wyludniona. Nie miałem pojęcia, czy był to właściwy koniec Sourcetown czy nie, ale gdzieś musiałem zacząć. Chwyciłem taśmę i podciągnąłem się na nogi, gdy ślizgacz wykręcił w lewo. Zerknąłem przez kabinę na milczącego towarzysza.

- Miło się z tobą gawędziło, Michale.

Zignorował mnie, wbijając wzrok w okno. Nie odezwał się ani razu przez cały czas, gdy razem siedzieliśmy w kabinie, po prostu patrzył tępo na otaczający nas bezmiar. Parę razy zauważył, że mu

się przyglądam, kiedy drapał gniazda, i przestawał gwałtownie ze ściągniętą twarzą. Ale nawet wtedy się nie odzywał.

Wzruszyłem ramionami i już miałem wyskoczyć na pokład, kiedy o czymś pomyślałem. Przemierzyłemabinę i oparłem się o szkło, wypełniając pole widzenia Michała Petkowskiego. Zamrugał na mnie, gwałtownie wytrącony z zamyślenia.

- Wiesz - powiedziałem radośnie. - Udało ci się, że masz taką matkę. Ale tam, w wielkim świecie, są tylko faceci tacy jak ja. I za nic nie obchodzi nas, czy będziesz żył, czy zgnijesz. Jeśli nie ruszysz tyłka i nie weźmiesz się za interes, nikt inny tego nie zrobi.

Prychnął.

- Co, u diabła, ma to wspólnego z...

Ktoś bardziej doświadczony wyczytałby to z moich oczu, ale ten był zbyt wypełniony głodem kabła, zbyt zmęczony matczynym wsparciem. Z łatwością sięgnąłem do jego gardła, chwyciłem go i podniosłem z fotela.

- Widzisz, co mam na myśli? Kto mnie teraz powstrzyma przed zmiżdżeniem ci krtani?

- Ma... - wykrzeczał.

- Ona cię nie słyszy. Jest zajęta na górze zarabianiem na was oboje. - Przyciągnąłem go bliżej. - Michał, w świecie jesteś nieskończenie mniej ważny, niż pozwoliły ci wierzyć jej wysiłki.

Spróbował rozewrzeć moje palce. Zignorowałem te słabe usiłowania i ścisnąłem mocniej. Zaczął wyglądać na przerażonego.

- Biorąc pod uwagę to, jak się teraz ustawiłeś - podjąłem konwersacyjnym tonem - skończysz na stojaku z częściami zamiennymi w słabym oświetleniu. To jedyny pożytek, jaki przyniesiesz ludziom takim jak ja, a nikt nie stanie nam na drodze, kiedy po ciebie przyjdziemy, bo nikomu nie dałeś powodu, by go to obchodziło. Tym właśnie chcesz zostać? Częściami zamiennymi i dwuminutowym płukaniem?

Szarpnął się i zwisł bezwładnie, mocno czerwieniąc na twarzy. Gwałtownie potrząsnął głową. Potrzymałem go jeszcze parę chwil, po czym rozluźniłem uchwyt i rzuciłem go z powrotem na fotel. Zachłysnął się i zakaszłał, patrząc na mnie szeroko otwartymi, załzawionymi oczami. Jedną ręką zaczął masować sobie gardło w miejscu, gdzie go trzymałem. Kiwnąłem głową.

- To wszystko, Michale? Uważasz, że to, co dzieje się wokół ciebie, nazywa się życiem? - Nachyliłem się nad nim, a on drgnął. - Zainteresuj się innymi. Póki jeszcze możesz.

Ślizgacz uderzył o coś łagodnie. Wyprostowałem się i wyszedłem na pokład, w nagłe światło i upał. Unosiliśmy się między pomostami z lustrodrzewu przymocowanymi w strategicznych punktach do ciężkich, wiecznobetonowych wsporników. Silniki ślizgacza dociskały go łagodnie do najbliższego pomostu. Od lustrodrzewu ostro odbijało się późno-popołudniowe światło. Suzi Petkowska stała w kokpicie, mrużąc oczy w odbitym blasku.

- Podwójna stawka - przypomniała mi.

Podąłem jej chip i odczekałem, aż ściągnie z niego kwotę. Michał nie wyłonił się z kabiny. Może myślał nad swoim życiem. Jego matka oddała mi chip, osłoniła oczy i wskazała na coś palcem.

- Trzy ulice dalej jest miejsce, gdzie może pan tanio wynająć żuka. Przy tamtym maszcie nadawczym z flagami w smoki.

- Dzięki.

- Proszę. Mam nadzieję, że znajdzie pan tu to, czego szuka.

* * *

Minąłem wypożyczalnię żuków i pomaszerowałem przez miasteczko, wchłaniając szczegóły otoczenia. Aż do szczytu wzgórza wyglądało to na dowolne przedmieście Newpest od strony

Bezmiaru. Dominowała ta sama utylitarna architektura, taka sama mieszanka nabrzeżnych warsztatów i sklepów oraz barów i restauracji. Analogiczne wydeptane ulice z topionego szkła i identyczne zapachy. Ale kiedy spojrzęło się dół ze szczytu wzniesienia, podobieństwo nikło.

Pode mną drugie pół osady opadało w chaotycznych strukturach wznoszonych z każdego materiału, jaki tylko się do tego nadawał. Plastobańki stykały się z domami z drewna, szopami z materiałów wyrzuconych przez morze i bliżej dołu ze zwykłymi namiotami z materiału. Drogi z topionego szkła ustępowały kiepsko ułożonym betonowym płytom, potem piaskowi i w końcu szerokiej, białej plaży. Ruch tutaj był znacznie bardziej ożywiony niż od strony Bezmiaru, dominowali ludzie w skąpych strojach kierujący się ku oświetlonym popołudniowym słońcem falom. Co trzecia postać dźwigała pod pachą deskę. Morze błyszczało brudnym złotem i pełne było surferów unoszących się w wodzie obok desek czy wyprostowanych, sunących swobodnie przez łagodnie wybrzuszoną się powierzchnię. Słońce i dystans zmieniały ich w anonimowe, czarne przecinki.

- Cholernie ładny widok, co, koleś?

Dziecięcy, wysoki głos niepasujący do wypowiedzianych słów. Obejrzałem się i zobaczyłem mniej więcej dziesięcioletniego chłopca, który przyglądał mi się z drzwi. Ciało miał szczupłe i opalone, bladobłękitne oczy. Ubrany był w luźne szorty surferów. Włosy tworzyły splątana masę. Opierał się o futrynę z rękami złożonymi nonszalancko na nagich piersiach. Za nim, we wnętrzu sklepu zauważyłem rzędy desek. Aktywne ekrany wyświetlały reklamy softu szkoleniowego.

- Widywałem gorsze - przyznałem.

- Pierwszy raz na Vchirze?

- Nie.

- Czyli nie szukasz nauczyciela? - W jego głosie wyraźnie usłyszałem rozczerwanie.

- Nie. - Milczałem, oceniając, czy warto zadać mu to pytanie. - Od dawna jesteś na Pasku?

Wyszczrzył zęby.

- Wszystkie moje życia. Czemu?

- Szukam przyjaciół. Pomyślałem, że mógłbyś ich znać.

- Tak? A ty co, glina?

- Ostatnio nie.

Wyglądało na to, że udzieliłem właściwej odpowiedzi. Na jego twarz wrócił uśmiech.

- Ci przyjaciele się jakoś nazywają?

- Nazywali się, kiedy ostatnio tu byłem. Brasil. Ado, Tres. - Zawahałem się. - Może Viadura.

Wykrzywił wargi, wydał je i wciągnął powietrze przez zęby. Wyraźnie były to gesty wyuczone w innym, starszym ciele.

- Jack Soul Brasil? - zapytał ostrożnie.

Kiwnąłem głową.

- Jesteś Robaczkiem?

- Ostatnio nie.

- Ekipa Multiflores?

Wciągnąłem powietrze.

- Nie.

- DaKroom Boy?

- Ty się jakoś nazywasz? - zapytałem go.

Wzruszył ramionami.

- Jasne. Milan. Tutaj mówią na mnie Gungetter.

- Słuchaj, Milan - powiedziałem ciężko. - Zaczynasz mnie cholernie irytować. Będiesz mógł mi pomóc, czy nie? Wiesz, gdzie jest Brasil, czy tylko nadymasz się jego reputacją, która została tu po tym, jak przechodził trzydzieści lat temu?

- Hej. - Zmrużył bladoniebieskie oczy. Rozłożył ramiona z dłońmi zaciśniętymi w pięści. - Wiesz, koleś, ja tu *mieszkam. Surfuję*. Kręciłem się po Vchirze, kiedy ty byłeś mokrą plamą w rurze matki.

- Wątpię, ale nie wchodźmy w szczegóły. Szukam Jacka Soul Brasila. Znajdę go z tobą lub bez ciebie, ale może oszczędzisz mi trochę czasu. Pytanie brzmi, czy zamierzasz to zrobić.

Wbił we mnie wzrok, nie rezygnując z gniewnej postawy. W dziesięcioletniej powłoce nie robiło to wielkiego wrażenia.

- Pytanie brzmi, koleś, czy *warto* ci pomagać?

- Ach.

Opłacony, Milan chętnie dzielił się strzępami wiadomości w sposób, który miał ukryć bardzo fragmentaryczną wiedzę. Kupiłem mu rum i kawę w kawiarni naprzeciw jego sklepu - *nie mogę po prostu zamknąć interesu, koleś, stracę więcej niż jedno popołudnie* - i spokojnie przeczekałem etap, w którym tylko snuł opowieści. Większość z tego, co mi powiedział, mogłem natychmiast zidentyfikować jako powszechnie znane, plażowe legendy, ale parę uwag dowodziło, że faktycznie kilka razy spotkał Brasila i może nawet z nim surfował. Ostatnie spotkanie miało miejsce chyba z dekadę temu. Wspólna walka gołymi rękami w konfrontacji z surferskim gangiem Harlańskich Lojalistów, kilka kilometrów na południe od Kem Point. Trochę przesadzonych opisów, trochę skromności i ran - *powinieneś być zobaczyć pieprzone blizny na tamtej powłoce, stary, czasem jeszcze mi ich brakuje* - ale najwyższe pochwały zarezerwowane były dla Brasila. *Jak pieprzona pantera błotna, koleś. Sukinsyny rozdarli mu klatę, nawet nie zauważył. Rozszarpał ich na strzępy. Nic po nich nie zostało. Wysłał ich na północ w kawalkach*. A po tym wszystkim świętowanie - blask ogniska i krzyki kobiet w orgazmie, w tle szum fal.

Była to standardowa bajka, którą słyszałem już chyba od innych entuzjastów Vchiry. Przebiwszy się przez bardziej oczywiste upiększenia, wyłuskałem jeden użyteczny szczegół. Brasil miał pieniądze - *dzięki kilkuletniej pracy z Małymi Niebieskimi, jasne. Nie musi teraz zarabiać na życie, ucząc nowicjuszy, sprzedając deski czy szkoląc powłoki dla jakichś pieprzonych artystów z Millsport* - ale wciąż nie pisał się na reinkarnację w klonach. Będzie nosił dobre ciało surfera, ale nie poznam jego twarzy. *Szukaj pieprzonych blizn na jego klatce, koleś*. Tak, wciąż nosił długie włosy. Aktualne plotki na jego temat sugerowały, że zakopał się w sennej osadzie na plaży gdzieś na południu. Podobno uczył się grać na saksofonie. Był taki jazzman, kiedyś grywał z Csango Juniorem, który powiedział Milanowi...

Zapłaciłem za drinki i podniosłem się do wyjścia. Słońce już zaszło i brudne złoto wyparowało do ciemnego ołowiu. Na plaży pod nami budziły się światła. Zacząłem się zastanawiać, czy dotrę do wypożyczalni żuków, zanim ją zamkną.

- A ten artysta... - rzuciłem luzno. - Przez pięć lat uczysz jego ciało surfować, wyrabiasz w nim odruchy... Co z tego masz?

Milan wzruszył ramionami i wypił resztkę rumu. Złagodniał dzięki pieniądзом i alkoholowi.

- Wymieniamy się powłokami. Dostaję to, co on nosi, w zamian za to, wiek szesnaście lat. Czyli dostaję trzydziestoparoletnią powłokę arystokraty, z kosmetycznymi przeróbkami i poświadczoną wymianą, żebym nie próbował podawać się za niego, poza tym katalogowo nietknięte. Górna półka oferty klonowej, ze wszystkimi peryferiami wbudowanymi w standardzie. Niezły interes, co?

Pokiwałem niezobowiązująco głową.

- Tak, jeśli dba o to, co nosi, pewnie tak. Artystyczny styl życia, jaki zdarzało mi się widzieć, może doprowadzić do zużycia.

- Nie, gość jest w formie. Przyjeżdża tu co jakiś czas doglądać swojej inwestycji, wiesz, trochę pływa i surfuje. Byłby tu i w tym tygodniu, ale został z powodu afery z limuzyną Harlana. Ma trochę nadwagi i oczywiście za nic nie potrafi surfować. Ale takie rzeczy to pestka, kiedy...

- Afera z limuzyną Harlana? - Nerwy wypełniła mi świadomość Emisariusza.

- Tak, no wiesz... Ślizgacz Seichiego Harlana. Ten facet ma powiązania z tą gałęzią rodziny, musiał...

- Co się stało z tym ślizgaczem?

- Nie słyszałeś? - Milan zamrugał i wyszczerzył zęby. - Gdzieś ty był, koleś? Od wczoraj trąbią o tym w całej sieci. Seichi Harlan zabrał swoich synów i przybrane córki do Grani Rila, ślizgacz wyparował na Reach.

- Jak wyparował?

Wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wiedzą. Po prostu eksplodował. Na zdjęciach, które pokazali, wygląda, jakby od środka. Zatonął w parę sekund, a przynajmniej to, co z niego zostało. Wciąż szukają resztek.

Musieliby mieć szczęście. O tej porze roku malstrom dawał o sobie znać z bardzo dużej odległości, a prądy w Reach były śmiertelnie nieprzewidywalne. Tonące kawałki wraku mogły być niesione całe kilometry, zanim osiadły na dnie. Poszarpane resztki Seichiego Harlana i jego rodziny mogły wylądować w tuzinie miejsc między porozrzucanymi wysepkami i rafami archipelagu Millsport. Odzyskiwanie stosów będzie koszmarem.

Moje myśli pomknęły z powrotem do Pięknorostów Kohei i przesyconych take wynurzeń Pleksa. *Nie wiem, Tak. Naprawdę. To jakiś rodzaj broni, coś z czasów Niepokojów.* Powiedział, że ma to charakter biologiczny, ale sam przyznawał, że nie wie dokładnie. Został odcięty przez wysokiego poziomu yakuzę i Aiurę, pracującą dla rodziny Harlana. Aiurę, która kierowała ograniczeniem zniszczeń i sprzątaniem.

W moim umyśle pojawił się kolejny strzęp wspomnień. Okryta śniegiem Drava. Czekaliśmy w przedpokoju Kurumayi, oglądając bez zainteresowania światowe wiadomości. Wspomniano o przypadkowej śmierci jakiegoś mniej ważnego potomka Harlana w dzielnicy portowej Millsport.

Właściwie nie było tu oczywistego związku, ale intuicja Emisariusza nie działa w taki sposób. Po prostu kolekcjonuje dane, aż zaczyna się z nich wyłaniać jakiś wzór. Do czasu, aż powiązania staną się przejrzyste. Jeszcze niczego nie dostrzegałem, ale elementy śpiewały we mnie jak linki na wietrze.

A do tego jeszcze cichy, uparty głos w tle: *szybciej, szybciej, nie ma czasu.*

Wymieniłem z Milanem słabo pamiętany uścisk dłoni Vchiry i szybko ruszyłem z powrotem na wzgórze.

* * *

Wypożyczalnia żuków była jeszcze czynna, a obsługiwał ją znudzony pracownik o wyglądzie surfera. Ożywił się po to, by dowiedzieć się, że nie jestem surferem i nawet do tego nie aspiruję, po czym przeszedł w mechaniczny tryb klient-usługa. Praca, za którą ukrywał odsłonięte na chwilę wewnątrz duszy trzymające go na Vchirze, płomień entuzjazmu skryty starannie na okazje, kiedy mógł dzielić go z podobnymi sobie. Ale dość kompetentnie zaferował mi krzykliwie pomalowanego, jednomiejscowego żuka wyścigowego i pokazał mi oprogramowanie mapujące z punktami wzdłuż Paska, gdzie mogłem zdać sprzęt. Na moje żądanie dostarczył również preformowany kombinezon przeciwuderzeniowy z polistopu i hełm, choć widać było przy tym, jak jego już i tak niskie

mniemanie na mój temat zapada się głęboko pod ziemię. Wyglądało na to, że na Vchirze wciąż było sporo ludzi, którzy nie potrafili odróżnić ryzyka od głupoty.

Może łącznie z tobą, Tak Zrobiłeś ostatnio coś, co nie wymagało ryzyka?

Dziesięć minut później ubrany w kombinezon oddalałem się od Kem Point, sunąc za stożkiem świtała z reflektora w gęstniejącym mroku wieczoru.

Podążałem na południe, szukając kiepskiego saksofonisty.

Miewałem lepsze namiary na człowieka, ale na moją korzyść działała jedna rzecz. Znałem Brasila i wiedziałem, że jeśli dotrze do niego, że ktoś go szuka, nie będzie się ukrywał. Wyjdzie, żeby rozprawić się z tym tak, jak wiosłował w górę wielkiej fali. Tak jak staje się naprzeciw bandy Harlańskich Lojalistów.

Wystarczy narobić dość szumu, a nie będę musiał go szukać.

Sam mnie znajdzie.

* * *

Trzy godziny później zjechałem z autostrady w zimne, niebieskawe światło oblepionych przez owady lamp rtęciowych wokół całodobowej restauracji i warsztatu. Miałem wrażenie, że narobiłem już dość szumu. Zdecydowanie uszczupliłem zapas niskiej wartości chipów kredytowych, w głowie szumiało mi nieco od zbyt wielu wspólnych drinków i dymu w górze i dole Paska, a kostki prawej dłoni wciąż bolały lekko od kiepsko wycelowanego ciosu w plażowej tawernie, gdzie nie traktowano ciepło obcych rozpytujących o lokalne legendy.

W świetle lamp noc była przyjemnie chłodna, a po parkingu snuły się grupki surferów z butelkami i fajkami w dłoniach. Śmiech wydawał się odbijać od wyciemnionej przestrzeni wokół, ktoś głośno opowiadał historię połamanej deski. Jedna czy dwie poważniejsze grupy skupiły się wokół naprawianych pojazdów. Docierały do mnie błyski laserowych palników, strzelające zielonymi i fioletowymi iskrami egzotycznych stopów.

Przy barze dostałem zdumiewająco dobrą kawę i zabrałem ją na zewnątrz, żeby przyglądać się surferom. Do tej kultury nigdy się nie zbliżyłem w trakcie młodzieńczych lat w Newpest - zasady gangu nie pozwalały na poważne zaangażowanie w nurkowanie i jazdę na fali jednocześnie, a nurkowanie dopadło mnie pierwsze. Zawsze już pozostałem mu wierny. Pociągało mnie coś w cichym świecie pod powierzchnią. Panował tam niezmierny, powolny spokój, ucieczka od ulicznego szaleństwa i jeszcze bardziej dzikiego życia w domu.

Można się tam było zatopić w sobie.

Dopiłem kawę i wróciłem do środka na kolację. Powietrze przesycił zapach zupy rybnej, wykręcając mi wnętrności. Nagle dotarło do mnie, że nie jadłem nic od czasu późnego śniadania z Japaridze na mostku *Córki Hajduka*. Wspiąłem się na stołek barowy i skinąłem na tego samego napakowanego mętem dzieciaka, który podał mi kawę.

- Dobrze pachnie. Co macie?

Wyciągnął poobijanego pilota i machnął nim w stronę autokucharza. Nad kolekcją kotłów pojawiły się holowyświetlacz. Przejrzałem je i wybrałem jedną z moich ulubionych potraw, której właściwie nie dało się zepsuć.

- Daj mi chili z płaszczki. Płaszczka jest mrożona, prawda? Wywrócił oczami.

- A co, spodziewa się pan świeżej? W takim miejscu? Za tę cenę?

- Dawno mnie tu nie było..

Ale nie wywołało to żadnej reakcji na jego znieczulonej mętem twarzy. Po prostu wprowadził w ruch autokucharza i oddryfował w kierunku okien, przyglądając się surferom, jakby byli jakąś rzadką i piękną odmianą podmorskich stworzeń uwięzionych w akwarium.

Byłem w połowie dania, gdy za moimi plecami otworzyły się drzwi. Nikt nic nie powiedział, ale już wiedziałem. Odstawiłem miskę i wolno odwróciłem się na stołku.

Był sam.

Nie miał pamiętanej przeze mnie twarzy, nawet nie był podobny. Powłoka miała łagodniejsze i szersze rysy niż przy ostatnim spotkaniu, splątana grzywę blond włosów przeplatanych siwizną i kości policzkowe, które zawdzięczały tyle samo słowiańskim korzeniom, co jego upodobaniu do profilu z Adoracion. Ale ciało niezbyt się różniło - wewnątrz luźnego kombinezonu dostrzegłem szczupłą klatkę piersiową i ramiona, wąską talię i nogi, duże dłonie. A z jego ruchów wciąż emanowała ta sama swoboda.

Poznałem go równie bezbłędnie, jakby rozerwał kombinezon, by pokazać mi blizny na piersi.

- Słyszałem, że mnie szukasz - powiedział spokojnie. - Znam cię?

Uśmiechnąłem się.

- Cześć, Jack. Co słychać u Yirginii?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że to ty, młody.

Siedziała na wydmie obok mnie i harpunem na butlogrzbiety rysowała trójkąty na piasku między stopami. Była jeszcze mokra od pływania, woda perliła się na jej opalonej skórze surferki, a krótko ścięte włosy sterczały w nierównych kępkach na głowie. Do elfiej twarzy trzeba się było chwilę przyzwyczajać. Była przynajmniej dziesięć lat młodsza, niż kiedy ostatni raz ją widziałem. Z drugiej strony, pewnie miała ten sam problem ze mną. Cały czas z nieprzeniknioną twarzą wpatrywała się w piasek. Mówiła z oporami, tak samo jak obudziła mnie w gościnnym pokoju o świcie, pytając, czy chcę pójść z nią na plażę. Miała całą noc na to, by uporać się z zaskoczeniem, ale wciąż zerkała na mnie ukradkowo, jakby było to niedozwolone.

Wzruszyłem ramionami.

- We mnie łatwiej uwierzyć, Virginio. To nie ja wróciłem z martwych. I nie mów do mnie „młody”.

Uśmiechnęła się lekko.

- W którymś momencie wszyscy wracamy z martwych, Tak. Ryzyko zawodowe, pamiętasz?

- Wiesz, o czym mówię.

- Tak. - Przez chwilę patrzyła w dal, gdzie wschód słońca przebijał się niepewnie przez wczesnoporanne mgły. - A więc ty jej wierzysz?

- Że jest Quell? - Westchnąłem i zgarnąłem pełną dłoń piasku. Patrzyłem, jak przesypuje mi się przez palce i z boków dłoni. - Wierzę, że ona w to wierzy.

Virginia Viadura niecierpliwie machnęła ręką.

- Spotykałam kablogłowych wierzących, że są Konradem Harlanem. Nie o to pytałam.

- Wiem, o co pytałaś, Virginio.

- Więc odpowiedz na to cholerne pytanie - powiedziała bez złości. - Niczego cię nie nauczyłam w Korpusie?

- Czy to Quell? - Ślady wilgoci po pływaniu sprawiły, że na dłoniach zostały mi delikatne ścieżki piasku. Potarłem palce, żeby się ich pozbyć. - Jak to możliwe, prawda? Quell nie żyje. Wyparowała. I to bez względu na to, co twoi kumple w domku roją sobie w politycznych mokrych snach.

Obejrzała się przez ramię, jakby sądziła, że nas usłyszą. Mogliby się obudzić i zejść na plażę, ziewając i przeciągając się, wypoczęci i gotowi obrazić się za mój brak szacunku.

- Pamiętam czasy, kiedy sam o tym marzyłeś, Tak. Czasy, kiedy chciałeś, by wróciła. Co się z tobą stało?

- Sanction IV się stało.

- Ach. Sanction IV. Rewolucja wymagała nieco więcej poświęcenia, niż się spodziewałeś, tak?

- Nie było cię tam.

Zapadła między nami cisza. Odwróciła wzrok. Niewielka grupa Brasila nominalnie w całości składała się z quellistów - a przynajmniej neoquellistów - ale Virginia Viadura była między nimi jedyną z warunkowaniem Emisariusza. Zdolność do świadomego samooszukiwania się wyłęczekowano z niej w sposób, który nie pozwalał na łatwe emocjonalne wiązanie się z legendą czy dogmatem. Tłumaczyłem sobie, że warto słuchać jej opinii. Miała do tego dystans.

Czekałem. W dole na plaży fale utrzymywały wolny, pełen oczekiwania rytm.

- Przykro mi - powiedziała w końcu.

- Daj spokój. Wszyscy potrzebujemy od czasu do czasu tego, by otrzeć się o marzenie, prawda?

A gdyby to nie bolało, byłyby to mizerne marzenia drugiej kategorii.

Skrzywiła usta.

- Widzę, że wciąż ją cytujesz.

- Parafrazuję. Słuchaj, Virginio, popraw mnie, jeśli się mylę, ale nie istnieją dokumenty potwierdzające, że Nadia Makita kiedykolwiek zrobiła sobie kopię, prawda?

- Nie ma też żadnych dokumentów na kopiowanie Takeshiego Kovacsa. A jednak jakiś się tam kręci.

- Tak, nie przypominaj mi. Ale to pieprzona rodzina Harlana i dobrze wiesz, czemu mieliby ochotę to zrobić. Dostrzegasz chyba zalety sytuacji.

Rzuciła mi kosę spojrzenie.

- Cóż, dobrze wiedzieć, że czas spędzony na Sanction IV nie zaszkodził twojemu ego.

- Daj spokój, Virginio. Jestem byłym Emisariuszem, zabójcą. Mogę się przydać. A dość trudno sobie wyobrazić, by rodzina Harlana robiła kopię kobiety, która prawie doszczętnie zniszczyła ich oligarchię. Zresztą, w jaki sposób kopia osoby o takim znaczeniu historycznym trafiłaby do czaszki absolutnie zwyczajnej artystki lików?

- Nie takiej znowu zwyczajnej. - Znów dłubała w piasku. Przerwa w rozmowie się przeciągała.

- Takeshi, wiesz, że Jaros i ja...

- Tak, rozmawiałem z nim. To on mi powiedział, żeby cię tu szukać. Prosił, bym przekazał pozdrowienia, jeśli cię znajdę. Ma nadzieję, że ci dobrze.

- Naprawdę?

- Cóż, tak naprawdę powiedział *a, pieprzę*, ale czytam między wierszami. Czyli wam się nie udało?

- Nie, nie udało się. - Westchnęła.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie ma sensu, to było tak dawno temu. - Dźgnęła w piasek harpunem. - Nie wierzę, że wciąż o tym pamięta.

Wzruszyłem ramionami.

- *Jeśli mamy zrealizować nasze marzenia, musimy być gotowi żyć w skalach czasowych, o jakich nasi przodkowie mogli tylko pomarzyć.*

Tym razem jej spojrzenie przesycone było złością, która nie pasowała do eleganckich, nowych rysów.

- Usiłujesz być cholernie śmieszny?

- Nie, zauważam, że myśl quellistowska oferuje szeroki zakres...

- Zamknij się, Tak.

Korpus Emisariuszy nigdy nie trzymał się kurczowo tradycyjnego modelu autorytarnego, przynajmniej nie w sposób, do jakiego przywykła większość ludzi. Ale trudno było pokonać przyzwyczajenia i założenie, że warto słuchać wykładowców. A kiedy budzą się w człowieku uczucia podobne do...

Zresztą, nieważne.

Zamknąłem się. Wsłuchałem się w szum fal.

Jakiś czas później od domu zaczęły do nas dobiegać chropawe dźwięki saksofonu. Virginia Viadura wstała i obejrzała się z nieco łagodniejszym wyrazem twarzy, osłaniając oczy. W przeciwieństwie do wielu noclegowni surferów, jakie wydziałem, krążąc po tym kawałku Paska, dom Brasila został zbudowany, nie wydmuchany. Wsporniki z lustrodrzewu wychwytywały szybko nabierające mocy światło słońca i błyszczały jak olbrzymie miecze. Wysmagane wiatrem

powierzchnie między nimi przyjęły odcienie wapnia i szarości, ale z całego frontu od strony morza mrugały na nas cztery piętra pokojów.

Fałszywa nuta z saksofonu zniekształciła melodię, wybijając nas z nastroju.

- Auć. - Skrzywiłem się, może przesadnie. Nagła łagodność jej twarzy uderzyła mnie z nieoczekiwanej strony.

- Przynajmniej się stara - powiedziała opryskliwie.

- Tak. Cóż, przypuszczam, że teraz nikt już nie śpi.

Zerknęła na mnie z ukosa, tym samym niechętnym wzrokiem. Usta wykrzywił jej mimowolny uśmiezek.

- Jesteś prawdziwym draniem, Tak. Wiesz o tym?

- Mówiono mi raz czy dwa. No dobrze, to jak tu wygląda śniadanie?

* * *

Surferzy.

Na Świecie Harlana można ich spotkać praktycznie wszędzie, bo praktycznie wszędzie na planecie jest ocean z falami, za które większość z nich dałaby się zabić. A *dałaby się zabić* ma tu kilka znaczeń. Trzeba pamiętać o ciężeniu 0,8 g i trzech księżycach - w niektórych miejscach na Vchirze można jechać na fali po pół tuzina kilometrów naraz, a ich wysokość jest taka, że trzeba samemu zobaczyć, by uwierzyć. Ale niskie ciężenie i wpływ trzech księżyców mają i wady, a oceany na Świecie Harlana charakteryzują się systemem prądów, jakiego nigdy nie widziano na Ziemi. Stężenia związków chemicznych, temperatura i przyływy potrafią zmieniać się błyskawicznie i morze staje się niebezpieczne, ostrzegając o tym tylko minimalnie. Teoretycy wirów wciąż usiłują dojść z tym do ładu, tworząc sytuacje modelowe. Tu, na plaży Vchira, prowadzą inny rodzaj badań. Niejednokrotnie widziałem efekt Younga wykorzystywany do perfekcji na pozornie stabilnej, dziewięciometrowej fali, niczym z jakiegoś prometejskiego mitu odtwarzanego w przyspieszonym tempie - idealnie wznoszące się ramię fali chwije się i szarpie dziko pod jeźdźcem, po czym rozpada się jakby ostrzelane pociskami odłamkowymi. Morze otwiera paszczę, połyka deskę i jeźdźca. Parę razy pomagałem wydobywać takich rozbitków. Widziałem oszołomione uśmiechy, blask bijący z ich twarzy, gdy mówili coś w rodzaju: *nie sądziłem, że ta suka kiedyś mnie wypuści, stary, widziałeś, jak to się pode mną rozpadło*, albo, *znacznie częściej masz moją deskę, koleś!* Patrzyłem, jak znów wychodzą pływać, przynajmniej ci, którzy nie mieli połamanych kończyn czy rozbitych czaszek, i widziałem głód w oczach tych, którzy musieli czekać na wyleczenie.

Też znam to uczucie. Tyle że kojarzy mi się z próbami zabicia innych ludzi, nie siebie.

- Czemu my? - zapytała Mari Ado z brutalnym brakiem manier, co najwyraźniej uważała za usprawiedliwione z racji pozaplanetarnego nazwiska.

Uśmiechnąłem się i wzruszyłem ramionami.

- Nie przyszedł mi do głowy nikt inny dostatecznie głupi.

Przyjęła obrazę jak kot, wzruszyła jednym ramieniem i odwróciła się do mnie plecami, podchodząc do ekspresu do kawy pod oknem. Wyglądało na to, że sklonowała sobie poprzednią powłokę, ale była w niej jakaś nerwowość, której nie pamiętałem sprzed czterdziestu lat. Wyglądała też na szczuplejszą, miała pustkę w oczach i wiązała włosy w krótki kucyk, który zdawał się zbyt mocno naciągać skórę twarzy. Odpowiadało to strukturze kości modelowanej indywidualnie twarzy z Adoracion, ale nadawało jej nosowi bardziej jastrzębi wygląd, przyciemniało oczy i podkreślało stanowczy zarys szczęki. Mimo wszystko, nie wyglądało dobrze.

- Cóż, myślę, Kovacs, że jesteś cholernie bezczelny. Wracasz tu sobie jak gdyby nigdy nic po Sanction IV.

Siedząca przy stole naprzeciw mnie Virginia drgnęła. Niemal niedostrzegalnie pokręciłem głową. Ado zerknęła z ukosa.

- Nie sądzisz, Sierra?

Sierra Tres, zgodnie ze swoim zwyczajem, nie odpowiedziała. Jej twarz również była młodszą wersją tej, którą zapamiętałem. Miała rzeźbione rysy, oscylujące między japońszczyzną z Millsport i ideałami inkaskiej piękności rodem z genetycznych salonów. Jej mina niczego nie zdradzała. Oparła się o bladobłękitną ścianę obok ekspresu do kawy, krzyżując ramiona na mikroskopijnym topie z polistopu. Podobnie jak większość niedawno obudzonych mieszkańców domku, nosiła niewiele ponad natryskiwany strój kąpielowy i taną biżuterię. Z palca ze srebrnym pierścieniem zwisała jakby zapomniana pusta filiżanka po cafe-au-lait. Ale spojrzenie, którym obdarzyła Mari i mnie, wymagało odpowiedzi.

Pozostali zebrani wokół stołu poruszyli się na znak poparcia, choć trudno było stwierdzić kogo. Z warunkowanym przez Emisariuszy brakiem uczuć wchłaniałem reakcje, zbierając je do późniejszej oceny. Przez rytuał upewniania się przeszliśmy poprzedniego wieczora. Urządzono grilla, w trakcie którego przeprowadzono badanie wspomnień i ustalono, że moja nowa powłoka rzeczywiście kryła tego, za kogo się podawałem. To już nie stanowiło problemu.

Odchrząknąłem.

- Wiesz, Mari, zawsze mogłaś polecieć ze mną. Z drugiej strony, Sanction IV to zupełnie odmienna planeta, nie ma przyplływów, a ocean jest płaski jak twoja klatka piersiowa, więc trudno powiedzieć, na co, do cholery, byś mi się tam przydała.

Jako obelga było to równie niesprawiedliwe, co złożone. Mari Ado, dawniej z Małych Niebieskich Robaczków, mogła się pochwalić kryminalną przeszłością i doświadczeniem w walkach powstańczych, które nie miały nic wspólnego z surfowaniem. Nie miała też wcale mniej rozwiniętego biustu niż pozostałe kobiece ciała w pokoju, włącznie z Virginią Viadurą. Ale wiedziałem, że jest wrażliwa na punkcie swoich kształtów i w przeciwieństwie do Virginii czy mnie, nigdy nie opuszczała planety. Praktycznie rzecz biorąc, nazwałem ją równocześnie lokalnym głupkiem, surferem, tanim źródłem usług seksualnych i kobietą nieatrakcyjną. Gdyby Isie dane było to usłyszeć, niewątpliwie pisnęłaby z zachwyty.

Sam też jestem nieco wrażliwy na punkcie Sanction IV.

Ado obejrzała się przez stół na duży dębowy fotel u jego szczytu.

- Wyrzuć tego sukinsyna, Jack.

- Nie - odburknął prawie senne. - Nie na tym etapie. - Niemal leżał na siedzeniu z ciemnego drewna, wyciągając nogi przed siebie. Głowę wysunął do przodu, a ręce złożył na brzuchu i oglądał je uważnie, jakby próbował odczytać coś z wnętrza jednej z nich.

- Jest wulgarny, Jack.

- Ty też byłaś. - Brasil podciągnął się na fotelu. Spojrzał mi w oczy. Na jego czole widać było delikatne kropelki potu. Rozpoznałem objawy. Niezależnie od nowej powłoki, nie zmienił się aż tak bardzo. Nie porzucił złych nawyków. - Ale ona ma rację, Kovacs. Czemu my? Czemu mielibyśmy to dla ciebie zrobić?

- Cholernie dobrze wiesz, że nie chodzi o mnie - skłamałem. - Jeśli quellistowska etyka nie przeżyła na Vchirze, to powiedz mi gdzie, u diabła, mam jej szukać. Bo czasu zostało niewiele.

Usłyszałem prychnięcie przy stole. Młody surfer, którego nie znałem.

- Człowieku, nie wiesz nawet, czy faktycznie mówimy o Quell. Spójrz na siebie, przecież nawet ty w to nie wierzysz. Chcesz, żebyśmy się porwali na rodzinę Harlana z powodu czegoś, co narodziło się w głowie jakiejś porąbanej psychodziwki lików? *Nie ma mowy*, koleś.

Rozległo się parę mamrotów, które uznałem za potwierdzenie. Ale większość stała milcząco za mną. Spojrzałem w oczy młodego surfera.

- A ty jak się nazywasz?

- A co cię to obchodzi, koleś?

- To Daniel - swobodnie wtrącił się Brasil. - Nie jest tu długo. I tak, patrzysz na jego prawdziwy wiek. Obawiam się, że to słycać.

Daniel zaczerwienił się i przybrał minę kogoś, kto poczuł się zdradzony.

- Fakt pozostaje faktem, Jack. Mówimy o Grani Rila. Nikt nigdy nie dostał się do środka bez zaproszenia.

Uśmiech przeskoczył jak błyskawica między Brasilem, Virginią Viadurą i Sierrą Tres. Nawet Mari Ado prychnęła kwaśno w swoją kawę.

- Co? Co, do cholery?

Starłem się zachować kamienny wyraz twarzy, patrząc wciąż na Daniela. Mógł się okazać użyteczny.

- Obawiam się, Dan, że zdradzasz swój wiek.

- Natsume - rzuciła Ado, jakby wyjaśniała coś dziecku. - Czy to nazwisko coś dla ciebie znaczy?

Jego spojrzenie wystarczyło za odpowiedź.

- Nikolai Natsume. - Brasil znów się uśmiechnął, tym razem do Daniela. - Nie martw się, jesteś kilkaset lat za młody, by go pamiętać.

- To prawdziwa historia? - usłyszałem czyjś szept i poczułem, jak ogarnia mnie dziwny smutek. - Myślałem, że to propagandowa legenda.

Kolejny nieznany mi surfer wykręcił się na miejscu, by spojrzeć na Jacka Soul Brasila z niedowierzaniem na twarzy.

- Hej, Natsume nigdy nie dostał się do środka.

- Ależ tak, zrobił to - odpowiedziała Ado. - Co za bzdury sprzedają teraz dzieciakom w szkołach. On...

- Dokonania Natsume możemy omówić później - uciał łagodnie Brasil. - W tej chwili niech wystarczy, że jeśli będziemy musieli dostać się do Grani Rila, istnieje precedens.

Zapadła chwila ciszy. Surfer, który nie wierzył w istnienie Natsume, szeptał coś do ucha Daniela.

- Dobra, niech będzie - powiedział ktoś w końcu. - Ale jeśli rodzina Harlana dorwała tę kobietę, kimkolwiek jest, czy warto szykować rajd? Biorąc pod uwagę sprzęt do przesłuchań, jakim dysponują, do tej pory na pewno już ją złamali.

- Niekoniecznie. - Virginia Viadura nachyliła się nad stołem i oczyszczonym talerzem. Pod natryskowym strojem poruszyły się małe piersi. Dziwne było widzieć ją teraz w mundurze surferki. - Likowie wyposażeni są w sprzęt najwyższej klasy i mają większą od SI moc obliczeniową. To naprawdę nasz najlepszy sprzęt. Pamiętajcie, że podobno może pokonać marsjańskie systemy obronne. Myślę, że nawet dobre oprogramowanie do przesłuchań będzie przy tym wyglądać dość mizernie.

- Mogą ją torturować - rzuciła Ado, wracając na swoje miejsce. - Mówimy tu o Harlanitach. Potrząsnąłem głową.

- Jeśli to robią, po prostu wycofa się do systemów dowódczych. Zresztą, potrzebują jej spójnej na wyższych poziomach. Wywoływanie krótkoterminowego bólu nic im nie da.

Sierra Tres uniosła głowę.

- Mówisz, że ona się z tobą kontaktuje?

- Tak mi się wydaje. - Zignorowałem parę kolejnych pełnych niedowierzania odgłosów. -

Przypuszczam, że zdołała wykorzystać swój sprzęt lika i podpięła się do telefonu, z którego jakiś czas temu dzwoniłem do kogoś z jej załogi. Prawdopodobnie został po tym jakiś ślad w sieci zespołowej. Mogła go wyszukać. Ale on jest teraz martwy, a to nam nie służy.

Ostry śmiech paru osób przy stole, w tym Daniela. Zapamiętałem ich twarze.

Może Brasil to zauważył. Gestem nakazał ciszę.

- Cała jej załoga zginęła, tak?

- Tak. Przynajmniej tak mi powiedziano.

- Czterech lików w ich obozie. - Mari Ado skrzywiła twarz. - Zarznęli ich tak po prostu?

Trudno w to uwierzyć, nieprawdaż?

- Janie...

Nie pozwoliła mi dojść do słowa.

- Dziwne, że do tego dopuścili. Ten, jak mu tam, Kurumaya, tak? Wielki ojciec, sycha lików ze starej szkoły, pozwala wejść Harlanitom i zrobić coś takiego tuż pod swoim nosem? A co z resztą? Nie wystawia to zbyt pochlebnej opinii ich *esprit de corps*, prawda?

- Tak - odpowiedziałem płasko. - Nie wystawia. Likowie działają zgodnie z dynamiką opartą na ostrym współzawodnictwie i nagrodach. Załogi są mocno powiązane wewnątrz. Poza tym, z tego co widziałem, nie ma tam prawie żadnej lojalności. A Kurumaya musiał pewnie ustąpić przed naciskiem oligarchii już po sprawie. Ślizgacze Sylvie nigdy nie zasłużyli sobie u niego na szczególne względy, z pewnością nie dość, żeby stawiał się szefom.

Ado wydeła wargi.

- Brzmi cudownie.

- Znak czasów - odezwał się nieoczekiwanie Brasil. Spojrzał na mnie. - *Kiedy obedrze się ich z lojalności wyższym celom, co nieuniknione, zostaje tylko strach i chciwość.* Prawda?

Po tym cytacie nikt się nie odezwał. Przeskanowałem twarze w pokoju, próbując odróżnić swoich zwolenników od przeciwników i odcienie szarości pomiędzy nimi. Sierra Tres uniosła ekspresyjne brwi i zachowała milczenie. W powietrzu przede mną zawisło Sanction IV, *pieprzone* Sanction IV. Można by dowodzić, że moje działania tam powodowane były strachem i chciwością. Niektóre z twarzy, na które patrzyłem, już mnie o to oskarżyły.

Z drugiej strony, ich tam nie było.

Nikogo z nich tam, do cholery, nie było.

Brasil wstał. Rozejrzał się po twarzach wokół stołu, może szukając tego samego co ja.

- Pomyślcie o tym, wszyscy. Niezależnie od tego, jaką decyzję podejmiemy, wpłynie ona na cały zespół. Jesteście tutaj, ponieważ ufam, że potraficie trzymać gębę na kłódkę i ponieważ wierzę, że mi pomożecie. O zachodzie słońca odbędzie się kolejne spotkanie. Będziemy głosować. Jak powiedziałem, pomyślcie nad tym.

Potem wziął ze stołka pod oknem swój saksofon i wyszedł z pokoju, jakby w tej chwili w jego życiu nie działo się nic ważniejszego. Po paru sekundach Virginia Viadura wstała i wyszła za nim. W ogóle na mnie nie spojrzała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Brasil znalazł mnie później na plaży.

Wracał z surfowania, z deską pod pachą, rozebrany do szortów i natryskiwanych butów do kostek, wytrzepując wolną ręką wodę z włosów. Uniosłem rękę na powitanie, a on zerwał się do truchtu do miejsca, gdzie siedziałem na piasku. Niezły wyczyn po godzinach, które spędził w morzu. Kiedy do mnie dotarł, tylko trochę ciężiej oddychał.

Zmrużyłem oczy, patrząc na niego pod słońce.

- Wygląda na niezłą zabawę.

- Spróbujesz? - Dotknął deski, wysuwając ją w moją stronę. Surferzy tego nie robią, nie z deską, którą posiadają dłużej niż parę dni. A ta wyglądała na starszą niż powłoka, która ją niosła.

Jack Soul Brasil. Nawet na plaży Vchira nie było drugiego takiego jak on.

- Dzięki, ale odpuszczę.

Wzruszył ramionami, wbił deskę w piach i opadł obok mnie, pryskając wodą.

- Jak chcesz. Nieźle dzisiaj faluje. Nic strasznego.

- Więc pewnie ci się nudzi.

Szeroki uśmiech.

- Cóż, to oczywiście stara pułapka.

- Tak?

- Tak. - Machnął na morze. - Kiedy wchodzisz do wody, pływasz na każdej fali, która jest tego warta. Jeśli przestaniesz, równie dobrze możesz wracać do Newpest. Na dobre zostawić Vchirę.

Kiwnąłem głową.

- Wielu masz takich?

- Wypalonych? Tak, zdarzają się. Ale wolno im odejść. Bardziej boli, gdy patrzy się na tych, co zostają.

Zerknąłem na blizny na jego piersiach.

- Jesteś takim wrażliwym gościem, Jack.

Uśmiechnął się do morza.

- Staram się.

- Dlatego właśnie nie próbujesz klonowania, co? Wolisz zużywać każdą powłokę do granic.

- *Uczyć* się każdej powłoki do granic - poprawił łagodnie. - Tak. Poza tym, nie uwierzyłbyś, ile ostatnio kosztuje przechowywanie klonów, nawet w Newpest.

- Nie wygląda na to, by przeszkadzało to Ado czy Tres.

Znów się uśmiechnął.

- Mari dostała spadek. Wiesz, jak naprawdę się nazywa, prawda?

- Tak, pamiętam. A Tres?

- Sierra zna ludzi w branży. Kiedy reszta z nas wpakowała się w Robaczki, ona przez jakiś czas nawiązywała kontrakty dla hajduków. Zarobiła trochę przysług w Newpest.

Zadrżał lekko. Po chwili zadygotał mocniej, poruszając ramionami. Głośno kichnął.

- Widzę, że wciąż babrasz się w *tym* łajnie. To dlatego Ado jest taka chuda?

Spojrzał na mnie dziwnie.

- Ado jest chuda, bo taka chce być. Co w tym celu robi, to już jej sprawa, nie sądzisz?

Wzruszyłem ramionami.

- Jasne. Po prostu jestem ciekaw. Pomyślałem, że do tego czasu mogło się wam już znudzić infekowanie.

- Ach, ale tobie od początku się to nie podobało, prawda? Pamiętam, jak byłeś tu ostatnim razem, kiedy Mari próbowała sprzedać ci nasz zestaw GHH. Zawsze byłeś purystą pod tym względem.

- Po prostu nigdy nie rozumiałem sensu przyprawiania się o chorobę dla zabawy. Myślałem, że jako lekarz zachowasz choć tyle rozsądku.

- Przypomnę ci to następnym razem, jak będziemy dzielić doła po tetramecie. Albo kaca po słodowej whisky.

- To nie to samo.

- Masz rację. - Gwałtownie pokiwał głową. - Te chemiczne świństwa pochodzą z epoki kamienia łupanego. Napuszczałem grypę z Hun Home na specjalnie przytłumiony system immunologiczny przez dziesięć lat, a w zamian zyskiwałem naprawdę odlotowe, gorączkowe wizje. Prawdziwe fale. Bez bólu głowy, poważnych uszkodzeń organów, nawet nie ciekło mi z nosa, kiedy już dopasowałem inhibitory do wirusa. Powiedz mi, jakie prochy dadzą taki efekt?

- To właśnie sobie teraz aplikujesz? GHH?

Potrząsnął głową.

- Już od dawna nie. Jakiś czas temu Virginia zdobyła dla nas coś specjalnego z Adoracion. Laboratoryjnie opracowany zespół gorączki rdzeniowej. Stary, powinieneś zobaczyć moje sny. Czasem budzę się z krzykiem.

- Cieszę się twoim szczęściem.

Przez chwilę obaj przyglądaliśmy się postaciom w wodzie. Brasil parę razy burknął i zwrócił mi uwagę na sposób, w jaki porusza się ten czy inny surfer. Nic z tego nie miało dla mnie sensu. Raz zaklaskał cicho, gdy ktoś zanurkował, ale kiedy zerknąłem na niego, na jego twarzy nie zauważyłem drwiny.

Trochę później zapytał mnie jeszcze raz, wskazując na sterczącą z piachu deskę.

- Jesteś pewien, że nie chcesz spróbować? Człowieku, to ciało z naftaliny wygląda na stworzone do surfowania. Trochę dziwne jak na powłokę bojową, skoro już o tym mowa. Wydaje się zbyt lekkie. - Pomacał palcami moje ramię. - Prawdę mówiąc, powiedziałbym, że nosisz na sobie niemal idealną powłokę sportową. Co ma na etykietce?

- A, jakaś zapomniana firma, nigdy wcześniej o nich nie słyszałem. Eishundo.

- *Eishundo*?

Zerknąłem na niego, zaskoczony.

- Tak, Eishundo Organics. Znasz ich?

- Cholera, tak. - Opadł z powrotem na piasek i przyjrzał mi się uważnie. - Tak, nosisz projektowego klasyka. Zbudowali tylko jedną serię, wyprzedzającą przynajmniej o stulecie swoje czasy, bo zastosowali rozwiązania, których nie próbował nikt wcześniej. Gekonowy chwyt, wzmocniona struktura mięśni i niewiarygodne autonomiczne systemy przeżycia. W życiu byś nie uwierzył.

- Przeciwnie, uwierzyłbym.

Nie słuchał.

- Zwinność i wytrzymałość pod niebiosą, okablowanie refleksu takie, że nic podobnego nie pojawiło się do czasu, aż Harkany wystartował na początku trzechsetnych. Człowieku, już takich po prostu nie robią.

- Zdecydowanie. W końcu zbankrutowali, nie?

Gwałtownie potrząsnął głową.

- Nie, chodziło o politykę. Eishundo było spółdzielnią z Dravy, założoną w latach

osiemdziesiątych. Typ cichych quellistów, tylko że chyba nigdy się z tym szczególnie nie ukrywali. Pewnie zostaliby szybko zamknięci, ale wszyscy wiedzieli, że robią najlepsze powłoki sportowe na planecie. A poza tym zaopatrywali połowę bachorów z Pierwszych Rodzin.

- Bardzo wygodne.

- No cóż. Jak mówiłem, nikt ich nie mógł ruszyć. - Z jego twarzy zniknął entuzjazm. - Potem, w czasie Niepokojów, opowiedzieli się po stronie quellistów. Rodzina Harlana nigdy im tego nie wybaczyła. Kiedy było po wszystkim, Harlanicy umieścili na czarnej liście wszystkich, którzy kiedykolwiek pracowali dla Eishundo, ba, dokonali nawet egzekucji paru starszych biotechników jako zdrajców i terrorystów. Dostawa broni dla wrogów, tego rodzaju bzdety. Jakby tego było mało, pogrzyła ich sytuacja w Dravie. Człowieku, nie mogę uwierzyć, że siedzisz tu w jednym z ich ciał. To pieprzony kawał historii, Tak.

- Cóż, miło wiedzieć.

- Jesteś pewien, że nie chcesz...

- Sprzedać ci go? Dzięki, nie, zaj...

- *Surfować*, człowieku. Jesteś pewien, że nie chcesz surfować? Wziąć deskę i się zamoczyć?

Przekonać się, co potrafi ta powłoka?

Potrząsnąłem głową.

- Pozostanę w niepewności.

Przez chwilę przyglądał mi się z zaciekawieniem. Potem kiwnął głową i z powrotem wpatrzył się w morze. Czulo się, że to lubi. Równoważył w ten sposób gorączkę, którą w sobie rozpałał. Próbowałem mu tego nie zazdrościć.

- Może innym razem - powiedział cicho. - Kiedy nie będziesz miał tyle na głowie.

- Tak. Może. - Nie bardzo potrafiłem sobie wyobrazić taki czas, chyba że mówił o przeszłości, a nie znałem żadnego sposobu, by do niej wrócić.

Wyglądał, jakby miał ochotę na rozmowę.

- Nigdy tego nie robiłeś, co? Nawet w Newpest?

Wzruszyłem ramionami.

- Wiem, jak spaść z deski, jeśli o tym mówisz. Jako dzieciak próbowałem pływać na lokalnych plażach przez parę sezonów. Potem uczepliłem się ekipy, a oni tylko nurkowali. Wiesz, jak to działa.

Pokiwał głową, wspominając własną młodość w Newpest albo przypominając sobie rozmowę z poprzedniego razu, choć na to bym nie liczył. Poprzednio rozmawialiśmy na ten temat ponad pięćdziesiąt lat temu, a jeśli nie ma się absolutnej pamięci Emisariuszy, to dużo czasu i mnóstwo rozmów.

- Cholernie głupie - mruknął. - Z kim chodziłeś?

- Wojownicy Rafy. Głównie banda Hiraty. *Nurkuj wolny, umrzyj wolny. Zostaw śmieci na powierzchni.* W tamtych czasach poharatałbym gości waszego typu na dzień dobry. A co z tobą?

- Ja? Och, uważałem się za wolnego strzelca. Jeźdźcy Sztormu, Stojąca Fala, Chór Świtu Vchiry. I inni, nie pamiętam ich już wszystkich. - Potrząsnął głową. - Cholernie głupie.

Przyglądał się falom.

- Jak długo tu jesteś? - zapytałem go.

Przeciągnął się i odwrócił głowę w stronę słońca, mocno zaciskając powieki. Gdzieś w jego piersiach zrodził się dźwięk przypominający mruczenie kota, który w końcu zmienił się w śmiech.

- Tu, na Vchirze? Nie wiem, nie liczę. Pewnie ze stulecie. Przychodzę i odchodzę.

- A Virginia mówi, że Robaczki rozpadły się dwadzieścia lat temu.

- Tak, coś koło tego. Jak powiedziałem, Sierra nadal podłapuje jakąś robotę. Ale większość z

pozostałych od dziesięciu - dwunastu lat angażowała się co najwyżej w plażowe bójki.

- W takim razie miejmy nadzieję, że nie zardzewieliście. Posłał mi kolejny uśmiech.

- Dużo przyjmujesz na wiarę. Potrząsnąłem głową.

- Nie, po prostu uważnie słucham. *Niezależnie od tego, jaką decyzję podejmiemy, wpłynie ona na cały zespół.* Tu miałaś rację. Ty na to pójdziesz, niezależnie od decyzji pozostałych. Myślisz, że to prawda.

- Taaak? - Brasil położył się na piasku i znów zamknął oczy. - Cóż, w takim razie dam ci trochę do myślenia. Pewnie nie masz o tym pojęcia. W czasach, kiedy quelliści walczyli z Pierwszymi Rodzinami o kontynentalną dominację na Nowym Hokkaido, sporo mówiło się o rządowych brygadach śmierci polujących na Quell i innych członków Komitetu Rewolucyjnego. Coś w rodzaju odpowiedzi na Czarne Brygady. I wiesz, co zrobili?

- Tak, wiem.

Otworzył jedno oko.

- Doprawdy?

- Nie. Ale nie lubię pytań retorycznych. Chcesz mi coś powiedzieć, zrób to.

Z powrotem zamknął oko. Pomyślałem, że przez jego twarz przemknęło coś na kształt bólu.

- Dobrze. Wiesz, co to takiego infoszrapnel?

- Jasne. - To był stary termin, prawie już nieużywany. - Tania broń wirusowa. Niemal z epoki kamienia. Strzępy skanibalizowanego, standardowego kodu w matrycy nadawczej. Wciska się to w systemy przeciwnika, a one próbują wykonać zapętlone funkcje, do których pierwotnie je stworzono. Zapycha systemy operacyjne niespójnymi poleceniami. Przynajmniej taka jest teoria. Słyszałem, że wcale się to nie sprawdzało.

Prawdę mówiąc, dobrze znałem ograniczenia broni z własnych doświadczeń. Ostatnie gniazdo oporu na Adoracion sto pięćdziesiąt lat temu wysłało infoszrapnel, by spowolnić postępy Emisariuszy przez Basen Manzana, bo tylko to im zostało. Wcale nas to nie powstrzymało. Wściekle walki wręcz, do których doszło potem na osłoniętych ulicach Nerudy, kosztowały nas znacznie więcej. Ale Jack Soul Brasil, ze swoim przybranym imieniem i pasją dla kultury planety, której nigdy nie widział, nie musiał o tym teraz usłyszeć.

Przesunął na piasku swoje długie ciało.

- Cóż, Komitet Rewolucyjny Nowego Hokkaido nie podzielał twojego sceptycyzmu. A może po prostu byli zdesperowani. W każdym razie wymyślili coś podobnego, tworząc zdigitalizowanych ludzi. Powołali do istnienia szkieletowe osobowości każdego członka komitetu, zwykłe powierzchniowe zbiory podstawowych wspomnień i...

- Hej, do *cholery*, nie żartuj!

- ...i załadowali je do szerokokresowych infomin, które miały zostać rozmieszczone w sektorach quellistowskich i użyte w przypadku przegranej. Nie, nie żartuję.

Zamknąłem oczy.

O kurwa.

Brasil ciągnął bez skrępowań.

- Tak, plan był taki, że w wypadku ucieczki uaktywniliby miny i zostawili przy nich parę tuzinów obrońców, może także frontowe jednostki przeciwnika, a każda z tych min byłaby szczerze przekonana, że jest Quellcrisłą Falconer.

Grzmot fal i odległe okrzyki w wodzie. *Mógłbyś potrzymać mnie za rękę, gdy będę usypiać?* Zobaczyłem jej twarz. Usłyszałem zmieniony głos, który nie należał do Sylvie Oshimy.

Dotknij mnie. Powiedz mi, do cholery, że jesteś prawdziwy. Brasil wciąż mówił, ale słysząc

było, że kończy mu się para.

- Całkiem niezła broń, jeśli się nad tym zastanowić. Powszechnie zamieszanie. Komu, do cholery, wierzyć, kogo aresztować? Ogólny chaos. Liczyli, że kupią za to czas na ucieczkę prawdziwej Quell, a może tylko postanowili narobić bałaganu. Któż to wie?

Kiedy ponownie otworzyłem oczy, siedział wyprostowany i wpatrywał się w morze. Z jego twarzy zniknęły spokój i humor, starte jak makijaż, jak morską wodą wyschła na słońcu. Nagle wychynęła gorycz i gniew.

- Komu o tym powiedziałeś? - spytałem.

Obejrzał się na mnie i na jego ustach pojawił się cień wcześniejszego uśmiechu.

- Komuś, kogo powinieneś spotkać - powiedział cicho.

* * *

Wzięliśmy jego żuka, prostego dwumiejscowca niewiele większego od tego, który wypożyczyłem, ale jak się okazało, znacznie szybszego. Brasil zadał sobie trud i naciągnął podniszczony kombinezon przeciw wypadkowy w cętki pantery, co było kolejnym elementem wyróżniającym go spośród mnóstwa idiotów jeżdżących autostradą w strojach kąpielowych przy prędkościach, które w razie wypadku zdarłyby ich ciało do kości.

- No cóż - odpowiedział, kiedy o tym wspomniałem. - Czasem warto ryzykować. Reszta to prośba o śmierć.

Podniosłem swój polistopowy hełm i założyłem go. Mój głos przez głośnik zabrzmiał cienko.

- Trzeba na to uważać, co?

Kiwnął głową.

- Cały czas.

Włączył żuka, założył własny hełm, po czym ruszyliśmy autostradą równe dwieście kilometrów na godzinę, kierując się na północ. Wzdłuż trasy, którą przebyłem, szukając go. Obok całodobowej restauracji, obok innych warsztatów i skupisk domów, gdzie powtarzałem jego nazwisko i lałem krew przy łodzi do polowań na butlogrzbiety, z powrotem przez Kem Point i jeszcze dalej. Za dnia Pasek stracił wiele ze swojego romantyzmu. Małe skupiska świateł, które mijałem poprzedniego wieczoru, okazywały się wyblakłymi w słońcu, zwykłymi domami z plastobanek i kontenerów. Neony i holoreklamy zostały wyłączone lub zbladły do kompletnej przezroczystości. Osiedla na wydmach straciły wieczorny urok i stały się prostymi skupiskami struktur po obu stronach usłanej śmieciami autostrady. Niezmienne pozostały tylko dźwięki morza i zapachy unoszące się w powietrzu, ale jechaliśmy zbyt szybko, by je odbierać.

Dwadzieścia kilometrów na północ od Kem Point w wydmy skręcała kiepsko wykonana, boczna droga. Brasil przyhamował przed skretem, choć nie aż tak, jak miałbym ochotę, i zjechał z autostrady. Pod żukiem zagotował się piasek, wyrzucany z dziur wokół nieregularnych kawałków wiecznobetonu i skały, na której ułożono drogę. Ponieważ pojazdy działały dzięki efektowi grawitacyjnemu, nawierzchnia służyła bardziej sygnalizowaniu kierunku drogi niż jako powierzchnia do jazdy. Tuż przed pierwszą linią wydmy, ktoś, kto wyłożył tę trasę, zrezygnował z wysiłków na rzecz tyczek z iluminium i włókien węglowych, wbitych w ziemię w dziesięciometrowych odstępach. Brasil pozwolił, by żuk powoli wytracił prędkość, i w powolnym tempie pojechaliśmy wzdłuż rzędu tyczek wiodących ku morzu przez piaszczysty krajobraz. Wzdłuż trasy pojawiło się parę zrujnowanych plastobanek, ustawionych pod nieprawdopodobnymi kątami na zboczach wydmy. Nie było jasne, czy ktoś w nich mieszkał. Dalej, w płytkim wąwozie zobaczyłem bojowy ślizgacz osłonięty zakurczonym płótnem namiotowym. Na jego górnych powierzchniach obudziły się pająkkształtne systemy strażnicze podobne do miniaturowych karakuri, uaktywnione dźwiękiem silnika albo jego sygnaturą

cieplną. Skierowały w naszą stronę parę kończyn, po czym uspokoiły się, gdy je minęliśmy.

Przejechaliśmy przez ostatni rząd wydmy i Brasil zatrzymał żuka bokiem do morza. Zdjął hełm, oparł się o kierownicę i machnął głową w dół zbocza.

- Proszę bardzo. Kojarzy ci się z czymś?

Dawno temu ktoś wprowadził w górę plaży opancerzony poduszkowiec, aż jego nos zagrzebał siew wydmach, i najwyraźniej go tak zostawił. Teraz pojazd spoczywał na rozłożonym fartuchu jak pantera błotna czołgająca się do ofiary i zastrzelona po drodze. Tylne stateczniki ze sterami wykręciły się pod kątem wskazującym na panujące tu wiatry i najwyraźniej tak się zablokowały. W pełnych załamania liniach pancerza zebrał się piasek, tworząc hałdy przy bokach pojazdu, tak że poduszkowiec sprawiał wrażenie, jakby stanowił górną powierzchnię znacznie większej, ukrytej pod piaskiem struktury. Lufy blasterów od widocznej dla mnie strony skierowane były ku niebu, co stanowiło pewny znak, że ich hydraulika została uszkodzona. Włazy grzbietowe otwarto na oścież, jakby do ewakuacji.

Na boku centrum kadłuba, blisko pęcherza mostka zauważyłem ślady barw. Czerń i czerwień, splecione razem w znajomy wzór, który zimną ręką chwycił mnie za kręgosłup - zatarte przez czas ślady stylizowanego liścia quellcristy.

- O nie.

- Tak. - Brasil poprawił się na siodełku żuka. - Zgadza się.

- To tkwi tutaj od czasu...?

- Tak, praktycznie tak.

Zjechaliśmy żukiem w dół wydmy i zsiadliśmy z niego u jej podstawy. Brasil wyłączył zasilanie i pojazd opadł na piasek jak posłuszna foka. Poduszkowiec wznosił się przed nami, jego inteligentny metalowy pancerz wchłaniał ciepło słońca tak, że blisko niego czuło się lekki chłód. W trzech miejscach z brzegu kołnierza spuszczone drabinki, tonące końcami w piachu. Ta przy rufie, gdzie pojazd przechylił się do ziemi, była prawie pozioma. Brasil zignorował je, chwycił poręcz przy kołnierzu i z wdziękiem, bez wysiłku, podciągnął się na pokład. Wywróciłem oczami i poszedłem w jego ślady.

Głos uderzył we mnie, gdy się prostowałem.

- A więc to on?

Zamrugalem w słońcu i zdołałem dostrzec przed nami na lekko pochyłym pokładzie szczupłą postać. Był jakąś głowę niższy od Brasilia, ubrany w prosty szary kombinezon z uciętymi rękawami. Sądząc po rysach twarzy pod rzadkimi, siwymi włosami, musiał mieć przynajmniej sześćdziesiątkę, ale odsłonięte ramiona były świetnie umięśnione i kończyły się dużymi, kościstymi dłońmi. A cichy głos krył w sobie siłę. W pytaniu brzmiało napięcie bliskie wrogości.

Podszedłem do Brasila. Stałem dokładnie tak samo jak staruszek, z rękami zwisającymi przy bokach jak broń. Obojętnie spojrzałem mu w oczy.

- Tak, to ja.

Jego wzrok przesunął się w dół. Oglądał mnie. Przez chwilę panowała cisza.

- Rozmawiałeś z nią?

- Tak. - Mój głos odrobinę złagodniał. Źle odczytałem jego napięcie. To nie była wrogość. - Rozmawiałem z nią.

* * *

Wewnątrz poduszkowca panowało nieoczekiwane wrażenie przestrzeni i naturalnego oświetlenia. Tego rodzaju bojowe pojazdy zazwyczaj są dość mocno zatłoczone, ale Soseki Koi miał mnóstwo czasu na zmianę tego stanu rzeczy. Ścianki zostały usunięte, a w niektórych miejscach

wycięto otwory w górnym pokładzie, tworząc pięć metrowej średnicy słupów światła. Słońce wlewało się także przez parę wizjerów i otwarte włazy, sącząc się przez pęknięcia w pancerzu, które mogły wynikać z uszkodzeń lub świadomych modyfikacji. W otwartych przestrzeniach pieniło się mnóstwo roślin, wylewając się z zawieszonych koszyków i wspinając po odsłoniętych wspornikach w szkielecie kadłuba. W niektórych miejscach starannie wymieniono iluminowane panele, zdejmując je gdzie indziej. Gdzieś chlupotała woda, spływając po kamieniach, tworząc kontrast do huków fal grzmiących na zewnątrz.

Koi posadził nas na wyściełanej macie przy długim, uroczyście zastawionym stole pod jedną ze studni słonecznych. Obsłużył nas ze śladami dawnej godności, podając jedzenie z umieszczonego za jego plecami autokucharza poduszkowca, który nadal działał całkiem niezłe. Do grillowanego mięsa i makaronu podał dzbanek pięknorostowej herbaty i wyhodowanych przez siebie owoców - winnych śliwek i trzydziestocentymetrowych łańcuchojagód z Kossutha. Basil pochłaniał wszystko z entuzjazmem człowieka, który cały dzień spędził w wodzie. Ja skubnąłem trochę jedzenia, dość, by nie obrazić gospodarza, głównie łańcuchojagody, które należały do najlepszych, jakich w życiu próbowałem. Kiedy jedliśmy, Koi powstrzymywał się od zadawania pytań.

W końcu Brasil odrzucił na talerz obdarte włókna ostatniego kawałka łańcuchojagód, wytarł palce w chusteczkę i kiwnął na mnie głową.

- Opowiedz mu. Przekazałem mu trochę szczegółów, ale to twoja historia.

- Ja... - Spojrzałem nad stołem pełnym jedzenia i zobaczyłem głód w jego oczach. - Cóż. To było jakiś czas temu, może parę miesięcy. Byłem w interesach w Tekitomurze. Siedziałem w portowym barze, *Tokio Crow*. Weszła...

Dziwnie się czułem, opowiadając to. Dziwnie,! jeśli mam być szczery, tak jakby mnie to nie dotyczyło. Słuchając teraz własnego głosu, trudno mi było uwierzyć we wszystko, co się wydarzyło w nocy rozlanej krwi i wrzeszczących halucynacji, na nawiedzanych przez maszyny pustkowiach Nowego Hokkaido i znów na południu, podczas ucieczki przed moim sobowtórem. Donkiszotowska rycerskość w portowych barach, szaleńczy, schizofreniczny seks i wielokrotne ucieczki w towarzystwie tajemniczej kobiety z włosami z żyjącej stali, górskie strzelaniny ze strzępkami samego siebie pośród ruin naszego marsjańskiego dziedzictwa. Sylvie miała rację, kiedy w cieniu portowego żurawia ochrzciła mnie Mickim. Wyglądało to na elementy niezłej sensorii.

Nic dziwnego, że Radul Segesvar nie potrafił zrozumieć tego, co zrobiłem. Gdybym opowiedział mu tę historię niejasnej lojalności i nieustannej zmiany kursu, ja - człowiek, który dwa lata temu przyszedł do niego po pomoc - sam roześmiałbym się w głos z niedowierzaniem.

Nie, nie roześmiałyś się.

Patrzyłbyś, zimny i pełen dystansu, bo słuchałbyś jednym uchem, myśląc o czymś innym. O następnej rzezi Nowego Objawienia, krwi na ostrzu noża Tebbita, głębokiej jamie gdzieś na Bezmiarze Rostów i jęśliwym wrzasku, który trwa i trwa...

Skwitowałbyś tę historię wzruszeniem ramion, bez względu na to, czy byłaby prawdziwa czy nie, zadowolony z tego, co masz.

Ale Koi spijał ją z moich ust bez słowa. Kiedy urywałem i spoglądałem na niego, nie zadawał pytań. Czekał cierpliwie i tylko raz, kiedy zdawało się, że zawiesiłem głos, gestem poprosił mnie o kontynuację. Kiedy wreszcie skończyłem, przez chwilę siedział bez ruchu, po czym kiwnął głową.

- Powiedziałaś, że kiedy pierwszy raz się wyłoniła, jakoś cię nazwała.

- Tak. - Pamięć Emisariusza przywołała imiona z głębin wspomnień. - Odisej. Ogawa. Myślała, że jestem jednym z jej żołnierzy z batalionu Tetsu, części Czarnych Brygad.

- Tak. - Odwrócił wzrok z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - Dziękuję, Kovacs-san.

Cisza. Wymieniłem spojrzenia z Brasilem. Surfer odchrząknął.

- Czy to źle?

Koi wciągnął powietrze, jakby sprawiało mu to ból.

- To może być pomocne. - Znów na nas spojrzał i uśmiechnął się smutno. - Byłem w Czarnych

Brygadach. Batalion Tetsu nie był ich częścią stanowił osobny front.

Brasil wzruszył ramionami.

- Może była otumaniona.

- Tak, może. - Ale smutek z jego oczu nie zniknął.

- A imiona? - zapytałem go. - Rozpoznajesz je?

Potrząsnął głową.

- Ogawa to na północy dość popularne imię, ale nie sądzę, bym znał kogoś takiego. Trudno mieć pewność po tak długim czasie, ale z nikim mi się ono nie kojarzy. A Odisej, cóż... - wzruszył ramionami – była sensei kendo, ale nie sądzę, by miała quellistowską przeszłość.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. W końcu Brasil westchnął.

- Ech, cholera.

Z jakiegoś powodu jego emocje zdawały się ożywiać Koi. Znów się uśmiechnął, tym razem z radością, której nie widziałem w nim wcześniej.

- Wydajesz się zniechęcony, przyjacielu.

- No cóż. Wiesz, naprawdę sądziłem, że to ona. Pomyślałem, że się za to weźmiemy.

Koi sięgnął po talerze i zaczął stawiać je na półkę za swoim ramieniem. Ruchy miał płynne i oszczędne.

- Wiecie, jaki dzień przypada w przyszłym tygodniu? - zapytał.

Obaj zamrugaliśmy.

- Nie? Bardzo niedobrze. Jak łatwo pograżamy się we własnych troskach, nieprawdaż? Jak łatwo jest nam oderwać się od wydarzeń i świata. - Nachylił się, by zebrać najdalsze talerze, a ja mu je podałem. - Dziękuję. Na koniec przyszłego tygodnia przypadają urodziny Konrada Harlana. W Millsport zarządzają święto. Sztuczne ognie i zabawy do upadłego. Chaos bawiących się ludzi.

Brasil zrozumiał to pierwszy. Jego twarz się rozpromieniła.

- To znaczy...?

Koi uśmiechnął się łagodnie.

- Przyjacielu, z tego co wiem, to może być ona. A niezależnie od tego, czy się mylę, czy nie, weźmiemy się za to, bo nie mamy innego wyboru.

To właśnie chciałem usłyszeć, ale wciąż nie potrafiłem uwierzyć, że wypowiedział te słowa. W trakcie jazdy na południe wyobrażałem sobie, że pozyskam Brasila i Viadurę, może jeszcze paru wiernych neoquellistów, którzy stanęliby po mojej stronie w nadziei na lepsze jutro. Ale historia Brasila z infoszapnelem, fakt, że pasowała do Nowego Hokkaido, oraz zrozumienie ze strony człowieka, który tam był, drobnego, samowystarczalnego mężczyzny, który z powagą traktował ogrodnictwo i jedzenie - wszystko to popychało mnie do przyprowadzającej o zawrót głowy wiary, że traciłem czas.

Świadomość, że wcale tak nie było, prawie mnie oszołomiła.

- Zastanówcie się - powiedział Koi. Miałem wrażenie, że jego głos się zmienił. - Może ten duch Nadii Makity jest tylko duchem. Ale czy obudzony, spragniony zemsty duch nam nie wystarczy? Czy nie wystarczył, by oligarchowie wpadli w panikę i złamali wiążące ich konwenanse mistrzów z Ziemi? Czy można nie wykorzystać takiej sytuacji? Nie wyrwać im z rąk kogoś, kto budzi w nich przerażenie i wściekłość?

Znów wymieniałem spojrzenia z Brasilem. Uniosłem brwi.

- Niełatwo będzie ich namówić - zauważył ponuro surfer. - Większość byłych Robaczków będzie walczyć, jeśli uznają, że dostaną Quell, i przekonają do tego innych. Ale nie wiem, czy zrobią to dla zbudzonego ducha, niezależnie od tego, jak bardzo będzie mu zależało na zemście.

Koi skończył wycierać talerze, wziął chusteczkę i obejrzał swoje dłonie. Zauważył na nadgarstku struzkę soku łańcuchojagód i pedantycznie ją wytarł. Nie odrywając oczu od dłoni, zaczął mówić:

- Porozmawiam z nimi, jeśli chcesz. Ale jeśli zabraknie im wiary, sama Quell nie poprosiłaby ich o to, by walczyli, więc ja też tego nie zrobię.

- Świetnie. - Brasil kiwnął głową.

- Koi... - Nagle poczułem, że muszę wiedzieć. - Czy myślisz, że ścigamy ducha?

Wydobył z siebie cichy dźwięk, coś między chichotem i westchnieniem.

- Wszyscy ścigamy duchy, Kovacs-san. Skoro żyjemy tak długo, nie moglibyśmy tego nie robić.

Sara.

Stłumiłem tę myśl, zastanawiając się, czy zobaczył przy tym drgnienie kącików moich oczu. Rozważając z nagłą paranoją, czy może już wiedział. Mój głos zachrypiał.

- Nie o to pytałem.

Zamrugnął i nagle znów się uśmiechnął.

- Tak, nie o to. Zapytałeś mnie, czy wierzę, a ja unikałem odpowiedzi. Wybacz. Na plaży Vchira spotyka się często tania polityka z tanią metafizyką, więc obu trzeba się spodziewać. Przy odrobinie wysiłku można zarobić na znośne życie nawet wówczas, gdy się je rozdziela, ale trudno potem zerwać z przyzwyczajeniami. - Westchnął. - Czy wierzę, że mamy do czynienia z powrotem Quellcristy Falconer? Chcę tego każdą komórką mojego ciała, ale jak każdy quellista muszę być świadomy faktów. A fakty nie świadczą na korzyść tego, w co chcę wierzyć.

- To nie ona?

- Mało prawdopodobne. Ale w chwili słabości sama Quell otworzyła furtkę na tego rodzaju sytuacje. Jeśli fakty przemawiają przeciwko tobie - powiedziała - ale nie możesz znieść niewiary, wtedy przynajmniej wstrzymaj się z oceną. Czekać i obserwuj.

- Można by pomyśleć, że to dość skutecznie zniechęca do podejmowania działań.

Kiwnął głową.

- Przeważnie tak. Ale w tym przypadku kwestia tego, co chcę, by było prawdą, nie ma związku z tym, czy powinniśmy działać. Ponieważ wierzę, że nawet jeśli ten duch ma wyłącznie wartość symboliczną, nadszedł jego czas. W taki czy inny sposób pojawiła się dla nas szansa. Harlanici zauważyli ją tak samo jak my i już wykonali swój ruch. Teraz pozostaje tylko odpowiedzieć. Jeśli w końcu będę musiał walczyć i zginąć za ducha i wspomnienie Quellcristy Falconer, a nie za nią, i tak będzie to lepsze niż całkowicie zaniechać walki.

Echo tych słów zostało w mojej głowie jeszcze długo po tym, jak zostawiliśmy Soseki Koiego zajętego przygotowaniami, i pojechaliśmy żukiem z powrotem wzdłuż Paska. To, i jego proste pytanie. Kryjące się za nim niezachwiane przekonanie.

Czy złakniony zemsty duch nie wystarczy?

Ale dla mnie to nie wystarczało. Bo ja trzymałem dłoń tego ducha i patrzyłem na cienie księżyców na podłodze domku w górach, podczas gdy kobieta wymykała mi się w sen, nie wiedząc, czy jeszcze się obudzi.

Jeśli można ją było obudzić, nie chciałem być tym, który powie jej, kim jest. Nie chciałem być tam i patrzeć jej w twarz, kiedy się tego dowie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Później wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Jest czas na myślenie i na działanie, powiedziała kiedyś młoda Quell, jak później odkryłem, pożyczając obficie z antycznego samurajskiego dziedzictwa Świata Harlana. *Nie należy ich ze sobą mylić. Kiedy przychodzi czas na działanie, myślenie musi pójść w niepamięć. Nie będzie na nie miejsca, kiedy rozpocznie się działanie.*

Brasil poszedł do pozostałych i przedstawił im decyzję Koiego i własną. Wybuchło trochę protestów ze strony surferów, którzy wciąż nie wybaczyli mi Sanction IV, ale nie trwało to długo. Nawet Mari Ado odrzuciła wrogość jak zepsutą zabawkę, kiedy stało się jasne, że tak naprawdę nie chodzi o mnie. Jeden za drugim, mężczyźni i kobiety z plaży Vchira wyrazili swoją zgodę w malowanym cieniem i słonecznym blaskiem wspólnym salonie.

Wyglądało na to, że zbudzony duch im wystarczył.

* * *

Etapy rajdu zostały ustalone w szybkością i swobodą, które dla bardziej zabobonnych mogłyby świadczyć o łasce bogów czy agentów przeznaczenia. Dla Koiego stanowiło to po prostu przepływ sił historycznych, niekwestionowany jak prawa ciężenia czy termodynamiki. Potwierdzało, że nadszedł czas, że polityczny kocioł wrzał. Oczywiście, że się wyleje, oczywiście, że wszystko wyleci z niego w jedną stronę, na podłogę. Bo niby gdzie indziej?

Powiedziałem, że moim zdaniem to po prostu szczęście, a on się uśmiechnął.

A i tak wszystko się zgadzało.

Ludzie:

Małe Niebieskie Robaczki. Praktycznie nie istnieli już jako formacja, ale w okolicy było dość ludzi ze starej ekipy, by stworzyć rdzeń zespołu z grubsza odpowiadający legendzie. Nowo przybyli, przyciągnięci przez moc legendy, wzmacniali szeregi i przez powiązania przejmowali nomenklaturę. W ciągu mijających lat Brasil nauczył się ufać niektórym z nich. Widział, jak surfują i walczą. Co ważniejsze, widział, jak wszyscy dowodzą, że potrafią wprowadzić w życie maksymy Quell i żyć zwyczajnie, gdy walka nie była dobrym rozwiązaniem. Razem obie ekipy tworzyły brygadę zbliżoną do tych, które służyły pod rozkazami Quell, oczywiście o ile to było możliwe bez wehikułu czasu.

Broń:

Niezbale zaparkowany ślizgacz wojskowy na podwórku Koiego stanowił symbol tendencji bardzo powszechnej na Pasku. Członkowie Robaczków nie byli jedynymi amatorami napadów z bronią w rękę, jacy ukryli się na plaży Vchira. Bez względu na to, co ciągnęło Brasila i jemu podobnych do surfowania, manifestowało się również entuzjazmem do łamania prawa na tuzin różnych sposobów. Sourcetown pełne było emerytowanych zbirów i rewolucjonistów, i wyglądało na to, że nikt z nich nie miał ochoty rozstawać się na dobre ze swoimi zabawkami. Wystarczyło potrząsnąć Paskiem, a sprzęt wysypał się z niego jak fiolki i erotyczne zabawki z pościeli łóżka Mitzi Harlan.

Planowanie:

Zdecydowanie przereklamowane, przynajmniej jeśli chodziło o większość ludzi Brasila. Grań Rila była prawie równie znana, jak stara kwatera policji na bulwarze Shimatsu, ta, którą członkini Czarnych Brygad Iphigenia Deme zmieniała w stos gruzu, kiedy próbowali przesłuchać ją w podziemiach i aktywowali tym enzymatyczne środki wybuchowe. Pragnienie, by zrobić to samo z Granią Rila, było w domu wręcz namacalne. Potrzebowałem chwili, by przekonać tych bardziej rozochoconych spośród młodszych członków Robaczków, że otwarty szturm byłby samobójstwem o

niebo mniej skutecznym niż wyczyn Deme.

- Trudno ich za to winić - stwierdził Koi, nieoczekiwanie zdradzając głosem minioną przynależność do Czarnych Brygadach. – Dostatecznie długo czekali na okazję, by się zemścić.

- Nie Daniel - zauważyłem. - Nie żyje więcej niż dwie dekady.

Koi wzruszył ramionami.

- Oburzenie na niesprawiedliwość jest jak pożar lasu: przeskakuje bariery, nawet te międzypokoleniowe.

Przestałem krążyć po pokoju i obejrzałem się na niego. Widać było, że dał się ponieść emocjom. W tej chwili obaj byliśmy morskimi olbrzymami z legend, zanurzonymi po kolana w wirtualnym oceanie między wyspami i rafami archipelagu Millsport w skali 1:2000. Sierra Tres wykorzystwała jakieś długi hajduków i zdobyła dla nas czas w konstrukcie mapującym pełnej skali należącym do firmy zajmującej się architekturą morską, której techniki zarządzania biznesowego nie wytrzymałyby ścisłej inspekcji prawnej. Nie byli uszczęśliwieni, ale takie rzeczy się zdarzają, kiedy zaczyna się kontakty z hajdukami.

- Widziałeś kiedyś pożar lasu, Koi?

Bo zdecydowanie nie jest to powszechny widok na planecie w dziewięćdziesięciu pięciu procentach pokrytej oceanem.

- Nie. - Machnął ręką. - To była metafora. Ale widziałem, co się dzieje, kiedy niesprawiedliwość przekracza w końcu granice. I trwa przez długi czas.

- Tak, wiem o tym.

Zapatrzyłem się w stronę wód południowego Reach. Konstruktor odtworzył tam miniaturę malstromu, bulgoczącego, zgrzytającego i ciągnącego pod powierzchnią moje stopy. Gdyby głębokość wody odpowiadała tej samej skali co reszta konstrukt, pewnie by mnie wyrzucił.

- A ty? Widziałeś pożar lasu? Może na innej planecie?

- Tak, widziałem parę. Na Loyoko pomogłem jeden rozpaść. - Dalej przyglądałem się malstromowi. - Podczas buntu pilotów. Sporo ich uszkodzonych pojazdów wylądowało na Trakcie Ekateriny. Prowadzili wojnę partyzancką, kryjąc się w górach. Musieliśmy ich wykurzyć. Byłem wtedy Emisariuszem.

- Rozumiem. - Jego głos nie zdradzał emocji. - Zdziałało?

- Tak, przez chwilę. Z pewnością wielu zabiliśmy. Ale jak powiedziałeś, ten rodzaj oporu ciągnie się przez pokolenia.

- Tak. A ogień?

Spojrzałem na niego i uśmiechnąłem się ponuro.

- Sporo czasu zajęło im ugaszenie go. Słuchaj, Brasil nie ma racji odnośnie tej szczeliny. Jak tylko wypłyniemy z tego przyczółka, trafimy na przestrzeń otwartą dla skanerów ochrony Nowej Kanagawy. Spójrz. A po drugiej stronie są rafy. Nie możemy podejść z tej strony, posiekają nas na kawałki.

Podszedł i przyjrzał się.

- Tak, zakładając, że będą na nas czekać.

- Na coś czekają. Znają mnie, wiedzą, że po nią przyjdę. Cholera, mają mnie na sznurku. Muszą tylko mnie zapytać, zapytać *jego*, a on powie im, czego się spodziewać, gnojek.

Poczucie zdrady płonęło żywym ogniem, jak coś wyrwanego wprost z mojej piersi. Jak Sara.

- Czy nie znaczy to, że będzie wiedział, by przyjść tutaj, do Vchiry? - zapytał cicho Koi.

- Nie sądzę. - Odtworzyłem tok myślenia, który stworzyłem, wsiadając w Tekitomurze na pokład *Córki Hajduka*. Miałem nadzieję, że wypowiedziany na głos brzmi równie przekonująco. -

Jest zbyt młody, żeby wiedzieć cokolwiek o czasie, który spędziłem z Robaczkami, a nie ma żadnych oficjalnych danych, którymi mogą go nakarmić. Zna Viadurę, ale dla niego wciąż jest wykładowcą w Korpusie. Nie będzie miał pojęcia, czym się teraz zajmuje, nie zna też moich powiązań z czasów po służbie. Ta suka Aiura da mu wszystko, co na mnie mają, może też na Virginię. Ale nie znajdą tego dużo, sporo faktów jest fałszywa. Obaj jesteśmy Emisariuszami, obaj zacieramy ślady i zalewamy szumem informacyjnym każdy nasz krok.

- Bardzo zmyślne.

Przyjrzałem się jego twarzy w poszukiwaniu ironii, ale jej tam nie znalazłem. Wzruszyłem ramionami.

- To warunkowanie. Szkołą nas do tego, byśmy znikali bez śladu na planetach, których praktycznie nie znamy. Łatwo o to na własnym podwórku. Te sukinsyny mogą wykorzystać tylko plotki i serię wyroków w przechowalni. To mało, jeśli trzeba przeszukać całą planetę, nad którą nie wolno latać. A jedyne, co jak mu się wydaje, wie o mnie na pewno, to że będę unikał Newpest jak ognia.

Wyłączyłem przyływ uczuć rodzinnych, które zaatakowały mnie na pokładzie *Córki Hajduka*. Wypuściłem powstrzymywany oddech.

- A więc gdzie będzie cię szukał?

Skinąłem głową w stronę widocznego przed nami modelu Millsport, wypełniającego gęsto zasiedlone wyspy i platformy.

- Prawdopodobnie szuka mnie tam. Zawsze się tam kierowałem, kiedy byłem na planecie. To największe środowisko miejskie, najłatwiej się tam rozplątać, jeśli dobrze się zna, a poza tym leży o krok od Grani Rila. Gdybym był Emisariuszem, tam bym zapadł. Ukryty w małej odległości od celu.

Na chwilę nietypowy widok przyprawił mnie o zawrót głowy, kiedy spojrzałem z góry na porty i ulice, kierując wspomnienia przez odległe stulecia, rozmywające stare i nowe widoki w nieostrą swojskość.

I on jest gdzieś tam.

Daj spokój, nie wiesz na pewno, czy...

Jest gdzieś tam, jak przeciwciało, idealnie dopasowane do intruza, na którego poluje. Rzuca ciche pytania w strumień miejskiego życia, przekupuje, grozi, wymusza, łamie, wykorzystuje wszystkie techniki, których tak dobrze go nauczono. Oddycha przy tym pełną piersią, żyjąc na własny, mrocznie radosny użytek, niczym jakaś negatywowa wersja filozofii życia Jacka Soul Brasila.

Wróciły do mnie słowa Pleksa.

Ma też w sobie energią, sprawia wrażenie, jakby nie mógł się doczekać, żeby wszystko pozalać. Jest pewny siebie, niczego się nie boi, nic nie stanowi dla niego problemu. Ze wszystkiego się śmieje...

Przypominałem sobie łańcuch powiązań z zeszłego roku, ludzi, których mogłem narazić na niebezpieczeństwo.

Todor Murakami, jeśli nadal kręcił się po okolicy bez przydziału. Czy moje młodsze ja go znało? Murakami dołączył do Korpusu prawie równocześnie ze mną, ale we wczesnych latach nie widywaliśmy się zbyt często, nie pracowaliśmy razem aż do Ziemi Nkrumaha i Innenin. Czy najęty przez Aiurę Kovacs pomyśli o tym kontakcie i zdoła skutecznie zagrać Murakamim? Skoro już o tym mowa, czy Aiura pozwoli swojemu dopiero co podwójnie upowłokowionemu pupilowi zbliżyć się do pozostającego na służbie Emisariusza? Czy się na to odważy?

Prawdopodobnie nie. A Murakami, mając za sobą pełny autorytet Korpusu, potrafi się o siebie zatroszczyć.

Isa.

O, cholera.

Piętnastoletnia Isa, ubrana w twardą jak tytan pozę kobiety światowej, niczym w kurtkę z panterzej skóry, wychowana miękko i z przywilejami tego, co pozostało z klasy średniej Millsport. Z umysłem ostrym jak brzytwa i podobnie krucha. Jak drugie wydanie małej Mito tuż przed tym, jak odszedłem do Emisariuszy. Jeśli znalazł Isę, to...

Odpreź się, jesteś kryty. Jedyne miejsce, które potrafi wskazać, to Tekitomura. Mają Isę, nie mają nic.

Ale...

Martwiłem się długo, przez całe uderzenie serca. Świadomość luki była jak przepełniająca mnie zimna odraza.

Ale on złamie ją na pół, jeśli wejdzie mu w drogę. Przejdzie przez nią jak anielski ogień.

Doprawdy? Skoro ona przypomina ci Mito, czy z nim nie będzie tak samo? To wasza wspólna siostra. Czy to go nie powstrzyma?

No właśnie?

Posłałem myśli z powrotem w mrok operacyjnych czasów w Korpusie i nie umiałem odpowiedzieć na to pytanie.

- Kovacs!

Głos prosto z nieba. Zamrugałem i spojrzałem w górę, odrywając wzrok od wymodelowanych ulic Millsport. Nad naszymi głowami w powietrzu wirtualizacji wisiał Brasil, ubrany w jaskrawopomarańczowe szorty surfera i strzępy niskiej chmury. Z twarzą i długimi włosami owiewanymi przez stratosferyczne wichry wyglądał jak pomniejszy bóg o fatalnej reputacji. Uniosłem rękę na powitanie.

- Jack, powinieneś tu przyjść i zerknąć na to podejście od północy.

To nie będzie...

- Nie mam czasu, Tak. Musisz z tego wyskoczyć. Natychmiast. Coś ścisnęło mnie w mostku.

- Co się dzieje?

- Mamy towarzystwo - powiedział konspiracyjnie i zniknął w rozbłysku białego światła.

* * *

Biura Dzurinda Tudjman Sklep, architektów morskich i inżynierów dynamiki płynów znajdowały się w północnym Sourcetown, w którym Pasek zaczynał przekształcać się w kompleks kurortów i plaż, gdzie można bezpiecznie surfować. Nie była to część miasta, w jakiej w normalnych warunkach dałby się zobaczyć Brasil i jego ekipa, ale dostatecznie swobodnie wmieszali się w tłum zwykłych turystów. Tylko ktoś, kto szukałby hardkorowych surferów, dostrzegłby ich spoza kolorowych, markowych strojów plażowych, które wykorzystali jako kamuflaż. W poważnym otoczeniu wyciszonej sali konferencyjnej dziesięć pięter nad promenadą ich ubrania wyglądały jak wykwit jakiegoś egzotycznego, antykorporacyjnego grzyba.

- Kapłan, pieprzony kapłan?

- Tego się obawiałam - odpowiedziała mi Sierra. - Najwyraźniej sam, co podobno jest dość niezwykle dla Nowego Objawienia.

- Chyba że uczą się sztuczek od sharykańskich brygad męczenników - zauważyła Virginia Viadura. - To uświęceni zabójcy wysyłani przeciw konkretnym niewiernym. Co ty kombinujesz, Tak?

- To sprawa osobista - wymamrotałem.

- Zawsze tak jest. - Viadura skrzywiła się i rozejrzała po zebranych. Brasil wzruszył ramionami, a Tres nie okazała więcej emocji niż zwykle. Ale Ado i Koi wyglądali na rozżłoszczonych. - Tak, myślę że mamy prawo wiedzieć, co się dzieje. To może zagrozić naszym planom.

- To nie ma *nic* wspólnego z tym, nad czym pracujemy, Virginio. Nie ma znaczenia. Ci brodaci pierdziele są zbyt głupi i niekompetentni, by nas tknąć. Stanowią koniec łańcucha pokarmowego.

- Głupi czy nie - zauważył Koi - jednemu z nich udało się dotrzeć za tobą aż tutaj. A teraz pyta o ciebie w Kem Point.

- *Dobra*. Pójdę i go zabiję. Mari Ado potrząsnęła głową.

- Sam tego nie zrobisz.

- Hej, to *mój* problem, Mari.

- Uspokój się, Tak.

- *Jestem, kurwa, spokojny!*

Mój wrzask zapadł w wytłumiającą wykładzinę jak ból utopiony w endorfinie. Przez chwilę nikt nic nie mówił. Mari Ado ostentacyjnie wyjrzała przez okno. Sierra Tres uniosła brwi. Brasil z uwagą oglądał podłogę. Skrzywiłem się i spróbowałem jeszcze raz. Cicho.

- Słuchajcie, to mój problem i chciałbym sam go rozwiązać.

- Nie. - To Koi. - Nie ma na to czasu. Spędziliśmy na przygotowaniach już dwa dni i nie możemy ich stracić. Nie stać nas na dalsze opóźnienia. Twoja prywatna wendeta będzie musiała poczekać.

- To nie zabierze...

- Powiedziałem *nie*. Zresztą jutro rano twój brodaty przyjaciel będzie cię szukał w zupełnie niewłaściwym miejscu. - Były komandos Czarnych Brygad odwrócił się lekceważąco, tak samo jak robiła to czasem Virginia Viadura, kiedy kiepsko spisaliśmy się na sesjach treningowych Emisariuszy. - Sierra, musimy podciągnąć prędkość w konstrukcie. Choć nie bardzo sobie wyobrażam, by to jeszcze było możliwe, prawda?

Tres wzruszyła ramionami.

- Wiesz, jak to jest z parametrami architektonicznymi. Czas zazwyczaj nie stanowi problemu. Może uda się z tego wyciągnąć czterdzieści, pięćdziesiąt razy w stosunku do czasu rzeczywistego przy pełnym obciążeniu.

- To wystarczy. - Koi nakręcał się własnymi słowami. Wyobraziłem sobie Niepokoje, tajne zebrania w ukrytych lokalach. Skąpe światło na rozłożonych mapach. - Może być. Ale będziemy musieli puścić to na dwóch odrębnych poziomach jako konstrukt mapujący i wirtualny hotel z salą konferencyjną. Powinniśmy łatwo przenosić się między jednym a drugim, w każdej chwili. Potrzebny nam prosty gest wyzwalający w rodzaju podwójnego mrugnięcia. Nie chcę, by coś zmusiło mnie do powrotu do rzeczywistości, kiedy będziemy to planować. Tres kiwnęła głową, już zaczęła działać.

- Pójdę powiedzieć Tudjmanowi, by się za to zabrał.

Wyszła z wytłumionej sali. Drzwi zamknęły się za nią łagodnie. Koi odwrócił się do pozostałych.

- A teraz proponuję parę minut przerwy na oczyszczenie umysłów, bo kiedy już zaczniemy, będziemy żyć w wirtualu do czasu zakończenia planowania. Jeśli dopisze nam szczęście, skończymy przed wieczorem czasu rzeczywistego i ruszymy w drogę. I Kovacs... To tylko moje prywatne zdanie, ale myślę, że przynajmniej części z nas jesteście winieni wyjaśnienie.

Napotkałem jego wzrok i poczułem nagłą falę niechęci do jego bzdur o polityce i marszu historii, co pomogło mi zmrozić własne spojrzenie.

- Masz absolutną rację, Soseki. To tylko twoje prywatne zdanie. Może więc zatrzymałbyś je dla

siebie?

Virginia Viadura odchrząknęła.

- Tak, myślę, że powinniśmy zejść na dół i napić się kawy.

- Racja, myślę, że powinniśmy.

Jeszcze raz spojrzałem na Koiego i ruszyłem do drzwi. Zauważyłem, jak Viadura i Brasil wymieniają spojrzenia, a potem wyszła za mną. Żadne z nas się nie odezwało, kiedy jechaliśmy windą przez oświetloną przestrzeń centralną do poziomu ziemi. W połowie drogi, w dużym, przeszklonym biurze zauważyłem Tudjmana krzyczącego bezgłośnie na niewzruszoną Sierę Tres. Najwyraźniej żądanie zwiększenia szybkości środowiska wirtualnego nie zostało dobrze przyjęte.

Winda wypuściła nas na otwarte atrium i dźwięki ulicy z zewnątrz. Przeszedłem przez hol, wkroczyłem w tłum turystów na promenadzie, po czym machnięciem ręki przywołałem autotaksówkę. Virginia Viadura chwyciła mnie za drugą rękę w chwili, gdy pojazd osiadł na ziemi.

- Gdzie to niby się wybierasz?

- Dobrze wiesz, gdzie.

- Nie. - Mocniej ścisnęła moją rękę. - Nie pojedziesz. Koi ma rację, nie mamy na to czasu.

- To nie zajmie dostatecznie długo, by się tym martwić.

Próbowałem ruszyć w stronę otwartego wjazdu taksówki, ale żeby to zrobić, musiałbym zacząć z nią walczyć. I nawet wtedy z takim przeciwnikiem nie była to wcale oczywista opcja. Obróciłem się do niej z desperacją.

- Virginio, *puść* mnie.

- A co się stanie, jeśli coś ci nie wyjdzie, Tak? Co będzie, jeśli ten kapłan...

- *Nic* nie pójdzie źle. Zabijam tych sukinsynów już od ponad roku i...

Urwałem. Surferska powłoka Virginii była prawie równie wysoka jak moja i nasze oczy oddzielało ledwie kilkanaście centymetrów. Czulem jej oddech na swoich ustach i napięcie jej ciała. Jej palce zatopiły się w moim ramieniu.

- To przesądza sprawę - powiedziała. - Cofnij się. Mów do mnie, Tak. Cofnij się i do cholery, opowiedz mi o tym.

- *I o czym tu mówić?*

Uśmiecha się do mnie nad lustrodrzewowym stołem. To nie jest twarz, którą zapamiętałem - przede wszystkim jest dobre parę lat młodsza - ale w nowej powłoce widać echa ciała, które zginęło na moich oczach od serii pocisków z kalasznikowa całe życie temu. Ta sama długość kończyn, tak samo spadające na boki krucze włosy. Coś w sposobie, w jaki przechyla głowę tak, że włosy odsuwają się od prawego oka. Sposób, w jaki pali. Sposób, w jaki wciąż pali.

Sara Szaciłowska. Uwolniona z przechowalni, żyjąca własnym życiem.

- *Cóż, pewnie o niczym. Jeśli jesteś szczęśliwa.*

- Jestem. - Wydmuchuje dym z dala od stołu, przez chwilę zirytowana. Drobnym przeblask kobiety, którą kiedyś znałem. - No wiesz, ty byś nie był? Wyrok zamieniony na karę pieniężną. A pieniądze wciąż płyną, biokoderzy będą mieli pracę przez następne dziesięciolecie. Do czasu, aż ocean znów się uspokoi, musimy oswoić nowe poziomy przepływy, i to tylko lokalnie. Ktoś wciąż będzie musiał modelować to, co dzieje się w miejscu, gdzie prąd Mikuni trafia na wodę z Kossutha, a potem coś z tym zrobić. Będziemy składać ofertę, jak tylko rozdziela rządowe fundusze. Josef mówi, że przy aktualnych pensjach spłacę całą karę w najbliższe dziesięć lat.

- *Josef?*

- Ach, tak, powinnam była ci o nim wspomnieć. - Znów się uśmiecha, tym razem szerzej. Bardziej otwarcie. - Jest naprawdę świetny, Tak. Powinieneś go poznać. Kieruje tu projektem,

stanowi jeden z powodów, dla których wyszłam w pierwszej fali. Przeprowadzał wirtualne przesłuchania i był kontaktem projektowym, kiedy mnie puścili, a potem... no wiesz.

Spuszcza wzrok, nadal się uśmiechając.

- Czerwienisz się, Saro.

- Wcale nie.

- Właśnie że tak. - Wiem, że powinienem cieszyć się z jej szczęścia, ale nie potrafię. Zbyt wiele wspomnień jej bladego ciała poruszającego się przy mnie w hotelowych łóżkach i obskurnych kryjówkach. - Czyli ten Josef trzyma się tego, co ma?

Szybko podnosi wzrok i przy szpila mnie spojrzeniem.

- Oboje to robimy, Tak. Jestem z nim szczęśliwa. Myślę, że szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

Więc czemu, do cholery, mnie tu ściągnęłaś, głupia suko?

- To wspaniale - mówię.

- A co z tobą? - pyta z troską. - Jesteś szczęśliwy?

Unoszę brwi, żeby zyskać na czasie. Umykam spojrzeniem w bok w sposób, który kiedyś rozbawiał ją do łez. Tym razem posyła mi tylko pobłażliwy uśmiešek.

- Cóż, szczęśliwy... - Znow robię minę. - To, ach... sztuczka, w której nigdy nie byłem dobry.

No wiesz, wyszedłem przed czasem, jak ty. Pełna amnestia NZ.

- Tak, słyszałam o tym. I byłeś na Ziemi, prawda?

- Przez jakiś czas.

- A co teraz?

Macham niedbale ręką.

- Och, pracuję. Nie jest to robota aż tak prestiżowa jak to, co robicie na północnym skraju, ale wystarcza na spłacenie powłoki.

- To legalne?

- Żartujesz?

Jej twarz się zmienia.

- Wiesz, jeśli to prawda, Tak, to nie mogę się z tobą spotykać. To część umowy upowłokowieniowej. Wciąż jestem na warunku, nie wolno mi się wiązać z...

Potrząsa głową.

- Przestępcami? - pytam.

- Nie śmieję się ze mnie, Tak.

Wzdycham.

- Nie śmieję się, Saro. Myślę, że to wspaniale, że ci się ułożyło. Po prostu, nie wiem... czuję się dziwnie na myśl, że pisziesz biokod, zamiast go kraść.

Znow się uśmiecha - standardowy wyraz twarzy przez całą rozmowę - ale tym razem widzę w niej cierpienie.

- Ludzie się zmieniają - mówi. - Powinieneś spróbować.

Zapada niezręczna cisza.

- Może spróbuję.

I kolejna.

- Słuchaj, naprawdę powinnam już wracać. Josef pewnie nie...

- No, daj spokój. - Wskazuję na nasze puste szklaneczki, stojące samotnie na lustrodzewie. Były czasy, kiedy nie opuszczaliśmy z własnej woli tego rodzaju baru, dopóki nie zapełniliśmy całego stołu osuszonymi szklaneczkami i jednorazowymi fajkami. - Nie masz dla siebie szacunku, kobieto? Zostań na jeszcze jednego.

Więc zostaje, ale tak naprawdę nie pomaga to na panującą między nami niezręczność. A kiedy kończy drugiego drinka, wstaje i całuje mnie w oba policzki, po czym wychodzi, zostawiając mnie tam.

I nie zobaczyłem jej już nigdy więcej.

- Szaciłowska? - Virginia Viadura zmarszczyła się, przeszukując pamięć. - Wysoka, prawda? Głupie uczesanie, tak na bok, na jedno oko? Taaak. Chyba kiedyś przyprowadziłeś ją na imprezę, kiedy razem z Jarosem mieszkaliśmy jeszcze na Ukai.

- Tak, zgadza się.

- Czyli odeszła na północne ramię, a ty z powrotem przyłączyłeś się do Małych Niebieskich Robaczków, bo co, chciałeś zrobić jej na złość?

Podobnie jak światło słońca i tanie metalowe wyposażenie ogródka kawowego wokół nas, pytanie błyszczało zbyt mocno. Odwróciłem się od niego w stronę morza. Na mnie nie działało to tak, jak na Brasila.

- To nie tak, Virginia. Kiedy się z nią spotkałem, już z wami kręciłem. Nie wiedziałem nawet, że wyszła. Kiedy słyszałem o niej po powrocie z Ziemi, miała odsiadywać pełen wyrok. W końcu zabiła gliniarzy.

- Tak jak ty.

- No cóż, mnie pomogły pieniądze z Ziemi i wpływy NZ.

- Dobra. - Viadura pociągnęła łyk kawy i znów się skrzywiła. Kawa nie była dobra. - Czyli wyszliście osobno z przechowalni i straciliście się w różnicy. To smutne, ale dość powszechne.

Przez szum fal znów usłyszałem Japaridze.

Sunie po nim przyływ trzech księżyców i jeśli mu pozwolisz, oderwie cię od wszystkich i wszystkiego, co jest dla ciebie drogie.

- Tak, zgadza się. To się często zdarza. - Odwróciłem się z powrotem do niej nad przefiltrowanym chłodem osłoniętego ekranem stołu. - Ale nie straciłem jej w różnicy, Virginia. Pozwoliłem jej odejść. Odejść z tym gnojkiem Josefem. Sam ją zostawiłem.

Na jej twarzy pojawiło się zrozumienie.

- Och, *rozumiem*. To *dlatego* nagle zainteresowałeś się Latimerem i Sanction IV. Wiesz, zawsze się zastanawiałam, czemu tak nagle zmieniłeś zdanie.

- Nie chodziło tylko o to - skłamałem.

- Dobra. - Jej twarz mówiła, że to nie ma znaczenia, i tak mi nie wierzy. - A więc co takiego stało się z tą Szaciłowską, kiedy cię nie było, że zacząłeś mordować kapłanów?

- Północne ramię archipelagu Millsport. Nie domyślasz się?

- Przyjęli nowe wyznanie?

- *On*, kurwa, je przyjął. A potem ją wciągnął.

- Doprawdy? Była jego ofiarą?

- Virginio, do cholery, ona była *ubezwłasnowolniona*! - Pohamowałem się.

Ekran stołu odcinały część upału i dźwięków, ale przepuszczalność była zmienna. Siedzący przy innych stołach ludzie obejrżeli się w naszą stronę. Przez sięgający nieba płomień wściekłości przebiło się odrobinę emisariuszowskiego dystansu. Mój głos zabrzmiał bezbarwnie.

- Rządy zmieniają się tak jak ludzie. Cofnęli fundusze z projektów północnego ramienia kilka lat po tym, jak się tam przeprowadziła. Nowa antyinzynieryjna etyka, która miała usprawiedliwić cięcia. Nie należy wtrącać się w naturalną równowagę biosystemów planetarnych. Niech wypiętrzenie Mikuni samo dojdzie do równowagi, to lepsze, mądrzejsze rozwiązanie. I oczywiście tańsze. Zostało jej jeszcze siedem lat płacenia, i to przy stawkach konsultanta biokodu, jakie dostawała wcześniej.

Większość z tych wiosek nie miała poza projektem Mikuni nic, co wyciągnęłoby je z biedy. Cholera wie, jak tam było, kiedy nagle wszyscy musieli wrócić do przybrzeżnego rybołówstwa, by utrzymać się przy życiu.

- Mogła odejść.

- Mieli *pieprzone dziecko*, dobra? - Pauza, oddech. Spojrzenie na morze. Stłumić to uczucie. - Mieli dziecko, córkę, ledwie paroletnią.

Nagle zabrakło im pieniędzy. I oboje pochodzili z północnego ramienia, to był jeden z powodów, dla którego jej nazwisko pojawiło się w maszynie do zwolnień. Nie wiem, może myśleli, że jakoś sobie poradzą. Z tego co słyszałem, fundusze na Mikuni przycinali najpierw trochę, a potem znów zwiększali, zanim całkiem je odcięli. Może mieli nadzieję, że nastąpi kolejna zmiana.

Viadura pokiwała głową.

- I nastąpiła. Pojawiło się Nowe Objawienie.

- Tak. Klasyczna dynamika ubóstwa, ludzie chwytają się wszystkiego. A jeśli w grę wchodzi wybór: religia albo rewolucja, rząd dość chętnie cofnie się i pozwoli działać kapłanom. Wszystkie te wioski i tak miały silne tradycje wiary. Skromne życie, sztywne normy społeczne, dominacja mężczyzn. Jak na pieprzonej Sharyi. Brakowało tylko bojowników Nowego Objawienia równocześnie z kryzysem ekonomicznym.

- I co się stało? Nadepnęła na odcisk jakiegoś czcigodnego samca?

- Nie. Nie ona, tylko jej córka. Miała wypadek w trakcie połowów. Nie znam szczegółów. Zginęła. Udało się odzyskać stos. - Znowu obudziła się we mnie furia, zalewając żołądek lodowatymi jezorami. - Tylko że oczywiście *nie wolno* go było wykorzystać.

Ostateczna ironia. Marsjanie, niegdyś bicz na stare, ziemskie wyznania, kiedy wiedza o ich milionletniej, przedludzkiej cywilizacji międzygwiazdnej zmieniła sposób, w jaki ludzkość patrzyła na swoje miejsce we wszechświecie. Teraz Nowe Objawienie ogłosiło ich aniołami; pierwszymi skrzydlatymi twórcami Boga, *w zostawionych nam zmumifikowanych ciałach nie ma zaś żadnego śladu po niczym, co przypominałoby stopy korowe*. Dla umysłu pogrążonego w psychozie wiary związek był oczywisty. Ponowne upowłokowanie było złem zrodzonym w czarnym sercu ludzkiej nauki, wykolejeniem ze ścieżki do wiecznego życia i boskiej obecności. Obrzydlistwem.

Zapatrzyłem się w morze. Słowa sypały się z moich ust jak popiół.

- Próbowwała uciec. Sama. Josefowi wiara już przesrała mózg, nie pomógłby jej. Wzięła więc ciało córki i ukradła ślizgacz. Popłynęła na wschód wzdłuż wybrzeża, szukając kanału, który zabrałby ją na południe, do Millsport. Ścigali ją i sprowadzili z powrotem. Josef im pomógł. Przywiązali ją do pręgierza, który kapłani zbudowali na środku wioski, i kazali jej patrzeć, jak wycinają stos z kręgosłupa jej córki i wyrzucają go. A potem zrobili to samo z nią. Była przytomna, by mogła docenić swoje zbawienie.

Przełknąłem ślinę. Mówienie o tym bolało. Wokół nas przewalał się tłum turystów, jak wielobarwna fala idiotów, którymi faktycznie byli.

- Kiedy skończyli, cała wioska świętowała uwolnienie ich dusz. Doktryna Nowego Objawienia głosi, że stos korowy trzeba stopić na żuzel, by przegnać zamkniętego w nim demona. Ale na północnym ramieniu dodali do tego własne przesady. Zabierają stopy na morze w dwuosobowej łodzi, zamknięte w maskujący dla sonaru plastik. Żeglują pięćdziesiąt kilometrów od brzegu i gdzieś po drodze biorący w tym udział kapłan wyrzuca stopy za burtę. Nie zna kursu łodzi, a sternik nie może wiedzieć, kiedy wyrzucono stopy.

- To wygląda na system dość podatny na korupcję.

- Może. Ale nie w tym przypadku. Torturowałem obu aż do śmierci, ale nie potrafili mi

powiedzieć. Miałbym większe szanse odnalezienia stosu Sary, gdybym potknął się o niego na rafie Hirata.

Poczułem na sobie jej wzrok i w końcu obróciłem się wolno w jej stronę.

- Czyli byłeś tam - powiedziała cicho.

Kiwnąłem głową.

- Dwa lata temu. Zamierzałem ją odszukać, kiedy wróciłem z Latimera. Zamiast tego znalazłem Josefa, płaczącego na jej grobie. Wyciągnąłem z niego całą historię. - Moja twarz skurczyła się na to wspomnienie. - W końcu. Podał mi nazwiska sternika i kapłana, więc ich znalazłem. Jak mówiłem, nie potrafili powiedzieć mi nic użytecznego.

- A potem?

- A potem wróciłem do wioski i zabiłem pozostałych.

Potrząsnęła lekko głową.

- Jakich pozostałych?

- Resztę wioski. Każdego sukinsyna, który był dorosły w dniu, kiedy zginęła. Zapłaciłem infoszczurowi w Millsport za sprawdzenie dla mnie informacji o ludziach, twarzach i nazwiskach. Każdego, kto mógł ruszyć palcem w jej obronie i tego nie zrobił. Wziąłem listę, pojechałem tam i zabiłem ich. - Spojrzałem na swoje dłonie. - I paru innych, którzy stanęli mi na drodze.

Patrzyła na mnie, jakbym był kimś obcym. Z irytacją machnąłem ręką.

- Och, daj spokój, Virginio. Oboje robiliśmy gorsze rzeczy na planetach, których było tak dużo, że nawet ich nie pamiętam.

- Masz pamięć Emisariusza - zauważyła tępo.

Znów machnąłem ręką.

- Figura stylistyczna. Na siedemnastu planetach i pięciu księżycach. I tym habitacie na Asteroidach Newskiego. I...

- Zabrałeś ich stopy?

- Tak, Josefa i kapłanów.

- Zniszczyłeś je?

- Czemu miałbym to robić? Dokładnie tego by chcieli. Zapomnienie po śmierci. Bez możliwości powrotu. - Zawahałem się. Ale teraz nie miało już sensu przerywać. I jeśli nie mogłem zaufać Viadurze, nie został mi nikt inny. Odchrząknąłem i wskazałem kciukiem na północ. - W tamtą stronę, na Bezmiarze Rostów, mam przyjaciela w hajdukach. Oprócz innych interesów hoduje też pantery bagienne do walk w jamach. Czasami, jeśli są dobre, instaluje im stopy korowe. W ten sposób może przelewać rannych zwycięzców do nowych powłok i zwiększać ich szanse.

- Chyba wiem, do czego to zmierza.

- Tak. Za pieniądze bierze ode mnie stopy i ładuje ich właściciele do co bardziej pokiereszowanych panter. Dajemy im czas, by oswoili się z tą sytuacją, a potem puszczamy ich na gorsze areny i patrzymy, co się dzieje. Ten przyjaciel zarabia niezłe pieniądze na zakładach do walk, o których wiadomo, że do panter przelano ludzi. Najwyraźniej powstała wokół tego jakaś chora subkultura. - Przechyliłem kubek po kawie i obejrzałem fusy na dnie. - Przypuszczam, że do tej pory stracili już resztki rozumu. Pewnie nie jest fajnie tkwić wewnątrz obcego umysłu, a co dopiero kiedy trzeba pazurami i kłami walczyć o życie w błotnistej jamie. Wątpię, by zostało w nich wiele świadomych, ludzkich myśli.

Viadura spuściła wzrok na kolana.

- To sobie powtarzasz?

- Nie, to tylko teoria. - Wzruszyłem ramionami. - Może się mylę. Może zachowali świadomość.

I to całkiem sporo. Może w chwilach przytomności sądzą, że trafili do piekła. Wszystko jedno, i tak mi to odpowiada.

- Jak to finansujesz? - wyszeptała.

Gdzieś w sobie znalazłem szczery uśmiech i włożyłem go jak maskę na usta.

- Cóż, wbrew powszechnym mniemaniom, niektóre elementy tego, co stało się na Sanction IV, przyniosły mi pożytek. Nie brakuje mi pieniędzy.

Podniosła wzrok, jej twarz wezbrała gniewem.

- Zarobiłeś *pieniądze* na Sanction IV?

- Zasłużyłem na nie - odpowiedziałem cicho.

Jej rysy wygładziły się nieco, gdy opanowała gniew. Ale głos zdradzał napięcie.

- A czy te fundusze wystarczą?

- Na co?

- Cóż - zmarszczyła czoło. - Na zakończenie tej wendety. Polujesz na kapłanów z wioski, ale...

- Nie, zrobiłem to w zeszłym roku. Nie zajęło mi to zbyt wiele czasu, nie było ich aż tylu. Aktualnie poluję na tych, którzy byli członkami Mistrzostwa Eklezjastycznego, kiedy została zamordowana. Twórców zasad, które ją zabiły. To trwa dłużej, bo jest ich sporo i są starsi rangą, więc lepiej chronieni.

- Ale nie planujesz na nich poprzestać? Potrząsnąłem głową.

- W ogóle nie zamierzam przestać, Virginio. Nie mogą mi jej oddać, prawda? Czemu więc miałbym przestać?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Nie wiem, ile Virginia powiedziała pozostałym, kiedy już wróciliśmy do podkreślonej wirtualizacji. Zostałem na dole, w konstrukcie mapującym, podczas gdy reszta zebrała się w sekcji hotelowej, o której ciągle myślałem, że znajduje się na górze. Nie wiedziałem, co im przekazała, i nie obchodziło mnie to. Czuję ulgę, że mogłem wreszcie opowiedzieć komuś całą historię.

Przestałem być w tym sam.

Ludzie w rodzaju Isy i Pleksa oczywiście znali fragmenty tej historii, a Radul Segesvar wiedział więcej. Ale co do reszty... Cóż, Nowe Objawienie od początku ukrywało to, co im robiłem. Nie chcieli negatywnego rozgłosu czy interwencji niewiernych w rodzaju Pierwszych Rodzin. Śmierci zgłaszano jako wypadki, napady na klasztory, źle zakończone próby obrabowania. Równocześnie od Isy wiedziałem, że krążyły prywatne kontrakty na mnie zlecone przez Mistrzów. Kapłani mieli skrzydło bojowe, ale najwyraźniej nie pokładali w nim zbyt wielkiej wiary, bo uznali za stosowne wynająć grupę zabójców z Millsport. Pewnej nocy w małym miasteczku na archipelagu Saffron pozwoliłem jednemu z nich zbliżyć się dostatecznie, by sprawdzić ich jakość. Nie wywarli najlepszego wrażenia.

Nie wiem, ile Virginia Viadura powiedziała swoim cierpiącym kolegom, ale obecność samotnego kapłana w Kem Point oznaczała, że nie możemy wrócić z rajdu na Grań Rila i zostać na Vchirze. Jeśli wytropiło mnie Nowe Objawienie, mogli też tego dokonać ludzie bardziej kompetentni. Jako melina, plaża Vchira była spalona.

Mari Ado wypowiedziała prawdopodobnie powszechną opinię.

- Ty to spieprzyłeś, przyciągając ze sobą do zatoki to łajno. Ty znajdź rozwiązanie.

Więc to zrobiłem.

Umiejętność Emisariusza, prosto z podręcznika - praca z dostępnymi narzędziami. Rozejrzałem się po okolicy, oceniłem, na co da się wpłynąć, i natychmiast to dostrzegłem. Łajno zaszkodziło, łajno wyciągnie nas z bagna, nie wspominając już o tym, że przy okazji rozwiąże kilka moich osobistych problemów. Wyszczrzyła się do mnie ironia. Nie wszyscy byli równie zachwyceni. Na przykład Ado.

- Zaufać pieprzonym hajdukom? - Za jej słowami kryła się pogarda rodem z Millsport. - Nie, dziękuję.

Sierra Tres uniosła brwi.

- Już korzystaliśmy z ich usług, Mari.

- Nie, to ty korzystałaś. Ja trzymam się z daleka od takich śmieci. Zresztą, tego nawet nie znasz.

- Słyszałam o nim. Kontaktowałam się z ludźmi, którzy prowadzili z nim interesy, i z tego co słyszałam, gość dotrzymuje słowa. Ale mogę go sprawdzić. Mówisz, że jest twoim dłużnikiem, Kovacs?

- Zdecydowanie tak. Wzruszyła ramionami.

- To chyba powinno wystarczyć.

- Och, do jasnej cholery, Sierra. Nie możesz...

- Segesvar jest pewny - wtrąciłem. - Poważnie traktuje swoje długi, i to w obie strony. Potrzebuję tylko pieniędzy. Jeśli je macie.

Koi zerknął na Brasila, który skinął lekko głową.

- Tak - powiedział. - Możemy je zdobyć bez problemu.

- Wszystkiego, kuźwa, najlepszego, Kovacs!

Virginia Viadura przebiła Ado spojrzeniem.

- Zamknij się w diabły, Mari. To bezpieczny depozyt w banku kupieckim Millsport, prawda?

- Co to ma...

- *Dość* - odezwał się Koi i wszyscy się zamknęli. Sierra Tres wyszła, by wykonać jakieś telefony z jednego z pokoi w korytarzu, a reszta wróciła do konstrukt mapowego. W przyspieszonym środowisku wirtualnym Tres zniknęła na resztę dnia - co w czasie rzeczywistym zewnętrznego świata oznaczało dziesięć minut. W konstrukcie można wykorzysta różnice czasowe do wykonania trzech lub czterech równoczesnych rozmów, przełączając się z jednej na drugą w minutowych przerwach, które na drugim końcu linii stanowią parosekundowe pauzy. Kiedy Tres wróciła, miała na Segesvara więcej, niż trzeba, by potwierdzić jej pierwotne wrażenie. Był hajdukiem starego stylu, przynajmniej we własnych oczach. Przeszliśmy z powrotem do hotelu i wystukałem tajny kod w telefonie bez podglądu optycznego.

Linia była fatalna. Segesvar pojawił się przy akompaniamencie intensywnych szumów, z których tylko część wynikała z dopasowywania sygnału do różnego upływu czasu. Część niezwiązana z techniką przypominała krzyki.

- Jestem zajęty, Tak. Zadzwoń później?

- Co byś powiedział, gdybym spłacił swój rachunek, Rad? W tej chwili, bezpośredni transfer przez dyskretnych pośredników. A potem jeszcze drugie tyle.

Cisza w wirtualizacji rozciągnęła się na całe minuty. Może parę sekund wahania na drugim końcu linii.

- Byłbym bardzo zainteresowany. Pokaż pieniądze, to porozmawiamy.

Zerknąłem na Brasila, który wyciągnął dłoń z rozłożonymi palcami i bez słowa wyszedł z pokoju. Dokonałem szybkich obliczeń.

- Sprawdź konto - powiedziałem Segesvarowi. - Pieniądze będą tam w ciągu dziesięciu sekund.

- Dzwonisz z konstrukt?

- Idź sprawdzić przepływ kasy, Rad. Poczekam.

Reszta nie stanowiła problemu.

* * *

Podczas krótkiego pobytu w wirtualu człowiek nie potrzebuje odpoczynku i większość programistów nie zwraca sobie głowy wprowadzaniem procedur, które wywoływałyby sen. Na dłuższą metę oczywiście nie jest to zdrowe. Jeśli za długo przesiaduje się w krótkoterminowym konstrukcie, w końcu zaczyna się tracić rozum. Po paru dniach efekty są zaledwie... dziwne. Z początku człowiek czuje się tak, jakby jechał równocześnie na tetramecie i lekach koncentrujących w rodzaju summitu czy synagripu. Od czasu do czasu uwaga zatrzymuje się jak znieruchomiały silnik, ale jest na to sposób. Bierze się duchowy odpowiednik spaceru po parku, smaruje procesy myślowe jakąś zagadką bez rozwiązania, i wszystko gra. Jak w przypadku summitu i synagripu czuje się wariacką radość z narastającego jęku skupienia.

Pracowaliśmy przez pełne trzydzieści osiem godzin, eliminując błędy w planie ataku, analizując scenariusze różnych sytuacji i kłócąc się zażarcie. Co jakiś czas ktoś z nas wydawał z siebie pełen irytacji jęk, padał plecami na sięgającą kolan wodę konstrukt i odpływał z archipelagu w stronę horyzontu. Przy odpowiednim dobraniu kąta ucieczki, jeśli nie wpadło się na jakąś zapomnianą wysepkę i nie podrapało pleców o rafę, był to idealny sposób oderwania się i odpoczynku. Unosząc się na wodzie, podczas gdy głosy innych cichły w oddali, niemal czuło się, że świadomość rozluźnia się jak skurczony mięsień.

Podobny efekt można było uzyskać, wymrużując się całkowicie i wracając do poziomu hotelu. Było tam mnóstwo napojów i jedzenia i choć nic z tego tak naprawdę nie docierało do żołądka,

starannie wprowadzono procedury smaku i upojenia alkoholowego. W konstrukcieniu ma większej potrzeby przyjmowania pokarmu czy snu, ale sam akt jedzenia i picia daje przyjemnie kojący efekt. Kiedy zatem minęła trzydziesta godzina, siedziałem sam, walcząc z talerzem sashimi z butlogrzebieta i popijając *sake* z Saffron, kiedy tuż przede mną pojawiła się Virginia Viadura.

- Tu jesteś - powiedziała dziwnie lekkim głosem.

- Tu jestem - zgodziłem się.

Odchrząknęła.

- Jak twoja głowa?

- Stygnie. - Uniosłem czarkę z *sake*. - Chcesz trochę? Najlepsze *nigori* z Saffron. Podobno.

- Musisz przestać wierzyć w to, co wypisują na etykietkach, Tak. Ale wzięła butelkę, przywołała czarkę prosto do drugiej dłoni i naląła.

- *Kampai* - rzuciła.

- *Por nosotros*.

Wypiliśmy. Opadła na fotel naprzeciw mnie.

- Usiłujesz obudzić we mnie nostalgię?

- Nie wiem. Próbujesz wtopić się w tłum miejscowych?

- Nie byłam na Adoracion ponad sto pięćdziesiąt lat, Tak. Teraz tu jest mój dom i tu przynależę.

- Tak, bez wątpienia zintegrowałaś się z lokalną sceną polityczną.

- I życiem plażowym. - Opadła trochę głębiej w fotel i uniosła w bok jedną nogę. Była ładnie umięśniona i opalona od życia na Vchirze, a jej natryskiwany strój kąpielowy pozwalał dokładnie obejrzeć całe nogi. Poczułem, że mój puls lekko przyspiesza.

- Bardzo piękne - przyznałem. - Jaros powiedział, że wydałaś na tę powłokę wszystko, co miałaś.

Zdała sobie sprawę z ewidentnie seksualnej natury swojej pozy i opuściła nogę. Ujęła w dłonie czarkę z *sake* i nachyliła się nad nią.

- Co jeszcze ci powiedział?

- Cóż, to nie była długa rozmowa. Próbowałem się tylko dowiedzieć, gdzie jesteś.

- Szukałeś mnie?

- Tak. - Coś zatrzymało się we mnie w chwili, gdy się do tego przyznałem. - Szukałem.

- A teraz, skoro mnie znalazłeś, to co?

Mój puls zatrzymał się na poziomie przyspieszonego łomotu. Wrócił odległy świst zbyt długiego pozostawania w wirtualu. Przez głowę przemknęły mi obrazy. Virginia Viadura o ostrym spojrzeniu i twardym ciele, nieosiągalny instruktor Emisariuszy, stojąca przed nami na inauguracji, ideał kobiecej kompetencji, absolutnie nie do zdobycia. W głosie i oczach iskry rozbawienia, które w mniej formalnych okolicznościach mogłyby przerodzić się w zmysłowość. Żenująco niezdarna próba flirtu ze strony Jimmy'ego de Soto w mesie, odrzucona z brutalnym brakiem zainteresowania. Autorytet połączony z kompletnym brakiem napięcia seksualnego. Moje własne, mroczne fantazje bez szans na spełnienie, gasnące wolno w olbrzymim szacunku sięgającym równie głęboko, jak warunkowanie Emisariusza.

A potem walka, ostateczne rozwianie wszelkich romantycznych myśli, które mogłyby przetrwać lata szkolenia. Twarz Viadury w tuzinie różnych powłok, na tuzinie różnych światów, wyostrzona bólem lub furią albo po prostu całkowitym skupieniem na zadaniu. Smród jej zbyt długo niemytego ciała w ciasnym promie na ciemnej stronie księżyca Loyoko, śliskość jej krwi na moich dłoniach morderczej nocy w Zihicce, gdzie prawie umarła. Wyraz jej twarzy, kiedy nadszedł rozkaz zmiążdżenia wszelkiego oporu w Nerudzie.

Myślałem, że te chwile wyniosły nas ponad seks. Zdawały się ogarniać głębie emocjonalne, przy których myśl o pieprzeniu stawała się płytka. Kiedy ostatnim razem odwiedziłem Vchirę i zobaczyłem sposób, w jaki Brasil się do niej nachylał - fakt, że pochodziła z Adoracion, wystarczył, by wzbudzić w nim iskry zainteresowania - poczułem jakiś rodzaj wyższości. Nawet gdy była z Jarosławem w pełnym rozstań, długoterminowym związku, zawsze wierzyłem, że mimo wszystko nie docierał do rdzenia kobiety, u boku której walczyłem na tyłu światach Protektoratu, ilu większość ludzi nawet nie miała szansy zobaczyć.

Przybrałem lekko zdziwiony wyraz twarzy, mając wrażenie, że się ukrywam.

- Myślisz, że to dobry pomysł? - zapytałem.

- Nie - odpowiedziała chropawym głosem. - A ty?

- Hmm. Żeby być całkiem szczerym, Virginio, coraz mniej mnie to obchodzi. Ale to nie ja jestem związany z Jackiem Soul Brasilem.

Roześmiała się.

- Takie coś nie będzie przeszkadzało Jackowi. Przecież nie wydarzy się naprawdę, Tak. Zresztą, o niczym się nie dowie.

Rozejrzałem się po sali.

- Może się tu pojawić w każdej chwili. Podobnie jak każdy z nich. Nie jestem fanem seksu na pokaz.

- Ja też nie. - Wstała i wyciągnęła do mnie rękę. - Chodź ze mną. Wyprowadziła mnie z sali do korytarza. W obu kierunkach ciągnęły się tam dwa rzędy identycznych drzwi, które po kilkudziesięciu metrach nikły w bladej mgłę. Poszliśmy, trzymając się za ręce aż do miejsca, gdzie obraz zaczynał się rozmazywać. Poczuliśmy bijący od mgiełki delikatny chłód i Viadura otworzyła ostatnie drzwi po lewej. Objęliśmy się, nim jeszcze wsunęliśmy się do środka.

Zdarcie natryskiwanego stroju nie wymaga wiele czasu. Pięć sekund po zamknięciu drzwi ściągnęła mi już szorty do kostek i turlała w dłoniach mojego gwałtownie sztywniejącego penisa. Wyszarpnąłem się z wysiłkiem, ściągnąłem jej strój kąpielowy z ramion aż do bioder i przycisnąłem dłoń do złączenia jej ud. Jej oddech przyspieszył, napięła mięśnie brzucha. Uklęknałem i zsunąłem strój jeszcze niżej, przez biodra i uda, by mogła nad nim przestąpić. Potem palcami rozsunąłem jej wargi sromowe, przesunąłem lekko językiem po otworze i wstałem, by pocałować ją w usta. Przeszedł przez nią kolejny dreszcz. Wessała mój język i ugryzła go delikatnie, po czym położyła obie dłonie na mojej głowie i pchnęła w dół. Znow wsunąłem palce w jej wargi sromowe i czując wilgoć i ciepło, przycisnąłem łagodnie jej łechtaczkę. Zadrżała i uśmiechnęła się do mnie.

- A teraz, skoro mnie znalazłeś - powtórzyła z zamglonym spojrzeniem. - Co dalej?

- Teraz - odpowiedziałem - chcę się przekonać, czy mięśnie tych ud są tak mocne, na jakie wyglądają.

Jej oczy się rozjarzyły. Powrócił uśmiech.

- Posiniaczę się - obiecała. - Połamię ci kręgosłup.

- Chciałaś powiedzieć, że spróbujesz.

Wydała z siebie cichy, głodny dźwięk i ugryzła mnie w dolną wargę. Wsunąłem rękę pod jedno z jej kolan i uniosłem ją. Chwyciła mnie za ramiona i objęła drugą nogą w talii, po czym sięgnęła w dół do mojego penisa i przycisnęła go mocno do swojego sromu. W ciągu krótkiej wymiany słów otworzyła się i zmiękła. Wolną ręką rozwarłem ją szerzej. Opadła na mnie, gwałtownie wciągając powietrze w chwili penetracji i poruszając kolicie miednicą. Jej uda z miażdżącą siłą zacisnęły się na mojej talii. Obróciłem się, podchodząc do ściany, i oparłem się o nią plecami. Zdołałem odzyskać trochę panowania nad sobą.

Nie trwało to długo. Viadura głębiej wbiła palce w moje ramiona i zaczęła się unosić i opuszczać na mojej erekcji, wypuszczając powietrze w krótkich sapnięciach, które przybierały na sile w miarę, jak zbliżała się do orgazmu. Nie byłem daleko za nią. Miałem wrażenie, że ogień w moim penisie wzbiera, sięgając coraz głębiej. Czułem przesuwanie się jej ciała na moim żołądzu. Straciłem resztki jakiegokolwiek kontroli, dłońmi chwyciłem jej pośladki i mocniej się w nią wbiłem. Nad moją twarzą na chwilę otworzyły się zaciśnięte oczy, wyszczerzyła do mnie zęby. Wysunęła czubek języka i dotknęła nim górnych zębów. Odpowiedziałem jej śmiechem, napiętym i zdławionym. Teraz zaczęła się walka, Virginia napinała mięśnie brzucha i odchyłała biodra, wysuwając moją żołądź do samego brzegu pochwy i gęsto upakowanych tam zakończeń nerwowych, a moje dłonie ścigały ją z powrotem, gdy próbowałem znów się w niej zagłębić.

Zmagania zakończyły się zmysłową lawiną.

Pot zbierający się na naszych skórkach, śliskich pod zaciśniętymi dłońmi...

Szerokie uśmiechy i pocałunki bardziej przypominające ugryzienia...

Szaleńcze, niekontrolowane oddechy...

Moja twarz wciśnięta w niewielkie, śliskie od potu wgłębienie między jej piersiami...

Przejmująca chwila, gdy zeszła na mnie z całą siłą...

Jęk, może jej, może mój...

...a potem płynna egzaltacja uwolnienia i upadek, chwiejny ślizg wzdłuż ściany w kłęb splełanych kończyn i spazmatycznych ciał.

Wyczerpanych.

Po długiej chwili przesunąłem się w bok, a mój sflaczały członek wysunął się z niej gładko. Dźwignęła nogę i cicho jęknęła. Spróbowałem ułożyć nas w bardziej wygodnej pozycji. Otworzyła jedno oko i uśmiechnęła się.

- A więc, żołnierzu... Od dawna chciałeś to zrobić, co?

Odpowiedziałem słabym uśmiechem.

- Tylko od zawsze. A ty?

- Tak, zdarzyło mi się o tym pomyśleć raz czy dwa. - Oparła się o ścianę stopami i usiadła, opierając się na łokciach. Przesunęła wzrokiem po swoim ciele, potem po moim. - Ale nie pieprzę się z rekrutami. Jezu, zobacz, jak tu nabałaganiliśmy.

Sięgnąłem dłonią do jej spoconego brzucha i przesunąłem palcem aż do rowka na początku sromu. Drgnęła, a ja się uśmiechnąłem.

- Może prysznic? Skrzywiła się.

- Tak, chyba się przyda.

Pod prysznicem znów zaczęliśmy się pieprzyć, ale żadne z nas nie miało już takiej samej szaleńczej ochoty jak za pierwszym razem i nie potrafiliśmy utrzymać objęć. Zaniósłem ją co sypialni i położyłem mokrą na łóżku. Uklęknąłem przy jej głowie, łagodnie obróciłem i poprowadziłem jej usta do mojego członka. Zaczęła ssać, z początku delikatnie, potem z coraz większą siłą. Położyłem się na plecach obok jej szczupłego, muskularnego ciała, obróciłem głowę i dłońmi rozchyliłem jej uda. Potem wsunąłem ramię pod jej biodra, przysunąłem jej srom do mojej twarzy i zabrałem się do niej językiem. I znów opanował mnie głód, jak wściekłość. W głębi trzewi czułem się tak, jakby wypełniały mnie iskrzące przewody. Niżej na łóżku Virginia wydała jakiś przytłumiony dźwięk, przetoczyła ciało i uniosła się nade mną na łokciach i kolanach. Jej biodra i uda opadły na mnie, usta ostro pracowały nad moim członkiem, przy którym pomagała sobie dłonią.

Zajęło to dużo wolno płynącego, delirycznego czasu. Bez pomocy chemikaliów nie znaleźliśmy siebie dość dobrze, by udało nam się osiągnąć prawdziwie synchroniczny orgazm, ale warunkowanie

Emisariusza czy może coś jeszcze pozwoliło nam nadrobić te braki. Kiedy w końcu wystrzeliłem w jej gardło, siła orgazmu zgięła mnie, dźwigając z łóżka prosto w jej klęczące nade mną ciało. Odruchowo owinąłem ręce wokół jej bioder. Ściągnąłem ją na siebie, szaleńczo pracując językiem, tak że opadła na mnie, zwijającego się w spazmach, po czym krzyknęła we własnym orgazmie i zadygotała.

Ale niedługo potem stoczyła się ze mnie, usiadła ze skrzyżowanymi nogami i spojrzała na mnie poważnie, jakbym był problemem, którego nie potrafiła rozwiązać.

- Myślę, że to wystarczy - powiedziała. - Lepiej wracajmy.

* * *

A później stałem na plaży z Sierrą Tres i Jackiem Soul Brasilem, przyglądałem się, jak ostatnie promienie słońca odbijają się jasną miedzią od krawędzi wznoszącego się Marikanona, i rozważałem, czy nie popełniliśmy gdzieś błędu. Nie potrafiłem myśleć dostatecznie jasno, by mieć pewność. Weszliśmy do wirtualizacji z odcięтым sprzężeniem z ciałami i pomimo dotlenienia seksualnego, jakie otrzymałem od Virginii Viadury, moje prawdziwe ciało wciąż pełne było uwięzionych hormonów. Przynajmniej na jednym poziomie to równie dobrze mogłoby się nie wydarzyć.

Zerknąłem ukradkiem na Brasila i pomyślałem o czymś jeszcze. Brasil, który nie zdradził żadnej widocznej reakcji, kiedy ja i Virginia pojawiliśmy się z powrotem w konstrukcie mapowym w odstępie paru minut, choć z różnych stron archipelagu. Brasil, który pracował z niezmiennym, pogodnym zaangażowaniem do czasu, aż dopracowaliśmy szczegóły rajdu i ucieczki. Który od niechcienia położył dłoń na plecach Viadury i uśmiechnął się do mnie lekko tuż przed tym, jak oboje zniknęli z wirtualizacji z dość jasną koordynacją.

- Wiesz, odzyskasz swoje pieniądze - powiedziałem mu.

Brasil drgnął niecierpliwie.

- Wiem, Tak. Nie martwię się pieniędzmi. Gdybyś poprosił, pokryłbym twój dług u Segesvara w ramach prostej opłaty. Jeśli chcesz, możesz to uznać za nagrodę za to, kogo sprowadziłeś.

- To nie będzie konieczne - odparłem sztywno. - Uważam to za pożyczkę. Spłacę was, jak tylko sytuacja trochę się uspokoi.

Sierra Tres prychnęła. Odwróciłem się do niej.

- Coś cię bawi?

- Tak. Pomyśl, że sytuacja w najbliższym czasie może się uspokoić.

Przyglądaliśmy się nocy pełną przez morze przed nami. Na ciemnym skraju horyzontu Daikoku wspinał się w górę, by dołączyć na zachodnim niebie do Marikanona. Dalej wzdłuż plaży reszta ekipy Brasila szykowała ognisko. Wokół zebranych przy stosie drewna ludzi wybuchał śmiech i przemykały niewyraźne ludzkie sylwetki. Wbrew wszelkim obawom, moim czy Tres, wieczór wypełniało poczucie głębokiego spokoju, łagodne i chłodne jak piasek pod stopami. Po szaleńczych godzinach w wirtualizacji, w tej chwili nie musieliśmy nic robić aż do jutra. A jutro wciąż toczyło się po drugiej stronie planety, jak fala z głębin nabierająca mocy. Pomyślałem, że gdybym był Koim, uwierzyłbym, że marsz historii wstrzymuje oddech.

- Wygląda na to, że nikt nie zamierza dziś wcześniej kłaść się spać - powiedziałem, wskazując na przygotowania do ogniska.

- Za parę dni wszyscy możemy być naprawdę martwi - odparła Tres. - Wtedy się wyśpimy.

Nagle złapała skrzyżowanymi rękami za swoją koszulkę i ściągnęła ją przez głowę. Jej piersi uniosły się, po czym zachwiały uwolnione, gdy zakończyła ruch. Nie tego mi teraz było trzeba. Rzuciła koszulkę na piasek i ruszyła przez plażę.

- Idę popływać - rzuciła w naszą stronę. - Ktoś się przyłączy?

Zerknąłem na Brasila. Wzruszył ramionami i poszedł za nią. Przyglądałem się, jak docierają do brzegu i wskakują do morza, po czym wylaniają się już z głębszej wody. Przepłynąwszy tuzin metrów, Brasil znów zanurkował, niemal natychmiast wychynął z powrotem i zawołał coś do Tres. Wykręciła się w wodzie i słuchała go przez chwilę, po czym zanurkowała. Brasil ruszył jej śladem. Tym razem nie było ich widać jakieś dwie minuty, a kiedy wypłynęli na powierzchnię, pryskając wodą i rozmawiając, byli prawie sto metrów dalej. Pomyślałem, że przypomina to przyglądanie się delfinom na rafie Hirata.

Skręciłem w prawo i ruszyłem plażą w stronę przygotowywanego ogniska. Ludzie kiwali mi głowami, niektórzy nawet się uśmiechali. Ze wszystkich surferów akurat Daniel podniósł wzrok z miejsca, gdzie siedział na piasku z paroma innymi, których nie znałem, i podał mi butelkę. Gdybym odmówił, zachowałbym się jak cham. Przechyliłem flaszkę i napiłem się wódki tak ostrej, że mogła być efektem domowego pędzenia.

- Mocne - wycharczałem i oddałem butelkę.

- Tak, nie znajdziesz nic lepszego po tej stronie plaży. – Machnął ręką. - Siadaj, napij sięjeszcze. To Andrea, mój najlepszy kumpel. Hiro. Uważaj na niego, jest znacznie starszy, niż na to wygląda. Siedzi na Vchirze dłużej, niż ja żyję. A to Magda. Trochę wredna, ale da się ją opanować, kiedy już się ją pozna.

Magda walnęła go lekko w głowę i odebrała butelkę. Nie mając nic lepszego do roboty, siadłem przy nich na piasku. Andrea nachyliła się i chciała uścisnąć mi dłoń.

- Dzięki za wszystko, co dla nas zrobiłeś - powiedziała w amangielskim z silnym akcentem z Millsport. - Bez ciebie nikt by nie wiedział, że ona żyje.

Daniel pokiwał głową, ruchem spowolnionym przez wódkę.

- Zgadza się, Kovacs-san. Niezbyt uprzejmie się zachowałem, kiedy pan przybył. Fakt, jestem teraz zupełnie szczery, uważałem, że to wszystko bzdury. Że chce pan coś na tym zyskać, wie pan. Ale teraz, kiedy dołączył do nas Koi, człowieku, ruszamy w drogę. Wywrócimy tę pieprzoną planetę do góry nogami.

Fala potwierdzeń, trochę zbyt płomiennych jak na mój gust.

- Niepokoje będą przy tym wyglądać jak karczemna bójka – rzucił Hiro.

Przejąłem butelkę i znów się napiłem. Za drugim razem wódka nie była taka zła. Może zdążyłem już znokautować kubki smakowe.

- Jaka ona jest? - zapytała Andrea.

- Och... - Przed oczyma przemknęły mi obrazy kobiety, która uważała się za Nadię Makitę. Twarz wykrzywiona orgazmem. Od tej myśli wzburzył się krążący w moich żyłach koktajl hormonów. - Ona jest... inna. Trudno to wyjaśnić.

Andrea pokiwała głową, uśmiechając się promiennie.

- Miałeś szczęście, że ją spotkałeś i z nią rozmawiałeś.

- Będiesz miała szansę, And - odezwał się Daniel trochę niewyraźnie. - Jak tylko odbijemy ją tym sukinsynom.

Fala entuzjazmu. Ktoś rozpałił ognisko. Hiro ponuro pokiwał głową.

- Tak. Pora odplącić Harlanitom za wszystkie świństwa Pierwszych Rodzin. Nadchodzi prawdziwa śmierć.

- Dobrze będzie - odezwała się Andrea, patrząc na rozpalany ogień - znów mieć kogoś, kto wie, co robić.

CZEŚĆ IV

TYLKO TO SIĘ LICZY

Jedno trzeba zrozumieć: Rewolucja wymaga Poświęcenia.

SANDOR SPAVENTA
Zadania dla quellistowskiej awangardy

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Na północny wschód wzdłuż krzywizny planety od Kossutha, na oceanie Nurimono leży archipelag Millsport, przypominając kształtem rozbitą talerz. Kiedyś, przed eonami, stanowił olbrzymi system wulkaniczny rozciągający się na setki kilometrów, i jego dziedzictwo wciąż uwidaczniało się w dziwacznie zakrzywionych, zewnętrznych krawędziach wysp. Ognie karzące wybuchy dawno już wygasły, ale pozostawiły po sobie strome, pofałdowane góry, których szczyty spokojnie zniosły późniejszy wzrost poziomu morza. W przeciwieństwie do innych archipelagów na Świecie Harlana, wulkaniczne dziedzictwo zostawiło po sobie żyzną glebę, więc większość powierzchni ziemi gęsto pokryta była naturalną roślinnością planety. Później przybyli Marsjanie i dodali do niej własne życie roślinne. Jeszcze później przylecieli Ziemianie, i zrobili to samo.

W sercu archipelagu w splendorze wiecznobetonu i topionego szkła rozciągało się Millsport. Stanowiło dżunglę miejskiej inżynierii, zajmowało każdą dostępną grań i zbocze, rozciągając się na wodę w szerokich platformach i mostach długich na wiele kilometrów. Miasta na Kossucie i Nowym Hokkaido osiągały w różnych momentach podczas ostatnich czterystu lat znaczące rozmiary i bogactwo, ale nic na planecie nie mogło się równać z tą metropolią. Dom dla ponad dwudziestu milionów ludzi, brama do jedyne go komercyjnego okna startowego w kosmos, na jakie pozwalała sieć orbitalna, centrum rządu, korporacji i kultury. Czuło się, że Millsport wsysa ludzi jak malstrom ze wszystkich miejsc na Świecie Harlana.

- Nienawidzę tej dziury - odezwała się do mnie Mari Ado, gdy wędrowaliśmy zadbanymi ulicami Tadaimako, szukając kawiarni o nazwie Makita. Wraz z Brasilem przyblokowała na czas rajdu swój kompleks gorączki rdzeniowej i zmiana wywoływała u niej nerwowość. - Pieprzona metropolitarna tyrania na skalę planety. Żadne miasto nie powinno mieć takich wpływów.

Typowa gadka, wprost z podręcznika Quell. Od stuleci mówi się o Millsport praktycznie to samo. I oczywiście jest w tym wiele prawdy, ale zdumiewające, jak uporczywe powtarzanie tych samych poglądów sprawia, że nawet najoczywistsze prawdy stają się tak irytujące, że traci się ochotę, by z nimi polemizować.

- Dorastałaś tu, prawda?

- I co? - Odwróciła się do mnie. - Czy to znaczy, że muszę je lubić?

- Nie, pewnie nie.

Szliśmy dalej w milczeniu. Tadaimako szumiało wokół nas, skromniej i bardziej nobliwie niż pamiętałem sprzed ponad trzydziestu lat. Stara dzielnica portowa, kiedyś niepewne i trochę niebezpieczne miejsce zabaw arystokratycznej i korporacyjnej młodzieży, wypuściła teraz nowe pokolenie punktów usługowych i kawiarni. Wiele barów i palarni, które pamiętałem, przeżyło stosunkowo czystą śmierć. Inne zmieniły się w rozpaczliwe i śmieszne echa samych siebie. Każdy front przy ulicy błyszczał w słońcu nową farbą i pokryciem antybakteryjnym, a chodnik pod naszymi stopami był nieskazitelnie czysty. Nawet zapach morza, docierający z odległości paru przecznic, wydawał się oswojony - nie czuło się woni gnijących wodorostów i rozlanych chemikaliów, a zatoka była pełna jachtów.

Zgodnie z dominującą estetyką, Makita była przeraźliwie czystym lokalem, który bardzo się starał, by zyskać opinię podejrzanego. Artystycznie przybrudzone okna zatrzymywały na zewnątrz większość światła, a wewnątrz ściany udekorowano zdjęciami z czasu Niepokojów i quellistowskimi epigramami w małych, solidnych ramkach. W jednym z rogów umieszczono nieunikniony hologram patronki, ten z blizną po szrapnelu na policzku. Z głośników rozbrzmiewał Dizzy Csango. Sesje z Millsport, *Sen o zielu*.

W boksie na tyłach siedziała Isa z niedopitym drinkiem w wysokiej szklance w dłoniach. Włosy miała dzisiaj wściekle szkarłatne i trochę dłuższe niż ostatnio. Przeciwnie ćwiartki twarzy pomalowała sobie w szachownicę, a oczy obsypała jakimś żywiącym się hemoglobina proszkiem luminescencyjnym, który nadał małym naczyńkom krwionośnym blasku, jakby miały eksplodować. Złącza infoszczura wciąż nosiła dumnie wyeksponowane na karku. Jedno z nich podpięła do przyniesionego ze sobą zestawu. Wyświetlacz holograficzny przed urządzeniem podtrzymywał złudzenie, że jest studentką powtarzającą materiał przed egzaminem. I jeśli sędzić po naszych czterech ostatnich spotkaniach, urządzenie emitowało również paskudne pole interferencyjne, które uniemożliwiłoby podsłuchiwanie rozmów w boksie.

- Czemu tak długo? - zapytała.

Uśmiechnąłem się i usiadłem.

- Spóźniliśmy się, żeby zadać szyku, Isa. To jest Mari. Mari, Isa. Jak leci?

Isa długo i bezczelnie przypatrywała się Mari, po czym obróciła głowę i odpięła się eleganckim, rutynowym gestem, przy którym odsłoniła kark.

- Całkiem dobrze. I na dodatek cicho. Nic nowego w sieci policyjnej Millsport, nic od żadnego z prywatnych biur ochroniarskich, z których usług lubią korzystać Pierwsze Rodziny. Nie wiedzą że tu jesteś.

Kiwnąłem głową. Choć wiadomość cieszyła, miała też ukryty sens. Dotarliśmy do Millsport wcześniej w tym tygodniu, rozdzielivszy się na pół tuzina odrębnych grup, które przybyły oddzielnie. Pomogły nam w tym fałszywe dokumenty ze standardowym poziomem zabezpieczeń Małych Niebieskich Robaczków i cała gama różnych środków transportu, od taniego frachtowca do luksusowego liniowca Saffron Line. Ze względu na ludzi napływających do Millsport z całej planety na uroczystości Dnia Harlana, musielibyśmy mieć pecha albo fatalne zarządzanie operacyjne, by udało się wyłapać kogoś z nas.

Ale i tak dobrze było wiedzieć.

- Co z ochroną na Grani Rila?

Isa potrząsnęła głową.

- Mniej tam hałasu niż przy orgazmie żony kapłana. Gdyby wiedzieli, co zaplanowaliście, wprowadzono by nowy poziom zabezpieczeń, a nic takiego się nie zdarzyło.

- Albo nie zauważyłaś - rzuciła Mari. Isa posłała jej kolejne zimne spojrzenie.

- Moja droga, czy wiesz *cokolwiek* o przepływie danych?

- Wiem, z jakim poziomem szyfrowania mamy tu do czynienia.

- Tak, ja też. Powiedz mi, jak twoim zdaniem, opłacam studia?

Mari Ado obejrzała swoje paznokcie.

- Pewnie drobnymi przestępstwami.

- Urocze. - Isa zerknęła w moją stronę. - Skąd ty ją wytrzasnąłeś, Tak? Od Madame Mi?

- Isa, zachowuj się.

Westchnęła głęboko, jak cierpiąca nastolatka.

- Dobrze, Tak. Zrobię to dla ciebie. Tym razem nie powyrywam tej suce włosów. I Mari, żebyś wiedziała, zarabiam, pracując pod fałszywą tożsamością jako niezależny ekspert od zabezpieczeń dla większej liczby korporacji, niż ty pewnie zrobiłaś lodów.

Czekała, spięta. Ado przez chwilę patrzyła na nią z błyszczącymi oczami, po czym uśmiechnęła się i pochyliła lekko. Jej głos brzmiał niewiele głośniejszy niż jadowity szept.

- Słuchaj no, dziewczeczko, grubo się mylisz, jeśli sądzisz, że sprowokujesz mnie do walki. I masz szczęście. Gdyby przypadkiem udało ci się wkurzyć mnie dostatecznie, nawet nie wiedziałabyś, co

cię trafiło. Lepiej przejdźmy do interesów, żebyś mogła spokojnie wrócić do zabaw w przestępczość ze swoimi kolegami ze studiów i udawać, że wiesz coś o prawdziwym świecie.

- Ty pieprzona...

- Isa! - Rzuciłem ostro i powstrzymałem ją ręką, gdy zaczęła się podnosić. - Dość. Ona ma rację, mogłaby cię zabić gołymi rękami i nawet się nie spocić. A teraz zachowuj się, bo ci nie zapłacę.

Isa posłała mi spojrzenie pełne urazy i usiadła. Z powodu farby na twarzy trudno było to stwierdzić, ale odniosłem wrażenie, że intensywnie się czerwieni. Może poruszyła ją uwaga o dziewictwie. Mari Ado miała dość przyzwoitości, żeby nie wyglądać na zadowoloną.

- Nie musiałam ci pomagać - powiedziała Isa zdławionym głosem. - Mogłam cię sprzedać tydzień temu, Tak. Pewnie zarobiłabym na tym więcej, niż to, co mi płacisz. Nie zapominaj o tym.

- Nie zapomnimy - zapewniłem ją, rzucając ostrzegawcze spojrzenie Ado. - No dobrze, co jeszcze masz poza informacją, że nikt nas się tu nie spodziewa?

* * *

To, co dostarczyła Isa, załadowane w zwykłe, niewinne infochipy, stanowiło podstawę rajdu. Schematy systemów zabezpieczeń z Grani Rila, łącznie ze zmodyfikowaną procedurą na uroczystości Dnia Harlana. Aktualne dynamiczne prognozy prądów w Reach na najbliższy tydzień. Przydziały uliczne policji Millsport i protokoły ruchu wodnego na czas święta. Dzięki swojej pseudotożsamości Isa zdołała się wkręcić do elity infoprzestępczości Millsport. Zgodziła się pomóc, a teraz weszła w związaną z tym rolę, co jak podejrzewałem, stanowiło główne źródło jej nerwowości i braku opanowania. Udział w ataku na posiadłość rodziny Harlana z pewnością był bardziej stresujący niż standardowy handel nielegalnymi danymi. Gdybym praktycznie nie wyzwał jej do tego, podając w wątpliwość jej umiejętności, wątpię, czy chciałaby mieć z nami coś wspólnego.

Ale która piętnastolatka oprze się wyzwaniu?

Ja w jej wieku tego nie umiałem.

Gdybym potrafił, pewnie nigdy nie wylądowałbym w tym zaułku z dilerem mętu uzbrojonym w hak. Może...

Jasne. Czy ktoś kiedyś dostał drugą szansę? Prędzej czy później wszyscy pogrążamy się po uszy. Potem to już tylko kwestia utrzymania głowy nad powierzchnią, po jednym kroku naraz.

Isa pokryła wszystko dostatecznie dobrze, by zasłużyć na brawa. Bez względu na to, czy żywiła jakieś obawy czy nie, do czasu gdy zakończyła przekazywanie informacji, rysy jej twarzy wygładziły się i znów wymawiała słowa z charakterystycznym dla Millsport skracaniem.

- Znalazłaś Natsume? - zapytałem ją.

- Tak się składa, że owszem, znalazłam. Ale nie jestem pewna, czy będziesz chciał z nim rozmawiać.

- Czemu?

Uśmiechnęła się krzywo.

- Bo odnalazł wiarę, Kovacs. Żyje teraz w klasztorze na Whaleback i Dziewiątej.

- Whaleback? Tym klasztorze wyrzeczników?

- Zgadza się. - Przybrała uroczystą pozę modlitewną, która zupełnie nie pasowała do jej uczesania i makijażu. - Bractwo Obudzonych i Świadomych. Wyrzekli się ciała i świata.

Poczułem uśmiech na wargach. Mari Ado siedziała obok mnie ponura jak darłoskrzydł.

- Nie mam problemu z tymi facetami, Isa. Są nieszkodliwi. Moim zdaniem, jeśli są dość głupi, by pozbawić się kobiecego towarzystwa, ich strata. Ale dziwi mnie, że wpakował się w to ktoś taki jak Natsume.

- Ach, no tak, ciebie tu nie było. Teraz przyjmują już kobiety.

- Naprawdę?

- Tak, zaczęło się jakiś czas temu, prawie przed dekadą. Z tego co słyszałam, odkryli między sobą parę ukrywających się kobiet. Były tam od lat. Czemu nie, prawda? Każdy, kto zmienił powłokę, może skłamać odnośnie płci. - Głos Isy nabrał pewności, gdy znalazła się na swoim podwórku. - Nikt poza rządem nie ma pieniędzy, by to sprawdzić. Jeśli dostatecznie długo żyło się w męskim ciele, nawet psychochirurgia z trudem odkryje prawdę. W każdym razie, wracając do bractwa, musieli albo przejść na gadkę Nowego Objawienia i utrzymywać, że jedna powłoka wystarczy, albo się unowocześnić i zrezygnować z segregacji. I proszę, nagle słowo z góry dopuściło zmiany.

- Ale nazwy pewnie nie zmienili, co?

- Chyba nie. Wciąż nazywają się bractwem. Bracia najwyraźniej obejmują siostry. - Wzruszyła ramionami. - Nie jestem pewna, jak siostry czują się w tych objęciach, ale to już dla was banał.

- Skoro o tym mowa - odezwała się Mari Ado. - Wolno nam tam wejść?

- Tak, przyjmują gości. Pewnie będziecie musieli poczekać na Natsume, ale niezbyt długo. To przynajmniej jedna zaleta wyrzeczenia się ciała, prawda? - Isa znów się uśmiechnęła. - Nie trzeba się martwić takimi drobiazgami jak czas i przestrzeń.

- Dobra robota, Issy.

Posłała mi całusa.

Ale kiedy zaczęliśmy się zbierać do wyjścia, skrzywiła się lekko i wyraźnie podjęła jakąś decyzję. Uniosła rękę i zgięła palce, przywołując nas bliżej siebie.

- Słuchajcie. Nie wiem, co właściwie planujecie, i szczerze mówiąc, wcale nie chcę wiedzieć. Ale jedno mogę powiedzieć wam za friko. Tym razem stary Harlan nie będzie wychodził.

- Nie? - W jego urodziny jeszcze się to nie zdarzyło.

- Zgadza się. Udało mi się wczoraj wyłowić strzępek dworskich plotek. Stracili kolejnego potomka w Amami Sands. Najwyraźniej ktoś posiekał go na kawałki maczetą. Nie ujawnili tego, ale policja miejska ostatnio nie przykłada się do kodowania. Szukałam informacji związanych z Harlanem, więc na to trafiłam. Wyskoczyło z przepływu. W każdym razie po tym i po wypadku starego Seichiego upieczonego w zeszłym tygodniu na własnym ślizgaczu nie chcą ryzykować. Odwołali połowę rodzinnych spotkań i wygląda na to, że nawet Mitzi Harlan przydzielą podwójny zestaw ochrony. A stary Harlan nie dostanie powłoki. To już pewne. Myślę, że planują pokazać mu obchody przez łącze w wirtualu.

Wolno pokiwałam głową.

- Dzięki. Dobrze wiedzieć.

- Tak. Przykro mi, jeśli zepsuło to czyjeś plany spektakularnego zabójstwa. Nie pytałeś, więc nie zamierzałam niczego mówić, ale szkoda by było, gdybyście przeszli taki kawał drogi i nikogo nie znaleźli.

Ado uśmiechnęła się lekko.

- Nie po to się tam wybieramy - rzuciłem szybko. - Ale i tak dzięki. Słuchaj, Isa, pamiętasz, jak parę tygodni temu jakiś Harlanita dał się zabić w dzielnicy portowej?

- Tak. Marek Harlan-Tsuchiya. Napakował się mętem po uszy, spadł z doku Karlovy, walnął się w głowę i utonął. Serce się kraje.

Ado niecierpliwie machnęła ręką. Powstrzymałam ją gestem uniesionej ręki.

- Jak myślisz, czy ktoś mu w tym pomógł?

Isa zrobiła dziwną minę.

- Pewnie tak. Po zmroku Karlovy nie jest najbezpieczniejszym miejscem. Ale do tej pory pewnie już go upowłokowali i jakoś nie słysząc, by to było morderstwo. Z drugiej strony...

- Czemu mieliby o tym informować opinię publiczną. Jasne. - Czułem, jak budzi się intuicja Emisariusza, ale zbyt słaba, by coś mi podsunąć. - Dobra, Isa. Dzięki za wieści. Z naszej strony niczego to nie zmienia, ale i tak słuchaj dalej, dobra?

- Zawsze słucham, koleś.

Zapłaciliśmy i wyszliśmy. Isa została z błyszczącymi żyłkami w oczach, maską arlekina i kłębkami światła pulsującym przy łokciu niczym jakiś udomowiony demon. Kiedy się obejrzałem, pomachała mi. Poczulem chwilowe ukłucie sympatii do niej, które towarzyszyło mi przez całą drogę na ulicę.

- Głupia mała suka - rzuciła Mari Ado, gdy ruszyliśmy ulicą. - Nie cierpię tego pseudomarginesu.

Wzruszyłem ramionami.

- Cóż, bunt przybiera różne formy.

- Tak, i to tam nie było żadną z nich.

Popłynęliśmy stępkowym promem przez Reach do platformowych peryferii nazywanych Wschodnim Akan, najwyraźniej w nadziei, że osiądą tam ludzie, których nie stać na zbocza dzielnicy Akan. Ado poszła po herbatę, a ja zostałem przy relingu, przyglądając się pojazdom na wodzie i widokom zmieniającym się w miarę, jak prom płynął dalej od brzegu. Millsport ma w sobie jakąś magię, o której łatwo zapomnieć, kiedy sieje opuszcza, ale wystarczy wrócić na wody Reach, i miasto sprawia wrażenie, jakby stawało przed tobą otworem. Wiatr w twarz i ostry zapach pięknorostów z morza ścierają szarżę miasta, i nagle odkrywa się tam jakiś głębszy, morski optymizm, który czasem nie opuszcza człowieka jeszcze wiele godzin po zejściu na ląd.

Starając się, by nie uderzyło mi to do głowy, obejrzałem się na południe, ku horyzontowi. Tam, zamglona nieco przez morski pył wzniesiony przez malstrom wznosiła się samotnie Grań Rila. Nie była najbardziej na południe wysuniętą wyspą archipelagu, ale jedną z ostatnich, od najbliższego zasiedlonego kawałka lądu - końcówki Nowej Kanagawy - oddzielało ją dwadzieścia kilometrów otwartego morza i przynajmniej połowa tej odległości od ostatniego kamienia wystającego z wody. Większość Pierwszych Rodzin na samym początku zagarnęła dla siebie szczyty w Millsport, ale Harlan przebił ich wszystkich. Grań Rila, zbudowana z pięknych, wulkanicznych skał, była twierdzą we wszystkim oprócz nazwy. Elegancka i potężna, przypominała całemu miastu o tym, kto tu rządzi. Była niczym orle gniazdo ustępujące tylko tym wznoszonym przez naszych marsjańskich poprzedników.

Zadokowaliśmy we Wschodnim Akan z łagodnym wstrząsem, który podziałał na mnie jak pobudka. Odszukałem Mari Ado przy trapie i przeszliśmy prostymi ulicami możliwie jak najszybciej, sprawdzając, czy nikt nas nie śledzi. Dziesięć minut później Virginia Viadura wpuściła nas do nieumeblowanego jeszcze apartamentu, który Brasil wybrał na naszą kwaterę operacyjną. Przesunęła po nas wzrokiem jak skanerem.

- W porządku?

- Tak. Ta tutaj nie zawarła nowych przyjaźni, ale co zrobić?

Ado prychnęła i precyzyjnie się obok mnie, po czym znikła we wnętrzu magazynu. Viadura zamknęła drzwi i zabezpieczyła je, a ja opowiedziałem jej o Natsume.

- Jack będzie zawiedziony - stwierdziła.

- Cóż, ja też się tego nie spodziewałem. To by było na tyle, jeśli chodzi o legendy, co? Chcesz pojechać ze mną na Whaleback? - Uniosłem brwi jak clown. - Środowisko wirtualne.

- To chyba nie jest dobry pomysł.

Westchnąłem.

- Tak, chyba nie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Klasztor na Whaleback i Dziewiątej był ponurym budynkiem bez okien. Wysepka Whaleback, wraz z tuzinem podobnych kawałków ziemi i odzyskanej rafy, służyła za podmiejską noclegownię dla pracowników portu i przemysłu morskiego z Nowej Kanagawy. Groble i mosty zapewniały dostęp przez wąskie pasy wody do Kanagawy, ale ograniczona przestrzeń na wysepkach oznaczała, że hotele robotnicze były ciasne i bardziej przypominały koszary. Wyrzecznicy kupili po prostu sto metrów budynku i zabili wszystkie okna.

- Dla bezpieczeństwa - wyjaśnił mnich, który wpuścił nas do środka. - Pracuje tu minimalna obsługa, a mamy dużo cennego sprzętu. Zanim przejdziemy dalej, będziecie musieli oddać broń.

Pod prostym kombinezonem zakonu upowłokowiony był w podstawowy, tani model syntetycznych ciał Fabrikonu, który zapewne wyposażono w sprzęt skanujący. Głos brzmiał jak w kiepskim połączeniu telefonicznym, a twarz z silikonu miała nieobecny wyraz, który mógł, ale nie musiał odzwierciedlać jego nastawienia do nas - w tańszych modelach małe mięśnie twarzy nigdy nie działały dobrze. Z drugiej strony, nawet tanie syntetyki zazwyczaj dysponowały maszynową siłą i refleksem, i pewnie można było wypalić w nim dziurę na wylot, nie osiągając większego efektu, tylko co najwyżej wkurzając właściciela.

- Brzmi uczciwie - odpowiedziałem.

Wyciągnąłem rapsodię GS i podałem mu ją rękojeścią do przodu. Obok mnie Sierra Tres zrobiła to samo z krótkim blasterem. Brasil rozłożył ręce, a syntetyk kiwnął głową.

- Dobrze. Oddam je, gdy będziecie wychodzić.

Poprowadził nas przez mroczny hol z wiecznobetonu, w którym obowiązkową figurkę Konrada Harlana przykryto plastikową płachtą, a potem do pomieszczeń, które kiedyś musiały być mieszkaniami na poziomie ziemi. Dwa rzędy krzeseł sprawiających wrażenie niewygodnych, równie elementarnych, jak powłoka strażnika, ustawiono naprzeciw biurka i stalowych drzwi w tyle. Za biurkiem czekała druga strażniczka. Podobnie jak kolega, miała syntetyczną powłokę w szarym kombinezonie, ale rysy twarzy były odrobinę bardziej ożywione. Może bardziej się starała, pracując na pełną akceptację w ramach nowych, koedukacyjnych zasad.

- Ilu z was prosi o audiencję? - zapytała całkiem przyjemnym głosem, jak na ograniczenia Fabrikonu.

Jack Soul Brasil i ja unieśliśmy dłonie, a Sierra Tres ostentacyjnie stanęła z boku. Kobieta gestem zaprosiła nas, byśmy poszli jej śladem, i wystukała kod na stalowych drzwiach. Otworzyły się z metalicznym zgrzytem i weszliśmy do komory o szarych ścianach, wyposażonej w pół tuzina kozetek i system transferu wirtualnego wyglądający, jakby wciąż działał na krzemie.

- Proszę ułożyć się wygodnie na kozetkach i podłączyć elektrody oraz hipnofon zgodnie z instrukcjami wyświetlanymi holograficznie po prawej.

Ułożyć się wygodnie było ambitnym żądaniem - kozetki nie dopasowywały się do kształtów i chyba nie zaprojektowano ich z myślą o wygodzie. Wciąż usiłowałem znaleźć wygodną pozycję, kiedy strażniczka podeszła do konsoli sterującej transferem i nas podpięła. W hipnofonach zamruczał kod akustyczny.

- Proszę obrócić głowy w prawo i patrzeć w holoprojekcję do utraty świadomości.

Co dziwne, przejście było znacznie gładziej, niż się spodziewałem na podstawie otoczenia. W środku holosfery ukształtowała się oscylująca ósemka i zaczęła przechodzić przez całe spektrum barw. Kod akustyczny brzęczał w kontrapunkcie. W ciągu paru sekund pokaz świetlny rozszerzył się, wypełniając całe pole widzenia, a dźwięk w uszach zmienił się w szum wody. Poczułem, jak

przechylałam się w stronę pulsującej figury, a potem przez nią spadam. Przez twarz przesunęły mi się pasma światła, zbierając siew biel i głośny szum strumienia w uszach. Wszystko pode mną się przechyliło, miałem wrażenie, jakby cały świat obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, i nagle stanąłem wyprostowany na kamiennej platformie obok spienionego wodospadu. W świetle odbitym od wodnego pyłu pojawiły się jeszcze resztki oscylującego spektrum, po czym zanikły jak cichnąca nuta. Nagle pod stopami poczułem kałuże, a na twarzy zimne, wilgotne powietrze.

Kiedy się obróciłem, rozglądając się, powietrze obok mnie zgęstniało i przybrało kształt ludzkiej postaci ze światła, która po chwili zmieniła się w Jacka Soul Brasila. Grzmot wodospadu przybrał na sile, po czym znów przycichł. Przez powietrze przemknęła tęcza barw, znikła. Kałuże zamigotały i powróciły. Brasil zamrugał i rozejrzał się wokół.

- Wydaje mi się, że tędy - powiedziałem, wskazując na ciąg niskich kamiennych stopni przy jednym z boków wodospadu.

Poszliśmy schodami wokół kamiennego urwiska i wyłoniliśmy się na jasne światło nad wodospadem. Stopnie przeszły w wyłożoną kamieniami ścieżkę przez porośnięte mchem zbocze góry, i w tej samej chwili zauważyłem klasztor.

Wznosił się między wzgórzami, na tle wysokich, poszarpanych grani, które przypominały nieco części archipelagu Saffron, z siedmioma poziomami i pięcioma wieżami z elegancko rzeźbionego drewna i granitu w klasycznym pagodowym stylu. Ścieżka od fontanny biegła przez wzgórze i kończyła się przed olbrzymią bramą z lustrodrzewu, lśniącą w słońcu. Z klasztoru rozchodziły się i inne, podobne ścieżki, prowadząc gdzieś przez wzgórza. Zauważyłem na nich jedną czy dwie postacie’.

- Cóż, widać, czemu poszli w wirtual - mruknąłem do siebie. – To zdecydowanie ładniejsze od Whaleback i Dziewiątej.

Brasil prychnął. Praktycznie nie odzywał się przez całą drogę z Akan. Chyba nie poradził sobie jeszcze z szokiem, jakim była informacja, że Nikolai Natsume wyrzekł się świata i ciała.

Przeszliśmy przez wzgórze i po chwili dotarliśmy do bramy. Stwierdziliśmy, że jest uchylona, by można było wejść. Wewnątrz znaleźliśmy hol z wypolerowaną posadzką z lustrodrzewu, prowadzący do centralnego ogrodu i kwitnących wiśni. Ściany po obu stronach obwieszane były wyszukаныmi gobelinami. Kiedy szliśmy w stronę środka holu, z jednego z nich wytknęła się postać, zmieniła w kłęb nici wiszących w powietrzu, po czym dryfując ku nam, przekształciła się w człowieka. Ubrany był w taki sam mnisi kombinezon, jak widzieliśmy na wyrzecznikach w prawdziwym świecie, ale ciało nie było syntetyczne.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał uprzejmie. Brasil kiwnął głową.

- Szukamy Nika Natsume. Jest naszym starym przyjacielem.

- Natsume. - Mnich opuścił na chwilę głowę, po czym znów podniósł wzrok. - W tej chwili pracuje w ogrodzie. Poinformowałem go o waszym przybyciu. Przypuszczam, że za chwilę przyjdzie.

Ostatnie słowa wciąż jeszcze rozbrzmiewały, kiedy na drugim końcu holu pojawił się mężczyzna w średnim wieku z włosami zebranymi w koński ogon. Na ile mogłem stwierdzić, wszedł tam całkiem normalnie, ale o ile ogród nie znajdował się tuż za rogiem, szybkość jego przybycia świadczyła o działaniu subtelnych sił magii systemowej. Na jego kombinezonie nie było śladu ziemi ani wody.

- Nik? - Brasil wyszedł mu na spotkanie. - To ty?

- Z pewnością bym się przy tym upierał. - Natsume przysunął się bliżej po lustrzanej podłodze.

Z bliska stwierdziłem, że coś w jego wyglądzie boleśnie przypomina mi Lazla. Koński ogon i szorstka kompetencja w sposobie, w jakim się poruszał, na twarzy ślad podobnego wariackiego

wdzięku. *Kilka wyładowań przy obchodzeniu zabezpieczeń i siedem metrów wspinaczki gładką stalową rurą.* Jednak o ile oczy Lazla zawsze zdradzały napięcie, Natsume osiągnął wewnętrzny spokój. Jego wzrok był poważny i skupiony, ale nie żądał niczego od świata.

- Choć aktualnie wolę nazywać się Norikae - dodał.

Wymienił krótką sekwencję uprzejmych gestów z drugim mnichem, który natychmiast uniósł się z podłogi, przekształcił w masę różnobarwnych nici i wplótł z powrotem w gobelin. Natsume przyglądał się temu, po czym odwrócił się i obejrzał nas.

- Obawiam się, że nie rozpoznaję żadnego z was.

- Mnie w ogóle nie znasz - uspokoiłem go.

- Nick, to ja, Jack. Z Vchiry.

Natsume przez chwilę patrzył na swoje dłonie, po czym znów spojrzął na Brasila.

- Jack Soul Brasil?

- Tak. Co ty tu *robisz*, stary?

Lekki uśmiech.

- Uczę się.

- Masz tu ocean? Fale jak na Czteropalczastej Rafie? Granie jak te na Pascani? Daj spokój, stary.

- Prawdę mówiąc, w tej chwili uczę się, jak hodować miniaturowe maki. Zdumiewająco trudna umiejętność. Może chcielibyście zobaczyć efekt moich dotychczasowych wysiłków?

Brasil poruszył się niepewnie.

- Słuchaj, Nik. Nie jestem pewien, czy mamy czas na...

- Och, mamy czas. - Znów posłał nam uśmiech. - Elastyczny. Zrobię go dla was. Proszę, tędy.

Wyszliśmy z holu i skręciliśmy w lewo na porośnięty wiśniami czworokątny dziedziniec, później pod łukiem i przez zwirowane podwórze.

W jednym z rogów klęcząco dwóch pogrążonych w medytacji mnichów. Nie spojrzeli na nas. Nie potrafiłem stwierdzić, czy byli ludzkimi mieszkańcami klasztoru, czy funkcjami konstruktów jak furtian. W każdym razie Natsume ich zignorował. Spojrzeliśmy na siebie z Brasilem. Jack wyglądał na zmartwionego. Mogłem odczytać jego myśli, jakby były dla mnie wydrukowane. Nik nie był człowiekiem, którego znał, i nie wiedział, czy może mu jeszcze ufać.

W końcu Natsume przeprowadził nas sklepionym tunelem na kolejny dziedziniec i po krótkich schodach do płytkiej niecki porośniętej bagienną trawą i zielskiem, otoczonej kamienną ścieżką. Tam, wznosząc się na pajęczych rusztowaniach systemów korzeniowych, w stronę wirtualnego nieba wystawiało swoje poszarpane, opalizujące czerwienią i zielenią płatki tuzin miniaturowych maków. Najwyższy miał niewiele ponad pięćdziesiąt centymetrów. Nie wiem, może robiło to wrażenie z punktu widzenia ogrodnika, ale zdecydowanie nie wyglądało na osiągnięcie człowieka, który kiedyś pokonał dorosłego butlogrzbieta pięściami, stopami i szybko spalającą się chemiczną flarą. Człowieka, który wspiął się na Grań Rila bez antygravitacji i lin.

- Bardzo ładne - pochwalił Brasil.

Pokiwałem głową.

- Tak. Jesteś z nich pewnie bardzo zadowolony.

- Umiarkowanie. - Natsume obszedł roślinki, przyglądając im się krytycznie. - W końcu nie unikałem oczywistych pułapek, jak to się najwyraźniej zdarza większości nowicjuszy.

Spojrzał na nas wyczekująco.

Zerknąłem na Brasila, ale nie mogłem liczyć na żadną pomoc z jego strony.

- Są za niskie? - zapytałem w końcu.

Natsume potrzęsnał głową i zachichotał.

- Nie, prawdę mówiąc, mają dobrą wysokość jak na tak wilgotną glebę. I tak mi przykro, popełniłem jeszcze jeden ogrodniczy błąd. Uległem fascynacji. - Wzruszył ramionami i dołączył do nas na schodach, gdzie usiadł. Wskazał na roślinki. - Są zbyt jaskrawe. Idealny miniaturowy mak jest matowy. Nie powinien tak błyszczeć, to w złym guście. Przynajmniej tak mówi opat.

- Nik...

Spojrzał na Brasila.

- Tak?

- Nik, musimy... porozmawiać z tobą o... pewnej sprawie.

Czekałem. To było zadanie Brasila. Jeśli nie ufał człowiekowi, nie zamierzałem go ponaglać.

- Pewnej sprawie? - Natsume kiwnął głową. - W takim razie co to takiego?

- My... - Nigdy jeszcze nie widziałem, by surfer był tak zdezorientowany. - Potrzebuję twojej pomocy, Nik.

- Tak, najwyraźniej. Ale w czym?

- To...

Nagle Natsume się roześmiał, łagodnie i bez drwiny.

- Jack - powiedział. - To ja. Tylko dlatego, że hoduję teraz rośliny, uważasz, że nie możesz mi zaufać? Myślisz, że Wyrzeczenie się oznacza sprzedaż człowieczeństwa?

Brasil spojrział gdzieś w odległy zakątek ogrodu.

- Zmieniłeś się, Nik.

- Oczywiście, że tak. Minał ponad wiek, czego się spodziewałeś? - Po raz pierwszy na spokojnym obliczu Natsume pojawił się ślad irytacji. Podniósł się i stanął naprzeciw Brasila. - Że spędzę całe życie na tej samej plaży, zjeżdżając po falach? Wspinając się na stumetrowe ściany dla adrenaliny? Łamiąc zabezpieczenia korporacyjnego biosprzętu, by kraść gotówkę na czarnym rynku, nazywając to neoquellizmem? Cholerna pełzająca rewolucja.

- Tonie...

- *Oczywiście*, że się zmieniłem, Jack. Musiałbym być emocjonalnym kaleką, by się nie zmienić.

Brasil zerwał się nagle i zrobił krok ku niemu.

- Och, myślisz, że *tak* jest lepiej?

Wskazał ręką na miniaturowe maki. Ich powietrzne korzenie zadygotały od gwałtowności tego gestu.

- Wczołgałeś się do tego pieprzonego świata snu, hodujesz *kwiatki*, zamiast żyć, i oskarżasz *mnie* o emocjonalne kalectwo? Pieprz się, Nik. To ty jesteś kaleką, nie ja.

- Co tam osiągniesz, Jack? Co takiego robisz, co warte jest więcej niż to?

- *Cztery dni temu stałem na dziesięciometrowej fali*. - Brasil z wysiłkiem próbował się opanować. Jego krzyk ścichł do mamrotania. - A to warte dwa razy tyle, co całe to wirtualne łajno.

- Doprawdy? - Natsume wzruszył ramionami. - Jeśli zginiesz pod jedną z tych fal na Vchirze, masz gdzieś zapisane, że nie chcesz wrócić?

- Nie o to chodzi, Nik. Wrócę, ale i tak umarłem. Będzie mnie to kosztować nową powłokę i będę miał zaliczoną bramę. Tam, w prawdziwym świecie, którego tak bardzo nienawidzisz...

- Wcale nie...

- Tam na zewnątrz działania mają swoje konsekwencje. Jeśli coś sobie złamię, będę o tym wiedział, bo zaboli mnie jak cholera.

- Tak, do chwili, aż włączy się wspomagany system endorfinowy, albo łykniesz coś na ból. Nie widzę różnicy.

- Nie widzisz? - Brasil znów wskazał na maki, tym razem bezradnie. - Nic z tego nie jest rzeczywiste, Nik.

Kątem oka zauważyłem jakiś ruch. Obróciłem się i zauważyłem przyciągniętą przez podniesione głosy parę mnichów, stojących przy łukowatym wejściu na dziedziniec. Jeden z nich unosił się w powietrzu, ze stopami dobre trzydzieści centymetrów nad nierównym podłożem.

- Norikae-san? - zapytał ten drugi.

Zmieniłem lekko pozycję, zastanawiając się mimochodem, czy byli to prawdziwi mieszkańcy klasztoru, czy nie, a jeśli niejaki parametry operacyjne mogą mieć zaprogramowane na tego rodzaju sytuacje. Jeśli wyrzecznicy posiadali jakieś wewnętrzne systemy zabezpieczeń, nasze szanse w przypadku starcia były zerowe. Nie wchodzi się w czyjaś wirtualizację i nie walczy skutecznie, chyba że gospodarz sobie tego zażyczy.

- To nic poważnego, Katana-san. - Natsume wykonał pospiesznie skomplikowany gest. - Różnica zdań między przyjaciółmi.

- W takim razie wybac, że się wtrąciłem. - Katana uklonił się nad złożonymi pięściami i wraz z towarzyszem wycofał się do sklepionego tunelu. Nie widziałem, czy odszedł w czasie rzeczywistym, czy nie.

- Może... - zaczął cicho Natsume, po czym urwał.

- Przepraszam, Nik.

- Nie, oczywiście, masz rację. Nic z tego nie jest realne w sposób, w jaki obaj przywykliśmy to rozumieć. Ale tutaj ja jestem bardziej prawdziwy niż kiedykolwiek wcześniej. Sam definiuję swoją egzystencję, a wierz mi, nie ma większego wyzwania.

Brasil mruknął coś tak cicho, że nie usłyszałem. Natsume z powrotem usiadł na drewnianych stopniach. Spojrzał na Brasila, który po chwili też znalazł sobie miejsce parę schodów wyżej. Natsume kiwnął głową i zapatrzył się na swój ogródek.

- Na wschodzie jest plaża - powiedział nieobecny głosem. - Od południa góry. Jeśli o tym pomyślę, spotkają się. Mogę się wspinać, kiedy tylko zechcę, w każdej chwili pływać. Nawet surfować, choć jeszcze nie próbowałem. I zawsze muszę dokonywać wyborów. Wyborów, które mają swoje konsekwencje. Czy w oceanie będą pływać butlogrzbiety? Czy pojawią się w nim rafy, o które mogę się zadrapać i krwawić? A skoro przy tym jesteśmy, czy wykrwawię się na śmierć? Wszystkie te kwestie wymagają zastanowienia. Czy w górach ma panować normalne ciśnienie? Jeśli spadnę, czy pozwolę, by mnie to zabiło? I cóż miałyby to znaczyć? Spojrzał na swoje dłonie, jakby one też stanowiły efekt jakiegoś wyboru.

- Jeśli coś sobie złamię lub zadrapię - podjął - czy pozwolę, by mnie to bolało? Jeśli tak, jak długo? Jak długo będę czekał, by się uleczyć? Czy pozwolę sobie później na to, by pamiętać ból? A z tych pytań wynikają kolejne, choć niektórzy powiedzieliby, że zasadnicze. Czemu właściwie to robię? Czy chcę bólu? Czemu? Czy chcę spaść? Czemu? Czy ma znaczenie dotarcie do szczytu, czy po prostu chcę cierpieć w drodze na górę? Dla kogo to wszystko robię? Dla kogo w ogóle dotąd to robiłem. Dla siebie? Dla ojca? Może dla Lary? - Uśmiechnął się do miniaturowych maków. - Jak myślisz, Jack, czy to z powodu Lary?

- To nie była twoja wina, Nik.

Uśmiech zniknął.

- Tutaj studiuję jedyną rzecz, jaka mnie jeszcze przeraża. Siebie. I w trakcie tego procesu nie ranie nikogo innego.

- I nikomu nie pomagasz - zauważyłem.

- Tak. To aksjomat. - Obejrzał się na mnie. - Czy to znaczy, że ty też jesteś rewolucjonistą?

Jednym z wiernych neoquellistów?

- Właściwie nie.

- Ale nie czujesz sympatii do Wyrzeczenia?

Wzruszyłem ramionami.

- Jest nieszkodliwe, jak sam powiedziałaś. I nie musi się w to bawić nikt, kto nie ma na to ochoty. Ale zakładacie, że reszta będzie chciała dostarczać wam energetycznej infrastruktury, byście mogli utrzymać wasz sposób życia. To wydaje mi się podstawową słabością Wyrzeczenia jako takiego.

Z powrotem przywołałem jego uśmiech.

- Tak, to coś, co poddaje próbie wiarę sporej części z nas. Oczywiście wierzymy, że ostatecznie cała ludzkość podąży za nami do wirtuala. My ledwie przygotowujemy drogę. Uczymy się jej, można by rzec.

- Tak - wtrącił Brasil. - A tymczasem świat na zewnątrz się rozpada.

- Zawsze się rozpadał, Jack. Naprawdę sądzisz, że to, co tam robiłem, kradzieże i wyzwania, stanowiły jakąś różnicę?

- Zabieramy ekipę do Grani Rila - powiedział nagle zdecydowany Brasil. - To chyba wprowadzi jakąś różnicę, Nik.

Odchrząknąłem.

- Z twoją pomocą.

- Ach.

- Tak, potrzebna nam sprawdzona trasa, Nik. - Brasil wstał i podszedł do rogu dziedzińca, podnosząc głos, jakby skoro już podjął decyzję, nawet siła głosu odbijała jego determinację. - Podzielisz się z nami tą wiedzą ze względu na, powiedzmy, stare czasy?

Natsume wstał i przyjrzał mi się z zaciekawieniem.

- Wspinałeś się już na morski klif?

- Nie. Ale powłoka, którą noszę, wie, jak to robić.

Przez chwilę patrzył mi w oczy. Wyglądało to tak, jakby przetwarzał to, co właśnie usłyszał, ale mu się nie udawało. Potem nagle wybuchnął śmiechem zupełnie nieodpowiednim dla człowieka, z którym rozmawialiśmy.

- Twoja powłoka wie? - Śmiech zmienił się w chichot. Posłał mi ciężkie spojrzenie. - Będziesz potrzebował znacznie więcej. Wiesz, że w górnej części Grani Rila są kolonie darłoskrzydłów? Teraz pewnie więcej, niż kiedy ja tam wchodziłem. Wiesz, że jest tam szeroka półka, który biegnie wzdłuż całego dolnego parapetu i jeden Budda wie, jak nowoczesny sprzęt przeciwwtargnięciowy zainstalowali tam po moim wejściu? Czy wiesz, że prądy u podstawy klifu wyniosą twoje połamane ciało w pół drogi do Reach, zanim gdzieś cię wyrzucą?

- Cóż. - Wzruszyłem ramionami. - Przynajmniej jeśli spadnę, nie zabiorą mnie na przesłuchanie.

Natsume zerknął na Brasila.

- Ile on ma lat?

- Daj mu spokój, Nik. Nosi powłokę Eishundo, którą znalazł, jak twierdzi, podczas wędrówki przez Nowe Hokkaido i zabijania wimów dla pieniędzy. Wiesz, co to wimy, prawda?

- Tak. - Natsume wciąż na mnie patrzył. - Słyszeliśmy tu wieści o Mecseku.

- To się zaczęło dawno temu, Nik - zauważył Brasil z widoczną satysfakcją.

- Naprawdę nosisz Eishundo?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

- Wiesz, ile jest warte?

- Tak, parę razy już mi to zademonstrowano.

Brasil poruszył się niecierpliwie na kamieniach dziedzińca.

- Słuchaj, Nik, pokażesz nam tę trasę czy nie? A może martwi cię to, że pobijemy twój rekord?

- Zabijecie się i straciecie stopy. I to obaj. Czemu miałbym wam pomagać?

- Hej, Nik, wyrzekłeś się świata i ciała, pamiętasz? Nie powinieneś się przejmować tym, jak skończymy w prawdziwym świecie.

- Przejmuję się tym, Jack, że kurewsko wam odbiło.

Brasil uśmiechnął się, może z powodu wulgarności, którą zdołał wywołać u dawnego bohatera.

- Tak, ale przynajmniej bierzemy udział w grze. A wiesz, że i tak to zrobimy, z twoją pomocą lub bez, więc...

- Dobrze. - Natsume wyciągnął ręce. - Tak, powiem wam. W tej chwili. I nawet was poprowadzę. O ile wam się to przyda. Tak, proszę bardzo. Idźcie i zgińcie na Grani Rila. Może to będzie dość rzeczywiste.

Brasil tylko wzruszył ramionami i znów się wyszczerzył.

- W czym problem, Nik, zazdrosny jesteś, czy jak?

* * *

Natsume poprowadził nas przez klasztor do skromnie umeblowanego apartamentu na trzecim piętrze, z wyłożoną drewnem podłogą gdzie w powietrzu kreślił dłońmi obrazy i przywołał dla nas wspinaczkę na Grań Rila. Częściowo rysował trasę wprost z pamięci istniejącej teraz jako kod wirtuala, ale funkcje obróbki danych klasztoru pozwoliły mu sprawdzać mapy względem obiektowego konstruktów w czasie rzeczywistym. Jego przewidywania okazały się słuszne - kolonie darłoskrzydłów się rozrosły, a półkę u podstawy zmodyfikowano, choć baza klasztoru potrafiła podać jedynie optyczne potwierdzenie zmiany. Nie dało się zatem przewidzieć, co nas tam czeka.

- Ale to ma też swoje dobre strony - powiedział z ożywieniem w głosie, które pojawiło się dopiero po tym, jak zaczął nam opisywać trasę. - Ta półka im też przeszkadza. Nie mogą patrzeć wprost w dół, a czujniki nieustannie wykrywają ruch darłoskrzydłów.

Zerknąłem na Brasila. Nie miało sensu mówić Natsume czegoś, czego nie musiał wiedzieć - że sieć czujników stanowiła najmniejszy z naszych problemów.

- W Nowej Kanagawie - wtrąciłem - słyszałem, że montują darłoskrzydłom systemy mikrokamer. I szkolą je. Jest w tym trochę prawdy?

Prychnął.

- Tak, sto pięćdziesiąt lat temu mówili to samo. Wtedy były to paranoidalne bzdury, teraz pewnie też. Jaki sens ma mikrokamera u darłoskrzydła? Nigdy nie zbliżają się do ludzkich osiedli, jeśli tylko mogą tego uniknąć. A z tego co pamiętam z badań na ich temat, nie jest łatwo je udomowić czy oswoić. Na dodatek to więcej niż prawdopodobne, że satelity zauważą sprzęt i je zestrzelą. - Posłał mi nieprzyjemny uśmiech, zdecydowanie niepasujący do spokoju wyrzeczników. - Wierz mi, masz dość zmartwień ze względu na to, że musisz wspiąć się przez kolonię *dzikich* darłoskrzydłów, więc nie przejmuj się udomowionymi, zcyborgizowanymi odmianami.

- Dobra. Dzięki. Masz jeszcze jakieś pomocne uwagi?

Wzruszył ramionami.

- Jasne. Nie spadnij.

Ale w jego oczach czaiło się coś, co przeczyło wcześniejszej obojętności, a później, gdy kopiował dane do odebrania na zewnątrz, okazywał napięcie, którego nie dostrzegłem we wcześniejszym spokoju mnicha. Kiedy odprowadzał nas z powrotem przez klasztor, nie odzywał się. Odwiedziny Brasila poruszyły go jak wiosenny wiatr nadlatujący znad jeziora na Danchi. Teraz pod

pofalowaną powierzchnią poruszały się niecierpliwie potężne kształty. Kiedy dotarliśmy do holu wejściowego, obrócił się do Brasila i zaczął niezręcznie:

- Słuchaj, jeśli...

Rozległ się krzyk.

Wyrzecznicy mieli doskonale renderowany konstrukt - poczułem drobne ukłucia na dłoniach, gdy gekonowe odruchy przygotowały się do tego, by uchwycić skałę i zacząć wspinaczkę. Nagle podkreconą wizją na skraju pola widzenia zauważyłem, jak Brasil się spina, a ściana za nim drży.

- *Uciekaj* - krzyknąłem.

Z początku wydawało się, że to produkt gobelinów furtiana, wzbierająca ekstruzja z tej samej tkaniny. Potem zobaczyłem, że wybrzuszą się kamienie pod tkaniną, poddając się siłom, które nie mogłyby zaistnieć w prawdziwym świecie. Wrzask mógł stanowić jakiś konstruktywny odpowiednik olbrzymiego obciążenia, jakiemu poddano strukturę, a może po prostu był to głos czegoś, co próbowało dostać się do środka. Nie mieliśmy czasu, by to sprawdzić. Ułamki sekund później ściana eksplodowała z dźwiękiem przypominającym pęknięcie olbrzymiego melona, gobelin rozerwał się pośrodku, a do holu wkroczyła dziesięciometrowa postać.

Wyglądało to tak, jakby mnich wyrzecznik został tak mocno napompowany wysokiej klasy olejem, że jego ciało pękło na każdym złączu, wypuszczając płyn. W środku tego czegoś dało się rozpoznać ludzką postać w szarym kombinezonie, ale wszędzie wokół niej gotował się opalizujący czarny płyn, wisząc w powietrzu lepki, wyciągającymi się mackami. Twarz owego tworu zniknęła, gdy usta, nos i oczy wyrwało ciśnienie wylewającego się oleju. Lepki płyn ciekł ze wszystkich otworów i zgięć kończyn, pulsował, jakby serce w środku wciąż biło. Krzyk emanował z całej postaci w rytm pulsowania, nie cichnąc przed następną falą dźwięku. Stwierdziłem, że przyjąłem postawę bojową, choć wiedziałem, że na nic mi się nie przyda. Teraz mogłem tylko uciekać.

- Norikae-san, Norikae-san. Proszę natychmiast opuścić ten rejon.

Chór krzyków, w idealnej harmonii dobiegający z falangi furtianów

wyplątujących się z przeciwległej ściany i sunących wdzięcznie nad naszymi głowami w stronę intruza z dziwnymi, kolczastymi maczugami i włóczniami. Ich świeżo złożone ciała również przeplatane były emanacjami, które błyszczały miękkim, złotym blaskiem.

- Proszę natychmiast poprowadzić gości do wyjścia. My się tym zajmujemy.

Nabierające substancji złote nici dotknęły popękanej postaci, a ta odskoczyła. Krzyk się nasilił, przechodząc na wyższe tony i większą siłę, dżgając mi bębenki w uszach. Natsume odwrócił się do nas, przekrzykując hałas.

- Słyszeliście. Nie możecie pomóc. Wyoście się stąd.

- Tak, ale w jaki sposób? - odkrzyknąłem.

- Wróćcie do... - Słowa ucichły, jakby go wyłączono. Nad jego głową coś wybiło olbrzymią dziurę w dachu holu. W dół poleciały kamienne bloki, a furtiani wystrzelili przez powietrze złotym światłem, które anihilowało szczątki, zanim na nas spadły. Kosztowało ich to istnienie dwóch z nich, jako że czarny intruz skorzystał z ich nieuwagi, sięgnął nowymi czarnymi mackami i rozerwał ich na strzępy. Zobaczyłem, jak bledną, umierając. Przez dach...

- O kurwa.

Tkwiła tam jeszcze jedna przepompowana olejem postać, dwukrotnie większa od poprzedniej, i sięgała w dół ludzkimi ramionami z olbrzymimi, ciekłymi szponami wystającymi z kostek dłoni. Przebita głowa przecisnęła się przez dach i szczyrzyła do nas ponuro. Jak ślina z ust, poleciały na nas olbrzymie krople czarnej cieczy, rozpryskując się na podłodze i przepalając ją do filigranowej, srebrnej siatki. Kropelka prysnęła mi na policzek i przypaliła skórę. Wrzask się nasilił.

- Przez wodospad - krzyknął mi do ucha Natsume. - Rzućcie się w niego. Idźcie!

W tej chwili drugi intruz spuścił nogę i cały sufit holu poleciał w dół. Chwyciłem Brasila, który gapił się w górę z tępym niedowierzaniem, i pociągnąłem go w stronę uchylonych drzwi. Wokół nas postacie furtianów zebrały się i rzuciły w górę na spotkanie nowego przeciwnika. Zobaczyłem, jak z gobelinów wylania się świeża ich fala, ale połowa została schwytana i rozdarta przez stwory na dachu, zanim zakończyli się formować. Światło ściekało na kamienną podłogę jak deszcz. Akordy muzyczne grzmiały w przestrzeni holu i rozbijały się na dysharmoniach. Czarne potwory walczyły zaciekle.

Dotarliśmy do drzwi, kilkakrotnie lekko poparzeni. Przepchnąłem przed sobą Brasila. Odwróciłem się na chwilę i pożałowałem tego. Zobaczyłem, że Natsume dotyka jedna z czarnych macek, i w jakiś sposób zdołałem usłyszeć jego krzyk przebijający się przez ogólny wrzask. Przez sekundę był to ludzki głos, potem wykręcił się z tonacji, jakby posłuszny niecierplivej ręce na konsoli sterującej dźwiękiem, i Natsume nagle zaczął wyglądać jak ktoś odpływający od własnej formy, dygotał niczym ryba między zaciskającymi się szklanymi płytami, przez cały czas topiąc się i wrzeszcząc w upiornej harmonii z szalejącą furią napastników.

Wydostałem się.

Ruszyliśmy biegiem do wodospadu. Jeszcze jedno spojrzenie rzucone przez ramię, i dostrzegłem, że bok klasztoru się rozpada, a dwie postacie z czarnymi mackami rosną, w miarę jak niszczą atakujących je strażników. Niebo w górze ściemniało jakby przed burzą, a powietrze nagle się ochłodziło. Z trawy po obu stronach ścieżki dobiegało niedające się opisać syczenie, jak jęk przy gwałtownym bólu, jak ulatujący pod ciśnieniem gaz. Kiedy przeskakiwaliśmy po schodach przy wodospadzie, zauważyłem potężne wzory interferencyjne falujące na powierzchni wody i raz, gdy dobiegliśmy już do platformy u stóp wodospadu, przepływ znieruchomiał w nagłą czerń skały pod spodem i pustego powietrza, prychnął, po czym powrócił.

Spojrzałem Brasilowi w oczy. Nie wyglądał ani trochę lepiej, niż ja się czułem.

- Ty pierwszy - powiedziałem.

- Nie, w porządku. Ty...

Ze ścieżki w górze rozległ się skrzek przechodzący w wycie. Pchnąłem Brasila w plecy i kiedy zniknął w grzmiącej kurtynie, zanurkowałem za nim. Poczułem, jak woda spływa po moich ramionach i plecach, jak przechylałam się i...

...Poderwałem się na wytartej kozetce.

To było wyjście awaryjne. Przez parę sekund wciąż czułem się mokry od wodospadu, mógłbym przysiąc, że mam przemoczone ubranie, a włosy przylepione do skóry. Wziąłem niepewny oddech i dopiero wtedy zaskoczyła percepcja świata rzeczywistego. Byłem suchy. Byłem bezpieczny. Zdarłem z siebie hipnofon i elektrody, sturlałem się z kozetki i rozejrzałem dziko wokół. Serce podchodziło mi do gardła, w miarę jak moje fizyczne ciało zaczęło reagować na sygnały ze świadomości, która dopiero teraz wskoczyła za adrenalinowe stery.

Pod drugą ścianą sali Brasil już był na nogach, mówiąc pospiesznie do ponurej Sierry Tres, która jakoś odzyskała własny blaster i moją rapsodię. Pokój pełen był przygłuszonego jęku sygnałów alarmowych, których nie używano od dziesięcioleci. Światła migotały niepewnie. W pół drogi przez salę spotkałem recepcjonistkę. Właśnie porzuciła panel sterujący, który oszalał w feerii barw. Nawet na słabo umięśnionej twarzy powłoki Fabrikonu wyraźnie malował się gniew.

- Przynieśliście to ze sobą? - krzyknęła. - Zakaziliście nas?

- Nie, oczywiście, że nie. Sprawdź swoje pieprzone odczyty. Te twory wciąż tam są.

- Co to, do diabła, było? - zapytał Brasil.

- Podejrzewam, że uśpione wirusy. - Odebrałem rapsodię od Tres i sprawdziłem magazynek. - Widziałeś ich kształt? Część była kiedyś mnichami, cyfrowymi ludzkimi przebraniami osłaniającymi w stanie uśpiania systemy ofensywne. Czekali na właściwy wyzwalacz. Osobowość przykrywki nawet nie zdawała sobie sprawy, co nosi, aż do chwili aktywacji.

- Tak, ale *dlaczego!*

- Natsume. - Wzruszyłem ramionami. - Pewnie naznaczyli go od czasu...

Strażniczka patrzyła na nas, jakbyśmy zaczęli bełkotać w kodzie maszynowym. Za jej plecami pojawił się drugi mnich i przepchnął się do środka. W lewej dłoni trzymał mały, beżowy infochip, a tanie silikociało mocno naciągało się na zaciskających go palcach. Podsunął nam chip i nachylił się, by przekrzyknąć syreny.

- Musicie natychmiast wyjść - powiedział z naciskiem. - Norikae-san poprosił, bym wam to dał, ale musicie natychmiast odejść. Nie jesteście tu mile widziani ani bezpieczni.

- Jasne, nie żartuj. - Wziąłem oferowany chip. - Na waszym miejscu poszedłbym z nami. Zablokował przed odejściem każdy port dostępowy, jaki macie w klasztorze, a potem wezwał dobrą ekipę antywirusową. Z tego, co tam widziałem, wasi furtiani nie mają szans.

Syreny wyły wokół nas jak naszprycowani prochami imprezowicze. Mnich potrząsnął głową, jakby chciał oczyścić ją z hałasu.

- Nie. Jeśli to test, wyjdziemy mu na spotkanie na warunkach Przelanych. Nie porzucimy naszych braci.

- I siostr. Cóż, jak chcecie, to bardzo szlachetne. Ale osobiście sądzę, że każdy, kogo tam w tej chwili pošlecie, zostanie wypłaszczony do kości. Zdecydowanie potrzeba wam wysokiej klasy wsparcia antywirusowego.

Wbił we mnie wzrok.

- Nie rozumiesz - krzyknął. - Tam jest nasza domena, nie w ciele. To jest przeznaczenie ludzkiej rasy. Tam jesteśmy najsilniejsi, tam zwyciężymy.

Poddałem się. Odpowiedziałem mu krzykiem.

- Dobra. Świetnie. Dajcie mi znać, jak się to skończyło. Jack, Sierra. Zostawmy tych idiotów, niech idą się zabić, i wynośmy się stąd w cholerę.

Zostawiliśmy ich w pokoju transferowym. Zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak mężczyzna kładzie się na jednej z kozetek ze wzrokiem utkwionym w sufit, podczas gdy kobieta podłącza mu elektrody. Twarz miał błyszczącą od potu, ale nieruchomą, zablokowaną przez skupienie woli i uczuć.

* * *

Na zewnątrz, na Whaleback i Dziewiątej łagodne popołudniowe światło malowało pustookie ściany klasztoru na ciepły pomarańcz, a dźwięki ruchu docierające przez Reach łączyły się z zapachem morza. Lekka zachodnia bryza poruszała kurz i wysuszone, przenoszone wiatrem zarodniki w rynsztokach. Przed nami ulicą biegła garstka dzieci, wydając z siebie odgłosy strzelania i goniąc za miniaturowym robotem-zabawką przerobionym tak, by przypominał karakuri. W okolicy nie było nikogo poza nami i nic nie zdradzało bitwy toczącej się w tej chwili w maszynowym sercu konstruktu wyrzeczników. Można by pomyśleć, że wszystko to było tylko snem.

Ale kiedy odchodziliśmy, na granicy czułości słuchu wciąż jeszcze słyszałem krzyk antycznych syren, jak ostrzeżenie, ciche i delikatne, o budzących się siłach nadciągającego chaosu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Dzień Harlana.

A właściwie jego wigilia - formalnie rzecz biorąc, uroczystości nie rozpoczną się przed północą, a do tego brakowało jeszcze pełnych czterech godzin. Ale nawet tak wczesnym wieczorem, gdy resztką światła dziennego malowała się wysoko na zachodnim niebie, procedury już się rozpoczęły. W Nowej Kanagawie i Danchi centra miast pełne były parad holoprojekcji i balów maskowych, a bary serwowały dania po urodzinowych cenach sponsorowanych przez państwo. Elementem utrzymania skutecznej tyranii jest umiejętność spuszczenia poddanych ze smyczy, a w tym Pierwsze Rodziny osiągnęły mistrzostwo. Nawet ci, którzy gorąco ich nienawidzili, musieli przyznać, że w kwestii urządzania ulicznej fiesty nie można nic zarzucić Harlanowi i jego kompanom.

Nad brzegiem wody w Tadaimako nastrój był spokojniejszy, ale i tak świąteczny. Praca w porcie towarowym ustała w porze obiadowej i teraz małe grupki robotników portowych siedziały na burtach stępkowych frachtowców, dzieląc się fajkami i butelkami. Wszyscy patrzyli wyczekująco w niebo. W porcie jachtowym na większości jednostek odbywały się przyjęcia, jedno czy dwa większe wylały się na pomosty. Zewsząd dobiegały przemieszane dźwięki muzyki, a w miarę jak mrok gęstniał, maszty i pokłady pryskano ilumiinowym proszkiem w kolorach zieleni i różu. Jego nadmiar błyszczał w wodzie między kadłubami.

Kilka jachtów od skradzionego przez nas trimaranu pomachała do mnie bardzo skromnie odziana blondynka. Podniosłem w ostrożnym salucie cygare erkezes, również kradzione, mając nadzieję, że nie uzna tego za zaproszenie, by wejść na pokład. Isa puściła z dołu muzykę, rzekomo modną, ale to była tylko przykrywka. W rytm tych dźwięków nasze oprogramowanie intruzyjne penetrowało jedynie systemy zabezpieczeń *Boubin Islandera*. Nieproszeni goście, próbujący wcisnąć się na tę imprezę, natknęliby się na Sierrę Tres lub Jacka Soul Brasila oraz lufę odłamkowca Kałasznikowa. Strzepnąłem popiół z cygara i przespacerowałem się po rufie jachtu, próbując wyglądać, jakbym czuł się tu swobodnie. Wnętrznosci ścisnęło mi nieokreślone napięcie, bardziej uparte niż zazwyczaj. Nie potrzeba było dużej wyobraźni, by domyślić się dlaczego. Przez lewe ramię przebiegła fala bólu, o którym wiedziałem, że jest psychosomatyczny.

Bardzo nie chciałem wspinać się na Grań Rila.

Cholernie typowe. Całe miasto imprezuje, a ja spędzę noc, trzymając się dwustumetrowej, pionowej skaty.

- Cześć.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem blondynkę w minimalnym stroju stojącą na brzegu trapu z promiennym uśmiechem. Chwiała się lekko na przesadnie wysokich szpilekach.

- Cześć - odpowiedziałem ostrożnie.

- Nie pamiętam twojej twarzy - odezwała się z pijacką bezpośredniością. – Zapamiętałabym tak wspaniały kadłub. Zazwyczaj tu nie cumujesz, co?

- Zgadza się. - Klepnąłem w reling. - Pierwszy raz jestem w Millsport. Kupiłem go ledwie parę dni temu.

Co było prawdą przynajmniej w odniesieniu do *Boubin Islandera* i jego prawdziwych właścicieli - dwóch par z wysp Ohrid, wzbogaconych dzięki jakiemś państwowemu kontraktowi na lokalne systemy nawigacyjne, odwiedzających Millsport po raz pierwszy od dziesięcioleci. Idealny wybór, wygrzebany z bazy danych zarządcy portu przez Isę wraz ze wszystkim, czego potrzebowaliśmy do tego, by wejść na pokład trzydziestometrowego trimaranu. Obie pary leżały teraz nieprzytomne w hotelu Tadaimako, a kilku młodszych entuzjastów rewolucji Brasila miało

dopilnować, by stan ten utrzymał się przez następne dwa dni. Pośród zamieszania związanego z obchodami Dnia Harlana, mało prawdopodobne było, by ktoś za nimi tęsknił.

- Mogłabym wejść na pokład i go obejrzeć?

- Och... byłoby miło, tylko że zaraz odbijamy. Jeszcze parę minut i zabieramy go na Reach, na fajerwerki.

- Och, to fantastycznie. Wiesz, z rozkoszą bym się przyłączyła. - Wyprężyła się przede mną. - Absolutnie szaleję na punkcie fajerwerków. Robię się od nich taka, no wiesz...

- Hej, kotku. - Wokół mojej talii owinęła się ręka, a pod ramieniem pojawiły jadowicie szkarłatne włosy. Isa przycisnęła się do mnie, rozebrana do stroju kąpielowego i zamocowanej na ciele biżuterii. Spojrzała jadowicie na blondynkę. - Kim jest twoja nowa znajoma?

- Och, my nie... - Zapraszająco machnąłem ręką.

Blondynka zacisnęła usta. Może chodziło o współzawodnictwo, może o lśniące, czerwone spojrzenie Isy. A może po prostu zdrowy niesmak na widok piętnastoletniej dziewczyny trzymającej się dwukrotnie starszego mężczyzny. Ponowne upowłokowienie może i prowadzi do dziwnych układów cielesnych, ale ktoś, kto ma pieniądze na łódź taką jak *Boubin Islander*, nie musi przez nie przechodzić, jeśli tego nie chce. Jeśli pieprzyłem kogoś, kto wyglądał na piętnaście lat, to albo faktycznie tyle miała, albo chciałem, by tak wyglądała, co w sumie sprowadza się praktycznie do tego samego.

- Myślę, że lepiej sobie pójdę - odpowiedziała blondynka i odwróciła się niepewnie. Nasłuchując jeszcze co parę kroków, wycofała się tak godnie, jak tylko było to możliwe na głupich obcasach.

- Tak - zawołała za nią Isa. - Dobrej zabawy. Może się jeszcze zobaczymy.

- Isa? - mruknąłem pod nosem.

Wyszczерzyła się do mnie w uśmiechu.

- No co?

- Puść mnie i idź włożyć na siebie jakieś ubranie.

* * *

Odbiliśmy dwadzieścia minut później i wypłynęliśmy z portu, kierując się wiązką naprowadzającą. Chęć, by popatrzeć na pokaz sztucznych ogni, była dość powszechna, więc nie byliśmy jedynym jachtem w zatoce Tadaimako, który kierował się w tamtą stronę. Isa na razie trzymała się pod pokładem i pozwalała, by sterował nami interfejs ruchu morskiego. Wyrwiemy mu się później, gdy zacznie się przedstawienie.

W przedniej kabine głównej rozłożyliśmy z Brasilem sprzęt. Maskujące stroje do nurkowania ze sprzętem Andersona, zdobyte dzięki uprzejmości Sierry Tres i jej przyjaciół hajduków, broń z setek osobistych arsenałów na plaży Vchira. Przygotowane przez Isę oprogramowanie do rajdu wprowadzono do procesorów strojów, dokładając szyfrowany system komunikacyjny ukradziony dzisiaj po południu prosto z fabryki. Podobnie jak śpiący właściciele *Boubin Islandera*, nikt nie zauważy jego braku przez parę dni.

Stanęliśmy i rozejrzeliśmy się po zebranych sprzęcie, błyszczącej czerni wyłączonych kombinezonów, porysowanej i powgniatanej broni. Na lustrodrzewowej podłodze ledwie starczyło na wszystko miejsca.

- Jak za dawnych czasów, co?

Brasil wzruszył ramionami.

- Nie ma czegoś takiego, jak stara fala, Tak. Za każdym razem jest inaczej. Oglądając się za siebie, ludzie popełniają największy błąd.

Sara.

- Oszczędź mi tej pieprzonej taniej filozofii z plaży, Jack.

Zostawiłem go w kabinie i poszedłem na rufę, by zobaczyć, jak Isa i Sierra Tres radzą sobie z konsolami. Czułem na plecach spojrzenie Brasila i ślad irytacji został ze mną przez całą drogę korytarzem i po trzech schodkach do kokpitu.

- Cześć, kotku - odezwała się na mój widok Isa.

- Przestań.

- Jak chcesz. - Uśmiechnęła się nieskruszona i spojrzała na Sierrę Tres, opartą o boczny panel kokpitu. - Wcześniej nie wyglądało na to, by ci to przeszkadzało.

- Wcześniej mieliśmy... - Poddałem się. Machnąłem ręką. - Kombinezony są gotowe. Jakies wieści od pozostałych?

Sierra Tres wolno potrząsnęła głową. Isa skinęła na wyświetlacz komunikacyjny.

- Zobacz, wszyscy są w gotowości. To zielone światła na całej tablicy. W tej chwili musimy tylko czekać. Jeśli pojawi się tu coś jeszcze, to będzie znaczyło, że coś poszło nie tak. Wierz mi, w tej chwili brak wiadomości to dobra wiadomość.

Wykręciłem się niezdarnie w ograniczonej przestrzeni.

- Można wyjść na pokład?

- Jasne. To urocza jednostka. Ma ekrany pogodowe z generatorów na olinowaniu. Ustawiłam je na półprzezroczystość od zewnątrz. Jeśli trafi się ktoś ciekawski, powiedzmy jak ta twoja blondyna, zobaczy jedynie niewyraźną postać.

- Dobrze.

Wyskoczyłem z kokpitu, przeszedłem na rufę i opuściłem się najpierw na kanapę, a potem na pokład. Tak daleko na północy Reach nie miał dużej mocy, więc trimaran prawie się nie kołysał. Przeszedłem z powrotem do przodu, do otwartego górnego kokpitu, usiadłem w jednym z foteli i wyciągnąłem świeże cygaro erkezes. Pod pokładem znalazłem ich całe pudło, uznałem zatem, że właścicielom nie będzie brakować kilku sztuk. Rewolucyjna polityka - wszyscy musimy się poświęcać. Wokół mnie jacht zatrzeszczał lekko. Niebo pociemniało, ale Daikoku trzymał się nisko nad grzbietem Tadaimako i malował morze niebieskawym blaskiem. Wokół pobłyskiwały światła pozycyjne innych jednostek, równo porozdzielane przez oprogramowanie nawigacyjne. Basowe brzmienie dobiegało nad wodą z któregoś z jasno oświetlonych nabrzeży Nowej Kanagawy i Danchi. Impreza toczyła się na pełnych obrotach.

Na południu z morza sterczała Grań Rila, dość odległa, by wyglądać szczupło i groźnie - ciemne, wygięte ostrze, nieoświetlone poza skupiskiem światel w cytadeli na szczycie.

Przyjrzałem się jej i przez chwilę paliłem w ciszy.

On tam jest.

Albo gdzieś w mieście, szukając ciebie.

Nie, jest tam. Bądźmy realistami.

No dobrze, jest tam. Tak jak ona. Zresztą jak i ta Aiura, i parą setek wyselekcjonowanych gwardzistów rodziny Harlana. Będziesz się tym martwił, jak już wejdiesz na górę.

W świetle księżycy przesunęła się obok nas barka z wyrzutniami w drodze na stanowisko głębiej na Reach. Na rufie pokład zavalony był stosem paczek, lin i helowych cylindrów. Na krótkim dziobie tłoczyli się ludzie, machając i wystrzeliwując w niebo flary. Kiedy barka nas mijała, z pokładu rozległy się ostre syreny, wygrywając hymn urodzinowy Harlana.

Wszystkiego najlepszego, sukinsynu.

- Kovacs?

Głos Sierry Tres. Weszła do kokpitu niezauważona, co albo dobrze świadczyło o jej umiejętnościach skradania się, albo źle o mojej czujności. Miałem nadzieję, że raczej to pierwsze.

- W porządku?

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

- A nie wyglądam?

W charakterystycznie sposób machnęła ręką i siadła w drugim fotelu pilota. Przez dość długi czas tylko na mnie patrzyła.

- To co jest grane z tym dzieciakiem? - zapytała w końcu. - Chcesz wrócić do utraconej młodości?

- Nie. - Wskazałem kciukiem na południe. - Moja pieprzona utracona młodość jest gdzieś tam i próbuje mnie zabić. Z Isą nic mnie nie łączy. Nie jestem pieprzonym pedofilem.

Zapadła kolejna długa cisza. Barka z fajerwerkami ukryła się w mroku. Rozmowa z Tres zawsze wyglądała w ten sposób. W normalnych warunkach by mnie zdenerwowała, ale teraz, w spokoju środka nocy, była dziwnie odprężająca.

- Jak dawno, twoim zdaniem, podpięli do Natsume te wirusy?

Wzruszyłem ramionami.

- Trudno powiedzieć. Chodzi ci o to, czy miał je od dawna, czy że zastawili pułapkę tylko na nas?

- Jak wolisz.

Strzepnąłem popiół z cygara i wpatrzyłem się w rozżarzoną końcówkę.

- Natsume to legenda. Fakt, że mało popularna, *ale ja* go pamiętam. Tak samo jak moja kopia wynajęta przez Harlanitów. On pewnie też już wie, że rozmawiałem z ludźmi w Tekitomurze i że zdaję sobie sprawę, że Sylvie trzymają na Grani Rila. Wie, co mógłbym zrobić, posiadając te informacje. Odrobina intuicji Emisariusza załatwi resztę. Jeśli jest na fali, możliwe, że kazał im podpiąć jakieś wirusy do Natsume, czekając, aż się pojawię. Dzięki wsparciu, jakim teraz dysponuje, bez trudu wypisałby parę pseudoosobowości i przesłał je z fałszywymi referencjami rzekomo z innego klasztoru wyrzeczników.

Zaciągnąłem się cygarem, poczułem ugryzienie dymu i znów wypuściłem powietrze.

- Z drugiej strony, rodzina Harlana mogła oznaczyć Natsume już dawno temu. Nie należą do zbyt łaskawych, a jego wspinaczka zdecydowanie ich ośmieszyła, nawet jeśli tylko głupio się popisował.

Sierra siedziała cicho, patrząc wprost przed siebie przez osłonę kokpitu.

- W sumie sprowadza się to do tego samego - stwierdziła w końcu.

- Tak, zgadza się. Wiedzą, że nadchodzimy. - Co dziwne, uśmiechnąłem się, gdy już wypowiedziałem te słowa. - Nie wiedzą dokładnie, kiedy i jak się zjawimy, ale już nas oczekują.

Przyglądaliśmy się łodziom wokół nas. Wypaliłem erkezesa do samego koniuszka. Sierra Tres siedziała w bezruchu.

- Przypuszczam, że na Sanction IV było trudno - rzuciła później.

- Masz rację.

Choć raz pokonałem ją w jej grze na małomówność. Wyrzuciłem niedopałek i wyciągnąłem kolejne dwa cygara. Zaoferowałem jej jedno, ale potrząsnęła głową.

- Ado cię obwinia - powiedziała. - Podobnie jak część pozostałych. Ale nie sądzę, by dotyczyło to Brasila. Chyba cię lubi. Zawsze tak było.

- Cóż, jestem sympatycznym facetem.

Jej usta wykrzywił uśmiech.

- Na to wygląda.

- Co to niby miało znaczyć?

Odwróciła wzrok w stronę przedniego pokładu trimaranu. Uśmiech zniknął, ustępując zwyczajowemu, kociemu spokojowi.

- Widziałam cię, Kovacs.

- Gdzie mnie widziałas?

- Z Viadurą.

To zawisło przez chwilę między nami. Obudziłem do życia cygaro i wydmuchałem dość dymu, by się za nim skryć.

- Podobało ci się?

- Nie byłem w pokoju. Ale widziałam, co tam robiliście. Nie wyglądało na to, żebyście planowali lunch.

- Nie. - Wspomnienie przyciśniętego do mnie wirtualnego ciała Virginii wzbudziło ostre poruszenie w moim żołądku. - Nie, nie pracowaliśmy.

Znów cisza. Delikatne basy od strony świateł południowej Kanagawy. Marikanon wspiął się na niebo i dołączył do Daikoku na północno-wschodnim niebie. Kiedy tak płynęliśmy leniwie na południe, prawie słyszałem poddźwiękowe młyny malstromu pracujące na pełnych obrotach.

- Brasil wie? - zapytałem.

Tym razem to ona wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Powiedziałeś mu?

- Nie.

- A ona?

Kolejna cisza. Przypomniałem sobie gardłowy śmiech Virginii i strzępki trzech zdań, którymi rozviała moje wątpliwości i otworzyła bramy.

Takie coś nie będzie przeszkadzało Jackowi. Przecież nie wydarzy się naprawdę, Tak. Zresztą, o niczym się nie dowie.

Nauczyłem się ufać jej ocenie sytuacji pośród wybuchów bomb i ognia sunjetów na siedemnastu planetach, ale te słowa nie brzmiały szczerze. Virginia Viadura była przyzwyczajona do wirtualizacji, jak każdy z nas. Fakt, że rozgrywające się w niej wydarzenia uznała za nieprawdziwe, uderzył mnie jak unik.

Kiedy to robiliśmy, niewątpliwie było bardzo prawdziwe.

Tak, ale wyszedłeś z wirtuala równie nabuzowany i pełen hormonów jak na początku. Seks nie był bardziej rzeczywisty niż fantazje, jakie miałeś o niej, kiedy byłeś nowym rekrutem.

Hej, ona też tam była.

Po jakimś czasie Sierra wstała i przeciągnęła się.

- Viadura do niezwykła kobieta - powiedziała enigmatycznie i odeszła w stronę rufy.

* * *

Krótko przed północą Isa wyrwała się kontroli ruchu Reach i Brasil przejął sterowanie z kokpitu na górnym pokładzie. Do tego czasu niebo pełne już było konwencjonalnych fajerwerków, wybuchających nad całym Millsport jak zielone, złote i różowe plamy z wyświetlacza sonaru. Praktycznie każda wysepka i platforma przygotowała ich własny arsenał, a na większych kawałkach łądu takich jak Nowa Kanagawa, Danchi i Tadaimako mieli je w każdym parku. Nawet niektóre łodzie na Reach zabrały swój zapas - z kilku sąsiednich ku niebu sunęły pijane trajektorie rakiety, gdzie indziej strzelano flarami. Na ogólnym kanale radiowym, na tle muzyki i odgłosów zabawy jakiś szalony prezenter wykrzykiwał bezsensowne opisy wybuchów.

Boubin Islander szarpnął lekko, gdy Brasil zwiększył prędkość, i zaczęliśmy łamać fale w

drodze na południe. Tak daleko na Reach wiatr niósł ze sobą delikatny wodny pył wnoszony przez malstrom. Czułem, jak wilgoć osiada mi na twarzy, delikatna jak pajęczne nici, zimne i mokre, gdy krople zebrały się i spłynęły jak łzy.

Potem zaczęły się prawdziwe fajerwerki.

- Patrz - rzuciła Isa z twarzą rozpromienioną dziecinną radością, która wychynęła spod maski nastoletniego luzu. Podobnie jak pozostali wyszła na pokład, bo nie zamierzała przepuścić początku przedstawienia. Kiwnęła głową w stronę jednego z osłoniętych ekranów radarowych. - Tam idzie pierwszy. Startuje.

Na ekranie zobaczyłem serię plamek na północ od naszej pozycji na Reach, każda oznaczona pulsującą czerwoną błyskawicą wskazującą na ślad powietrzny. Podobnie jak większość zabawek bogaczy, *Boubin Islander* dysponował mnóstwem niepotrzebnego sprzętu, który poinformował mnie nawet, na jakiej wysokości znajdowały się namiary. Przyglądałem się, jak cyfry przy plamkach rosły, i wbrew sobie poczułem głęboki zachwyt. Dziedzictwo Świata Harlana - nie można dorastać na tej planecie i tego nie czuć.

- I odcięli liny - poinformował nas prezenter radiowy. - Balony się wznoszą. Widzę...

- Musimy tego słuchać? - zapytałem.

Brasil wzruszył ramionami.

- Znajdź kanał, na którym tego nie nadają. Ja nie potrafiłem. W chwilę potem niebo pękło.

Pierwsza partia starannie obciążonych wybuchowym balastem balonów helowych osiągnęła czterystumetrową linię demarkacyjną. Nieludzko precyzyjna, najbliższa stacja orbitalna zarejestrowała to i wypuściła długą, poszarpaną lancę anielskiego ognia. Rozerwała mrok na pół, przecięła zachmurzone niebo na zachodzie, rozjarzyła górskie krajobrazy wokół nas nagłym błękitem i na ułamek sekundy dotknęła każdego z balonów.

Wybuchł balast. Na Millsport poleciała tęcza ognia.

Przez archipelag przetoczył się majestatycznie grzmot powietrza, które zajmowało z powrotem ścieżki wypalone lancą.

Nawet spiker w radiu się zamknął.

Gdzieś na południu wysokość osiągnął drugi zestaw balonów. Orbital znów strzelił, ponownie zmieniając noc w niebieskawy dzień. Z nieba ponownie spadły barwy. Spalone powietrze warknęło.

Teraz ze strategicznych punktów nad całym Millsport oraz z barek rozstawionych na Reach zaczęło się wysyłanie balonów. Powszechne, powtarzane bodźce dla zbudowanych przez obcych maszynowych oczu. Wydawało się, że błyszczące promienie anielskiego ognia świecą prawie stale, sieją punktowe zniszczenia, dżgają z chmur pod wszelkimi możliwymi kątami, dotykają delikatnie każdego pojazdu, który przekroczył czterystumetrową granicę. Nieustanny grzmot ogłuszał. Reach i okolice stały się serią nieruchomych obrazów. Znikł odbiór fal radiowych.

- Czas ruszać - uznał Brasil.

Uśmiechał się.

Uświadomiłem sobie, że ja też.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Wody Reach były zimne, ale nie lodowate. Zsunąłem się ze schodków do nurkowania *Boubin Islandera*, puściłem słupek i przy zanurzaniu nawet przez kombinezon poczułem elastyczny chłodny nacisk na skórę ze wszystkich stron. Był to swoisty uścisk i pozwoliłem sobie się w nim zatopić, ciągnięty w dół przez masę obwieszającej mnie broni i sprzętu Andersona. Kilka metrów pod powierzchnią włączyłem systemy maskowania i pławne. Grawitacyjny pędnik zadygotał i uniósł mnie łagodnie z powrotem do góry. Wynurzyłem się do poziomu oczu, włożyłem maskę na hełmie i wydmuchałem z niej wodę.

Parę metrów dalej wynurzyła się Tres. Uniosła w pozdrowieniu osłoniętą rękawiczką dłoń. Rozejrzałem się za Brasilem.

- Jack?

Jego głos dobiegł z mikrofonu indukcyjnego, słyhać było, że usta mu drżą.

- Pod tobą. Zimno, co?

- Mówiłem ci, żebyś dał spokój z tą autoinfekcją. Isa, słuchasz?

- *A jak* myślisz?

- Dobra. Wiesz, co robić?

Usłyszałem, jak wzdycha.

- Tak, tatau. Utrzymywać pozycję, nie naruszać ciszy radiowej. Przekazywać wszystko, co nadejdzie od pozostałych. Nie rozmawiać z obcymi.

- Zgadza się.

Uniosłem ostrożnie rękę, by sprawdzić, czy system maskowania uaktywnił przesunięcie refrakcyjne skóry kombinezonu. Dostatecznie blisko dna włączy się kameleochrom, który sprawi, że wtopię się w dominujące na dole barwy, ale w otwartej wodzie przesunięcie robiło ze mnie ducha, migotliwy cień w mroku, złudzenie.

Działało to uspokajająco.

- No dobrze. - Wciągnąłem powietrze, głębiej niż trzeba. - Zróbmy to.

Wziąłem namiar ze świateł południowego skraju Nowej Kanagawy, po czym odszukałem czarną płetwę Grani Rila, dwadzieścia kilometrów dalej. Później zanurzyłem się w morzu, wykręciłem leniwie i zacząłem płynąć.

Brasil zabrał nas tak daleko na południe od normalnego ruchu, jak było to bezpieczne bez ściągania na nas uwagi, ale wciąż znajdowaliśmy się daleko od Grani Rila. W normalnych warunkach dotarcie tam zajęłoby przynajmniej kilka godzin ciężkiej pracy. Prądy Reach ściągane na południe przez malstrom trochę pomagały, ale tylko zmodyfikowany system pływowy pozwalał zbliżyć się do siedziby Harlanitów. A skoro elektroniczna ochrona archipelagu została praktycznie oślepią i ogłuszona przez orbitalną burzę, nikt nie zdoła wyłapać jednoosobowego silnika grawitacyjnego pod wodą. Dzięki starannie dobranemu wektorowi, ta sama moc, która utrzymywała stale zanurzenie, mogła nas też zabrać na południe z prędkością maszynową.

Sunęliśmy przez mroczne wody na wyciągnięcie ręki od siebie niczym morskie demony z legendy o córce Ebisu, podczas gdy nad nami powierzchnia morza rozkwitała cicho i powtarzalnie odbitym anielskim ogniem. Uprząż Andersona klikała i bulgotała delikatnie w moich uszach, elektrolitycznie uwalniała tlen bezpośrednio z wody, pompowała do niego tlen z ultraskompresowanego zbiornika na plecach, podawała mi go, po czym cierpliwie niszczyła i rozpraszała bąble mojego wydechu do rozmiarów nie większych niż rybia ikra. W oddali malstrom mrucał basowym kontrapunktem.

Było bardzo spokojnie.

Tak, to ta łatwa część zadania.

Z rozświetlanego błyskami mroku wypłynęło wspomnienie. Nocne nurkowanie na rafie Hirata w towarzystwie dziewczyny z wyższych sfer Newpest. Wpadła którejs nocy do Watanabego z Segesvarem i jeszcze paroma Wojownikami Rafy - puszczająca się córunia tatusia w towarzystwie twardzieli z przedmieść. Eva? Irena? Pamiętałem tylko splecione w warkocz ciemnomiodowe włosy, długie kończyny i błyszczące zielone oczy. Paliła skręty z konopi morskich, kiepsko, kaszląc i dławiąc się ostrym dymem tak często, że wzbudzała głośny śmiech u bardziej zaprawionego towarzystwa. Była najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widziałem.

Podejmując rzadki - jak dla mnie - wysiłek, podebrałem ją Segesvarowi, który i tak pewnie uważał ją za balast, zaparkowałem w cichym kącie u Watanabego blisko kuchni i zmonopolizowałem ją na cały wieczór. Miałem wrażenie, że pochodzi z innej planety - ojciec przejmował się nią i traktował z uwagą, z jakiej szydziłbym w innych okolicznościach, matka pracowała na pół etatu *tylko po to, by nie czuć się jak kura domowa*, mieli własny dom za miastem, co parę miesięcy odwiedzali Millsport na Erkezach. Jej ciotka poleciała pracować na inną planetę, wszyscy byli tak bardzo z niej dumni, brat miał nadzieję na to samo. Mówiła o tym wszystkim z zapamiętaniem człowieka, który wierzy, że takie rzeczy są całkowicie normalne, kaszlała od dymu konopi morskich i często promiennie się do mnie uśmiechała.

A ty, zapytała w pewnej chwili, co ty robisz dla zabawy?

Ja., och... ja nurkuję na rafie.

Uśmiech przeszedł w śmiech.

Tak, Wojownicy Rafy, w życiu bym na to nie wpadła. Gdzie schodzisz w dół?

To powinien być mój tekst, tekst stosowany na dziewczyny, a ona mi go ukradła. Nawet się nie obraziłem.

Po drugiej stronie Hiraty, wypaliłem. Chciałabyś kiedyś spróbować?

Jasne, nie pozostała mi dłużna. Może teraz?

Na Kossucie był środek lata, wilgotność powietrza już od tygodni wynosiła sto procent. Myśl o wejściu do wody była jak zaraźliwe swędzenie. Wyślizgnęliśmy się od Watanabego i pokazałem jej, jak odczytywać przepływ autotaksówek, wybrać niezajętą i wskoczyć na dach. Przejechaliśmy przez całe miasto, pot chłodził nam skórę.

Trzymaj się mocno.

Jasne, sama bym o tym nie pomyślała, odchrząknęła i roześmiała mi się prosto w twarz.

Taksówka zatrzymała się po pasażera niedaleko kapitanatu portu. Zleźliśmy z niej, strasząc szykujących się do wsiadania klientów. Szok przygasł do mamrotań i gniewnych spojrzeń, które wywołały w nas konwulsyjne chichoty. W ochronie portu przy wschodnim rogu doków poduszkowców była dziura - ślepe miejsce wyszarpane rok wcześniej przez jakiegoś paruletniego hakera; sprzedał je Wojownikom Rafy za holoporno. Przeprowadziłem nas przez szczelinę, prześlizgnęliśmy się do jednej z ramp poduszkowców i ukradliśmy stępkowy tender. Odpychając się kijem i wiosłując cicho, przepłynęliśmy przez zatokę, po czym uruchomiliśmy silnik i krzyżąc, popłynęliśmy na szeroki, biały łuk Hiraty.

Później, pogrążony w ciszy nurkowania, spojrzałem w górę na oświetloną przez Hoteia, pofalowaną powierzchnię i zobaczyłem nad sobą jej ciało, blade na tle czarnych taśm kamizelki pływowej i antycznego zestawu ze sprzężonym powietrzem. Zagubiła się w chwili, dryfując, może wpatrywała się w potężną ścianę rafy nad nami, a może tylko cieszyła się chłodem morza na skórze. Przez jakąś minutę wisiałem pod nią, podziwiając ten widok i czując, jak twardnieję w wodzie.

Wzrokiem wodziłem po liniach jej ud i bioder, skupiając się na podgolonym pionowym pasku włosów pod jej brzuchem i sromie widocznym w chwilach, kiedy poruszała leniwie nogami. Wpatrywałem się w umięśniony brzuch wyłaniający się z dolnego brzegu kamizelki pływowej i oczywiste wypukłości na jej klatce piersiowej.

Wtedy coś się stało. Może za dużo konopi, lepiej tego nie robić przed nurkowaniem. Może po prostu jakieś echo z mojego życia domowego. Kątem oka cały czas widziałem rafę. Przez jedną okropną chwilę zdawała się przechylać, przewracając na nas. Erotyzm leniwego dryfu i machnięć nogami zmienił się w świdrujące przekonanie, że dziewczyna jest martwa albo nieprzytomna. W nagłej panice skoczyłem do góry, obiema rękami chwyciłem ją za ramiona i wykręciłem ją w wodzie.

Nic jej nie było.

Oczy za maską rozszerzyły się z zaskoczenia, dłonie dotknęły mnie W odpowiedzi. Na jej ustach pojawił się uśmiech, wypuściła przez zęby bąbel powietrza. Gesty, pieszczoty. Jej nogi owinęły się wokół mnie. Zdjęła ustnik, gestem kazała mi zrobić to samo i mnie pocałowała.

- Tak?

Później, w bańce ze sprzętem wydmuchanej przez Wojowników i ustawionej na rafie, leżąc ze mną na zaimprovizowanym posłaniu z zatechłych zimowych kombinezonów, wydawała się zaskoczona tym, jak delikatnie ją traktowałem.

Nie połamiesz mnie, Tak. Jestem dużą dziewczynką.

A jeszcze później znów owinęła mnie nogami i poruszała biodrami, śmiejąc się radośnie.

Trzymaj się mocno!

Byłem zbyt pochłonięty myślami, by dać jej odpowiedź z dachu autotaksówki.

- Tak, słyszysz mnie? Eva? Ariana?

- *Kovacs!*

Zamrugalem. To był głos Brasila.

- Tak, przepraszam. Co jest?

- Płynie Łódź. - Wraz z jego słowami też to usłyszałem, szeleszczący świst małych śrub w wodzie, ostry na tle pomruku malstromu. Sprawdziłem system zbliżeniowy, ale nie znalazłem żadnego śladu grawitacyjnego. Przeszedłem na sonar i znalazłem ją na południowym wschodzie. Sunęła szybko w górę Reach.

- Stępkowiec - wymamrotał Brasil. - Myślicie, że powinniśmy się martwić?

Trudno mi było uwierzyć, że rodzina Harlana stosowałaby do patroli stępkowe łodzie. Mimo wszystko...

- Wyłączmy silniki - powiedziała za mnie Sierra Tres. - Przejdźmy na zwis. Nie warto ryzykować.

- Tak, racja. - Niechętnie namacałem kontrolki pływalności i wyłączyłem wspomaganie grawitacyjne. Poczulem, że zaczynam opadać, ściągany przez masę sprzętu. Wcisnąłem klawisz awaryjnego dryfu. Bez trudu określiłem chwilę, w której napełniły się komory balastowe w kamizelce dryfowej. Wyłączyłem dopływ gazu, gdy przestałem opadać, i unosiłem się w przecinanym rozblaskami mroku, słuchając dźwięku zbliżającej się łodzi.

Może Elena?

Błyszczące zielone oczy.

Rafa przechylająca się nad nami.

Przy kolejnym błysku anielskiego ognia dostrzegłem w górze stępkę łodzi, dużej i drapieżnej, mocno zniekształconej z jednej strony. Zmrużyłem oczy i wytężyłem wzrok w powybuchowym mroku, podciągając neurochem. Łódź chyba coś ciągnęła.

Natychmiast opuściło mnie napięcie.

- To łódź czarterowa. Ciągną tuszę butlogrzbieta.

Łódź przepłynęła górą i znikła na północy, pracując z wysiłkiem, obciążona zdobyczą, w sumie nawet się do nas nie zbliżyła. Neurochemia pokazała mi na tle niebiesko oświetlonej powierzchni wody zarys martwego butlogrzbieta, wciąż puszczającego za sobą wąskie strużki krwi. Potężne ciało w kształcie torpedy chwiała się ciężko na falach wywoływanych przez łódź, harpuny wystawały z niego jak połamane skrzydła. Część płetwy grzbietowej została naderwana i powiewała bezwładnie w wodzie, nieostra na brzegach poszarpanej tkanki. Wzdłuż ciała ciągnęły się luźne liny. Wyglądało na to, że dostał kilkoma harpunami - ktokolwiek wynajął łódź, najwyraźniej nie był dobrym rybakiem.

Kiedy ludzie przybyli na Świat Harlana, butlogrzbiety nie miały żadnych naturalnych wrogów. Stanowiły szczyt piramidy pokarmowej, idealnie dostosowani morscy drapieżnicy i bardzo inteligentne zwierzęta społeczne. Nie potrafiło ich zabić nic, co wyewoluowało na planecie.

Szybko to zmieniliśmy.

- Mam nadzieję, że to nie wróżba - nieoczekiwanie mruknęła Sierra Tres.

Brasil prychnął gardłowo. Opróżniłem komory wypornościowe w kamizelce i włączyłem z powrotem system grawitacyjny. Woda wokół mnie wydała się nagle zimniejsza. Pod automatycznymi ruchami kontroli kursu i trymu poczułem, jak wsącza się we mnie nieokreślony gniew.

- Zróbmy to wreszcie, ludzie.

Ale nastrój nie opuścił mnie dwadzieścia minut później, kiedy wypełzliśmy na płycizny przy Grani Rila, pulsując mi w skroniach i za oczami. A wyświetlane na szkle mojej maski bladoczerwone wskaźniki trasy z symulacji Natsume zdawały się migotać w rytmie mojej krwi. Wzbierała we mnie potrzeba niszczenia, jak pogodna pobudka, jak radość.

Znaleźliśmy kanał polecony przez Natsume, przecisnęliśmy się przez niego, zaczepiając dłońmi w rękawiczkach o skały i korale, by uniknąć porwania przez prąd. Wypełziliśmy z wody na wąską półeczkę, którą podświetliło nam oprogramowanie, oznaczając ją lekko demoniczną, uśmiechniętą buźką. *Wejście*, powiedział Natsume, porzucając na chwilę maniery mnicha. *Puk puk*. Podźwignąłem się i rozejrzałem. Morze rozświetlało delikatne, srebrzyste światło Daikoku, ale Hotei wciąż nie wzeszedł, a kropelki wody ze zderzających się w malstromie fal rozpraszały dostępne światło. Widziałem głównie ciemność. Anielski ogień obudził ostre cienie skaczące po kamieniach, kiedy zniszczył kolejny pakiet ogni gdzieś na północy. Przez niebo przetoczył się grzmot. Chwilę skanowałem klif w górze, potem ciemne morze, z którego wypełziliśmy. Nic nie wskazywało, że nas zauważono. Odczepiłem od maski rusztowanie do nurkowania i ściągnąłem je. Zdjąłem płetwy i rozprostowałem palce stóp w gumowych butach.

- Wszyscy cali?

Brasil burknął potwierdzenie. Tres kiwnęła głową. Przyczepiłem rusztowanie hełmu do pasa na plecach, gdzie nie będzie mi przeszkadzał, zdjąłem rękawiczki i schowałem je do sakiewki. Poprawiłem znacznie lżejszą maskę na twarzy i upewniłem się, że terminal jest dobrze do niej podłączony. Odchylając głowę do góry, zobaczyłem trasę Natsume wyraźnie zaznaczoną czerwonymi uchwytami na dłonie i stopy.

- Wszyscy dobrze to widzicie?

- Tak. - Brasil się uśmiechnął. - Takie znaczenie drogi trochę psuje zabawę, nie?

- To co, chcesz iść pierwszy?

- Zaraz po tobie, mister Eishundo.

Nie dając sobie czasu do namysłu, sięgnąłem i chwyciłem pierwszy ze wskazanych uchwytów,

oparłem na nim stopę i podciągnąłem się na klif. Zamach i zaczep dla drugiej dłoni. Skąła była mokra od mgiełki z malstromu, ale uchwyt Eishundo trzymał mocno. Podniosłem nogę, podpierając się na pochyłej półeczce, znów sięgnąłem i chwyciłem.

I opuściłem powierzchnię ziemi.

Pestka.

Ta myśl przemknęła mi przez głowę po tym, jak wspiąłem się na jakieś dwadzieścia metrów, zostawiając po sobie lekko wariacki uśmiech. Natsume ostrzegł mnie, że wczesne etapy wspinaczki są zwodnicze. *To małpia wspinaczka, powiedział poważnie. Sporo szerokich zamachów i chwytów, mocnych podciągnięć, a na tym etapie masz jeszcze dużo siły. Będiesz się dobrze czuł. Pamiętaj tylko, że to nie potrwa długo.*

Wydałem wargi po szympansemu i parsknąłem przez nie cicho. W dole morze nieustannie waliło o skały. Jego dźwięki i zapachy docierały do mnie, odbijając się od klifu, i otaczały mnie chłodem i wilgocią. Strząsałem z ramion dreszcz.

Zamach. Chwyt.

Bardzo powoli dotarło do mnie, że warunkowanie Emisariusza nie zaskoczyło jeszcze, by kontrolować mój lęk wysokości. Mając ścianę klifu niecałe pół metra od twarzy i system mięśni Eishundo dudniący o kości, prawie można było zapomnieć, że w dole rozciąga się pustka. W miarę jak wspinałem się coraz wyżej, skały były mniej śliskie od wody, a nieustanny grzmot fal przycichł do odległego hałasu. Gekonowy chwyt moich dłoni sprawiał, że śliskie występy wydawały się śmiesznie stabilne. I pomagał mi jeszcze jeden czynnik, który znaczył więcej niż wszystkie pozostałe, a może tylko je sumował - to, co powiedziałem Natsume, było prawdą - powłoka wiedziała, jak to robić.

I wtedy, gdy dotarłem do zestawu uchwytów i podpórek, których oznaczenia na masce opisano symbolem odpoczynku, spojrzałem w dół, by sprawdzić, jak sobie radzą Brasil i Tres. I wszystko zepsułem.

Sześćdziesiąt metrów w dół - nawet nie jedna trzecia wspinaczki - morze rozciągało się ciemną łąką posrebrzaną przez Daikoku. Płaszcz skał u podstawy Grani Rila siedział w wodzie jak lite cienie. Dwa duże głązy, które wyznaczały wejście do przebitego przez nas kanału, wyglądały, jakby mogły mi się zmieścić na dłoni. Przepływ wody między nimi był hipnotyczny, ciągnąc mnie w dół. Widok zdawał się przechylać.

Zaskoczyło warunkowanie, spłaszczając strach jak śluzę powietrzna w głowie. Moje spojrzenie wróciło do skały. Sierra Tres sięgnęła w górę i poklepała mnie po stopie.

- W porządku?

Uświadomiłem sobie, że tkwię nieruchomo prawie od minuty.

- Tylko odpoczywam.

Znaki uchwytów skręcały w lewo, idąc po skosie wokół szerokiej przypory, o której Natsume mówił, że praktycznie nie da się jej pokonać. Wobec tego on sam cofnął się i przeszedł prawie do góry nogami pod dolnym brzegiem przypory, wbijając stopy w maleńkie pęknięcia i szczeliny skały i palcami czepiając się maleńkich wypukłości ledwie zasługujących na miano uchwytów, aż w końcu zaczepił obie dłonie na serii skośnych półek po drugiej stronie i podciągnął się prawie do pionu.

Zacisnąłem zęby i zacząłem robić to samo.

W pół drogi noga mi się ześlizgnęła, ciągnąc za sobą masę ciała. Oderwałem od skały prawą rękę. Odruchowo stęknąłem i zawisłem na lewej dłoni, machając nogami, by znaleźć jakieś podparcie, zdecydowanie za nisko, by chwycić się czegoś poza powietrzem. Wrzasnąłbym, ale zrobiły to za mnie ledwie ozdrowiałe ścięgna lewego ramienia.

- Szlag.

Trzymaj się mocno. Chwył gekona wytrzymał.

Zwinąłem się w górę od talii, odchylając głowę, by zobaczyć na szkle maski oznaczenia uchwytów stóp. Krótki, paniczny oddech. Jedną stopę zaczepiłem o wypukłość kamienia. Niezdolny widzieć wyraźnie w masce, sięgnąłem na ślepo prawą ręką i pomacałem skałę w poszukiwaniu drugiego uchwytu.

Znalazłem go.

Poprawiłem stopę i zahaczyłem drugą obok niej.

Zawisłem, dysząc ciężko.

Nie, cholera, nie zatrzymuj się!

Musiałem użyć całej siły woli, by przenieść prawą rękę na następny uchwyt. Kolejne dwa ruchy i znów przyprawiający o mdłości wysiłek, by poszukać zaczepu. Jeszcze trzy ruchy, odrobinę poprawiony kąt, i uświadomiłem sobie, że jestem prawie po drugiej stronie przypory. Sięgnąłem w górę, znalazłem pierwszą z ukośnych półek i podciągnąłem się do pionu, dysząc i przeklinając. Odnalazłem głęboki uchwyt. Dociągnąłem stopy do najniższej półki. Z ulgą przywarłem do zimnej skały.

Zabierz się, w cholere, z drogi, Tak. Nie zostawiaj ich wiszących w dole.

Wspiąłem się przez następne zestawy uchwytów i dotarłem do góry przypory. Na wyświetlaczu maski błyszczała czerwienią szeroka półka z unoszącą się nad nią uśmiechniętą buźką. Punkt odpoczynku. Czekałem tam, aż z dołu wyłonili się Sierra Tres i Brasil. Potężny surfer szczyrzył się jak dzieciak.

- Przez chwilę się martwiłem, Tak.

- Tylko... nie... do cholery, nic nie mów, dobra?

Odpoczywaliśmy jakieś dziesięć minut. Nad naszymi głowami wyraźnie widać było dolną stronę parapetu, z czysto wyciętymi krawędziami wyłaniającymi się z chaotycznych kątów naturalnych skał. Brasil wskazał głową w górę.

- Teraz już niedaleko, co?

- Tak, i zostały już tylko darłoskrzydły. - Wygrzebałem aerozol odstraszający i obficie się nim spryskałem. Tres i Brasil zrobili to samo. Miał ostry, lekko roślinny zapach, który w ciemności zdawał się bardziej intensywny. Może i nie odstraszy darłoskrzydłów w przypadku spotkania, ale chociaż je zniechęci. A jeśli to nie wystarczy...

Wyciągnąłem rapsodię z kabury na dolnej części żeber i przycisnąłem ją do łatki narzędziowej na piersi. Przykleiła się tam tak, że łatwo będzie chwycić ją w ułamku sekundy, oczywiście zakładając, że zdołam uwolnić rękę i po nią sięgnąć. Mając przed sobą perspektywę wejścia na klif pełen rozłuszczonych i przestraszonych darłoskrzydłów broniących młodych, wolałbym raczej solidny blaster Sunjeta na plecach, ale nie było mowy, by udało się go skutecznie wykorzystać. Skrzywiłem się, poprawiłem maskę i znów sprawdziłem wtyczkę wyświetlacza. Głęboko wciągnąłem powietrze i sięgnąłem do następnych uchwytów.

Teraz klif zrobił się wypukły, wystając na zewnątrz, przez co musieliśmy wspinać się w ciągłym wychyleniu do tyłu o dwadzieścia stopni. Ścieżka wybrana przez Natsume biegła zakosami przez skałę, podążając za skromnymi uchwytami, ale mimo tego możliwości odpoczynku było niewiele. Do czasu gdy przechył znów zmienił się w pionową ścianę, ramiona pulsowały mi z bólu od barków do czubków palców, a gardło miałem wyschnięte od dyszenia.

Trzymaj się mocno.

Znalazłem zaznaczone na wyświetlaczu ukośne pęknięcie, przesunąłem się w górę, by zrobić

miejsce pozostałym, i wsadziłem w nie ramię aż do łokcia. Potem zawisłem bezwładnie, zbierając oddech.

Zapach dotarł do mnie mniej więcej w tej samej chwili, gdy zauważyłem wiszące w powietrzu białe, delikatne nitki.

Oleisty, kwaśny.

No to się zaczyna.

Przekręciłem głowę i spojrzałem w górę. Byliśmy bezpośrednio pod pasem gniazdowym kolonii. Cała szerokość skały pokryta była grubą warstwą kremowej nitkowatej wydzieliny, w którą rodziły się embriony darłoskrzydłów i żyły w niej przez cztery miesiące dojrzewania. Najwyraźniej gdzieś dokładnie nade mną jakiś dojrzały pisklak wyrwał się na wolność i albo odleciał, albo ulegając logice Darwina, spadł w morze.

Nie myślmymy o tym w tej chwili, dobra?

Podkręciłem neurochemicznie wzrok i przeskanowałem kolonię. Tu i tam ciemne kształty czyściły pióra i machały skrzydłami na wystających z masy bieli graniach, ale nie było ich wiele. *Darłoskrzydły, zapewnił nas Natsume, nie spędzają wiele czasu w gniazdach. Nie muszą grzać jaj, a embriony odżywiają się wprost z wy ściółki.* Podobnie jak większość zagorzałych wspinaczy, był swego rodzaju ekspertem od tych stworzeń. *Natkniecie się na paru strażników, pojedyncze rodzące samice i może jakichś najedzonych rodziców wydzielających packę w okolicy swojego maleństwa. Jeśli będziecie ostrożni, zostawią was w spokoju.*

Znów się skrzywiłem i ruszyłem w górę szczeliny. Oleisty smród przybrał na sile, a do kombinezonu zaczęły przyklejać mi się strzępki rozdartych nici. Kameleochrom zbladł, dopasowując się do otoczenia. Przestałem oddychać przez nos. Zerknąłem w dół i odkryłem, że pozostali wspinają się z twarzami wykrzywionymi przez smród.

A potem szczelina się skończyła i wyświetlacz pokazał, że następny zestaw uchwytów znajduje się pod warstwą włókien. Pokiwałem ponuro głową i wcisnąłem rękę w ich masę, poruszając palcami, aż odnalazłem skalną ostrogę przypominającą czerwony model na wyświetlaczu.

Wydawała się dość mocna. Kiedy po raz drugi zanurzyłem rękę w sieci, chwyciłem mocniej i zamachnąłem się nogą, szukając półeczki również pokrytej tym świństwem. Teraz nawet oddychając ustami, czułem w gardle oleisty smak.

Było to znacznie gorsze od wspinaczki po nawisie. Trzymałem się mocno, ale za każdym razem musiałem przeciskać ręce i nogi przez gęste, lepkie sieci, aż do skały. Trzeba było uważać na niewyraźne cienie embrionów wiszących w sieciach, bo nawet na tym etapie rozwoju mogły już gryźć, a fala hormonów strachu, które uwolniłyby w sieci po dotknięciu ich, miałyby efekt chemicznej syreny. Po paru sekundach spadliby na nas strażnicy, a niezbyt wysoko oceniałem nasze szanse na pokonanie ich bez ryzyka upadku.

Wsadzić dłoń. Namacać uchwyt.

Złapać się. Podciągnąć.

Puścić i wyciągnąć rękę. Nie zwymiotować od fali smrodu. Wsadzić rękę z powrotem.

Do tej pory byliśmy już cali pokryci lepкими pasmami włókien i coraz ciężiej było mi pamiętać, na czym polega wspinaczka po gołej ścianie. Na brzegu prawie pustej łąty przeszedłem obok martwego, gnijącego pisklaka, złapanego głową w dół przez szpony w splątanych włóknach, których nie potrafił rozerwać i w efekcie zagłodził się na śmierć. Dodało to nowe, ohydnie słodkawe nuty do panującego smrodu. Trochę wyżej prawie dojrzały embrion obrócił głowę w moją stronę, kiedy sięgnąłem ostrożnie w masę pół metra od niego.

Podciągnąłem się przez krawędź półki, zaokrąglonej i lepkiej od sieci.

Skoczył na mnie darłoskrzydł.

Pewnie był równie przestraszony jak ja. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę wznoszącą się chmurę odstraszcza i masywną ciemną postać, idącą jej śladem. Rzucił się na mnie, celując dziobem w oczy, ale trafił w maskę i odrzucił mi głowę do tyłu. Dziób zazgrzytał na szkłe. Straciłem uchwyt lewej dłoni, wykręciłem się na prawej. Darłoskrzydł zaskrzeczał i podskoczył bliżej, mierząc w gardło. Poczułem, jak ząbkowany brzeg dzioba przesuwają się po skórze. Z braku innego wyjścia podciągnąłem się mocno prawą ręką na półkę. Lewa wystrzeliła ze zwinnością neurochemii i chwyciła sukinsyna za szyję. Szarpnąłem ostro i rzuciłem nim w dół. Rozległ się jeszcze jeden stłumiony skrzek, a potem w dole wybuchły skórzaste skrzydła. Sierra Tres wrzasnęła.

Chwyciłem się lewą ręką i spojrzałem w dół. Oboje wciąż tam byli. Darłoskrzydł zmienił się w skrzydlaty cień, uciekający w stronę morza. Odetchnąłem.

- W porządku?

- Czy mógłbyś więcej tego nie robić? - wycharczał Brasil.

Nie musiałem. Trasa Natsume poprowadziła nas dalej przez rejon poszarpanych i zużytych sieci, a w końcu nad wąskim pasem gęstszej wydzieliny, po czym kolonia się skończyła. Tuzin uchwytów później przykucnęliśmy na kamiennej platformie pod głównym parapetem cytadeli Grani Rila.

Wymieniliśmy nieśmiałe uśmiechy. Na platformie było dość miejsca, by usiąść. Stuknąłem w mikrofon indukcyjny.

- Isa?

- Tak, jestem. - Jej głos zabrzmiał dziwnie wysoko, pełen napięcia.

Znow się uśmiechnąłem.

- Jesteśmy na szczycie. Lepiej daj znać pozostałym.

- Dobra.

Usiadłem, opierając się o kamień, i odetchnąłem niepewnie. Zapatrzyłem się w horyzont.

- Nie chciałbym robić tego ponownie.

- Przed nami jeszcze kawałek - zauważyła Tres, wskazując kciukiem na nawis. Spojrzałem we wskazanym kierunku na dolną stronę parapetu.

Architektura z czasów Osiedlenia, podsumował prawie z pogardą Natsume. Tak cholernie barokowa, że równie dobrze mogliby wmurować w to drabinę. I iskra dumy, której nie odebrał mu czas spędzony wśród wyrzeczników. Oczywiście, nie spodziewali się, że ktoś zdoła tam dotrzeć.

Obejrzałem rzeźby na odchylonym do zewnątrz spodzie półki. Przeważnie składały się ze standardowych motywów skrzydeł i fal, ale gdzieniegdzie umieszczono stylizowane twarze Konrada Harlana i niektórych z jego bardziej znaczących krewnych z czasów Osiedlenia. Przyzwoity uchwyt można było znaleźć na każdym dziesięciu centymetrach kwadratowych powierzchni. Odległość do brzegu nawisu nie przekraczała trzech metrów. Westchnąłem i wstałem.

- No dobra.

Brasil oparł się tuż przy mnie, przyglądając się kamiennej powierzchni.

- Wygląda dość prosto, co? Myślisz, że mają tu jakieś czujniki?

Przycisnąłem rapsodię do piersi, upewniając się, że wciąż jest bezpieczna. Poluzowałem blaster w kaburze na plecach.

- A kogo to, do cholery, obchodzi.

Sięgnąłem w górę, wcisnąłem pięść w oko Konrada Harlana i zaczępiłem się palcami. Potem wspiałem się przez całą szerokość kołnierza, zanim zdążyłem się nad tym zastanowić. Po jakichś trzydziestu sekundach byłem już na pionowej ścianie. Na niej również widniały podobne reliefy. Po kolejnych sekundach przykucnąłem na brzegu trzymetrowego parapetu, patrząc na starannie

wygrabiony w zamknięte linie żwir i drobiazgowo ułożone głązy. Blisko środka stała mała figurka Harlana z pochyloną głową i dłońmi złożonymi w medytacji, kryjącego się w cieniu wyidealizowanego Marsjanina, którego skrzydła rozkładały się w pokazie ochrony i siły. Na drugim brzegu owalnego kamiennego ogródka królewski łuk prowadził do zacienionych dziedzińców i ogrodów gościnnego skrzydła cytadeli.

Owionął mnie zapach ziół i skalnych jagód, ale nie usłyszałem żadnych dźwięków poza szumem wiatru. Wyglądało na to, że goście znajdują się w centralnym kompleksie, gdzie jasno świeciły światła i skąd z wiatrem dobiegały odgłosy świętowania. Podkręciłem neurochemię i wyłapałem wiwaty, elegancką muzykę, którą znienawidziłaby Isa, i głos śpiewający całkiem ładną piosenkę.

Wyciągnąłem sunjeta z futerału na plecach i włączyłem zasilanie. Czekać w mroku na skraju nawisu z rękami pełnymi śmierci przez chwilę poczułem się niczym zły duch z legend. Brasil i Tres wyłonili się obok mnie i zajęli miejsca na parapecie. Potężny surfer dzierżył w dłoniach antyczną strzelbę odłamkową, Tres przełożyła blaster do lewej ręki, by zrobić w prawej miejsce na kałasznikowa z litymi pociskami. Na jej twarzy pojawił się wyraz skupienia. Sprawiała wrażenie, jakby ważyła broń w dłoniach albo chciała ją wyrzucić. Nocne niebo przeciął anielski ogień, oświetlając nas, błękitnych i nierealnych. Grzmot zabrzmiał jak zaproszenie. W tle wołał malstrom.

- No dobra - powiedziałem cicho.

- Tak, tyle chyba wystarczy - zabrzmiał kobiecy głos z pachnącego mroku ogrodu. - Proszę opuścić broń.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Z krążanka wysypały się uzbrojone postacie w pancerzach. Przynajmniej tuzin. Zdołałem dostrzec kilka bladych twarzy, ale większość nosiła masywne maski wspomaganego widzenia i hełmy taktycznych marines. Pancerze bojowe oblepiały ich klatki piersiowe i kończyny jak dodatkowe mięśnie. Broń mieli równie konkretną. Blastery odłamkowe z szerokimi nasadkami rozproszeniowymi i strzelby fragmentacyjne gdzieś o stulecie nowsze od tej, którą przyniósł ze sobą Jack Soul Brasil. Parę mocowanych na biodrze działek plazmowych. Nikt w grupie na orlim gnieździe Harlana nie chciał ryzykować.

Opuściłem powoli lufę sunjeta, kierując ją w kamienny parapet. Utrzymałem luźny chwyt na rękojeści. Kątem oka zobaczyłam, że Brasil zrobił to samo ze strzelbą fragmentacyjną, a Sierra Tres opuściła ręce wzdłuż boków.

- Tak, właściwie chciałam, żebyście *rzucili* broń - powiedziała uprzejmie ta sama kobieta. - Całkowicie się jej pozbyli. Może mój amangielski nie jest tak dobry, jak powinien.

Odwrociłem się w stronę, z której dobiegał głos.

- Aiura, to ty?

Milczała przez chwilę, po czym wyszła z bramy na końcu zagrabionej przestrzeni. Kolejny wystrzał satelity oświetlił ją na moment, potem z powrotem zapadł mrok i musiałem użyć neurochemii, by dostrzec szczegóły. Kobieta kierująca ochroną Harlana stanowiła uosobienie urody Pierwszych Rodzin - eleganckie, euroazjatyckie rysy twarzy bez określonego wieku, wyrzeźbione z tyłu przez pole statyczne kruczoczarne włosy, które równocześnie tworzyły koronę i obramowywały błądź jej twarzy. Żywa inteligencja w uśmiechu i spojrzeniu, w kącikach oczu delikatne zmarszczki, sugerujące stulecia doświadczeń. Wysoka, szczupła sylwetka osłonięta prostym pikowanym żakietem w kolorach czerni i ciemnej czerwieni z oznaką stanowiska i pasującymi do niego spodniami, tak szerokimi, że gdy stała, można było wziąć je za dół sukni wieczorowej. Stroju dopełniały płaskie buty, w których w razie potrzeby dało się biec lub walczyć.

Pistolet odłamkowy. Niewycelowany, właściwie opuszczony.

Uśmiechnęła się w półmroku.

- Tak, jestem Aiura.

- Przyprowdziłaś tu moją popieprzoną młodszą kopię?

Kolejny uśmiech. Lekkie drgnienie brwi, gdy zerknęła w bok, tam, skąd przyszła. Wyszedł z cienia. Uśmiechał się, ale nie wyglądał na pewnego siebie.

- Tu jestem, staruszk. Masz mi coś do powiedzenia?

Obejrzałem opaloną sylwetkę bojową, postawę pełną gotowości i związane czarne włosy. Wyglądał jak pieprzony czarny charakter z sensorii samurajskich klasy B.

- Nic, czego byś posłuchał - odpowiedziałem mu. - Po prostu usiłuję tu policzyć idiotów.

- Tak? Cóż, to nie ja właśnie wspiałem się dwieście metrów, by wejść w pułapkę.

Zignorowałem aluzję i spojrzałem z powrotem na Aiurę, która przyglądała mi się z zainteresowaniem.

- Przyszedłem po Sylvie Oshimę - powiedziałem cicho.

Moje młodsze ja parsknęło śmiechem. Podjęli go niektórzy z uzbrojonych mężczyzn, ale wesołość nie trwała długo. Byli zbyt nerwowi, nadal trzymali broń w pogotowiu. Aiura odczekała, aż ucichną ostatnie chichoty.

- Myślę, że wszyscy o tym wiemy, Kovacs-san. Ale nie pojmuję, jak zamierzasz osiągnąć ten cel.

- Po prostu chciałbym, żebyś po nią poszła.

Znów nerwowe chichoty. Ale uśmiech szefowej ochrony znikł jak zdmuchnięty. Oстрыm gestem nakazała ciszę.

- Bądź poważny, Kovacs-san. Moja cierpliwość ma swoje granice.

- Wierz mi, moja też. I jestem zmęczony. Więc wyślij paru swoich ludzi, by wyciągnęli Sylvie Oshimę z celi śledczej, w której ją przetrzymujesz. I lepiej, żeby nic jej nie było, bo jeśli ją uszkodziłaś, zrywam negocjacje.

Teraz w kamiennym ogrodzie zapadła cisza. Nikt się nie roześmiał. Przekonanie Emisariusza, ton głosu, dobór słów, spokojna postawa - wszystko to kazało im wierzyć w to, co mówię.

- Co oferujesz w zamian, Kovacs-san?

- Głowę Mitzi Harlan - odparłem krótko.

Cisza zatrzeszczała napięciem. Sądząc po reakcji Aiury, jej twarz mogłaby być wykuta w kamieniu. Ale coś w jej postawie się zmieniło i to powiedziało mi, że ją dopadłem.

- Nie blefuję, Aiura-san. Ulubiona wnuczka Konrada Harlana została dwie minuty temu porwana przez quellistowską grupę szturmową na Danchi. Jej ochrona nie żyje, podobnie jak każdy, kto próbował przyjść jej z pomocą. Skoncentrowałaś siły w niewłaściwym miejscu. A teraz masz niecałe trzydzieści minut, by oddać mi Sylvie Oshimę. Później nie odpowiadam za sytuację. Możesz nas zabić albo uwięzić. To nie będzie miało znaczenia. W żaden sposób nie zmieni biegu wydarzeń. Mitzi Harlan zginie w cierpieniach.

Napięcie rosło. Tu, na parapecie, było chłodno i tak cicho, że słyszałem z oddali grzmot malstromu. To był dobry, starannie przygotowany plan, co nie oznaczało, że nie zginę. Rozważałem, co by się stało, gdyby ktoś strzałem zrzucił mnie z krawędzi skały. Byłbym trupem, zanim dotarłbym na dół.

- Bzdura! - To moje drugie ja. Ruszył w stronę parapetu emanując ledwie kontrolowanym pragnieniem niszczenia. - Blefujesz. Nie ma mowy, żebyś...

Spojrzałem mu w oczy. Zamknął się. Rozumiałem go - też poczułem to samo, lodowate niedowierzanie, kiedy popatrzyłem w jego oczy i pierwszy raz zrozumiałem w pełni, kto się za nimi kryje. Byłem już podwójnie upowłokowiony, ale wtedy to była kopia mnie, a nie echo z innego czasu i miejsca w moim życiu. Nie ten duch.

- Doprawdy? - Machnąłem ręką. - Zapominasz, że mam za sobą ponad sto lat, których ty jeszcze nie przeżyłeś. Ale to i tak się nie liczy. Nie mówimy tu o mnie. Ważny jest pluton quellistów, w których przez trzysta lat narastały urazy, i pieprzona, bezużyteczna arystokratyczna zdzira, która stoi między nimi i ich ukochaną przywódczynią. Wiesz o tym, Aiura-san, nawet jeśli nie rozumie tego moje głupie młodsze ja. Quelliści zrobią wszystko, czego od nich zażadam. I nie zmieni tego nic, co powiem czy uczynię, o ile nie oddacie mi Sylvie Oshimy.

Aiura wymamrotała coś cicho do mojego młodsze go ja. Potem wyciągnęła z zakietu telefon i zerknęła na mnie.

- Proszę wybaczyć - powiedziała uprzejmie - ale nie przyjmę tego na wiarę.

Kiwnąłem głową.

- Proszę potwierdzić wszystko, co trzeba. Ale lepiej nie marnować czasu.

Szefowa ochrony nie potrzebowała go wiele, by zdobyć potrzebne informacje. Ledwie wypowiedziała dwa słowa do aparatu, a ze słuchawki rozbrzmiał potok pełnych przerażenia słów. Nawet bez neurochemii słyszałem głos z drugiej strony. Jej twarz stężała. Wyrzuciła z siebie serię rozkazów po japońsku, wyłączyła głośnik, a potem rozłączyła się i schowała telefon do kieszeni.

- Jak zamierzacie opuścić to miejsce? - zapytała mnie.

- Och, będziemy potrzebować helikoptera. O ile wiem, trzymacie ich tu z tuzin. Nic wyszukanego, jeden pilot. Jeśli będzie się dobrze zachowywał, odeślemy go w jednym kawałku.

- Tak, jeśli nie zestrzeli was z nieba nadwrażliwy satelita - warknął Kovacs. - Dziś nie jest dobra noc na latanie.

Spojrzałem na niego z antypatią.

- Zaryzykuję. Nie będzie to najgłupsza rzecz, jaką zdarzyło mi się zrobić.

- A Mitzi Harlan? - Szefowa ochrony Harlana przyglądała mi się drapieźnie. - Jakie mam gwarancje jej bezpieczeństwa?

Obok mnie poruszył się Brasil, po raz pierwszy od rozpoczęcia konfrontacji.

- Nie jesteśmy mordercami.

- Nie? - Aiura przeniosła na niego spojrzenie niczym działko strażnicze uaktywniane dźwiękami.

- W takim razie to jakaś nowa forma quellizmu, o której jeszcze nie słyszałam.

Pierwszy raz pomyślałem, że słyszę zgrzyt w opanowanym głosie Brasila.

- Pieprz się, żołnierzu. Masz na rękach krew całych pokoleń i chcesz obnosić się moralną wyższością? Pierwsze Rodziny...

- Sądzę, że możemy o tym porozmawiać przy innej okazji - wtrąciłem się głośno. - Aiura-san, twoje trzydzieści minut ucieka. Zamordowanie Mitzi Harlan może zmniejszyć popularność quellistów i chyba zdajesz sobie sprawę, że woleliby tego uniknąć. Jeśli to nie wystarczy, oferuję osobiste zobowiązanie. Spełnij nasze żądania, a dopilnuję, by wnuczce Harlana nic się nie stało.

Aiura zerknęła z ukosa na drugiego mnie. Wzruszył ramionami. Może lekko skinął głową. A może tylko pomyślał o tym, że stanie przed Konradem Harlanem z zakrwawionym trupem Mitzi.

Zobaczyłem, że Aiura podejmuje decyzję.

- Dobrze - powiedziała energicznie. - Będę cię trzymać za słowo, Kovacs-san. Nie muszę ci mówić, co to oznacza. Kiedy przyjdzie czas rozliczeń, twoje zachowanie w tej sprawie może ochronić cię przed furią rodziny Harlana.

Posłałem jej lekki uśmiech.

- Nie groź mi, Aiuro. Kiedy przyjdzie czas rozliczeń, będę daleko stąd. Choć trochę żałuję, bo chciałbym zobaczyć, jak twoi śliscy panowie spróbują wysłać was wszystkich poza planetę, gdy lud zbuntuje się i zacznie wieszać was na portowych żurawiach. No dobra, gdzie mój pieprzony helikopter?

* * *

Przynieśli Sylvie Oshimę na grawitacyjnych noszach. Kiedy ją zobaczyłem, w pierwszej chwili pomyślałem, że Małe Niebieskie Robaczki będą jednak musiały zabić Mitzi Harlan. Żelazno włosy postać pod kocem na noszach była śmiertelnie bladym cieniem kobiety, którą pamiętałem z Tekitomury, wyniszczoną tygodniami uśpienia. Miała bladą twarz poznaczoną plamami gorączki na policzkach, popękane wargi i powieki opadające luźno na drgające gałki oczne. Pot na jej czole błyszczał w świetle zamocowanej na noszach lampy, a na lewym policzku przyklejono długi bandaż, zakrywający rozcięcie sięgające od kości policzkowej do żuchwy. Kiedy anielski ogień rozjarzył ogród wokół nas, w niebieskim świetle Sylvie Oshima wyglądała jak trup.

Bardziej wyczułem, niż zobaczyłem wściekle napięcie przelewające się przez Sierrę Tres i Brasila. Po niebie przetoczył się grzmot.

- To ona? - sztywno spytała Tres.

Podniosłem wolną rękę.

- Tylko spokojnie. Tak, to ona. Aiuro, coś ty jej, do diabła, zrobiła?

- Zalecałabym umiarkowane reakcje. - Ale w głosie szefowej ochrony dało się słyszeć napięcie.

Wiedziała, jak blisko byliśmy wybuchu. – Rana jest skutkiem samookaleczenia, zanim zdołaliśmy ją powstrzymać. Zastosowano procedurę, na którą źle zareagowała.

Wróciłem myślana Innenin i Jimmy’ego de Soto, który rozerwał sobie twarz po tym, jak zaatakował go wirus Rawling. Wiedziałem, jakiej procedury próbowali na Sylvie Oshimie.

- Karmiliście ją? - zapytałem głosem, który zgrzytał mi w uszach.

- Dożyłnie. - Aiura odłożyła broń, gdy czekaliśmy, aż jej ludzie sprowadzą Sylvie do kamiennego ogrodu. Teraz podeszła do przodu, rękami wykonując uspokajające gesty. - Musicie zrozumieć, że...

- Doskonale rozumiemy - rzucił Brasil. - Rozumiemy, kim jesteś ty i tobie podobni. I któregoś dnia, już niedługo, oczyścimy z was ten świat.

Musiał się poruszyć, może drgnęła lufa jego strzelby. Z grzechotem w całym ogrodzie podniesiono broń. Aiura wykręciła się na pięcie.

- *Nie! Opuścić broń. Wszyscy*

Zerknąłem na Brasila i wymamrotałem.

- Ty też, Jack. Nie zepsuj tego.

Odpowiedział mi cichy warkot. Nad długimi liniami gościnnego skrzydła cytadeli pojawił się sunący ku nam czarny, wąski śmigłowiec Dracul z opuszczonym nosem. Przemknął nad kamiennym ogrodem, przeleciał nad morze, zawahał się chwilę, gdy niebo rozbłysło błękitem, a potem wrócił z wysuniętymi do lądowania wspornikami. Zmienił ton silnika i osiadł z owadzią precyzją na parapecie po prawej. Jeśli pilot martwił się aktywnością stacji orbitalnych, nie było tego widać po sposobie, w jaki prowadził samolot.

Kiwnąłem głową na Sierrę Tres. Zgięła się pod huraganem wirnika i pochyłona, pobiegła do helikoptera. Zobaczyłem, jak zagląda do środka i rozmawia z pilotem. Po chwili obejrzała się i gestem pokazała, że wszystko w porządku. Opuściłem sunjeta i zwróciłem się do Aiury.

- Dobra, ty i junior weźcie ją i przynieście do mnie. Pomożecie mi ją załadować. *Wszyscy inni mają się cofnąć.*

Szło nam dość niezdarne, ale we trójkę zdołaliśmy przenieść Sylvie Oshimę z kamiennego ogrodu na parapet. Brasil zajął pozycję między nami a przepaścią. Wziąłem szarogrzywą kobietę pod ramiona, podczas gdy Aiura wspierała jej plecy, a drugi Kovacs chwycił nogi. Razem zanieśliśmy bezwładne ciało do helikoptera.

Przy drzwiach, w hurkocie rotorów nad głowami, Aiura Harlan nachyliła się nad utrzymaną przez nas półprzytomną postacią. Helikopter był maszyną zaprojektowaną do ograniczonej wykrywalności, z cichymi wirnikami, ale z tak bliska śmigła robiły dość hałasu, by zagłuszyć jej słowa. Schyliłem się bliżej.

- Co?

Znów się zbliżyła. Odezwała się, sycząc mi prosto do ucha.

- Powiedziała, żebyś przysłał ją do mnie w całości, Kovacs. Tych śmiesznych rewolucjonistów zostawimy sobie na później. Ale jeśli w jakiś sposób uszkodzą ciało lub umysł Mitzi Harlan, przez resztę życia będę na ciebie polować.

Wyszczrzyłem się jej prosto w nos. Podniosłem głos, gdy zaczęła się prostować.

- Nie zastraszysz mnie, Aiuro. Całe życie miałem do czynienia z bydlakami takimi jak ty. Dostaniesz Mitzi Harlan z powrotem, bo tak powiedziałem. Ale jeśli naprawdę tak bardzo się o nią troszczysz, lepiej zaplanuj jej dłuższe wakacje poza planetą. Ci faceci nie żartują.

Spojrzała w dół na Sylvie Oshimę.

- Wiesz, to nie ona - krzyknęła. - Nie ma o tym mowy. Quellcrista Falconer zginęła prawdziwą

śmiercią.

Kiwnąłem głową.

- Dobra. Ale skoro tak, to czemu wszystkie Pierwsze Rodziny tak się nią przejęły?

Krzyk szefowej ochrony zabrzmiał szczerze.

- Czemu? Bo, Kovacs, kimkolwiek jest, *a nie jest Quell*, sprowadziła plagę z Nieoczyszczonych. Zupełnie nową formę śmierci. Kiedy się obudzi, zapytaj ją o Protokół Qualgristy, a potem zadaj sobie pytanie, czy to, co zrobiłam, żeby ją powstrzymać, naprawdę jest takie okropne.

- Hej! - To moje młodsze ja podtrzymujące nogi Sylvie. - Załadujemy tę sukę, czy będziesz tu stał i gadał o tym całą noc?

Przez dłuższą chwilę patrzyłem mu w oczy, potem uniosłem głowę i ramiona Sylvie i starannie ułożyłem ją w ciasnej kabinie helikoptera. Drugi Kovacs pchnął mocno i reszta ciała wsunęła się do środka. Ruch sprawił, że znalazł się tuż przy mnie.

- To nie koniec - wrzasnął mi do ucha. - Mamy niedokończone rachunki.

Wsunąłem ramię pod kolano Sylvie Oshimy i odepchnąłem go od niej łokciem. Zwarliśmy się wzrokiem.

- Nie kuś mnie - krzyknąłem - ty gnojkwaty sprzedawczyku.

Zjeżył się. Brasil podskoczył bliżej. Aiura położyła dłoń na ramieniu młodszego mnie i szepnęła mu coś prosto do ucha. Cofnął się. Wycelował we mnie palec. Powiedział coś, czego nie usłyszałem w hurkocie śmigieł. Potem szefowa ochrony Harlana odciągnęła go wzdłuż parapetu na bezpieczną odległość. Wskoczyłem na pokład dracula, zrobiłem obok siebie miejsce dla Brasila i kiwnąłem Sierze Tres. Ta pogadała z pilotem i helikopter oderwał się od podłoża. Wpatrywałem się w drugiego, młodszego Kovacsa. On patrzył na mnie. Odlecieliśmy.

Na twarzy siedzącego obok mnie Brasila pojawił się szeroki uśmiech przypominający maskę na jakąś ceremonię, na którą mnie nie zaproszono. Zmęczony, kiwnąłem mu głową. Nagle poczułem się wyczerpany, fizycznie i duchowo. Długie minuty w wodzie, bezlitosne napięcie wspinaczki na granicy śmierci, adrenalina konfrontacji - wszystko spadło na mnie z trzaskiem.

- Udało się, Tak - krzyknął Brasil.

Potrząsnąłem głową. Podniosłem głos.

- Jak na razie - odparłem.

- Ach, nie bądź taki.

Znów potrząsnąłem głową. Wsparty o drzwi wychyliłem się z helikoptera i wpatrzyłem w szybko niknące światła cytadeli na Grani Rila. Bez wspomagania nie widziałem już żadnej z postaci w kamiennym ogrodzie, a byłem zbyt zmęczony, żeby podkrecać neurochemię. Ale nawet przez gwałtownie zwiększający się między nami dystans wciąż czułem na sobie jego wzrok i płonąca w nim wściekłą furję.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Znaleźliśmy *Boubin Islandera* dokładnie tam, gdzie powinien być. Isa, wspomagana oprogramowaniem nawigacyjnym trimaranu, bezbłędnie poradziła sobie ze sterowaniem. Tres rozmawiała z pilotem, który przy pobieżnym poznaniu sprawiał wrażenie przyzwoitego faceta. Biorąc pod uwagę jego status jeńca, zdradzał w trakcie lotu niewielką nerwowość, a raz powiedział do Sierry coś, z czego głośno się roześmiała. Teraz skinął krótko głową, kiedy przemówiła mu do ucha, podkreślił kilka wyświetlaczy na tablicy rozdzielczej i helikopter opadł w stronę jachtu. Sięgnąłem po wolny zestaw słuchawkowy i go włożyłem.

- Wciąż tam jesteś, Aiuro?

Jej głos zabrzmiał precyzyjnie i przerażająco uprzejmie.

- Wciąż słucham, Kovacs-san.

- Dobrze. Zaraz będziemy lądować. Twój pilot wie, że ma się szybko wynieść, ale żeby podkreślić nasze intencje, chcę pustego nieba we wszystkie strony...

- Kovacs-san, nie mam uprawnień do...

- Więc je zdobądź. Ani przez chwilę nie uwierzę, że Konrad Harlan nie może opróżnić całego nieba nad Millsport, jeśli tego zechce, nawet jeśli ty nie możesz. Słuchaj uważnie. Jeśli przez następne sześć godzin gdzieś nad horyzontem zobaczę helikopter, Mitzi Harlan zginie. Jeśli zauważę na radarze jakikolwiek ślad powietrzny, Mitzi Harlan zginie. Jeśli zobaczę pojazd płynący naszym śladem, Mitzi Harlan...

- Już to mówiłeś, Kovacs. - Uprzejmość w jej głosie szybko parowała. - Nie będziemy was śledzić.

- Dziękuję.

Rzuciłem słuchawki z powrotem na fotel obok pilota. Powietrze przemykające obok helikoptera było ciemne. Od kiedy wystartowaliśmy, nie było kolejnego wystrzału z satelity, a brak fajerwerków na północy świadczył, że pokaz dobiegł końca. Od zachodu nadciągały gęste chmury, zasłaniając brzeg wschodzącego Hoteia. Wyglądało na to, że będzie padać.

Dracul ciasno okrążył trimaran. Zobaczyłem na pokładzie białą twarz Isy, która mało przekonująco machała jedną z antycznych strzelb fragmentacyjnych Brasila. Jej widok wywołał uśmiech w kącikach moich ust. Cofnęliśmy się przy skręcie i opadliśmy do poziomu morza, po czym przesunęliśmy się do *Boubin Islandera*. Stałem w drzwiach i pomachałem. Napięte rysy twarzy Isy rozluźniły się z ulgą i opuściła broń. Pilot przysiadł na rogu *Boubin Islandera* i krzyknął do nas przez ramię.

- Koniec trasy, ludzie.

Zeskoczyliśmy, spuszczać za sobą ostrożnie wciąż półprzytomną Sylvie. Pył wodny z malstromu owionął nas jak zimny oddech morskich duchów. Zajrzałem do helikoptera.

- Dzięki. Bardzo dobry lot. Lepiej się stąd zabieraj.

Kiwnął głową, a ja się cofnąłem. Dracul oderwał się od pokładu i wzbił w górę. Wykręcił nos i po paru sekundach oddalił się już na sto metrów, z przytłumionym warkotem wznosząc się ku nocnemu niebu. Kiedy hałas zanikł, zwróciłem uwagę na kobietę u moich stóp. Brasil pochylał się nad nią, podnosząc jej powiekę.

- Nie wygląda, by była w bardzo złym stanie - wymamrotał, kiedy ukląknę obok niego. - Ma lekką gorączkę, ale oddycha normalnie. Pod pokładem mam sprzęt, którym mogę ją lepiej sprawdzić.

Przyłożyłem wierzch dłoni do jej policzka. Pod warstwą kropelek z malstromu skóra była gorąca i pergaminowa, tak jak wtedy, w Nieoczyszczonych. I pomimo fachowej opinii medycznej

Brasila jej oddech wcale nie brzmiał dobrze.

Cóż, jest facetem, który od prochów woli rozrywkowe wirusy. Pewnie lekka gorączka to pojęcie względne, co, Micky?

Micky? A co się stało z Kovacsem?

Kovacs jest tam, włazi w tyłek Aiurze Harlan. To się stało z Kovacsem.

Wyraźny, ostry gniew.

- Może zaniesiemy ją na dół - zasugerowała Sierra Tres.

- Tak - rzuciła Isa. - Ludzie, ona wygląda paskudnie.

Stłumiłem nagłą, irracjonalną falę niechęci.

- Isa, jakieś wieści od Koiego?

- Och. - Wzruszyła ramionami. - Kiedy ostatnio sprawdzałam, wszystko było dobrze, jechali...

- Kiedy ostatnio *sprawdzałaś*? Co to, do diabła, jest, Isa? Kiedy to było?

- Nie wiem, pilnowałam dla ciebie radaru! - Podniosła głos, urażona. - Zobaczyłam, że nadlatujecie, i pomyślałam...

- Jak długo, Isa?

Zagryzła wargę i spojrzała na mnie z urazą.

- Niedługo, dobra!

- Ty gł... - Zacisnąłem pięści. Przywołałem spokój. To nie była jej wina. - Isa, musisz natychmiast iść do radia. Proszę. Skontaktuj się z Koim i upewnij się, że wszystko jest w porządku. Powiedz mu, że tu już skończyliśmy i odpływamy.

- *Dobrze*. - Jej twarz i ton wciąż zdradzały urazę. - Już idę.

Przez chwilę przyglądałem się, jak odchodzi, po czym westchnąłem i pomogłem Brasilowi i Tres unieść bezwładne, rozgrzane ciało Sylvie Oshimy. Jej głowa opadła i musiałem przesunąć dłoń, by szybko ją podeprzeć. Grzywa szarych włosów zdawała się poruszać, miejscami mokra od wody, ale były to bardzo słabe ruchy. Spojrzałem w dół, na bladą i wyniszczoną twarz, i poczułem, jak z frustracji zaciskam szczęki. Isa miała rację, wyglądała paskudnie. Nie tego oczekiwałem, myśląc o promiennookiej, gibkiej heroinie walki z czasów Niepokojów. Nie tego się spodziewałem, kiedy ludzie w rodzaju Koiego mówili o rozbudzonym i mściwym duchu.

No nie wiem, zdecydowanie zbliża się do tego, by zostać duchem.

Cha, pieprzone cha.

Kiedy dotarliśmy do rufowej kładki, na jej końcu pojawiła się Isa. Byłem pogrążony we własnych myślach i potrzebowałem chwili, by spojrzeć jej w twarz. A wtedy było już za późno.

- Kovacs, przepraszam - zawołała.

Helikopter.

Delikatny warkot śmigieł, wybijający się z grzmotu malstromu. Śmierć i furia zbliżające się na skrzydłach ninja.

- Załatwili ich - krzyknęła Isa. - Znaleźli ich komandosi Pierwszych Rodzin. Ado zginęła, reszta z nich... Połowa... Mają Mitzi Harlan.

- Kto ma? - wrzasnęła Sierra Tres, szeroko otwierając oczy. - Kto ją ma? Koi czy...

Aleja znałem już odpowiedź na to pytanie.

- *Lotnik, kryj się!* - wrzasnąłem.

Już próbowałem łagodnie opuścić Sylvie Oshimę na pokład. Brasil miał ten sam pomysł, ale ruszył w innym kierunku. Ciało Sylvie utknęło między nami. Sierra Tres krzyknęła. Wszyscy sprawialiśmy wrażenie, jakbyśmy poruszali się w błocie, nieznośnie wolno.

Jak milion uwolnionych, wściekłych duchów morza, grad pocisków z broni maszynowej

rozerwał w upiornej ciszy ocean za naszą rufą, po czym przeciął elegancko wykończony pokład *Boubin Islandera*. Woda rozpryskiwała się i chlapała, nieszkodliwa i swawolna. Drewno i plastik odrywały się wokół w drzazgach. Isa krzyknęła.

Ściągnąłem Sylvie w dół rufowych schodów. Wylądowałem na niej. Na mrocznym niebie, w ślad za ogniem wyciszonych karabinów maszynowych nadleciał dracul na pułapie szturmowym. Karabiny znów zaczęły strzelać. Sturlałem się z ławeczki, ciągnąc za sobą w dół bezwładne ciało Sylvie. Coś kanciastego walnęło mnie w żebra, kiedy wylądowałem na dnie ograniczonej przestrzeni. Poczulem, jak przesuwa się po mnie cień helikoptera i znika, mrużąc wyciszonymi silnikami.

- Kovacs? - Głos Brasila z górnego pokładu.

- Wciąż żyję. A ty?

- On wraca.

- Oczywiście, że tak. - Wystawiłem głowę zza osłony i zobaczyłem, jak dracul zakręca w rozmytym przez wodny pył powietrzu. Pierwszy przelot miał być atakiem z zaskoczenia - nie wiedział, że się go spodziewamy. Teraz już się to nie liczyło. Miał czas, mógł siedzieć daleko i rozsiekać nas na drzazgi.

Sukinsyn.

Poczulem, jak wszystko we mnie wybucha. Cała zmagazynowana furia, której nie pozwoliła mi wylądować konfrontacja z Aiurą. Wskoczyłem wyprostowany na rufową ławeczkę, chwyciłem się drabinki i wciągnąłem na pokład. Brasil klęczał tam, trzymając w dłoniach strzelbę fragmentacyjną. Ponuro machnął głową do przodu. Spojrzałem w stronę, którą wskazał, i wściekłość zagotowała się we mnie nową erupcją. Sierra Tres leżała z jedną nogą rozszarpaną w krwawe kawałki. Isa upadła blisko niej, zalana krwią. Oddychała jeszcze, dysząc płytko. Parę metrów dalej tkwiła porzucona przez nią strzelba fragmentacyjna.

Podbiegłem do broni i przytuliłem ją jak ukochane dziecko.

Z drugiej strony pokładu zaczął strzelać Brasil. Jego strzelba huknęła głośno, a z lufy wytrysnął metrowy płomień. Helikopter przesunął się gwałtownie w lewo, gdy pilot zauważył ostrzał. Przez maszty *Boubin Islandera* przeleciały kolejne serie pocisków, zbyt wysoko, by się nimi martwić. Oparłem się pewniej na lekko chybotliwym pokładzie i przyłożyłem kolbę do ramienia. Wycelowałem i zacząłem strzelać do przesuwającego się dracula. Strzelba ryczała mi do ucha. Niewielkie szanse na trafienie, ale standardowe pociski fragmentacyjne miały zapalniki zbliżeniowe i może, po prostu może...

Może zwolni, byś mógł się zbliżyć? Daj spokój, Micky.

Na chwilą przypomniałem sobie sunjeta, którego upuściłem na pokład, gdy dźwigałem Sylvie Oshimę. Gdybym go teraz miał, bez trudu zestrzeliłbym tego sukinsyna. Byłoby to proste jak splunięcie.

Tak, ale zamiast tego został ci muzealny egzemplarz Brasila. Niezła robota, Micky. Ten błąd będzie kosztował cię życie.

Drugie źródło pocisków chyba trochę nadszarpnęło nerwy pilota, choć nic, co wylatywało w niebo, nawet go nie dotknęło. Może nie był pilotem wojskowym. Znów przeleciał nad nami pod ostrym kątem, prawie zahaczając o maszty. Był dostatecznie nisko, bym zobaczył jego osłoniętą maską twarz. Spojrzał w dół, gdy przechylił maszynę. Z zębami zaciśniętymi w furii i twarzą przemoczoną kropelkami z malstromu słałem jego śladem pociski ze strzelby, próbując utrzymać go w polu widzenia dostatecznie długo, by zaliczyć trafienie.

I wtedy, pośród huku broni i dryfującej mgiełki, coś wybuchło przy ogonie dracula. Jeden z nas zdołał umieścić pocisk odłamkowy wystarczająco blisko, by uaktywnić zapalnik zbliżeniowy.

Helikopter zachwiał się i wykrecił. Wydawał się nieuszkodzony, ale tak bliskie trafienie musiało przestraszyć pilota. Znowu poderwał pojazd do góry, wykrecając w szerokim, wznoszącym się łuku. Ponownie przemówił wytłumiony karabin maszynowy, rozrywając pociskami pokład w drodze ku mnie. Opróżniłem cały magazynek strzelby, blokując broń z otwartym zamkiem. Rzuciłem się w bok, padłem na pokład i pojechałem na śliskim drewnie w stronę relingu...

Z góry spłynął anielski ogień.

Znikąd pojawił się długi palec błękitu. Przebił chmury, przeciął mgliste od wody powietrze i nagle helikopter zniknął. Żadnego więcej gradu pocisków z karabinu maszynowego, żadnych wybuchów, żadnego hałasu poza trzaskiem rozplątanych cząsteczek powietrza na drodze wiązki. Niebo w miejscu, gdzie był dracul, zapłonęło, błysło i zgasło w powidok na mojej siatkówce.

...a ja walnąłem w barierkę.

Przez dłuższą chwilę słyszałem tylko ryk malstromu i chlupot fal uderzających w kadłub pod mną. Wykreciłem kark i patrzyłem. Niebo uparło się, by pozostać puste.

- Mam cię, sukinsynu - wyszeptałem do niego.

Zaskoczyła pamięć. Podniosłem się i pobiegłem do miejsca, gdzie w kałużach rozwodnionej krwi leżały Sierra Tres i Isa. Tres podciągnęła się i oparła o bok górnapokładowego kokpitu, próbując zrobić sobie opaskę ze strzępów zakrwawionego materiału. Jej zęby zazgrzytały, gdy ją zaciskała - wydostało się zza nich pojedyncze stęknięcie. Zauważyła mój wzrok i kiwnęła głową, po czym obróciła się w stronę, gdzie przy Isie kuczał Brasil, gorączkowo obmacując bezwładne ciało nastolatki. Podeszedłem i zajrzałem mu przez ramię.

Musiała dostać sześć czy siedem pocisków w brzuch i nogi. Pod klatką piersiową wyglądała, jakby poszarpała ją pantera błotna. Twarz miała teraz nieruchomą, a szybki wcześniej oddech zwolnił. Brasil spojrzał na mnie i potrząsnął głową.

- Isa? - Klęknąłem przy niej we krwi. - Isa, mów do mnie.

- Kovacs? - Próbowała obrócić głowę w moją stronę, ale ledwie drgnęła. Nachyliłem się bliżej, przysunąłem do niej twarz.

- Jestem tu, Isa.

- Przepraszam, Kovacs - jęknęła. Jej głos brzmiał jak u małej dziewczynki, ledwie głośniejszy od szeptu. - Nie pomyślałam...

Przełknąłem.

- Isa...

- Przepraszam...

I nagle przestała oddychać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

W samym sercu labiryntu, jaki tworzyły wysepki i rafy nazwane cierpko Eltevedtem, wznosiła się kiedyś wieża wysoka na dwa kilometry. Marsjanie zbudowali ją bezpośrednio na morskim dnie z powodów znanych tylko sobie. I prawie równo pół miliona lat temu z równie niezbadanych powodów wieża runęła do oceanu. Większość szczątków rozprysła się po okolicznym dnie, ale miejscami na lądzie wciąż można było znaleźć masywne, potrzaskane resztki. Z czasem ruiny zaczęły stanowić element krajobrazu wysepek i raf, na które spadły, ale nawet ta śladowa obecność wystarczyła, by Eltevedtem pozostało praktycznie niezasiedlone. Najbliższymi ludzkimi osiedlami były wioski rybackie na północnym skraju archipelagu Millsport, odległe o kilkadziesiąt kilometrów. Samo Millsport leżało ponad sto kilometrów dalej na południe. A Eltevedtem (co oznaczało *Zgubiłem się* w jednym z węgierskich dialektów sprzed Osiedlenia) mogło połknąć całą flotyllę łodzi o małym zanurzeniu, gdyby tylko owa flotylla nie chciała dać się znaleźć. Były tam wąskie, porośnięte listowiem kanały między skałami dostatecznie wysokimi, by ukryć *Boubin Islandera* łącznie z masztami, morskie jaskinie wydrążone w brzegu tak, że wejścia do nich były widoczne tylko z paru metrów, wystające kawałki marsjańskiego wraku z krawędziami wygładzonymi przez dziką roślinność.

Świetne miejsce na kryjówkę.

Przynajmniej przed pościgiem z zewnątrz.

Wychyliłem się nad relingiem *Boubin Islandera* i zapatrzyłem w nieruchomą wodę. Pięć metrów pod powierzchnią, wokół trumny z betonu, w której pochowaliśmy Isę, pływała chmara jaskrawych lokalnych i kolonialnych ryb. Po głowie chodziły mi myśli, by skontaktować się z rodziną dziewczyny, kiedy zgubimy już pościg, i poinformować ich, gdzie jest, ale zdawało się to bezsensownym gestem. Kiedy powłoka jest martwa, to jest martwa. A rodzice Isy wcale nie będą mniej przejęci, kiedy ekipa wydobywcza przetnie warstwę betonu i odkryje, że ktoś inny wyciął z jej kręgosłupa stos.

Leżał teraz w mojej kieszeni - dusza Isy, z braku lepszego terminu - i czułem, jak coś we mnie zmienia się wraz z naciskiem, jaki wywierał na moje palce. Nie wiedziałem, co z nim zrobię, ale nie odważyłem się też zostawić go komuś innemu. Isa tkwiła po uszy w millsporckim rajdzie, a to oznaczało zestaw do wirtualnych przesłuchań na Grani Rila, jeśli kiedykolwiek ją odzyskają. Na razie zabiorę ją tak samo jak kapłanów na południe, by tam wymierzyć im karę, i jak Yukio Hirayasu i jego goryla na wypadek, gdybym potrzebował ich do wymiany.

Zostawiłem stosy yakuzy zakopane w piasku pod domem Brasila na plaży Vchira i nie spodziewałem się, że kieszeń tak szybko znów się napełni. W drodze do Millsport przyłapałem się nawet na myśli, że miło jest nie mieć przy sobie nowego *towaru*, póki nie wróciły wspomnienia o Sarze i znajoma nienawiść.

Teraz kieszeń znów była obciążona, niczym jakaś pieprzona, nowoczesna wersja przeklętej przez Ebisu sieci z legendy o Tanace, mającej po wieczność wyławiać wyłącznie ciała topielców.

Nie widziałem sposobu na to, by kieszeń pozostała pusta, i nie wiedziałem już, co czuję.

Przez prawie dwa lata wyglądało to inaczej. Z pewnością nadało mojemu życiu uproszczone barwy. Potrafiłem sięgnąć do kieszeni i zważyć w dłoni jej zmienną zawartość, wywołując tym twardą, mroczną satysfakcję. Towarzyszyło mi poczucie powolnej akumulacji, zbierania drobnych fragmentów na szalce wagi, po której drugiej stronie spoczywała olbrzymia masa zagłady Sary Szaciłowskiej. Przez dwa lata nie potrzebowałem innego celu w życiu niż ta kieszeń i garść skradzionych dusz. Nie potrzebowałem przyszłości, perspektyw, które nie kręciły się wokół

napelniania kieszeni i panter błotnych w ziemnych jamach u Segesvara na Bezmiarze.

Naprawdę? To co się stało w Tekitomurze?

Ruch przy relingu. Linki ugięły się i lekko odbiły. Podniosłem wzrok i zobaczyłem Sierrę Tres. Rękami opierała się na relingu i podskakiwała na zdrowej nodze, zмирzając w moją stronę. Jej zwykle pozbawiona wyrazu twarz była napięta z frustracji. W innych warunkach byłoby to zabawne, ale z uciętej na wysokości połowy uda nogawki wystawała jej druga noga owinięta przezroczystym bandażem, osłaniającym rany.

Siedzieliśmy w Eltevedtem już prawie trzy dni. Brasil wykorzystał ten czas oraz niewielkie zasoby sprzętu medycznego najlepiej, jak się dało. Pod plastrem ciało Tres stanowiło czarno-purpurową, nabrzmiąłą masę, poprzebijaną i poszarpaną przez pociski z karabinu maszynowego helikoptera, ale rany zostały oczyszczone i odkażone. Obok widać było niebieskie i czerwone znaczniki miejsc, gdzie Brasil wprowadził biosprzęt szybkiego wzrostu. Dolną część opatrunku przed uszkodzeniami chronił but z elastotworzywa, ale chodzenie w nim wymagałoby zażycia większej dawki środków przeciwbólowych, niż była na to gotowa Tres.

- Powinnaś leżeć - powiedziałem, kiedy do mnie dotarła.

- Tak, ale spudłowali. Więc nie leżę. Nie marudź mi tu, Kovacs.

- Dobra. - Znów wpatrzyłem się w wodę. - Jakieś wieści?

Potrząsnęła głową.

- Obudziła się Oshima. Pyta o ciebie.

Na chwilę zgubiłem pływające w dole ryby. Z powrotem skupiłem na nich wzrok. Nie ruszyłem się od relingu i nie podniosłem oczu.

- Oshima? Czy Makita?

- Cóż, to właściwie zależy od tego, w co chcesz wierzyć, prawda?

Pokiwałem głową.

- Czyli wciąż myśli, że jest...

- W tej chwili tak.

Jeszcze przez chwilę przyglądałem się rybom. Potem nagle wyprostowałem się i spojrzałem wzdłuż pomostu. Poczułem, jak moje usta wykrzywia mimowolny grymas. Ruszyłem.

- Kovacs!

Niecierpliwie obejrzałem się na Tres.

- Tak?

- Nie bądź dla niej zbyt surowy. To nie jej wina, że Isa zginęła.

- Zgadza się. Nie jej.

W dole, w jednej z przednich kabin powłoka Sylvie Oshimy leżała oparta na poduszkach w podwójnej koi i wyglądała przez bulaj. Przez szaleńczę, wykręcającą wnętrzości ucieczkę do Eltevedtem i kolejne dni ukrycia spała. Budziła się tylko chwilami i bełkotała coś w kodzie maszynowym. Kiedy Brasil zdołał oderwać się na chwilę od sterowania i pilnowania radaru, karmił ją dermalnymi plastrami odżywczymi i koktajlem wstrzykiwanym podskórnie. Resztę załatwiała kroplówka. Teraz wyglądało na to, że przyniosło to jakieś efekty. Z policzków ustąpiły częściowo rumieńce gorączki, a oddech uspokoił się wyraźnie. Twarz wciąż miała niezdrowo bladą, ale rysowały się na niej jakieś uczucia. Długa blizna na policzku chyba zaczęła się goić. Z oczu powłoki spojrzała na mnie kobieta wierząca, że jest Nadią Makitą, i na jej ustach pojawił się słaby uśmiech.

- Cześć, Micky Szczęściarzu.

- Cześć.

- Wstałabym, ale odradzono mi to. - Skinęła głową w stronę fotela wystającego z jednej ze ścian

kabiny. - Może usiądziesz?

- Tu mi dobrze.

Przez chwilę patrzyła na mnie z większą intensywnością, jakby mnie oceniała. W sposobie, w jaki to robiła, było coś z Sylvie Oshimy, dość, by mnie poruszyć. Ale kiedy się odezwała, zmieniając pochylenie głowy, wszystko znikło.

- Rozumiem, że prawdopodobnie niedługo będziemy musieli ruszyć - powiedziała cicho. - I to pieszo.

- Możliwe. Powiedziałbym, że mamy jeszcze parę dni, ale w sumie wszystko sprowadza się do szczęścia. Wczoraj wieczorem przelatywał tu patrol powietrzny. Słyszeliśmy ich, ale nie podlecieli dostatecznie blisko, by nas zauważyć, a nie mogą tu wrócić ze sprzętem tak zaawansowanym, by skanować z powietrza w poszukiwaniu emisji podczerwonych albo aktywności elektronicznej.

- Ach... czyli tu nic się nie zmieniło.

- Stacje orbitalne? - Kiwnąłem głową. - Tak, wciąż działają z tymi samymi parametrami jak wtedy, kiedy ty...

Urwałem. Machnąłem ręką.

- Jak zawsze.

Znów posłała mi długie, taksujące spojrzenie. Odpowiedziałem na nie beznamiętnie.

- Powiedz mi - odezwała się w końcu. - Ile czasu minęło od Niepokojów?

Zawahałem się. Miałem wrażenie, jakbym robił krok nad przepaścią.

- Proszę. Muszę wiedzieć.

- Około trzystu lat. - Znów machnąłem ręką. - Bliżej trzystu dwudziestu.

Nie potrzebowałem szkolenia Emisariusza, by odczytać to, co pojawiło się w jej oczach.

- Tyle czasu - szepnęła.

Życie jest jak morze. Sunie po nim przyptyw trzech księżyców i jeśli mu pozwolisz, oderwie cię od wszystkich i wszystkiego, co jest dla ciebie drogie.

Podwórkowa mądrość Japaridze, ale zapadła głęboko w pamięć. Bez względu na to, czy było się zbirem Siedmioprocentowych Aniołów, czy gorylem rodziny Harlana, niektóre rzeczy zostawiają na wszystkich takie same ślady kłów. Nawet gdy jest się pieprzoną Quellcristą Falconer.

Albo nie, przypomniałem sobie.

Bądź dla niej delikatny.

- Nie wiedziałaś? - zapytałem.

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem, śniłam o tym. Chyba wiedziałam, że upłynęło dużo czasu. Powiedzieli mi.

- Kto ci powiedział?

- Ja... - Urwała. Uniosła nieco ręce, po czym pozwoliła im opaść. - Nie wiem. Nie pamiętam.

Zacisnęła leżące na pościeli dłonie w pięści.

- Trzysta dwadzieścia lat - wyszeptała.

- Tak.

Przez chwilę leżała, wpatrując się w tę otchłań. O kadłub uderzały fale. Stwierdziłem, że wbrew sobie usiadłem na fotelu.

- Dzwoniłam do ciebie - powiedziała nagle.

- Tak. *Szybciej, szybciej.* Dotarło do mnie. A potem przestałaś. Czemu?

Pytanie chyba ją przytłoczyło. Szerzej otworzyła oczy, potem jej spojrzenie znów skupiło się gdzieś wewnątrz niej.

- Nie wiem. Wiedziałam. - Odchrząknęła. - Nie, *ona* wiedziała, że po mnie przyjdiesz. Po nią...

Po nas... Powiedziała mi.

Nachyliłem się ku niej na fotelu.

- Sylvie Oshima ci powiedziała? Gdzie ona jest?

- Tutaj. Gdzieś. Tutaj.

Kobieta na koi zamknęła oczy. Przez minutę czy więcej myślałem, że usnęła. Wyszedłbym z kabiny i wrócił na pokład, ale nic mnie tam nie ciągnęło. Potem nagle z powrotem otworzyła oczy i kiwnęła głową, jakby coś właśnie powiedziano jej to ucha.

- Tam jest. - Przełknęła ślinę. - Przestrzeń... Jak więzienie sprzed stuleci. Rzędy cel. Pomosty i korytarze. Jest tam coś, o czym mówi, że to *złapała*, jakby polowała na butlogrzbiety w wynajętej łodzi. A może złapała jak chorobę? Wszystko mi się zlewa. Czy to ma jakiś sens?

Pomyślałem o oprogramowaniu dowódczym. Przypomniałem sobie słowa Sylvie Oshimy w drodze do Dravy.

...interaktywne kody wimów próbujące się powielić, maszynowe systemy penetrujące, osobowości maszynowe, śmieci transmisyjne, wszystko. Muszę to wszystko odizolować i zamknąć, przesortować i użyć, nie pozwalając, by cokolwiek przeciekło do sieci. To właśnie robię. Wciąż i wciąż na nowo. I niezależnie od tego, jaki super program sprzątający się kupi, część łajna zostaje. Trudne do usunięcia resztki kodu... ślady... Duchy różnych rzeczy. Pod przegrodami trzymam wszystko, o czym nawet nie chcę myśleć.

Kiwnąłem głową. Przez chwilę zastanawiałem się, czego by trzeba, by wyrwać się z takiego więzienia. Jaką osobą - lub przedmiotem - trzeba być.

Duchy różnych rzeczy.

- Tak, to ma sens. - I nagle, zanim zdołałem się powstrzymać: - Czyli to stamtąd przyszłaś, Nadiu? Jesteś czymś, co złapała?

W otępiątych rysach pojawiło się na chwilę przerażenie.

- Grigori - wyszeptała. - Jest tam coś, co brzmi jak Grigori.

- Jaki Grigori?

- Grigori Ishii. - Szept. Potem skupione na wnętrzu przerażenie znikło, i znów na mnie popatrzyła. - Uważasz, że nie jestem prawdziwa, prawda, Micky Szczęściarzu?

Lekki niepokój z tyłu głowy. Nazwisko *Grigori Ishii* przywołało coś ze wspomnień sprzed czasu Emisariuszy. Wpatrywałem się w kobietę na łóżku.

Bądź dla niej miły.

Pieprzyć to.

Wstałem.

- Nie wiem, kim jesteś. Ale jedno mogę ci powiedzieć, nie jesteś Nadią Makitą. Nadia Makita zginęła.

- Tak - przyznała cicho. - Tyle już wiem. Ale najwyraźniej miała kopię zapisaną gdzieś przed śmiercią bo jestem tu.

Potrząsnąłem głową.

- Nie, nie jesteś. Nie ma cię tu w żadnym gwarantowanym sensie. Nadia Makita przepadła, wyparowała. I nie ma żadnego dowodu na istnienie kopii. Brak też technicznego wyjaśnienia, w jaki sposób kopia mogłaby się dostać do oprogramowania dowódczego Sylvie Oshimy, nawet gdyby faktycznie istniała. Prawdę mówiąc, nic nie potwierdza, że jesteś czymś więcej niż sztuczną powłoką osobowościową.

- To chyba wystarczy, Tak. - Nagle do kabiny wszedł Brasil. Nie miał przyjaznego wyrazu twarzy. - Dajmy już temu spokój.

Wykręciłem się do niego, zaciskając zęby w sztucznym uśmiechu.

- To twoja fachowa opinia medyczna, Jack? Czy po prostu rewolucyjny aksjomat quellisty? Prawdę podaje się tylko w małych, kontrolowanych dawkach, tak by pacjent sam sobie z tym poradził.

- Nie, Tak - odpowiedział cicho. - To ostrzeżenie. Już czas, żebyś wyszedł z wody.

Rozprostowałem ręce.

- Nie przeciągaj struny, Jack.

- Nie jesteś tu jedynym człowiekiem z neurochemią, Tak.

Chwila przeciągała się, po czym wykręciła i wyparowała, gdy dotarła do mnie jej nedorzeczna dynamika. Sierra Tres miała rację. Ta poraniona kobieta nie była winna śmierci Isy, podobnie jak Brasil. Zresztą, wszelkie ciosy, jakie chciałem zadać duchowi Nadii Makity, już zostały wyprowadzone. Kiwnąłem głową i zrzuciłem napięcie jak płaszcz. Przepchnąłem się obok Brasila i dotarłem do drzwi. Na chwilę odwróciłem się do kobiety na koi.

- Kimkolwiek jesteś, chcę, by Sylvie Oshima wróciła w jednym kawałku. - Wskazałem głową Brasila. - Sprowadziłem ci nowych kumpli, ale nie jestem jednym z nich. Jeśli uznam, że zrobiłaś coś, by zaszkodzić Sylvie Oshimie, przejdę przez nich jak anielski ogień i dobiore się do ciebie. Pamiętaj o tym.

Spojrzała mi w oczy.

- Dziękuję - powiedziała bez ironii. - Będę pamiętać.

* * *

Na pokładzie znalazłem Sierrę Tres rozciągniętą na krześle o stalowej ramie. Oglądała niebo przez lornetkę. Podszedłem i stanąłem za nią, podkręcając neurochemię i patrząc w tę samą stronę. Pole widzenia miałem ograniczone - *Boubin Islander* ukryty był w cieniu potężnego, poszarpanego fragmentu przewróconego marsjańskiego budynku, który spadł na dno pod nami, osiadł na nim i z czasem obrósł rafą. Nad wodą przenoszone wiatrem spory utworzyły gęste pokrycie pełzaczy i analogów porostów, a teraz widok przesłaniała zwisająca roślinność.

- Widzisz coś?

- Wydaje mi się, że wypuścili awionetki. - Tres odłożyła lornetkę. - Jest zbyt daleko, by zobaczyć coś poza błyskami, ale coś porusza się w pobliżu skraju rafy. Choć musi to być małe.

- Czyli wciąż się denerwują.

- Ty byś tego nie robił? Minęło pewnie ze sto lat, od kiedy Pierwsze Rodziny straciły pojazd powietrzny przez anielski ogień.

- Cóż. - Wzruszyłem ramionami ze swobodą, której wcale nie czułem. - Minęło pewnie ze sto lat, od kiedy ktoś okazał się aż tak głupi, by rozpocząć atak powietrzny w trakcie orbitalnej burzy, nie?

- Czyli ty też sądzisz, że nie wspiał się na czterysta metrów?

- Nie wiem. - W absolutnej pamięci Emisariusza odtworzyłem ostatnie sekundy helikoptera. - Wznosił się dość szybko. Nawet jeśli nie przekroczył granicy, może obronę uaktywnił wektor w połączeniu z działającym uzbrojeniem. Cholera, kto wie, jak myślą satelity i co uważają za groźbę. Zdarzało się już, że łamały zasady. Przypomnij sobie, co się stało z automatami do zbiorów półkojagód w czasach Osiedlenia. I tymi ścigającymi się ślizgaczami na Ohridach, pamiętasz? Mówią, że większość nie wzniosła się na więcej niż sto metrów nad wodę, ale wszystkie zostały zestrzelone.

Posłała mi rozbawione spojrzenie.

- Nie było mnie jeszcze na świecie, kiedy to się stało, Kovacs.

- Och. Przepraszam, wydajesz się starsza.

- Dziękuję.

- W każdym razie, kiedy uciekaliśmy, orbity nie dokonały dalszych zniszczeń. Sugerowałoby to, że SI zachowała się tak ze względu na ostrożność, dokonując ponurych przewidywań.

- Albo mieliśmy szczęście.

- Albo mieliśmy szczęście - powtórzyłem.

W zejściówce pojawił się Brasil i ruszył w naszą stronę. Sposób, w jaki się poruszał i patrzył na mnie z otwartą niechęcią, świadczył o tym, że dał się ponieść furii. Posłałem mu wyzywające spojrzenie, po czym wróciłem do wpatrywania się w wodę.

- Nie pozwolę ci więcej w ten sposób z nią rozmawiać - odezwał się do mnie.

- Och, *zamknij się*.

- Mówię poważnie, Kovacs. Wszyscy wiemy, że masz problem z zaangażowaniem politycznym, ale nie pozwolę ci wyładowywać na tej kobiecie swojej popieprzonej wściekłości.

Obróciłem się do niego.

- Tej kobiecie? Tej *kobiecie*? I ty nazywasz *mnie* popieprzonym? *Kobieta*, o której mówisz, nie jest istotą ludzką. To fragment maszyny, w najlepszym przypadku duch.

- Tego jeszcze nie wiemy - powiedziała cicho Tres.

- Och, proszę. Czy żadne z was nie widzi, co się tu dzieje? Dokonujecie projekcji swoich marzeń na pieprzony zdigitalizowany ludzki zarys. Już. Czy to właśnie się stanie, kiedy wrócimy na Kossutha? Zbudujemy cały pieprzony ruch rewolucyjny na zmitologizowanych strzępkach?

Brasil potrzęsnała głową.

- Ruch już istnieje. Nie trzeba go budować, powstał dawno temu.

- Tak, i trzeba mu tylko figuranta. - Odwróciłem się, czując, że wzbiera we mnie stary żal, silniejszy nawet od złości. - I dobrze, bo wszystko, co macie, to pieprzona figurantka.

- *Tego nie wiesz*.

- Tak, masz rację. - Odwróciłem się, by odejść. Na trzydziestometrowej łodzi nie da się pójść zbyt daleko, ale zamierzałem maksymalnie oddalić się od tych idiotów. Potem coś zmusiło mnie, bym się zatrzymał i stanął naprzeciw nich. W moim głosie zabrzmiała nagła furia. - *Tego nie wiem. Nie wiem, czy nie zapisano całej osobowości Nadii Makity, zostawiając ją potem gdzieś na Nowym Hokkaido jak niechciany niewypał. Nie wiem, czy nie znalazła sobie potem jakiś drogi do przechodzącego lika. Ale, do cholery, jakie są na to szanse?*

- Nie możemy jeszcze wydać ostatecznego sądu - odparł Brasil, podchodząc do mnie. - Musimy zabrać ją do Koiego.

- Do *Koiego*? - roześmiałem się brutalnie. - *Doskonały pomysł. Pieprzony Koi. Jack, naprawdę myślisz, że jeszcze kiedyś go zobaczysz? Koi jest teraz najprawdopodobniej mięsem rozsmarowanym na jakiejś uliczce w Millsport. Albo jeszcze lepiej, siedzi w sali przesłuchań Aiury Harlan. Nie rozumiesz, Jack? Wszystko się skończyło. Twoje neoquellistowskie powstanie przegrało. Koi przepadł, inni pewnie też. Po prostu kolejne pieprzone ofiary na wspaniałej drodze do rewolucyjnych zmian.*

- Myślisz, Kovacs, że nie żałuję tego, co się stało z Isą?

- Myślę, Jack, że poza uratowaniem powłoki mitu, która siedzi tam na dole, nie bardzo cię obchodzi, kto zginął i w jaki sposób.

Sierra Tres ruszyła niezgrabnie wzdłuż relingu.

- Isa sama postanowiła wziąć w tym udział. Znała ryzyko. Przyjęła zapłatę. Była wolną agentką.

- *Ona miała piętnaście pieprzonych lat!*

Żadne z nich się nie odezwało. Tylko na mnie patrzyli. Dało się słyszeć chlupot fal o kadłub. Zamknąłem oczy, głęboko wciągnąłem powietrze i znów na nich spojrzałem. Kiwnąłem głową.

- Dobra - powiedziałem zmęczonym głosem. - Widzę, do czego to zmierza. Widziałem to już wcześniej, również na Sanction IV. Powiedział to w Indigo City pieprzony Joshua Kemp. *To, co tu tworzymy, to rewolucyjny impet. Nie ma znaczenia, jak go wywołałem, a już niewątpliwie nie podlega to ocenie etycznej - ostatecznym moralnym sędzią, będzie historia.* Jeśli tam na dole nie leży Quellcrista Falconer, to i tak ją w nią zmienicie. Prawda?

Surferzy wymienili spojrzenia. Znów kiwnąłem głową.

- Tak. A co z Sylvie Oshimą? Ona nie miała wyboru. Nie była wolną agentką, tylko cholernym niewinnym przechodniem. I będzie tylko pierwszą z wielu, jeśli dostaniecie to, czego chcecie.

Znów cisza. W końcu Brasil wzruszył ramionami.

- W takim razie czemu w ogóle do nas przyszedłeś?

- Bo, do cholery, źle cię oceniłem, Jack. Bo zapamiętałem was lepszych niż wszystkie te smutne pobożne życzenia.

Odpowiedziało mi kolejne wzruszenie ramion.

- To znaczy, że źle zapamiętałeś.

- Na to wygląda.

- Myślę, że przyszedłeś do nas, bo nie miałeś innego wyjścia - zauważyła trzeźwo Sierra Tres. - I musiałeś wiedzieć, że wyżej będziemy cenić potencjalne istnienie Nadii Makity niż osobowość nosiciela.

- *Nosiciela?*

- Nikt nie chce niepotrzebnie krzywdzić Oshimy. Ale jeśli trzeba będzie ją poświęcić, a to faktycznie Makita...

- Ale to nie jest Makita. Do cholery, otwórz oczy, Sierro.

- Może nie. Ale bądźmy szczerzy, Kovacs. Jeśli to jest Makita, znaczy dla ludzi Świata Harlana znacznie więcej niż jakaś łowczyni nagród lików, w której przypadku się zadurzyłeś.

Poczułem ogarniający mnie zimny, niszczycielski spokój. Odniosłem miłe wrażenie, jakbym wrócił do domu.

- Może jest też warta znacznie więcej, niż jakiś okaleczony, neoquellistowski surfujący króliczek. Pomyślałaś o tym kiedyś? Jesteś gotowa na takie poświęcenie?

Spojrzała na swoją nogę, potem z powrotem na mnie.

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała łagodnie, jakby tłumacząc coś dziecku. - A jak myślisz, co ja tu robię?

* * *

Godzinę później kodowany kanał rozbrzmiał nagłą, pełną emocji transmisją. Szczegóły nie były jasne, ale treść oczywista. Soseki Koi wraz z małą grupką ludzi wyrwał się z pułapki wraz z Mitzi Harlan. Udało im się uciec z Millsport.

Byli gotowi po nas przyjechać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Kiedy wpłynęliśmy do wioskowego portu i rozejrzałem się wokół, uczucie *deja vu* było tak potężne, że prawie znów poczułem zapach spalenizny. Prawie słyszałem paniczne krzyki.

Niemal widziałem siebie.

Opanuj się, Tak. To nie zdarzyło się tutaj.

Prawda. Ale wokół dostrzegłem takie samo luźne skupisko odpornych domów, rozchodzących się od nabrzeża, taką samą maleńką uliczkę handlową wzdłuż wody i podobny kompleks portowy przy jednym z wejść do zatoki. Takie same grupki stępkowych, przybrzeżnych trawlerów i holowników przycumowanych do pomostów, spośród których wyróżniał się znacznie większy, surowy kształt dużego oceanicznego kutra do polowań na płaszczyki. Była nawet taka sama, porzucona na drugim końcu zatoki stacja badawcza Mikuni i przycupnięty niedaleko niej na wzniesieniu dom modlitw, który zastąpił stację badawczą w charakterze centralnego punktu wioski, kiedy skończyły się fundusze. Na głównej ulicy kobiety osłonięte od stóp do głów, jakby przygotowały się do pracy z niebezpiecznymi związkami chemicznymi. Mężczyzn to nie dotyczyło.

- Załatwmy to jak najszybciej - wymamrotałem.

Przycumowaliśmy łódkę od strony plaży, gdzie nad płytką wodą pochylały się zniszczone, plastikowe pomosty. Sierra Tres i kobieta nazywająca siebie Nadią Makitą siedziały na rufie, podczas gdy ja z Brasilem rozładowywałem bagaż. Podobnie jak każdy, kto pływał po archipelagu Millsport, właściciele *Boubin Islandera* przygotowali odpowiednie stroje kobiece na wypadek, gdyby musieli zahaczyć o wioskę społeczności północnego ramienia, więc Tres i Makita osłonięte były po same oczy. Pomogliśmy im wysiąść z łodzi z, jak miałem nadzieję, odpowiednią troską, zebraliśmy zamknięte worki i ruszyliśmy główną ulicą. Wolno nam szło - przed opuszczeniem jachtu Sierra Tres naszprycowała się po czubek głowy bojowymi środkami przeciwbólowymi, ale maszerowanie w bucie z elastotworzywa wciąż wymuszało na niej tempo staruszki. Przyciągnęliśmy kilka zaciekawionych spojrzeń, ale bardziej przypisałem je blond włosom i sylwetce Brasila. Zacząłem żałować, że jego też nie mogłem schować.

Nikt się do nas nie odezwał.

Znaleźliśmy jedyny hotel wychodzący na główny plac i zarezerwowaliśmy pokoje na tydzień, używając dwóch czystych infochipów z kolekcji zabranej z Vchiry. Jako kobiety, Tres i Makita podlegały naszej władzy i nie kwalifikowały się na własną identyfikację. Osłonięta czarczafem i chustami recepcjonistka mimo wszystko przywitała je serdecznie, a kiedy wyjaśniłem, że moja wiekowa ciotka doznała rany biodra, jej zaangażowanie stało się wręcz kłopotliwe. Odrzuciłem ofertę wizyty miejscowej lekarki dla kobiet, a recepcjonistka wycofała się przed tym pokazem męskiego autorytetu. Mocno zaciskając usta, zajęła się sprawdzaniem naszej tożsamości. Przez okno obok jej biurka można było wyjrzeć na plac i obejrzeć podwyższenie z miejscem na lokalny przęgiarz. Przez chwilę przyglądałem mu się ponuro, po czym wróciłem do rzeczywistości. Przykładając dłonie do antycznego skanera, zapewniliśmy sobie dostęp do wynajętych pokoi i poszliśmy do nich.

- Masz coś przeciwko tym ludziom? - zapytała mnie Makita, ściągając w pokoju osłonę głowy. - Wyglądasz na rozłoszczonego. Czy to dlatego prowadzisz wendetę przeciw ich kapłanom?

- Powiedzmy, że istnieje pewien związek.

- Rozumiem. - Potrząsnęła głową, przeczesła palcami włosy i przyjrzała się trzymanemu w drugiej ręce metalowo-płóciennemu systemowi maskującemu z zaciekawieniem stanowiącym przeciwieństwo jawnej niechęci, jaką wykazała Sylvie Oshima w Tekitomurze. - Czemu, na trzy księżycy, ktoś chciałby nosić coś takiego?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie jest to najgłupsza rzecz, jaką widziałem u istot ludzkich.

Spojrzała na mnie badawczo.

- Czy to ukryta krytyka?

- Nie. Jeśli postanowię cię skrytykować, powiem to głośno i wyraźnie.

Wzruszyła ramionami.

- Cóż, nie mogę się doczekać. Ale chyba wolno mi założyć, że nie jesteś quellistą.

Mocno wciągnąłem powietrze.

- Zakładaj sobie, co chcesz. Ja wychodzę.

* * *

Kręciłem się po handlowym rejonie zatoki, aż znalazłem plastobańkę serwującą tanie jedzenie i napoje dla robotników portowych i rybaków. Zamówiłem miskę potrawy rybnej, zaniósłem ją do stolika przy oknie i zająłem się jedzeniem, patrząc, jak załoga porusza się po pokładach i olinowaniu kutra na płaszczki. Po jakimś czasie do mojego stolika podszedł z tacą szczupły tubylec w średnim wieku.

- Można się przysiąść? Trochę tu tłoczno.

Rozejrzałem się po bańce. Faktycznie, klientów było sporo, choć znalazłby i inne wolne miejsca. Wzruszyłem ramionami.

- Proszę bardzo.

- Dzięki.

Usiadł, zdjął pokrywkę z pudełka i zaczął jeść. Przez chwilę obaj pożywialiśmy się w milczeniu, po czym nastąpiło nieuniknione. Złapał moje spojrzenie między dwiema łyżkami. Jego śniada twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- Czyli nietutejszy, tak?

Poczułem lekką falę irytacji.

- Czemu tak myślisz?

- Ach, widzisz... - Znów się uśmiechnął. - Gdybyś był stąd, nie musiałbyś mnie o to pytać. Nie znasz mnie. A ja znam wszystkich w Kuraminato.

- Fajnie masz.

- Ale nie jesteś z tego kutra, co?

Odłożyłem pałeczki. Zacząłem się luźno zastanawiać, czy będę go musiał później zabić.

- A ty co, detektyw?

- Nie! - Roześmiał się szczerze. - Jestem wykwalifikowanym specjalistą dynamiki płynów. Wykwalifikowanym, ale bez zatrudnienia. Cóż, a przynajmniej nie na właściwym stanowisku. Teraz pracuję głównie na tamtym zielonym trawlerze. Ale w czasach, kiedy Mikuni jeszcze działało, starszowie przepchnęli mnie przez uczelnię. W czasie rzeczywistym, bo nie było ich stać na wirtualny. Siedem lat. Uznali, że wszystko, co wiąże się z przepływami, musi mi zapewnić bezpieczną przyszłość, ale zanim ukończyłem studia, to przestało być prawdą.

- Więc czemu tu zostałeś?

- Och, nie jestem stąd. Pochodzę z miejsca jakiś tuzin klików dalej wzdłuż wybrzeża, z Albamisaki.

Nazwa wpadła we mnie jak bomba głębinowa. Siedziałem sztywno, czekając na wybuch. Zastanawiając się, co wtedy zrobić. Zmusiłem głos do działania.

- Naprawdę?

- Tak, przyjechałem tutaj z dziewczyną, którą poznałem na uczelni. Jej rodzina tu mieszka.

Myślałem, że uruchomimy jakiś interes ze stępkami, wiesz, zarabiając na naprawie trawlerów do czasu, aż uda mi się sprzedać jakieś projekty spółdzielniom jachtowym w Millsport. - Zrobił kwaśną minę. - Cóż. Zamiast tego założyłem rodzinę. Wiesz, jak to jest. Teraz jestem zbyt zajęty zarabianiem na ubrania, jedzenie i szkołę.

- A co z twoimi rodzicami? Często ich widzisz?

- Nie, nie żyją. - Gardło ścisnęło mu się na ostatnim słowie. Odwrócił wzrok, mocno zagryzając usta.

Siedziałem i przyglądałem mu się bacznie.

- Przykro mi - powiedziałem w końcu.

Odchrząknął. Spojrzał na mnie.

- Nie, przecież to nie twoja wina. Nie mogłeś wiedzieć. Po prostu... - Głęboko wciągnął powietrze, jakby go to bolało. - To zdarzyło się jakiś rok temu. Jakiś pieprzony świr oszalał z blasterem. Zabił mnóstwo ludzi. Wszystkich starszych, od pięćdziesiątki w górę. Zupełnie bez sensu.

- Złapali go?

- Nie. - Kolejny bolesny wdech. - Nie, nadal kręci się po świecie. Mówią, że wciąż zabija, że nie potrafią go powstrzymać. Gdybym wiedział, jak go znaleźć, sam bym go zatrzymał.

Przez chwilę pomyślałem o alejce, którą zauważyłem między dwoma szopami magazynowymi na drugim końcu zatoki. Uznałem, że warto dać mu szansę.

- Czyli nie miałeś pieniędzy na upowłokowanie rodziców? Rzucił mi ostre spojrzenie.

- Wiesz, że tego nie robimy.

- Hej, jak powiedziałeś, nie jestem stąd.

- Tak, ale... - Zawahał się. Rozejrzał się po plastobańce, potem znów na mnie spojrzał. Ściszył głos. - Słuchaj, przyjąłem Objawienie. Nie słucham wszystkiego, co mówią kapłani, zwłaszcza ostatnio. Ale na tym polega moja wiara. To sposób na życie. Daje człowiekowi coś, czego może się trzymać, coś, w czym wychowuje się dzieci.

- Masz synów czy córki?

- Dwie córki, trzech synów. - Westchnął. - Tak, wiem. Widzisz, tam za cyplem mamy plażę do kąpieli jak większość wiosek. Pamiętam, że kiedy byłem dzieckiem, spędzaliśmy całe lato w wodzie, wszyscy razem. Czasem po pracy przychodzili rodzice. Teraz kiedy sytuacja zrobiła się poważna, wybudowali mur przez środek plaży w głąb morza. Celebranci pilnują, by kobiety szły na drugą stronę muru. I nawet nie mogą popływać razem z żoną i córkami. Wiem, że to cholernie głupie i zbyt ekstremalne. Ale co zrobić? Nie mamy pieniędzy, by przenieść się do Millsport, a i tak nie chciałbym, żeby moje dzieciaki wychowywały się tam na ulicach. Widziałem w trakcie studiów, jak tam jest. To miasto pełne jest pieprzonych degeneratów. Nie ma tam już serca, tylko bezmyślne śmieci. Tutaj ludzie przynajmniej wciąż wierzą w coś większego niż zaspokajanie każdej zachcianki. Wiesz co, nie chciałbym przeżyć kolejnego życia w innym ciele, gdyby tylko o to chodziło.

- Cóż, czyli twoje szczęście, że nie miałeś pieniędzy na upowłokowanie. Szkoda byłoby ulec pokusie, prawda?

Szkoda byłoby znów spotkać rodziców, tego już nie dodałem.

- Zgadza się - odpowiedział, najwyraźniej nie zauważając ironii. - O to chodzi. Kiedy już zrozumiesz, że masz tylko jedno życie, starasz się wszystko zrobić dobrze. Zapominasz o materializmie i dekadencji. Dbasz o to życie i nie zastanawiasz się nad tym, co zrobisz w kolejnym. Skupiasz się na tym, co ważne. Na rodzinie, społeczności, przyjaźni.

- I, oczywiście, przestrzeganiu zasad. - Dziwne, ale łagodność mojego głosu nie była udawana. Przez następnych parę godzin musieliśmy nie rzucać się w oczy, ale nie o to chodziło. Z

zaciekawieniem sięgnąłem wewnątrz siebie i stwierdziłem, że straciłem gdzieś zwyczajową pogardę, którą przywoływałem w takich sytuacjach. Spojrzałem na niego nad stołem i jedyne uczucie, jakie w sobie znalazłem, to zmęczenie. On nie pozwolił Sarze i jej córce zginąć na zawsze, może nawet nie urodził się jeszcze, kiedy do tego doszło. Może w takiej sytuacji wybrałby taką samą opcję jak jego rodzice, ale w tej chwili nie potrafiłem się zmusić, by nadać temu znaczenie. Nie umiałem nienawidzić go dostatecznie, by zabrać go do tamtej alejki, powiedzieć mu prawdę o sobie i dać mu szansę, by mnie powstrzymał.

- Zgadza się. Przestrzeganiu zasad. - Jego twarz się rozjaśniła. - To klucz, podstawa całej reszty. Widzisz, nauka nas tu zdradziła, wyrwała się spod kontroli, nie potrafimy już nią kierować. Za bardzo wszystko ułatwiła. Nie starzejemy się naturalnie, nie musimy umierać i zdawać sprawy z naszych uczynków przed Stwórcą, a to oślepiło nas na prawdziwe wartości. Spędzamy życie na próbach zdobycia pieniędzy na ponowne upowłokowienie, a tracimy prawdziwy czas, który dano nam na właściwe przeżycie naszych dni. Gdyby tylko ludzie...

- Hej, Mikulas. - Podniosłem wzrok. W naszą stronę szedł kolejny mężczyzna, mniej więcej w tym samym wieku co mój towarzysz. - Zagadałeś już tego człowieka na śmierć? Mamy kadłub do oczyszczenia.

- Dobra, już idę.

- Zignoruj go - stwierdził nowo przybyły z szerokim uśmiechem. - Lubi myśleć, że wszystkich zna, a jeśli jakaś twarz nie pasuje do listy, koniecznie musi się dowiedzieć kto to. Ale pewnie już mu się to udało, co?

Uśmiechnąłem się.

- Tak, praktycznie tak.

- Wiedziałem. Jestem Toya. - Wyciągnięta szeroka dłoń. - Witam w Kuraminato. Może zobaczymy się jeszcze, jeśli zostaniesz dłużej.

- Tak, dzięki. Byłoby miło.

- A tymczasem musimy iść. Miło było cię poznać.

- Tak - zgodził się Mikulas, wstając. - Miło było porozmawiać. Powinieneś pomyśleć o tym, co mówiłem.

- Może pomyślę. - Kiedy już się odwracał, zatrzymałem go jeszcze w odruchu paranoi. - Powiedz mi jedno. Skąd wiedziałeś, że nie jestem z tego płaszczkowca?

- A, to. Cóż, przyglądałeś się rybakom, jakbyś był zainteresowany tym, co robią. Nikt nie przygląda się tak uważnie własnemu statkowi w doku. Miałem rację, co?

- Tak. Nieźle kombinujesz. - Przepłynęła przeze mnie delikatna fala ulgi. - Może jednak powinieneś zostać detektywem. Nowa kariera, a w dodatku pożyteczna. Będziesz łapał bandytów.

- Hej, to jest myśl.

- Nie, byłby dla nich zbyt uprzejmy. Jest miękki jak glina. Nie potrafi nawet zdyscyplinować własnej żony.

Ich wyjściu towarzyszyła salwa śmiechu, do której się przyłączyłem. Pozwoliłem mu wygasnąć wolno do uśmiechu, a potem tylko lekkiej ulgi.

Naprawdę nie musiałem iść za nim i go zabijać.

* * *

Odczekałem jeszcze pół godziny, a potem wyszedłem niespiesznie z bańki na nabrzeże. Na pokładach i olinowaniu płaszczkowca wciąż kręcili się jacyś ludzie. Stałem kilka minut, przyglądając im się, aż w końcu ktoś z nich podszedł do mnie po trapie. Jego twarz nie była przyjazna.

- Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Tak - odpowiedziałem. - *Zanuć hymn marzeń, które spłynęły z nieba Alabardos.* Jestem Kovacs. Pozostali są w hotelu. Powiedz kapitanowi. Przyjdziemy, jak tylko się ściemni.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Płaszczkowiec *Flirt z anielskim ogniem*, podobnie jak większość tego typu jednostek, na morzu wyglądał złowieszczo. Na wpół okręt bojowy, na wpół wielki wyścigowy ślizgacz, łączył ostrą jak brzytwa stępkę z niskim środkiem ciężenia i olbrzymią mocą antygravitatorów w dwóch bocznych pływakach. Zbudowano go przede wszystkim z myślą o wielkiej szybkości i piractwie. Płaszczki mamucie i ich mniejsze kuzynki są w wodzie bardzo szybkie, ale co ważniejsze, ich mięso błyskawicznie się psuje. Po zamrożeniu płaszczki można sprzedać za dobrą cenę, ale jeśli dowiezie sięje dostatecznie szybko na duże aukcje świeżych ryb w centrach w rodzaju Millsport, można zarobić olbrzymie pieniądze. Do tego trzeba szybkiej łodzi. Wiedzą o tym stocznie na całym Świecie Harlana i budują odpowiednie jednostki. Te same stocznie rozumieją też doskonale, że najlepsze płaszczki mamucie żyją i rozmnażają się w wodach zarezerwowanych na wyłączny użytek Pierwszych Rodzin. Kłusownictwo tam to ciężkie przestępstwo i jeśli ma ono ujść na sucho, szybka łódź potrzebuje też niskiego, mało zauważalnego profilu, zarówno optycznego, jak i radarowego.

Jeśli ma się uciekać przed stróżami prawa Świata Harlana, są na to sposoby gorsze niż na pokładzie płaszczkowca.

Drugiego dnia podróży, uspokojony świadomością, że jesteśmy tak daleko od archipelagu Millsport, iż nie doleci tu żaden samolot, wyszedłem na pokład i stanąłem przy lewoburtowej platformie pływaka, przyglądając się, jak przemyka podę mną ocean. Poczułem kropelki wody na wietrze i wrażenie zdarzeń pędzących na mnie zbyt szybko, by je przyswoić. Przeszłość ze swoim ładunkiem trupów oddalała się coraz bardziej, zabierając ze sobą opcje i rozwiązania, na wypróbowanie których było już za późno.

Emisariusze powinni być w tym dobrzy.

Zupełnie nieoczekiwanie zobaczyłem nową, elfią twarz Virginii Viadury. Jednak tym razem w głowie nie zabrzmiał mi żaden głos, nie usłyszałem wpojonej pewności instruktora. Wyglądało na to, że ten duch nie pomoże mi bardziej niż dowolny inny.

- Mogę się przyłączyć?

Pytanie wykrzyczano przez świst wiatru i szum rozcinanych dziobem fal. Obejrzałem się w prawo, w stronę środkowego pokładu, i zobaczyłem ją. Stała oparta przy wejściu na pomost, ubrana w kombinezon i kurtkę pożyczoną od Sierry Tres. Pozycja, jaką przyjęła, sprawiła, że wyglądała, jakby ledwie trzymała się na nogach. Wiatr zdmuchiwał z twarzy srebrnoszare włosy, ale obciążane przez grubsze pasma, utrzymywały się nisko jak mokra bandera. Jej oczy stanowiły czarne studnie w bladej twarzy.

Kolejny pieprzony duch.

- Jasne. Czemu nie.

Przeszła na pomost. Kiedy zaczęła się ruszać, wydawała się silniejsza. Do czasu gdy do mnie dotarła, na jej ustach pojawił się ironiczny uśmiezek, a głos przebijający się przez szum fal brzmiał pewnie. Medykamenty Brasila zredukowały ranę na jej policzku do bladej kreski.

- Czyli nie masz nic przeciwko rozmowie z fragmentem maszyny?

Kiedyś, w konstrukcie porno w Newpest, uwalilem się *take* z wirtualną dziwką w próbie - bezskutecznej - złamania zaprogramowanego w system spełnienia pragnień. Byłem wtedy bardzo młody. Innym razem, a nie byłem już taki młody, po kampanii na Adoracion siedziałem i rozmawiałem po pijanemu o zakazanej polityce z wojskową SI. Kiedyś na Ziemi spałem się z własną kopią. I do tego prawdopodobnie sprowadzały się wszystkie te rozmowy.

- Nie szukajw tym głębszego sensu - powiedziałem jej. - W tej chwili mógłbym rozmawiać z

każdym.

Zawahała się.

- Przypomina mi się sporo szczegółów.

Patrzyłem w morze. Milczałem.

- Pieprzyliśmy się, prawda?

Ocean przemykający pode mną.

- Tak. Kilka razy.

- Pamiętam... - Znów pauza. Odwróciła ode mnie wzrok. - Obejmowałeś mnie, kiedy usypiałam.

- Owszem. - Niecierpliwie machnąłem ręką. - To wszystko świeże wspomnienia, Nadiu. Czy

tylko tak daleko wstecz sięgasz pamięcią?

- To... trudne. - Zadygotała. - W moich wspomnieniach pojawiają się plamy, miejsca, gdzie nie potrafię sięgnąć. Sprawiają wrażenie zamkniętych drzwi. Jak skrzydła w mojej głowie.

Tak, to systemowe ograniczenia powierzchownej osobowości, miałem ochotę powiedzieć. Po to, żebyś nie wpadła w psychozę.

- Pamiętasz może niejakiego Pleksa? - zapytałem zamiast tego.

- Pleksa? Tak. Z Tekitomury.

- Co o nim wiesz?

Jej twarz wyostrzyła się nagle, jakby była maską, którą ktoś właśnie dobrze docisnął.

- Był tanią wtyczką yakuzy. Fałszywe sztuczne maniery arystokraty i dusza zaprzędana gangsterom.

- Bardzo poetyczne. Prawdę mówiąc, arystokratą jest prawdziwym. Dawno temu jego rodzina handlowała na poziomie dworskim. Zbankrutowali, kiedy ty prowadziłaś swoją rewolucyjną wojnę.

- Mam ich z tego powodu żałować?

Wzruszyłem ramionami.

- Tylko wyjaśniam fakty.

- Parę dni temu twierdziłeś, że nie jestem Nadią Makitą. Teraz nagle chcesz mnie obarczać winą za coś, co ona zrobiła trzysta lat temu. Musisz sobie uporządkować to, w co wierzysz, Kovacs.

Zerknąłem na nią z ukosa.

- Rozmawiałaś z pozostałymi?

- Podali mi twoje prawdziwe nazwisko, jeśli o to ci chodzi. I powiedzieli mi trochę na temat tego, czemu tak złościsz się na quellistów. I o tym błaznie, Joshui Kempie, któremu się postawiłeś.

Znów odwróciłem się do przemykającej obok powierzchni morza.

- Nie zwróciłem się przeciw Kempowi. Zostałem wysłany, by mu pomóc. Miałem stworzyć wspaniałą rewolucję na kupie błota zwanej Sanction IV.

- Tak, powiedzieli mi.

- Po to właśnie mnie tam wysłano. Do czasu, aż jak każdy pieprzony rewolucjonista, jakiego widziałem, Joshua Kemp zmienił się w chorego demagoga równie paskudnego jak ludzie, których próbował zastąpić. I wyjaśnijmy sobie jeszcze jedno, zanim usłyszę kolejne neoquellistowskie usprawiedliwienia. Ten błazen Kemp, jak go nazywasz, popełnił wszystkie zbrodnie, o jakie się go obwinia, łącznie z bombardowaniem atomowym, w imię Quellcristy pieprzonej Falconer.

- Rozumiem. Czyli chcesz mnie również obarczyć winą za działania psychopaty, który wykorzystał moje nazwisko i kilka epigramów wiele stuleci po mojej śmierci. Czy to ci się wydaje sprawiedliwe?

- Hej, to ty chcesz być Quell. Przyzwyczajaj się.

- Mówisz, jakbym miała wybór.

Westchnąłem. Spojrzałem na własne dłonie na relingu.

- Naprawdę rozmawiałaś z innymi. Co ci sprzedali? Rewolucyjną konieczność? Poddanie się marszowi historii. Co? Co cię tak cholernie bawi?

Uśmiech zniknął, przekształcając się w grymas.

- Nic. Pomiąłeś sedno, Kovacs. Nie rozumiesz, że nie ma znaczenia, czy naprawdę jestem tym, za kogo się uważam? Nawet jeśli stanowią fragment maszyny, kiepski zarys Quellcristy Falconer, czy naprawdę robi to komuś jakąś różnicę? Jak daleko sięgam pamięcią, byłam Nadią Makitą. Co mi zostało poza przeżyciem jej życia?

- Może powinnaś oddać ciało Sylvie Oshimie.

- Tak, cóż, w tej chwili to niemożliwe - odpowiedziała. - Prawda?

Wbiłem w nią wzrok.

- Nie wiem. Możliwe?

- Myślisz, że trzymam ją tam siłą? Nie rozumiesz? To nie działa w ten sposób. - Chwyciła w dłoń srebrne włosy i pociągnęła za nie. - Nie wiem, jak sterować tym czymś. Oshima zna system o wiele lepiej niż ja. Wycofała się w głąb, gdy porwali nas Harlanicy, zostawiła ciało na automatyce. To ona wysłała mnie na górę, kiedy po nas przyszli.

- Tak? To co robi teraz? Nadrabia sen śpiącej królowny? Sprząta swoje oprogramowanie? Daj spokój!

- Nie. Opłakuje.

To mnie powstrzymało.

- Co opłakuje?

- A jak myślisz? Fakt, że w Dravie zginęli wszyscy członkowie jej załogi.

- Bzdura. Nie miała z nimi kontaktu, kiedy zginęli. Sieć była wyłączona.

- Tak, zgadza się. - Kobieta obok mnie głęboko wciągnęła powietrze. Jej głos przycichł, uspokajając się. - Sieć była wyłączona, nie mogła się z nią połączyć. Powiedziała mi to. Ale system odbiorczy przechował każdą chwilę ich agonii, więc jeśli otworzy niewłaściwe drzwi, wszystko wraca z krzykiem. Jest w szoku. Wie o tym i jak długo to będzie trwać, zostanie w bezpiecznym miejscu.

- Powiedziała ci to?

Staliśmy teraz oko w oko, oddzieleni tylko przez pół metra morskiego wiatru.

- Tak, powiedziała mi to.

- Nie wierzę ci.

Przed długą chwilę patrzyła mi w oczy, potem się odwróciła. Wzruszyła ramionami.

- To twoja sprawa, Kovacs. Brasil mówił, że szukasz łatwych celów, na których mógłbyś wyładować złość. To zawsze łatwiejsze od konstruktywnych prób zmian, prawda?

- Och, *pieprz się!* Zamierzasz mnie częstować tymi samymi starymi bzdurami? Konstruktywna zmiana? Tym właśnie były Niepokoje? Do tego miało prowadzić zniszczenie Nowego Hokkaido?

- Nie. - Po raz pierwszy na jej twarzy zobaczyłem ból. Jej głos zmienił się z rzeczowego w zmęczony, i słysząc go, prawie jej uwierzyłem. Prawie. Mocno chwyciła się relingu i potrząsnęła głową. - To wszystko miało wyglądać inaczej. Ale nie mieliśmy wyboru. Musieliśmy wymusić globalną zmianę polityczną wbrew potężnym represjom. Nie było mowy, by zrezygnowali z pozycji bez walki. Myślisz, że cieszę się z tego, jak się to skończyło?

- W takim razie - powiedziałem bezbarwnie - powinnaś była to lepiej zaplanować.

- Tak? Nie było cię tam.

Cisza.

Przez chwilę wydawało mi się, że odejdzie, szukając bardziej przyjaznego politycznie towarzystwa, ale nie zrobiła tego. Odpowiedź z lekkim śladem pogardy porwał pęd *Flirtu z anielskim ogniem* sunącego po pomarszczonej powierzchni morza prawie z prędkością lotniczą. Niosąc, jak nagle sobie uświadomiłem, legendę do domu, do wiernych. Bohaterkę historii. Za kilka lat będą pisać pieśni o tym statku i podróży na południe.

Ale nie o tej rozmowie.

Przynajmniej to wywołało uśmiech na mojej twarzy.

- Tak, to może powiesz mi, co cię tak cholernie bawi – powiedziała cierpko kobieta obok mnie.

Potrząsnąłem głową.

- Zastanawiam się tylko, czemu wolisz rozmawiać ze mną, zamiast trzymać się swoich neoquellistowskich wyznawców.

- Może lubię wyzwania. Może nie podobają mi się ich chóralne zachwyty.

- W takim razie nie będzie ci się podobać najbliższych parę dni.

Nie odpowiedziała. Ale drugie zdanie wciąż brzmiało w mojej głowie znajomo - musiałem je przeczytać jako dziecko. Wiersz nagryzmołony w jej pamiętnikach z kampanii, kiedy Quellcrista Falconer nie miała czasu na poezję. Kawalek, któremu chamsko płaczliwe brzmienie nadał drewniany głos lektora i system szkolny, pragnący zapisać Niepokoje jako przykrą pomyłkę, jakiej można było uniknąć. Quell widzi swoje błędy, ale jest zbyt późno, by zrobić cokolwiek. Pozostaje jej tylko płakać:

Przynoszą mi

Raporty o postępach

Lecz ja widzę spalone ciała

Przynoszą mi

Osiągnięte cele

Lecz ja widzę krew i stracone szanse

Przynoszą mi

Chóralną pochwałę wszystkiego, co robię

Lecz ja widzę tylko koszty

Znacznie później, w czasach gdy pracowałem dla gangów Newpest, udało mi się zdobyć nielegalny oryginał, czytany do mikrofonu przez samą Quell na kilka dni przed ostatnim szturmem na Millsport. W śmiertelnym zmęczeniu tamtego głosu usłyszałem każdą łzę, której pozbawiona była szkolna edycja z jej rządowo zatwierdzonymi emocjami, ale pod tym wszystkim kryło się jeszcze coś głębszego i potężniejszego. W pospiesznie wydmuchanej plastobańce gdzieś na zewnętrznych archipelagach, otoczona przez żołnierzy, którzy w ciągu najbliższych paru dni mieli zaznać prawdziwej śmierci lub jeszcze gorszego losu, Quellcrista Falconer nie odrzucała myśli o kosztach. Zagryzała je jak złamany ząb, wżynając się we własne ciało tak, by nie zapomnieć. Żeby nie zapomnieli nikt inny. Żeby nie powstawały bzdurne ballady i hymny pochwalne na cześć wspaniałej rewolucji, niezależnie od jej wyniku.

- Opowiedz mi więc o Protokole Qualgristy - zażądałem po chwili. - Tej broni, którą sprzedałaś yakuzie.

Drgnęła. Nie spojrzała na mnie.

- Wiesz o tym, co?

- Wyciągnąłem to z Pleksa. Ale nie podał zbyt wielu szczegółów. Uaktywniłaś coś, co zabija członków rodziny Harlana, prawda?

Przez chwilę wpatrywała się w wodę.

- Przyjmujesz, że ci ufam - powiedziała powoli. - Myślisz, że powinno tak być.

- Czemu? Bo nie ma odwrotu?

Skurczyła się w sobie.

- Raczej nie. - Musiałem się wysilić, by zrozumieć słowa przez wiatr. - Pozwoliłam im wierzyć, że istnieje kod terminacyjny, żeby utrzymali mnie przy życiu, próbując go ze mnie wydobyć. Ale nie sądzę, by dało się to powstrzymać.

- O czym więc mówimy?

Wtedy na mnie spojrziała, a jej głos nabrał siły.

- To broń genetyczna - podkreśliła. - W czasach Niepokojów ochotnicy z Czarnych Brygad pozwolili na modyfikację swojego DNA, by ją przenosić. Nienawiść do krwi rodziny Harlana na poziomie genetycznym, uaktywniana feromonowo. To była najnowsza technika, prosto z laboratoriów badawczych Dravy. Nikt nie był pewien, czy zadziała, ale Czarne Brygady chciały mieć możliwość uderzenia zza grobu, jeśli przegramy w Millsport. Szukali czegoś, co będzie wracać pokolenie za pokoleniem, prześladować Harlanitów. Ochotnicy, którzy przeżyli, mieli przekazać to swoim dzieciom, a one dalej.

- Miło.

- To była wojna, Kovacs. Myślisz, że Pierwsze Rodziny nie przekazują swojemu potomstwu przepustek do klasy rządzącej? Myślisz, że te same przywileje i rzekoma wyższość nie są wdrukowane w ciała, pokolenie za pokoleniem?

- Tak, może. Ale nie na poziomie genetycznym.

- Jesteś tego pewien? Czy wiesz, co się dzieje w bankach klonów Pierwszych Rodzin? Do jakich technologii mają dostęp i jakie w siebie wbudowali? Jakie zabezpieczenia wprowadzili, by utrzymać oligarchię?

Pomyślałem o Mari Ado i wszystkim, co odrzuciła po drodze do plaży Vchira. Nigdy nie lubiłem tej kobiety, ale zasługiwała na lepszą analizę klasową.

- Może powiedziała byś mi po prostu, co to cholerstwo robi - powiedziałem bezbarwnie.

Kobieta w powłoce Oshimy wzruszyła ramionami.

- Wydawało mi się, że już to zrobiłam. Każda osoba, która nosi zmodyfikowane geny, ma wbudowaną instynktowną potrzebę przemocy w stosunku do członków rodziny Harlana. To jak genetyczny strach przed węzami, który widać u małp, jak reakcja butlogrzebietów na skrzydlaty cień na wodzie. Reakcję wyzwała feromonalna mieszanka związana z genami krwi Harlana. Jaka, to już kwestia czasu i osobowości - w niektórych przypadkach nosiciel zareaguje od razu, wpadnie w furję i zabije tym, co ma pod ręką. Inne typy osobowościowe czekają i starannie planują. Niektórzy mogą się nawet oprzeć pragnieniu, ale to jest jak seks i współzawodnictwo. W końcu wygra biologia.

- Powstanie zakodowane genetycznie. - Pokiwałem głową. Ogarnął mnie złowieszczy spokój. - Cóż, przypuszczam, że to dość naturalne rozszerzenie zasad Quellcristy. Uderzyć i ukryć się, wrócić pokolenie później. Jeśli to nie zadziała, dokooptować prawniki, a one wrócą walczyć jeszcze parę pokoleń niżej. Pełne poświęcenie. Jak to się stało, że Czarne Brygady nigdy tego nie wykorzystały?

- Nie wiem. - Szarpnęła ponuro kołnierz kurtki pożyczonej od Tres. - Niewielu z nas miało kody dostępu. I potrzeba było paru pokoleń, by coś takiego wyzwolić. Może nikt, kto wiedział, nie przeżył tak długo. Jak mówią twoi przyjaciele, większość kadr brygad została odnaleziona i zabita po mojej... Kiedy wszystko się skończyło. Może nikt nie został.

Znów kiwnąłem głową.

- Albo nikt z pozostałych przy życiu nie mógł się do tego zmusić. To w końcu dość przerażająca idea.

Posłała mi zmęczone spojrzenie.

- To broń, Kovacs. Każda broń jest straszna. Myślisz, że celowanie w członków rodziny Harlana w oparciu o ich geny jest gorsze od bomby atomowej, której użyli przeciw nam na Matsue? Czterdzieści pięć tysięcy ludzi wyparowało, ponieważ w okolicy ukrywali się quelliści. Chcesz porozmawiać o czymś przerażającym? Na Nowym Hokkaido widziałam miasta zniszczone przez pociski o płaskich trajektoriach, wystrzelwane przez siły rządowe. Setki podejrzanych politycznie z dziurą po blasterze na wysokości stosu. Czy to mniej przerażające? Czy Protokół Qualgristy jest mniej dyskryminujący niż systemy opresji ekonomicznej dyktujące, że twoje stopy mają zgnić na farmach pięknorostów, a płuca w przetwórniciach, albo że masz się zabić, spadając ze skał przy zbiorze skalnych jagód tylko dlatego, że urodziłeś się biedny?

- Mówisz o warunkach, które nie istnieją od trzystu lat - zauważyłem spokojnie. - Ale nie w tym rzecz. Wcale nie żałuję rodziny Harlana. Chodzi mi o tych biednych sukinsynów, których przodkowie z Czarnych Brygad zdecydowali o ich poglądach politycznych na poziomie komórkowym pokolenia przed ich urodzeniem. Możesz mnie nazwać staromodnym, ale lubię sam podejmować decyzje odnośnie tego, kogo zamordować i czemu. - Na chwilę się powstrzymałem, ale w końcu i tak zadałem cios. - To samo czytałem o Quellcrście Falconer.

Pod nami przemknął kilometr błękitu zwieńczony bielą. Silnik grawitacyjny w lewym pływaku zamruczał do siebie ledwie słyszalnie.

- Co to miało znaczyć? - wyszeptała w końcu.

Wzruszyłem ramionami.

- Ty to uaktywniłaś.

- To była broń quellistów. - Wydawało mi się, że w jej głosie słyszę desperację. - To było wszystko, co miałam. Myślisz, że to gorsze od przymusowego poboru? Gorsze od wspomaganych klonowo powłok bojowych, do których Protektorat przelewa swoich żołnierzy, by zabijali bez empatii i współczucia?

- Nie. Ale sądzę, że jako idea przeczy to słowom: *nie poproszę was o walkę, życie i śmierć dla sprawy, której nie zrozumieliście i nie przyjęliście z własnej woli.*

- Wiem o tym! - Teraz wyraźnie już słyszałem rozpacz w jej głosie. - Myślisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy? Ale jaki miałam wybór? Byłam sama. Śniłam życie Oshimy i... - Zadygotała. - Inne rzeczy. Nigdy nie byłam pewna, kiedy znów się obudzę i co wtedy zastanę wokół siebie, czasem nie miałam nawet gwarancji, że w ogóle się obudzę. Nie wiedziałam, ile zostało mi czasu, chwilami nawet wątpiłam, czy jestem *prawdziwa*. Wiesz, jak to jest?

Potrząsnąłem głową. Misje Emisariusza sprawiły, że miałem za sobą różne koszmarne doświadczenia, ale ani przez chwilę nie wątpiłem, że było to absolutnie prawdziwe. Nie inne pomysły nie pozwala warunkowanie.

Znów mocno zacisnęła dłonie na relingu, aż zbieleły kostki. Patrzyła na ocean, ale wątpiłem, by go widziała.

- Po co znów wzniecać wojnę z rodziną Harlana? - zapytałem łagodnie.

Obejrzała się na mnie.

- Myślisz, że ta wojna kiedyś ustała? Myślisz, że tylko dlatego, iż sto lat temu udało się wam wyszarpać od nich trochę ustępstw, przestali szukać sposobów na to, by zepchnąć nas z powrotem do nędzy Lat Osiedlenia? Ten wróg nie rezygnuje.

- Tak, *tego wroga nie można zabić*. Czytałem tę przemowę, kiedy byłem dzieckiem. Dziwi mnie, że jak na osobę, która obudziła się parę tygodni temu, i to nie do końca, jesteś zdumiewająco dobrze poinformowana.

- To nie tak - odpowiedziała, znów kierując wzrok na ocean. - Kiedy pierwszy raz obudziłam się naprawdę, śniłam już Oshimę od miesiący. Czułam się tak, jakbym leżała na szpitalnym łóżku, sparaliżowana, oglądając kogoś, może lekarza, na kiepsko dostrojonym monitorze. Nie rozumiałam, kim jest, ale wiedziałam, że jest dla mnie ważna. Przez połowę czasu widziałam to co ona. Czasami miałam wrażenie, jakbym unosiła się wewnątrz niej. Jakbym mogła przyłożyć usta do jej warg i przemówić przez nią.

Uświadomiłam sobie, że nie mówi już do mnie, słowa po prostu wylewały się z niej jak lawa, poddając się wewnętrznemu ciśnieniu, którego siły mogłam się tylko domyślać.

- Kiedy pierwszy raz obudziłam się naprawdę, myślałam, że umrę od szoku. Śniłam, że *ona* śni coś o facecie, z którym spała, kiedy była młodsza. Otworzyłam oczy na łóżku w jakiejś norze w Tekitomurze i mogłam się ruszać. Miałam kaca, ale żyłam. Wiedziałam, gdzie jestem, znałam ulicę i nazwę lokalu, ale nie wiedziałam, kim jestem. Wyszłam na zewnątrz, dotarłam na brzeg morza, spojrzałam na słońce, a ludzie na mnie patrzyli. Dopiero wtedy zrozumiałam, że płaczę.

- A co z pozostałymi? Orrem i resztą?

Potrząsnęła głową.

- Nic. Zostawiłam ich gdzieś po drugiej stronie miasta. *Ona* ich zostawiła, ale myślę, że miałam z tym coś wspólnego. Chyba czuła, że się wyłamiam, i oddaliła się, by być sama, kiedy do tego dojdzie. A może ja ją do tego skłoniłam. Nie wiem.

Przebiegł przez nią dreszcz.

- Kiedyś z nią rozmawiałam. Tam w dole, w celi. Kiedy jej o tym powiedziałam, nazwała to wyciekami. Zapytałam ją, czy pozwoli mi czasem wyjść, ale nie chciała odpowiedzieć. Ja... Wiem, co otwiera grodzie. Seks. Żal. Wściekłość. Ale czasem po prostu wypływam bez powodu, a wtedy ona oddaje mi kontrolę nad sobą. - Urwała, znów potrząsnęła głową. - Może po prostu negocjujemy.

Kiwnąłem głową.

- Która z was skontaktowała się z Pleksem?

- Nie wiem. - Patrzyła teraz na swoje dłonie, rozprostowując i zginając palce niczym jakiś mechaniczny system, którego jeszcze nie opanowała. - Nie pamiętam. Myślę... tak, to chyba ona... chyba już go znała. Ogólnikowo, był dla niej elementem przestępczego krajobrazu. Teko to mały staw, a likowie zawsze działają na granicy prawa. Handlował między innymi tanim sprzętem lików. Nie sądzę, by kiedykolwiek robili ze sobą interesy, ale znała jego twarz i wiedziała, kim jest. Wygrzebałam go z pamięci, kiedy wiedziałam już, że uaktywnię Protokół Qualgristy.

- Pamiętasz Tanasedę?

Skinęła głową, tym razem w bardziej kontrolowany sposób.

- Tak, to wysokiego poziomu patriarchy yaków. Sprowadzili go przez Yukio, kiedy Plex powiedział im, że wstępne kody się sprawdziły. Yukio nie miał dość władzy, by uruchomić to, czego potrzebowali.

- Czyli?

Znów badawcze spojrzenie, jakie mi posłała, kiedy pierwszy raz wspomniałem o broni. Rozłożyłem ręce na wietrze.

- Daj spokój, Nadiu. Sprowadziłem cię do twojej armii rewolucyjnej. Wspiąłem się na Grań Rila, żeby cię wyciągnąć. To chyba coś znaczy, nie?

Znów spuściła wzrok. Czekałem.

- To wirus - powiedziała w końcu. - Łatwo zaraża jak bezobjawowa odmiana grypy. Wszyscy ją łapią, wszyscy podają dalej, ale tylko genetycznie modyfikowani reagują. Wyzwała zmianę w sposobie, w jakim system hormonalny reaguje na feromony Harlanitów. Powłoki nosicieli ukryto w

tajnych, zapieczętowanych magazynach. Gdyby miano je uaktywnić, przydzielona osoba wykopałaby instalację do upowłokowień, przelała się w jedno z ciał i poszła na spacer. Wirus załatwiłby resztę.

Przelała się w jedno z ciał. Słowa uderzały o mój umysł jak woda kapiąca na skałę. Zapowiedź emisariuszowskiego zrozumienia unosiła się tuż za zasięgiem ramion. Zachodzące mechanizmy intuicji obracały maleńkimi trybikami sumującej się wiedzy.

- Gdzie to było?

Wzruszyła ramionami.

- Głównie na Nowym Hokkaido, ale mieliśmy też parę magazynów na północnym końcu archipelagu Saffron.

- A ty zabrałaś Tanasedę do...?

- Sanshin Point.

Mechanizm zaskoczył, otwierając drzwi. Przez otwór wlało się wspomnienie i zrozumienie, rozświetlając wszystko niczym poranne światło. Lazlo i Sylvie sprzeczekali się na pokładzie *Broni dla Guevary* wpływającego do Dravy.

Założę się, że nie słyszałaś o ślizgaczu, którą znaleźli wczoraj na Sanshin Point...

Słyszałam o nim. Zgodnie z raportem nadział się prosto na skały przylądka. Szukasz spisku tam, gdzie widać tylko niekompetencję.

I moja rozmowa w Pleksem w *Tokio Crow* poprzedniego ranka.

Więc jak to się stało, że potrzebowali dzisiaj twojego sprzętu do upowłokowień? W tym mieście jest pewnie więcej zestawów do przelewania ludzi.

Ktoś coś spieprzył. Mieli własny sprzęt, ale został skażony. Woda morska w zbiornikach z żelem.

Ech, zorganizowana przestępczość.

- Coś cię bawi, Kovacs? Potrząsnąłem głową.

- Micky Szczęściarz. Chyba zatrzymam to nazwisko jeszcze trochę.

Dziwnie na mnie spojrzała. Westchnąłem.

- Nieważne. I co Tanaseda chce na tym zyskać? Do czego mu tego rodzaju broń?

Skrzywiła usta. Jej oczy zabłysły w świetle odbitym od fal.

- Przestępca jest przestępcą, niezależnie od klasy politycznej. W gruncie rzeczy Tanaseda nie różni się niczym od jakiegoś portowego zbira z Karlovego. A w czym yakuza zawsze była dobra? Szantaż. Wymuszenia. Wywierają nacisk, by zdobyć koncesje rządowe. Przymykają oczy na określoną działalność, biorą udział w odpowiednich przedsięwzięciach państwowych. Współpracują w represjach za pieniądze. I zawsze domagają się szacunku.

- Ale ty ich oszukałaś.

Ponuro skinęła głową.

- Pokazałam im miejsce, dałam kody. Powiedziałam im, że wirus przenosi się drogą płciową, żeby myśleli, że mają nad nim kontrolę. Prawdę mówiąc, tak też można się zakazić, a Plex zbyt słabo znał się na biokodach, żeby pogrzebać głębiej. Wiedziałam, że spieprzy.

Poczułem na twarzy kolejny uśmiezek.

- Tak, ma do tego talent. Pewnie to arystokratyczne dziedzictwo.

- Pewnie tak.

- A biorąc pod uwagę, że yakuza kontroluje pornobiznes w Millsport, był to doskonały wybór. - Wypełniło mnie rozbawienie. Jej oszustwo miało w sobie gładką, maszynową lekkość, wartą emisariuszowskiego planowania. - Dałaś im atut, by mogli straszyć Harlanitów bronią, którą bez trudu potrafiliby im podsunąć.

- Tak, na to wygląda. - Jej głos znów stracił ostrość, w miarę jak zagłębiała się we wspomnienia. - Zamierzali upowłokowić jakiegoś żołnierza yakuzy w jedno z ciał z Sanshin i zabrać go do Millsport, żeby zademonstrować, co mają. Nie wiem, czy udało mu się dotrzeć tak daleko.

- Och, bez wątpienia. Yakuza działa dość skutecznie, kiedy już zaplanuje wymuszenie. Kobieto, dużo bym dał, żeby zobaczyć minę Tanasedy, kiedy przybył na Grań Rila z tym pakietem, a genetycy Harlana powiedzieli mu, co naprawdę trzyma w ręku. Dziwię się, że Aiura nie kazała go z miejsca wykończyć. Wykazała się zdumiewającym opanowaniem.

- Albo doskonałą orientacją. Jego śmierć w niczym by nie pomogła. Do czasu, kiedy zaprowadzili tę powłokę na prom w Tekitomurze, musiała już zakazać dość neutralnych nosicieli, by nie dało się tego powstrzymać. Wsiadła na prom w Millsport - wzruszyła ramionami - i oto rozpoczęła się niewidoczna pandemia.

- Tak.

Może usłyszała coś w moim głosie. Znów się na mnie obejrzała, a jej twarz wykrzywił kontrolowany gniew.

- Dobra, Kovacs. Powiedz mi, do cholery, co ty byś zrobił na moim miejscu?

Spojrzałem na nią i zobaczyłem przepelniające ją przerażenie i złość. Odwróciłem wzrok, nagle zawstydzony.

- Nie wiem - odparłem cicho. - Masz rację, nie było mnie tam.

Jakbym w końcu dał jej coś, czego potrzebowała, zostawiła mnie w spokoju.

Zostawiła mnie na belce. Stałem tam samotnie, przyglądając się oceanowi mknącemu ku mnie z bezlitosną prędkością.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Kiedy nas nie było, pogoda w Zatoce Kossutha nieco się uspokoiła. Po tym jak bił wściekle o zachodnie wybrzeże przez ponad tydzień, potężny sztorm wykręcił wokół północnego skraju Vchiry, po czym oddalił się na południowy ocean Nurimono, gdzie - jak powszechnie przypuszczano - w końcu wygaśnie na chłodnych wodach wokół bieguna. Przy dobrej pogodzie, która pojawiła się po jego odejściu, znacznie powiększył się ruch morski, ponieważ wszyscy próbowali nadrobić zaległości. *Flirt z anielskim ogniem* wpadł w to wszystko jak uliczny diler zagoniony do zatłoczonego centrum handlowego. Chwilę się pokręcił, przycupnął przy potężnym kadłubie tratwy mieszkaniowej *Obrazy pływającego świata* i przycumował skromnie przy tańszym końcu sterburtowego doku dokładnie w chwili, gdy słońce zaczęło chować się za zachodnim horyzontem.

Soseki Koi wyszedł nam na spotkanie pod żurawiami.

Zauważyłem jego podświetloną słońcem sylwetkę z rufy płaszczkowca i uniosłem rękę na powitanie. Nie odwzajemnił pozdrowienia. Kiedy wraz z Brasilem zeskoczyliśmy na nabrzeże i podeszliśmy, zobaczyłem, jak się zmienił. Jego pobrużdżona twarz jarzyła się dziwnym blaskiem, który mógł być żalem lub skrajem furii, trudno było rozróżnić.

- Tres? - zapytał cicho.

Brasil wskazał kciukiem w stronę płaszczkowca.

- Wciąż się leczy. Zostawiliśmy ją z... z Nią.

- Tak. Dobrze.

Monosylaby zapadły w ciszę. Wokół nas wirował wiatr od morza, szarpiąc za włosy i wypełniając mój nos solą. Poczulem raczej, niż zobaczyłem, że stojący obok mnie Brasil spina się jak człowiek, który musi dotknąć otwartej rany.

- Słyszeliśmy wiadomości, Soseki. Komu udało się wyrwać?

Koi potrząsnął głową.

- Niewielu. Viadurze. Aoto. Sobieskiemu.

- Mari Ado?

Zamknął oczy.

- Przykro mi, Jack.

Trapem zszedł kapitan płaszczkowca wraz z paroma oficerami, których znałem wystarczająco, by kłaniać im się na korytarzach. Wydawało się, że Koi przyjaźni się z nimi wszystkimi - wymieniali uściski rąk i powitania w japskim, aż kapitan burknął coś i ruszył w stronę wieży zarządu portu, zabierając ze sobą podwładnych. Koi odwrócił się z powrotem do nas.

- Zostaną dostatecznie długo, by zgłosić naprawy systemów grawitacyjnych. Po drugiej stronie jest jeszcze jeden płaszczkowiec, należący do ich starych przyjaciół. Kupią jutro świeżą płaszczkę i przyciągną ją na pokaz do Newpest. A my w tym czasie wypłyniemy stąd o świcie jednym ze ślizgaczy Segesvara z kontrabandą. Tylko taką drogę ucieczki udało się nam zorganizować.

Staralem się nie patrzeć Brasilowi w twarz. Zamiast tego skierowałem wzrok na zabudowania tratwy mieszkaniowej. Przede wszystkim czułem samolubną ulgę, że Virginia Viadura znalazła się na liście ocalałych, choć mała cząstka Emisariusza we mnie rejestrowała przepływ tłumów i możliwe punkty widokowe dla snajperów.

- Czy możemy im ufać?

Koi kiwnął głową. Sprawiał wrażenie, jakby z ulgą pograżył się w szczegółach.

- Zdecydowanej większości tak. *Obrazy* zbudowano w Dravie, większość pokładowych udziałowców topotomkowie pierwszych właścicieli spółdzielczych. Ich wspólnota ma skłonności

quellistowskie, a to oznacza, że zwykle troszczą się o siebie, ale też pilnują własnego nosa, jeśli nikt nie potrzebuje pomocy.

- Tak? Dla mnie brzmi to nieco utopijnie. A co z przypadkową załogą?

Spojrzenie Koiego się wyostrzyło.

- Czasowa załoga i nowo przybyli wiedzą, na co się piszą. *Obrazy* cieszy się określoną reputacją, podobnie jak pozostałe tratwy. Ci, którym się to nie podoba, nie zostają. Wspólnota ich odfiltrowuje.

Brasil odchrząknął.

- Ilu z nich wie, co się dzieje?

- Że tu jesteśmy? Może tuzin. A o tym, dlaczego się tu zjawiliśmy, ma pojęcie tylko dwóch. Obaj są z Czarnych Brygad. - Koi badawczym wzrokiem przesunął po płaszczkowcu. - Obaj będą chcieli wziąć udział w Teście. Przygotowaliśmy melinę w okolicach rufy, gdzie będzie można to przeprowadzić.

- Koi... - Przesunąłem się tak, by mnie widział. - Musimy najpierw porozmawiać. Jest parę spraw, o których powinieneś wiedzieć.

Przyglądał mi się przez chwilę z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Ale w jego oczach był głód, którego nie zamierzał ukrywać.

- To będzie musiało poczekać - odparł. - Przede wszystkim musimy potwierdzić Jej tożsamość. Prosiłbym, żeby nikt z was nie odzywał się do mnie po imieniu do czasu, aż skończymy.

- Test - powiedziałem ostro. Wyraźnie słyszalna duża litera w *Jej* zaczynała mnie denerwować. - Masz na myśli *sprawdzenie*, prawda, Koi?

Jego wzrok zsunął się po moim ramieniu i wrócił na burtę łodzi.

- Tak, to właśnie miałem na myśli - potwierdził.

* * *

Dużo spekulacji dotyczyło robotniczych korzeni quellizmu przez stulecia, jakie minęły od chwili wygodnej śmierci jego założycielki, która nie mogła już brać udziału w debatach politycznych. Fakt, że Quellcrista Falconer postanowiła stworzyć, bazę polityczną w oparciu o najbardziej potrzebujących przedstawicieli klasy robotniczej Świata Harlana doprowadził do panującego u sporej części neoquellistów dziwnego przekonania, że w trakcie Niepokojów planowała oddać władzę robotnikom. Starannie pomijano fakt, że sama Nadia Makita należała do stosunkowo uprzywilejowanej klasy średniej, a ponieważ nigdy nie osiągnęła żadnego stanowiska politycznego, kluczowy problem *kto będzie rządził, kiedy skończy się już walka*, nigdy nie został podniesiony. Jednak wewnętrzna sprzeczność w sercu nowoczesnej myśli quellistowskiej pozostała i nie jest uważane za uprzejme wspominać o tym w towarzystwie neoquellistów.

Tak więc nie napomknąłem o fakcie, że kryjówka na dolnych pokładach rufowej części *Obrazów pływającego świata* wyraźnie nie należała do elegancko wystawiających się byłych członków Czarnych Brygad, kobiety i mężczyzny, którzy tam na nas czekali. Dolne pokłady rufowe stanowiły najtańsze i najsurowsze pomieszczenia na każdej tratwie mieszkalnej i fabryce morskiej i nikt nie mieszkał tam z własnej woli. Czulem, jak wibracje z silników *Obrazów pływającego świata* narastają w miarę, jak schodzimy z bardziej pożądanym rezydencji na górnych pokładach, i kiedy dotarliśmy do wnętrza apartamentu, stanowiły już wyraźne tło akustyczne. Proste meble, porysowane i poplamione ściany oraz minimalne dekoracje jasno dawały do zrozumienia, że ktokolwiek tu mieszkał, nie spędzał w domu wiele czasu.

- Wybaczcie warunki - odezwała się uprzejmie kobieta, prowadząc nas do mieszkania. - To tylko na tę noc. Poza tym bliskość silników sprawia, że podsłuch jest praktycznie niemożliwy.

Jej partner usadził nas na krzesłach ustawionych wokół taniego plastikowego stołu zastawionego przekąskami. Herbata w podgrzewanym czajniczku, wybór sushi. Bardzo szykowne. Wskazując nam miejsca, mówił:

- Tak, jesteśmy też niecałe sto metrów od najbliższego wjazdu technicznego na kadłubie, gdzie zostaniecie odebrani jutro rano. Podprowadzą ślizgacz tuż pod wsporniki między stępkami szóstą i siódmą. Będziecie mogli zejść prosto na dół. - Wskazał na Sierrę Tres. - Nawet z tą raną nie powinnaś mieć problemów.

Każdy jego ruch świadczył o kompetencji i dobrym przygotowaniu, ale nieustannie kierował wzrok w stronę kobiety w ciele Sylvie Oshimy, po czym gwałtownie go odwracał. Koi robił praktycznie to samo, od kiedy sprowadziliśmy ją z pokładu *Flirtu z anielskim ogniem*. Tylko kobieta z brygad wyglądała, jakby w pełni panowała nad swoim wzrokiem i nadziejami.

- No dobrze - powiedziała gładko. - Jestem Sto Delia. To Kiyoshi Tan. Możemy zaczynać?

Test.

We współczesnym społeczeństwie to rytuał równie powszechny, jak wydawane przez rodziców przyjęcia z okazji urodzin czy ponowne śluby mające cementować nowo upowłokowione pary w starym związku. Pomyślany jako częściowo stylizowana ceremonia, częściowo sesja cikliwych wspominków o dawnych czasach, Test przyjmuje różne postaci i poziom formalizmu w zależności od planety i kultury. Ale na każdym świecie, na jakim byłem, stanowi głęboko poważany aspekt związków społecznych. Poza drogimi, zaawansowanymi technicznie procedurami psychograficznymi to jedyny sposób na dowiedzenie rodzinie i przyjacielom, że niezależnie od noszonego ciała jest się tym, za kogo się podaje. Test stanowi kluczową funkcję społeczną definiującą zmienną tożsamość współczesności, równie dla nas ważną jak dla naszych przodków podpisy i bazy odcisków palców.

I to w sytuacjach, gdy chodzi o zwykłego obywatela.

Dla na wpół mitycznych postaci bohaterów, być może powstałych z martwych, to procedura sto razy ważniejsza. Soseki Koi w widoczny sposób trząsł się, zajmując miejsce. Oboje jego towarzysze nosili młodsze powłoki i mniej ostentacyjnie okazywali zdenerwowanie, ale jeśli spojrzano się na nich oczami Emisariusza, zdradzali to samo napięcie niepewnymi, przesadnymi gestami, zbyt szybko tłumionym śmiechem i okazjonalnym drżeniem głosu w wysuszonym gardle. Tym dwóm mężczyznom i kobiecie, należącym kiedyś do najstraszniejszej siły powstańczej w historii planety dano nagle promyczek nadziei rozbłyskujący wśród popiołów przeszłości. Stanęli przed kobietą, która podawała się za Nadię Makitę, a wszystko, co dla nich ważne, kryło się za głębinami jej oczu.

- To zaszczyt... - zaczął Koi i urwał, by odchrząknąć. - To zaszczyt mówić o tych rzeczach...

Po drugiej stronie stołu kobieta w ciele Sylvie Oshimy patrzyła na niego pewnie. Odpowiedziała na jedno z jego zawołanych pytań z rzeczową aprobatą, zignorowała inne. Włączyli się pozostali członkowie Czarnych Brygad, a ona obracała się lekko na krzesło w ich stronę i za każdym razem wykonywała antyczny gest włączenia. Poczulem, jak wycofuję się do roli widza po tym, jak minęła początkowa runda uprzejmości i Test nabrał tempa. Rozmowa przyspieszyła, przeszła gwałtownie od spraw ostatnich paru dni do tematów z czasów Niepokojów i lat, które je poprzedzały. Równie szybko zmienił się język, ze współczesnego amangielskiego na nieznaną mi stary japoński dialekt z wtrącanymi od czasu do czasu słowami z japskiego. Spojrzałem na Brasila, który wzruszył ramionami, podobnie jak ja gubiąc wątek.

Trwało to godzinami. Pracujące silniki miejskiej tratwy tworzyły grzmiące tło dźwiękowe. *Obrazy płynącego świata* sunął przez fale. Siedzieliśmy i słuchaliśmy.

- ...skłania do myślenia. Spadek z którejś z tych półek wystarczy, by stać się kupą miecha rozrzuconą na »przyplynie?«. Żadnego planu odzysku, brak polisy na upowłokowienie, nawet

ubezpieczenia na życie dla rodziny. To »złość?«, która rodzi się w kościach i...

- ...pamiętasz, kiedy pierwszy raz uświadomiłaś sobie, że tak właśnie jest?

- ...jeden z artykułów mojego ojca o teorii kolonii...

- ...grając »?????« na ulicach Danchi. Wszyscy to robiliśmy. Pamiętam, jak kiedyś »ulicznapolicja?« próbowała...

- ...reakcję?

- Rodziny takie już są, a przynajmniej moja rodzina zawsze była »???????cia« w »pladze?« ślizgornic...

- ...nawet gdy byłaś młoda, prawda?

- Napisałam to, kiedy przestałam być nastolatką. Nie mogę uwierzyć, że to wydrukowali. Nie dociera do mnie, że pojawili się ludzie, którzy »zapłacili poważne pieniądze/poświęcili się?« tak wiele »?????«

- Ale...

- Naprawdę? - Wzruszenie ramion. - Nie odbierałam tego w ten sposób, kiedy »patrzyłam wstecz/rozważałam?« na podstawie »krwi na rękach?« w »?????«

Od czasu do czasu ja lub Brasil wstawaliśmy zaparzyć świeżą herbatę. Weterani Czarnych Brygad ledwie to zauważali. Zamknęli się i zatracili w szczegółach przeszłości, która nagle znów stała się rzeczywista.

- ...pamiętasz, czyja to była decyzja?

- Najwyraźniej nie. Nie mieliście wtedy »struktury dowodzenia/szacunku?« wartej pieprzonych...

Nagła salwa śmiechu wokół stołu. Ale w oczach widać było lśnienie łez.

- ...i robiło się tam za zimno na działania w ukryciu. Podcierwień wyłuskałaby nas jak...

- Tak, było prawie...

- ...Millsport.

- ...lepiej było okłamywać ich, że mieliśmy szansę? Nie wydaje mi się.

- Minęłoby sto pieprzonych kilometrów, zanim...

- ...i zapasy.

- ...Odisej, o ile pamiętam. Doprowadziłaby do »?????« remisu prosto pod...

- ...o Alabardos?

Długa pauza.

- To nie jest jasne, wydaje się »?????«. Pamiętam helikopter. Szliśmy do helikoptera?

Drżała lekko. Nie po raz pierwszy porzucili temat jak darłoskrzydły uskakujące przed strzałem.

- ...coś o...

- ...zasadniczo teoria reaktywna...

- Nie, raczej nie. Jeśli zbadałam inne »modele?«...

- Ale czy nie jest aksjomatem, że »zmagania?« o władzę nad »?????« spowodowałyby...

- Czyżby? Kto tak powiedział?

- Cóż... - Pełne skrępowania wahanie, wymiana spojrzeń. - Ty. Przynajmniej »argumentowałaś?/przyznałaś?«, że...

- To *szkoda!* Nigdy nie mówiłam, że gwałtowna zmiana polityki stanowi »klucz?« do lepszego...

- Ale Spaventa twierdzi, że mówiłaś...

- Spaventa? To cholerny oszust. Jeszcze oddycha?

- ...a twoje pisma o demodynamice sugerują...

- Słuchajcie, nie jestem pieprzonym ideologiem, dobra? Mieliśmy do czynienia z »butlogrzbietem nafali?« i musieliśmy...

- Czyli mówisz, że »?????« nie jest rozwiązaniem »?????« oraz ograniczenia »biedy/ignorancji?«, co znaczyłoby...

- Oczywiście, że tak. Nigdy nie twierdziłam nic innego. Zresztą, co stało się ze Spaventą?

- Och, cóż... wyklada na Uniwersytecie Millsport...

- Naprawdę? Sukinsyn.

- Cóż. Może moglibyśmy porozmawiać o »wersji?/spojrzeniu?« na wydarzenia, które mniej skupiają się na »?????« niż na »odrzuć?/ skutkach? « teorii...

- Proszę bardzo. O ile to w ogóle możliwe. Ale podajcie mi choć jeden »wiążący przykład?« na poparcie tej tezy.

- Aaaach...

- Dokładnie. Demodynamika to nie »krew w wodzie?«, to próba...

- Ale...

I tak dalej, i dalej, aż nagle Koi zerwał się na równe nogi przy akompaniamencie zgrzytu krzesła.

- Dość - powiedział szorstko.

Pozostali wymienili spojrzenia. Koi obszedł stół, a jego twarz nabrzmiała emocjami, gdy patrzył na siedzącą tam kobietę. Odpowiedziała mu spojrzeniem bez wyrazu.

Wyciągnął do niej rękę.

- Do tej pory - przełknął głośno ślinę - ukrywałem przed tobą swoją tożsamość, dla dobra... naszej sprawy. Naszej wspólnej sprawy. Ale jestem Soseki Koi, dowódca dziewiątej Czarnej Brygady frontu Saffron.

Maska na twarzy Sylvie Oshimy stopniała. Jej miejsce zajęło coś w rodzaju uśmiechu.

- Koi? *Chwiejny* Koi?

Kiwnął głową. Mocno zacisnął usta.

Ujęła jego wyciągnięte dłonie, a on podciągnął ją na nogi obok siebie. Odwrócił się do stołu i spojrzał na każdego z nas po kolei. Dostrzegłem łzy w jego oczach, słysząc je było w jego słowach.

- To Quellcrista Falconer - powiedział zdławionym głosem. - W mych myślach nie ma już miejsca na wątpliwości.

Potem odwrócił się i objął ją ramionami. Na jego policzkach zabłyśły ślady łez. Głos miał chrapliwy.

- Tak długo czekaliśmy na twój powrót - wyłkał. - *Tak długo.*

CZEŚĆ V

OTO NADEJDZIE SZTORM

Nikt nie usłyszał powrotu Ebisu aż było za późno, a wtedy nie dało się już cofnąć wypowiedzianych słów ani popełnionych czynów i wszyscy obecni musieli za siebie odpowiedzieć.

LEGENDY O BOGACH MÓRZ

Tradycyjne

„Nieprzewidywalne kierunki i prędkości wiatrów... spodziewać się fatalnej pogody”

SIEĆ METEOROLOGICZNA KOSSUTHA

Ostrzeżenie o ekstremalnych warunkach pogodowych

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Obudziłem się w typowym dla Kossutha upale i świetle słonecznym padającym pod małym kątem w towarzystwie lekkiego kaca i przytłumionych warknięć. W klatkach ktoś karmił pantery bagienne.

Zerknąłem na zegarek. Było bardzo wcześnie.

Przez chwilę leżałem w pościeli zsuniętej do pasa, wsłuchując się w odgłosy zwierząt i ostre męskie głosy roznosicieli jedzenia na galeryjkach w górze. Segesvar zabrał mnie na wycieczkę po tym miejscu dwa lata wcześniej i wciąż pamiętałem siłę, z jaką pantery podskakiwały, łapiąc kawały rybich filetów wielkości ludzkich torsów. Wtedy karmiciele też krzyczeli, ale im bardziej wsłuchiwałem się w ich głosy, tym bardziej uświadamiałem sobie, że zbierali w ten sposób odwagę, by zwalczyć instynktowny strach. Z wyjątkiem jednego czy dwóch doświadczonych myśliwych, Segesvar rekrutował ludzi prawie wyłącznie z doków i slumsów Newpest, gdzie szanse na to, że któryś z dzieciaków widział prawdziwą panterę, były prawie takie same, jak ich odwiedziny w Millsport.

Parę stuleci temu było inaczej - Bezmiar był wtedy mniejszy, nie oczyszczono go jeszcze całą drogę na południe, by zrobić miejsce dla kombinatów uprawiających pięknorosty. Miejscami bagienne drzewa, piękne i trujące, oraz pływające rośliny sięgały prawie do granic miasta, a zatokę wewnętrzną trzeba było dragować dwa razy do roku. Zdarzało się, że pantery podchodziły w lecie do ramp załadunkowych i błyszczały kameleonową skórą grzywy i migoczącym płaszczem, naśladując blask słońca. Osobliwe wariacje cyklu rozrodczego ich zdobyczy na Bezmiarze przyciągały je czasem na ulice najbliższe bagnom, gdzie z brutalną łatwością przewracały kosze na śmieci i czasami, w nocy, zjadały bezdomnych czy nieostrożnych pijaków. Tak samo jak robiły to u siebie na bagnach, przyczały się w bocznych alejkach z ciałem i kończynami ukrytymi pod grzywą i płaszczem, które w ciemności robiły się czarne. Dla swoich ofiar wyglądały jak plamy głębszego cienia aż do chwili, gdy było za późno. Dla policji nie zostawiały nic poza wielkimi kałużami krwi i echem krzyków w nocy. Zanim skończyłem dziesięć lat, widziałem już dość tych stworzeń na własne oczy, a raz nawet uciekałem z wrzaskiem po nabrzeżu z przyjaciółmi, gdy śpiąca pantera przeturlała się leniwie, kiedy próbowaliśmy ją podejść, machnęła na nas rogiem mackowatej grzywy i pogroziła nam szerokim ziewnięciem.

Przerażenie, podobnie jak większość doświadczeń w dzieciństwie, było chwilowe. Pantery bagienne były straszne, nawet śmiertelnie groźne, jeśli spotkało sieje w niewłaściwym miejscu, ale w gruncie rzeczy stanowiły część naszego świata.

Warczenie na zewnątrz osiągnęło chyba apogeum.

Dla ludzi Segesvara pantery bagienne były tylko czarnymi charakterami z setek tanich hologier i może urzeczywistnionej nagle lekcji biologii, której nie pominęli. Potworami z innej planety.

Z tej.

I może w głębi duszy któregoś z tych młodych bandytów, którzy pracowali dla Segesvara, póki nieuchronnie nie pokonał ich styl życia niższych warstw hajduków, potwory te budziły drżące, egzystencjalne zrozumienie faktu, jak daleko wszyscy znaleźliśmy się od prawdziwego domu.

A może wcale nie.

Ktoś poruszył się w łóżku obok mnie i jęknął.

- Czy te cholerstwa nigdy się nie zamykają?

Wspomnienia pojawiły się równocześnie z szokiem, po czym natychmiast się wyzerowały. Przetoczyłem głowę w bok i zobaczyłem elfią twarz Virginii Viadury przyciśniętą poduszką, którą

osłoniła sobie głowę. Oczy wciąż miała zamknięte.

- Czas karmienia - powiedziałem suchymi ustami.

- Jasne. Nie mogę się zdecydować, co bardziej mnie wkurza. One czy ci kretyni, którzy je karmią. - Otworzyła oczy. - Dzień dobry.

- Dzień dobry. - Obok mnie przykucnęły wspomnienia poprzedniej nocy. Poczułem, jak twardnieję pod ich wpływem. - Nie sądziłem, że dojdzie do tego kiedyś w prawdziwym świecie.

Patrzyła na mnie przez chwilę, potem obróciła się na plecy i wbiła wzrok w sufit.

- Tak. Ja też nie.

Ku powierzchni wypłynęły z wolna wydarzenia poprzedniego dnia. Pierwsze spojrzenie na Viadurę, upozowaną na dziobie niskiego ślizgacza Segesvara, podpływającego przez wzburzone wody pod olbrzymimi wspornikami miejskiej tratwy. Światło poranka z otworu na rufie nie sięgało tak głęboko w przestrzeń między kadłubami i kiedy wyszedłem przez właz techniczny, była niewiele ponad uzbrojoną sylwetką o sterczących włosach. Z jej postawy emanowała uspokajająca kompetencja, ale kiedy w trakcie wchodzenia na pokład jej twarz oświetlił promień z latarki, zobaczyłem tam jeszcze coś, czego nie potrafiłem zdefiniować. Na chwilę spojrzała mi w oczy, potem odwróciła wzrok.

Nikt nie mówił zbyt wiele w trakcie jazdy ślizgaczem przez wczesno-poranne wody zatoki. Z zachodu wiał silny wiatr i wszystko wokół pokrywało zimne, metaliczne światło, niezachęcające do rozmowy. Kiedy zbliżyliśmy się do brzegu, sternik kontrabandowca Segesvara wezwał nas do środka, a młody hajduk o hardej twarzy wcisnął się do pokładowej wieżyczki z bronią. Siedzieliśmy w ciasnej kabinie w milczeniu, nasłuchując zmian dźwięków silnika w miarę zbliżania się do plaży. Viadura usiadła obok Brasila i kiedy w półmroku ich dłonie się zetknęły, zauważyłem, że splatają palce. Zamknąłem oczy i osunąłem się na niewygodne oparcie fotelika, z nudów odtwarzając przed oczami naszą trasę.

Z oceanu prosto przez niewielką, zatrutą przez ścieki plażę gdzieś na północnym skraju Vchiry, tuż poza zasięgiem najdalszych przedmieść Newpest, którego slumsy dostarczały na plażę trucizny. Nikt nie był aż tak głupi, by przychodzić tam pływać czy łowić ryby, nikt więc nie widział przepływających nieopodal tęponosych ślizgaczy. Nad pełnymi oleistych plam bagnami, przez umierającą mizerną roślinność i prosto w Bezmiar. Zygzakami przez niekończącą się pięknorostową zupę z umiarkowaną prędkością, by zatrzeć ślady, trzy przystanki przy różnych stacjach belujących, każda z powiązaniem wśród hajduków, po każdej zmiana kierunku. Izolacja i koniec podróży w należącej do Segesvara hodowli panter.

Zajął to większość dnia. Podczas postoju na ostatniej ze stacji belujących stałem na pokładzie i patrzyłem, jak słońce wynurza się spod chmur po drugiej stronie Bezmiaru jak spod przesiąkniętego krwią bandaża. Na pokładzie ślizgacza Brasil pochłonięty był rozmową z Viadurą. Sierra Tres siedziała w środku, kiedy ostatni raz sprawdzałem, plotkowała z dwuosobową załogą ślizgacza. Koi oddalił się, by zatelefonować. Kobieta w powłoce Oshimy spacerowała między belami schnących roślin wyższymi od nas i zatrzymała się przy mnie, podążając wzrokiem za moim spojrzeniem, ku horyzontowi.

- Ładne niebo.

Burknąłem.

- To jedna z rzeczy, które pamiętam z Kossutha. Wieczorne niebo na Bezmiarze. Kiedy pracowałam przy zbiorach pięknorostów w 69 i 71. - Usiadła, opierając się o belę, i spojrzała na swoje dłonie, jakby szukała na nich śladu pracy. - Oczywiście przez większość dni musieliśmy pracować do zmroku, ale kiedy światło przybierało taką barwę, wiedzieliśmy, że to już prawie

koniec.

Nic nie odpowiedziałem. Zerknęła na mnie.

- Wciąż nie jesteś przekonany, co?

- Nie musisz mnie przekonywać - odparłem - To, co mam do powiedzenia, wcale się tu nie liczy. Na pokładzie *Obrazów pływającego świata* przekabaciłaś już, kogo trzeba.

- Naprawdę myślisz, że świadomie oszukałabym tych ludzi?

Pomyślałem o tym przez chwilę.

- Nie. Nie wydaje mi się. Ale to wcale nie oznacza, że jesteś tym, za kogo się podajesz.

- A jak wyjaśnisz wszystko, co się tam stało?

- Jak już mówiłem, nie muszę. Jeśli chcesz, możesz to nazwać marszem historii. Koi dostał wszystko, czego chciał.

- A ty nie dostałaś?

Spojrzałem ponuro na zranione niebo.

- Nie potrzebuję niczego, czego już nie mam.

- Doprawdy? W takim razie łatwo cię zadowolić. - Wskazała ręką dokoła. - Czyli nie ma nadziei na coś lepszego niż to? Nie zdołam cię zainteresować sprawiedliwą restrukturyzacją systemów socjalnych?

- Masz na myśli zniszczenie oligarchii i symboliki wykorzystywanej przez nich do osiągnięcia dominacji oraz przekazania władzy w ręce ludu? I inne tego rodzaju bzdury?

- Tego rodzaju bzdury. - Nie było jasne, czy potwierdza, czy tylko powtarza. - Mógłbyś usiąść? Szyja boli mnie od rozmowy z tobą w taki sposób.

Zawahałem się. Odmowa wydawała się niepotrzebnym grubiaństwem. Dołączyłem do niej na pokładzie doku, oparłem plecy o belę pięknorostów i czekałem. Ale ona nagle umilkła. Przez chwilę siedzieliśmy ramię w ramię. Czuję się dziwnie dobrze.

- Wiesz - powiedziała w końcu. - Kiedy byłem dzieckiem, mój ojciec dostał przydział do nanobów biotechnologicznych. Zajmował się systemami napraw tkankowych, wspomaganiami systemu immunologicznego i tym podobne. Był to rodzaj tekstu przeglądowego, spojrzenie na nanotechnologię od zarania i na jej przyszłość. Pamiętam, jak pokazywał mi zdjęcia jakichś zaawansowanych oprogramowań, jakie wprowadza się w ciało dziecka tuż po narodzinach. Byłam przerażona. Posłałem jej odległy uśmiezek.

- Wciąż pamiętam, jak patrzyłam na to dziecko i pytałam, w jaki sposób zdoła powiedzieć tym maszynom, co powinny robić. Próbował mi to wyjaśnić, powiedział, że dziecko niczego nie musi im mówić, że same już wiedzą. Wystarczy je włączyć.

Kiwnąłem głową.

- Niezła analogia. Nie jestem...

- Czekaj. Daj mi chwilę, co? Wyobraź sobie. - Uniosła dłonie, jakby chciała coś narysować. - Wyobraź sobie, że jakiś sukinsyn świadomie nie włącza większości z tych nanobów. Albo włącza tylko te, które zajmują się na przykład funkcjami mózgu związanymi z żołądkiem. Cała reszta to tylko martwy biotech, albo jeszcze gorzej, na wpół martwy. Tkwi w ciele, konsumuje odżywkę i nic nie robi. Albo pomyśl, że taki ktoś programuje nanoby do funkcji innych niż pierwotne, więc zaczynają niszczyć tkanki, zamiast je naprawiać. Wpuszczają niewłaściwe białka, nie równoważą chemikaliów. Dość szybko takie dziecko dorasta i zaczyna mieć problemy zdrowotne. Wszystkie niebezpieczne lokalne mikroorganizmy, takie, których nigdy nie widziano na Ziemi, wnikają do jego organizmu i zapada na każdą chorobą, na jaką jego przodkowie na Ziemi nie wyewoluowali sobie ochrony. Co się wtedy stanie?

Skrzywiłem się.

- Umrze?

- Nie, trochę na to za wcześnie. Przyjdą lekarze i zalecą operację, może wymianę organów i kończyn...

- Nadia, naprawdę długo cię nie było. Poza polami bitew i chirurgią z wyboru, tego rodzaju rzeczy już się po prostu nie...

- Kovacs, to analogia, dobra? Rzecz w tym, że łądujesz w ciele, które nie funkcjonuje właściwie i wymaga stałej świadomej kontroli z góry i z zewnątrz. I dlaczego? Nie z powodu jakichś wewnętrznych wad, tylko dlatego że nie wykorzystuje się nanotechu. Tak właśnie dzieje się z nami. To społeczeństwo - każde społeczeństwo w Protektoracie - jest ciałem, w którym wyłączono dziewięćdziesiąt pięć procent nanotechu. Ludzie nie robią tego, co powinni.

- A mianowicie?

- Powinni kierować swoim losem, Kovacs. Przejąć kontrolę. Opiekować się swoją społecznością. Utrzymywać bezpieczeństwo na ulicach, zarządzać publiczną opieką zdrowotną i edukacją. Budować. Tworzyć bogactwo i porządkować dane, pilnując, by płynęły tam, gdzie są potrzebne. Ludzie będą robić to wszystko, potrafią, ale ich organizm działa jak w przypadku z nanobami. Najpierw trzeba ich włączyć, uświadomić. I do tego w sumie sprowadza się quellistowskie społeczeństwo, które będzie świadomą ludnością. Demodynamicznym nanotechem w działaniu.

- Słusznie. Czyli duzi źli oligarchowie wyłączyli nanotech?

Znów się uśmiechnęła.

- Niezupełnie. Oligarchowie nie stanowią czynnika zewnętrznego, są jak zamknięty podprogram, który wyrwał się spod kontroli. - Wyraźnie się ożywiła, mówiła coraz szybciej. - Wszystkie wcześniejsze ruchy rewolucyjne w historii ludzkości popełniały ten sam. podstawowy błąd. Uważały władzę za strukturę statyczną. A to nieprawda. Władza jest dynamiczna jak system przepływu z dwiema tendencjami. Albo się akumuluje, albo rozprasza na system. W większości społeczeństw dominuje tryb akumulacyjny i większość ruchów rewolucyjnych chce tak naprawdę przenieść tę akumulację w nowe miejsce. *Prawdziwa* rewolucja musi *odwrócić* przepływ, więc nikt się za nianie bierze, bo wszystkich przeraża myśl o utracie swojego miejsca w kluczowym procesie historycznym. Jeśli zniszczy się kumulacyjną dynamikę władzy i umieści w jej miejscu inną, nic się nie zmieni. Nie rozwiąże się w ten sposób żadnych problemów społecznych, pojawią się one po prostu w innym miejscu. Trzeba przygotować nanotech, który będzie samodzielnie radził sobie z problemami. Stworzyć struktury, które pozwolą na *rozproszenie* władzy, a nie jej przegrupowanie. Odpowiedzialność, dostęp demodynamiczny, systemy konstytucyjnych praw, edukacja w wykorzystaniu struktury politycznej...

- Hejże. - Uniósł rękę. Większość z tych rzeczy niejednokrotnie słyszałem już od Małych Niebieskich Robaczków. Nie zamierzałem wysłuchiwać tego jeszcze raz niezależnie od piękna nieba nad głową. - Nadiu, próbowano tego już wcześniej, i dobrze o tym wiesz. O ile pamiętam z lekcji historii prekolonialnej, obdarzone władzą masy, w których pokładasz tyle wiary, z największą ochotą oddawały ją z powrotem swoim oprawcom w zamian za holopornosy i tanie paliwo. Może wszyscy powinniśmy czerpać z tego naukę? Może ludzie wolą raczej ślinić się do plotek i gołych zdjęć Josefyny Hikari i Ryu Bartoka, niż martwić się tym, kto kieruje planetą. Brałaś to kiedyś pod uwagę? Może dzięki temu są szczęśliwsi.

Jej twarz wykrzywiła się w pogardliwym grymasie.

- Tak, może. Albo *może* ten okres, o którym mówisz, był źle interpretowany. Premilenijna

demokracja konstytucyjna nie była taką porażką ludzkości, jak chcieliby nam wmówić autorzy podręczników. To oni ją uśmiercili, wypaczyli i sprzedali kłamstwa naszym dzieciom.

Wzruszyłem ramionami.

- Może. Ale w takim razie zdumiewająco dobrze powtarzali tę sztuczkę wielokrotnie od tamtych czasów.

- *Oczywiście*, że tak - prawie krzyknęła. - Ty też byś się starał. Gdyby od tej sztuczki zależało zachowanie przywilejów, rangi i życia pełnego rozrywek, nie opanowałbyś jej do perfekcji? Nie nauczyłbyś jej swoich dzieci, kiedy tylko postawią pierwszy krok albo zaczną mówić?

- A tymczasem reszta z nas nie potrafi wpoić swoim potomkom odporności na tę sztuczkę? Daj spokój. Musimy przechodzić przez Niepokoje co każde kilkaset lat, by sobie przypomnieć?

Zamknęła oczy i walnęła głową o belę zielska. Sprawiała teraz wrażenie, jakby mówiła wprost w niebo.

- Nie wiem... Tak, może musimy. To nierówne zmagania. Zawsze znacznie łatwiej jest mordować i niszczyć, niż tworzyć i uczyć. Łatwiej pozwolić na akumulację władzy niż jej rozproszenie.

- Tak. Albo może po prostu ty i twoi quellistowscy przyjaciele nie chcecie dostrzec ograniczeń waszej zaawansowanej biologii społecznej. - Słyszałem, jak mój głos przybiera na sile. Spróbowałem się opanować, więc słowa wyszły zdławione. - Zgadza się. Pokłoń się i wierz. Rób, co każe facet z brodą albo w garniturze. Jak mówiłem, może ludzie są dzięki temu *szczęśliwi*. Może tacy jak ty i ja stanowią tylko źródło irytacji, pantery bagienne, które nie pozwalają spać.

- I tu właśnie wysiadasz, tak? - Otworzyła oczy i zerknęła na mnie z ukosa, nie opuszczając głowy. - Lepiej się poddać i niech gnidy w rodzaju Pierwszych Rodzin dostaną wszystko, a reszta ludzkości pograży się w śpiączce. Lepiej zrezygnować w walki.

- Nie, obawiam się, że na to jest już za późno, Nadiu. - Stwierdziłem, że mówiąc to, wcale nie czuję satysfakcji, jakiej się spodziewałem. Byłem tylko zmęczony. - Ludzi w rodzaju Koiego trudno powstrzymać, kiedy już się za coś wezmą. Widziałem już paru. A niezależnie od efektów, czy będzie lepiej czy gorzej, już *ruszyliśmy*. Myślę, że będziesz miała swoje Niepokoje. Niezależnie od wszystkiego, co mógłbym zrobić czy powiedzieć.

Nadal na mnie patrzyła.

- A ty uważasz, że to wszystko strata czasu.

Westchnąłem.

- Myślę, że zbyt wiele razy widziałem, jak szczytne ideały padają na wielu różnych planetach, by wierzyć, że tutaj będzie inaczej. Doprowadzisz do śmierci wielu ludzi, w najlepszym razie osiągając niewielkie ustępstwa rządu. W najgorszym przypadku ściągniesz na Świat Harlana Emisariuszy, a uwierz mi, tego akurat nie chcesz.

- Tak, Brasil mi mówił. Byłeś jednym z tych szturmowców.

- Zgadza się.

Przez chwilę przyglądała się zachodowi słońca.

- Wiesz - odezwała się. - Nie będę udawać, że wiem cokolwiek o tym, co zrobili z tobą w tym Korpusie Emisariuszy, ale spotykałam już ludzi takich jak ty. U ciebie sprawdza się nienawiść wobec samego siebie, bo możesz przekształcić ją we wściekłość na cel, który akurat przyjdzie ci zniszczyć. Ale to statyczny model, Kovacs. To obraz rozpaczy.

- Doprawdy?

- Tak. W głębi ducha wcale nie chcesz, by sytuacja zmieniła się na lepsze, bo wtedy zabrakłoby ci takich celów. A jeśli zabraknie zewnętrznego obiektu, na którym mógłbyś skupić nienawiść,

będziesz musiał stawić czoła temu, co kryje się w tobie.

Prychnąłem.

- I co by to miało być?

- Dokładnie nie wiem. Ale mogłabym zaryzykować domysły. Przemoc w rodzinie. Życie na ulicach. Jakaś głęboka strata w dzieciństwie. Zdrada. I prędzej czy później, Kovacs, będziesz musiał stanąć przed faktem, że nigdy nie zdołasz wrócić i tego naprawić. Życie przeżywa się w jedną stronę.

- Jasne - odparłem bezbarwnie. - Niewątpliwie w służbie wspaniałej quellistowskiej rewolucji.

Wzruszyła ramionami.

- Sam musiałbyś się na to zdecydować.

- Już dokonałem wyboru.

- A jednak przyszedłeś uwolnić mnie z rąk rodziny Harlana. Zmobilizowałeś Koiego i pozostałych.

- Przyszedłem po Sylvie Oshimę.

Uniosła brwi.

- Doprawdy?

- Tak, doprawdy.

Znów zapadła cisza. Na pokładzie ślizgacza Brasil zniknął w kabinie. Zauważyłem to dopiero, gdy odszedł, ale odniosłem wrażenie, że zrobił to gwałtownie i ze zniecierpliwieniem. Śledząc go, zobaczyłem wpatrzoną we mnie Virginię Viadurę.

- W takim razie - powiedziała kobieta uważająca się za Nadię Makitę - wygląda na to, że tracę na ciebie czas.

- Tak, na to wygląda.

Jeśli ją to zezłościło, nie zdradziła się z tym. Po prostu znów wzruszyła ramionami, wstała i posłała mi dziwny uśmiezek, po czym odeszła po zalanym słońcem pokładzie, wyglądając czasami przez barierkę do pełnej rośliny wody. Później zobaczyłem, że rozmawia z Koim, ale dała mi już spokój do końca drogi do Segesvara.

Jako cel naszej podróży farma nie robiła wielkiego wrażenia. Wyłaniała się z powierzchni Bezmiaru, przypominając zbiór zakotwiczonych na wodzie zbiorników helowych, umieszczonych w ruinach kolejnej stacji belującej na planie litery U. Prawdę mówiąc, zanim powstały syndykaty, mieściła się tu niezależna przetwórnia pięknorostów, ale w przeciwieństwie do innych stacji, w których się zatrzymywaliśmy, nie sprzedała się graczom korporacyjnym i w ciągu pokolenia popadła w ruinę. Radul Segesvar przejął budynki w charakterze spłaty części hazardowego długu i pewnie nie był szczęśliwy, kiedy zobaczył, co wygrał. Ale postanowił wykorzystać to miejsce, urządzając je w świadomie archaicznym stylu. Rozciągnął instalację na cały port przemysłowy i wykorzystał zaawansowaną technikę pływających bunkrów zdobytą od wojskowego dostawcy w Millsport, który był mu winien przysługę. Teraz kompleks mieścił mały, ekskluzywny burdel, eleganckie kasyno i krwawe serce interesu, zapewniające klientom *frisson* nie do odtworzenia w bardziej cywilizowanych warunkach, czyli areny walk.

Kiedy przyjechaliśmy, odbywało się tam coś w rodzaju przyjęcia. Hajducy dumni są ze swojej gościnności, a Segesvar nie stanowił wyjątku. Opróżnił przestrzeń w jednym z osłoniętych doków przy końcu starej stacji i rozstawił tam stoły z jedzeniem i pić. Z głośników dobiegała przyciszona muzyka, płonęły pochodnie z prawdziwego, aromatycznego drewna, a bagienne powietrze poruszały olbrzymie wentylatory. Przystojni mężczyźni i kobiety sprowadzeni albo z burdelu na dole, albo z należącego do Segesvara studia holoporno w Newpest krążyli w skromnych strojach, dźwigając obładowane tace. Ich pot układał się artystycznie w łańcuchy kropelek na

odsłoniętych ciałach, pachnąc modyfikowanymi feromonami, źrenice otwarte były szeroko dzięki takim czy innym prochom, a postawa dyskretnie sugerowała, że można ich sobie wziąć. Być może nie tworzyli idealnego otoczenia dla zebrania neoquellistowskich aktywistów, ale mógł to być świadomy ruch ze strony Segesvara. Nigdy nie miał cierpliwości do polityki.

W każdym razie w dokach panował dość ponury nastrój, bardzo powoli ustępujący miejsca chemicznie podsycanej tkliwości i melancholii. Rzeczywistość rajdu po Mitzi Harlan i wynikła z niego strzelanina na ulicach Nowej Kanagawy były zbyt krwawe i brutalne, by pozwolić na inne uczucia. Zbyt ewidentna była nieobecność tych, którzy zginęli, zbyt ponure historie ich śmierci.

Mari Ado, ugotowana w połowie przez strzał z sunjeta, resztkami sił sięgająca pistoletem do gardła i pociągająca za spust.

Daniel, rozszarpany przez blastery odłamkowe.

Dziewczyna, z którą był na plaży, Andrea, rozsmarowana na płasko, gdy komandosi wysadzili drzwi, by dostać się do środka.

Inni, których nie pamiętałem, ginący na różny sposób, by Koi mógł uciec z zakładniczką.

- Zabiłeś ją? - zapytałem go w spokojniejszej chwili, zanim zaczął się upijać. Słyszeliśmy wiadomości w drodze na południe na pokładzie płaszczkowca - quellistowscy mordercy zabili skrycie niewinną kobietę - ale Mitzi Harlan mogła zginąć z rąk nieostrożnego komandosa, a dziennikarze i tak powiedzieliby to samo.

Spojrzał gdzieś w dal.

- Oczywiście, że tak. Mówiłem, że tak zrobię. Wiedzieli o tym.

- Prawdziwa śmierć?

Kiwnął głową.

- O ile to coś znaczy. Do tej pory pewnie już ją upowłokowali ze zdalnej kopii. Wątpię, by straciła więcej niż czterdzieści osiem godzin życia.

- A ci, których my straciliśmy?

Jego spojrzenie nie wróciło z drugiej strony doku. Miałem wrażenie, że widział tam Ado i pozostałych, stojących w migotliwym świetle pochodni, jak ponurzy widzowie uczy, których nie przegoni żadna ilość alkoholu ani *take*.

- Ado odparowała przed śmiercią własny stos. Patrzyłem na to. Pozostali... - Miałem wrażenie, że zadygotał lekko, ale mogła to być wieczorna bryza albo tylko wzruszenie ramion. - Nie wiem. Pewnie ich dostali.

Żaden z nas nie chciał wyciągać logicznych wniosków. Jeśli Aiura odzyskała stopy, ich właściciele tkwili teraz na wirtualnych przesłuchaniach. Możliwe, że będą torturowani aż do śmierci, a potem oprawcy załadują ich w ten sam konstrukt, by zacząć proces od nowa. I będą to powtarzać, aż więźniowie zdradzą wszystko, co wiedzą, a może dłużej, z zemsty za to, że quelliści odważyli się porwać na członka Pierwszych Rodzin.

Przełknąłem resztę drinka, a jego kop wywołał dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Uniosłem pustą szklaneczkę w stronę Koiego.

- Cóż, miejmy nadzieję, że było warto.

- Tak.

Później już z nim nie rozmawiałem. Imprezowy dryf zabrał go poza mój zasięg i zamiast tego ugrzązłem w rogu z Segesvarem. Ramionami obejmował blade, kosmetycznie piękne kobiety, identycznie ubrane w błyszczący bursztynowy muślin, które wyglądały jak para naturalnej wielkości lalek brzuchomówcy. Traktował je z zaborczością właściciela.

- Dobrze się bawisz?

- Jeszcze nie. - Porwałem z tacy przechodzącego kelnera ciastko *take*

i ugryzłem kawałek. - Ale się staram.

Uśmiechnął się słabo.

- Trudno cię zadowolić, Tak. Chcesz zamiast tego zabawić się ze swoimi przyjaciółkami w klatkach?

- Nie w tej chwili.

Odruchowo spojrzałem przez pokrytą bańkami lagunę w stronę miejsca, gdzie mieściły się doły walk panter bagiennych. Dostatecznie dobrze znałem drogę. Przypuszczalnie nikt nie zatrzymałby mnie, gdybym tam poszedł, ale w tej chwili nie potrafiłem sobie wmówić, że ma to dla mnie jakieś znaczenie. Zresztą, w zeszłym roku odkryłem, że kiedy już kapłani lądowali w ciałach panter, satysfakcja z powodu ich cierpienia zmieniała się w zimne i nieprzyjemnie odległe zrozumienie na poziomie intelektualnym. Nie potrafiłem patrzeć na olbrzymie stworzenia o mokrych grzywach rozszarpujące się nawzajem w walkach na arenie i wciąż widzieć ludzi, których za karę sprowadziłem z martwych. Może, jeśli psychochirurdzy mieli rację, nie było ich tam już w prawdziwym sensie tego słowa. Może ludzka świadomość przepadła dawno temu, w ciągu paru dni zmieniona w czarne i wyjące szaleństwo.

Któregoś upalnego popołudnia stałem wśród stromo wznoszących się siedzeń nad jedną z aren, otoczony przez wrzeszczący i tupiący tłum, i poczułem, jak zemsta wymyka mi się z dłoni jak mydło, rozpuszczając się i ślizgając mimo prób schwytania.

Przestałem tam przychodzić. Oddawałem tylko Segesvarowi stopy korowe i pozwalałem mu się nimi zajmować.

Teraz w świetle pochodni uniósł brwi.

- No dobrze. Może w takim razie zainteresuję cię sportem drużynowym? Pójdiesz z nami do grawitacyjnej sali sportowej? Przedstawiam ci Ilję i Mayumi.

Spojrzałem na dwie roznegliżowane kobiety i od każdej dostałem obowiązkowy uśmiech. Żadna z nich nie wyglądała na naćpaną, ale i tak miałem wrażenie, jakby Segesvar poruszał nimi przez otwory gdzieś na plecach, a jego dłonie spoczywające na idealnych krzywiznach ich bioder były sztuczne.

- Dzięki, Rad. W moim wieku człowiek zaczyna cenić prywatność. Ale nie przejmuj się, idź i baw się dobrze beze mnie.

Wzruszył ramionami.

- Z pewnością nie mogę już oczekiwać dobrej zabawy z tobą. Właściwie nie pamiętam takiej od dobrych pięćdziesięciu lat. Naprawdę zmieniasz się w północniaka, Tak.

- Jak powiedziałem...

- Tak, tak, wiem. W połowie już nim jesteś. Rzecz w tym, Tak, że kiedy byłeś młodszy, próbowałeś się z tym tak bardzo nie obnosić. - Przesunął prawą dłoń, obejmując od zewnątrz jedną z obfitych piersi którejś z dziewczyn. Jej właścicielka zachichotała i liznęła go po uchu. - Chodźcie, dziewczęta. Zostawmy Kovacs-sana jego rozmyślaniom.

Przyglądałem się, jak wracają w gęstwinę imprezy z Segesvarem steru. Wypełnione feromonami powietrze pociągnęło mnie żalem za wnętrzności i krocze. Dokończyłem ciastko *take*, prawie nie czując jego smaku.

- No proszę, wyglądasz, jakbyś się dobrze bawił.

- Maskowanie Emisariusza - odpowiedziałem. - Szkolą nas, byśmy umieli dopasować się do otoczenia.

- Tak? Wygląda na to, że twój instruktor nie był dobrym fachowcem.

Odwróciłem się i zobaczyłem krzywy uśmiech na twarzy Virginii Viadury, stojącej przede mną z dwoma szklaneczkami whisky w dłoniach. Rozejrzałem się w poszukiwaniu Brasila, ale nie zobaczyłem go w pobliżu.

- Czy jedna z nich jest dla mnie?

- Jeśli chcesz.

Wziąłem szklaneczkę i pociągnąłem z niej. Słodowa whisky z Millsport, pochodząca zapewne z jednej z droższych destylarni zachodniego brzegu. Segesvar nie był człowiekiem, który pozwoliłby uprzedzonym stanąć na drodze przyjemności podniebienia. Przełknąłem jeszcze trochę alkoholu i poszukałem oczu Viadury. Patrzyła gdzieś na Bezmiar.

- Przykro mi z powodu Ado - powiedziałem.

Przeniosła spojrzenie na mnie i przyłożyła palec do ust.

- Nie teraz, Tak.

Nie teraz, nie później. Prawie nie rozmawialiśmy, wymykając się z imprezy korytarzami prowadzącymi do kompleksu podwodnych bunkrów. Uaktywniła się funkcjonalność Emisariusza jak awaryjny autopilot, obsypując mnie przebłyskami zrozumienia, od których intensywności rozboleły mnie wewnętrzne strony powiek.

Tak, przypomniałem sobie nagle. Tak to było. Tak kiedyś żyliśmy, po to żyliśmy.

I w moim pokoju, kiedy złączyliśmy się na pospiesznie ściągniętych ubraniach, czując, czego pragnie drugie z jasnością Emisariuszy, po raz pierwszy od ponad stulecia obiektywnego życia zacząłem się zastanawiać, czemu odszedłem.

* * *

Nie było to uczucie, które przetrwałoby poranne warczenie panter. Nostalgia odpłynęła wraz z wygaśnięciem *take* i pozostawionym przez niego lekkim kacem, na którego łagodność chyba sobie nie zasłużyłem. Kiedy już przeminął, zostało mi tylko poczucie zadowolenia posiadacza na widok opalonego ciała Viadury, rozciągniętego na białej pościeli, i lekkiej obawy, której nie potrafiłem przypisać konkretnemu źródłu.

Viadura wciąż usiłowała wypalić wzrokiem dziurę w suficie.

- Wiesz - powiedziała w końcu. - Nigdy tak naprawdę nie lubiłam Mari. Zawsze próbowała czegoś dowieść pozostałym. Jakby nie wystarczyło, że jest jednym z Robaczków.

- Może dla niej to nie było dość.

Pomyślałem o opisanej mi przez Koięgo śmierci Mari Ado i zacząłem się zastanawiać, czy tak naprawdę pociągnęła za spust, by uciec przed przesłuchaniem, czy żeby wrócić do więzów rodzinnych, które całe życie próbowała zerwać. Czyjej arystokratyczna krew wystarczyłaby, by ocalić ją przed furią Aiury, i co musiałaby zrobić, żeby wyjść z konstruktu śledczego w nowej powłoce. Co musiałaby kupić, by wydostać się bez szwanku. Zastanawiałem się, czy w ostatnich chwilach swojego życia spojrzała na wyciekającą z jej ran arystokratyczną krew i dostatecznie ją znienawidziła.

- Jack opowiada jakieś bzdury o heroicznym poświęceniu.

- Ach, rozumiem.

Spuściła wzrok na moją twarz.

- Nie dlatego tu jestem.

Nie odpowiedziałem. Znów wpatrzyła się w sufit.

- O cholera, tak, dlatego.

Słuchaliśmy warknięć i krzyków na zewnątrz. Viadura westchnęła i usiadła. Przycisnęła nadgarstki do oczu i mocno potrząsnęła głową.

- Zastanawiasz się czasem - zapytała mnie - czy jesteśmy jeszcze istotami ludzkimi?

- Jako Emisariusze? - Wzruszyłem ramionami. - Próbuję nie poddawać się tym bzdurom w stylu „drzyjcie, idą nadludzie”, jeśli o tym właśnie myślisz. Czemu pytasz?

- Nie wiem. - Z irytacją wzruszyła ramionami. - Tak, to cholernie głupie, wiem. Ale czasami rozmawiam z Jackiem i pozostałymi i mam wrażenie, jakby byli zupełnie innym gatunkiem ludzi. Te bzdury, w które wierzą, nie mając prawie nic na ich poparcie...

- Ach. Czyli ty też nie jesteś przekonana.

- Ja nie. - Viadura z irytacją wyciągnęła rękę. Wykręciła się na łóżku w moją stronę. - *Jak* to możliwe, prawda?

- Cóż, cieszę się, że nie jestem jedynym, który wpadł w tę sieć. Witam w racjonalnie myślącej mniejszości.

- Koi mówi, że przeszła Test.

- Tak. Koi chce tego tak bardzo, że uwierzyłby, iż pieprzony darłoskrzydł w chuście jest Quellcrisną Falconer. Byłem na tym Teście. Bardzo starannie wycofywali się z każdego pytania, na które nie potrafiła odpowiedzieć. Powiedział ci ktoś o tej wyzwolonej przez nią broni genetycznej?

Odwróciła wzrok.

- Tak, słyszałam. Dość skrajne podejście do sprawy.

- I dość ewidentnie przeczy wszystkiemu, w co kiedykolwiek wierzyła Quellcrista Falconer.

- Nikt z nas nie zostanie czysty, Tak. - Słaby uśmiech. - Wiesz o tym. W tych warunkach...

- Virginia, jeśli nie będziesz ostrożna, uznam, że jesteś wynajętą zatraconą w wierze członkinią rasy ludzkiej starego stylu. I od razu ci mówię, że nie odezwę się do ciebie ani słowem, jeśli zaangażujesz się w te bzdury.

Uśmiech nabrał mocy, przeszedł w śmiech. Dotknęła górnej wargi językiem i spojrzała na mnie z ukosa. Wywołało to we mnie dziwne, elektryzujące uczucie.

- Dobra - powiedziała. - Bądźmy nieludzko racjonalni. Ale Jack mówi, że ona pamięta szturm na Millsport. I marsz do odrzutowca na Alabardos.

- Tak, co trochę śmierdzi, jak na kopię zapisaną gdzieś w trakcie bitwy w okolicach Dravy, nie sądzisz? Jako że oba te wydarzenia nastąpiły już po jej pobycie na Nowym Hokkaido.

Viadura rozłożyła ręce.

- To również obala pomysł, że jest powierzchowną osobowością w infominie. Z tych samych powodów.

- Cóż... tak.

- Więc co nam pozostaje?

- Chodzi ci o to, co zostaje Brasilowi i gangowi z Vchiry? - zapytałem szorstko. - To proste. Zostaje im desperackie poszukiwanie innej bzdurnej teorii, w którą będą mogli uwierzyć. Co jak dla pełnowartościowych neoquellistów jest dość niezręczną sytuacją.

- Nie, chodziło mi o nas. - Jej oczy świdrowały mnie na wskroś. - W jakiej sytuacji stawia to nas?

Zamaskowałem ukłucie w żołądku, pocierając oczy tak, jak wcześniej ona.

- Mam coś w rodzaju pomysłu - zacząłem. - Może nawet wyjaśnienie.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

Viadura uniosła brwi.

- Tak, i wygląda na to, że masz również gościa.

Rzuciłem spojrzenie na zegarek i potrząsnąłem głową. Ryki panter za oknem przycichły do warczenia i sporadycznych trzasków, gdy rozrywały chrząstki w swoim jedzeniu. Wciągnąłem

spodnie, pod wpływem impulsu wziąłem rapsodię ze stolika przy łóżku i poszedłem otworzyć.

Drzwi odgięły się na bok, odsłaniając cichy, słabo oświetlony korytarz na zewnątrz. Stała tam kobieta w ciele Sylvie Oshimy, w pełni ubrana, z ramionami złożonymi na piersiach.

- Mam dla ciebie propozycję - oświadczyła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Kiedy dotarliśmy do Vchiry, wciąż był wczesny ranek. Pilot hajduków, którego Sierra Tres wyciągnęła z łóżka - prawdę mówiąc, jej łóżka - wyglądał na młodego i pewnego siebie, a zabrany przez nas ślizgacz był tym samym kontrabandowcem, na którym przybyliśmy. Ponieważ nie musieliśmy już udawać, że jesteśmy standardowym, niegodnym uwagi pojazdem na Bezmiarze, i niewątpliwie chcąc zaimponować Tres w równym stopniu, jak imponował sobie, pilot wyciągnął ze ślizgacza wszystko, co się dało. Dotarliśmy do przystani o nazwie Słoneczne Radosne Molo w niecałe dwie godziny. Tres siedziała z pilotem w kokpicie i wydawała zachęcające dźwięki, podczas gdy Viadura i kobieta nazywająca siebie Quell zostały razem pod pokładem. Ja przez większość podróży tkwiłem samotnie na przednim pokładzie, chłodząc kaca chłodnym podmuchem rozcinanego przez ślizgacz powietrza.

Zgodnie z nazwą, Słoneczne Radosne Molo odwiedzały głównie turystyczne ślizgacze pasażerskie z Newpest i jaskrawo pomalowane, luksusowe zabawki bogatej młodzieży. O tej porze dnia było tam mnóstwo wolnego miejsca do cumowania. Co ważniejsze, mieliśmy stamtąd niecałe piętnaście minut pieszo do biura Dzurinda Tudjman Sklep, i to w tempie uwzględniającym aktualne możliwości Sierry Tres. Kiedy stanęliśmy przed ich drzwiami, właśnie otwierali.

- Nie jestem pewien - powiedział pracownik, którego miał za zadanie przyjść do pracy wcześniej niż partnerzy i pilnować biura do ich przybycia. - Nie jestem pewien, czy...

- Cóż, ja jestem - rzuciła niecierpliwie Sierra Tres.

Aby osłonić szybko gojącą się nogę, założyła spódnicę do kostek, a jej głos i postawa nie zdradzały, że była ranna. Pilota zostawiliśmy na przystani ze ślizgaczem, ale Tres go nie potrzebowała. Perfekcyjnie rozgrywała kartę właściwej hajdukom arogancji. Pracownik drgnął.

- Słuchajcie... - zaczął znowu.

- Nie, ty słuchaj - przerwała mu. - Byliśmy w środku niecałe dwa tygodnie temu. Wiesz o tym. Jeśli chcesz zadzwonić do Tudjmana, proszę bardzo. Ale wątpię, by podziękował ci za to, że wyciągasz go z łóżka o tak wczesnej porze tylko po to, by potwierdził, że mamy dostęp do tego samego sprzętu, co ostatnim razem.

W końcu trzeba było telefonu do Tudjmana i trochę krzyków, by załatwić sprawę, ale dostaliśmy to, czego chcieliśmy. Pracownicy biura włączyli systemy wirtualne i zaprowadzili nas do kanap. Sierra Tres i Virginia Viadura stały i przyglądały się, jak kobieta w ciele Oshimy podłącza sobie elektrody. Wyciągnęła hipnofon w moją stronę.

- Co to ma być?

- Wysokiej klasy nowoczesna technika. - Rozjaśniłem twarz uśmiechem, choć wcale nie było mi wesoło. Wzbierające przy kacu oczekiwanie wywoływało mdlące, nie całkiem realne wrażenie, bez którego mógłbym się obyć. - Mamy to ledwie od paru stuleci. Tak się to aktywuje. Ułatwia przejście.

Kiedy Oshima skończyła, położyłem się na sofie obok niej i założyłem sobie hipnofon i elektrody. Zerknąłem na Tres.

- To jak, wszyscy wiemy, co zrobić, żeby mnie wyciągnąć, jeśli wszystko zacznie się sypać?

Kiwnęła głową, nie zdradzając emocji. Wciąż nie byłem do końca pewien, czemu zgodziła się nam pomóc, nie konsultując tego najpierw z Koim czy Brasilem. Wydawało się, że jest trochę za wcześnie na przyjmowanie rozkazów od ducha Quellcristy Falconer.

- No dobrze. Słyszymy w kanał.

Sonokody miały większe niż zwykle problemy z wciągnięciem mnie, ale w końcu poczułem, jak pokój się rozmywa, zastępowany przez boleśnie wyraźne ściany typowego apartamentu hotelowego.

Nieoczekiwanie przed oczami zatańczyło mi wspomnienie Viadury w pokoju w głębi korytarza.

Opanuj się, Tak.

Przynajmniej zniknął kac.

Konstrukt wyrzucił mnie przy oknie wychodzącym na nieprawdopodobną panoramę bezkresnych zielonych łąk. Po drugiej stronie pokoju, przy drzwiach, zarys długowłosej, wyprostowanej kobiety wyostrzył się w powłokę Oshimy.

Staliśmy przez chwilę, patrząc na siebie w milczeniu. Kiwnąłem głową. W tym geście musiało być coś fałszywego, bo zmarszczyła czoło.

- Jesteś pewien? Wiesz, że nie musisz przez to przechodzić.

- Przeciwnie, muszę.

- Nie spodziewam się...

- Wszystko w porządku, Nadiu. Szkolono mnie do pobytu na obcych planetach w nowych powłokach po to, żebym mógł zacząć natychmiast mordować tubylców. Myślisz, że to trudniejsze?

Wzruszyła ramionami.

- Dobrze.

- No dobrze.

Przeszła przez pokój i zatrzymała się niecałe pół metra ode mnie. Pochyliła głowę tak, że grzywa jej srebrnych włosów zsunęła się do przodu i zasłoniła twarz. Centralny kabel ześliznął się z boku czaszki i wisiał jak zdeformowany ogon skorpiona, oplatany cieńszymi włóknami. W tej chwili bardzo przypominała archetyp nawiedzenia, który moi przodkowie sprowadzili ze sobą przez kosmos z Ziemi. Wyglądała jak duch.

Zesztywniała.

Głęboko wciągnąłem powietrze i sięgnąłem ku niej. Moje palce rozsunęły włosy na jej twarzy jak zasłony.

Za nimi nie było nic. Żadnej twarzy ani struktury, tylko szczelina ciepłego mroku, która zdawała się wyciągać ku mnie jak negatyw światła. Nachyliłem się bliżej i ciemność otworzyła się na wysokości jej gardła, rozchylając się łagodnie wzdłuż pionowych osi jej znieruchomiałej postaci. Rozdzieliło ją do krocza, potem dalej, otwierając tę samą szczelinę w przestrzeni między jej nogami. Czułem, jak równocześnie drobnymi porcjami trać równowagę. Śladem ciała znikła podłoga hotelu, potem cały pokój, drżąc jak chusteczka wpadająca w ognisko na plaży. Otoczyło mnie ciepło, pachnące lekko elektrycznością. Pod sobą miałem jednolitą czerń. Stalowe pukle w lewej dłoni zestaliły się i pogrubily, zmieniając w stalowe liny. Wisiałem na nich nad pustką.

Proszę nie otwierać oczu, nie rozluźniać lewej dłoni, proszę się nie ruszać.

Zamrugąłem, zapewne w buncie, i odrzuciłem to wspomnienie.

Skrzywiłem się i puściłem.

* * *

Jeśli spadałem, wcale tego nie czułem.

Nie było żadnego pędu powietrza i nic, na podstawie czego można by ocenić ruch. Nie widziałem nawet własnego ciała. Kable znikły, jak tylko je puściłem. Równie dobrze mógłbym unosić się w bezruchu w komorze grawitacyjnej nie większej niż zasięg ramion, tyle że moje zmysły w jakiś sposób sygnalizowały, że otacza mnie olbrzymia, pusta przestrzeń. Przypominało to los skoczkochrząszcza dryfującego przez jeden z opustoszałych magazynów przy Pięknorostów Kohei dziewięć.

Odchrząknąłem.

Gdzieś nade mną zamigotało światło, pozostając tam. Odruchowo sięgnąłem ku niemu i moje

palce przesunęły się po delikatnych włóknach. Zaskoczyła perspektywa - światło nie było ogniem na niebotycznej wysokości, a drobnymi gałązkami parę centymetrów nad głową. Chwyciłem je delikatnie dłonią i obróciłem. W miejscach, których dotknąłem, światło smużyło. Puściłem i zawisło tam przede mną na wysokości torsu.

- Sylvie? Jesteś tam?

Odzyskałem oparcie pod stopami i znalazłem się w sypialni skąpanej w późnopołudniowym świetle. Sądząc po wystroju, mogła należeć do mniej więcej dziesięcioletniego dziecka. Na ścianach wisiały hologramy Micky'ego Nozawy, Rili Tsuchii i innych, nieznanymi mi bohaterów, do tego wąskie łóżko i biurko z holoterminalem. Lustrodrzewowe panele na jednej ze ścian nadawały małemu pokojowi pozory większej przestrzeni, a umieszczone na przeciwległej ścianie drzwi prowadziły do masy gęsto pozawieszanych ubrań, wśród których zauważyłem parę sukien w stylu dworskim. Na wewnętrznej stronie drzwi przyklejono plakat z hasłem wyrzeczników, ale arkusz odrywał się w jednym z rogów.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem typowe miasteczko klimatu umiarkowanego schodzące do portu i otaczające zatokę. Smugi pięknorostów w wodzie, sierpy Hoteia i Daikoku ledwo widoczne na jasnoblękitnym niebie. Mogłem być wszędzie. Łodzie i ludzkie postacie poruszały się w rozproszonych wzorach bliskich rzeczywistości.

Podszedłem do drzwi z kiepsko przyklejonym hasłem i nacisnąłem klamkę. Drzwi nie były zamknięte, ale kiedy próbowałem wyjść na korytarz, przede mną pojawił się nastoletni chłopiec i pchnął mnie do środka.

- Mama mówi, że masz zostać w swoim pokoju - powiedział nie przyjemnie. - Mama tak *każe*.

Drzwi trzasnęły tuż przed moim nosem.

Przyglądałem im się dłuższą chwilę, potem znów je otworzyłem.

- Mama mówi, że...

Uderzenie złamało mu nos i posłało go na przeciwległą ścianę. Zostałem z luźno zaciśniętą pięścią, czekając, czy na mnie skoczy, ale tylko zsunął się po ścianie. Patrzył na mnie oszołomiony, krwawił. Oczy błyszczały mu od szoku. Ostrożnie przestąpiłem nad jego ciałem i ruszyłem korytarzem.

Poczułem ją za sobą po niecałych dziesięciu krokach.

Wrażenie drobne i fundamentalne, poruszenie tekstury konstruktów, drapanie pazurzastych cieni pełgających po ścianach za moimi plecami. Zatrzymałem się i czekałem. Coś zwinęło się jak palce nad moją głową i wokół szyi.

- Cześć, Sylvie.

Bez ostrzeżenia znalazłem się przy barze w *Tokio Crow*. Wylądowała obok mnie, trzymając szklaneczkę whisky, której nie pamiętałem u niej, gdy byliśmy tam naprawdę. Przede mną stał podobny drink. Klienci kotłowali się wokół nas z wielokrotnie zwiększoną prędkością, kolory przyblakły do szarości, nie bardziej fizyczne niż dym z fajek przy stołach czy zniekształcone odbicia w lustrodrzewie pod naszymi drinkami. Panował zgiełk, ale rozmyty i wyciszony do granicy słyszalności, jak brzęczenie potężnego transformatora pod napięciem w pomieszczeniu obok.

- Mam wrażenie, Micky Szczęściarzu, że od kiedy pojawiłeś się w moim życiu - powiedziała bezbarwnie Sylvie Oshima - zaczęło się ono rozpadać.

- To nie zaczęło się tutaj, Sylvie.

Spojrzała na mnie z ukosa.

- Och, wiem. Powiedziałaś, że mam takie wrażenie. Ale wzór to wzór, czy faktyczny, czy tylko

pozorny. Wszyscy moi przyjaciele zginęli prawdziwą śmiercią, i teraz okazuje się, że to ty ich zabiłeś.

- Nie ten ja.

- Tak, tyle mi powiedziano. - Uniosła do ust szklaneczkę z whisky. - Jakoś wcale nie czuję się od tego lepiej.

Przełknęła całą zawartość. Zadygotała, kiedy whisky spłynęła jej do gardła.

Zmień temat.

- Czyli to, co ona słyszy, dociera tu na dół?

- Do pewnego stopnia. - Szklaneczka wróciła na bar. Magia systemu napełniła ją wolno, jakby płyn przesączał się przez materię konstrukt. Najpierw odbity obraz, od szczytu do dna, potem szklaneczka, od dna po brzeg. Sylvie przyglądała się temu ponuro. - Ale nadal odkrywam, jak bardzo splątane są nasze systemy zmysłów.

- Jak długo ją nosisz, Sylvie?

- Nie wiem. Od zeszłego roku? Może od kanionu Iyamon. Wtedy pierwszy raz straciłam przytomność. Pierwszy raz obudziłam się, nie wiedząc, gdzie jestem, z uczuciem jakby mój umysł był pokojem, do którego ktoś przyszedł i bez pytania poprzestawiał meble.

- Czy ona jest prawdziwa?

Ostry śmiech.

- Mnie o to pytasz? Tutaj?

- Dobra, wiesz może, skąd się wzięła? Jak do ciebie trafiła?

- Uciekła. - Oshima znów obróciła się w moją stronę. Wzruszyła ramionami. - Wciąż to powtarza: *uciekłam*. Oczywiście, tyle sama wiem. Wydostała się z jednej z cel, tak samo jak ty.

Odruchowo obejrzałem się przez ramię, szukając korytarza prowadzącego z sypialni. Nie zobaczyłem po nim żadnych śladów w zatłoczonym barze, nic nie wskazywało, by kiedykolwiek istniał.

- To była cela?

- Tak. Wpleciona w złożoną reaktywność. Oprogramowanie dowódcze tworzy je automatycznie wokół wszystkiego, co wchodzi do banków logicznych ze zdolnością używania języka.

- Wydostanie się nie było zbyt trudne.

- Cóż, jakiego języka używałaś?

- Hmm.. amangielskiego.

- Tak, w maszynowym pojęciu nie jest zbyt złożony. Prawdę mówiąc, jest dziecinny w swojej prostocie. Dostałeś więzienie odpowiadające twojemu poziomowi złożoności.

- Ale czy naprawdę spodziewałaś się, że tam zostanę?

- Nie ja, Micky. Oprogramowanie, które jest autonomiczne.

- No dobra, czy autonomiczne oprogramowanie oczekiwało, że zostanę w zamknięciu?

- Gdybyś był dziewięcioletnią dziewczynką z nastoletnim bratem - powiedziała dość gorzko - *zostałbyś tam*, uwierz mi. Systemy nie zostały zaprojektowane do rozumienia ludzkich zachowań. Po prostu rozpoznają ludzi, oceniając język. Cała reszta to maszynowa logika. Część scenerii i nastrój wyciągają z mojej podświadomości i ostrzegają mnie bezpośrednio, jeśli dojdzie do bardziej brutalnego naruszenia integralności, ale nie ma to faktycznego ludzkiego kontekstu. Likowie nie zajmują się ludźmi.

- Czyli gdyby ta Nadia, czy kimkolwiek jest, weszła w system, mówiąc, dajmy na to, dawnym japońskim, system umieściłby ją w klatce podobnej do mojej?

- Tak. Japoński jest trochę bardziej złożony od amangielskiego, ale w rozumieniu maszyn

różnica praktycznie nie ma znaczenia.

- Czyli mogła się łatwo wydostać, tak jak ja. I to bez ostrzegania cię, jeśli zachowywała się ostrożnie.

- Ostrożniej niż ty, tak. Przynajmniej z systemu więziennego. Wyszukanie drogi przez interfejsy zmysłowe i buforów do mojej głowy musiało być znacznie trudniejsze. Ale jeśli miała dość czasu i dostateczną determinację...

- Och, determinacji jej nie brakuje. Wiesz, za kogo się podaje, prawda?
Skinęła głową.

- Powiedziała mi, kiedy obie ukrywałyśmy się przed śledczymi Har-
lana. Ale chyba i tak już wiedziałam. Zaczęłam dużo o niej śnić.

- Myślisz, że naprawdę jest Nadią Makitą? Sylvie uniosła drinka i pociągnęła ze szklaneczki.

- Trudno byłoby to wyjaśnić.

- Ale i tak zamierzasz jej pozwolić sterować sytuacją w najbliższej przyszłości, prawda? Nawet jeśli nie wiesz, kim jest naprawdę.

Kolejne wzruszenie ramion.

- Mam skłonność do osądzania ludzi po efektach ich działań. Wygląda na to, że dobrze sobie radzi.

- Do jasnej cholery, Sylvie, przecież wiesz, że ona równie dobrze mogłaby być wirusem.

- Tak, czytałam w szkole, że to samo przydarzyło się oryginalnej Quellcriście Falconer. Czy nie tak nazywają quellizm z czasów Niepokojów? *Wirusowa trucizna w zdrowym ciele społeczeństwa!*

- Nie mówię tu o politycznych metaforach, Sylvie.

- Ja też nie. - Przechyliła swoją szklaneczkę, znów ją opróżniła i odstawiła. - Słuchaj, Micky, nie jestem aktywistką ani żołnierzem, tylko infoszczurem. Wimpy i kod, to ja. Wyślij mnie na Nowe Hokkaido z załogą, a nikt mnie nie ruszy. Ale mnie tam teraz nie ma i oboje wiemy, że nieprędko wrócę do Dravy. Tak więc biorąc pod uwagę aktualny klimat, myślę, że ustąpię tej Nadii. Bo kimkolwiek faktycznie jest, poradzi sobie na tych wodach zdecydowanie lepiej niż ja.

Siedziałem, patrząc, jak napełnia się jej szklaneczka. Potrząsnąłem głową.

- To do ciebie niepodobne, Sylvie.

- Ależ tak. - Nagle jej głos nabrał mocy. - Moi przyjaciele zginęli albo gorzej, Micky. Szuka mnie cała planeta glin i yakuza z Millsport, chcąc zrobić ze mną to samo. A więc nie mów mi, że to nie ja. Nie wiesz, co dzieje się ze mną w takich warunkach, bo wcześniej mnie takiej, do cholery, nie widziałeś. Nawet ja, do diabła, nie wiem, jak zachowam się w takiej sytuacji.

- Tak, i zamiast się tego dowiedzieć, zamierzasz zostać tutaj jak w jakimś pieprzonym śnie wyrzecznika o grzecznej dziewczynce, którą kiedyś wychowali twoi rodzice. Będiesz tu sobie siedzieć i bawić się swoim światem wtyczek w nadziei, że ktoś na zewnątrz zajmie się twoimi sprawami.

Nie odpowiedziała, uniosła tylko w moją stronę świeżo napełnioną szklaneczkę. Poczulem przepełniającą mnie nagle falę wstydu.

- Przepraszam.

- Powinieneś. Chciałbyś przejść przez to, co Orr i pozostali? Bo mam tu to wszystko zarejestrowane.

- Sylvie, nie możesz...

- Długo umierali, Micky. Wszyscy uciekali. Na koniec Kiyoka płakała jak dziecko, żebym po nią przyszła. Chcesz się w to wpiąć i ponosić to sobie przez chwilę, tak jak ja?

Zadrzałem i odniosłem wrażenie, że przeniosło się to na cały konstrukt. Powietrze wokół nas

wypełnił cichy, zimny brzęk.

- Nie.

Potem siedzieliśmy dłuższy czas w milczeniu. Klienci *Tokio Crow* przemykali wokół nas jak upiory.

Po jakimś czasie wskazała w górę.

- Wiesz, aspiranci wierzą, że to jedyna prawdziwa forma istnienia. Że wszystko na zewnątrz to iluzja, gra cieni stworzona przez przodków jako kolebka do czasu, aż będziemy potrafili stworzyć sobie własne, indywidualne rzeczywistości i przelać się do nich. To pocieszające, prawda?

- Jeśli tego chcesz.

- Nazwałeś ją wirusem - powiedziała w zadumie. - Jak na wirusa bardzo skutecznie tu sobie poradziła. Zinfiltrowała moje systemy, jakby ją do tego zaprojektowano. Może będzie równie skuteczna tam, w teatrze cieni.

Zamknąłem oczy. Przycisnąłem dłoń do twarzy.

- Coś nie tak, Micky?

- Proszę, powiedz mi, że mówisz metaforami. Nie sądzę, bym potrafił teraz znieść kolejnego fanatyka.

- Hej, nie podoba ci się rozmowa, możesz w każdej chwili stąd wypieprzać, wiesz?

Nagła złość w jej głosie skierowała moje wspomnienia z powrotem na Nowe Hokkaido i pozornie niekończące się kłótnie lików. Wraz z tym obrazem na moje usta wypełził nieoczekiwany uśmiech. Otworzyłem oczy i znów na nią spojrzałem. Położyłem obie dłonie płasko na barze, westchnąłem i pozwoliłem, by uśmiech się poszerzył.

- Sylvie, przyszedłem tu po ciebie.

- Wiem. - Położyła dłoń na jednej z moich. - Ale mnie tu dobrze.

- Powiedziałem Lasowi, że będę się tobą opiekował.

- Więc opiekuj się nią. To i mnie zapewni bezpieczeństwo.

Zawahałem się, próbując odpowiednio to zrozumieć.

- Myślę, Sylvie, że ona może być jakimś rodzajem broni.

- I co z tego? Czy nie jesteśmy nimi wszyscy?

Rozejrzałem się po barze i wypełniających go duchach. Ciche, zlewające się głosy.

- Czy to naprawdę wszystko, czego chcesz?

- W tej chwili, Micky, to wszystko, z czym mogę sobie poradzić. Mój drink stał przede mną nietknięty. Wstałem. Podniosłem go.

- W takim razie lepiej wrócę.

- Jasne. Odprowadzę cię.

Whisky spłynęła, piekąc, tania i ostra, nie taka, jakiej się spodziewałem.

* * *

Wyszła ze mną na nabrzeże. Wstawał tam już świt, zimny i bladoszary. Wokół kręcili się ludzie, sunący rozmazanymi, pastelowymi plamami po równomiernym świetle. Myjnia kutrów stała zamknięta i porzucona, a przy słupach cumowniczych i na oceanie nie było śladu statków. Wszystko wyglądało nago i surowo, a Morze Andrassy'ego z ponurą siłą uderzało falami w słupy. Patrząc na północ, czuło się Drawę przyczajoną za horyzontem w podobnej porzuconej ciszy.

Staliśmy pod żurawiem, przy którym pierwszy raz rozmawialiśmy, i nagle z olbrzymią siłą dotarło do mnie, że widzę japo raz ostatni.

- Jedno pytanie. Patrzyła w morze.

- Jasne.

- Twoja ulubiona agentka tam na górze mówi, że rozpoznała kogoś w jednej z twoich cel. Grigoriego Ishię. Kojarzy ci się z kimś?

Lekko zmarszczyła brwi.

- Tak, brzmi znajomo. Choć nie potrafię powiedzieć dokładnie. Ale nie bardzo wiem, jak miałyby tam trafić osobowość martwego człowieka.

- Cóż.

- Ona powiedziała, że *to jest* ten Grigori?

- Nie. Powiedziała, że jest tam coś, co jej go przypomina. Brzmi jak on. Ale kiedy odjechałaś w trakcie walki z tym działem skorpionowym, kiedy zaczęłaś wychodzić z choroby w Dravie, powiedziałaś, że to cię znało, coś cię rozpoznało, jak starego przyjaciela.

Sylvie wzruszyła ramionami. Większość uwagi wciąż skupiała na obserwacji horyzontu.

- W takim razie mogłoby to być coś, co wyewoluowały wimy. Wirus wyzwalający procedury rozpoznawania w ludzkim mózgu, przez co miałbyś wrażenie, że widzisz lub słyszysz coś znajomego. Każdy podciągałby sobie do tego indywidualny obraz.

- To nie brzmi zbyt prawdopodobnie. Przecież wimy nie miały ostatnio okazji obserwować ludzkich reakcji, na których mogłyby się oprzeć. Mecsek działa dopiero od ilu, trzech lat?

- Czterech. - Lekki uśmiech. - Micky, wimy zostały *zaprojektowane* do zabijania ludzi. Po to je pierwotnie stworzono trzysta lat temu. Nie wiadomo, czy jakieś elementy wirusowej broni opartej na tych wytycznych przetrwały tak długo, ale jeśli tak, mogły się przecież rozwinąć.

- Natknęłaś się kiedyś na coś takiego?

- Nie. Ale to nie znaczy, że nic takiego tam nie istnieje.

- Albo tu.

- Albo tu - zgodziła się szybko.

Chciała, żebym już sobie poszedł.

- Mogłaby to być kolejna bomba w osłonie osobowościowej.

- Możliwe.

- Tak. - Rozejrzałem się wokół. - Jak się stąd wydostać?

- Żurawiem. - Na chwilę do mnie wróciła. Jej wzrok oderwał się od horyzontu, spojrzała mi w oczy. Wskazała głową w górę, gdzie stalowa drabinka znikwała w rusztowaniach urządzenia. - Po prostu wspinaj się w górę.

Świetnie.

- Uważaj na siebie, Sylvie.

- Będę.

Pocałowała mnie lekko w usta. Skłoniłem się, klepnałem ją w ramię i cofnąłem się o parę kroków. Potem odwróciłem się do drabiny, chwyciłem zimny metal szczebli i zacząłem się wspinać.

Wydawała się dość solidna. W każdym razie zdecydowanie solidniejsza od pełnych darłoskrzydłów morskich klifów i rusztowań pod marsjańskimi wieżami.

Wspiąłem się już na kilkadziesiąt metrów, kiedy z dołu dobiegł mnie jej głos.

Spojrzałem w dół. Stała przy podstawie żurawia, patrząc na mnie. Dłonie przyłożyła do ust. Ostrożnie uwolniłem jedną dłoń i pomachałem.

- Tak?

- Właśnie sobie przypomniałam. O Grigorim Ishii uczyliśmy się w szkole.

- Czego dokładnie?

Rozłożyła ręce.

- Przykro mi, nie mam pojęcia. Kto pamięta takie bzdury?

- Racja.

- Czemu *jej* nie zapytasz?

Dobre pytanie. Oczywiście odpowiedzią zdawała się ostrożność Emisariusza. Ale w ułamku sekundy obudziła się we mnie uparta nieufność. Odmowa. Nie kupowałem cudownego powrotu Quell za mizerne stawki, jakie gotowi byli zaakceptować Koi i Robaczki.

- Może to zrobię.

- Cóż... - Uniosła rękę na pożegnanie. - Skanuj, Micky. Wspinaj się i nie patrz w dół.

- Jasne - odkrzyknąłem. - Ty też się trzymaj, Sylvie.

Ruszyłem dalej. Stacja myjąca zmalała do rozmiarów dziecięcej zabawki. Morze przybrało teksturę szarego metalu wyginającego się ku horyzontowi. Sylvie stała się kropką zwróconą na północ, a potem zbyt małą, by odczytać kształt. Może już jej tam w ogóle nie było. Rusztowanie wokół mnie przestało już przypominać wspornik dźwigu. Zimne światło poranka ściemniało do chwiejnego, srebrzystego blasku na metalu, który zdawał się irytująco znajomy. Wcale się nie męczyłem.

Przestałem patrzeć w dół.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

- A więc? - zapytała w końcu.

Wyrzależ przez okno na plażę Vchira i blask słońca na morskich falach. Zarówno plaża jak i woda zaczynały się napełniać drobnymi ludzkimi sylwetkami, pragnącymi cieszyć się pogodą. Biura Dzurinda Tudjman Sklep były izolowane środowiskowo, ale prawie czuło się wzbierający upał, słyszało się narastającą falę turystów z towarzyszącym im zgiełkiem rozmów. Od chwili wyjścia z konstrukt do nikogo się nie odezwałem.

- A więc miałaś rację. - Zerknęłem z ukosa na kobietę w ciele Sylvie Oshimy, po czym znów wpatrzyłem się w morze. Wrócił kac, ostrzejszy niż wcześniej. - Nie zamierza wychodzić. Żeby poradzić sobie z bólem, wróciła do bzdur wyrzeczników i chce tam zostać.

- Dziękuję.

- Tak. - Dałem spokój oknu i odwróciłem się do Tres i Viadury. - Skończyliśmy.

W drodze na ślizgacz nikt się nie odzywał. Przepychaliśmy się przez jaskrawe tłumy, w milczeniu przedzierając się pod prąd. Przez większość czasu wystarczył wygląd, by otworzyć nam przejście - widać to było na twarzach ludzi pospiesznie ustępujących nam z drogi. Ale w słonecznym cieple i pędzie do wody nie wszyscy choćby powierzchownie uważali. Sierra Tres krzywiła się za każdym razem, gdy jej noga stykała się z jaskrawo kolorowymi, plastikowymi utensyliami plażowymi, które turyści nieśli bardzo niedbale, lecz albo prochy, albo skupienie pozwalały jej powstrzymać okrzyk bólu. Nikt z nas nie chciał wywołać godnej zapamiętania awantury. Tylko raz Tres odwróciła się, by spojrzeć na wyjątkowo niezdarnego typu, który praktycznie uciekł na jej widok.

Hej, ludzie - przemknęło mi przez głowę. Nie rozpoznajecie swoich politycznych bohaterów? Przyszliśmy was wyzwolić.

Na Słonecznym Radosnym Molo pilot leżał na skośnym pokładzie ślizgacza, jak wszyscy inni chłonąc promienie słońca. Kiedy weszliśmy, usiadł, mrugając.

- Szybko poszło. Już chcecie wracać?

Sierra Tres rozejrzała się ostentacyjnie po jaskrawym plastiku, wypełniającym każdy kawałek plaży.

- Masz jakiś powód, żeby tu zostać?

- Hej, nie jest tak źle. Przyplływamy tu czasem z chłopakami, świetnie się bawią, tu są fantastyczni ludzie, nie tak cholernie przemądrzali, jak na południowym skraju. A, tak... Ty, gościu, kumplu Rada.

Podniosłem wzrok, zaskoczony. - Tak?

- Ktoś o ciebie pytał.

Zatrzymałem się w drodze wzdłuż burty ślizgacza. Poczulem chłodną falę przygotowania Emisariusza zabarwioną drobną iskrą oczekiwania. Kac wycofał się gdzieś w głąb czaszki.

- Czego chciał?

- Nie powiedział. Nie podał nawet nazwiska. Choć nieźle cię opisał. To był kapłan, jeden z tych północnych dziwaków z brodą.

Kiwnąłem głową, czując, jak iskra oczekiwania wzbudza małe płomyczki.

- I co mu powiedziałeś?

- Żeby spadał. Mam kobietę z Saffron. Opowiadała mi o niektórych paskudztwach, które tam wyprawiają. Przywiązałbym tym sukinsynom kamień do szyi żywodrutem i wrzucił prosto do wody.

- Gość był stary czy młody?

- Och, młody. I nieźle się trzymał, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Przypomniałem sobie słowa Virginii Viadury. *Uświęceni zabójcy atakujący wybranych niewiernych.*

Cóż, chyba na to czekałeś.

Viadura podeszła i położyła mi rękę na ramieniu.

- Tak...

- Wracaj teraz z pozostałymi - powiedziałem cicho. - Ja się tym zajmę.

- Tak, potrzebujemy cię do...

Uśmiechnąłem się do niej.

- Niezła próba. Ale już do niczego mnie nie potrzebujecie. A ja właśnie w wirtualu uwolniłem się z ostatnich obietnic. Nie mam już nic lepszego do roboty.

Patrzyła na mnie uparcie.

- Wszystko będzie w porządku - zapewniłem ją. - Rozszarpie mu gardło i zaraz wrócę.

Potrząsnęła głową.

- To naprawdę wszystko, czego chcesz?

Słowa zadźwięczały niczym echo mojego pytania do Sylvie w głębinach wirtualizacji. Niecierpliwie machnąłem ręką.

- A jaki mam wybór? Walczyć za szlachetną sprawę quellistów? Jasne. Walczyć dla stabilności i dobrobytu Protektoratu? Obie te rzeczy już robiłem, Virginia, *ty* je robiłaś i znasz prawdę równie dobrze, jak ja. Wszystko to gówno na patyku. Przypadkowi widzowie rozrywani na strzępy, krew i krzyki, a wszystko dla jakiegoś śliskiego politycznego kompromisu. To sprawy innych ludzi, Virginia. Mam już ich potąd.

- I co zamiast tego? To? Jeszcze więcej bezsensownych śmierci?

Wzruszyłem ramionami.

- Znam się tylko na tym. W tym jestem dobry. Ty mnie tego *nauczyłaś*, Virginia.

To podziałało na nią jak policzek. Wzdrygnęła się. Sierra Tres i pilot spojrzeli na nas zaciekawieni. Zauważyłem, że kobieta nazywająca siebie Quell zeszła do kabiny pod pokładem.

- Oboje odeszliśmy z Korpusu - powiedziała w końcu Virginia. - Nietknieci. Mądrzejsi. A teraz zamierzasz tak po prostu wyłączyć swoje życie, jak jakiś pieprzony palnik? Zatopić się w podprogramie zemsty?

Przywołałem na twarz uśmiech.

- Mam za sobą dobrze ponad sto lat życia, Virginia. Nie będzie mi go brakować.

- Ale to nie rozwiąże twoich problemów. - Nagle zaczęła krzyczeć. - To ci nie *odda* Sary. Kiedy już skończysz, wciąż jej nie będzie. Zabiłeś już i poddałeś torturom wszystkich, którzy tam byli. Czy czujesz się od tego choć trochę lepiej?

- Ludzie zaczynają się gapić - zauważyłem spokojnie.

- Nic mnie to nie obchodzi. Odpowiedz mi. *Czy czujesz się od tego choć trochę lepiej?*

Emisariusze są doskonałymi kłamcami. Ale nie wobec samych siebie i innych Emisariuszy.

- Tylko kiedy ich zabijam.

Ponuro pokiwała głową.

- Tak, zgadza się. I wiesz, co to takiego, Tak. Oboje wiemy. Przecież widywałeś to już wcześniej. Pamiętasz Cheba Oliveirę? Nilsa Vrighta? To patologia, Tak. Brak kontroli. To uzależnienie, które w końcu cię zniszczy.

- Może tak. - Nachyliłem się bliżej, walcząc, by opanować nagłą złość. - Ale po drodze nie zgina piętnastoletnie dziewczęta. Nie doprowadzę do bombardowania miast ani śmierci ich

mieszkańców. Nie dojdzie przez to do Niepokojów ani kampanii Adoracion. W przeciwieństwie do twoich kumpi od surfowania i nowej najlepszej przyjaciółki w kabinie pod pokładem, nie proszę o ofiary nikogo innego.

Przez parę sekund patrzyła na mnie ciężko. Potem kiwnęła głową, jakby nagle przekonała się o czymś, czego nie była pewna.

Odwróciła się bez słowa.

* * *

Ślizgacz oddryfował bokiem od pomostu, wykręcił na fali mętnej wody i z dużą szybkością ruszył na zachód. Nikt nie został na pokładzie, by mi pomachać. Na twarz spadły mi kropelki wody z usterzenia pionowego na ogonie. Przyglądałem się, jak pojazd niknie do małej plamki na horyzoncie, po czym ruszyłem szukać kapłana.

Uświęceni samotni zabójcy.

Walczyłem z nimi parokrotnie na Sharyi. Szaleńcy religijni o patriotycznym nastawieniu w powłokach Męczenników Prawej Ręki Boga, wybrani z szeregów wojowników, którym dano wirtulany przedsmak rajy czekającego na nich po śmierci i wysyłano, by infiltrowali placówki Protektoratu. Podobnie jak ogół sharyańskiego ruchu oporu, nie grzeszyli nadmiarem wyobraźni - co przywiodło ich do zguby, kiedy stanęli przeciw nim Emisariusze - ale nie można było też ich zlekceważyć. Zanim zabiliśmy ostatniego z nich, wszyscy rozwinęliśmy w sobie zdrową dozę szacunku dla ich odwagi i wytrzymałości.

W porównaniu z nimi Rycerze Nowego Objawienia byli łatwym celem. Mieli entuzjazm, ale brakowało im korzeni. Ich wiara opierała się na standardowych religijnych podstawach podburzania tłumy i mizoginii, i jak dotąd brakowało im czasu albo nie czuli potrzeby, by powołać osobną klasę wojowników. Byli amatorami.

Jak dotąd.

Zacząłem od tańszych hoteli wzdłuż wybrzeża od strony Bezmiaru. Mogłem się założyć, że kapłan zdołał dotrzeć do moich śladów w okolicach Dziurinda Tudjman Sklep, zanim wyjechaliśmy do Millsport. Cierpliwość jest u zabójcy cechą bezcenną. Trzeba wiedzieć, kiedy zaatakować, ale należy też być przygotowanym na długie oczekiwanie. Zleceniodawcy muszą to rozumieć. Czeka się i szuka śladów. Codzienna wycieczka do Słonecznego Radosnego Mola pozwalała sprawdzić, kto przyplływał, a kto odpływał, zwłaszcza jeśli dotyczyło to nietypowej jednostki. W rodzaju matowego i niskiego pirackiego ślizgacza pośród jaskrawych łodzi turystów, którzy zwykle tam cumowali. Jedyna rzecz, która nie pasowała do profilu zabójcy, to fakt, że otwarcie podszedł do pilota, i jego beczelna, oparta na wierze arogancja.

Delikatny, ale utrzymujący się w powietrzu odór gnijących pieknorostów, niszczące fasady i niechętna obsługa. Wąskie uliczki, przecinane padającymi pod ostrym kątem promieniami słońca. Wilgotne, zawalone śmieciem zaułki, wysychające wyłącznie w południe. Pojawiający się z rzadka turyści, już wyglądający załośnie w swoich nędznych próbach zabawy na słońcu. Wędrowałem przez to wszystko niespiesznie, by pozwolić na pracę zmysłom Emisariusza, próbując stłumić ból głowy i łaknącą celu nienawiść.

Znalazłem go na długo przed wieczorem.

Nietrudno było go wysledzić. Kossuth był wolny od zarazy Nowego Objawienia i ludzie zauważali kapłanów, tak jak zauważa się akcent z Millsport u Watanabego. Wszędzie zadawałem to samo proste pytanie. Udawany slang surferów, wyłapany z łatwo dających się odtworzyć strzępów rozmów otaczających mnie przez ostatnie parę tygodni, pozwolił mi przebić się przez osłony dostatecznej liczby kiepsko opłacanych pracowników, by prześledzić tropy kapłana. Resztę załatwiło

rozsądne rozdawnictwo niskiej wartości chipów kredytowych i odrobina ciężkich spojrzeń. Zanim upał zaczął ustępować przed wieczornym chłodem, stanąłem w odrapanym holu miejsca łączącego funkcję hotelu i punktu wynajmu łodzi o nazwie *Pałac fal*. Dość niestosownie, jako że zbudowano go na leniwych wodach Bezmiaru na starożytnych słupach z lustrodrzewu, i przez podłogę przedzierał się smród gnijących w dole pięknorostów.

- Jasne, wprowadził się jakiś tydzień temu - poinformowała mnie dziewczyna w recepcji, ustawiając na stojaku kupkę mocno zużytych desek surfingowych. - Spodziewałam się kłopotów... wiesz, w końcu jestem kobietą i tak się ubieram... ale wydaje się, że w ogóle go to nie ruszyło.

- Naprawdę?

- Tak, i świetnie zachowuje równowagę ciała, wiesz, o czym mówię? Pomyślałam nawet, że może jest jeźdźcem. - Roześmiała się beztróskim śmiechem nastolatki. - Głupie, co? Ale chyba nawet oni mają surferów, co?

- Surferzy są wszędzie - zgodziłem się.

- I co, chcesz pogadać z tym gościem? Zostawić mu wiadomość?

- Cóż... - Spojrzałem na kamerę za blatem recepcjonistki. - Właściwie to chciałbym mu coś zostawić, jeśli można. Niespodziankę.

To do niej przemówiło. Uśmiechnęła się szeroko i wstała.

- Jasne, nie ma problemu.

Dała spokój deskom i wyszła zza blatu. Sięgnąłem do kieszeni i wygrzebałem zapasowy magazynek do rapsodii.

- Proszę bardzo.

Z zaciekawieniem przyjęła małe czarne pudełko.

- To wszystko? Nie chce mu pan zostawić do tego jakiejś kartki czy coś?

- Nie, to wystarczy. On zrozumie. Proszę mu po prostu powiedzieć, że wrócę wieczorem.

- Dobra, jeśli tego pan chce. - Wzruszyła ramionami i wróciła za ladę. Przyglądałem się, jak wsuwa magazynek do zakurzonej przegródki z numerem 74.

- A właściwie - powiedziałem, jakbym dopiero co podjął decyzję. - Czy mógłbym dostać pokój?

Odwróciła się, zaskoczona. - Och, jasne...

- Tylko na dzisiaj. Wie pani, w sumie ma to więcej sensu, niż szukać miejsca gdzie indziej i wracać później.

- Jasne, nie ma problemu. - Dotknięciem obudziła wyświetlacz na blacie, zajrzała do niego i znów posłała mi uśmiech. - Wie pan, jeśli pan chce, mogę pana umieścić na tym samym poziomie. Nie obok, pokój jest zajęty, ale parę pokoi dalej.

- To bardzo miło z pani strony - odparłem. - W takim razie proszę mi powiedzieć, że tu jestem, i podać numer mojego pokoju. Będzie mógł do mnie wpaść. Wobec tego proszę mi oddać tę przesyłkę.

Zmarszczyła brwi pod ciężarem informacji. Z powątpiewaniem podniosła magazynek rapsodii.

- Czyli nie chce pan, żebym mu to przekazała?

- Nie, już nie, dziękuję. - Uśmiechnąłem się do niej. - Chyba jednak wolę dać mu to sam. Tak będzie bardziej uprzejmie.

* * *

Drzwi na górze były w starym stylu, otwierane na zawiasach. Włamanie się do pokoju numer 74 stanowiło mniej więcej taką samą trudność, jak dla szesnastoletniego złodziejaska ulicznego wejść do magazynu z tanim sprzętem do nurkowania.

Pokój był ciasny i skromnie urządzone. Kapsułowa łazienka, jednorazowy hamak, żeby

oszczędzić na miejscu i praniu, szuflady wbudowane w ściany oraz małe plastikowe biurko z krzesłem. Okno o regulowanej przezroczystości podpięte niezdarnie do systemu klimatyzacyjnego pokoju - kapłan zostawił je przyciemnione. Rozejrzałem się za jakąś kryjówką i z braku innej alternatywy musiałem się wcisnąć do kapsuły. Kiedy do niej wszedłem, w nosie zaświdrował mi zapach środków dezynfekcyjnych - niedawno musiał się aktywować cykl czyszczenia. Wzruszyłem ramionami, zacząłem oddychać przez usta i przegrzebałem szuflady w poszukiwaniu środków przeciwbólowych na kaca. W jednej znalazłem podstawowy zestaw dla turystów na wypadek udaru cieplnego. Przełknąłem na sucho kilka pastylek i usiadłem na zamkniętej ubikacji, czekając.

Coś tu się nie zgadza, upomniały mnie zmysły Emisariusza. Coś nie pasuje.

Może nie jest tym, za kogo go bierzesz.

Jasne, to negocjator, przyszedł, żeby cię przekonać. Bóg zmienił zdanie.

Religia jest jak polityka, tyle że powołuje się na wyższe stawki, Tak. Powinieneś to wiedzieć, widziałeś, jak działa na Sharyi. Nie ma powodu, żeby ci ludzie nie robili tego samego, kiedy nastąpi kryzys.

Ci ludzie to owce. Zrobią wszystko, co powiedzą im prorocy.

W moim umyśle pojawił się obraz Sary. Świat wokół mnie natychmiast zawirował w furii. Po raz tysięczny wyobraziłem sobie tę scenę i w moich uszach rozległ się ryk odległego tłumu.

Wyciągnąłem nóż Tebbita i obejrzałem ciemne, matowe ostrze.

Na jego widok wolno spłynął na mnie spokój Emisariusza. Z powrotem usiadłem w ograniczonej przestrzeni kapsuły, pozwalając, by wypełnił mnie jak skroplony cel. Wraz z nim napłynęły strzępy słów Viadury.

Broń to tylko przedłużenie ręki. Ty jesteś zabójcą i niszczycielem.

Zabij szybko i zniknij.

To nie zwróci ci Sary. Nawet jeśli to zrobisz, nadal będzie martwa.

Przy tym się skrzywiłem. Nie jest dobrze, gdy idole z czasów formowania osobowości zaczynają zachowywać się niespójnie. Kiedy odkrywasz, że są równie ludzcy, jak ty.

Zaskrzypiały otwierane drzwi.

Myśli zniknęły jak liście porwane wichurą. Wyskoczyłem z kapsuły za jej drzwi i stanąłem z wyciągniętym nożem, gotów dźgnąć.

Nie wyglądał tak, jak sobie wyobrażałem. Zarówno pilot ślizgacza, jak i dziewczyna na dole wspominali o jego sprawności fizycznej i widać ją było w sposobie, w jaki się okręcił, słysząc szelest mojego ubrania, czując poruszenie powietrza w pokoiku. Ale był szczupły i wyprostowany, z wygoloną czaszką, brodą i zupełnie idiotycznym uśmiechem na delikatnej twarzy.

- Szukasz mnie, kapłanie?

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy i nóż w mojej dłoni zaczął drżeć.

Potem kapłan sięgnął w górę i szarpnął za swoją brodę, która oderwała się z cichym trzaskiem.

- Oczywiście, że cię szukam, Micky - zmęczonym głosem powiedziała Jadwiga. - Gonię cię prawie od miesiąca.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

- Podobno zginęłaś.

- Jasne, przynajmniej dwa razy. - Jad zaczęła skubać trzymaną w dłoniach sztuczną brodę. Siedzieliśmy razem przy tanim plastikowym biurku, nie patrząc na siebie. - Pewnie to jedyny powód, dla którego tu jestem. Nie szukali mnie, kiedy przyszli po pozostałych.

Kiedy to mówiła, zobaczyłem przed oczami Draveę, śnieg wirujący na tle nocy, oblodzone konstelacje lamp i pojedyncze postacie poruszające się między budynkami, kulące się dla ochrony przed chłodem. Przyszli następnego wieczora, bez ostrzeżenia. Nie było jasne, czy Kurumaya został przekupiony, usadzony groźbami władz czy po prostu zamordowany. Dzięki sile oprogramowania dowódczego Antona na pełnym dopalaniu Kovacs i jego ludzie wyszukali załogę Sylvie, opierając się na sygnaturach sieciowych. Wywalili drzwi, zażądali poddania.

Najwyraźniej nikt ich nie posłuchał.

- Widziałam, jak Orr kogoś rozwalił - mówiła dalej Jad, mechanicznie, zatopiona we wspomnieniach. - Jeden błysk. Wrzeszczał do wszystkich, by uciekali. Ja niosłam właśnie jedzenie z baru. Nawet nie...

Urwała.

- Wszystko w porządku - powiedziałem.

- Nie, do cholery, nie jest w porządku, Micky. Uciekłam.

- Zginęłabyś, gdybyś tego nie zrobiła. Byłabyś naprawdę martwa.

- Słyszałam krzyk Kiyoki. - Przełknęła ślinę. - Wiedziałam, że jest za późno, ale...

Pospiesznie jej przerwałem.

- Ktoś cię widział?

Z wahaniem pokiwała głową.

- Wymieniliśmy trochę strzałów w drodze do hangaru z pojazdami. Sukinsyny byli wszędzie, takie miałam wrażenie. Ale nie poszli za mną. Myślę, że uznali mnie po prostu za aktywnego widza. - Wskazała na noszoną przez siebie powłokę Eishundo. - Rozumiesz, nie znaleźli po mnie śladu w załogowej sieci. Dla tego sukinsyna Antona byłam niewidzialna.

Odpaliła jednego z żuków Dracul i wyjechała przez dok.

- Miałam trochę problemów z systemami obronnymi, teoretycznie nie wolno wjeżdżać pojazdami do wody bez autoryzacji. - Roześmiała się bez rozbawienia. - Ale znaczniki w końcu zostały zaakceptowane.

I prosto na Morze Andrassy'ego.

Odruchowo kiwnąłem głową, czując równocześnie niedowierzanie. Prowadziła żuka bez odpoczynku prawie tysiąc kilometrów z powrotem do Tekitomury i cichego, nocnego lądowania w zatoczce na wschód od miasta.

Zbyła to wzruszeniem ramion.

- Miałam w sakwach jedzenie i wodę. I met, żeby nie zasnąć. Dracul wyposażony jest w systemy nawigacyjne Nuhanovica. Martwiłam się tylko tym, by utrzymać się dostatecznie blisko powierzchni i wyglądać jak łódź, a nie samolot. Nie chciałam wkurzyć satelitów.

- A jak mnie znalazłaś?

- To trochę dziwne. - Pierwszy raz w jej głosie pojawiło się coś, co nie było zmęczeniem ani wściekłością. - Sprzedałam żuka za gotówkę na nabrzeżu Soroban i szłam z powrotem do Kompcho. Schodziłam z mętu. I nagle jakbym poczuła twój zapach. Coś jak zapach rodzinnego hamaka, kiedy byłam dzieckiem. Po prostu poszłam za tym tropem. Ponieważ schodził ze mnie met, ruszyłam na

autopilocie. Zobaczyłam cię na nabrzeżu, wchodziłeś na ten gówniany frachtowiec. *Córka hajduka*.

Znów kiwnąłem głową, tym razem czując, jak nagle wskakują na swoje miejsce duże kawałki układanki. Znów ogarnęło mnie przyprawiające o zawrót głowy, niezwykle dla mnie uczucie przynależności do rodziny. W końcu byliśmy bliźniakami. Bliskimi potomkami dawno wymarłego klanu Eishundo.

- I wtedy się tam ukryłaś. To ty próbowałaś dostać się do kontenera, kiedy przyszedł sztorm.
Skrzywiła się.

- Tak, łażenie po pokładzie jest fajne, kiedy świeci słońce. Nie chciałbyś tego próbować, kiedy przychodzi sztorm. Powinnam była się domyślić, że będą tam mieli pełno alarmów. Pieprzony olej sieciornic, myślałby kto, że to sprzęt Khumalo, biorąc pod uwagę, ile sobie za to liczą.

- A drugiego dnia ukradłaś też jedzenie z ogólnej lodówki.

- Hej, kiedy zobaczyłam, jak wchodzisz na pokład, twój transport błyskał światłami odbijania. Wyłączyliście w ciągu godziny. Nie miałam czasu zebrać zapasów na drogę. Wytrzymałam dzień bez jedzenia, zanim domyśliłam się, że wypływasz z Erkezów i rejs będzie długi. Byłam cholernie głodna.

- Wiesz, tam prawie doszło do walki o to jedzenie. Jeden z twoich likowych kolegów chciał rozwalić kogoś za kradzież.

- Tak, słyszałam ich rozmowy. Pieprzone gnojki. - W jej głosie słychać było niesmak. - Tego rodzaju smętne łajzy wyrabiają nam złą opinię.

- Czyli wyśledziłaś mnie też przez Newpest i Bezmiar.

Kolejny pozbawiony radości uśmiech.

- To moje podwórko, Micky. Zresztą, ślizgacz, którym popłynąłeś, zostawił ślad. Mogłam popłynąć na ślepo. Facet, którego wynajęłam, miał cię na radarze aż do Kem Point. Byłam tam przed zmierzchem, ale zniknąłeś.

- Zgadza się. Czemu więc, do diabła, nie zapukałaś do moich drzwi na pokładzie *Córki hajduka*, kiedy miałaś szansę?

Skrzywiła się.

- Może dlatego, że ci nie ufałam?

- Dobra.

- Tak, zresztą skoro już o tym mowa, co powiesz na to, że dalej ci nie ufam? Może byś wyjaśnił, co, u diabła, zrobiłeś z Sylvie?

Westchnąłem.

- Masz coś do picia?

- Ty mi powiedz. To ty się tu włamałeś.

Wewnątrz mnie coś się poruszyło i nagle zrozumiałem, jak bardzo cieszę się na jej widok. Nie potrafiłem dojść, czy to biologiczne więzy powłok Eishundo, wspomnienia miesiąca spędzonego razem na Nowym Hokkaido, czy po prostu odmiana po nagłej powadze ponownie rozbudzonych rewolucyjnych skłonności Brasila. Spojrzałem na nią i poczułem się tak, jakby pokój wypełniła bryza z Morza Andrassy'ego.

- Dobrze znów cię widzieć, Jad.

- Ciebie też, Tak - przyznała.

* * *

Zanim wszystko jej wyjaśniłem, na zewnątrz zrobiło się ciemno. Jad wstała i precyzyjnie się obok mnie w ciasnym pomieszczeniu, po czym stanęła przy oknie, wyglądając w noc. Uliczne latarnie tworzyły jasne plamy na przyciemnionym szkle. Chwilami docierały do nas podniesione głosy z

jakiejś prowadzonej w dole kłótni.

- Jesteś pewien, że to z nią rozmawiałeś?

- Tak. Nie sądzę, by to była Nadia czy kim tam jest, bo chyba nie potrafiłaby sterować oprogramowaniem dowódczym. Na pewno nie dość dobrze, by wygenerować aż tak spójną iluzję.

Jad pokiwała głową.

- Tak, te bzdury wyrzeczników musiały ją kiedyś dopaść. Jeśli sukinsyny napompują cię swoimi poglądami w młodości, nigdy się z tego nie wyzwolisz. A co z tą całą Nadią? Naprawdę myślisz, że to mina osobowościowa? Bo muszę powiedzieć, Micky, że przez prawie trzy lata łażenie po Nowym Hokkaido nigdy nie widziałam ani nie słyszałam o infominie, która niosłaby tyle szczegółów i miała taką głębię.

Zawahałem się, obmacując brzegi emisariuszowskiej świadomości w poszukiwaniu czegoś, co można by ubrać w zwykłe słowa.

- Nie wiem. Myślę, że jest... jakimś rodzajem specjalnie zaprojektowanej broni. Wszystko wskazuje na to, że Sylvie została zainfekowana w Nieoczyszczonych. Byłaś w kanionie Iyamon, prawda?

- Tak. Wyzerowała w starciu. Potem chorowała przez kilka tygodni. Orr próbował udawać, że to tylko kac po walce, ale wszyscy wiedzieli, że to nieprawda.

- A wcześniej nic jej nie było?

- Cóż, była naszym dowódcą, to nie jest robota, która nastraja do normalności. Ale te bełkoty, dziury w pamięci, wędrówki do miejsc, gdzie ktoś inny już pracował... Wszystko zaczęło się po Iyamon.

- Miejsca, gdzie ktoś już pracował?

- Tak, no wiesz... - Przez odbitą w szybie twarz przemknęła irytacja, która zniknęła równie gwałtownie, jak się pojawiła. - Nie... jak się zastanowić, to nie było cię przy żadnym.

- Żadnym czym?

- Parę razy namierzyliśmy aktywność wimów, ale kiedy tam dotarliśmy, było po wszystkim. Wyglądało, jakby walczyły ze sobą nawzajem.

Przypomniał mi się fragment pierwszego spotkania z Kurumayą. Komplementy Sylvie, obojętne odpowiedzi dowódcy obozu.

Oshima-san, kiedy ostatnio przeniosłem cię na czoło kolejki, porzuciłaś przydzielone ci obowiązki i znikłaś na północy. Skąd mam wiedzieć, że tym razem nie zrobisz tego samego?

Shig, wysłałeś mnie, żeby obejrzeć wrak. Ktoś dostał się do niego przed nami, nic nie zostało. Powiedziałaś ci to.

Tak, kiedy w końcu wróciłaś.

Och, bądź rozsądny. Jak zlikwidować coś, co już było śmieciem? Znikliśmy, bo nic tam nie było.

Zmarszczyłem czoło, gdy na miejsce wsunął się kolejny kawałek puzzla. Gładko jak pieprzona drzazga. Przez budowane przeze mnie teorie przebiegł sygnał alarmowy. Nie pasowało to do niczego, w co zaczynałem już wierzyć.

- Sylvie powiedziała coś na ten temat, kiedy poszliśmy zdobyć przydział na sprzątanie. Kurumaya gdzieś was przydzielił, a kiedy tam dotarliście, znaleźliście tylko resztki.

- Tak, to jeden z tych przypadków. Ale też nie jedyny. Parę razy w Nieoczyszczonych natknęliśmy się na to samo.

- Nigdy o tym nie mówiliście, kiedy z wami byłem.

- Cóż, likowie... - Jad zrobiła kwaśną minę do swojego odbicia w szybie. - Jak na ludzi z

mnóstwem najnowocześniejszego sprzętu w głowach jesteście strasznie przesadnymi dupkami. Rozmowa o takich rzeczach nie jest dobrze widziana. Sprowadza pecha.

- Wyjaśnijmy to sobie. Samobójstwa wimów też zaczęły się po Iyamon?

- O ile pamiętam, tak. Opowiesz mi o swojej teorii wyjątkowej broni?

Potrząsałem głową, analizując nowe dane.

- Nie jestem pewien. Myślę, że została zaprojektowana, by uaktywnić genetyczne zabijanie rodziny Harlana. Nie sądzę, by Czarne Brygady złożyły broń albo by ich członkowie zostali wybici do nogi, zanim zdolali ją uaktywnić. Pewnie stworzyli ją jako zapalnik i ukryli na Nowym Hokkaido, wyposażając w powierzchowną osobowość z zaprogramowaną potrzebą uaktywnienia broni. Wierzy, że jest Quellcristą Falconer, bo to daje jej cel. Ale to wszystko. W rzeczywistości stanowi tylko system napędowy. Kiedy ją przycisnąłem, pytając o genetykę i angażowanie w wojnę ludzi, którzy nawet się nie urodzili, kiedy wymyślono tę broń, zachowywała się jak zupełnie inna osoba, ponieważ w sumie liczy się dla niej tylko cel.

Jad wzruszyła ramionami.

- Tak jak dla każdego przywódcy politycznego, o jakim kiedykolwiek słyszałam. Czemu Quellcrista Falconer miałaby być inna?

- Cóż, nie wiem. - Przeszył mnie nieoczekiwany opór wobec jej cynizmu. Spojrzałem na swoje dłonie. - Jeśli przyjrzeć się życiu Quell, większość tego, co robiła, nosi znamiona jej filozofii. A takiej kopia, czy czymkolwiek jest, i jej uczynki do tego nie pasują. Ma problemy z własną motywacją.

- I co z tego? Jak większość cholernej rasy ludzkiej.

W jej głosie zabrzmiała gorycz, która skłoniła mnie, by na nią spojrzeć. Jad wciąż stała w oknie, patrząc na odbicie własnej twarzy.

- Nic nie mogłaś zrobić - powiedziałem łagodnie.

Nie spojrzała na mnie, jej wzrok ani drgnął.

- Może nie. Ale wiem, co *czułam*, i to nie wystarczy. Ta pieprzona powłoka mnie zmieniła. Odcięła mnie od sieci...

- Co ocaliło ci życie.

Niecierpliwie szarpnęła ogoloną głową.

- Przestałam czuć cokolwiek tak jak pozostali. To coś odcięło mnie, zmieniło nawet układ z Ki. Przez ostatni miesiąc nie czułyśmy już do siebie tego, co zawsze.

- Często się tak dzieje przy zmianie powłoki. Ludzie uczą się...

- Tak, tak, wiem. - Odwróciła się wreszcie od swojego odbicia i popatrzyła na mnie. - Związek nie jest łatwy, wymaga pracy. Obie próbowałyśmy. Nawet mocniej niż w czasach, kiedy musiałyśmy to robić. I w tym problem. Wcześniej *nie musiałyśmy*. Czasem robiłam się wilgotna od samego patrzenia na nią. Wystarczył dotyk, spojrzenie... A potem wszystko przepadło w cholerę.

Milczałem. Bywają sytuacje, kiedy tak naprawdę nic nie można powiedzieć. Trzeba tylko słuchać, czekać i przyglądać się, jak ktoś wyrzuca z siebie żal. Z nadzieją, że to go oczyści.

- Kiedy usłyszałam jej krzyk - podjęła z wysiłkiem Jad - miałam wrażenie, że on nie ma znaczenia. Nie wydawał mi się dość ważny. Nie czułam do niej nic, co zmusiłoby mnie, by zostać i walczyć. A we własnym ciele bym to zrobiła.

- Zostałabyś i zginęła.

Wzruszyła ramionami, otarła łzy.

- To bzdury, Jad. Przemawia przez ciebie poczucie winy, że przeżyłaś. Wmawiasz to sobie, a tak naprawdę nic byś nie zmieniła. I wiesz o tym.

Wtedy na mnie spojrziała. Zobaczyłem, że płacze, strużki łez spływały po jej policzkach.

- Co ty o tym, do cholery, wiesz, Micky? Zabiła ich kolejna wersja ciebie. Jesteś pieprzonym niszczycielem, byłem Emisariuszem. Nigdy nie byłeś likiem. Nigdy nigdzie nie należałeś, nie wiesz, co to znaczy należeć do załogi. Nie masz pojęcia, ile nas łączyło. Nie rozumiesz, co to znaczy utracić coś takiego.

Na chwilę moje myśli wróciły do Korpusu i Virginii Viadury. Furii po Innenin. To był ostatni raz, kiedy tak naprawdę gdzieś należałem, ponad stulecie temu. Czulem potem coś podobnego - świeżo wyrosłe poczucie braterstwa i wspólnego celu - i za każdym razem wrywano je ze mnie z korzeniami. To może zabić. Trzeba się przyzwyczaić.

- No dobrze - powiedziałem z brutalną swobodą. - W końcu mnie wyśledziłaś. Już wiesz. Co zamierzasz z tym zrobić?

Szybko otarła łzy z twarzy, niemal uderzając w nią dłońmi.

- Chcę ją zobaczyć - oznajmiła.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Jad miała mały, odrapany ślizgacz, wypożyczony w Kem Point. Zaparkowała go w ostrym świetle latarni na strzeżonym parkingu na tyłach hotelu. Poszliśmy do niego, zbierając po drodze życzliwe pozdrowienie od recepcjonistki, która sprawiała wrażenie, jakby cieszyła się z roli, jaką przyszło jej odegrać w naszym spotkaniu. Jad wstukała kod otwierający dach, wsunęła się za kierownicę i wykręciwszy, szybko wywiozła nas na ciemny Bezmiar. Gdy oddaliliśmy się od blasku świateł Paska, znów zdarła brodę i oddała mi stery, sama zaś zajęła się ściąganiem szaty.

- A swoją drogą, czemu się tak ubrałaś? - zapytałem ją. - Jaki to miało sens?

Wzruszyła ramionami.

- Maskowanie. Pomyślałam, że będzie mnie szukać przynajmniej jakiegoś jakuzi, a wciąż nie wiedziałam, jaka jest twoja rola w tym wszystkim i dla kogo grasz. Lepiej się nie ujawniać. A wiadomo, że ludzie nie zaczepiają Brodaczy.

- Tak?

- Tak, nawet gliny. - Ściągnęła przez głowę ochrową komżę. - Śmieszne, ale nikt nie chce rozmawiać z kapłanem.

- Zwłaszcza takim, który może cię ogłosić wrogiem Boga za sposób, w jaki ścinasz włosy.

- Cóż, to pewnie też. W każdym razie kazałam sobie skompletować te rzeczy w jakimś sklepie z ciuchami na Kem Point. Powiedziałam, że to na imprezę plażową. I wiesz, jak działa? Nikt się do mnie nie odzywa. A poza tym... - wyćwiczonym ruchem uwolniła się od reszty stroju i wskazała palcem na blaster odłamkowy na wimy przypięty pod pachą - można w tym schować mnóstwo sprzętu.

Z niedowierzaniem potrząsnąłem głową.

- Całą drogę aż tutaj taszczyłaś tę armatę? Co chciałaś zrobić, rozsmarować mnie po całym Bezmiarze?

Rzuciła mi poważne spojrzenie. Na objętej taśmami kabury koszulce lika widniał napis *Uwaga: Inteligentny System Uzbrojonego Mięsa*.

- Może - powiedziała i odwróciła się, by upchnąć odzież z tyłu maleńkiej kabiny.

* * *

Nawigacja po Bezmiarze w nocy to nie przelewki, zwłaszcza gdy płynie się wynajętym poduszkowcem z radarem o mocy porównywalnej z dziecięcą zabawką. Oboje z Jad pochodziliśmy z Newpest i widzieliśmy dość wraków ślizgaczy, by nie szarżować. Wcale nie pomógł fakt, że Hotei jeszcze nie wzeszedł, a wiszący tuż nad horyzontem Daikoku schował się za chmurami. Dla pojazdów turystycznych wytyczono komercyjny szlak, znacząc go iluminowanymi bojami świecącymi w pachnącej pięknorostami nocy, ale niewiele to pomagało. Kryjówka Segesvara mieściła się z dala od standardowych szlaków. W pół godziny boje znikły z pola widzenia i zostaliśmy sami w miedzianym świetle wysoko wiszącego Marikanona.

- Spokojnie tu - powiedziała Jad, jakby odkryła to po raz pierwszy.

Burknąłem i skręciłem w lewo, widząc w świetle reflektorów kępę korzeni tepes. Kiedy je mijaliśmy, gałęzie zazgrzytały na metalu fartucha. Jad się skrzywiła.

- Może powinniśmy poczekać do rana.

Wzruszyłem ramionami.

- Wracaj, jeśli chcesz. - Nie, myślę...

Zapiszczał radar. Oboje spojrzeliśmy najpierw na konsolę, potem na siebie nawzajem. System znów pisnął, zgłaszając jakiś obiekt, tym razem bliżej.

- Może frachtowiec z belami - zasugerowałem.

- Może. - Ale w miarę jak przyglądała się rosnącemu sygnałowi, na jej twarzy pojawiła się wyraźna niechęć.

Wyłączyłem główny napęd i odczekałem, aż ślizgacz łagodnie zatrzyma się z pomrukiem generatorów poduszki powietrznej. Zapach ziela przybrał na sile. Wstałem i wychyliłem się do przodu, opierając się o krawędź kabiny. Wraz z zapachami Bezmiaru bryza przyniosła ze sobą delikatny odgłos silników.

Opadłem z powrotem do kokpitu.

- Jad, chyba lepiej będzie, jak wyciągniesz tę armatę i przejdiesz na ogon. Tak na wszelki wypadek.

Uprzejmie skinęła głową i gestem poprosiła, bym zrobił jej miejsce. Cofnąłem się, a ona bez wysiłku podciągnęła się na dach, po czym uwolniła blaster z trzymającej go upręży. Zerknęła na mnie.

- Sygnał do strzału?

Pomyślałem przez chwilę, po czym podkręciłem poduszkę. Szum wirników przeszedł w pomruk, po czym znów przycichł.

- Coś takiego. Jak to usłyszysz, strzelaj do wszystkiego, co się rusza.

- Dobra.

Szurając stopami po pokładzie, przeszła na rufę. Znów wstałem i przyjrzałem się, jak kuca pod osłoną ogona ślizgacza, po czym ponownie skoncentrowałem się na sygnale. Zestaw radarowy stanowił minimalny sprzęt wymagany przez ubezpieczyciela i nie podawał szczegółów. Pokazywał jedynie powiększającą się plamkę na ekranie. Ale parę minut później już go nie potrzebowałem. Na horyzoncie pojawiła się surowa sylwetka z wieżyczką, sunąc w naszą stronę. Równie dobrze mogłaby mieć wymalowany na dziobie iluminiowy znak.

Pirat.

Niewiele większy od niewielkiego poduszkowca oceanicznego, sunął bez świateł nawigacyjnych. Miał długi i niski profil, powiększony przez prymitywny pancierz z płyt i systemy uzbrojenia przymocowane do oryginalnej struktury. Podciągnąłem neurochemicznie wzrok i udało mi się wypatrzeć niewyraźne sylwetki poruszające się w słabym czerwonym blasku paneli za szklanymi płytami dzioba, ale żadnej aktywności przy broni. Kiedy pojazd wykręcił, ustawiając się burtą do nas, zobaczyłem wgniecenia i zadrapania na metalu fartucha. Dziedzictwo starć, które zakończyły się abordażem.

Włączono szperacz, którego promień przejechał przeze mnie, po czym wrócił i został. Uniosłem rękę, osłaniając oczy przed blaskiem. Neurochemia pozwoliła mi znaleźć ludzkie sylwetki w tępych stożku na szczycie przedniej kabiny pirackiej jednostki. Nad gęstą wodą rozległ się młody męski głos, zdarty od prochów.

- Kovacs?

- Jestem Szczęściarz. Czego chcesz?

Suchy, niewesoły śmiech.

- Szczęściarz. Cóż, pewnie faktycznie nim jesteś. Jak dla mnie, masz szczęścia po same uszy.

- Zadałem ci pytanie.

- Czego chcesz? Słyszałem. Cóż, *chcę*, na początek i przede wszystkim, by twoja szczupła koleżanka na rufie wstała i odłożyła sprzęt. I tak mamy ją w podczerwieni. Bez trudu zamienilibyśmy ją w karmę dla panter za pomocą działka wibracyjnego, ale pewnie by cię to wkurzyło, co?

Nie odpowiedziałem.

- Widzisz, nic bym na tym nie zyskał, bo mam zapewnić ci spokój i szczęście, Kovacs. Zamierzam zabrać cię ze sobą, ale w dobrym nastroju. A więc jeśli twoja koleżanka odłoży broń, ja będę szczęśliwy, unikniemy fajerwerków i krwi, więc *ty* będziesz szczęśliwy. Popłyniesz ze mną, uszczęśliwisz ludzi, dla których pracuję, oni z kolei potraktują *mnie* właściwie, a wtedy ja będę jeszcze szczęśliwszy. Wiesz, jak się to nazywa, Kovacs? Rączka rączkę myje.

- Zechciałbyś powiedzieć mi, kim są ludzie, dla których pracujesz?

- Cóż, jasne, chciałbym, ale najwyraźniej nie *mogę*. Widzisz, zgodnie z kontraktem, nie mogę pisać na ten temat ani słówka do czasu, aż siądziesz przy stole i zaczniesz z nimi układy. A więc obawiam się, że będziesz musiał przyjąć to wszystko na słowo.

Albo dać się rozwalić przy próbie ucieczki. Westchnąłem i odwróciłem się ku rufie.

- Wyjdź, Jad.

Przez chwilę nic się nie działo, po czym Jad wyłoniła się z cienia pod ogonem z balsterem zwieszonym przy boku. Wciąż miałem aktywną neurochemię i wyraz jej twarzy jasno zdradzał, że wolałaby walczyć.

- O wiele lepiej - zawołał radośnie pirat. - Teraz wszyscy jesteśmy przyjaciółmi.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Nazywał się Vlad Tepes, podobno nie na cześć rośliny, tylko po jakimś niemal zapomnianym bohaterze ludowym z czasów przedkolonialnych. Był szczupły i blady, z ciałem niczym jakaś tania, łysogłowa wersja Jacka Soul Brasila, z której zrezygnowano na etapie prototypów. Ciało, które - jak coś mi mówiło - rzeczywiście należało do niego, było jego pierwszą powłoką, co znaczyłoby, że nie jest wiele starszy od Isy. Na policzkach miał blizny, po których się czasami gładził. Drżał od czubka głowy do stóp z przeładowania tetrametem. Zbyt szeroko gestykulował i za dużo się śmiał, a w którymś momencie swojego młodego życia dał sobie rozciąć kości na skroniach i wypełnić je połyskliwymi elementami fioletowo-czarnego stopu w kształcie piorunów. Materiał błyszczał w słabym świetle, kiedy Vlad poruszał się po pokładzie pirackiego statku, a jeśli spojrzano się na niego od przodu, nadawał jego twarzy lekko demoniczny wygląd, co najwyraźniej stanowiło zamierzony efekt. Kobiety i mężczyźni na mostku usuwali mu się z drogi, zapewniając dość miejsca na jego gwałtowne ruchy, a kiedy na niego patrzyli, w ich oczach widać było szacunek.

Pomijając radykalną chirurgię, przypominał mnie i Segesvara w tym wieku tak bardzo, że aż bolało.

Statek, może przez konotację, nosił nazwę *Palownik* i gnał na zachód z dużą prędkością, beztrąsko przedzierając się przez przeszkody, którym musiałyby ustąpić mniejsze i słabiej opancerzone pojazdy.

- Musimy pędzić - poinformował nas zwięźle Vlad, gdy znów coś zazgrzytało pod pancernym fartuchem. - Wszyscy na Pasku cię szukają, choć pewnie niezbyt dobrze, skoro cienie znaleźli. Ha! W każdym razie stracili w ten sposób cholernie dużo czasu, a moi klienci wyglądają na takich, którzy go nie mają. Wiesz, jak jest.

Na temat tożsamości swoich zleceniodawców nie zająknął się ani słowem, co jak na kogoś tak naćpanego stanowiło nie lada wyczyn.

- I tak zaraz będziemy na miejscu - wyrzucił z siebie nerwowo. - Po co się martwić?

Przynajmniej w tym przypadku mówił prawdę. Ledwie godzinę po tym, jak zabrał nas na pokład, *Palownik* zwolnił i poddryfował ostrożnie burtą do rozpadających się ruin stacji belującej w kompletnej głuszy. Piratka obsługująca radio wysłała serię zaszyfrowanych sygnałów, a ktokolwiek siedział w środku, odczytał ten kod. Kobieta uniosła głowę i skinęła nią. Vlad stał z błyszczącym spojrzeniem przed wyświetlaczami i wyrzucał z siebie polecenia niczym obelgi. *Palownik* lekko przyspieszył, wystrzelił cumy, które przy akompaniamencie głośnych brzęknięć zaskoczyły w gniazdach na nabrzeżu, i podciągnął się na sztywno. Zabłyły zielone kontrolki i wysunął się trap.

- No to chodźmy. - Vlad przegonił nas z mostka do wjazdu wyjściowego, a potem na zewnątrz, pod strażą dwóch nametowanych zbirów, jeszcze młodszych od niego. Na trapie niemal bieглиśmy, tak nas pospieszał, potem przemknęliśmy przez dok. Porzucone dźwigi zarosły mchem w miejscach, gdzie zawiodła powłoka antybakteryjna, tu i ówdzie leżały porzucone elementy maszynery, czyhając na nieostrożną łydkę czy biodro. Przebrnęliśmy przez śmieci i dotarliśmy do otwartych drzwi u podstawy wieży nadzorczej doku z polaryzacyjnymi szybami. Do góry prowadziły brudne metalowe schodki, dwa pasma pod ostrym kątem do siebie, połączone stalową platformą półpiętra, trzeszczącą niepokojąco pod naszym ciężarem.

Z pomieszczenia na szczycie biło łagodne światło. Szedłem niespokojnie na przedzie obok Vlada. Nikt nie próbował odbierać nam broni, a ludzie Vlada uzbrojeni byli po same uszy, ale...

Przypomniałem sobie podróż na pokładzie *Flirtu z anielskim ogniem*, poczucie wydarzeń

sunących zbyt szybko, by skutecznie się z nimi uporać, i napiąłem się lekko w mroku. Wkroczyłem do pomieszczenia na wieży, jakbym szedł tam walczyć.

I wszystko się zawaliło.

- Cześć, Tak. Jak ci idzie z wendetą?

Uśmiechał się do mnie Todor Murakami. Stał z rękami na biodrach, szczupły i kompetentny, w stroju maskującym i kurtce bojowej, z włosami przyciętymi zgodnie z wojskowym standardem. Na biodrze miał interfejsowy karabinek Kałasznikowa, a z pochwy na lewej piersi sterczała w dół rękojeść noża bojowego. Na stole między nami stała przyciemniona lampa, przenośny holoterminal i holomapa, wyświetlająca wschodni skraj Bezmiaru Rostów. Wszystko, od sprzętu po jego uśmiech, krzychało operacją Emisariuszy.

- Tego się nie spodziewałeś, co? - dodał, kiedy się nie odezwałem.

Obszedł stół i wyciągnął rękę. Spojrzałem na nią, potem na jego twarz. Nawet nie drgnąłem.

- Co ty tu, do cholery, robisz, Tod?

- Fucha *pro bono*, uwierzysz? - Opuścił wyciągniętą rękę i zerknął za moje plecy. - Vlad, zabierz swoich kumpli i poczekaj na dole. Tę panienkę od wimów weźcie ze sobą.

Poczułem, jak Jad spina się za moimi plecami.

- Ona zostaje, Tod, albo nie porozmawiamy.

Wzruszył ramionami i kiwnął głową na swoich kumpli.

- Jak sobie chcesz. Ale jeśli usłyszysz coś niewłaściwego, będę musiał ją zabić dla jej własnego dobra.

To był stary dowcip Korpusu. Z trudem powstrzymałem uśmiech. Poczułem delikatny przyptyw tej samej nostalgii, która ogarnęła mnie, gdy zabrałem Virginie Viadurę do łóżka na farmie Segesvara. Tę sama ciekawość, czemu zdecydowałem się odejść.

- To był żart - wyjaśnił Jad, kiedy pozostali z tupotem schodzili po schodach.

- Jasne, domyśliłam się. - Jad podeszła do jednego z okien i wyjrzała na masywny kadłub *Palownika*. - No dobra, Micky, Tak, Kovacs, czy jak tam się w tej chwili nazywasz. Przedstawisz mi swojego kumpla?

- Och, jasne. Tod, to Jadwiga. Jak najwyraźniej już wiesz, należy do lików. Jad, Todor Murakami, mój kolega z., hmm...starych czasów.

- Jestem Emisariuszem - uściślił swobodnie Murakami.

Trzeba przyznać, że Jad ledwie mrugnęła. Uściśnęła wyciągniętą rękę z lekkim uśmiechem, po czym oparła się o odchylone na zewnątrz szyby okien wieży i złożyła ręce na piersiach.

Murakami zrozumiał sugestię.

- Chcecie wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? Kiwnąłem głową.

- Możemy od tego zacząć.

- Myślę, że sam się domyślasz.

- Myślę, że powinieneś dać spokój tym gierkom i po prostu mi powiedzieć.

Wyszczерzył zęby i dotknął palcem skroni.

- Przepraszam, siła przyzwyczajenia. Dobra, słuchaj. Oto mój problem. Według moich źródeł, macie tu ruch rewolucyjny, który może mieć dość siły, żeby poważnie zachwiać łodzią Pierwszych Rodzin.

- Źródeł?

Kolejny uśmiech. Nie ustąpił ani o centymetr.

- Zgadza się. Źródeł.

- Nie wiedziałem, że tu pracujecie.

- Nie pracujemy. - Opanowanie Emisariusza opuściło go na chwilę, zdradzając, że stracił do niego dostęp. Skrzywił się. - Jak powiedziałem, pracuję *pro bono*. Ograniczenie zniszczeń. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie możemy sobie pozwolić na neoquellistowskie powstanie.

- Tak? - Tym razem to ja się wyszczerzyłem. - Jacy my, Tod? Protektorat? Rodzina Harlana? Jakies inne stadko sukinsynów?

Niecierpliwie machnął ręką.

- Mówię o nas wszystkich, Tak. Naprawdę sądzisz, że tej planecie potrzeba kolejnych Niepokojów? Kolejnej wojny?

- Do wojny trzeba dwóch stron, Tod. Jeśli Pierwsze Rodziny zechcą zaakceptować propozycje neoquellistów i wprowadzić reformy, cóż... - Rozłożyłem ręce. - Wtedy nie widzę powodu do powstania. Może to z nimi powinieneś rozmawiać.

Zmarszczone czoło.

- Czemu mówisz w taki sposób, Tak? Przecież nie kupujesz tych bzdur.

Odczekałem chwilę.

- Nie wiem.

- Ty *nie wiesz*? Co to za popieprzona filozofia polityczna?

- To wcale nie filozofia, Tod. Odnoszę tylko wrażenie, że wszyscy mamy dość i pora spalić tych sukinsynów.

- Na to nie mogę pozwolić. Przykro mi. - Zmarszczył czoło.

- Czemu więc nie wezwiesz Emisariuszy, zamiast marnować tu czas?

- Bo, do jasnej cholery, nie chcę tu Korpusu. - W jego głosie zabrzmiała nagle desperacja. - Jestem *stad*, Tak. To mój dom. Myślisz, że chcę zobaczyć Świat Harlana zmieniony w kolejne Adoracion czy Sharyę?

- Bardzo szlachetne z twojej strony. - Jad odepchnęła się od okna, podeszła do stołu i dźgnęła holowyświetlacz terminala. Wokół jej palców zaiskrzyło czerwienią i fioletem w miejscach, gdzie naruszyła pole. - A więc jak wygląda plan bitwy, panie Wyrzuty Sumienia?

Jego spojrzenie przeskoczyło na nią, potem wróciło do mnie. Wzruszyłem ramionami.

- To dobre pytanie, Tod.

Zawahał się chwilę. Z jakiegoś powodu przypominałem sobie moment, kiedy musiałem oderwać własne palce od kabla pod marsjańską wieżą na Tekitomurze. Tod pozbywał się warunkowania Emisariuszy, a moje ucięte związki z Korpusem nie bardzo pomagały mu to usprawiedliwić.

W końcu prychnął i rozłożył ramiona.

- Dobra. Powiem ci. - Wskazał na mnie palcem. - Twój kumpel Segesvar cię sprzedał.

Zamrugalem.

- Nie ma mowy.

Pokiwał głową.

- Tak, wiem. Honor hajduka. Jest twoim dłużnikiem. Problem w tym, Tak, że powinieneś zadać sobie pytanie, *któremu* z was jest coś dłużny.

O, cholera.

Zobaczył, jak uderza mnie zrozumienie, i znów pokiwał głową.

- Tak, o tym też wiem. Widzisz, Takeshi Kovacs uratował życie Segesvarowi kilka stuleci temu czasu obiektywnego. Ale to coś, co zrobiły *obie* twoje kopie. Stary Radul ma dług, jasne, ale najwyraźniej nie widzi powodu, by spłacać go więcej niż raz. A twoje młodsze, świeższe ja właśnie na tej podstawie dobiło z nim targu. Ludzie Segesvara załatwili większość z twoich plażowych rewolucjonistów dzisiaj wczesnym rankiem. Dorwaliby też ciebie,

Viadurę i tę kobietę lików, gdybyście się nie wybrali na wycieczkę do Paska.

- I co? - Ostatnie uparte strzępki nadziei. Musiałem je przegnać i stanąć wobec faktów z kamienną twarzą. - Mają też Viadurę i pozostałych?

- Tak, przejęli ich po powrocie. Trzymają wszystkich do czasu, aż pojawi się tam Aiura z ekipą sprzątaczy. Gdybyś wrócił z nimi, siedzielibyście teraz w jednej celi. A więc... - Nagły uśmiech, uniesione brwi. - Wygląda na to, że wiesz mi przysługę.

Pozwoliłem furii wydostać się na powierzchnię jak głęboki oddech, jak pot. Pozwoliłem jej przepłynąć przeze mnie, a potem starannie ją zgasilem, jak na wpuł wypalonego skręta, oszczędzonego na później. Zablokuj to. Myśl.

- Skąd to wszystko wiesz, Tod?

Machnął ręką.

- Jak już mówiłem, ja tu mieszkam. Opłaca się utrzymywać kontakty. Wiesz, jak jest.

- Nie, nie wiem. Kim, do diabła, jest twoje źródło, Tod?

- Tego nie mogę ci powiedzieć.

Wzruszyłem ramionami.

- A więc ja nie mogę ci pomóc.

- Zamieszasz się z tym pogodzić? Segesvar cię sprzedał, a ty pozwolisz mu odejść? Będziesz patrzył, jak giną twoi kumple z plaży? *Daj spokój*, Tak.

Potrząsnąłem głową.

- Mam już dość walki w imieniu innych. Brasil i jego kumple sami się w to wpakowali, mogą się więc sami wyciągać. A Segesvar poczeka. Zachowam go sobie na później.

- A Viadura?

- Co z nią?

- Ona nas szkolila, Tak.

- Tak, właśnie. Nas. To bierz tyłek w troki i idź ją ratować.

Gdybym nie był Emisariuszem, nie zauważyłbym tego. Nie drgnął, nie zmienił postawy, ale i tak oklapł.

- Sam tego nie zrobię - powiedział cicho. - Nie znam rozkładu pomieszczeń farmy Segesvara, a bez tego potrzebowałbym plutonu Emisariuszy, by ją zdobyć.

- To wezwij Korpus.

- Wiesz, jakie byłyby skutki...

- *A więc powiedz mi, kto jest twoim pieprzonym źródłem.*

- Właśnie - dorzuciła sardonicznie Jad w zapadłej po moim krzyku ciszy. - Albo po prostu poproś go, żeby przyszedł z pokoju obok.

Zauważyła mój wzrok i wskazała głową na zamknięty właz z tyłu pomieszczenia. Zrobiłem krok w jego stronę, a Murakami ledwie zdołał się powstrzymać, by nie stanąć mi na drodze. Posłał Jad płonące spojrzenie.

- Przykro mi - powiedziała i postukała się palcem w czoło. - Ostrzeżenie o przesyłce danych. Dość standardowy sprzęt elastyka. Twój kumpel używa tam telefonu i sporo się rusza. Pewnie nerwowo krąży po pokoju.

Uśmiechnąłem się do Murakamiego.

- Cóż, Tod. Twój ruch.

Napięcie utrzymało się jeszcze kilka sekund, a potem Tod westchnął i gestem zaprosił mnie dalej.

- Proszę bardzo. Prędzej czy później i tak byś się domyślił.

Podszedłem do wjazdu, znalazłem panel otwierający i przyłożyłem do niego kciuk. Gdzieś w głębi budynku zamruczała do siebie maszyna.

Wjazd pojechał do góry nierównym, szarpanym ruchem. Schyliłem się w odsłoniętą przestrzeń.

- Dobry wieczór. Który z was jest wtyczką?

W moją stronę obróciły się twarze czterech postaci ubranych na czarno. Jak tylko je zobaczyłem, elementy zaskoczyły w mojej głowie z odgłosem wjazdu docierającego do końca drogi. Trzech było ochroniarzami, dwóch mężczyzn i kobieta, a skóra ich twarzy błyszczała warstwą natryskwanego plastiku w miejscach, gdzie pokryto nim tatuaże. Była to prymitywna, krótkoterminowa metoda ich ukrycia, która nie wytrzymałaby uważnej kontroli. Ale biorąc pod uwagę, jak głęboko weszli na teren hajduków, zapewne dzięki temu uniknęli walki na każdym rogu ulicy.

Czwarty, ten z telefonem, był starszy, ale nie mógłbym go pomylić z nikim innym. Pokiwałem głową, wyrażając zrozumienie.

- Zapewne pan Tanaseda. Proszę, proszę.

Uklonił się lekko, co stanowiło element pakietu - te same staranne maniery i wygląd. Miejsce w hierarchii sprawiło, że nie miał na twarzy żadnych dekoracji, bo musiał być częstym gościem w enklawach Pierwszych Rodzin, które patrzyłyby na nie nieprzychylnie. Ale i tak widać było honorowe blizny w miejscach, gdzie tatuaże usunięto bez odwoływania się do nowoczesnych technik medycznych. Siwiejące czarne włosy ściągnął z tyłu w krótki kucyk, co podkreślało jeszcze blizny na czole i wystające kości policzkowe. Oczy miał brązowe i twarde niczym wypolerowane kamienie. Ostrożnym uśmiechem, jakim mnie obdarzył, powitałby pewnie nadchodzącą śmierć.

- Kovacs-san.

- I co ty z tego będziesz miał, koleś? - rzuciłem. Goryle spięli się kolektywnie na tę zniewagę. Zignorowałem to i obejrzałem się na Murakamiego. - Zakładam, że wiesz, iż facet pragnie dla mnie prawdziwej śmierci, jak najbardziej bolesnej i powolnej.

Murakami spojrzał w oczy seniorowi yakuzy.

- Ten problem da się rozwiązać - powiedział cicho. - Nieprawdaż, Tanaseda-san?

Tanaseda znów się uklonił.

- Poinformowano mnie, że chociaż był pan zaangażowany w śmierć Hirayasu Yukio, nie pan ją spowodował.

- I co? - Wzruszyłem ramionami, by rozproszyć narastającą złość, bo mógł się tego dowiedzieć jedynie podczas wirtualnego przesłuchania Orra, Kiyoki lub Lazla, po tym jak moje młodsze ja pomogło mu ich zabić. - Zazwyczaj nie robi wam większej różnicy, kto naprawdę ponosi winę.

Kobieta z jego świty zawarczała gdzieś z głębi gardła. Tanaseda uciszył ją dyskretnym ruchem dłoni, ale spojrzenie, jakie mi posłał, zadawało kłam spokojnemu tonowi.

- Stało się też dla mnie jasne, że jest pan w posiadaniu stosu korowego Hirayasu Yukio.

- Ach.

- Czy to prawda?

- Cóż, jeśli sądzisz, że dam ci się przeszukać, możesz...

- Tak. - Głos Murakamiego brzmiał spokojnie, ale wcale taki nie był. - Zachowuj się. Masz stos Hirayasu czy nie?

Przez chwilę się nie odzywałem, mając nadzieję, że spróbują wyciągnąć to ze mnie na siłę. Mężczyzna po lewej od Tanasedy drgnął, a ja się do niego uśmiechnąłem. Ale ochroniarze byli zbyt dobrze wyszkoleni.

- Nie przy sobie - odparłem.

- Ale możesz go dostarczyć Tanasedzie-san, nieprawdaż?

- Gdyby mnie do tego zachęcił, przypuszczam, że tak.

Znów ciche warczenie, tym razem z gardeł wszystkich trzech wojowników yakuzy.

- *Ronin* - wypluł jeden z nich.

Spojrzałem mu w oczy.

- Zgadza się, koleś. Nie mam pana. Więc uważaj. Nikt mnie nie powstrzyma, jeśli mi się nie spodobaś.

- A także nikt pana nie wesprze, kiedy zapędzą pana do kąta - zauważył Tanaseda. - Czy możemy dać sobie spokój z tą dziecinadą, Kovacs-san? Mówi pan o zachęcie. Gdybym nie przekazał pewnych informacji, byłby pan teraz uwięziony razem ze swoimi kolegami, czekając na śmierć. I zaproponowałem, że wycofam nakaz pańskiej egzekucji. Czy to nie wystarczy, bym odzyskał stos, który panu i tak się nie przyda?

Uśmiechnąłem się.

- Jesteś workiem gówna, Tanaseda. Nie robisz tego dla Hirayasu. On jest tylko smrodem w ludzkiej skórze, i dobrze o tym wiesz.

Mistrz yakuzy sprawiał wrażenie, jakby skurczył się w sobie. Wciąż nie byłem pewien, czemu go naciskam, po co to robię.

- Hirayasu Yukio to jedyny syn mojego przyrodniego brata. - Wyjaśnił bardzo cicho, niemal szeptem pełnym kontrolowanej furii. - W grę wchodzi *giri*, zrozumienia którego nie oczekuję od południowca.

- Sukinsyn - odezwała się Jad.

- Czego się spodziewałaś, Jad? - wydobyłem z głębi gardła. - W sumie to tylko przestępca, nie różni się niczym od pieprzonych hajduków. Przyświeca mu po prostu inna mitologia i te same bzdurne gadki o honorze.

- Tak...

- Daj spokój, Tod. Wyciągnijmy to wreszcie na światło dzienne. To polityka, nic więcej. Tanaseda wcale nie martwi się swoim bratankiem, jego powrót stanowi korzyść uboczną. Boi się tylko, że traci kontrolę nad sytuacją i że zostanie ukarany, bo spieprzył próbę szantażu. Widzi, że Segesvar zaprzyjaźnia się z Aiurą Harlan, i przeraża go myśl, że hajducy dostaną udział w interesach globalnych. A jego kuzyni z Millsport obarczą go za to odpowiedzialnością i w zamian przyślą mu miecz wraz z informacją, gdzie powinien go wbić. Zgadza się, Tan?

Żołnierz po lewej nie wytrzymał, czego się spodziewałem. Z jego rękawa do prawej dłoni wysunęło się cienkie jak igła ostrze. Tanaseda rzucił coś ostro i goryl znieruchomiał. Spalał mnie wzrokiem, zaciśnięte na rękojęści noża palce zbieleły.

- Widzisz - powiedziałem do niego. - Samuraj bez pana nie ma tego problemu. Nikt nie trzyma go na smyczy. *Ronin* nie musi patrzeć, jak honor wymienia się na interesy polityczne.

- Tak, zamknij się w cholerę - warknął Murakami.

Tanaseda stanął przed spiętym, emanującym wściekłością ochroniarzem. Patrzył na mnie zwężonymi oczami, jakbym był owadem, któremu chciał się uważniej przyjrzeć.

- Powiedz mi prawdę, Kovacs-san - powiedział cicho. - Naprawdę wolałbyś umrzeć z rąk mojej organizacji? Czy ty *szukasz* śmierci?

Przez kilka sekund patrzyłem mu w oczy, potem wydobyłem z siebie dźwięk przypominający splunięcie.

- Nie potrafiłbyś zrozumieć, czego szukam, Tanaseda. Nie rozpoznałbyś tego nawet, gdyby odgryzło ci łeb. A jeśli wpadłbyś na to przypadkiem, znalazłbyś sposób, by to sprzedać.

Spojrzałem na Murakamiego, którego dłoń spoczywała na kolbie kałasznikowa przy biodrze.

Kiwnąłem głową.

- Dobra, Tod. Widziałem już twoją wtyczkę. Wchodzę w to.

- Czyli się porozumieliśmy? - zapytał Tanaseda.

Sapnąłem i odwróciłem się do niego.

- Powiedz mi tylko jedno. Kiedy Segesvar dogadał się z moją drugą kopią?

- Och, niedawno. - Nie potrafiłem stwierdzić, czy w jego głosie faktycznie usłyszałem satysfakcję. - Od kilku tygodni zdawał sobie sprawę z istnienia was obu. Pańska druga kopia bardzo aktywnie poszukiwała starych znajomych.

Wróciłem myślami do chwili, gdy Segesvar pojawił się w wewnętrznym porcie. Jego głos przez telefon: *Upijemy się razem, może nawet pójdziemy do Watanabego przypomnieć sobie stare czasy. I na fajkę. Muszę ci spojrzeć w oczy, przyjacielu. Żeby mieć pewność, że się nie zmieniłeś.* Zacząłem się zastanawiać, czy już wtedy podejmował decyzję, smakując wyjątkową sytuację, dającą mu możliwość wyboru miejsca, gdzie spoczywa jego długo.

Jak dotąd nie zasłużyłem na fory w stosunku do konkurencji, czyli mojego młodszego ja. A poprzedniej nocy Segesvar jasno dał mi to do zrozumienia, prawie przyszedł i powiedział mi to prosto w twarz.

Z pewnością nie mogę już oczekiwać dobrej zabawy z tobą. Właściwie nie pamiętam takiej od dobrych pięćdziesięciu lat. Naprawdę zmieniasz się w północniaka, Tak.

Jak powiedziałem...

Tak, tak, wiem. W połowie już nim jesteś. Rzecz w tym, Tak, że kiedy byłeś młodszy, próbowałeś się z tym tak bardzo nie obnosić.

Czy w ten sposób się ze mną żegnał?

Trudno cię zadowolić, Tak.

Może w takim razie zainteresuję cię sportem drużynowym? Pójdiesz z nami do grawitacyjnej sali sportowej? Przedstawiam ci Ilję i Mayumi.

Na chwilę ogarnęła mnie fala smutku.

Stłumiła ją złość. Podniosłem wzrok na Tanasedę i kiwnąłem głową.

- Twój bratanek jest pod plażowym domem na południe od Kem Point. Narysuję ci mapę. A teraz gadaj wszystko, co wiesz.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

- Czemu to zrobiłeś, Tak?

- Co zrobiłem?

Stałem z Murakamim w rtęciowym blasku reflektorów punktowych *Palownika*, przyglądając się, jak yakuza odjeżdżają eleganckim czarnym bezmiaromobilem, który Tanaseda wezwał przez telefon. Oddalali się na południe, zostawiając za sobą szeroki, wzburzony ślad w kolorze mlecznych wymiocin.

- Czemu go prowokowałeś?

Patrzyłem za oddalającym się ślizgaczem.

- Bo to śmieć. Pieprzony bandzior. I nie chce tego przyznać.

- Na starość zaczynasz osądzać innych?

- Doprawdy? - Wzruszyłem ramionami. - Może to ten jego wygląd południowca... Jesteś z Millsport, Tod. Może po prostu stoisz zbyt blisko, by naprawdę go zobaczyć.

Zachichotał.

- Dobra. Więc co widać u ciebie?

- To samo co zawsze. Yakuza sprzedaje swoje teksty o antycznej tradycji honoru każdemu, kto chce słuchać, a jednocześnie co robi? Popełnia te same gówniane przestępstwa, co inni, ale w ich interesach maczają palce Pierwsze Rodziny.

- Wygląda na to, że już nie bardzo.

- Ach, daj spokój, Tod. Przecież wiesz, że siedzieli w jednym łóżku z Harlanem, od kiedy tu jesteśmy. Tanaseda może zapłaci za to, że spieprzył sprawę z Qualgristą, ale inni natychmiast się od niego odsuną i zaczną się jeszcze bardziej łąsić. I wrócą do przemytu i wymuszeń, którymi zawsze się zajmowali. A Pierwsze Rodziny powitają ich z otwartymi ramionami, bo to jeszcze jedna nić w sieci, którą oplekli nas wszystkich.

- Wiesz - w jego głosie wciąż pobrzmiewał śmiech - zaczynasz mówić jak ona.

Obejrzałem się na niego.

- Jak kto?

- Jak Quell, stary. Mówisz jak pieprzona Quellcrista Falconer.

Słowa zawisły między nami na kilka sekund. Odwróciłem się i zapatrzyłem w ciemność na Bezmiarze. Być może czując napięcie iskrzące między mną a Murakamim, Jad zostawiła nas samych w doku, kiedy jeszcze yakuza szykowali się do odjazdu. Ostatnio widziałem ją, jak wchodziła na pokład *Palownika* z Vladem w charakterze honorowej eskorty. Mówiła coś o kawie z whisky.

- No dobra, Tod - powiedziałem bezbarwnie. - Odpowiedz mi na jedno pytanie? Czemu Tanaseda przybiegł do ciebie, żeby naprawić swoje błędy?

Skrzywił się.

- Wiesz, jak jest. Urodziłem się i wychowałem w Millsport. A yaki lubią się podpinać na wysokim poziomie. Obleźli mnie, jak tylko przyleciałem na pierwszą przepustkę z Korpusu, ponad sto lat temu. Myślą, że jesteśmy starymi przyjaciółmi.

- A jesteście?

Poczułem jego wzrok. Zignorowałem go.

- Jestem Emisariuszem, Tak - powiedział w końcu. - Pamiętaj o tym.

- Jasne.

- I *twoim* przyjacielem.

- Już ci się sprzedałem, Tod. Daruj sobie tę gadkę. Zaprowadzę cię do tylnych drzwi Segesvara

pod warunkiem, że pomożesz mi go wypieprzyć. A co ty będziesz z tego miał?

Wzruszył ramionami.

- Aiura musi beknąć za złamanie wytycznych Protektoratu. Podwójne upowłokowanie Emisariusza...

- Byłego Emisariusza.

- Mów za siebie. *On* nigdy nie został oficjalnie zwolniony, nawet jeśli ty tak. Zresztą ktoś w hierarchii Harlana musi zapłacić za fakt przechowywania kopii, której dotyczyła obowiązkowa kasacja.

W jego głosie brzmiała teraz dziwna złość. Spojrzałem na niego uważniej. Nagle dotarła do mnie oczywista prawda.

- Myślisz, że mają tam gdzieś też ciebie, co?

Cierpki uśmiech.

- Uważasz, że jesteś wyjątkowy i skopiowali tylko ciebie? Daj spokój, Tak. Czy to ma jakiś sens? Sprawdziłem zapisy. Ze Świata Harlana zrekrutowano nas około tuzina. Ktokolwiek podjął tę błyskotliwą decyzję o polisie ubezpieczeniowej, pewnie skopiował nas wszystkich. Aiura musi pożyć dostatecznie długo, by nam powiedzieć, gdzie w bazach danych Harlana ich znaleźć.

- Dobra. Co jeszcze?

- Wiesz, co jeszcze - rzucił cicho.

Wróciłem do podziwiania Bezmiaru.

- Nie zamierzam ci pomagać, gdybyś chciał zarznąć Brasila i pozostałych, Tod.

- Wcale cię o to nie proszę. Choćby z powodu Virginii spróbuję tego unikać. Ale ktoś musi zapłacić rachunek Robaczków. Tak, oni zamordowali Mitzi Harlan na ulicach Millsport!

- Też mi strata. Płaczą wydawcy wszystkich brukowców z planety.

- Dobra - zgodził się ponuro. - Zabili też cholera wie ilu przypadkowych świadków tego zdarzenia. Stróżów prawa. Niewinnych przechodniów. Mam uprawnienia, by zamknąć tę operację, oznaczyć ją jako *niepokoje polityczne ustabilizowane, brak potrzeby dalszych działań*. Ale muszę znaleźć kozła ofiarnego, albo Korpus wyśle tu audytorów, którzy obleżą wszystko jak żywodrut. Wiesz, jak to działa. Ktoś musi zapłacić.

- Albo pokazać, że to robi.

- Albo pokazać. Ale to nie musi być Virginia.

- *Były Emisariusz przewodzi planetarnemu powstaniu*. Nie, to nie przypadłoby do gustu ludziom od wizerunku publicznego Korpusu.

Zatrzymał się. Spojrzał na mnie z nagłą wrogością.

- Naprawdę tak o mnie myślisz?

Westchnąłem i zamknąłem oczy.

- Nie. Przepraszam.

- Robię, co mogę, by zakończyć tę sprawę z jak najmniejszymi stratami wśród tych, na których mi zależy. A ty mi wcale nie pomagasz.

- Wiem.

- Potrzebuję kogoś, kto odpowie za morderstwo Mitzi Harlan, i przywódcy buntowników. Kogoś, kto odegra rolę geniusza zbrodni, kryjącego się za całym tym łajnem. Może jeszcze paru, żeby zapełnić listę aresztowań.

Jeśli w końcu będę musiał walczyć i zginąć za ducha i wspomnienie Quellcristy Falconer, a nie za nią, i tak będzie to lepsze niż całkowicie zaniechać walki.

Słowa Koiego na zagrzebanym w piachu plaży Vchira poduszkowcu. Słowa i błysk pasji na jego

twarzy, kiedy je wypowiadał, być może pasji męczennika, który kiedyś już zmarnował okazję i nie zamierzał pozwolić na to po raz drugi.

Koi, z dawnych Czarnych Brygad.

Ale Sierra Tres powiedziała praktycznie to samo, kiedy ukrywaliśmy się w kanałach i ruinach Eltevedtem. I to samo mówiło zachowanie Brasila. Może tak naprawdę chcieli tylko umrzeć męczeńsko dla ważnej sprawy.

Odsunąłem od siebie te myśli i porzuciłem je, zanim dotarły do celu.

- A Sylvie Oshima? - zapytałem.

- Cóż. - Po raz kolejny wzruszył ramionami. - O ile dobrze zrozumiałem, zaraziła się czymś w Nieczyszczonych. A więc zakładając, że przeżyje strzelaninę, możemy ją odkazić i oddać jej własne życie. Brzmi rozsądnie?

- Nie da się temu zaprzeczyć.

Przypomniałem sobie Sylvie i to, co mówiła o oprogramowaniu dowódczym na pokładzie *Broni dla Guevary. I niezależnie od tego, jaki super program sprzątający się kupi, część łajna zostaje. Trudne do usunięcia resztki kodu... ślady... Duchy różnych rzeczy.*

Jeśli Koi mógł walczyć i ginąć dla ducha, kto wie, co neoquelliści zrobili z Sylvie Oshimy i co zostanie, gdy wyczyści się sprzęt z jej głowy.

- Doprawdy?

- Daj spokój, Tod. Ona jest tu bożyszczem. Bez względu na to, co w niej siedzi, może stać się punktem kluczowym dla nowej fali neoquellistów. Pierwsze Rodziny będą domagać się jej likwidacji.

Murakami uśmiechnął się drapieźnie.

- To, czego chcą Pierwsze Rodziny, a to, co ode mnie dostaną, to dwie *drastycznie* odmienne sprawy, Tak.

- Doprawdy?

- Doprawdy. - Przeciągnął to drwiąco. - Ponieważ jeśli nie zechcą w pełni współpracować, zagrożę, że ściągnę tu Emisariuszy w ekipie szturmowej.

- A jeśli uznają to za blef?

- Jestem Emisariuszem. Od zawsze terroryzuję planetarne reżimy. Złożą się jak cholerne krzesło pokładowe, i dobrze o tym wiesz. Będą cholernie wdzięczni za fakt, że pozostawiłem im jakiś wybór. Ustawią swoje dzieci w kolejce do lizania mi tyłka, jeśli tylko o to poproszę.

Spojrzałem na niego i przez chwilę poczułem się tak, jakbym znów otworzył drzwi do swojej emisariuszowskiej przeszłości. Stał tam, uśmiechając się w świetle punktowych reflektorów. To mogłem być ja. I wtedy przypomniałem sobie, jak to naprawdę było. Tym razem nie wróciło do mnie poczucie przynależności, a siła mocy Korpusu. Dzika brutalność budząca się z sięgającej trzewi świadomości, że wszyscy się nas boją. Że na Zamieszkałych Światach mówi się o nas szeptem i nawet na korytarzach rządowych na Ziemi włodarze planety milkną, słysząc tę nazwę. Odłot niczym po najwyższej klasy tetramecie. Kobiety i mężczyźni, którzy mogli jednym gestem zniszczyć albo po prostu usunąć ze statystyk sto tysięcy ludzi, przypomnieć im znaczenie strachu. Korpus Emisariuszy. Ty.

Przywołałem na twarz uśmiech.

- Jesteś uroczy, Tod. Wcale się nie zmieniłeś, co?

- Zgadza się.

I nagle uśmiech przestał być sztuczny. Roześmiałem się i poczułem, że się rozluźniam.

- Dobra. Gadaj, draniu, jak to zrobimy?

Znów posłał mi spojrzenie spod zabawnie uniesionych brwi.

- Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz, bo znasz plan lokalu.

- Tak, chodziło mi o to, czym dysponujemy. Nie zamierzasz wykorzystać...

Murakami wskazał kciukiem w stronę kadłuba *Palownika*.

- Naszych naćpanych przyjaciół? Zdecydowanie tak.

- Cholera, Tod, to banda nawalonych dzieciaków. Hajducy rozszarpią ich na strzępy.

Machnął niedbale ręką.

- Trzeba pracować z tym, co się ma, Tak. Wiesz, jak to jest. Są młodzi, gniewni i naszprycowani mętem, szukają tylko kogoś, by się wyżyć. Zajmą siły Segesvara, a my tymczasem zadamy mu prawdziwy cios.

Zerknąłem na zegarek.

- Chcesz to zrobić dzisiaj?

- Jutro o świcie. Czekamy na Aiurę, a według Tanasedy, wcześniej się tu nie pofatyguj e. A tak.

- Wskazał głową w stronę nieba. - I wszystko zależy od pogody.

Podążyłem za jego wzrokiem. W górze zbierały się gęste zwały chmur, sunąc równomiernie na zachód przez postrzępione, czerwone niebo, na którym Hotei wciąż starał się odcisnąć swój ślad. Daikoku dawno temu zatonął w przytłumionym blasku na horyzoncie. Faktycznie, skoro zwróciłem na to uwagę, zauważyłem wiejącą przez Bezmiar bryzę, niosącą charakterystyczny zapach morza.

- Co z pogodą?

- Zmieni się. - Murakami pociągnął nosem. - Ten sztorm, który miał wygasnąć na południowym Nurimono, wcale tego nie zrobił. A teraz nabrał rozpędu od jakiegoś północno-zachodniego wichru i skręcił. Wraca tu.

Podsluchanie Ebisu.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście, Tak. Tak wynika z prognozy pogody. Ale nawet jeśli nie załapiemy się na pełną siłę, trochę ostrego wiatru i poziomego deszczu nie zaszkodzi, prawda? Chaos pojawi się dokładnie tam, gdzie go potrzebujemy.

- To - powiedziałem ostrożnie - zależy od tego, jak dobrym pilotem okaże się twój Vlad. Wiesz, jak tu nazywają tego rodzaju powrót, prawda?

Murakami spojrzał na mnie pusto.

- Pech?

- Nie, nazywają to Podsluchanie Ebisu. Jak w tej historii z gościem rybaków.

- Ach, racja.

Tak daleko na południe Ebisu nie jest sobą. W północnych i równikowych regionach Świata Harlana japońsko-amangielska dominacja kulturowa sprawia, że uważany jest za ludowego boga morza, patrona żeglarzy i ogólnie rzecz biorąc, dość przyjazne bóstwo. Świętego Elma radośnie dokooptowano mu za pomocnika, między innymi po to, by nie zirytować bardziej schrystianizowanych mieszkańców. Ale na Kossucie, gdzie silne są wpływy wschodnioeuropejskiego dziedzictwa, które pomogło zbudować Świat, nie podziela się tego poglądu. Ebisu opisywany jest jako demoniczna podmorska postać, którą straszy się dzieci, potwór, z którym legendarni święci w rodzaju Elma muszą walczyć, by ochronić wiernych.

- Pamiętasz, jak się kończy ta historia? - zapytałem.

- Jasne. W zamian za gościnność, Ebisu obdarza rybaków wspaniałymi prezentami, ale zapomina u nich harpuna, tak?

- Właśnie.

- A więc wraca, by go zabrać, i właśnie ma zapukać do drzwi, kiedy słyszy, jak rybacy go wyśmiewają. Ręce śmierdzą mu rybami, mówią, nie czyści zębów, ma obszarpane ubranie. Wypominają mu wszystko, czego dzieci nie powinny robić, zgadza się?

- Tak.

- Pamiętam, jak opowiadałem to Suki i Markusowi, kiedy jeszcze byli mali. - Spojrzenie Murakamiego zamgliło się i powędrowało w stronę horyzontu i zbierających się tam chmur. - To chyba już pół wieku temu. Dasz wiarę?

- Dokończ historię, Tod.

- Jasne. No cóż, zobaczymy. Ebisu się wkurza, więc wpada do środka, zabiera swój harpun i ucieka, zamieniając wszystkie prezenty w gnijące pięknorosty i śnięte ryby. Skacze do morza. Potem przez wiele miesięcy rybacy łowią niewiele albo nic. Morał bajki: dbajcie o swój wygląd, *ale co ważniejsze, dzieci*, nie obgadujcie nieobecnych. - Spojrzał na mnie. - Jak mi poszło?

- Całkiem nieźle, jak na ponad pięćdziesiąt lat przerwy. Ale tutaj opowiadają tę historię trochę inaczej. Widzisz, Ebisu był koszmarnie brzydki, miał macki, płetwy i szpony, więc stanowił przerażający widok. Rybacy nie potrafili powstrzymać się od ucieczki. Ale opanowali swój strach i zaoferowali mu gościnę, czego nie powinno się robić, gdy ma się do czynienia z demonem. Ebisu ofiarował im za to mnóstwo prezentów ukradzionych z zatopionych statków, po czym wyszedł. Rybacy odetchnęli z ulgą i zaczęli go obmawiać: jaki to jest paskudny, przerażający, jacy okazali się sprytni, że wyciągnęli od niego te wszystkie prezenty, a tymczasem Ebisu wrócił po trójzab.

- Nie harpun?

- Nie, harpun pewnie nie wydawał się dość przerażający. W tej wersji to potężny, ząbkowany trójzab.

- Myślałby kto, że nie zauważyliby czegoś takiego, nie?

- *Zamknij się*. Ebisu podслуchał więc, jak go obgadawali, i wymknął się ogarnięty furją, by wrócić w formie potężnego sztormu, który zniszczył całą wioskę. Tych, którzy nie utonęli, wciągnęły pod wodę potężne macki Ebisu, by na wieczność cierpieć w morskim piekle.

- Urocze.

- Tak, i podobny morał: Nie obgadujcie ludzi za ich plecami, *ale co ważniejsze*, nie ufajcie tym paskudnym bóstwom z północy. - Przestałem się uśmiechać. - Kiedy ostatni raz widziałem Podsluchanie Ebisu, byłem jeszcze dzieckiem. Przyszedł z morza na wschodnim końcu Newpest i na wiele kilometrów wzdłuż Bezmiaru stał z ziemi wszystkie osiedla. W mgnieniu oka zabił setkę ludzi i zatopił połowę frachtowców w wewnętrznym porcie, zanim ktokolwiek zdążył włączyć zasilanie.

Wiatr porywał lżejsze ślizgacze i rzucał nimi na ulice aż do Parku Harlana. W tych okolicach Podsluchanie oznacza katastrofę.

- Cóż, z pewnością było katastrofą dla tych, co wyprowadzali wtedy w Parku Harlana swoje pieski.

- Mówię poważnie, Tod. Jeśli ten sztorm nadejdzie, a okaże się, że twój nametowany kumpel Vlad nie będzie sobie radził ze sterem, istnieje spore ryzyko, że wylądujemy do góry nogami i będziemy oddychać pięknorostami, zanim zbliżymy się do kryjówki Segesvara.

Murakami skrzywił się lekko.

- Wład zostaw mnie - powiedział. - Ty skup się na tym, by stworzyć dobry plan ataku.

Kiwnąłem głową.

- Dobra. Plan ataku na bazę hajduków na południowej półkuli, w którym banda nastoletnich ćpunów gra rolę oddziałów szturmowych, a zawracający sztorm robi za osłonę. Wszystko ma się rozegrać przed świtem. Jasne. Przecież to pestka.

Murakami na chwilę znów zmarszczył czoło, po czym nagle się roześmiał.

- Skoro tak to ujmujesz, nie mogę się doczekać. - Klepnął mnie w ramię i odszedł w stronę pirackiego poduszkowca. - Pogadam z Vladem. Będą o tym pisać w podręcznikach, Tak. Zobaczysz. Mam takie przeczucie. Intuicja Emisariusza.

- Jasne.

Gdzieś na horyzoncie przetoczył się grzmot, jakby schwytyany w wąskiej przestrzeni między podstawą chmur i ziemią.

Ebisu, powróciwszy po swój trójząb, był niezadowolony z tego, co właśnie usłyszał.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Świt wciąż był zaledwie bladyszara plamą rzuconą na potężną masę frontu burzowego, kiedy *Palownik* wciągnął cumy i ruszył przez Bezmiar. Przy prędkości bojowej poduszki wydawał dźwięki, jakby miał się zaraz rozlecieć na kawałki, ale kiedy skierowaliśmy się w sztorm, nawet to zagłuszył ryk wiatru i metaliczne dudnienie deszczu w opancerzone boki. Przednie szyby mostka zalewały ściany wody, rozrzucanej z wyciem przez dużej mocy wycieraczki. Dało się przez nie zobaczyć niewyraźnie normalnie leniwe wody Bezmiaru wzburzone do fal. Pod słuchanie Ebisu dotrzymało obietnicy.

- Znów jak w Kasengo - krzyknął Murakami z szerokim uśmiechem na mokrej twarzy, precyzyjnie się przez drzwi prowadzące na pokład obserwacyjny. Ubranie miał przemoczone. Za jego plecami wiatr zawył i spróbował wcisnąć się do środka. Emisariusz pokonał go z wysiłkiem i zamknął drzwi. Automatyczne zamki sztormowe zaskoczyły z metalicznym łoskotem. - Widoczność leci na łeb na szyję. Ci goście nawet nie zobaczą, co w nich walnęło.

- Czyli wcale nie przypomina Kasengo - odpowiedziałem z irytacją, przypominając sobie tamte chwile. Oczy kleiły mi się z braku snu. - Tamci goście się nas spodziewali.

- Cóż, prawda. - Obiema rękami wytarł wodę z włosów i strzepnął ją z palców na podłogę. - Ale i tak ich rozwaliliśmy.

- Uważaj na dryf - rzucił Vlad do sternika. W jego głosie brzmiały dziwne, nowe tony, autorytet, którego nie słyszałem wcześniej. Wyglądał na nieco spokojniejszego. - Jedziemy na wietrze, a nie dajemy mu się nieść. Wykręć trochę.

- Wykręcam.

Poduszki zadrżały wyraźnie przy manewrze. Pokład pod naszymi stopami zabrzęczał. Deszcz uderzył w dach i szyby w nowej, wścieklej tonacji wraz ze zmianą kąta, pod jakim wchodziliśmy w sztorm.

- Dobrze - łagodnie stwierdził Vlad. - Tak trzymaj.

Zostałem na mostku jeszcze chwilę, po czym kiwnąłem głową Murakamiemu i zszedłem schodnią na pokład z kabinami. Ruszyłem na rufę, zapierając się dłońmi o ściany korytarza, by nie upaść przy jakimś szarpnięciu. Raz czy dwa natknąłem się na innych członków załogi, którzy precyzyjnie się obok mnie z wypraktykowaną swobodą. Powietrze było ciepłe i duszne. Minąłem parę kabin, zerknąłem w otwarte drzwi i zobaczyłem jedną z młodych piratek Vlada, rozebraną do pasa i zgiętą nad nieznanym mi sprzętem rozłożonym na podłodze. Przyjrzałem się dużym, kształtnym piersiom, warstewce potu na ciele oświetlonym ostrym białym światłem, krótko przyciętym włosom u podstawy karku. Wtedy uświadomiła sobie, że tam jestem, i wyprostowała się. Oparła się dłonią o ścianę kabiny, osłoniła piersi drugą ręką i spojrzała mi w oczy z intensywnością, która musiała pochodzić z metowego kaca albo nerwów przed walką.

- Jakiś problem, koleś?

Potrząsnąłem głową.

- Przepraszam, zamyśliłem się.

- Tak? To wypieprzaj. Drzwi kabiny się zamknęły.

Proszę bardzo.

Znalazłem Jad, podobnie spiętą, ale w pełni ubraną. Siedziała na górnej pryczy dwupiętrowego łóżka w kabine, którą nam przydzielono, z blasterem odłamkowym bez magazynka leżącym na posłaniu pod podciągniętą nogą. W dłoniach trzymała błyszczący pistolet na lite pociski, którego wcześniej u niej nie widziałem.

Opadłem na dolną pryczę.

- Co tam masz?

- Elektromagnetyczny pistolet Kałasznikowa - wyjaśniła. - Pożyczył mi go jeden z facetów.

- Już zawierasz przyjaźnie, co? - Kiedy to powiedziałem, poczułem wyraźny smutek. Może miało to coś wspólnego z bliźniaczymi hormonami, emanowanymi przez powłoki Eishundo. - Ciekawe, gdzie to ukradł.

- Kto powiedział, że ukradł?

- Ja. Ci faceci są piratami. - Wyciągnąłem rękę na jej koję. - No, pokaż mi to.

Złożyła broń i wsunęła mi ją w dłoń. Uniosłem ją na wysokość oczu i pokiwałem głową. Broń EM Kałasznikowa cieszyła się na wszystkich Zamieszkałych Światach dobrą sławą najlepszej cichej broni bocznej, a ten model był jednym z najdroższych. Prychnąłem i oddałem go jej.

- Tak, minimum siedemset dolarów NZ. Żaden nametowany pirat nie wyda takiej forsy na cichą broń. Zwędził ją. I pewnie zabił właściciela. Musisz uważać na towarzystwo, w którym się obracasz, Jad.

- Rety, ależ dziś jesteś promienny. W ogóle nie spałeś?

- Skoro tak chrapałeś? A jak myślisz?

Brak odpowiedzi. Westchnąłem i oddałem się wzburzonym przez Murakamiego wspomnieniom. Kasengo, zwyczajne miasteczko portowe na ledwie zasiedlonej południowej półkuli Ziemi Nkrumaha, ze świeżym garnizonem sił rządowych wysłanym tam po tym, jak pogorszył się klimat polityczny i zepsuły się stosunki z Protektoratem. Kasengo, z przyczyn znanych tylko miejscowym, miało międzygwiazdny nadajnik strunowy, więc rząd Ziemi Nkrumaha martwił się, że wojskowi NZ postanowią z niego skorzystać.

Miał rację.

Przybywaliśmy cicho przez stacje strunowe na całej planecie w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, podczas gdy wszyscy udawali jeszcze, że dyplomacja stanowi rozsądną opcję. Do czasu gdy dowództwo Emisariuszy wydało rozkaz ataku na Kasengo, byliśmy już przystosowani do Ziemi Nkrumaha w równym stopniu, jak każdy z jej stu milionów kolonistów piątego pokolenia. Podczas gdy nasze tajne oddziały wywołały zamieszki na ulicach miast na północy, razem z Murakamim zebraliśmy mały oddział taktyczny i zniknęliśmy na południu. Według planu, mieliśmy wyeliminować garnizon we śnie i przejąć stację transmisyjną następnego ranka. Coś poszło nie tak, informacja wyciekła i kiedy przybyliśmy, stacja była silnie broniona.

Nie starczyło czasu na szykowanie nowych planów. Ten sam przeciek, który zaalarmował garnizon Kasengo, oznaczał, że w drodze mogły być już posiłki. Pod osłoną lodowatej burzy zaatakowaliśmy stację w strojach maskujących i uprężach antygravitacyjnych, rozsiewając na niebie mnóstwo skrawków folii, żeby zasymulować dużą liczbę atakujących. W zamieszaniu wywołanym burzą zadziałało to idealnie. Garnizon składał się w większości z młodych poborowych, którym przewodziło ledwie paru doświadczonych podoficerów. Po dziesięciu minutach walki załamali się i rozproszyli po zalewanych deszczem ulicach w uciekających grupkach. Goniliśmy, izolowaliśmy, sprzątaliśmy. Część walczyła do końca, większość wzięliśmy żywcem i zamknęliśmy.

Później wykorzystaliśmy ich ciała do upowłokowienia pierwszej fali oddziałów szturmowych Emisariuszy.

Zamknąłem oczy.

- Micky? - Głos Jad z koi powyżej.

- Takeshi.

- Wszystko jedno. Zostańmy przy Mickim, dobra?

- W porządku.
- Myślisz, że ten sukinsyn Anton będzie tam dzisiaj?

Z wysiłkiem ponownie otworzyłem oczy.

- Nie wiem. Pewnie tak. Tanaseda tak sugerował. W każdym razie wygląda na to, że Kovacs wciąż go przy sobie trzyma, może na wszelki wypadek. Skoro nikt nie jest pewien, czego się spodziewać po Sylvie, albo po tym czymś, co w sobie nosi, pewnie lepiej się czuje, mając w pobliżu innego dowódcę lików.

- Tak, to by miało sens. - Zamilkła. Potem, kiedy znów zamknąłem oczy, podjęła: - Nie przeszkadza ci mówienie o sobie w ten sposób? Wiedza, że on tam jest?

- Oczywiście, że mi przeszkadza. - Ziewnąłem szeroko jak drapieznik. - Zamierzam zabić sukinsyna.

Cisza. Pozwoliłem, by powieki mi opadły.

- Wiesz, Micky.

- Co?

- Jeśli Anton tam będzie...

Spojrzałem na pryczę w górze. - Tak?

- Jeśli on tam jest, chcę dorwać skurwysyna. Jeśli będziesz musiał do niego strzelić, wal w nogi. Jest mój.

- Dobra.

- Mówię poważnie, Micky.

- Ja też - wymamrotałem, poddając się spadającej na mnie czarnej masie snu. - Zabij w cholere, kogo tylko zechcesz, Jad.

* * *

Zabij w cholere, kogo tylko zechcesz.

Tak mogłoby brzmieć motto naszego rajdu.

Wpadliśmy na farmę z prędkością tarana. Oglupiałe od burzy systemy alarmowe pozwoliły nam podpłynąć tak blisko, że wszelka broń dalekiego zasięgu, jaką dysponował Segesvar, okazała się bezużyteczna. Sternik Vlada sunął kursem, który wyglądał, jakby gnał nas sztorm, ale tak naprawdę polegał na ostrych, kontrolowanych skrętach. Zanim hajducy zrozumieli, co się dzieje, *Palownik* już na nich spadł. Wbił się w zagrody panter, miażdżąc bariery i stare drewniane pomosty pierwotnej stacji belującej, niepowstrzymany rozerwał deski i zniszczył rozpadające się, stare ściany, zgarniając coraz większą masę śmiecia na opancerzony nos.

Słuchaj, powiedziałem Murakamiemu poprzedniej nocy, *nie da się tego zrobić subtelnie*. A oczy Vlada rozpały się entuzjazmem podsycanym mętem.

Palownik zatrzymał się ze zgrzytem pośród na wpół zanurzonych bunkrów. Jego pokład przychyłał się mocno na prawo, a przy włączonym wyjściowym prosto w moje uszy darło się tuzin alarmów zderzeniowych, zagłuszanych przez wybuchy blokad włazów. Z burty wyskoczyły trapy abordażowe zakończone żywodrutem, wgryzającym się błyskawicznie w wiecznobeton. Przez kadłub dobiegł mnie huk i terkot odpalonych haków cumowniczych. *Palownik* chwycił i wczepił się mocno.

Był to system zaprojektowany kiedyś na sytuacje awaryjne, ale piraci przerobili pod kątem szybkiego szturmowania każdy aspekt swojej jednostki. Przeróbkami nie objęto tylko sterującego wszystkim maszynowego umysłu, który nadal uważał, że jesteśmy statkiem w sytuacji awaryjnej.

Na trapie zaatakowała nas pogoda. Rzuciły się na mnie deszcz i wiatr, bijąc po twarzy i pchając z różnych stron. Grupa szturmowa Vlada wybiegła na zewnątrz z pohukiwaniem. Może podeszli do tego właściwie - skoro *Palownik* zakotwiczył pośród zniszczeń, nie mieliśmy innego wyjścia, jak

tylko wygrać lub zginąć.

W szarówce sztormu rozległy się strzały. Syk i skwierczenie broni energetycznej, huk i szcęk pociskowej. Wiązki błyskały żółcią i bladym błękitem. Jakby w odpowiedzi zagrzmiała błyskawica. Gdzieś z przodu ktoś wrzasnął i spadł w dół. Rozległy się niewyraźne krzyki. Dobiegłem do końca rampy, pośliznąłem się na wypukłości mokrego bunkra, odzyskałem równowagę dzięki powłoce Eishundo i skoczyłem do przodu. W dół, w płytki chłupot wody między bunkrami i po bulwiastej powierzchni następnego. Powierzchnia była nierówna i zapewniała dobre oparcie. Peryferyjne widzenie powiedziało mi, że jestem na czubku klina, po lewej mam Jad, a po prawej Murakamię z karabinem plazmowym.

Podciągnąłem neurochemię i zauważyłem przed sobą drabinkę serwisową, do podstawy której ostrzał przykuł trzech piratów Vlada. Na jednym z modułów bunkrów rozciągało się ciało wciąż dymiące z twarzy i piersi, gdzie blaster wypalił z niego życie.

Skoczyłem w stronę drabiny z pasją elastyka.

- Jad!

- Tak... *leć!*

Jak powrót w Nieoczyszczone. Resztki dostrojenia Ślizgaczy, może jakieś powinowactwo bliźniaków, zasługa Eishundo. Ruszyłem ostrym sprintem. Za moimi plecami przemówił blaster odłamkowy - dźwięk niby plucie i jęk w deszczu, a brzeg doku eksplodował deszczem odłamków. Rozległo się więcej wrzasków. Dotarłem do drabiny mniej więcej w tej samej chwili, kiedy piraci uświadomili sobie, że nikt już do nich nie strzela. Pospiesznie rzuciłem się do góry z rapsodią w kaburze.

Na szczycie leżały ciała, poszarpane i krwawiące po odłamkowych pociskach, i jeden z ludzi Segesvara, ranny, ale wciąż na nogach. Splunął i rzucił się na mnie z nożem. Wykręciłem się w bok, zablokowałem ramię z ostrzem i zrzuciłem go z doku. Krótki krzyk utonął w wyciu sztormu.

Przykucnąłem i rozejrzałem się, trzymając przed sobą rapsodię, podczas gdy pozostali wspinali się za mną. Deszcz lał strumieniami, tworząc na wiecznobetonowej powierzchni miliony maleńkich gejzerów. Wymrugąłem wodę z oczu.

Dok był czysty.

Murakami klepnął mnie w ramię.

- Hej, nieźle jak na emeryta.

Parsknąłem.

- Ktoś musi ci pokazać, jak to się robi. Chodźmy tędy.

Ruszyliśmy wzdłuż doku, znaleźliśmy właściwe wejście i pojedynczo wsunęliśmy się do środka. Brak napierającego sztormu przyprawiał o szok, jak nagła cisza. Staliśmy, kapiąc wodą na plastikową podłogę w krótkim korytarzu zakończonym znajomymi, ciężkimi metalowymi drzwiami z wizjerem. Na zewnątrz przetoczył się grzmot. Na wszelki wypadek zajrzałem przez szybkę drzwi i zobaczyłem pokój pełen gładkich, metalowych szafek. Chłodnia na karmę dla panter i od czasu do czasu ciała wrogów Segesvara. Na końcu korytarza wąskie schodki prowadziły do prostej instalacji upowłokowień i gabinetu weterynaryjnego.

Kiwnąłem głową w stronę schodów.

- Tędy. Trzy piętra w dół i będziemy w kompleksie podwodnych bunkrów.

Piraci ruszyli pierwsi, głośno i z entuzjazmem. Biorąc pod uwagę to, jak byli napakowani mętem i wkurzeni faktem, że po drabinie musieli się wspinać za mną, trudno było by ich do tego zniechęcić. Murakami wrzucił ramionami i nawet nie próbował. Popędzili na dół i na końcu schodów nadziali się na zasadzkę.

Byliśmy kilkanaście stopni za nimi, schodząc z ostrożnością, której nie tłumiły prochy. Nawet tam poczułem ciepły podmuch ognia z Masterów. Dotarła do mnie kakofonia ostrych, nagłych wrzasków piratów, którzy trafieni przez strzały ginęli jak ludzkie pochodnie. Jeden z nich zrobił trzy niepewne kroki do tyłu, unosząc ku nam uskrzydłone płomieniami ręce. Jego stopniała od ognia twarz znajdowała się niecały metr od mojej, kiedy wreszcie opadł, sycząc i dymiąc, na zimne schody w dół.

Murakami rzucił w dół schodów granat ultrawibracyjny, który odbił się raz metalicznie, zanim zaskoczył jego znajomy pisk. W ciasnej przestrzeni był ogłuszający. Równocześnie osłoniliśmy uszy dłońmi. Jeśli ktoś tam na dole krzyczał, ginąc, jego śmierć była niesłyszalna.

Odczekaliśmy jeszcze sekundę po tym, jak granat umilkł, po czym Murakami strzelił w dół z karabinu plazmowego. Nie było żadnej reakcji. Przeszedłem obok przypalonych, stygnących ciał piratów, dławiąc się od smrodu. Wyjrzałem zza wykrzywionych kończyn tego, który był na przedzie, i zobaczyłem pusty korytarz. Żółte i kremowe ściany, podłoga i sufit, jasno oświetlone przez zamontowane w górze pasy aluminium. Przy podstawie schodów wszystko umazane było plamami czerwieni i strzępami tkanki.

- Czysto.

Przeszliśmy przez jatkę i ruszyliśmy ostrożnie korytarzem w samo serce podstawowych poziomów bunkrów. Tanaseda nie wiedział, gdzie dokładnie przetrzymywani są więźniowie - hajducy byli wrażliwi na punkcie obecności yakuzy na Kossucie. Niepewny w swojej nowej roli skruszonego, nieudanego szantażysty, Tanaseda mimo to nalegał na osobisty udział w przesłuchaniach, twierdząc, że uda mu się torturami wyciągnąć ze mnie informację o miejscu ukrycia stosu korowego Yukio Hirayasu i przynajmniej częściowo odzyskać twarz u kolegów. Aiura Harlan-Tsuruoka, zaplątana w sieci iście bizantyjskich intryg, w końcu się zgodziła. Posłużyła się Tanaseda, by wykuć współpracę dyplomatyczną między yakużą i hajdukami. Tanaseda został formalnie przywitany przez Segesvara, a potem powiedziano mu wprost, żeby znalazł sobie jakieś lokum w Newpest lub Sourcetown i trzymał się z dala od farmy, o ile nie zostanie tu wezwany, oraz kazano mu dobrze pilnować własnych ludzi. Nie oprowadzono go po okolicy.

Ale tak naprawdę w kompleksie było tylko jedno miejsce, w którym przetrzymywało się ludzi skazanych na uwięzienie. Widziałem je parę razy podczas poprzednich wizyt, raz byłem nawet świadkiem, jak wsadzali tam jakiegoś młodego hazardzistę na czas, aż Segesvar zastanowi się, jak uśmiercić go dla przykładu. Jeśli chciało się na farmie zamknąć człowieka, umieszczało się go w miejscu, z którego nie mógł się uwolnić nawet potwór. Zamykało się go w klatkach dla panter.

Zatrzymaliśmy się na skrzyżowaniu, gdzie w suficie otwierał się przewód wentylacyjny. Z jego czeluści dobiegły nas odległe odgłosy walki. Wskazałem na lewo.

- Tędy. Klatki panter sana prawo za następnym zakrętem, wszystkie otwierają się na tunele wychodzące do dołów. Segesvar przerobił kilka, by przetrzymywać w nich ludzi. To musi być tam.

- No dobra.

Przyspieszyliśmy, pokonaliśmy zakręt i wtedy usłyszałem gładkie, głębokie buczenie drzwi celi zsuwających się na podłogę. Odgłosy stóp i pełne emocji głosy. Segesvar, Aiura i trzeci głos, który już słyszałem, ale nie potrafiłem przypisać do twarzy. Stłumiłem falę dzikiej radości, przytuliłem się plecami do ściany i gestem kazałem zrobić to samo Jad i Murakamiemu.

Odezwała się Aiura, głosem pełnym wściekłości.

- ...naprawdę oczekujesz, że zrobisz tym na mnie wrażenie?

- Nie zrzucaj na mnie tego łajna - odciął się Segesvar. - To ten krzywooki yak, którego uparłaś się ściągnąć. Mówiłem ci...

- Jakoś, Segesvar-san, nie sądzę...

- I nie nazywaj mnie w ten sposób, do cholery. To Kossuth, nie pieprzona północ. Może wykazałabyś odrobinę wrażliwości kulturowej. Anton, jesteś pewien, że nikt nie próbuje się włamać do systemów?

Wtedy trzeci głos zaskoczył na miejsce. Wysoki dowódca z Dravy z jaskrawymi włosami. Pies do ataków komputerowych dla Kovacsa wersja dwa.

- Nic. Czysto...

Powinienem być to przewidzieć.

Zamierzałem poczekać jeszcze parę sekund. Pozwolić im wyjść na szeroki, jasno oświetlony korytarz, potem zamknąć pułapkę. Zamiast tego...

Jad przemknęła obok mnie jak strzelająca lina na trawlerze. Jej głos zdawał się odbijać echem od ścian całego kompleksu.

- *Anton, ty pieprzony matkojebco!*

Oderwałem się od ściany i wykręciłem, by objąć wszystkich ogniem z rapsodii.

Za późno.

Zobaczyłem, jak cała trójka patrzy na nas, zaskoczona. Segesvar spój - rżał mi w oczy i drgnął. Jad stała zaparta, opuszczając blaster odłamkowy. Anton dostrzegł ruch i zareagował z szybkością lika. Chwycił Aiurę Harlan-Tsuruokę za ramiona i pchnął przed siebie. Odłamkowiec szczęknął. Szeffowa ochrony Harlana krzyknęła...

...i rozpadła się na kawałki od ramion do talii, rozszarpana przez chmurę monomolekularnych odłamków. Powietrze wokół nas wypełniła krew i tkanka, oślepiając mnie...

W czasie, jaki potrzebowałem na przetarcie oczu, obaj zniknęli. Wymknęli się przez drzwi celi, którymi wyszli, i tunel za nimi. To, co zostało z Aiury, leżało na podłodze w trzech kawałkach i kałużach krwi.

- Jad, co ty, *do cholery, wyprawiasz!* - wrzasnąłem.

Przetarła twarz, rozmazując krew.

- Mówiłam ci, że go dostanę.

Opanowałem się. Dźgnąłem palcem, wskazując jatkę pod nogami.

- Nie dostałaś go, Jad. Uciekł. - Straciłem kontrolę nad sobą, poddając się wszechpotężnej furii.

- Jak mogłaś być tak cholernie głupia. On uciekł.

- Więc go, do cholery, złapię.

- Nie, musi...

Ale ona już biegła przez otwartą celę z pełną prędkością lika. Wskoczyła do tunelu.

- Niezła robota, Tak - rzucił sardonicznie Murakami. - Nie ma to jak dowodzenie. Podoba mi się.

- Zamknij się, Tod. Znajdź salę monitoringu, sprawdź cele. Wszyscy są gdzieś tutaj. Wrócę, jak tylko będę mógł.

Wycofałem się i pobiegłem, zanim jeszcze skończyłem mówić. Pogoniłem za Jad i za Segesvarem. Za czymś.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Tunel wychodził na dół do walki. Strome ukośne ściany z wiecznobetonu, wysokie na dziesięć metrów i poszarpane w połowie wysokości przez dziesiątki pokoleń panter bagiennych próbujących wspiąć się na górę. Za barierką na górze miejsca dla widowni, wszystko otwarte na niebo z pędzącą po nim litą warstwą chmur. Nie dało się patrzeć wprost w deszcz. Na dnie jamy trzydzieści centymetrów gęstego błota, zmienionego przez deszcz w lepki maź. Kratki odpływowe nie nadążały odprowadzać wody.

Zmrużyłem oczy, osłaniając je przed lejącym się na twarz deszczem, i zauważyłem Jad w połowie wąskiej drabinki technicznej w rogu jamy. Ryknąłem do niej przez odgłosy sztormu:

- Jad! Do cholery, zaczekaj!

Zatrzymała się na chwilę z blasterem zwisającym z ramienia, obejrzała na mnie, machnęła ręką i ruszyła dalej w górę.

Zakląłem, schowałem rapsodię i zacząłem się wspinać jej śladem. Deszcz spływał po ścianach obok mnie i lał mi się na głowę. Miałem wrażenie, że słyszę strzały z blastera.

Kiedy dotarłem do brzegu, jakaś ręka wyciągnęła się i chwyciła mnie za nadgarstek. Szarpnąłem się odruchowo i spojrzałem w górę. Zobaczyłem Jad.

- Nie wychylaj się - krzyknęła. - Oni są gdzieś tutaj.

Ostrożnie wysunąłem głowę nad poziom jamy i rozejrzałem się po sieci metalowych pomostów i galerii dla widowni, krzyżujących się nad jamami walk. Pole widzenia ograniczały gęste strumienie deszczu. Na dziesięć metrów wszystko wydawało się szare, na dwadzieścia nie było widać już nic. Gdzieś po drugiej stronie farmy słyszałem strzały, ale tutaj huczał tylko sztorm. Jad leżała płasko na brzuchu przy krawędzi jamy. Zobaczyła, że się rozglądam, i nachyliła się bliżej.

- Rozdzielili się - krzyknęła mi do ucha. - Anton pobiegł do przystani po drugiej stronie. Myślę, że chce stąd uciec, albo szuka drugiego ciebie i wsparcia. Ten drugi pobiegł przez klatki tam, wygląda na to, że chce podjąć walkę. Przed chwilą do mnie strzelał. Kiwnąłem głową.

- Dobra, ty biegnij za Antonem, ja zajmę się Segesvarem. Będę cię osłaniał.

- Okay.

Chwyciłem ją za ramiona, kiedy zaczęła się przetaczać. Przyciągnąłem ją na chwilę z powrotem.

- Jad, tylko, do cholery, uważaj. Jeśli wpadniesz tam na mnie... Wykrzywiła się do mnie w uśmiechu, a deszcz rozbił się na jej zębach.

- To rozwalę go dla ciebie bez dodatkowej opłaty.

Dołączyłem do niej na wąskim chodniku wokół dołu, wyciągnąłem rapsodię i ustawiłem ją na mały rozrzut, a maksymalny zasięg. Wykręciłem się i przyklęknąłem, opierając się ciasno plecami o barierkę.

- Skanuj!

Zebrała się w sobie. - Leć!

Ruszyła biegiem wzdłuż barierki, na poprzeczny pomost i w mrok. Gdzieś z prawej strony strzał blastera rozciął zasłonę deszczu. Odruchowo strzeliłem z pistoletu, ale uznałem, że jestem za daleko. Sprzedawczyni w Tekitomurze mówiła o czterdziestu do pięćdziesięciu metrach, ale nie zaszkodziłoby wiedzieć, w co się strzela.

Czyli...

Wstałem. Krzyknąłem w sztorm.

- Hej, Rad! Jesteś tam? Idę cię zabić!

Brak odpowiedzi. Ale też żadnych strzałów z blastera. Ruszyłem ostrożnie przed siebie wzdłuż

pomostu otaczającego jamę, próbując oszacować pozycję Segesvara.

Jamy walk były owalnymi arenami zatopionym bezpośrednio w muliste dno Bezmiaru, o jakiś metr głębszymi od otaczającej je wody. Było ich dziewięć, zebranych w rzędach po trzy, z grubymi wiecznobetonowymi ścianami zwieńczonymi przez łączące się ze sobą pomosty, na których widzowie mogli stać przy barierkach i patrzeć, jak pantery rozrywają się na strzępy w dole. W miejscach, gdzie zbiegały się pomosty, przestrzeń powiększono, dodając platformy z siatki, co zapewniało więcej miejsca na podziwianie popularnych walk. Niejednokrotnie zdarzało mi się widzieć pomosty upakowane pięcioma rzędami widzów stojących na sztabach trzeszczących pod ciężarem spragnionego krwi tłumu.

Ogólna struktura plastra tworzona przez dziewięć jam wznosiła się na około pięć metrów ponad poziom płytkich wód Bezmiaru i z jednej strony opierała się o niski kompleks podwodnych bunkrów. Do skraju jam przylegały krzyżujące się pomosty techniczne, gdzie *Palownik* zmiądzzył w drodze na farmę część klatek i długie, prostokątne place ćwiczeń. Udało mi się ustalić, że strzał z blastera padł właśnie spośród tych ruin.

- *Słyszysz mnie, Rad, ty gnido?*

Blaster znów się odezwał. Wiązka przemknęła obok mnie, a ja padłem na wiecznobetonową podłogę, rozpryskując wodę. W górze zagrzmiał głos Segesvara.

- Myślę, Tak, że tak blisko wystarczy.

- Jak sobie chcesz - odkrzyknąłem. - I tak zostało już tylko sprzątanie.

- Naprawdę? Nie wierzysz w siebie, co? On jest teraz w nowym doku i odpiera atak twoich pirackich przyjaciół. Odepchnie ich z powrotem na Bezmiar albo nakarmi nimi pantery. Nie słyszysz?

Wyteżyłem słuch. Znów dotarły do mnie odgłosy walki. Strzały z Masterów i sporadyczne krzyki. Nie dało się stwierdzić, która strona wygrywa, ale wróciły do mnie wcześniejsze wątpliwości odnośnie Vlady i jego naćpanych kumpli. Skrzywiłem się.

- Nieźle nam przywalił! - krzyknąłem. - Co jest, spędzaliście razem czas w tej sali grawitacyjnej? Razem rozpychaliście różne otwory twojej ulubionej dziwki?

- Pieprz się, Kovacs. On przynajmniej *wie, jak* się bawić.

Jego głos nawet przez burzę brzmiał, jakby był blisko. Uniosłem się lekko i zacząłem czołgać wzdłuż brzegu barierki. Trochę się zbliżyłem.

- Jasne. I za to warto było mnie sprzedawać?

- Nie sprzedałem cię. - Przetoczył się po mnie jego ostry śmiech. - Wymieniłem cię na lepszą wersję. Zamierzam zrobić to, co właściwe, z takim gościem, nie z tobą. Bo *ten* cholerny gość wciąż pamięta, skąd pochodzi.

Jeszcze bliżej. Podciągałem się metr po metrze przez siekący deszcz i trzy centymetry wody leżącej na pomostach. Dalej od jednej jamy, wokół drugiej. Trzymać się nisko. Nie pozwolić, by nienawiść i złość poderwały mnie na nogi. Spróbować rozłodzić go tak, by popełnił błąd.

- Czyli pamięta jeszcze, jak jęczałeś i czołgałeś się w bocznej alejce z rozszarpanym brzuchem, Rad? On to, do cholery, pamięta?

- Tak, jasne. Ale wiesz co? - Głos Segesvara wszedł na wyższą tonację. Trafiłem. - On po prostu *nie ściska mnie z tego powodu za jaja przy każdej możliwej okazji. I nie wykorzystuje tego, żeby na mnie zarobić.*

Jeszcze bliżej. Nadałem głosowi ton rozbawienia.

- Tak, i podpiął cię też do Pierwszych Rodzin. Bo o to tak naprawdę chodziło, prawda? Sprzedałeś się bandzie pieprzonych arystokratów, Rad. Tak samo, jak cholerna yakuza. Za chwilę przeprowadzisz się do Millsport.

- *Hej, pieprz się, Kovacs!*

Wybuchowi furii towarzyszył wystrzał z blastera, ale nawet się do mnie nie zbliżył. Uśmiechnąłem się w deszczu i ustawiłem rapsodię na maksymalne rozproszenie. Uniosłem się z wody. Podkręciłem neurochemię.

- *I to ja zapomniałem, skąd pochodzę? Daj spokój, Rad. Zanim się połapiesz, zaczniesz nosić skośnooką powłokę.*

Dostatecznie blisko.

- *Hej, pieprz...*

Podniosłem się na nogi i ruszyłem do przodu. Jego głos zdradził kierunek, resztę zrobiła neurochemia. Zauważyłem go przykucniętego po drugiej stronie klatek, częściowo osłoniętego przez stalową siatkę z boku pomostu. Rapsodia pluła monomolekularnymi odłamkami, a ja biegłem pomostem wokół jamy. Nie ma czasu na dokładniejsze celowanie, po prostu trzeba mieć nadzieję, że...

Krzyknął z bólu. Zobaczyłem, że się zatacza, trzymając ramię. Wypełniła mnie brutalna radość, która rozciągnęła mi wargi i odsłoniła zęby w uśmiechu. Znów strzeliłem, a on albo padł, albo schował się za osłonę. Przeskoczyłem przez barierkę między pomostem, po którym biegłem, i zagrodą do karmienia. Prawie się przewróciłem. Zachwiałem się do tyłu, łapiąc równowagę, i podjąłem błyskawiczną decyzję. Nie mogłem obieć ściany. Jeśli Segesvar przeżyje, ugotuje mnie z blastera. Pomost wymagałabym biegl na wprost pół tuzina metrów po brzegu zagrody. Wystartowałem.

Nagle przechylił się metal pod moimi nogami.

W dole, w zagrodzie, coś warknęło i skoczyło. Owionął mnie oddech pantery, śmierdzący morzem i gnijącym mięsem.

Później, kiedy już miałem czas, zrozumiałem: zagroda musiała zostać uszkodzona podczas ataku *Palownika*, i pękł wiecznobeton po stronie, gdzie czekał Segesvar. Ten koniec pomostu zawisł, opierając się wyłącznie na częściowo wyrwanych bolcach. A na skutek podobnych uszkodzeń gdzieś w kompleksie klatek uwolniła się jedna z panter.

Wciąż byłem dwa metry od końca pomostu, gdy bolce ustąpiły do końca. Refleks Eishundo rzucił mnie w przód. Puściłem rapsodię i rękami chwyciłem za brzeg zagrody. Pomost spadł w dół. Moje dłonie zacisnęły się na przemoczonym deszczem wiecznobetonie. Jedna zjechała. Utrzymał mnie gekonowy chwyt drugiej. Gdzieś pode mną pantera bagienna skrzesła pazurami iskry na pomoście, po czym spadła z przeciągłym wyciem. Spróbowałem się złapać drugą ręką.

Nad brzegiem zagrody pojawiła się głowa Segesvara. Był blady, przez prawy rękaw jego marynarki przesiąkła krew, ale na mój widok wyszczerzył się w uśmiechu.

- Proszę, kurwa, proszę - powiedział prawie konwersacyjnym tonem. - Mój stary, prawy przyjaciel, pieprzony Takeshi Kovacs.

Desperacko sięgnąłem w bok. Udało mi się zaczepić stopę o brzeg muru. Segesvar zauważył to i podkuśtykał bliżej.

- Nie, nie sędzę - rzucił i kopniakiem zrzucił moją stopę.

Znów osunąłem się w dół, ledwie utrzymując chwyt palców. Przez chwilę stał nade mną i patrzył w dół. Potem spojrział gdzieś nad jamami i z satysfakcją pokiwał głową. Z nieba cały czas padał deszcz.

- A więc choć raz to ja patrzę na ciebie z góry.

- Och, *odpieprz się* - wydyszałem.

- Wiesz, że ta pantera w dole może być jednym z twoich religijnych przyjaciół? To byłaby

ironia losu, prawda?

- Po prostu to zrób, Rad. Jesteś sprzedajnym gnojkiem i nic już tego nie zmieni.

- Zgadza się, Takeshi. Znowu ta twoja moralna wyższość. - Skrzywił twarz i przez chwilę myślałem, że kopniakiem oderwie moje dłonie od muru.- Jak zawsze. *Och, Radul to pieprzony kryminalista, Radul nie potrafi się sam o siebie zatroszczyć, musiałem kiedyś uratować Radulowi życie.* Robisz to, od kiedy ukradłeś mi Yvonnę, i *nigdy się, do cholery, nie zmieniłeś.*

Zagapiłem się na niego w deszczu, prawie zapominając o pustce pod sobą. Wyplułem wodę z ust.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- Cholernie dobrze wiesz, o czym mówię! Lato, Watanabe, Yvonna Vasarely z zielonymi oczami.

Błysk wspomnień. Rafa Hirata, długonoga sylwetka nade mną. Mokre, smakujące solą morską ciało na wilgotnych kombinezonach do nurkowania.

Trzymaj się.

- Ja... - Tępo potrząsnąłem głową. - Myślałem, że ma na imię Eva.

- Widzisz, cholera, *widzisz!* - Wysyczał to, jakby wstrzykiwał zbyt długo przetrzymywaną truciznę. Jego twarz wykrzywiła furia. - *Nic* cię nie obchodziła, dla ciebie była tylko kolejną bezimienną cipą.

Na długie chwile przeszłość zalała mnie jak fala przyływu. Powłoka Eishundo przejęła kontrolę nad moimi zmysłami i wisiałem, wpatrując się w kalejdoskop obrazów z tamtego lata. Pokład u Watanabego. Upał bijący z czystego nieba. Delikatna bryza od Bezmiaru, zbyt słaba, by poruszyć ciężkie, lustrzane dzwonki wietrzne. Ciało pod ubraniem śliskie od potu, pokryte jego kroplami, gdzie tylko sięgał wzrok. Ospale rozmowy i śmiech, w powietrzu gryzący zapach morskich konopi. Zielonooka dziewczyna.

- Rad, to było ponad dwieście lat temu. A ty nawet z nią nie *rozmawiałeś*. Wciągałeś nosem met z cycków Małgorzaty Bukowskiej, jak zwykle zresztą, do cholery.

- Nie wiedziałem, jak z nią gadać. Ona była... - Skulił się w sobie. - Do cholery, *obchodziła mnie, ty dupku.*

Z początku nie potrafiłem zidentyfikować dźwięku, który z siebie wydobyłem. Mógł to być stłumiony kaszel od deszczu, wlewającego mi się do gardła za każdym razem, gdy otwierałem usta. Przypominał trochę łkanie, dziwne uczucie, jakby coś się we mnie oderwało. Strata.

Ale to nie było to.

To był śmiech.

Po pierwszym kaszlnięciu wyrwał się ze mnie jak ciepło domagające się miejsca w moich piersiach i drogi na zewnątrz. Wyrzucił wodę z moich ust i nie umiałem go już powstrzymać.

- *Przestań się śmiać, sukinsynu.*

Nie potrafiłem tego powstrzymać. Chichotałem. Nowa energia wypełniła moje ręce, płynąc z nieoczekiwanym rozbawieniem do gekonowych dłoni, dodając nowej siły utrzymującym mnie palcom.

- Rad, ty głupi draniu. Ona pochodziła z bogatej rodziny z Newpest, nie marnowałyaby się na ulicach, tak jak my. Jesienią pojechała na studia do Millsport i nigdy więcej jej nie spotkałem. To ona tego chciała. Powiedziała, żebym się tym nie martwił, było miło, ale to nie miłość do końca życia. - Prawie nieświadom tego, co robię, odkryłem, że zacząłem się podciągać do krawędzi zagrody, gdzie stał, patrząc na mnie. Twarda wiecznobetonowa krawędź wbijała się w mój tors. Dyszałem, wyrzucając z siebie słowa. - Ty naprawdę myślałeś... że kiedyś uda ci się *zbliżyć* do

kogoś takiego, Rad? Myślałeś, że ona... urodziłaby ci dzieci i siedziała na nabrzeżu Spekny z innymi żonami gangu, czekając, aż wrócisz do domu... kiedy wyrzucacie o świcie z Watanabego? No wiesz. - Między stęknieniami znów zalała mnie fala śmiechu. - Jak zdesperowana musiałaby być kobieta, *dowolna* kobieta, żeby tego chcieć?

- *Pieprz się!* - wrzasnął i kopnął mnie w twarz.

Chyba się tego spodziewałem. Zdecydowanie go do tego sprowokowałem. Ale nagle wszystko wydało się bardzo odległe i nieważne, na równi z lśniącymi obrazami tamtego lata. Zresztą, to była powłoka Eishundo, nie ja.

Moja lewa ręka wystrzeliła. Chwyciła go za łydkę. Z nosa pociekła mi krew. Zaskoczył gekonowy chwyt. Brutalnie szarpnąłem w dół, a Segesvar podskoczył niedorzecznie na jednej nodze, balansując na skraju zagrody. Spojrzał na mnie w dół, z twarzą pełną emocji.

Spadłem i pociągnąłem go za sobą.

Nie leciałem długo. Ściany zagrody były ukośne, tak samo jak w jamach walk, a opadły pomost zablokował się w połowie wiecznobetonowej ściany, prawie w poziomie. Uderzyłem w dziurkowany metal, a Segesvar wylądował na mnie. Straciłem całe powietrze z płuc. Pomost szarpnął się i opadł kolejne pół metra. Pantera pod nami oszalała, waląc w barierkę i próbując ściągnąć pomost na dno zagrody. Czulem zapach krwi lejącej się z mojego nosa.

Segesvar wykręcił się, wciąż z furią w oczach. Wyprowadziłem cios. Zablokował go. Warcząc przez zaciśnięte zęby, podciągnął zranioną rękę do mojego gardła i oparł się na niej. Zacząłem się z nim szarpać. Krzyknął, ale nawet na chwilę nie rozluźnił uścisku. Pantera skoczyła na bok galeryjki, atakując smrodem swojego oddechu. Zobaczyłem wściekłe oko przesłonięte iskrami z pazurów drących o metal. Zwierzę zaskowyczało i zaśliniło się na nas, na wpół oszalałe.

Może takie było.

Kopałem i waliłem na oślep, ale Segesvar mnie zablokował. Mając za sobą prawie dwa stulecia doświadczeń z walk ulicznych, wiedział, jak wygrywać. Patrzył na mnie z góry, a nienawiść dawała mu siłę, by pokonać ból rany w ramieniu. Uwolniłem jedną rękę i spróbowałem jeszcze raz ciosem odrzucić go od gardła, ale to też przewidział. Zablokował łokciem i moje palce ledwie przesunęły się po boku jego twarzy. Potem wyciągnął moją zablokowaną rękę i mocniej naparł na uszkodzone ramię, które mnie dusiło.

Dźwignąłem głowę i wgrzyłem się przez marynarkę w postrzępione ciało jego przedramienia. Krew przesączyła się przez tkaninę i wypełniła mi usta. Wrzasnął i uderzył mnie w bok głowy drugą ręką. Nacisk na moją krtań stał się przytłaczający - nie mogłem już oddychać. Pantera waliła w metalowy pomost, a ten się przesunął. Zsunąłem się lekko w bok.

Wykorzystałem ten ruch.

Przycisnąłem otwartą dłoń i palce do skóry twarzy Segesvara. Ostro szarpnąłem w dół.

Gekonowe kolce wyskoczyły i wgrzyły się w jego skórę. Tam, gdzie wypukłości dłoni i czubki palców przyciskały najmocniej, twarz Segesvara się rozdarła. Kiedy go chwyciłem, instynkt ulicznych walk kazał mu zamknąć oczy, ale to w niczym nie pomogło. Kolce na palcach rozerwały jego powiekę od brwi w dół, podrapały oko i wyszarpaneły je z nerwu. Wrzasnął z głębi trzewi. Na szarym tle deszczu wytrysnęła nagle plama czerwieni, rozpryskując się ciepło po mojej twarzy. Stracił uchwyt i zatoczył się do tyłu z okaleczoną twarzą i okiem wystającym z oczodołu. Ryknąłem i rzuciłem się na niego, wyprowadzając cios sierpowy w nieuszkodzoną stronę jego twarzy. Siła uderzenia rzuciła go na barierkę galeryjki.

Zawisł na niej, przez chwilę niepewnie unosząc lewą rękę do bloku. Prawą zacisnął w pięść pomimo uszkodzeń, jakich doznała.

I wtedy porwała go pantera.

W jednej chwili zniknął. Błysk grzywy i macek, szarpnięcie łapą. Pazury stworzenia wbiły się w niego na wysokości ramion i ściągnęły go z pomostu jak szmacianą lalkę. Krzyknął raz, a potem usłyszałem potężne chrupnięcie zamykających się szczęk. Nie widziałem, ale pewnie pantera przegryzła go na pół.

Chyba przez pełną minutę stałem, chwiejąc się na przechylonym pomoście, wsłuchany w odgłosy rozszarpywania ciała, połykania, pękających kości. W końcu podszedłem niepewnie do barierki i zmusiłem się, by spojrzeć w dół.

Było już za późno. Nic w jatce na dole nawet odległe nie przypominało wyglądem elementów ludzkiego ciała.

Deszcz zdążył już splukać część krwi.

* * *

Pantery bagienne nie są bardzo bystre. Ta w dole, nakarmiona, przestała się mną interesować, nawet kiedy stałem jej nad głową. Spędziłem kilka minut, szukając rapsodii, ale jej nie znalazłem, zająłem się więc problemem, jaki nastęczało wydostanie się z zagrody. Dzięki zniszczeniom wiecznobetonowej ściany, naruszonej przez *Palownika*, nie było to trudne. Zaczepiłem stopę w najszerszej szczelinie i podciągnąłem się do góry.

Z wyjątkiem chwili strachu, gdy już na krawędzi urwiska kawałek wiecznobetonu osunął się spod moich dłoni, wszystko poszło gładko. W drodze na górę coś w powłoce Eishundo powoli zatrzymało krwawienie z nosa.

Stanąłem na szczycie i zacząłem nasłuchiwać odgłosów walki. Nie usłyszałem niczego oprócz sztormu, a nawet ten sprawiał wrażenie, że cichnie. Walki albo się skończyły, albo przeszły do etapu ukrywania się i łowów. Najwyraźniej nie doceniłem Wlada i jego załogi.

Jasne, albo hajduków.

Pora przekonać się, których.

Znalazłem blaster Segesvara w kałuży jego krwi blisko barierki nad zagrodą, sprawdziłem ładunek i ruszyłem po galerijkach nad jamami walk. Po drodze zacząłem sobie uświadamiać, że śmierć Segesvara zostawiła we mnie tylko luźne poczucie ulgi. Nie potrafiłem wykrzesać z siebie zmartwienia tym, że mnie sprzedał, ani przejąć się jego wynurzeniami z powodu tej Evy...

Yvonny.

...tak, Yvonny, które tylko wsparły oczywistą prawdę. Pomimo wszystkiego, co się wydarzyło, przez blisko dwieście lat trzymał nas razem tylko ten jeden, mimowolnie zaciągnięty dług z bocznej alejki. W końcu nigdy tak naprawdę się nie lubiliśmy, a to wzbudziło we mnie myśl, że moje młodsze ja grało pewnie na uczuciach Segesvara jak Ide solówkę na cygańskich skrzypcach.

Wracając tunelem, zatrzymywałem się co parę kroków i nasłuchiwałem dźwięków strzałów. Kompleks podwodnych bunkrów zdawał się upiornie cichy i moje własne kroki rozbrzmiewały znacznie głośniejsze, niżbym chciał. Dotarłem tunelem do wjazdu, przy którym zostawiłem Murakamiego, i zastałem tam resztki Aiury Harlan z chirurgicznie wyciętą, elegancką dziurą w miejscu, gdzie powinien się znajdować koniec kręgosłupa. Przeskanowałem korytarz w obie strony, znów wyteżyłem słuch i wyłowiłem tylko metaliczne stukanie, które uznałem za odgłosy zamkniętych panter, rzucających się na wjazdy klatek w furii wywołanej zamieszczeniem na zewnątrz. Skrzywiłem się i zacząłem iść wzdłuż rzędu drzwi, skoncentrowany, z ostrożnie opuszczonym blasterem w dłoniach.

Pozostałych znalazłem pół tuzina drzwi dalej. Wjazd był opuszczony, cela za nim oświetlona jaskrawym światłem. Na podłodze leżały rozciągnięte ciała, a ściana za nimi umazana była plamami krwi, jakby chluśnięto ją tam z wiadra.

Koi.

Tres.

Brasil.

Czterech czy pięciu innych, których rozpoznałem, ale nie znałem z imienia. Wszystkich zabito z broni pociskowej i wszyscy leżeli twarzą do podłogi. Dostrzegłem takie same dziury u szczytu kręgosłupów, brak stosów.

Żadnego śladu Viadury, żadnego śladu Sylvie Oshimy.

Stałem pośród tej jatki, przesuając wzrokiem z ciała na ciało, jakby szukając czegoś, co opuściłem. I czekałem, aż cisza w celi zmieniła się w dudnienie w moich uszach, przesłaniając świat.

Kroki w korytarzu.

Wykręciłem się, opuściłem blaster i omal nie zastrzeliłem Vlady Tepesa, wystawiającego głowę zza brzegu drzwi. Odskoczył do tyłu, wykręcając w dłoniach karabin plazmowy, potem zrezygnował. Na jego twarzy pojawił się niechętny uśmiech, dłonią podrapał policzek.

- Kovacs. Cholera, stary. Omal cię nie zabiłem.

- Co się, do cholery, dzieje, Vlad?

Spojrzał za mnie, na ciała. Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Wygląda na to, że przyszliśmy za późno. Znasz ich?

- *Gdzie jest Murakami?*

Wskazał w stronę, z której przyszedł.

- Po drugiej stronie, w doku. Wysłał mnie, żebym cię poszukał na wypadek, gdybyś potrzebował pomocy. Wiesz, walka praktycznie już się skończyła. Zostało sprzątanie i trochę starego dobrego piractwa. - Znów się wyszczerzył. - Czas odebrać zapłatę. Chodź, tędy.

Poszedłem za nim otępiały. Minęliśmy bunkry, korytarze pełne śladów niedawnych zmagania, z przypalonymi przez blastery ścianami i paskudnymi rozbryzgami ludzkiej tkanki, kilka trupów i absurdalnie dobrze ubranego mężczyznę w średnim wieku, siedzącego na podłodze, który w katatonicznym niedowierzaniu wpatrywał się w swoje roztrzaskane nogi. Pewnie wybiegł z kasyna albo burdelu, kiedy zaczął się rajd, uciekł do bunkra i dostał w strzelaninę. Kiedy do niego doszliśmy, uniósł słabo obie ręce, a Vlad zastrzelił go z karabinu plazmowego. Zostawiliśmy go z dymem unoszącym się z potężnej dziury na piersiach i wspięliśmy się po drabince na główną platformę starej stacji belującej.

W doku panowały podobne zniszczenia. Między ślizgaczami leżały powykręcane ciała. Tu i tam paliły się ognie w miejscach, gdzie blastery znalazły coś, co paliło się lepiej od ludzkiego mięsa i kości. W deszczu unosił się dym. Wiatr zdecydowanie osłabł.

Murakamiego zobaczyłem nad wodą. Klęczał nad bezwładną Virginią Viadurą i mówił coś do niej pośpiesznie. Jedną dłonią podtrzymywał jej twarz. W pobliżu stało kilkoro piratów Vlady, spierając się swobodnie, z bronią przewieszoną przez ramiona. Byli przemoczeni, ale najwyraźniej cali.

Na przednim panczerzu zakotwiczonego w pobliżu zielonego lezmobilu leżało rozciągnięte ciało Antona.

Leżał głową w dół i z otwartymi oczami, a tęcza grzywa dowódcza opadała prawie do poziomu wody. W miejscu, gdzie kiedyś miał brzuch i tors, ziała dziura, przez którą dałoby się wsunąć głowę. Wyglądało to tak, jakby Jad trafiła go w sam środek ciała od tyłu blasterem odłamkowym ustawionym na minimalne rozproszenie. Sam blaster leżał porzucony w kałuży krwi. Po Jad nie było ani śladu.

Murakami zauważył, że nadchodzimy, i puścił twarz Viadury. Podniósł blaster odłamkowy i

wyciągnął go do mnie w obu rękach. Magazynek był wyciągnięty, komora czysta. Wystrzelono go do pusta, potem wyrzucono. Potrząsnął głową.

- Szukałem jej, ale nie ma po niej śladu. Col mówi, że chyba widział, jak wpadała do wody trafiona z tamtego muru. Mogła być tylko ranna, ale w tej sytuacji... - wskazał na pogodę. - Nie da się nic stwierdzić na pewno, dopóki nie znajdziemy ciała. Szstorm odchodzi na zachód, uspokaja się. Poszukamy jej później.

Patrzyłem w dół na Virginie Viadurę. Nie widziałem żadnych oczywistych ran, ale wyglądała na pół przytomną, głowa zwisała jej bezwładnie. Obróciłem się z powrotem do Murakamięgo.

- Co, u diabła...

I wtedy kolba blastera uderzyła mnie w głowę.

* * *

Biały ogień, niedowierzenie. Całkiem świeża krew z nosa. Co...

Zatoczyłem się, potknąłem, upadłem.

Murakami stanął nade mną. Odrzucił blaster odłamkowy i wyciągnął z za pasa elegancki ogłuszacz.

- Przykro mi, Tak.

Strzelił do mnie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Na końcu bardzo długiego, ciemnego korytarza czeka na mnie kobieta. Próbuję się spieszyć, ale moje ubranie jest ciężkie od przesiąkającej je wody, a korytarz wznosi się pod kątem, wypełniony sięgającą mi do kolan lepką substancją, która mogłaby być krwią, tyle że śmierdzi pięknorostami. Posuwam się do przodu po pochyłej, zatopionej w cieczy podłodze, ale otwarte drzwi w ogóle się nie zbliżają.

Masz jakiś problem, koleś?

Podkręcam neurochemię, ale coś jest nie tak z biosprzętem, bo to, co widzę, przypomina obraz z bardzo mocno powiększającej lunety celowniczej. Wystarczy, że mrugnę, a cały tańczy, od czego bolą mnie oczy usiłujące utrzymać skupienie. Przez połowę czasu kobieta jest dobrze wyposażoną piratką z załogi Vlady, rozebraną dopasą i pochyloną nad modułami nieznanego mi sprzętu leżącego na podłodze jej kabiny. Duże piersi zwieszają się jak owoce - czuję, jak moje usta wyciągają się do ssania ciemnych, nabrzmiatych sutków. Potem, kiedy już wydaje mi się, że opanowałem obraz, ten ucieka i staje się małą kuchnią z ręcznie malowanymi żaluzjami, które odcinają światło słońca na Kossucie. Tam też widzę kobietę, również nagą do pasa, ale nie tę samą, bo ją znam.

Celownik znów się porusza. Mój wzrok przesuwają się po sprzęcie na podłodze. Matowoszare, odporne na uderzenia skrzynki, lśniące czarne dyski w miejscach, gdzie po aktywacji pojawią się holowyświetlacze. Logo na każdym z modułów wymalowane jest ideogramami, które rozpoznaję, choć nie potrafię czytać ani w ziemskiej chińszczyźnie, ani języku Hun Home. Psychografia Tseng. To nowa nazwa, którą widziałem niedawno na polach bitew i w jednostkach psychochirurgii. Nowa gwiazda w wyjątkowej konstelacji wojskowych marek, nazwa i marka, na którą stać wyłącznie bardzo bogate organizacje.

Co tam masz?

Elektromagnetyczny pistolet Kałasznikowa. Pożyczył mi go jeden z facetów.

Ciekawe, komu go ukradł.

Kto powiedział, że ukradł?

Ja. Ci faceci to piraci.

Nagle moja dłoń pełna jest zaokrąglonej, drapieżnej masy rękojeści kałasznikowa. Błyszczą do mnie w słabym świetle korytarza i aż się prosi, by nacisnąć spust.

Minimum siedemset dolarów NZ. Żaden naćpany pirat nie wyda takiej forsy na cichy pistolet.

Przeciskam się kolejnych parę kroków do przodu, czując, jak wsącza się we mnie okropne poczucie porażki w kojarzeniu faktów. Mam wrażenie, jakbym wciągał breję z korytarza przez stopy i przemoczone buty, i wiem, że kiedy będę już pełen, będę musiał się zatrzymać.

A potem nabrzmięję i eksploduję jak zbyt mocno ściśnięty worek z krwią.

Przyjdiesz tu jeszcze raz, a ścisnę cię tak, że pęknie.

Czuję, jak moje oczy szeroko otwierają się od szoku. Znów zaglądam przez lunetkę i tym razem nie widzę kobiety ze sprzętem ani kabiny na pokładzie Palownika.

To kuchnia.

I moja matka.

Stoi zjedną stopą w misce wody z mydlinami i nachylona szoruje nogę tanią gąbką z hodowli. Ma na sobie sięgającą ud sukienkę zbieraczki rostów, rozpiętą i opuszczoną do pasa, i jest młoda, młodsza niż zazwyczaj pamiętam. Jej piersi zwisają, długie i gładkie, jak owoce, i moje usta wyciągają się ze śladowym wspomnieniem ich smaku. Spogląda na mnie w bok i uśmiecha się.

Wtedy on wchodzi przez inne drzwi, które, jak podpowiada mi pamięć, prowadzą na nabrzeże. Wpada do pokoju i uderza w nią jak burza.

Ty cipo, wredna, pieprzona cipo.

Mrugam od szoku wywołanego tymi słowami i nagle stoję na progu. Znika luneta, wszystko dzieje się tu i teraz. Ruszam się dopiero po trzecim uderzeniu. Wszyscy przy tej czy innej okazji zaznaliśmy jego ciosów, ale tym razem naprawdę się nie hamuje - uderzenie odrzuca ją przez kuchnię na stół, gdzie pada i wstaje, a on znów rzuca ją na ziemię. Widzę krew, jasną krew z jej nosa w zblakany promieniu słońca. Usiłuje wstać, tym razem z podłogi, a on obutą nogą depcze jej brzuch. Ona zwija się i przewraca na bok, miska przechyla się i mydliny leją się na mnie, przez próg, po moich nagich stopach, a potem mam wrażenie, jakby mój duch został przy drzwiach. Reszta mnie biegnie do pokoju i próbuje wejść między nich.

Jestem mały, mam pewnie nie więcej niż pięć lat, a on dużo wypił, więc trafia nieprecyzyjnie. Ale to wystarczy, by wyrzucić mnie z powrotem przez drzwi. Potem podchodzi i staje nade mną, podpierając się niezdarnie rękami o kolana i dysząc ciężko przez obwisłe wargi.

Jak przyjdiesz tam jeszcze raz, chłopcze, ścisnę cię, aż pęknie.

Kiedy znów do niej podchodzi, nie zawraca sobie nawet głowy zamykaniem drzwi.

Ale kiedy tak siedzę tam w bezużytecznej kupce, zaczynając płakać, ona wyciąga rękę i popycha drzwi, przesłaniając nimi to, co ma się stać.

Potem słyszę tylko odgłos uderzeń i dźwięki zamkniętych drzwi.

Brnę przez pochyły korytarz, goniąc drzwi i światło przeciskające się przez szczelinę, a płacz w moim gardle przekształca się we wrzask dartołskrzydła. Wzbiera we mnie wściekłość i rosne razem z nią, jestem starszy z każdą mijającą sekundą, niedługo będę dość duży i sięgnę do drzwi, dostanę się tam, zanim w końcu opuści nas wszystkich, znikając z naszego życia, i to ja sprawię, że zniknie, zabiję go gołymi rękami, w dłoniach mam broń, moje dłonie są bronią, a breja pod nogami wysycha. Uderzam w drzwi jak pantera bagienna, ale to nie robi żadnej różnicy, były tak długo zamknięte, są lite i uderzenie odbija się we mnie jak strzał z ogłuszacza, i...

Ach tak. Ogłuszacz.

A więc to nie drzwi, to...

...nabrzeże, moja twarz leżała na nim w małej kałuży śliny i krwi wyciekającej z języka przygryzionego w chwili porażenia. To się często zdarza.

Zakrztusiłem się i wykaszałem zaległą w gardle wydzielinę. Wyplułem ją, dokonałem szybkiej oceny uszkodzeń i natychmiast tego pożałowałem. Całe moje ciało stanowiło chwiejny zbiór dygotania i bólu po strzale z ogłuszacza. Wnętrznosci wypełniały mi mdłości, głowa była lekka i pełna powietrza. Skroń pulsowała w miejscu, gdzie oberwałem kolbą blastera. Leżałem przez chwilę, zbierając się w sobie, potem oderwałem twarz od ziemi i podciągnąłem kark w górę jak foka. Ruch był krótki. Ręce miałem związane za plecami jakąś owijką i nie widziałem nic wyżej kostek. Czułem ciepłe pulsowanie aktywnego biosplotu wokół nadgarstków. Ustępował dostatecznie, by nie odcinać dopływu krwi do długo skrępowanych rąk, rozplýwał się pod wpływem właściwego enzymu, ale to, że udałooby mi się wyswobodzić od niego ręce, było mniej więcej tak samo prawdopodobne, jak pomysł, by własnoręcznie wyrwać sobie palec.

Nacisk na klatkę piersiową uzmysłowił mi nieoczekiwany fakt. Zabrali nóż Tebbita. Byłem nieuzbrojony.

Zwymiotowałem, opróżniając żołądek z jego skromnej zawartości. Opadłem z powrotem i spróbowałem nie wylądować twarzą w wymiocinach. Gdzieś z daleka usłyszałem strzały z blasterów i, jeszcze słabiej, dźwięk przypominający śmiech.

Po mokrym betonie przeszła para butów. Zatrzymała się i wróciła.

- Dochodzi do siebie - powiedział ktoś i zagwizdał. - Twardy sukinsyn. Hej, Viadura, mówiłaś, że szkoliłaś tego gościa?

Brak odpowiedzi. Znow się dźwignąłem i udało mi się przetoczyć na bok. Zamrugałem na stojącą nade mną postać. Vlad Tepes patrzył na mnie z oczyszczającego się nieba, które prawie przestało lać deszczem. Twarz miał poważną i pełną podziwu, a przyglądając mi się, stał w całkowitym bezruchu. Wcześniejsza metowa nerwowość przepadła bez śladu.

- Niezłe przedstawienie - wyskrzeczalem do niego.

- Podobało ci się? - Uśmiechnął się. - Oszukałem cię, co?

Przesunąłem językiem po zębach i wyplułem krew zmieszaną ze śliną.

- Tak, myślałem, że Murakamiego powaliło, skoro postanowił cię wykorzystać. To co stało się z prawdziwym Vladem?

- No cóż. - Zrobił kwaśną minę. - Wiesz, jak to jest.

- Tak, wiem. Ilu was tu jeszcze jest? Oczywiście poza twoją biuściastą specjalistką od psychochirurgii.

Roześmiał się swobodnie.

- Tak, powiedziała, że przyłapała cię na podglądaniu. Piękny kawał mięsa, nieprawdaż? Wiesz, ostatnio Liebeck nosiła atletkę z Limon. Płaską jak deska. Minął rok, a ona wciąż nie może się zdecydować, czy zmiana ją cieszy, czy wkurza.

- Limon, co? Limon, Latimer.

- Zgadza się.

- Źródło najnowszej techniki lików.

Wyszczrzył zęby.

- Wszystko zaczyna nabierać sensu, co?

Niełatwo jest leżeć płasko na ziemi ze skrępowanymi rękami. Zrobiłem, co mogłem.

- Widziałem sprzęt Tsenga w jej kabinie.

- Szlag, czyli nie gapiłeś się na jej cycki.

- Ależ skąd, patrzyłem - przyznałem. - Ale wiesz, jak to jest. Nie umykają mi szczegóły w okolicy.

- To cholerna prawda.

- Mallory.

Obaj obejrzelismy się w stronę, z której dobiegał krzyk. Wzdłuż nabrzeża szedł Todor Murakami, nadchodząc od strony bunkra. Był nieuzbrojony, jeśli nie liczyć kałasznikowa na biodrze i noża na piersi. Wokół niego padał łagodny deszcz, pobłyskując na tle jaśniejszego nieba.

- Nasz renegat budzi się i pluje - powiedział Mallory, wskazując na mnie.

- To dobrze. A skoro jesteś jedyną osobą, która potrafi skłonić załogę do jakichś skoordynowanych działań, lepiej idź i zrób z nimi porządek. W burdelu czekają ciała z nietkniętymi stosami, widziałem je po drodze. Możliwe, że kryją się tam i żywi świadkowie, a ja chcę, żeby każdy stos stopiono na żuzel. - Murakami machnął ręką, zde gustowany. - Do jasnej cholery, to *piraci*, wydawało się, że powinni sobie poradzić. A zamiast tego większość bawi się w uwalnianie panter i używa ich w charakterze ruchomych celów. No sam posłuchaj.

W powietrzu wciąż słyhać było wystrzały, w długich, niezdyscyplinowanych seriach przeplatanych podekscytowanymi krzykami i śmiechem. Mallory wzruszył ramionami.

- A gdzie jest Tomaselli?

- Razem z Liebeck ustawia sprzęt. A Wang czeka na ciebie na mostku, próbując dopilnować, by

nikt przypadkiem nie dał się zjeść. To twoja łódź, Vlad. Idź przekonać ich, by przestali się opieprzać, a kiedy skończą przeszukiwanie, sprowadź *Palownika* na tę stronę do załadunku.

- Dobra. - Mallory bez trudu przybrał z powrotem osobowość Vlada i zaczął nerwowo drapać się po bliźnie. Skinął do mnie głową. - Zobaczymy się, jak się zobaczymy, Kovacs. Jak tylko...

Przyglądałem się, jak odchodzi i niknie za rogiem. Przeniosłem wzrok na Murakamię, który wciąż patrzył w stronę, skąd dochodziły odgłosy pobitewnej rozrywki.

- Pieprzeni amatorzy - wymamrotał i potrząsnął głową.

- Czyli - zauważyłem ponuro - jednak prowadzisz operację.

- Trafiłeś w sedno. - Mówiąc to, Murakami równocześnie przykucnął i ze stęknieniem podciągnął mnie do pozycji siedzącej. - Nie miej mi tego za złe, co? Nie bardzo mogłem ci to powiedzieć wczoraj w nocy i odwołać się do poczucia nostalgii, żeby skłonić cię do pomocy, prawda?

Rozejrzałem się, korzystając z wygodniejszego ułożenia ciała, i zobaczyłem Virginie Viadurę leżącą bezwładnie na pomoście ze związanymi rękami. Na jej twarzy widniał długi, ciemniejszy siniak, spuchło jej jedno oko. Popatrzyła na mnie tępo, potem odwróciła wzrok. Na jej pobrudzonej twarzy rozmazały się łzy. Ani śladu powłoki Sylvie Oshimy, żywej ani martwej.

- A więc zamiast tego zrobiłeś ze mnie durnia.

Wzruszył ramionami.

- Pracuje się z tym, co ma się pod ręką. Przecież wiesz.

- Ilu was tu jest? Najwyraźniej nie cała ekipa.

- Nie - uśmiechnął się lekko. - Tylko pięcioro. Mallory, Liebeck, którą chyba już poznałeś, Tomaselli i Wang, oraz ja.

Skinąłem głową.

- Liczebność tajnego oddziału. Powinienem być wiedzieć, że nie ma mowy, byś tak po prostu kręcił się po Millsport na przepustce. Jak długo jesteś w terenie?

- Prawie cztery lata. Ja i Mallory przyszliśmy przed pozostałymi. Parę lat temu przepakowaliśmy Vlada, przyglądaliśmy mu się wcześniej. Potem Mallory sprowadził pozostałych jako nowych rekrutów.

- Pewnie czuł się dziwnie, wchodząc w skórę Vlada.

- Właściwie nie. - Murakami przysiadł w kucki na lekkim deszczu. Wydawało się, że ma mnóstwo czasu na rozmowę. - Brakuje im spostrzegawczości, są naćpani metem, i nie nawiązują znaczących więzi. Tylko paru było tak blisko Vlada, że mogli stwarzać jakieś problemy, kiedy wskoczył w niego Mallory, ale zdjąłem ich z wyprzedzeniem. Snajperka plazmowa. - Wykonał gest namierzania i strzału. - Do widzenia, głowo, do widzenia, stosie. Vlada przejęliśmy tydzień później. Mallory siedział na nim przez prawie dwa lata. Odgrywał fankę, obciążał mu, dzielił z nim fajki i flaszki. Potem, którejś ciemnej nocy w Sourcetown, bum! - Murakami uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Ta przenośna aparatura Tsenga jest piękna. Można przeprowadzić przelanie w hotelowej łazience.

Sourcetown.

- Przez cały ten czas pilnowałeś Brasila?

- Między innymi. - Znów wzruszył ramionami. - Właściwie całego Paska. To jedyne miejsce na Świecie, gdzie zostali poważni buntownicy. Na północy, nawet w Newpest, to tylko przestępcy, a wiesz, jacy konserwatywni są kryminaliści.

- Stąd Tanaseda.

- Stąd Tanaseda. Lubimy yakużę, bo oni po prostu chcą być blisko władzy. A hajducy... cóż,

pomimo bardzo cenionych przez nich populistycznych korzeni, tak naprawdę są tylko uboższą, pozbawioną manier wersją tej samej choroby. A swoją drogą, dorwałś Segesvara? Zapomniałem cię zapytać, zanim ci przyłożyłem.

- Tak, dorwałem. Zjadła go pantera.

Murakami zachichotał.

- Doskonale. Czemu, u diabła, w ogóle odszedłeś, Tak?

Zamknąłem oczy. Kac po ogłuszaczu przybierał na sile.

- A co z tobą? Rozwiązałeś za mnie mój problem z podwójnym upowłokowieniem?

- Ach... jeszcze nie.

Znów otworzyłem oczy, zaskoczony.

- On wciąż gdzieś tu się kręci?

Murakami z zakłopotaniem machnął ręką.

- Najwyraźniej. Wygląda na to, że trudno cię zabić, nawet w tym wieku. Ale dorwiemy go.

- Doprawdy? - rzuciłem ponuro.

- Tak, dorwiemy. Skoro załatwiliśmy Aiurę, nikt już go nie osłoni, nie ma dokąd uciec. A już pewne jak prędkość światła, że nikt inny w Pierwszych Rodzinach nie będzie chciał ciągnąć tego, co zaczęła. Oczywiście, o ile chcą, by Protektorat tu został i pozwolił im zatrzymać zabawki.

- Albo - rzuciłem niedbale - zabijesz mnie i spokojnie poczekasz, aż przyjdzie do ciebie ubić interes. Murakami zmarszczył brwi.

- To nie jest śmieszne, Tak.

- I nie miało być. Wiesz, on wciąż nazywa siebie Emisariuszem. Pewnie z radością skorzystałby z szansy, by wskoczyć do Korpusu, gdybyś tylko mu ją dał.

- Nic mnie to nie obchodzi. - W jego głosie brzmiał gniew. - Nie znam tego sukinsyna i on idzie w piach.

- Dobra, dobra. Spokojnie. Po prostu próbuję ułatwić ci życie.

- Moje życie jest dostatecznie proste - burknął. - Podwójne upowłokowienie Emisariusza, nawet byłego, jest praktycznie nieodwołalnym politycznym samobójstwem. Konrad Harlan będzie srał ze strachu, kiedy pojawię się w Millsport z głową Aiury i raportem z ostatnich wydarzeń. Najlepsze, na co może mieć nadzieję, to zaprzeczyć, że wiedział o wszystkim, i modlić się, że w to uwierzę.

- Wyciągnąłeś stos z Aiury?

- Tak, głowa i ramiona były prawie nietknięte. Przesłuchamy ją, ale to formalność. Nie wykorzystamy bezpośrednio tego, co wiemy. W sytuacji takiej jak ta, lepiej nie komplikować sytuacji politycznej. Pamiętasz szkolenie? Zminimalizować lokalne wrzenie, potwierdzić autorytet Protektoratu, przechować dane na przyszłość.

- Tak, pamiętam. - Spróbowałem przełknąć część wilgoci. - Wiesz, że możesz nie złamać Aiury. Jako pracownik rodziny będzie miała dobre warunkowanie lojalnościowe.

Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- W końcu wszyscy pękają, Tak. Wiesz o tym. Podczas wirtualnych przesłuchań pękasz albo tracisz rozum, a ostatnio potrafimy już nawet z tego wyciągać. - Uśmiech zmienił się w twardy, równie nieprzyjemny grymas. - W każdym razie, to i tak się nie liczy. Nasz ukochany, wiecznie żywy przywódca Konrad nigdy się nie dowie, co z niej wyciągnęliśmy. Będzie musiał założyć najgorsze i się ugiąć. Albo wezwę oddział szturmowy, spalę Grań

Rila i nakarmię go wraz z całą rodziną impulsem elektromagnetycznym.

Kiwnąłem głową, patrząc na Bezmiar z uczuciem przypominającym rozbawienie.

- Mówisz prawie jak quellista. Dokładnie to chcieliby zrobić jej zwolennicy. Szkoda, że nie

możesz się z nimi dogadać. Ale przecież nie po to tu jesteś. - Nagle przeniósłem wzrok na jego twarz.
- Prawda?

- Słucham? - Ale wcale się nie starał, więc w kąciku jego ust dostrzegłem uśmiezek.

- Daj spokój, Tod. Przyjechałeś tu z najwyższej klasy sprzętem psychograficznym, a twoja koleżanka Liebeck pracowała na Latimerze. Zabrałeś gdzieś Oshimę. I mówisz, że ten numer idzie już od czterech lat, co aż nazbyt wyraźnie wiąże się z początkiem inicjatywy Mecseka. Nie jesteś tu z powodu quellistów, przyjechałeś pilnować technologii lików.

Jego uśmiech się poszerzył.

- Błyskotliwe. Choć właściwie się mylisz. Jesteśmy tu z obu powodów. Spółka najnowszej techniki lików i obecność quellistów sprawia, że Protektorat trzęsie gaciami. A istotne są również stacje orbitalne.

- Stacje orbitalne? - zamrugałem. - Co mają z tym wszystkim wspólnego satelity?

- W tej chwili nic. I chcielibyśmy, żeby tak zostało. Ale przez rozwój techniki lików nie mamy już takiej pewności.

Potrząsnąłem głową, próbując pozbyć się otępienia.

- Co...? Czemu?

- Ponieważ - odpowiedział poważnie. - Ten cholerny sprzęt chyba działa.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Wynieśli ciało Sylvie Oshimy ze stacji belującej na masywnych noszach grawitacyjnych ze znakiem Tsenga i zakrzywioną plastikową osłoną przeciwdeszczową. Liebeck sterowała noszami za pomocą pilota, a druga kobieta, którą pewnie była Tomaselli, szła z tyłu z przewieszonym przez ramię zestawem monitorującym, również oznaczonym logo Tsenga. Kiedy wyszli, zdołałem podnieść się na nogi, a Murakami wydawał się z tego zadowolony. Staliśmy obok siebie w milczeniu niczym żałobnicy z jakiejś antycznej procesji pogrzebowej, przyglądając się przybyciu grawitacyjnego łoża z ładunkiem. Patrząc w dół na twarz Oshimy, przypomniałem sobie elegancki kamienny ogródek na szczycie Grani Rila, tamte nosze, i nagle uderzyło mnie, że jak na matkę nowej ery rewolucji ta kobieta mnóstwo czasu spędza nieprzytomna, przywiązana do środków transportu dla inwalidów. Tym razem pod przezroczystą osłoną jej oczy były otwarte, ale zdawały się niczego nie rejestrować. Gdyby nie ślady aktywności życiowej na wyświetlaczu wbudowanym obok jej głowy, można by uwierzyć, że patrzy się na trupa.

Ależ patrzysz na trupa, Tak. Masz przed sobą trupa neoquellistowskiej rewolucji. To wszystko co mieli, a po śmierci Koiego i pozostałych nikt nie przywróci jej życia.

Właściwie nie zdziwiło mnie, że Murakami zabił Koiego, Brasila i Tres, spodziewałem się tego na jakimś poziomie od chwili, kiedy się obudziłem. Widziałem to na twarzy Virginii Viadury, leżącej bezwładnie na moło. Kiedy wypluła z siebie słowa, tylko to potwierdziła. A kiedy Murakami pokiwał głową i pokazał mi garść świeżo wyciągniętych stosów korowych, poczułem jedynie nieprzyjemne wrażenie spojrzenia w lustro na rodzaj śmiertelnego wyniszczenia własnego organizmu.

- Daj spokój, Tak. - Schował stopy z powrotem do kieszeni stroju maskującego i wytarł dłonie, krzywiąc się. - Nie miałem wyboru, sam rozumiesz. Powiedziałem ci już, że nie możemy sobie pozwolić na powtórkę z Niepokojów. I bynajmniej nie tylko dlatego, że ci faceci musieli przegrać, a wtedy wtrąciłby się tu Protektorat. I komu by się to przysłużyło?

Virginia Viadura na niego splunęła. Nieźle jej to wyszło, biorąc pod uwagę, że wciąż leżała bezwładnie trzy albo cztery metry dalej. Murakami westchnął.

- Pomyśl o tym chwilę, dobrze, Virginia? Pomyśl o tym, co neoquellistowskie powstanie zrobi z tą planetą. Myślisz, że na Adoracion było źle? Uważasz Sharyę za bajzel? To przyszcz w porównaniu z tym, co stałoby się tutaj, gdyby twoi plażowi kumple podnieśli sztandar rewolucji. Uwierz mi, administracja Hapety nie będzie się pieprzyć. To cholerni twardogłowi z kończącym się mandatem. Zmiażdżą wszystko, co będzie choć przypominało bunt na którymkolwiek z Zamieszkanym Światów, a jeśli trzeba będzie do tego bombardowania z orbity, *na pewno się na nie zdecydują.*

- Jasne - odpowiedziała. - I to właśnie powinniśmy przyjąć jako model rządzenia, tak? Skorumpowana oligarchiczna tyrania wsparta przeważającą potęgą wojskową.

Murakami znów wzruszył ramionami.

- Nie rozumiem, czemu nie. Historycznie to się sprawdza. Ludzie lubią robić to, co im się każe. I ta oligarchia wcale nie jest taka zła, prawda? Pomyśl o warunkach, w jakich żyją tutejsi. Nie mówimy już o biedzie i represjach Lat Osiedlenia, bo odeszły w niepamięć.

- A czemu odeszły? - Głos Viadury przycichł. Zacząłem się martwić, że ma wstrząs mózgu. Powłoki surferów są twarde, ale nie projektuje się ich z myślą o takich uszkodzeniach twarzy, jakich doznała. - Ty pieprzony kretynie. To dlatego, że quelliści kopnęli władze w łeb.

Murakami z rezygnacją machnął ręką.

- No dobra, więc spełnili już swoje zadanie, prawda? Nie potrzeba ich nam już więcej.

- To bzdura, Murakami, i dobrze o tym wiesz. - Ale mówiąc to, Viadura patrzyła na mnie. - Władza to nie struktura, a system przepływu. Albo akumuluje się na szczycie, albo rozlewa w systemie. Quellizm uruchomił tę dyfuzję, a te sukinsyny w Millsport od tamtej pory usiłują odwrócić kierunek przepływu. Teraz władza znów się akumuluje. Sytuacja będzie się pogarszać, bo rządzący zaczną odbierać wszystko innym. Za kolejne sto lat obudzisz się w warunkach Lat Osiedlenia.

Kiedy to mówiła, Murakami kiwał głową, jakby poważnie zastanawiał się nad jej słowami.

- Tak, problem w tym, Virginia - odezwał się, kiedy skończyła – że nie płacą mi za to, żebym martwił się tym, co będzie za sto lat. Wyszkolili mnie... właściwie, to *ty* mnie wyszkoliłaś...tak, żebym umiał sobie radzić z aktualną sytuacją. I to właśnie robię.

Aktualna sytuacja: Sylvie Oshima. Lik.

- Pieprzony Mecsek - rzucił ze złością Murakami, wskazując głową w stronę postaci wyciągniętej na grawitacyjnym łóżku. - Gdybym to ja decydował, za nic nie pozwoliłbym lokalnemu rządowi położyć łapy na tym sprzęcie, a co dopiero udzielać licencji bandzie naćpanych, popapranych łowców nagród. Gdybyśmy wysłali do czyszczenia Nowego Hokkaido specjalistyczne ekipy Emisariuszy, nic takiego by się nie zdarzyło.

- Tak, ale wtedy zbyt drogo by to kosztowało, pamiętasz?

Ponuro pokiwał głową.

- Tak. Dokładnie z tego powodu Protektorat dał ten sprzęt w leasing każdemu chętnemu. Liczył się tylko procentowy zysk z inwestycji. Wszystko kręci się wokół cholernej forsy. Nikt już nie chce tworzyć historii. Wszyscy wolą zbierać pieniądze.

- Myślałam, że tego właśnie chcesz - odezwała się cicho Viadura. - Wszyscy walczą o forszę. Oligarchiczni opiekunowie. System kontroli łatwy jak bułka z masłem. A teraz na niego *narzekasz*?

Posłał jej zmęczone spojrzenie i potrząsnął głową. Liebeck i Tomaselli oddaliły się, by wypalić wspólnie skręta przed powrotem Vlada/Mallory'ego z *Palownika*. Zapanowało ogólne rozluźnienie. Grawitacyjne nosze zachwiały się na wietrze niecały metr ode mnie. Na przezroczystą plastikową osłonę padały krople deszczu, spływając wolno po krzywiźnie. Siła wiatru opadła do lekkiej bryzy, a strzelanina z drugiej strony farmy ustała dłuższy czas temu. Stałem w ciszy i patrzyłem w dół na znieruchomiałe oczy Sylvie Oshimy. Szepczące strzępy intuicji zaczęły drapać o bariery świadomego zrozumienia, szukając drogi dostępu.

- O co chodzi z tym tworzeniem historii, Tod? - zapytałem bezbarwnie. - Co się dzieje z likami?

Odwrócił się do mnie z wyrazem twarzy, którego nigdy wcześniej u niego nie widziałem. Uśmiechnął się niepewnie. Wyglądał z tym bardzo młodo.

- Co się dzieje? Jak już mówiłem, problem polega na tym, że okazali się aż nadto skuteczni. Tak, na Latimerze zaczynają osiągać jakieś wyniki. Kontakt z marsjańskimi SI. Kompatybilność systemów informatycznych. Ich maszyny rozmawiają z naszymi, i to właśnie ten system stworzył most. Złamaliśmy interfejs.

Wzdłuż kręgosłupa przespacerowały mi się lodowate szpony. Przypomniałem sobie Latimera i Sanction IV, i parę rzeczy, które tam widziałem i robiłem. Chyba zawsze wiedziałem, że to będzie miało fundamentalne znaczenie. Po prostu nie wierzyłem, że tak szybko mnie dorwie.

- Ale trzymają to w tajemnicy, nieprawdaż? - wtrąciłem luźno.

- A ty byś tak nie robił? - Murakami dźgnął palcem w stronę bezwładnej postaci na noszach. - To, co ta kobieta ma w głowie, potrafi rozmawiać z maszynami porzuconymi przez Marsjan. Z czasem być może dowie się, dokąd odeszli, a może nawet nas do nich doprowadzi. - Stłumił śmiech. - A dowcip polega na tym, że ona nie jest archeologiem, wyszkolonym ekspertem systemowym Emisariuszy ani nawet specjalistką od Marsjan. To pieprzona łowczyni nagród, Tak, psychotyczna

niszczycielka robotów z pogranicza. I diabli wiedzą, ilu takich jak ona wałęsa się po całym świecie. Masz pojęcie, jak Protektorat tym razem spieprzył? Byłeś na Nowym Hokkaido. Możesz sobie wyobrazić konsekwencje, jeśli nasz pierwszy kontakt z superzaawansowaną kulturą nastąpi przez ludzi takich jak ona? Będziemy mieli szczęście, jeśli Marsjanie nie wrócą i nie wysterylizują każdej skolonizowanej przez nas planety, tak na wszelki wypadek.

Nagle poczułem, że muszę usiąść. Wróciło drzenie po strzale z ogłuszacza, budząc się we wnętrznościach i dochodząc do głowy, w której zakręciło mi się gwałtownie. Przełknąłem mdłości i spróbowałem myśleć jasno pomimo zgiełku przywalających mnie nagle szczegółów. Ślizgacze Sylvie w błyskawicznej, morderczej akcji przeciw skorpionowemu działu...

Cały wasz system życia jest nam obcy.

Jasne. Zresztą, chcemy waszej ziemi.

Orr z łomem w dłoniach, stojący nad uszkodzonym karakuri w tunelu pod Dravą. *To wyłączymy go, czy jak?*

Przechwałki lików na pokładzie *Broni dla Guevary*, zabawne w nedorzecznym założeniu do czasu, aż nadało się im znaczący kontekst.

Daj znać, Las, jak tylko znajdziesz sposób na likwidację satelity.

Pokonaj satelitę, a przez resztę życia Mitzi Harlan co rano będzie cię budzić lodzikiem.

O cholera.

- Ty naprawdę myślisz, że ona mogłaby to zrobić? - zapytałem otumaniony. - Myślisz, że potrafi rozmawiać z satelitami?

Odsłonił zęby. Wcale nie przypominało to uśmiechu.

- Tak, o ile wiem, już z nimi rozmawiała. W tej chwili ją uspiłiśmy, a sprzęt Tsenga monitoruje transmisje. Nie wiemy jednak, co już zdołała.

- A jeśli zacznie...?

Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

- Dostałem odpowiednie rozkazy.

- Cudownie. Bardzo konstruktywne.

- Tak, a jaki, do cholery, mamy wybór? - W jego głosie zabrzmiała desperacja. - Wiesz, co się teraz dzieje na Nowym Hokkaido. Wimym zachowują się inaczej, niż powinny, i mają specyfikacje, których nikt w nich nie montował podczas Niepokojów. Wszyscy myślą, że to jakiś rodzaj maszynowej ewolucji, wyrosłego nanotechu, a jeśli tak nie jest? Jeśli całą tę awanturę wywołali likowie? Jeśli stacje orbitalne budzą się, bo poczuły oprogramowanie dowódcze i w odpowiedzi zmieniają parametry wimów? Ten sprzęt został zaprojektowany, by rozmawiać z maszynowymi systemami Marsjan, o ile udało nam się ustalić i zobaczyć na Latimerze w działaniu. Więc czemu tutaj miałyby być inaczej?

Patrzyłem na Sylvie Oshimę, słysząc w głowie echo głosu Jad.

...Ale te belkoty, dziury w pamięci, wędrówki do miejsc, gdzie ktoś inny już pracował...

Wszystko zaczęło się po Iyamon...

...Parę razy namierzaliśmy aktywność wimów, ale kiedy tam dotarliśmy, było po wszystkim.

Wyglądało tak, jakby walczyły ze sobą nawzajem...

Mój umysł popędził arteriami otwartymi dla mnie przez emisariuszową intuicję Murakamiego. A co, jeśli wcale nie walczyły ze sobą? Albo jeśli...

Sylvie, na wpół przytomna na pryczy w Dravie, mamrocząc. *To mnie znało. Jak stary przyjaciel. Jak...*

Kobieta nazywająca siebie Nadią Makitą, leżąca na innej pryczy, na pokładzie *Boubin*

Islandera.

Grigori. Jest tam coś, co brzmi jak Grigori.

- Ludzie, których stopy trzymasz w kieszeni - powiedziałam cicho do Murkamiego. - Którego zamordowałeś dla lepszego jutra nas wszystkich, wierzyli, że to Quellcrista Falconer.

- Cóż, wiara bywa śmieszna, Tak. - Patrzył gdzieś poza nas, a w jego słowach nie było rozbawienia. - Jesteś Emisariuszem, wiesz o tym.

- Tak. A więc w co ty wierzysz?

Przez parę chwil milczał. Potem potrząsnął głową i spojrzał wprost na mnie.

- W co wierzę, Tak? Wierzę, że jeśli mamy rozkodować klucze do cywilizacji Marsjan, powrót naprawdę martwych do życia będzie się przy tym wydawał drobnym i stosunkowo nieistotnym wydarzeniem.

- Myślisz, że to ona?

- Nie obchodzi mnie to. I tak niczego nie zmienia.

Okrzyk Tomaselli. *Palownik* wypłynął zza rogu zdewastowanej farmy jak jakaś olbrzymia, zcyborgizowana płaszczka mamucia. Rzykując kolejną falą wymiotów, podciągnąłem neurochemię i wypatrzyłem sylwetkę Mallory'ego stojącego w stożkowatej wieżyczce z oficerem komunikacyjnym i paroma innymi piratami, których nie rozpoznałem. Stałem bliżej Murkamiego.

- Mam jeszcze jedno pytanie, Tod. Co planujesz zrobić z nami, Virginią i mną?

- Cóż. - Mocno potarł dłonią po krótkich włosach, wytrząsając z nich chmurę kropelek wody. Na jego twarzy pojawił się ślad uśmiechu, jakby powrót do praktycznych tematów znów połączył nas więzią starej przyjaźni. - To trochę skomplikowane, ale coś wymyślimy. Biorąc pod uwagę to, jak w tej chwili wygląda sytuacja na Ziemi, pewnie chcieliby, żebym was oboje sprowadził albo całkowicie wykasował. Administracja niechętnym okiem patrzy na Emisariuszy renegatów.

Pokiwałem głową.

- No i?

Uśmiech nabrał mocy.

- I pieprzyć ich. Jesteś Emisariuszem, Tak. Podobnie jak ona. Fakt, że straciłeś klubowe przywileje, nie musi automatycznie oznaczać, że do nas nie należysz. Odejście z Korpusu nie zmienia tego, kim jesteś. Myślisz, że pozwolę cię skasować tylko dlatego, że banda jakichś śliskich polityków z Ziemi szuka kozła ofiarnego?

Potrząsnąłem głową.

- Nie rozmawiamy tu o twoich pracodawcach, Tod.

- Pieprzę to. Odpowiadam przed dowództwem Emisariuszy. Nie kasujemy własnych ludzi. - Zagryzł dolną wargę, zerknął na Virginię Viadurę, potem znów na mnie. Ściszył głos do szeptu. - Ale żeby to przeprowadzić, będę potrzebował twojej pomocy, Tak. Ona zbyt mocno to przeżywa. Nie mogę jej tak wypuścić. Również dlatego, że wpakuje mi ładunek z plazmowca, jak tylko odwrócę się do niej plecami.

Palownik zaczął dryfować bokiem w stronę nieużywanej sekcji nabrzeża. Jego haki holownicze wystrzeliły i wygryzły dziury w wiecznobetonie. Parę z nich trafiło na zepsute płamy i pękło, jak tylko zaczęły napinać się liny. Poduszkowiec cofnął się lekko na fali wzburzonej wody i poszarpanych pięknorostów. Haki liny wciągnęły się i strzeliły ponownie.

Coś za mną zawyło.

Z początku jakaś głupia część mnie pomyślała, że to Virginia Viadura w końcu wyzwala swój skomasowany żal. Ułamek sekundy później dotarł do mnie maszynowy ton dźwięku i zidentyfikowałem go - alarm.

Miałem wrażenie, że czas się zatrzymał. Sekundy zmieniły się w niemożliwie długie okresy percepcji, a wszystko poruszało się w leniwym tempie nurkowania.

...Liebeck odwraca się od brzegu wody, skręt wypada z jej otwartych ust i odbija się od piersi w kaskadzie iskier...

...Murakami wrzeszczy mi przy uchu i sunie w stronę grawitacyjnych noszy...

...System monitorujący wbudowany w nosze piszczy, błyskając obudzonym do życia całym zestawem holowyświetlaczy mrugających jak świeceki wzdłuż dygoczącego nagle ciała Sylvie Oshimy...

...Oczy Sylvie, szeroko otwarte i skupione na mnie, zmuszają mnie, bym przesunął wzrok na...

...Alarm, nieznanym podobnie jak nowy sprzęt Tsenga, może mieć tylko jedno znaczenie...

...I wzniesione ramię Murakamiego, w dłoni kałasznikow oderwany od pasa...

...Mój własny wrzask, splatający się z jego, gdy rzucam się do przodu, blokując go, z wciąż związanymi rękami, beznadziejnie powoli...

A potem chmury na wschodzie rozerwały się i rzygnęły anielskim ogniem.

Dok rozjarzył się światłem i furją.

I spadło na nas niebo.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Potrzebowałam chwili, by zrozumieć, że wcale nie śnię. Krajobraz wokół mnie miał w sobie coś absurdalnego i nierealnego, jak w koszmarach z dzieciństwa, które przeżywałam po strzale z ogłuszacza - ten sam brak spójności i sensu. Znów leżałam na nabrzeżu farmy Segesvara, ale teraz było ono opuszczone. Nie miałem już skrępowanych rąk. Wszystko pokrywał drobniutki wodny pył, a otoczenie zdawało się pozbawione barw. Nasze grawitacyjne cierpliwie unosiły się w miejscu, ale zgodnie z pokrętną logiką snu leżała teraz na nich Virginia Viadura, z bladą twarzą i olbrzymimi sińcami na policzkach. Parę metrów dalej na Bezmiarze w paru miejscach woda paliła się bladymi płomieniami. Sylvie Oshima siedziała, przyglądając się ogniom, oparta o jeden z pachołków jak znieruchomiałą dartośkrzydł. Musiała usłyszeć, że się podnoszę, ale nie obejrzała się.

W końcu przestało padać. Powietrze pachniało spalenizną.

Podszedłem niepewnie do brzegu wody i stanąłem obok niej.

- Cholerny Grigori Ishii - powiedziała, nie patrząc na mnie.

- Sylvie?

Wtedy się obróciła i zobaczyłem potwierdzenie. Wróciła szefowa lików. Sposób, w jaki siedziała, wyraz jej oczu, głos - wszystko wróciło. Uśmiechnęła się słabo.

- To wszystko twoja wina, Micky. Kazałeś mi myśleć o Ishiim. Nie mogłam tego tak zostawić. Potem przypomniałam sobie, kim był. Musiałam wrócić na dół i go poszukać. I przejrzeć ścieżki, którymi wszedł, którymi *ona* weszła. - Wzruszyła ramionami, ale nie przyszło jej to lekko. - Otworzyłam drogę.

- Gubię się. Kim jest Grigori Ishii?

- Naprawdę nie pamiętasz? Trzecia klasa podstawówki, historia. Krater Alabardos.

- Boli mnie głowa, Sylvie. Poza tym często wagarowałem. Przejdź do rzeczy.

- Grigori Ishii był quellistowskim pilotem odrzutowca przydzielonym do oddziału na Alabardos. Tym, który próbował wywieźć stamtąd Quell. Zginął z nią w anielskim ogniu.

- To znaczy...

- Tak. - Zaśmiała się krótko. - Ona jest tym, za kogo się podaje.

- Ona? - Rozejrzałem się wokół, próbując wchłonąć niesamowitość sytuacji. - Ona to zrobiła?

- Nie, to ja. - Wzruszyła ramionami. - A właściwie oni, na moją prośbę.

- *Wezwałaś* anielski ogień? Podłączyłaś się do stacji orbitalnej?

Na jej twarzy pojawił się uśmiech, ale wyglądało to tak, jakby po drodze przypomniała sobie coś bolesnego.

- Tak. Przypomniałam sobie wszystko, o czym gadaliśmy, i wykręciłam ten numer. Trudno to sobie wyobrazić, co?

Mocno przycisnąłem dłoń do twarzy.

- Sylvie, musisz trochę zwolnić. Co się stało z Ishiim i odrzutowcem?

- Nic. Wszystko wydarzyło się dokładnie tak, jak nas uczyli. Trafił go anielski ogień, tak jak zawsze nam mówili. Jak w historii. - Mówiła bardziej do siebie niż do mnie, wciąż wpatrując się w wodny pył utworzony przez orbitalne uderzenie przy odparowaniu *Palownika* i czterech metrów wody pod nim. - Ale ta broń nie działa tak, jak myśleliśmy, Micky. Anielski ogień to wiązka energetyczna, ale też coś więcej. Równocześnie jest urządzeniem rejestrującym, takim nagrywającym aniołem. Niszczy wszystko, czego dotknie, ale wszystko to modyfikuje równocześnie wiązkę energetyczną. Każda molekula, każda cząstka subatomowa zmienia odrobinę stan energetyczny wiązki, a kiedy jest po wszystkim, ta zachowuje idealny obraz tego, co zniszczyła. I zapisuje go. Tak

naprawdę niczego więc nie niszczy.

Parsknąłem śmiechem pełnym niedowierzania.

- Jaja sobie ze mnie robisz. Chcesz mi powiedzieć, że Quellcrista Falconer spędziła ostatnie trzysta lat w pieprzonej marsjańskiej bazie danych?

- Z początku się zgubiła - wyszeptała. - Przez bardzo długi czas wędrowała wśród skrzydeł. Nie rozumiała, co się z nią stało. Nie wiedziała, że została przepisana. Musiała być cholernie silna.

Spróbowałem sobie wyobrazić, jak mogła wyglądać wirtualna egzystencja w systemie stworzonym przez obce umysły, i nie potrafiłem. Poczulem gęsią skórkę.

- A więc jak udało się jej wydostać?

Sylvie spojrzała na mnie z dziwnym błyskiem w oczach. - Wysłał ją orbita.

- Sylvie...

- Nie, naprawdę. - Potrząsnęła głową. - Nie będę udawać, że rozumiem protokoły, wiem tylko, co się stało. To zobaczyło coś we mnie albo może w moich łączach z oprogramowaniem dowódczym. Jakąś analogię, coś, co może trochę rozumiało. Najwyraźniej byłam idealnym wzorcem dla tej osobowości. Myślę, że cała sieć satelitów to zintegrowany system, który już od dawna próbował czegoś takiego, i stąd się wzięło dziwne zachowanie wimów na Nowym Hokkaido. System próbował wysłać zapisane u siebie ludzkie osobowości wszystkich, których satelity wypaliły z nieba przez ostatnie cztery stulecia. Do tej pory pchał ich w umysły wimów. Biedny Grigori Ishii był częścią zniszczonego przez nas skorpionowego działu.

- Tak, mówiłaś, że je znasz, kiedy majaczyłaś w Dravie.

- Nie ja. *Ona* go znała, rozpoznała go, choć chyba z osobowości Ishiego nie zostało tam wiele. - Zadygotała. - A już z pewnością nie zostało z niego wiele w celach. Teraz jest tylko pozbawioną rozumu powłoką. Ale wystarczyło, by obudzić jej wspomnienia, więc załąła system, próbując się wydostać. To dlatego się poddałam. Nie potrafiłam sobie z tym poradzić, bo wyskoczyła z głębi systemu jak pieprzona bomba.

Mocno zacisnąłem oczy, próbując zasymilować informacje.

- Ale czemu orbitale zaczęły przesyłać dane?

- Mówiłam ci, nie wiem. Może nie mają pojęcia, co zrobić z ludzkimi osobowościami, bo przecież nikt ich do tego nie zaprogramował. Może wytrzymały to przez stulecie czy więcej, a potem zaczęły szukać miejsca, by wyrzucić śmieci. Wimy zajmowały Nowe Hokkaido przez przynajmniej trzysta lat, większość naszej tutejszej historii. Może zawsze się tak zachowywały, a my nie wiedzieliśmy o tym przed Mecsekiem.

Przez chwilę zastanawiałem się, ilu ludzi straciło życie w anielskim ogniu przez ponad czterysta lat, od kiedy zasiedlono Świat Harlana. Przypadkowe ofiary błędu pilota, więźniowie polityczni spuszczeni na uprzężach grawitacyjnych z Grani Rila i tuzina tego typu miejsc egzekucji na całej planecie, parę dziwnych śmierci, gdy stacje orbitalne zadziały nietypowo i zniszczyły coś poza zwykłymi parametrami.

Zastanawiałem się, ilu rozpadło się we wrzeszczące szaleństwo wewnątrz orbitalnych baz danych Marsjan, a ilu zostało wysłanych i bezceremonialnie wepchniętych w umysły wimów na Nowym Hokkaido. Ilu zostało. *Błąd pilota?*

- Sylvie?

- Tak? - Znów wpatrzyła się w Bezmiar.

- Byłaś świadoma, gdy wyciągnęliśmy cię z Grani Rila? Wiedziałaś, co dzieje się wokół ciebie?

- W Millsport? Niezupełnie. Czemu pytasz?

- Doszło do wymiany ognia z helikopterem, zestrzeliły go satelity. Myślałem wtedy, że pilot źle wyliczył szybkość wznoszenia albo że czujność satelitów wzmożyły fajerwerki. Ale gdyby nas dalej atakował, zginęłabyś. Myślisz...?

Wzruszyła ramionami.

- Może. Nie wiem. Połączenie nie jest trwałe. - Wskazała ręką wokół i roześmiała się trochę niepewnie. - Wiesz, nie mogę z tego korzystać do woli. Jak mówiłam, muszę ładnie poprosić.

Odparowany Todor Murakami. Tomaselli i Liebeck, Vlad/Mallory z całą załogą, opancerzony kadłub *Palownika* i setki metrów sześciennych wody, na których się unosił, nawet - spojrzałem na swoje nadgarstki i zauważyłem drobne oparzenia na skórze - biologiczne kajdanki z rąk moich i Virginii. Wszystko zniknęło w mikrosekundowych impulsach precyzyjnie kontrolowanej furii z niebios.

Pomyślałem o precyzji zrozumienia niezbędnej, by maszyny osiągnęły taki efekt z wysokości pięciuset kilometrów nad powierzchnią planety, idei życia po śmierci i jego strażników krążących w górze, a potem przypomniałem sobie schludną małą sypialnię w wirtualizacji, credo wyrzeczników odrywające się od drzwi. Znowu spojrzałem na Sylvie i zrozumiałem po części, co się z nią działo.

- Jak to jest z nimi rozmawiać? - zapytałem łagodnie.

Prychnęła.

- A jak myślisz? Nie przypomina to rozmowy, raczej misterium, jakby sprawdziły się te wszystkie bzdury, które powtarzała mi matka. To bardziej jak... - Zamachała bezradnie rękami. - Jak dzielenie się, jak stapanie granicy stanowiącej to, kim jesteś. Nie wiem. Może jak seks, jak dobry seks. Ale nie... Cholera, nie potrafię ci tego opisać, Micky. Ledwie mogę uwierzyć, że to wszystko się dzieje. Tak. - Uśmiechnęła się kwaśno. - Zjednoczenie z Bogiem. Tylko że ludzie w rodzaju mojej matki prędzej uciekliby z wrzaskiem z ośrodka przelewania, niż *naprawdę* stanęli przed czymś takim. To mroczna ścieżka, Micky. Otworzyłam właściwe drzwi, a oprogramowanie wiedziało, co robić dalej, *chciało* mnie tam zabrać, do tego je stworzono. Ale tam jest ciemno i zimno, a ty czujesz się nagi, odarty ze wszystkiego. Na taką ewentualność przygotowano tam skrzydła, ale są zimne, Micky. Zimne, szorstkie, pachnące wiśniami i musztardą.

- Ale to satelita z tobą rozmawia? A może sterują nim Marsjanie?

Na jej twarzy pojawił się krzywy uśmiešek.

- To byłoby coś, prawda? Rozwiązanie największej zagadki naszych czasów. Gdzie są Marsjanie, dokąd odeszli?

Przez chwilę pozwoliłem, by wypełnił mnie ten obraz. Nasi drapieźni poprzednicy o nietoperzowych skrzydłach rzucają się tysiącami w niebo, czekając na anielski ogień, by zniszczył ich i przetransponował, spalił ciało na popiół i narodził ich ponownie ponad chmurami. Być może przylatywali z każdego innego świata ich hegemonii na pielgrzymki, ustawiając się w kolejce na chwilę nieodwołalnej transcendencji.

Potrząsnąłem głową. Obrazy zapożyczone ze szkoły wyrzeczników i śladowe elementy perwersyjnych chrześcijańskich mitów o poświęceniu. Pierwsza rzecz, której uczą archeologów, to żeby nie przenosić antropomorficznego bagażu na coś, co nie jest ani trochę ludzkie.

- Zbyt proste - powiedziałem.

- Tak, też tak pomyślałam. W każdym razie rozmawiałam z orbitalami. Czuje się, że to maszyny, tak samo jak wimy czy każde inne oprogramowanie. Ale tak, nadal są tam też Marsjanie. Grigori Ishii, a właściwie to, co z niego zostało, bełkocze o nich, kiedy tylko udaje mu się zebrać jakieś słowa. I myślę, że Nadia też będzie ich pamiętać, kiedy nabierze dość dystansu do wspomnień. Kiedy to zrobi, kiedy w końcu przypomni sobie, jak weszła z ich bazy danych do mojej głowy, zdoła

naprawdę z nimi rozmawiać. A wtedy moje łącze w porównaniu z nimi będzie wyglądało jak kod Morsa na tam-tamach.

- Wydawało mi się, że ona nie wie, jak używać oprogramowania dowódczego.

- Bo nie wie. Jeszcze nie. Ale ją nauczę, Micky.

Kiedy to mówiła, na jej twarzy pojawił się dziwny spokój, jakiego nie widziałem przez cały czas, jaki spędziliśmy razem w Nieoczyszczonych i później. Przypominało mi to twarz Nikolaia Natsume w klasztorze wyrzeczników, zanim przyszliśmy i zepsuliśmy mu wszystko - poczucie celu, potwierdzone poza wszelkie wątpliwości. I przynależność do czegoś, czego nie zasmakowałem od czasów Innenin i nie spodziewałem się odkryć ponownie. Dla odmiany poczułem, jak budzi się we mnie zazdrość.

- Zamierzasz zostać *sensei* lików, Sylvie?

Niecierpliwie machnęła ręką.

- Nie mówię o nauce w prawdziwym świecie, mówię o *niej*. Tam, w trzewiach maszyny, mogę podkreślić przepływ czasu tak, że w każda minuta da nam miesiąc, i pokazać *jej, jak to zrobić*. To nie przypomina polowania na wimy, bo ten sprzęt został zaprogramowany do innych celów. Dopiero teraz zdałam sobie z tego sprawę. Mam wrażenie, że spałam przez cały czas, który spędziliśmy w Nieoczyszczonych. Do *tego* się urodziłam.

- Przemawiają przez ciebie programy, Sylvie.

- Tak, może. I co z tego?

Na to nie potrafiłem odpowiedzieć. Zamiast tego spojrzałem na grawitacyjne nosze, na których zamiast Sylvie leżała Virginia Viadura. Podeszedłem bliżej i poczułem, jakby coś ciągnęło mnie tam na linie wmontowanej w moje trzewia.

- Wyjdzie z tego?

- Tak sądzę. - Sylvie odepchnęła się ciężko od pachółka cumowniczego. - To twoja przyjaciółka, co?

- Hmm, coś w tym stylu.

- No cóż, te siniaki na jej twarzy nie wyglądają najlepiej. Myślę, że ma pękniętą kość. Położyłam ją tam najdelikatniej, jak mogłam, i włączyłam system, ale ten jak dotąd tylko ją uspił, tak na wszelki wypadek. Jeszcze nie wyciągnęłam z niego diagnozy. Trzeba go będzie prze...

- Tak?

Odwrociłem się do niej i zobaczyłem lecący przez powietrze szary pojemnik u szczytu łuku. Nie było czasu, by do niej dotrzeć. Zabrakło mi czasu na wszystko. Zdażyłem jedynie rzucić się w przód, przetoczyć się za grawitacyjne nosze i skromny cień oferowany przez ich konstrukcję. Sprzęt wojskowy Tsenga - musiał być wzmocniony do warunków pola bitwy. Padłem na ziemię po drugiej stronie i przyłgnałem do niej płasko, osłaniając głowę rękami.

Granat wybuchł z dziwnie przytłumionym grzotem. Coś w mojej głowie wrzasnęło w chwili jego detonacji. Walnęła we mnie osłabiona fala uderzeniowa, uszkadzając mi uszy. Zerwałem się na nogi, próbując pozbyć się uporczywego dzwonięcia. Nie miałem czasu szukać ran po odłamkach. Z głuchym warczeniem wykręciłem się, by stanąć naprzeciw niego, gdy wychodził z wody na brzegu doku. Nie miałem broni, ale wypadłem zza brzegu grawitacyjnych noszy, jakbym był uzbrojony po zęby.

- Szybki jesteś - krzyknął. - Myślałem, że dorwę was oboje.

Ubranie miał przemoczone, a na jego czole widniało długie rozcięcie, które woda spłukała z krwi, ale nie stracił ani grama pewności siebie w brązowskórej powłoce. Czarne włosy nadal były długie, splątane niechlujnie na ramionach. Nie wyglądał na uzbrojonego, ale szczerzył się do mnie,

jakby miał przewagę.

Sylvie leżała bezwładnie w pół drogi między wodą a noszami. Nie widziałem jej twarzy.

- Teraz zamierzam cię zabić, sukinsynu - powiedziałem zimno.

- Tak, zamierzasz spróbować, staruszk.

- *Wiesz, co zrobiłeś? Masz, do cholery, pojęcie, kogo właśnie zabiłeś?*

Potrząsnął głową w szyderczej parodii żalu.

- Naprawdę przekroczyłeś już datę ważności, nie? Myślisz, że wrócę do rodziny Harlana z trupem, kiedy mogę wziąć żywą powłokę? Nie za to mi płacą. To był granat ogłuszający, niestety ostatni. Nie słyszałeś, jak wybuchła? Trochę trudno go z czymś pomylić, oczywiście, jeśli było się ostatnio na polu walki. Ach, ale ty pewnie nie byłeś. To tylko ogłuszenie falą uderzeniową i wpływ molekularnych odłamków, które mają utrzymać ją w tym stanie. Jutro z tego wyjdzie.

- Nie rób mi wykładów o broni, Kovacs. Ja, do cholery, *byłem* tobą i zrezygnowałem na rzecz czegoś ciekawszego.

- Doprawdy? - W jego błękitnych oczach błysnął gniew. - A więc co to takiego? Tania przestępczość czy nieudana polityka rewolucyjna? Mówili mi, że próbowałeś obu.

Zrobiłem krok do przodu i zobaczyłem, jak przyjmuje pozycję bojową.

- Cokolwiek ci *powiedzieli*, widziałem o stulecie więcej wschodów słońca niż ty. A teraz zamierzam ci to odebrać.

- Tak? - Prychnął z pogardą z głębi gardła. - Cóż, jeśli wszystkie poranki prowadzą do tego, kim jesteś teraz, wyświadczysz mi przysługę. Bo cokolwiek jeszcze się ze mną stanie, nie chcę zostać tobą. Wolałbym raczej spalić własny stos wraz z głową, niż skończyć tam, gdzie ty.

- Więc może to zrobisz. Oszczędzisz mi kłopotu.

Roześmiał się. Miało to chyba zabrzmieć pogardliwie, ale nie do końca mu wyszło. W śmiechu słychać było nerwowość i zbyt dużo emocji. Machnął lekceważąco ręką.

- Człowieku, mam ochotę pozwolić ci odejść, tak mi cię żal.

Potrząsnąłem głową.

- Nie, nie rozumiesz. Nie zamierzam jej oddać Harlanowi. To już koniec.

- To pewne jak jasna cholera. Nie mogę uwierzyć, jak totalnie spieprzyłeś swoje życie. Popatrz na siebie, do cholery.

- To ty na mnie popatrz, i to uważnie, bo będę ostatnim, co zobaczysz w życiu, ty głupi sukinsynu.

- Nie próbuj ze mną melodramatyzmu, staruszk.

- Och, myślisz, że to melodramat?

- Nie. - Tym razem prawie udało mu się wyrazić głosem pogardę. - Nawet na to jest zbyt żalosne. Przypominasz głupiego starego wilka, który nie potrafi się już utrzymać z watahą, musi więc krążyć w pobliżu i mieć nadzieję, że uda mu się zgarnąć jakieś mięso, którego nie zechce nikt inny. Nie mogę uwierzyć, że odszedłeś z Korpusu. Za diabła nie potrafię w to uwierzyć.

- Tak, ciebie tam nie było - warknąłem.

- Jasne, bo gdybym był, nigdy by do tego nie doszło. Myślisz, że pozwoliłbym, by wszystko tak po prostu spłynęło do rynsztoka? Że odszedłbym jak ojciec?

- *Hej, pieprz się!*

- Ty opuściłeś ich dokładnie tak samo, pierdzielu. Odszedłeś z Korpusu i z ich życia.

- Nie masz pojęcia, o czym, do cholery, mówisz. Potrzebowali mnie mniej więcej tak jak pieprzonej sieciornicy w basenie. Byłem *przestępcą*.

- To się zgadza, byłeś. I chcesz, żebym dał ci za to order?

- Och, a co ty byś zrobił? Jesteś byłym Emisariuszem. Wiesz, co to oznacza? Nie wolno ci zajmować żadnych stanowisk publicznych, wojskowych ani korporacyjnych powyżej poziomu sługusa. Nie masz dostępu do legalnych linii kredytowych. Skoro jesteś tak cholernie mądry, to co byś zrobił w tej sytuacji?

- Ja po prostu w ogóle bym nie odszedł.

- *Ciebie tam, do cholery, nie było.*

- Och, dobrze. Co zrobiłbym jako były Emisariusz? Nie wiem. Ale, do diabła, wiem, że za nic po prawie dwustu latach nie skończyłbym tak jak ty. Sam, bez grosza przy duszy, zależny od Radula Segesvara i bandy pieprzonych *surferów*. Wiesz, dotarłem do Rada przed tobą. Wiedziałeś o tym?

- Oczywiście, że tak.

Na chwilę wytrąciłem go z równowagi. W jego głosie próżno by szukać opanowania Emisariusza, był zbyt wściekły.

- Jasne. A wiedziałeś, że przewidzieliśmy praktycznie każdy ruch, jaki zrobiłeś od Tekitomury? Że to ja przygotowałem pułapkę na Grani Rila?

- Tak, udało ci się wyjątkowo dobrze.

Jego twarz wykrzywił nowy poziom furii.

- To i tak się, cholera, nie liczyło, bo mieliśmy Rada. Od samego początku byliśmy kryci. Jak myślisz, czemu tak łatwo ci poszło?

- Och, bo stacja orbitalna zestrzeliła wasz śmigłowiec, a brakowało wam informacji, żeby wyśledzić nas na północnym ramieniu?

- Pieprz się. Myślisz, że was szukaliśmy? Wiedzieliśmy, gdzie uciekniecie, stary, od samego początku. Od samego cholernego początku siedzieliśmy ci na ogonie.

Dość. W piersiach wezbrało twarde ziarno decyzji, pchając mnie do przodu z uniesionymi rękami.

- No dobrze - powiedziałem cicho. - Teraz musisz jeszcze to wszystko zakończyć. Myślisz, że poradzisz sobie sam?

Przez długą chwilę patrzyliśmy na siebie, a nieuchronność walki wypełniała przestrzeń wokół nas. Potem mnie zaatakował.

Miażdżące ciosy w gardło i krocze wyprowadzone blisko ciała odrzuciły mnie do tyłu na pełne dwa metry, zanim zdołałem go powstrzymać. Zbiłem cios w krocze ukośnym blokiem w dół jedną ręką i opadłem dostatecznie nisko, by przyjąć zamach w gardło na czoło. W tej samej chwili eksplodowała moja kontra, wprost w górę, na jego splot słoneczny. Zachwiał się i spróbował zablokować mi ramię ulubionym ruchem aikido, który rozpoznałem tak łatwo, że prawie się roześmiałem. Uwolniłem się z niego i usztywnionymi palcami dźgnąłem go w oko. Ciasnym, wdzięcznym ruchem wykręcił się poza zasięg i wyprowadził boczne kopnięcie w moje żebra. Za wysoko i zbyt wolno. Chwyciłem jego stopę i brutalnie wykręciłem. Przetoczył się za nią przez powietrze. Druga noga trzasnęła mnie w twarz - już się cofnąłem, by uniknąć pełnej siły kopnięcia. Straciłem chwyt na jego stopie i na chwilę przestałem widzieć. Zatoczyłem się do tyłu na nosze grawitacyjne, a on padł na ziemię. Nosze zachwiały się na swoim polu i mnie podtrzymały. Potrząsnąłem głową, by pozbyć się gwiazdek mrugających mi przed oczami.

Starcie nie było tak brutalne, jak powinno. Obaj byliśmy zmęczeni i w nieunikniony sposób zdawaliśmy się na systemy warunkowań noszonych powłok. Obaj popełnialiśmy błędy, które w innych okolicznościach mogły okazać się śmiertelne. I może żaden z nas nie był do końca pewien, co działo się w cichej nierealności pokrytego wodnym pyłem nabrzeża.

Aspiranci wierzą...

Głos Sylvie, złowrogi w głębinach pamięci.

Wszystko na zewnątrz to iluzja, gra cieni stworzona przez przodków jako kolebka do czasu, aż będziemy potrafili stworzyć sobie własne, indywidualne rzeczywistości i przelać się do nich.

To pocieszające, prawda?

Splunąłem i wciągnąłem powietrze. Odepchnąłem się od zakrzywionej osłony noszy grawitacyjnych.

Jeśli na to pozwolisz.

Parę metrów dalej on podnosił się na nogi. Ruszyłem na niego szybko, kiedy wciąż jeszcze dochodził do siebie, i przywołałem wszystkie siły, jakie mi jeszcze zostały. Zobaczył, że atakuję, i wykręcił się na spotkanie. Wykop zatrzymał podniesioną i zgiętą nogą, pięści zsunęły się na podwójnym bloku przez głowę i tors. Zanurkowałem obok na odbitym impecie, a on poszedł za mną, uderzając łokciem w tył głowy. Rzuciłem się w dół, zanim zdołał mnie sięgnąć, przetoczyłem się i machnąłem nogami w próbie przewrócenia go. Odskoczył w bok, warknął i wrócił, deptając mnie z uporem.

Po raz drugi tego ranka zatrzymało się moje poczucie czasu. Warunkowanie bojowe i podkreślony system nerwowy Eishundo spowolniły wszystko do żółtego tempa, rozmazanego ruchu zbliżającego się ciosu i wyszczerzonych zębów uśmiechu w tle.

Przestań się śmiać, gnoju.

Twarz Segesvara, wykrzywiona przez długie dekady goryczy najpierw we wściekłość, a potem rozpacz, gdy moje drwiny przebiły się przez pancerz iluzji zbudowany przez niego w ciągu całego życia pełnego przemocy.

Murakami, z dłonią pełną wyciętych stosów, wruszał do mnie ramionami jak w lustrze.

Matka, sen i...

...kopie ją obutą stopą w żołądek, ona zwija się i przetacza w bok, miska wywraca się i mydliny lecą na mnie...

...rosnący przyływ furii...

...jestem starszy z każdą mijającą sekundą, wkrótce będę dość duży, by sięgnąć drzwi...

...zabiję go gołymi dłońmi, w rękach mam broń, moje ręce są bronią...

...gra cieni...

Jego stopa opadła. Miałem wrażenie, że trwało to wieczność. Przetoczyłem się w ostatniej chwili prosto na niego. Nie zdążył odskoczyć. Uderzenie wylądowało na moim dźwigniętym ramieniu i wytrąciło go z równowagi. Poturlałem się dalej, a on się wywrócił. Szczęście sprawiło, że piętą zaczepił o coś leżące na nabrzeżu. Bezwładną postać Sylvie. Upadł na nią.

Zerwałem się wyprostowany, przeskakując ciało Sylvie, i tym razem złapałem go, zanim zdołał się podnieść. Z całej siły kopnąłem go w bok głowy. W powietrze wytrysła krew z naderwanej skóry. Jeszcze raz, zanim zdążył się przetoczyć. Rozerwałem mu usta, wywołując więcej krwi. Złamał się, niepewnie próbował się podnieść, a ja wylądowałem twardo na jego prawej ręce i torsie całym swoim ciężarem. Wydobył z siebie jęk. Miałem wrażenie, że czuję, jak pęka jego ręka. Uderzyłem go otwartą dłonią w skroń. Jego głowa zwisała, oczy opustoszały. Wziąłem zamach do ciosu w gardło, który zmiażdżyłby mu krtań.

...gra cieni...

Doskonale posługujesz się nienawiścią do samego siebie, bo możesz ją przekuć we wściekłość na kogoś, kto akurat wejdzie ci w drogę.

To model statyczny, Kovacs. To obraz rozpacz.

Spojrzałem na niego w dół. Ledwie się ruszał, tak łatwo byłoby go zabić.

Patrzyłem na niego.

Nienawiść do samego siebie...

Gra cieni...

Matka...

Znikąd pojawił się obraz. Zwisam pod marsjańską wieżą na Tekitomurze, na mocno zaciśniętej dłoni. Sparaliżowany. Zobaczyłem swoją zaciśniętą na kablu dłoń. Tylko ona utrzymywała mnie przy życiu.

Utrzymywała mnie w miejscu.

Zobaczyłem, jak rozluźniam uchwyt, po jednym palcu naraz, i spadam.

Wstałem.

Puściłem go i odstaąpiłem do tyłu. Stałem, patrząc na niego i próbując zrozumieć, co właśnie zrobiłem. Zamrugał na mnie.

- Wiesz - powiedziałem, ale słowa ugrzęzły mi w gardle. Musiałem zacząć jeszcze raz, cicho, zmęczonym głosem. - Wiesz, pieprzę cię. Nie byłeś na Innenin, nie byłeś na Loyoko, nie byłeś na Sanction IV ani na Hun Home. Nie byłeś nawet na Ziemi. Co ty, do cholery, wiesz?

Splunął krwią. Usiadł i wytarł zmiażdżone usta. Roześmiałem się okrutnie i potrząsnąłem głową.

- Wiesz co, zobaczmy, czy poradzisz sobie lepiej. Myślisz, że zdołasz uniknąć wszystkich moich błędów? To, do cholery, spróbuj. - Odsunąłem się na bok i gestem wskazałem na rzędy przycumowanych do przystani ślizgaczy. - Parę z nich jest pewnie w dobrym stanie. Wybierz sobie któryś i zjeżdżaj. Nikt nie będzie cię szukał, ruszaj, póki masz przewagę.

Zbierał się w sobie po kawałku. Ani na chwilę nie spuszczał ze mnie wzroku, ręce drżały mu od napięcia w niepewnej zasłonie. Może jednak nie złamałem mu ręki. Znów się roześmiałem i tym razem zabrzmiało to lepiej.

- Mówię poważnie. Zobaczymy, czy poradzisz sobie z moim pieprzonym życiem lepiej niż ja. Przekonajmy się, czy nie skończysz tak jak ja. *No idź.*

Przeszedł obok mnie, wciąż nieufny, z ponurą twarzą.

- Zrobię to - powiedział. - Chyba nie da się skończyć gorzej.

- Więc idź w cholerę. *Wynoś się stąd w diabły.* - Zebrałem w sobie świeży gniew, powstrzymałem chęć powalenia go i dokończenia sprawy. Stłumiłem ją. Choć wymagało to zdumiewająco mało wysiłku. Mój głos znów zabrzmiał spokojnie. - Nie stój tu, w cholerę, przechwalając się. *Pokaż, jak robisz to lepiej.*

Rzucił mi jeszcze jedno czujne spojrzenie, a potem ruszył w stronę nabrzeża i mniej uszkodzonych ślizgaczy.

Przyglądałem się, jak odchodzi.

Przeszedł jakiś tuzin metrów, zatrzymał się i odwrócił. Miałem wrażenie, że zaczął podnosić rękę.

A wtedy z boku nabrzeża wystrzeliła struga płynnego ognia z blastera. Trafiła go w górną część torsu i głowę, paląc wszystko na swojej drodze. Stał przez chwilę, odparowany od mostka w górę, a potem dymiące resztki jego ciała opadły w bok, odbiły się od dzioba najbliższego ślizgacza i z pluskiem wpadły do wody.

Coś drobnego dźgnęło mnie pod zebra. Gdzieś w głębi mnie zbudził się cichy dźwięk, który stłumiłem między zębami. Wykręciłem się w stronę miejsca, z którego wystrzelono.

Z drzwi stacji belującej wyszła Jadwiga. Skądś zdobyła karabin plazmowy Murakamiego albo

podobną broń. Oparła go kolbą na biodrze. Wokół lufy poruszało się jeszcze rozgrzane strzałem powietrze.

- Zakładam, że nie masz z tym problemu - krzyknęła przez dzielącą nas odległość i martwą ciszę. Zamknąłem oczy i stałem tam, po prostu oddychając.

Nie pomogło.

EPILOG

Widziane z pokładu Córki Hajduka wybrzeże Kossutha zmienia się w wąską kreskę za rufą. Wysokie, nieprzyjemne chmury wciąż wiszą bardziej na południe w miejscach, gdzie sztorm dalej męczy zachodni skraj Bezmiaru, tracąc siłę na jego płytkich wodach. Prognozy przewidują spokojne morze i słońce przez całą drogę na północ. Japaridze uważa, że mógłby nas dowieźć do Tekitomury w rekordowym czasie i chętnie by to zrobił za pieniądze, jakie mu zapłaciliśmy. Ale nagły sprint na północ starzejącego się frachtowego poduszkowca ściągnąłby na nas niepotrzebną uwagę. Powolny, przeciętny rytm komercyjnej podróży wzdłuż zachodnich wybrzeży archipelagu Saffron umożliwia nam znacznie lepsze maskowanie. A właściwe wyczucie czasu jest kluczem do wszystkiego.

Wiem, że gdzieś tam, w korytarzach moźnych Millsport trwa dochodzenie. Transferem strunowym przesiano audytorów operacyjnych Emisariuszy, którzy teraz roztrząsają skromne pozostałości tajnej operacji Murakamiego. Ale podobnie jak sztorm gasnący nad Bezmiarem, to nas nie ruszy. Mamy czas, jeśli dopisze nam szczęście, cały czas, jakiego nam trzeba. Wirus Qualgristy rozprzestrzenia się równomiernie wśród populacji planety, a groźba, z jaką się wiąże, przegna rodzinę Harlana z ich arystokratycznych ciał z powrotem do baz danych i ich przodków. Stworzona przez ich wycofanie się próżnia na szczytach władzy zassie pozostałe Pierwsze Rodziny w polityczną burzę, z którą nie poradzą sobie dobrze, a potem wszystko zacznie się rozpadać. Yakuza, hajducy i Protektorat będą krążyć jak butlogrzbiety wokół osłabionej płaszczki mamuciej, czekając na wynik i nawzajem się pilnując. Ale jeszcze nie ruszą, żadne z nich.

Tak przynajmniej sądzi Quellcrista Falconer, i choć czasem wszystko to brzmi zbyt gładko, jak retoryka marszu historii w wykonaniu Soseki Koiego, jestem skłonny się z nią zgodzić. Widziałem takie procesy na innych planetach, w niektórych z miejsc, gdzie pracowałem, by stworzyć ich podstawy, i w jej przewidywaniach tkwi ziarnko prawdy. Na dodatek sama przeżyła Niepokoje, a to sprawia, że jest lepszą ekspertką od zmian politycznych na Świecie Harlana, niż którekolwiek z nas.

Dziwnie się czuję w jej towarzystwie. Paskudna jest już świadomość, że rozmawia się z trzystuletnią bohaterką historii - ta wiedza to coś płynnego, czasem sprowadza się jedynie do ulotnego wrażenia, czasem jest upiornie ewidentna. Ale z jeszcze większą płynnością Quelcrista przychodzi i odchodzi, zamieniając się z Sylvie Oshimą, tak jak Japaridze zmienia wachty na mostku z pierwszym oficerem. Czasem widać, jak to się dzieje. Przypomina to wyładowanie przebiegające przez jej twarz - potem mruga, i nagle rozmawia się z inną kobietą. Kiedy indziej zdarzają się chwile, kiedy nie jestem pewien, z którą z nich mam do czynienia. Muszę przyglądać się wyrazowi jej twarzy i wsłuchiwać się w tonację głosu.

Zastanawiam się, czy w nadciągających dekadach ten płynny, nowy rodzaj tożsamości stanie się powszechną formą ludzkiej rzeczywistości. Z tego, co mówi Sylvie, kiedy to ona jest na górze, nie ma powodu, by się tak nie stało. Potencjał systemów lików jest prawie nieograniczony. Trzeba silniejszej osobowości, by sobie z tym poradzić, ale to samo dotyczyło każdego większego kroku na drodze wiedzy lub techniki. Nie można trzymać się starych modeli, trzeba ciągle iść naprzód, tworzyć lepsze umysły i ciała. Albo to, albo wszechświat zaatakuje nas jak pantera bagienna i pożre żywcem.

Próbuję nie myśleć o Segesvarze i pozostałych. Zwłaszcza o drugim Kovacsu. Z wolna znów zaczynam rozmawiać z Jad, bo w końcu nie mogę jej winić za to, co zrobiła. A tej nocy, gdy wypłynęliśmy z zatoki Newpest na pokładzie Córki Hajduka, Virginia Viadura udzieliła mi poglądowej lekcji w zakresie odpuszczania. Kochaliśmy się, łagodnie i ostrożnie ze względu na jej

wolno leżącą się twarz, a potem płakała i opowiadała mi przez całą noc o Jacku Soul Brasilu. Słuchałem i wchłaniałem to wszystko tak, jak uczyła mnie stulecie temu. A o poranku ujęła w dłonie moją budzącą się erekcję, podpompowała ją ustami i wsunęła w siebie, i znów się kochaliśmy, a potem wstaliśmy na powitanie nowego dnia. Od tamtej pory nie wspominała o Brasilu, a kiedy ja to zrobiłem przypadkiem, zamrugła i uśmiechnęła się, a łzy nie wypłynęły z jej oczu na twarz.

Wszyscy uczymy się odkładać takie wspomnienia, żyć ze stratą i zamiast tego zajmować się czymś, co możemy zmienić.

Oishii Eminescu powiedział mi kiedyś, że obalenie Pierwszych Rodzin nie ma sensu, ponieważ to tylko ściągnęłoby na Świat Harlana Protektorat i Emisariuszy. Uważał, że quellizm przegrałby znacznie szybciej, gdyby w czasach Niepokojów istnieli Emisariusze. Myślę, że chyba miał rację i nawet Quell ma problemy z obaleniem jego tezy, choć usilnie próbuje, gdy słońce zachodzi nad wieczornym oceanem i siedzimy na pokładzie ze szklaneczkami whisky w dłoniach.

Tak naprawdę nie ma to znaczenia. Ponieważ w głębi jej sprzętu, rozciągając minuty w miesiące, Sylvie i Quell uczą się rozmawiać z satelitami. Sylvie uważa, że zanim dotrzemy do Tekitomury, zdołają to opanować. A później będzie mogła nauczyć tej sztuczki Oishiego i może jeszcze paru lików o podobnych poglądach.

A wtedy będziemy gotowi.

Na pokładzie Córki Hajduka panuje ponury nastrój, ale jest też w tym jakiś prąd nadziei, z którego nieobcymi kształtami wciąż usiłuję się zapoznać. Nie przyniesie nam to chwały, nie obejdzie się bez rozlewu krwi. Ale zaczynam uważać, że da się to zrobić. Myślę, że biorąc pod uwagę okoliczności i odrobinę anielskiego ognia, możemy pokonać Pierwsze Rodziny oraz przegnać yakuzę i hajduków, a przynajmniej rzucić ich na kolana. Myślę, że zdołamy obronić się przed Protektoratem i Emisariuszami, a potem, jeśli coś zostanie, może spróbujemy demodynamiki Quell.

I nie przestaję wierzyć - może mieć nadzieję - że platformy orbitalne, które mogą sięgnąć w dół i w jednej chwili zetrzeć z powierzchni wody poduszkowiec pełen ludzi i drobne więzy na rękach dwójki aresztantów, które potrafią równocześnie niszczyć i zapisywać, przelewać umysły z powrotem do systemów informacyjnych na planecie - nie umiem powstrzymać wiary, że te same systemy spojrzą któregoś dnia na skraj oceanu Nurimono i znajdą parę porzuconych przed dziesięcioleciami, obrośniętych korałem stosów korowych.

I przywrócą do życia ich zawartość.

Spis treści

PODZIĘKOWANIA..	5
PROLOG..	7
CZEŚĆ I OTO KIM JESTEŚ.	11
ROZDZIAŁ PIERWSZY..	12
ROZDZIAŁ DRUGI.	22
ROZDZIAŁ TRZECI.	33
ROZDZIAŁ CZWARTY..	44
ROZDZIAŁ PIĄTY..	53
ROZDZIAŁ SZÓSTY..	60
ROZDZIAŁ SIÓDMY..	71
ROZDZIAŁ ÓSMY..	82
CZEŚĆ II TO KTOŚ INNY..	87
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY..	88
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY..	98
ROZDZIAŁ JEDENASTY..	110
ROZDZIAŁ DWUNASTY..	119
ROZDZIAŁ TRZYNASTY..	127
ROZDZIAŁ CZTERNASTY..	137
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY..	145
ROZDZIAŁ SZESNASTY..	154
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY..	165
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY..	177
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY..	186
CZEŚĆ III TO BYŁO JAKIŚ CZAS TEMU..	203
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY..	204
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY..	218
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI.	226
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI.	235
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY..	246
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY..	255
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY..	268
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY..	283
CZEŚĆ IV TYLKO TO SIĘ LICZY..	293
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY..	294
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY..	302
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY..	317
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY..	326
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI.	338
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI.	345
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY..	351
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY..	361
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY..	367

<u>ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY..</u>	<u>378</u>
<u>CZEŚĆ V OTO NADEJDZIE SZTORM...</u>	<u>385</u>
<u>ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY..</u>	<u>386</u>
<u>ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY..</u>	<u>401</u>
<u>ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY..</u>	<u>412</u>
<u>ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY..</u>	<u>420</u>
<u>ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI.</u>	<u>427</u>
<u>ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI.</u>	<u>431</u>
<u>ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY..</u>	<u>441</u>
<u>ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY..</u>	<u>449</u>
<u>ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY..</u>	<u>458</u>
<u>ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY..</u>	<u>469</u>
<u>ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY..</u>	<u>477</u>
<u>ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY..</u>	<u>484</u>